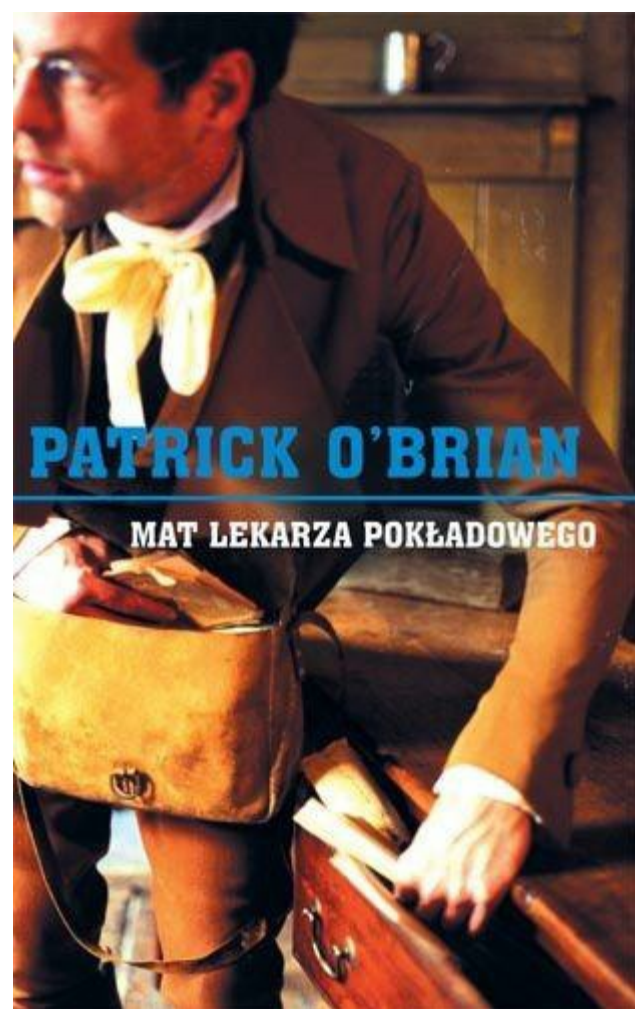


PATRICK O'BRIAN

MAT LEKARZA POKŁADOWEGO



Patrick O'Brian

Mat lekarza pokładowego

Przełożył Marcin Mortka

Tytuł oryginału The Surgeon 's Mate

NOTA OD AUTORA

Wielcy ludzie mogą sobie pozwolić na anachronizmy i nie byłoby nic dziwnego w tym, że Criseyde czytuje żywoty świętych, a Hamlet uczeńszcza do szkoły w Wittenberdze. Zwykły pisarz nie powinien jednak zanadto manipulować przeszłością. Konsekwencjami takiej decyzji są bowiem utrata autentyczności oraz niedowierzenie wobec opisywanych przez niego wydarzeń.

Autor, który poważy się na zbytnią manipulację, może się również liczyć z tym, iż otrzyma listy od czytelników, którzy miłują precyzję bardziej od niego.

Niedawno pewien wykształcony Holender strofował mnie za spryskanie forpiku HMS „Shannon” wodą kolońską. Podał za Oxford Dictionary, iż najwcześniejsza angielska wzmianka na temat wody kolońskiej pochodzi z listu Byrona z 1830 roku. Sądzę, że popełnił on wielki błąd, uznając, że żaden Anglik nigdy nie rozmawiał o wodzie kolońskiej przed rokiem 1830, lecz ów list tak czy owak wzbudził we mnie niepokój, tym bardziej, że sir James Saumarez powraca z Bałtyku i schodzi z

„Victory” kilka miesięcy wcześniej, niż opisałem to w Macie lekarza pokładowego, co jednakże uczyniłem świadomie. W

pierwszej wersji manuskryptu opierałem się na Dictionary of National Biography, wedle której admirał dowodził na Bałtyku w opisywanym przeze mnie okresie. Potem wyczytałem w pamiętniku prowadzonym przez jednego z jego podwładnych, iż w rzeczywistości ktoś inny zajął podówczas jego miejsce.

Mimo to bardzo chciałem w tej powieści powiedzieć parę słów na temat Saumareza, będącego doskonałym przykładem szczególnego typu oficera marynarki - niezwykle pobożnego, wielce utalentowanego żeglarza, a do tego skutecznego w roli dyplomaty - tak więc po prostu nie mogłem dokonać kolejnych zmian w chronologii wydarzeń i pozostawiłem wszystko w wersji pierwotnej. Uczyniłem jednakże pewien wyjątek - powodowany osobliwym uczuciem szacunku wobec „Victory” postanowiłem usunąć wszelkie nawiązania do tego okrętu. Wierność wobec faktów pozostawia zatem nieco do życzenia, ale ufam, iż szczerzy czytelnik wybaczy mi te wszystkie manipulacje historyczne.

Był słoneczny, ciągnący się w nieskończoność dzień lata, gdy do długiego portu Halifax w Nowej Szkocji wpłynęły na marslachs dwie fregaty. Pierwsza z nich jeszcze kilka dni temu należała do marynarki Stanów Zjednoczonych, przez co pod jej białą banderą wciąż powiewała flaga amerykańska. Druga zaś wywiesiła jedynie własną, wypłowiałą banderę - była to bowiem HMS

„Shannon”, zwyciężczyni krótkiej, lecz krwawej rozprawy z USN

„Chesapeake”.

Załoga „Shannon” wiedziała już, jakiego powitania się spodziewać, gdyż wieści o wiktorii rozniosły się szybko, a cały rój jachtów, dor1, łodzi korsarskich i innych drobnych jednostek wyszedł im na spotkanie aż poza odległe wejście do portu.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Brawo! Hurra! Świetna robota, „Shannon”! - krzyczały ich załogi, wymachując kapeluszymi. - Hurra! Hurra!

Marynarze fregaty nie zwracali zbytnej uwagi na cywilów, jedynie wachta odpoczywająca pod pokładem ograniczyła się do kilku zdawkowych machnięć, lecz witający okręt ludzie wprost pożerali go wzrokiem.

Przypadkowy obserwator nie dostrzegłby co prawda żadnych powodów do tryumfalnych okrzyków - olinowanie okrętu zostało bowiem w większości wymienione, na rejach zawisły nowe żagle, a farba prezentowała się równie dobrze jak przed wieloma tygodniami, gdy fregata wypływała z portu - lecz co bardziej doświadczeni korsarze dostrzegli głębokie szczyrby w bukszprycie i maszcie, zauważyli również stermaszt usztywniony drągami kabestanu, jedną kulę armatnią, wciąż tkwiącą w burcie, i dziury po tych, które przeszły na wylot.

Ale nawet najmniej spostrzegawczy z widzów musieli zauważyć dziury ziejące w rufie i burcie lewej

ćwiartki „Chesapeake”, gdzie z każdą salwą z prawej burty „Shannon” uderzało około pięciu cetnarów żelaza. Nie ujrzeliby oczywiście krwi, która podczas zacieklego starcia ściekała gęstym strumieniem ze szpigatów - marynarze z „Shannon” wyczyścili bowiem oba okręty i przystroili ich pokłady najlepiej, jak umieli - ale tak czy owak każdemu człowiekowi, który był kiedyś świadkiem bitwy morskiej, starczyłby stan samych tylko masztów, rei i kadłuba „Chesapeake”, by wyobrazić sobie jatkę na pokładach fregat po zakończeniu starcia.

Załoga brytyjskiej fregaty dobrze wiedziała, jakie powitanie ich czeka, tak więc marynarze wolni od zajęć zdążyli już przywdziać najlepsze ubrania do zejścia na ląd: jasnoniebieskie kurtki z miedzianymi guzikami, luźne, białe spodnie z wszytymi tasiemkami, małe, lśniące, czarne pumpy oraz szerokie kapelusze ze wstążkami, na których wyszyto nazwę okrętu. Mimo tego zostali całkowicie zaskoczeni potęgą wiwatów, które dobiegły ich już podczas podchodzenia do nabrzeży. Kolejne fale tryumfalnych okrzyków nadbiegały jedna za drugą i zlewały się ze sobą, gdy nagle zagłuszył je odgłos jeszcze miłszy ich sercom:

- Wiwat, „Shannon”! Wiwat, wiwat, wiwat! - krzyczeli równym chórem marynarze ze stojących w porcie okrętów wojennych. Ich reje i takielunek były wprost obwieszane ludźmi, chcącymi powitać zwycięzców. Pchana mocą przyływu fregata sunęła powoli ku dobrze sobie znanemu miejscu cumowania, a powietrze i morze wciąż zdawały się wprost drżeć od tryumfalnych wrzasków.

Wydawało się, że cała ludność Halifaksu wyległa, by ich powitać i uczcić zwycięstwo, pierwsze zwycięstwo w wojnie, która tak katastrofalnie zaczęła się dla Wielkiej Brytanii. Przez pierwsze miesiące starć pojedynki z Amerykanami przegrały kolejno trzy dumne fregaty angielskie, nie mówiąc już o mniejszych jednostkach, tak więc radość marynarzy Royal Navy nie miała granic, a ochrypli, jednoczesny ryk z wielu setek gardeł był najlepszym dowodem na rozmiary rozpaczki wywołanej porażkami. Tysiące zgromadzonych cywili i żołnierzy armii lądowej podzielało jednak radość żeglarzy i głos młodego pana Wallisa, pełniącego obowiązki dowódcy „Shannon”, niemalże utonął w zgiełku, gdy wydał rozkaz podniesienia żagli na gejtawach.

Marynarze zwycięskiej fregaty byli uradowani i zaskoczeni, lecz przez cały czas zachowali powagę, nawet ich radość nacechowana była troską.

Uwielbiany przez nich kapitan leżał bowiem w swej kabinie i walczył ze śmiercią a przed paroma dniami pochowali swego pierwszego oficera i dwudziestu dwóch towarzyszy. W szpitaliku zaś, w skład którego włączono również pokład mieszkalny, leżało pięćdziesięciu dziewięciu rannych. Wielu z nich, w tym kilku ogólnie lubianych i cenionych marynarzy, znajdowało się w stanie krytycznym.

Tak więc gdy admirał wszedł na pokład fregaty, ujrzał na śródokręciu niewielu marynarzy, co do jednego wystrojonych, lecz poważnych i zatroskanych. Obsada pokładu rufowego również była przerzedzona i na spotkanie wyszło mu zaledwie kilku oficerów.

Dobra robota, na Boga! - zakrzyknął, zagłuszając gwizdki bosmańskie, oznajmiające wejście na pokład. - Dobra robota, „Shannon”! Gdzie jest kapitan Broke?

- Pod pokładem, sir - rzekł Wallis. - Z żalem muszę pana powiadomić, iż został ranny. Odniósł bardzo ciężką ranę głowy. Jest ledwie przytomny.

- Och, bardzo mi przykro. Cholera, ależ mi przykro. Jest w bardzo złym stanie? Ranili go w głowę, powiada pan? Czy nie pomieszało mu się w niej?

Znaczy się, czy wie o swoim wspaniałym zwycięstwie?

- Och tak, sir, wie o wszystkim. Sądzę, że tylko to trzyma go przy życiu.

- A co twierdzi lekarz? Można się z nim zobaczyć?

- Dziś rano nie wpuścili mnie do niego, sir, ale poślę kogoś pod pokład i wnet się dowiemy, jak się kapitan miewa.

- Tak, proszę tak zrobić - powiedział admirał, a po chwili milczenia spytał: - A gdzie jest pan Watt?

Miał na myśli pierwszego oficera fregaty, który ongiś służył pod jego rozkazami jako midszypmen.

- Nie żyje, sir - odparł Wallis.

- Nie żyje - powtórzył admirał, spuszczać wzrok. - Jest mi niewymownie przykro z tego powodu. Był niezwykle utalentowanym, dzielnym oficerem. Czy ponieśliście ciężkie straty, panie Falkiner?

- Straciliśmy dwudziestu trzech, pięćdziesięciu dziewięciu jest rannych, sir. To razem jedna czwarta całej załogi. Na „Chesapeake” poległo jednakże sześćdziesięciu ludzi, a dziewięćdziesięciu odniosło rany. Dowódca Amerykanów umarł na „Shannon” w środę. Czy wolno mi przypomnieć - dodał

ciszej - iż moje nazwisko to Wallis? Pan Falkiner dowodzi przyzem.

- A właśnie, właśnie - rzekł admirał. - To była krwawa przeprawa, panie Wallis, mordercza przeprawa, ale opłaciło się. Och tak, na Boga, opłaciło się!

Z tymi słowami przyjrzał się pokładowi, wysprzątanemu i czystemu, choć nadal poznaczonemu śladami walki. Spojrzał na łodzie, z których dwie zostały już naprawione, a potem zerknął na takielunek i ostatecznie zawiesił wzrok na podpartym stermaszcie.

- A zatem to panu, Falkinerowi oraz ocalałej garści marynarzy zawdzięczamy przyprowadzenie tych dwóch okrętów do portu. Znakomicie się pan spisał, Wallis, pan i pańscy ludzie. Teraz jednakże proszę o treściwy, nieformalny raport z przebiegu starcia. Jeśli kapitan Broke nie odzyska przytomności do czasu wysłania okrętu z meldunkami, będzie pan go również musiał spisać, ale na razie starczą mi pańskie słowa.

- Cóż, sir - zaczął Wallis, ale naraz zamilkł. W ogniu walki potrafił

wykazać się ogromnym męstwem i przytomnością umysłu, ale oratorem był

kiepskim. Co więcej, peszyła go ranga admirała oraz obecność jedyne amerykańskiego oficera, który mógł ustać na nogach pomimo swych ran. W

końcu wydukał nieskładną, chaotyczną opowieść, lecz przysłuchujący się jej admirał aż promieniał z zachwytu, gdyż oto wszystko, co wcześniej usłyszał, ułożyło się idealnie w logiczną całość, jeszcze bardziej logiczną niż plotki, które dotarły doń przed przybyciem „Chesapeake”. Słowa Wallisa potwierdziły wszystko to, czego już się dowiedział: Broke, zastawszy „Chesapeake” samotną w bostońskim porcie, odesłał towarzyszące mu okręty i rzucił jej kapitanowi wyzwanie, by wyszedł na otwarte morze i stoczył z nim pojedynek.

„Chesapeake” podjęła rękawicę i dzielnie wyszła z portu, po czym oba okręty rozegrały czyste, wyrównane starcie na salwy burtowe, nawet nie próbując manewrów. Już w pierwszej fazie bitwy pociski z „Shannon” wymiotły pokład rufowy Amerykanów, zabijając bądź raniąc prawie wszystkich oficerów, po czym angielska fregata ostrzelała kadłub przeciwnika i przystąpiła do abordażu, który zakończył się zwycięstwem.

- To wszystko trwało piętnaście minut, sir. Od pierwszego wystrzału do ostatniego.

- Piętnaście minut, drogi Boże! O tym akurat nie miałem pojęcia! - rzekł

admirał, a po zadaniu jeszcze kilku pytań założył dłonie za plecami i ruszył

wzdłuż burty, w ciszy rozkoszując się zwycięstwem.

Naraz dostrzegł wysokiego mężczyznę w mundurze kapitana mianowanego, stojącego przy oficerach piechoty morskiej.

- Aubrey! Niech skonam, toż to musi być Aubrey! - zakrzyknął i ruszył ku niemu z wyciągniętą dłonią. Kapitan Aubrey wsunął kapelusz pod lewe ramię, wyswobodził prawe z temblaka i możliwie najserdeczniej uścisnął dłoń admirała.

- Od razu wiedziałem, że to pan. Przez te jasne włosy trudno pana z kimkolwiek pomylić - rzekł admirał. - Nie widzieliśmy się od lat. Cóż to, został

pan ranny w ramię? Słyszałem, że przebywał pan w Bostonie, lecz jak się pan znalazł tutaj?

- Uciekłem, sir - powiedział Jack Aubrey.

- Dobra robota! - Ponownie zakrzyknął admirał. - A zatem uczestniczył

pan w tym wielkim zwycięstwie. Na Boga, warto przez coś takiego stracić ramię lub nawet oba. Gratuluję z całego serca. Ale żałuję, że mnie tam z wami nie było. Przepelnia mnie jednakowoż wielki żal po stracie nieszczęsnego, drogiego Watta i martwię się o Broke'a. Muszę zamienić z nim kilka słów, o ile lekarz...

Czy pańskie ramię jest w kiepskim stanie? - spytał, skinąwszy głową w kierunku temblaka.

- To tylko rana po kuli muszkietowej, sir. Odniosłem ją na „Javie”. Jeśli chciałby pan porozmawiać z lekarzami, sir, oto i oni.

Panie Fox, jak się pan miewa? - spytał admirał, odwracając się w kierunku lekarza pokładowego „Shannon”, który właśnie wyłonił się z głównego luku w towarzystwie kolegi po fachu. Obaj mieli na sobie fartuchy noszone podczas operacji. - A jak się miewa pański pacjent? Czy jest w na tyle dobrym stanie, bym mógł złożyć mu wizytę? Choćby nawet krótką?

Cóż, admirale. - Fox pokręcił głową z powątpiewaniem. - Przy jego stanie należy wystrzegać się nadmiernej ekscytacji bądź wysiłku umysłowego. Zgadza się pan ze mną kolego?

- Jasne, jasne - odparł drugi z lekarzy, drobny człowiek o ziemistej cerze, mający na sobie zakrwawiony, czarny fartuch, przybrudzoną koszulę i niedopasowaną perukę. Ton jego głosu wskazywał jednakże na zniecierpliwienie. - Nie możemy się zgodzić na żadne odwiedziny dopóty, dopóki lekarstwa nie zaczną skutkować.

Już chciał odejść bez słowa, lecz kapitan Aubrey pochwycił go za łokieć i szepnął do ucha.

- Zachowuj się, Stephen. To przecież admirał, sam dobrze wiesz.

Stephen przyjrzał się Aubreyowi - jego osobliwe, bladoniebieskie oczy były zaczerwienione po wielu dniach i nocach niemalże bezustannej opieki nad pacjentami - po czym wypalił:

- Słuchaj no, Jack! Jestem właśnie zajęty amputacją i nie zatrzymałbym się na pogawędkę nawet z samym archaniołem Gabrielem. Wyszedłem tylko po to, by wziąć mój mały refraktor z kajuty kapitańskiej. I powiedz temu człowiekowi, by nie mówił tak głośno.

Zakończywszy tyradę, lekarz bez słowa ruszył w swoją stronę. Na twarzach stojących dookoła ludzi pojawiły się nerwowe uśmiechy, kilku zerknęło z niepokojem na admirała, lecz on sam wcale nie wydawał się wyprowadzony z równowagi. Rozglądał się nadal po okręcie i przyglądał się cumującej niedaleko „Chesapeake”, a po wyrazie jego twarzy znać było, że zachwyty i radość z odniesionego zwycięstwa przebijają się przez troskę o zdrowie kapitana „Shannon” i żal z powodu strat w jego załodze. Poprosił

Wallisa o listę więźniów wojennych, a w oczekiwaniu na nią stanął przy zaimprovizowanym daszku nad świetlikiem kajuty kapitańskiej i powiedział do Aubreya:

- Wiem, że widziałem już gdzieś tę twarz, ale za nic w świecie nie mogę sobie przypomnieć nazwiska.

- To doktor... - zaczął kapitan Aubrey, ale admirał przerwał mu w pół

słowa:

- Poczekaj pan, poczekaj. Mam już, przypomniałem sobie. To Saturnin2, doktor Saturnin. Gdy wraz z admirałem Bowesem odwiedziliśmy pałac księcia Yorku, by spytać o jego zdrowie, ten właśnie człowiek wyszedł do nas i wszystko nam powiedział. Saturnin, wiedziałem, że sobie przypomnę.

- To ten sam człowiek, sir. Stephen Maturin został wówczas wezwany, by zajmować się księciem Williamem i wierzę, że to on go uratował, gdy zawiodły wszelkie inne środki. Jest doprawdy

doskonałym lekarzem, sir, a do tego moim bliskim przyjacielem. Pływamy razem od 1802 roku. Obawiam się jednak, że wciąż nie przywykł do zasad rządzących marynarką, a jego zachowanie budzi zgorszenie, choć on sam wcale nie ma zamiaru nikogo obrazić.

- Cóż, najwidoczniej poszanowanie dla bliźniego przychodzi panu doktorowi z trudem, ale nie poczułem się urażony. Nie uważam siebie za Boga Ojca, dobrze o tym wiesz, Aubrey, choć wywieszam własną flagę. Tak czy owak, wiele złego musiałyby się wydarzyć, bym stracił humor w dniu takim jak ten. Boże, Aubrey, cóż to za ZWYCIĘSTWO! Nawiasem mówiąc, ten człowiek w istocie musi BYĆ wielkim lekarzem, skoro wezwano go do opieki nad samym księciem. Mam ogromną nadzieję, że ocali nieszczęsnego Broke'a. Sługa uniżony szanownej pani! wykrzyknął, przyglądając się z szacunkiem i podziwem niezwykle eleganckiej młodej damie, która nagle wyłoniła się spod daszku. Dźwigała basen, a tuż za nią zmierzał znużony pomocnik lekarza okrętowego w zbryzganym krwią ubraniu. Kobieta była blada, lecz w tych okolicznościach bladość dodawała jej uroku.

- Diano - rzekł kapitan Aubrey. - Pozwól, że przedstawię ci admirała Colpoysa. Oto moja kuzynka, pani Villiers. Pani Villiers również przebywała w Bostonie, sir, a uciekła razem ze mną i doktorem Maturinem.

- Doprawdy uniżony, pokorny sługa, droga pani! - Admirał uklonił się. -

Ależ ja pani zazdroszczę bycia świadkiem tak wspaniałej bitwy.

Diana odstawiła basen, dygnęła i odparła:

- Och, sir, ależ ja cały ten czas spędziłam w zamknięciu pod pokładem.

Lecz niewymownie wprost żałuję - ciągnęła z błyskiem w oku - ogromnie żałuję, iż nie jestem mężczyzną i nie mogłam rzucić się do abordażu z całą resztą załogi.

- Jestem przekonany, że położyłaby pani trupem wszystkich swych przeciwników - stwierdził admirał. - Lecz skoro znalazła się pani tutaj, musi pani przyjąć propozycję gościny u nas. Lady Harriet będzie zachwycona, mogąc panią ugościć. Mój barkas jest do pani dyspozycji, jeśli zechce pani od razu udać się na ląd.

- Jest pan niezwykle uprzejmy, admirał - odparła Diana. - Z ogromną radością złożę wizytę lady Harriet, lecz na razie mam swe obowiązki, które zabiorą mi jesz-

- Wzbudza pani mój podziw - powiedział admirał, gdyż rzut oka na trzymany przez nią basen zdradził mu naturę owych obowiązków. - Lecz z chwilą, gdy pani praca dobiegnie końca, musi pani nas odwiedzić. Aubrey, przywieź do nas panią Villiers, gdy tylko zakończy swe obowiązki. -

Niespodziewanie ze szpitalika nadbiegł przeraźliwy, niemalże nieludzki wrzask bólu, który niczym nóż uciał wszelką radość. Szeroki, promieniejący uśmiech zniknął z twarzy admirała, ale tylko na moment - widział on już niejedną bitwę i znał cenę, którą należało zapłacić za zwycięstwo. - To rozkaz, Aubrey, rozumiano? - dodał z niemalże niezmaconym entuzjazmem, potem odwrócił się do

młodego porucznika i rzekł:

- A teraz, panie Wallis, zajmijmy się naszymi sprawami.

Upłynęło kilka godzin. Kapitan Broke został przetransportowany do domu komisarza, a rannych z jego załogi przewieziono do szpitala, gdzie ci, którym cierpienie nie odebrało resztek rozumu, leżeli spokojnie obok rannych marynarzy z „Chesapeake”, czasami dzieląc się z nimi tytoniem lub przemyconym rumem. Zdrowi amerykańscy jeńcy wojenni zostali zabrani ze swego okrętu - nielicznych ocalałych oficerów zwolniono na słowo honoru, a resztę załogi zamknięto w koszarach. Najgorsze jednak było to, że ujęci na

„Chesapeake” brytyjscy dezercerzy zostali zabrani do więzienia i nie było żadnych szans, że opuszczą je inaczej jak tylko w drodze na szafot. Tymczasem jednak wojna nie okazała jeszcze swego najokrutniejszego oblicza, a żal i zaduma wśród załogi „Shannon” zaczęły zniknąć, wypierane radosnym oczekiwaniem na wieczór. Kapitanowie sąsiadujących okrętów przysłali bowiem na fregatę grupy ochotników, którzy zgodzili się objąć wachtę kotwiczną, by pozwolić tym samym marynarzom Broke’a na spędzenie nocy na brzegu. Wesołość PRZYBYSZÓW w połączeniu z niekończącymi się wiewatami i wystrzałami na nabrzeżu wywołała w końcu pierwsze uśmiechy wśród młodszych marynarzy, deptających sobie po piętach na pomostach, podczas gdy ich towarzysze opuszczali na wodę łodzie, uważając, by nie pobrudzić ubrań smołą.

Kuzynko Diano - odezwał się Jack Aubrey. - Czy chciałabyś zejść na ląd?

Obwołam „Tenedosa”, by przysłali gig kapitański.

- Dziękuję, Jack - padła odpowiedź. - Wolałabym jednakże poczekać na Stephena. Zaraz powinien tu być.

Diana siedziała na niewielkim, zielonym kufierku z mosiężnymi okuciami, jedynej rzeczy, którą zabrała ze sobą podczas pospiesznej ucieczki z Bostonu, i patrzyła na Halifax ponad roztrzaskaną dziewięciofiintówką. Jack stanął przy niej, opierając jedną stopę na lawecie, i również się zapatrzył, pozwalając, by jego myśli popłynęły daleko. Przepęniało go ogromne szczęście - nie jemu przypadło w udziale to wielkie zwycięstwo, ale był przecież na wskroś oficerem marynarki, od dziecka utożsamiającym się z Royal Navy, i seria poniesionych przez ostatni rok klęsk ciążyła mu tak bardzo, iż ledwie był w stanie to znieść.

Naraz ów ciężar zniknął - dwa okręty wojenne stoczyły wyrównaną walkę, Royal Navy osiągnęła zwycięstwo, a zatem świat odzyskał równowagę, a gwiazdy na nowo podjęły wędrówkę swym poprzednim torem. Zaraz po powrocie do Anglii najprawdopodobniej otrzyma dowództwo nowego okrętu -

uzbrojonej w czterdzieści dział „Acasty” - a to sprawi, że gwiazdy jeszcze szybciej wrócą do swego naturalnego położenia.

„A jak tylko postawię stopę na lądzie, natychmiast pobiegnę na pocztę, by odebrać listy” - obiecał sobie.

Nie miał żadnych wiadomości od Sophie, swej żony, i najbliższej kuzynki Diany, od chwili, gdy został uwięziony w Bostonie, i bardzo mu ich brakowało.

Nie mógł się doczekać chwili, gdy dowie się, co słyhać u dzieci, jak się miewają jego konie i jak prezentuje się dom z ogrodem. W następstwie tęsknoty pojawił się jednak nieodłączny niepokój. Był niezmiernie bogatym dowódcą i zdobył więcej przyzwoego niż większość kapitanów w jego wieku, a nawet niejeden admirał, lecz jego życie na łodzi bardzo się skomplikowało. Przed wyjazdem pozostawił swe sprawy w rękach człowieka, w którego uczciwość nie wierzyła ani Sophie, ani jego przyjaciel, Maturin. Ów człowiek, niejaki pan Kimber, złożył Jackowi solenną obietnicę, że zmodernizuje znajdujące się na jego ziemiach, nieużywane kopalnie ołowiu, tak by można z nich było wydobyć nie tylko jeszcze więcej ołowiu, ale także zaskakującą ilość srebra. To ostatnie byłoby możliwe tylko dzięki procesowi chemicznemu, znanemu jedynie samemu Kimberowi. Dzięki jego inwestycjom kapitał włożony w modernizację miał zwrócić się z nawiązką i przynieść spory zysk. Tyle że w ostatnich listach, które w odległych Indiach Wschodnich otrzymał od żony, nim jeszcze w drodze do Anglii został pojmany przez Amerykanów, nie było mowy o zyskach czy dochodach. Miast tego Sophie pisała o jakichś tajemniczych, niezwykle rozległych przedsięwzięciach ze strony Kimbera, do których nie został

upoważniony. Ponoć budował nowe drogi, nabywał sprzęt kopalniany, kupił maszynę parową i kopał głębokie szyby.

Jack tęsknił do chwili, gdy to wszystko się wyjaśni i żywił wiarę w pomyślne rozwiązanie całej sprawy. Zarówno Sophie, jak i Stephen Maturin nie mieli bowiem pojęcia o interesach, a Jack nie opierał swych decyzji jedynie na intuicji, ale na faktach i liczbach. Innymi słowy, miał znacznie większą wiedzę o świecie niż którekolwiek z nich. Najbardziej jednak tęsknił za swymi dziećmi, za córkami bliźniaczkami i malutkim synkiem. George z pewnością zaczął już mówić. Ze wszystkich rzeczy podczas niewoli najtrudniej było mu znieść brak wieści na temat dzieci, gdyż w Ameryce nie otrzymał ani jednego listu. Bardzo pragnął też ujrzeć Sophie i usłyszeć jej głos. Jej ostatnie listy, napisane jeszcze przed wybuchem wojny, dotarły do niego na Jawie i czytał je bez ustanku, aż papier zaczął się kruszyć w miejscach, gdzie go złożono. Czytał je i czytał, aż zostały utracone w morzu wraz niemalże całym jego dobytkiem. Od tej chwili nie otrzymał żadnej wieści. Pokonał ogromną odległość, od sto dziesiątego stopnia długości wschodniej do sześćdziesiątego stopnia długości zachodniej, przebył niemalże cały świat, lecz w ślad za nim nie dotarł żaden list. Jack dobrze wiedział, iż na tym polega przekleństwo żeglarza. Nigdy nie było pewności, czy przesyłki dotrą na miejsce przeznaczenia, ale i tak czasami czuł się pokrzywdzony.

Winił wszakże los, a nie samą Sophie. Ich małżeństwo przepajało głębokie uczucie i wzajemny szacunek, przez co mogło służyć jako przykład dla wielu innych. Nie był to związek idealny - Jack, którego cechowała niepomahowana, zwierzęca wprost żądza, nie był do końca zadowolony z pewnego aspektu ich pożycia, a Sophie nierzadko okazywała się kobietą nieco zaborczą i skłonną do okazywania zazdrości, niemniej stanowiła integralną część jego życia. Z pewnością miała tyle samo wad, co on, a bywały chwile, kiedy jego własne przywary wydawały mu się łatwiejsze do usprawiedliwienia aniżeli jej, lecz teraz w ogóle o nich nie pamiętał. Jego myśli całkowicie zaabsorbowała paczka listów, oczekująca na niego gdzieś za gładką taflą wód portowych Halifaksu.

- Powiedz mi jedną rzecz, Jack - odezwała się nagle Diana. - Jak Sophie zniosła ostatni poród? Dużo ją to kosztowało?

- Co? - zawołał Jack, gwałtownie wracając do rzeczywistości. - Czy urodzenie George'a dużo ją kosztowało? Mam nadzieję, że nie, na... Tak, mam wielką nadzieję, że nie. Nie wspomniała o tym ani słowem. Byłem wówczas na Mauritiusie. Myślę jednak, że poród może być bardzo bolesny.

- Tak, też słyszałam - powiedziała Diana i dodała po chwili: - O, idzie już Stephen. - Kilka minut później szalupa kołysała się już przy burcie. Trójka uciekinierów pożegnała się z okrętem, gdyż z jego załogą mieli się jeszcze spotkać na lądzie podczas uroczystości na cześć zwycięstwa. Admirał

wspominał już coś o wielkim balu. Wallis zaproponował Dianie, by skorzystała z ławki bosmańskiej, lecz ta odmówiła i zsunęła się w ślad za Stephenem ze zwinnością chłopca okrętowego. Na widok jej nóg cała obsada łodzi odwróciła wzrok i zapatrzyła się na otwarte morze. Choć zejść zdołała sama, o zajęcie się kuferkiem musiała poprosić ludzi na pokładzie. - Proszę nań uważać, bo to mój całutki dobytek - zawołała, uśmiechając się ku oczarowanemu Wallisowi. -

Tylko tyle mi pozostało.

Łódź ruszyła w stronę nabrzeża. Jack, Stephen i Diana stanowili doprawdy osobliwą grupę, a łączące ich więzi były w tym samym stopniu silne, co skomplikowane. Kilka lat temu obaj mężczyźni rywalizowali bowiem o jej względy, co niemalże zniszczyło ich przyjaźń. Jack wycofał się ze starcia, a dla Stephen a Diana stała się miłością życia i największą iluzją, za którą się uganiał.

Dziewczyna odtrąciła go jednak w Indiach na rzecz pewnego Amerykanina, bardzo zamożnego człowieka o nazwisku Johnson. Razem wyjechali do Stanów Zjednoczonych, lecz ich wspólne życie zaczęło jej się wkrótce przykrzyć, a z chwilą wybuchu wojny stało się całkiem nie do zniesienia. Spotkała się ponownie ze Stephenem, gdy ten przybył do Bostonu jako jeńiec wojenny.

Maturin odkrył jednak, że choć nadal podziwiał jej urodę i hart ducha, jego serce stało się nieczułe na jej wdzięki. Nie wiedział, jakie zmiany w nim - lub w niej - wywołały ową obojętność, ale przeczuwał, że jeśli jego serce szybko nie obudzi się ponownie, to na zawsze utraci sens życia. Tak czy owak, we trójkę zorganizowali ucieczkę i na małej łodzi dotarli do „Shannon”. Co więcej, mieli się również pobrać. Stephen gotów był się poświęcić, nawet jeśli jedyną korzyścią dla Diany byłoby odzyskanie obywatelstwa. Ku jego zdziwieniu dziewczyna zaaprobowwała pomysł, choć do tej pory uważał ją za najbardziej spostrzegawczą i obdarzoną największą intuicją ze wszystkich znanych mu kobiet. W rzeczy samej, gdyby nie doszło do bitwy, staliby się mężem i żoną w świetle prawa angielskiego. Maturin był papistą, przeto nie mogliby wziąć ślubu kościelnego. Kapitan Philip Broke miał bowiem skorzystać ze swych uprawnień dowódcy jednostki marynarki wojennej i udzielić im ślubu na morzu, a Diana raz jeszcze stałaby się poddaną brytyjską.

Każde z nich przeżywało własne rozterki, lecz mimo tego droga na nabrzeże, a następnie do domu admirała upłynęła im na spokojnej i wesołej pogawędce. Po tej wizycie rozstali się niczym starzy przyjaciele - Jack miał się zgłosić do komisarza, a następnie chciał odebrać swą pocztę, Stephen wybierał

się w nieznanym kierunku z paczką obszytą płótnem żeglarskim, zresztą ten pakunek stanowił cały jego bagaż, a Diana postanowiła jeszcze przez jakiś czas cieszyć się towarzystwem krótkonogiej, dobrodusznej lady Harriet Colpoys.

Stephen nie wspomniał, dokąd się wybiera, lecz gdyby ktokolwiek z jego towarzyszy dłużej się nad tym zastanowił, bez trudu by się tego domyślił.

Podczas ich długiej, wspólnej służby kapitan Aubrey już dawno doszedł do tego, że choć doktor Maturin był bez wątpienia wybitnym medykiem, który zdecydował się objąć stanowisko lekarza okrętowego ze względu na możliwości dokonywania odkryć w dziedzinie filozofii naturalnej - co stanowiło jego drugą największą pasję, zaraz po dążeniach do obalenia Bonapartego - był on również jednym z najcenniejszych agentów admiralicji. Diana natomiast widziała, jak tuż przed ucieczką z Bostonu Stephen zbiera dokumenty z zajmowanych przez nią oraz Johnsona pokojów, wyjaśniając, iż z pewnością zainteresują one pewnego oficera wywiadu, którego przypadkowo poznał w Halifaksie. Stephen był tego doskonale świadom, ale ów pielęgnowany od wielu lat, głęboko zakorzeniony zwyczaj utrzymywania całkowitej tajemnicy, któremu zawdzięczał to, że wciąż pozostawał przy życiu, nakazywał mu zachować dyskrecję w każdej sytuacji. Z tego samego powodu udał się okrężną drogą do biura swego korespondenta, zatrzymując się przy witrynach sklepowych, zwłaszcza przy tych, w których odbijała się ulica za jego plecami. Był to podświadomy środek ostrożności, ale z pewnością absolutnie konieczny - mało kto w Halifaksie lepiej od niego zdawał sobie sprawę, że w mieście działa szereg amerykańskich agentów. Wiedział ponadto, że rozwścieczony Johnson, któremu skradł zarówno damę, jak i papiery, nie cofnie się przed niczym, by jak najszybciej nasycić swą żądzą zemsty na nim.

Do biura dotarł jednak bez przeszkód, nieśledzony przez nikogo. Zrobiło mu się lżej na duszy i przekazał swe imię odźwiernemu. Major Beck, oficer piechoty morskiej, pełniący stanowisko szefa placówki wywiadu w Północnej Ameryce, przyjął go od razu. Spotykali się po raz pierwszy, dlatego też Beck przyglądał mu się z żywym zainteresowaniem. Doktor Maturin miał bowiem w ich wydziale świetną reputację jako jeden z nielicznych agentów, którzy służyli całkowicie na ochotnika, a przy tym byli skutecznymi profesjonalistami. Jego mieszane, irlandzkokatalońskie pochodzenie czyniło go w pierwszym rzędzie ekspertem w kwestiach związanych z Katalonią lecz Beck wiedział, iż doktor niedawno odniósł wspaniały sukces, dziesiątkując szeregi francuskich agentów poprzez serię fałszywych informacji, które Amerykanie w dobrej wierze przekazali do Paryża. Sprawa ta dotyczyła jego pola działania, dlatego Beck został z nią formalnie zapoznany. Ale słyszał też i te mniej oficjalne, owiane tajemnicą opowieści

o innych, równie wielkich sukcesach doktora we Francji i Hiszpanii. Na widok chuderlawego, niechlujnego, niewyróżniającego się niczym mężczyzny, który usiadł po drugiej stronie biurka i jał powoli odwijać paczkę z płótna żaglowego, poczuł więc całkiem irracjonalne rozczarowanie. Wbrew zdrowemu rozsądkowi Beck spodziewał się ujrzeć człowieka, który bardziej przypomina bohatera, a już z pewnością nie kogoś, kto nosi niebieskie okulary do ochrony przed słońcem.

Spostrzeżenia Stephena były również mało korzystne. Zauważył, że Beck był człowiekiem osobliwie nieszczęśliwym, z wodnistymi, wylupiatymi oczyma i rzadkimi włosami koloru piasku, pozbawionym podbródka, ale za to z wydatnym jabłkiem Adama. Jego czoło znamionowało pewną inteligencję, ale mimo tego Beck sprawiał wrażenie człowieka, który do niczego się nie nadaje.

„Czyżbyśmy wszyscy byli tacy szkaradni i zdeformowani?” - pomyślał, wspominając innych swoich kolegów.

Przez moment rozmawiali o zwycięstwie HMS „Shannon. Beck mówił z entuzjazmem, który wywołał rumieniec na jego niezdrowo wyglądającej, pożółkłej cerze, lecz Stephen stanowczo utrzymywał, iż nie zna żadnych szczegółów bitwy. Przebywał bowiem pod pokładem od pierwszego do ostatniego wystrzału z działa, nie wiedział w związku z tym nic o przebiegu starcia, nie mógł również wypowiedzieć się na temat liczby brytyjskich dezertersów, służących na jednostce amerykańskiej, ani też sposobów, w jaki ich tam zwabiono. Beck wyglądał na rozczarowanego.

- Otrzymałem pana ostrzeżenie przed Francuzami w Bostonie - rzekł

Stephen, zmagając się z węzłem. - Bardzo panu za to dziękuję. Dzięki pańskim słowom mogłem przygotować swój umysł na spotkanie z nimi.

- Mam nadzieję, że nie spotkały pana jakieś przykrości? Mawia się, że Durand to oficer zacięty i całkowicie pozbawiony skrupułów.

- PontetCanet okazał się znacznie gorszy. Był wścibski i nader kłopotliwy, przysporzył mi przez moment niezłych kłopotów, ale założyłem stoper na te jego wybryki. - Doktor Maturin był niezwykle dumny ze swych żeglarskich wyrażań. Nierzadko je mylił, ale za każdym razem, gdy postanowił

któreś z nich przytoczyć, czynił to zawsze z lekką nutką satysfakcji w głosie, zupełnie jak ktoś, kto wtrąca do rozmowy dobrze dobrane cytaty z greki bądź

łaciny. - Przeciąłem mu linię wiatru. Ma pan może jakiś nóż? Ten sznurek i tak się już na nic nie przyda.

- Jak pan tego dokonał? - spytał Beck, podając mu nożyczki.

- Poderżnąłem mu gardło - rzekł Stephen, przecinając sznurek. Major Beck był przyzwyczajony do odbierania życia zarówno w otwartej bitwie, jak i z zasadki, ale beznamiętny ton głosu gościa wywołał chłód w sercu, tym bardziej, że Maturin zdjął akurat okulary i spojrzał na majora bladymi, chłodnymi oczyma, stanowiącymi jego jedyny znak szczególny. - A zatem, drogi panie - powiedział doktor, uwolniwszy już dokumenty - nie wątpię, iż jest pan zaznajomiony z rolą, jaką odgrywa pan Harry Johnson w wywiadzie amerykańskim?

- Och tak, rzecz jasna. - Beck nie mógł nie wiedzieć o działaniach swego głównego przeciwnika w Kanadzie. Od dnia objęcia stanowiska w Halifaksie zmagał się przecież z dobrze zorganizowaną i zaopatrywaną siatką agentów Johnsona.

- Dobrze więc. Oto dokumenty, które zabrałem z jego biura oraz z jego sejfu. Francuzi byli w trakcie zapoznawania się z nimi, gdy położyłem kres ich machinacjom. - Z tymi słowami ułożył dokumenty jeden obok drugiego na biurku majora. Była wśród nich lista amerykańskich agentów w Kanadzie i Indiach Zachodnich wraz z komentarzami, szyfry do wykorzystania w RÓŻNYCH sytuacjach, listy do sekretarza stanu ze szczegółowymi raportami na temat minionych i obecnych stosunków między

służbami wywiadowczymi Francji oraz Stanów Zjednoczonych, notatki na temat osobowości, umiejętności oraz intencji francuskich kolegów po fachu, projekty przyszłych operacji oraz wyczerpujący opis sytuacji Brytyjczyków wokół Wielkich Jezior.

Major spodziewał się, że w osobie doktora ujrzy wielkiego bohatera, lecz, widząc wszystkie dokumenty wyłożone na stół, uświadomił sobie, że to, co zobaczył, przeszło jego najśmielsze oczekiwania. Z największym szacunkiem, niemal nabożeństwem przejrzał stos papierów, po czym oznajmił:

- To największy wyczyn... największy wyczyn, o jakim kiedykolwiek słyszałem! Cóż za perfekcyjnie zadany cios, dobry Boże! Starczy choćby pierwsza lista nazwisk, by pluton egzekucyjny miał roboty po uszy przez długie tygodnie. Muszę teraz to wszystko spokojnie przetrwać. Długo będę miał co czytać w łóżku.

- Proszę wybaczyć, sir, ale tych tu dokumentów zostawić panu nie mogę.

Jak najszybciej muszą się znaleźć w rękach sir Josepha oraz jego kryptografów -

rzekł Stephen, a major uklonił się, słysząc nazwisko szefa wywiadu marynarki. -

Sugeruję więc przesłanie większej części dokumentów do Londynu pierwszym okrętem, jaki się natrafi. Możemy wykonać kopie, jak najbardziej, choć to rodzi pewne problemy, jak sam pan zapewne dobrze wie. Zanim jednak przejdziemy do kwestii skopiowania tych dokumentów lub temu podobnych, chciałbym przedstawić panu pewien wniosek i poprzeć go prośbą. Czy kiedykolwiek słyszał pan o pani Villiers?

- O Dianie Villiers, damie Johnsona, Angielcerenegatce?

- Nie, drogi panie - powiedział Stephen, wbijając w majora zimne spojrzenie. - Nie, drogi panie. Pani Villiers nie była damą Johnsona, przyjęła jedynie jego protekcję w obcym sobie kraju. Nie ma też absolutnie żadnego powodu, by uważać ją za renegatkę. Johnson podjął próbę zwerbowania jej do wzięcia udziału w wojnie przeciwko jej własnej ojczyźnie, lecz pani Villiers ostro zaprotestowała i nie zgodziła się. Co więcej, tylko dzięki niej wszedłem w posiadanie tych tu dokumentów. Pochopne wyrażanie się na jej temat sprawia mi niewymowną przykrość.

- Oczywiście, doktorze - rzekł Beck po chwili wahania. - Tym niemniej muszę nadmienić z zastrzeżeniem, nie chcąc w żaden sposób narazić na szwank czci tej damy, że najprawdopodobniej wypełniła pewne dokumenty celem uzyskania obywatelstwa amerykańskiego.

- Była to doprawdy bezmyślna, niefortunna decyzja. Pani Villiers wyszła z założenia, iż jest to jedynie błaha formalność, która nie będzie miała żadnego wpływu na jej prawdziwą lojalność wobec ojczyzny. Dano jej bowiem do zrozumienia, że przyjęcie obywatelstwa amerykańskie UŁATWI panu Johnsonowi doprowadzenie do końca SPRAWY rozwodowej. - Mówiący te słowa Stephen odNIÓSŁ wrażenie, iż dostrzega w spojrzeniu majora coś na KSZTAŁT zrozumienia, a może pobłażania. Zmarszczył więc brwi i kontynuował chłodniejszym tonem: - Skoro jednak PANI VILLIERS

teoretycznie jest teraz naszym wrogiem, chciałBYM zaproponować...

Chciałbym przedłożyć wniosek O wystawienie dla niej zwyczajowego zaświadczenia, takieGO JAK dla każdego naszego rodaka. Muszę także nadmienić, ŻE pani Villiers wie bardzo niewiele lub zgoła nic O MOICH

powiązaniach z departamentem. To ja przywiodŁEM JĄ do Halifaksu i dlatego nie życzę sobie, by ją prześladowano lub w jakikolwiek sposób zakłócano jej spokój.

- Naturalnie, doktorze - rzekł major Beck i uderzył w dzwonek. - Cieszę się, że powiedział mi pan o tym wszystkim. Archbold bez wątpienia zakułby ją w kajdany jeszcze przed północą. Mieliśmy już do czynienia z całym tłumem kobiet, aczkolwiek przyznaję, że dama, o którą się tu rozchodzi, przynależy do całkiem innej kategorii. - Do pokoju wszedł asystent majora Becka, człowiek równie szpetny jak on sam. W jego wypadku owo trudne do zdefiniowana wrażenie ukrytej deformacji było jeszcze wyraźniejsze, lecz z drugiej strony wydawał się o wiele mniej inteligentny od Becka. - Panie Archbold - oznajmił

major. - Proszę wystawić zaświadczenie X na nazwisko pani Villiers, jeśli łaska.

- Dokument został dostarczony po chwili. Beck przystawił urzędowy stempel i dodał swój podpis, po czym przekazał go Maturinowi, mówiąc: - Muszę jednak nadmienić, że zaświadczenie to jest ważne tylko w rejonie znajdującym się pod moją jurysdykcją. Jeśli owa dama zechce powrócić do Anglii, mogą wyniknąć bardzo poważne trudności. - Stephen mógł bez trudu zbić jego argumentyWystarczyłoby powiedzieć, iż miał zamiar usunąć owe trudności, żeniąc się z Dianą co na powrót uczyniłoby ją brytyjską poddaną ale wolał

zachować to dla siebie. Tak czy owak był już bardzo, ale to bardzo zmęczony.

Trudy ucieczki z Bostonu, a potem niemalże niekończąca się harówka w szpitalikach obu okrętów do cna go wyczerpały. Nie odpowiedział więc ani słowem. - Miał pan chyba jeszcze jakąś prośbę? - spytał Beck po chwili.

- To prawda. Chciałem pana poprosić o upoważnienie płatnika, by spieniężył weksel, wystawiony przez mój londyński bank. Pieniądze są mi niezwykle potrzebne.

- Och, a więc to chodzi o pieniądze? - zawołał major Beck. - Błagam pana, proszę nie zawracać głowy płatnikowi! Podarujmy sobie te jego siedem i pół pensa oraz całą papierkową robotę. Mam do swej dyspozycji pewne fundusze, które z pewnością rozwiążą wszelkie pana problemy. Ich przeznaczeniem jest opłacenie kosztów zdobycia informacji, a za każdy z tych dokumentów bez najmniejszego zawahania...

- Jest pan niezwykle uprzejmy, sir - rzekł Stephen. - Muszę jednakże pana poinformować, że od samego początku mojej współpracy z wydziałem nie przyjąłem nawet złamanego grosza tytułem wynagrodzenia za mą działalność.

Nie. Starczy mi jedynie krótka nota do płatnika, jeśli byłby pan na tyle uprzejmy. Być może również

udałoby się panu przydzielić mi kilku dyskretnych i krzepkich młodych ludzi. Granica nie jest daleko, a dopóki nie upora się pan z agentami na liście Johnsona, wolałbym nie chodzić samopas po Halifaxie. - I do biura płatnika Stephen udał się już pod eskortą trzech dyskretnych mężczyzn.

Pierwszy z nich, mierzący sobie prawie dwa metry, szedł z przodu, drugi trzymał się z tyłu, a trzeci w pobliżu. Załatwienie transakcji w biurze zajęło mu raptem chwilkę, a gdy wyszedł na zewnątrz, jego kieszeń była pokaźnie wypchana. Przystanął i na moment

OGRAŻYŁ się w rozmyślaniach, po czym ruszył w dół ulicy NADAL w towarzystwie swego ochroniarza. Ledwie jedNAK ZROBIŁ kilka niepewnych kroków, zatrzymał się na ROGU ULICY. - No to jestem w kropce - powiedział.

SŁUCHAM pana? - spytał ochroniarz.

Jestem w kropce. Nie mam pojęcia, gdzie zostałem zakwaterowany.

Ulica była niemal pusta, gdyż wszyscy ci, którzy mogli UWOLNIĆ SIĘ od zajęć, udali się do portu, by podziwiać „SHANNON” oraz „Chesapeake”.

Dwaj pozostali mężczyźNI dokładali wszelkich starań, by pomimo powstaŁEJ

pustki wciąż nie rzucić się w oczy - włączyli się to TU, to tam, trzymając z dala od siebie, lecz po chwili dostrzegli dawane przez kolegę znaki i dołączyli do niego NA ROGU.

- Ów pan jest w kropce - rzekł tamten. - Nie wie, gdzie się zatrzymał.

Wszyscy spojrzeli na Stephena.

- Czyżby zapomniał nazwy hotelu? - spytał jeden z ochroniarzy.

Pierwszy z nich pochylił się i szepnął doktorowi do UCHA:

- Pamięta pan nazwę hotelu, sir?

Wciąż zamysłony Stephen potarł zarośnięty podbródek, próbując przewyciężyć znużenie umysłu.

- Pewnie mieszka w hotelu „Bailey's” - rzekł inny ochroniarz. - To tam zazwyczaj zatrzymują się wszyscy lekarze.

Czy to w hotelu „Bailey's” dostał pan kwatere, sir?

Ponownie nachylił się doń pierwszy z ludzi Becka.

- A może w „White's”? Albo w karczmie „Brown's”

„Tlle Goat an<1 Compasses”? - odezwał się trzeci, mówiąc nie tyle do Stephena, co do swych

towarzyszy.

Mam! - wykrzyknął nagle Maturin. - Mam rozwiązanie. Zaprowadźcie mnie, proszę, do miejsca, gdzie oficerowie odbierają pocztę.

- Musimy się zatem pospieszyć - rzekł pierwszy z ochroniarzy. - Ba, trzeba będzie nawet biec, bo zaraz nam zamkną! - Chwilę później, po przebiegnięciu kilkuset metrów, odezwał się, ciężko dysząc: - O, tego się właśnie obawiałem. Zaciągnęli już żaluzje.

Żaluzje w istocie były zaciągnięte, lecz drzwi nadal były uchylone.

Tubalny, żeglarski głos znajdującego się w środku kapitana Aubreya niósłby się jednak daleko po ulicy, nawet gdyby zatrzaśnięto je na głucho.

- Co, u ciężkiej cholery, ma znaczyć to twoje „po godzinach”, ty nikczemny próżniaku! - wrzeszczał Jack.

- Na Boga... - Stephen otworzył drzwi. Ryk Aubreya natychmiast stał się jeszcze donośniejszy, a Maturin ujrzał, że trzyma młodego urzędnika za poły koszuli i potrząsa nim z całej siły: - Ty przeklęty sk...! - wrzeszczał. Nagle koszula urzędnika pękła, a Jack odwrócił się w stronę Stephena: - Twierdzi, że jest już po godzinach!

- krzyknął.

- Tu nie chodzi tylko o to! - Urzędnik również odwrócił się ku Stephenowi, uznając go za swego wybawcę. - Pan Gittings ma klucze! W

przegródkach nic nie ma, a ja nie jestem w stanie otworzyć sejfu bez kluczy! To przecież logiczne! - Wytarł łzy w rękaw i dodał: - Zresztą w sejfie i tak nie ma nic dla kapitana Aubreya, mógłbym dać słowo honoru, choć zawsze jestem gotów obsłużyć każdego dżentelmena, który nas uprzejmie traktuje.

Stephen przyjrzał się sejnowi. Była to staroświecka konstrukcja ze zwyczajnym zamkiem zaopatrzonym w zapadkę, który najprawdopodobniej poddałby mu się w ciągu ledwie paru minut, lecz nie było to odpowiednie miejsce ani też pora do demonstrowania własnych talentów.

- Cieszę się, że pana odnalazłem, kapitanie Aubrey - rzekł Całkiem uciekła mi bowiem nazwa hotelu tudzież zajazdu, w którym się zatrzymujemy na noc, a jestem śmiertelnie zmęczony. Oddałbym wszystko, co posiadam, za możliwość wskoczenia do łóżka.

- W istocie, wyglądasz na wykończonego - rzekł Jack, puszczając poły koszuli urzędnika. - Jesteś całkiem skonany. Nocujemy w hotelu „Goat”.

Natychmiast cię tam zaprowadzę. A ty słuchaj no, młody panie! - ryknął w stronę urzędnika w ostatnim wybuchu wściekłości - Będę pierwszą osobą, która się tu zjawi z rana, zrozumiano? - Na ulicy Stephen podziękował eskortie i odesłał ją z pozdrowieniami dla majora Becka. Dalej poszedł już w towarzystwie Jacka. - Cóż za cholerne, pechowe popołudnie - opowiadał

Aubrey. - Co krok spotykają mnie rozczarowania... Zaiste, powitanie godne herosów. Miasto jest pełne żołnierzy, ale udało mi się zdobyć jeden pokój dla nas dwóch.

- Kiepska sprawa - stwierdził Stephen, który wcześniej dość często dzielił

kabinę z kapitanem Aubreyem i wiedział, że w chrapaniu niewielu może mu dorównać.

- Potem udałem się na wzgórze, by zameldować się komisarzowi, ale go nie zastałem. Pogawędziłem natomiast z oczekującymi go petentami, powymienialiśmy się plotkami i w ten oto sposób dowiedziałem się kilku cholernie nieprzyjemnych rzeczy. Hartę powrócił do Rady Admiralicji, a temu całemu Wrayowi przydzielono stanowisko drugiego sekretarza.

- Matko Boska - szepnął Stephen do siebie. Przed poznaniem Sophie Jack prowadził bardzo aktywne życie towarzyskie, a stacjonując na Minorce, niejednokrotnie przyprawił rogi admirałowi Hartę. Rogacze zaś zwykli robić użytek ze swych ostrych rogów nawet wiele lat po tym, jak im je przyprawiono.

Jeśli zaś chodziło o pana

Wraya, Jack swego czasu oskarżył go publicznie o oszukiwanie podczas gry w karty. Słuszność stała po jego stronie, ale Wray już wtedy był wysoko postawioną figurą w kręgach rządowych. I choć nie uznał za stosowne zareagować wówczas na oskarżenie w zwyczajowy sposób, nie należało przypuszczać, że całkiem o tym zapomni.

- Czekałem tak długo, jak to było możliwe, a potem puściłem się biegiem do biura. Pędziłem doprawdy jak szalony, a powiem ci, Stephen, że szybki bieg w moim wieku nie przychodzi już z łatwością. Kiedy jednak wpadłem do biura, w środku oczekiwało mnie kolejne rozczarowanie. Cóż za przekłete popołudnie.

- Hej tam, mężulku! - zawołała nadobna dziwka z uliczki skrytej w półmroku. - Chodź no ze mną a dam ci porządnego buziaka!

Jack uśmiechnął się i pokręcił głową ale nie zwolnił.

- Zauważyłeś, że nazwała mnie mężem? - powiedział po kilku krokach. -

Często tak robią. Przypuszczam, że małżeństwo jest naturalnym stanem dla człowieka i dziwkom ich praca wydaje się mniej... mniej niemoralna.

Słowo „małżeństwo” przypomniało Stephenowi, że miał wziąć ów niezbędny dokument wystawiony przez Becka i zanieść go księdzu, a potem ustalić szczegóły ślubu z Dianą lecz w tym stanie ledwie mógł iść. Niekończący się kryzys wreszcie minął i zmęczenie, które gromadziło się przez ostatnie dni, wzbierało teraz niczym wszechogarniająca mgła. W jego umyśle przetrwała jedynie ochota do zaprzeczania.

- Wcale nie - rzekł. - Wręcz przeciwnie. Jeden z wielkich mężów z przeszłości stwierdził, że życie w stanie małżeństwa jest czymś tak nienaturalnym dla MEŻCZYŻNY i kobiety, iż wszystkie powody, dla

których powinni oni pozostawać w owym związku, oraz wszystkie ograniczenia narzucane przez cywilizowane społeczeństwa - \EM

UNIEMOŻLIWIENIA separacji, ledwie wystarczają, by

UTRZYMAĆ ich w parze.

- Słuchaj! - rzekł Jack, zatrzymując się nagle. W dole ulicy, w porcie orkiestra rozpoczęła wygrywać HEART OF OAK, a setki ludzi dołączyły do pieśni lub zaczęły głośno wiwatować. Nad dachami widać było kłęby dymu oraz blask pochodni, aż nagle ich oczom ukazały się same płomienie na odległym końcu ulicy. Była to nieoficjalna procesja, złożona z podskakujących, cieszących się marynarzy oraz cywilów. Z obu stron dołączali do niej wciąż nowi ludzie, a wśród nich owa nadobna dziwka. Na twarzy Aubreya dało się dostrzec powracający dobry humor. - To już mi się bardziej podoba - rzekł. -

Tak powinno wyglądać przywitanie bohaterów. Na Boga, Stephen, mniejsza o te wszystkie drobne nieprzyjemności, jestem taki szczęśliwy. Jutro zaś, gdy otrzymam już listy Sophie, moje szczęście nie będzie miało granic. Posłuchaj, tam zaczyna grać kolejna orkiestra.

- Mam tylko nadzieję, że obie orkiestry będą witać swoich bohaterów w przyzwoitej odległości od naszego hotelu - powiedział Stephen. - Liczę na to, że pograją sobie minimum jakieś dwieście metrów od gospody. Choć z drugiej strony, Bóg mi świadkiem, przespałbym i osiem orkiestr grających na samym korytarzu.

Nie wiadomo, czy jakaś orkiestra grała na korytarzu gospody, ale niewykluczone, że któraś z nich przedelfowała pod jej oknami, gdyż załoga

„Shannon” świętowała zwycięstwo równie żywiołowo, jak je wywalczyła, a Halifax drżał od odgłosów zabawy aż po świt... a nawet dłużej. Doktor Maturin spał jednak jak zabity aż do chwili, gdy promienie słoneczne przedarły się przez zasłanki wokół łóżka i zaczęły go drażnić, póki się całkiem nie rozbudził. Ciało miał wypoczęte i w pełni sprawne, umysł zaś świeży i spokojny. Przez moment chciał zasłonić oczy przed słońcem i leżeć bez ruchu, oddając się rozmyśleniom, a być może zapadając nawet w kolejną drzemkę, lecz nagle usłyszał coś, jakby udawany kaszel, który miał na celu nie tyle go obudzić, co raczej uświadomić mu swoją obecność.

Stephen odsunął zasłonkę i napotkał wzrok Jacka, w którym odkrył

zaskakujący smutek. Stojący przy oknie przyjaciel wydawał się niezwykle wysoki, wyższy niż zazwyczaj. Zauważył też, że zrzucił swój temblak, a zwisające przy boku ramię zmieniło proporcje ciała. Jack uśmiechnął się na jego widok.

- Dzień dobry, Stephen - rzekł. - Mam dla ciebie kilka listów.

Maturin zastanowił się przez moment. Jack wyglądał na smutnego, a jednym z powodów takiego stanu rzeczy z pewnością była szeroka, czarna opaska, którą nosił na ramieniu. Wątpił jednak, by była to jedyna przyczyna.

- Która godzina? - spytał.

- Właśnie minęło południe, a ja muszę już iść - powiedział Jack i przekazał mu stosik listów.

- Bez wątpienia jesteś na nogach już od dłuższego czasu - stwierdził

Stephen, przyglądając się kopertom bez większego zainteresowania.

- Tak. Wszedłem do tego cholernego biura zaraz po otwarciu. Kierownika oczywiście nie było, ale mimo tego przetrząsałem wszystko od góry do dołu.

Nie masz pojęcia, jaki bajzel tam mają. Niestety, nie znalazłem niczego adresowanego do mnie.

- Kilka przesyłek zostało przejętych przez Amerykanów lub utraconych na morzu, bracie.

- Wiem, wiem - rzekł Jack. - Lecz mimo tego... Potem zgłosiłem się do komisarza. Był bardzo uprzejmy i ujmujący, przekazał mi dobre wieści na temat Broke'a...

PONOĆ PRZEZ godzinę utrzymał się w pozycji siedzącej, mówi ■ Z

SENSEM I być może będzie w stanie samodzielnie napiSAĆ meldunek.

Zaprosił mnie również na obiad po pogrzeBIE ALE miałem wrażenie, że zachowuje się odrobinę nieswoO PRZEZ jakiś czas wykręcał się od odpowiedzi i próbował ZMIENIAĆ TEMAT, ale w końcu prawda wyszła na jaw. Mam SIE

UDAĆ do kraju, ale nie dostanę „Acasty”. Zbyt długo nie BYŁO mnie w Anglii.

Okręt przypadł Robertowi Kerrowi.

„ACASTA” była szczególnie udaną fregatą, uzbrojoną W

CZTERDZIEŚCI cztery działa, jedną z nielicznych, która doRÓWNYWAŁA ciężkim fregatom amerykańskim i Stephen DOBRZE WIEDZIAŁ, że Jack marzył o dowodzeniu taką jedNOSTKĄ NA tych wodach. Przez moment szukał

w głowie słów, które mogłyby załagodzić ów cios, ale nie wpadł na ŻADEN

pomysł, jak pocieszyć przyjaciela.

- Jest mi bardzo przykro - rzekł w końcu. - Lecz nie zapominaj o swoim ramieniu. Słuchaj, jeśli odczuwasz w nim choć najmniejszy ból lub pulsowanie, natychmiast załóż na temblak. - Stephen wyprostował się i otworzył usta, po czym ściągnął szlafmycę. - Czy ty wspomniałeś coś o jakimś pogrzebie?

- Tak, w rzeczy samej. Chyba się jeszcze nie dobudziłeś. Chowamy dziś nieszczęsnego Lawrence'a z „Chesapeake”.

- Chyba powinienem też pójść na pogrzeb? Lada moment będę gotów.

Bardzo chciałbym okazać mu szacunek, o ile będzie to stosowne.

Nie. Zwyczaj nakazuje, by na pogrzeb stawili się tylko oficerowie tej samej rangi, z wyjątkiem tych, których wyznaczono do uczestnictwa oraz jego własnych oficerów. Stephen, muszę już iść. Powiedz mi tylko, czy zdobyłeś jakieś pieniądze? Nie będę miał czasu między pogrzebem a obiadem, a chciałbym jak najszybciej wypełnić wszystkie obowiązki.

- Mam je w kieszeni płaszcza. Wisi za kredensem.

Jack wyciągnął zwitek banknotów, wyjął zeń tyle, ile było mu potrzebne, i zawołał:

- Dzięki, Stephen!

Następnie przypiął szpadę i zbiegł po schodach.

Wszyscy kapitanowie mianowani w Halifaksie zgromadzili się na nadbrzeżu amunicyjnym tego portu. Jack znał większość z nich, lecz przed wybiciem godziny zdążył się przywitać jedynie z kilkoma. Trumna pojawiła się na nadbrzeżu punktualnie co do minuty. Wieziono ją w eskorcie piechoty morskiej, a za nią uformował się kondukt żałobny, składający się z nielicznych oficerów amerykańskich, którzy byli w stanie utrzymać się na nogach, żołnierzy, idących dwójkami kapitanów, generałów oraz samego admirała.

Maszerowali przy akompaniamencie przytłumionego werbla, a na przemierzanych ulicach cichły radosne wiwaty i zapadała cisza. Jack brał udział

w wielu takich procesjach - zwłaszcza w tych, w których oprócz jakiegoś krewnego bądź kuzyna szli marynarze, najbliżsi przyjaciele oraz oficerowie i midszypmeni - lecz nigdy dotąd nie odczuwał takiego żalu w sercu po śmierci wrogiego dowódcy jak teraz. Lawrence, który poprowadził swój okręt do bitwy i walczył zaciekle do końca, przypadł mu bardzo do serca. Ponury werbel oraz równe kroki maszerujących sprawiły, że wszystkie dotychczasowe rozczarowania tego poranka uleciały z jego pamięci. Dokładnie przeprowadzona ceremonia, rytualne słowa kapelana oraz cichy stukot sypanych na trumnę grudek ziemi obudziły w nim śmiertelną powagę. Salwa piechoty morskiej, ostatni salut oddany zmarłemu, wyrwała go z zadumy, ale utrzymała podniosłość chwili. Śmierć stanowiła istotny element jego powołania, lecz nie mógł wyrzucić z umysłu wspomnienia kapitana Lawrence'a, stojącego na pokŁADZIE rufowym tuż przed pierwszą niszczącą salwą burTOWĄ tak więc pierwsze oznaki powracającej wesołości WŚRÓD towarzyszy pogrzebu wydały mu się bardzo irytujące. Bynajmniej nie udawali swego respektu dla zmarłEGO

A PRZYBIERAJĄC oficjalną postawę, nie okazywali też DWULICOWOŚCI, choć przecież okazywali szacunek komuś NIEZNANEMU, nawet jeśli BYŁ to odważny i zdolny dowódca. Oddawali cześć nie konkretnej osobie, lecz abstrakcyjnemu przeciwnikowi i dzielnej walce, jaką stoczył.

Znał go pan, jak przypuszczam? - spytał jego sąsiad, Hyde Parker z

„Tenedos”.

- Tak - powiedział Jack. - Odwiedził mnie w Bostonie. Zdobywając

„Peacocka”, wziął do niewoli jednego z moich byłych oficerów, lecz okazał mu wiele uprzejmości. Ten człowiek dowodził wówczas „Hornetem”, wie pan. Był

to nader dzielny, rycerski mąż. Doprawdy trudno by mu coś zarzucić.

- Otóż to - rzekł Hyde Parker. - W tym tkwi cały sęk. Nie da się jednak zrobić omletu bez rozbijania jaj, sam pan wie. Nie da rady osiągnąć znaczącego zwycięstwa bez utoczenia krwi sobie i przeciwnikowi. To zaś było naprawdę wielkie zwycięstwo, na Boga! Nie wiem, czy kiedykolwiek byłem szczęśliwszy niż w chwili, gdy ujrzałem „Shannon”, wprowadzającą swój przyz do portu. Z

pewnością nigdy w życiu nie wiwatowałem tak długo i tak głośno. Zachryłem jak stara sroka!

Atmosfera ogólnej euforii, która przepełniała całą bazę morską, była jeszcze bardziej zauważalna na wspaniałym obiedzie u komisarza i po zakończeniu posiłku, gdy zdjęto już obrus, Jack dał się jej ostatecznie ponieść.

Zebrani na obiedzie żeglarze poprosili go bowiem, by opowiedział przebieg owej pamiętnej bitwy. Jack nie pominął żadnego szczegółu - opisał ustawienie każdego żagla, każdy kawałek zerwanego takielunku i każdy manewr obu fregat, pomagając sobie dwoma modelami przyniesionymi ze stoczni, a zebrani słuchali zachwyceni.

Atmosfera wyraźnie udzieliła się admirałowi. Rozradowany, rześki Colpoys pogwizdywał, wchodząc po schodach, a uśmiechnięta, rozgadana pani domu wydawała się niezwykle zadowolona z życia, nawet pomimo rozterek związanych z organizowaniem wielkiego balu, który miał się odbyć już niebawem. Panująca wszędzie pogoda ducha zaraziła również Dianę - mało kto kochał bale tak jak ona - tak więc powitała Stephen z uczuciem i ucałowała go w oba policzki.

- Ogromnie się cieszę, że przyszedłeś - powiedziała. - Mogę ci teraz wręczyć zaproszenie, miast je wysyłać. Od śniadania pomagam lady Harriet w ich wypisywaniu. Postanowiła zaprosić chyba z połowę kadry oficerskiej marynarki i niezliczoną ilość oficerów armii.

- Moje zaproszenie? - spytał Stephen, unosząc kopertę z dala od siebie i przyglądając jej się z podejrzliwością.

- Zaproszenie na bal, mój drogi. Wiesz chyba, o który bal chodzi, prawda?

O to ogromne przyjęcie, na którym ludzie tańczą. Umiesz chyba tańczyć, Stephen, prawda?

- Tylko po swojemu. Ostatni raz tańczyłem jeszcze przed wybuchem wojny, w Melbury Lodge. Byłaś wtedy na tyle uprzejma, by stanąć u mego boku i razem jakoś przebrnęliśmy przez menueta bez przynoszenia sobie wstydu.

Mam nadzieję, że i tym razem okażesz podobną uprzejmość.

- Przykro mi, Stephen, ale nie pójdę na ten bal. Nie mam co na siebie włożyć. Będę jednak przyglądać się mu z galerii, a ty od czasu do czasu przyniesiesz mi lody i razem będziemy obgadywać tancerzy.

- Czyżbyś nie wrzuciła jakichś ubrań do tego niewielkiego kuferka?

Och, nie miałam czasu na dokonanie wyboru, poza tym nie miałam wówczas do tego głowy. Wrzuciłam tam diamenty, a oprócz tego trochę pończoch i bielizny na zmianę, brałam, co mi wpadło w rękę. Skąd przecież miałam wiedzieć, że zostanę zaproszona na bal!

- W Halifaksie też są krawcy, Diano.

Krawcy z Halifaksu! - roześmiała się Diana. Słyszał jej śmiech po raz pierwszy od chwili spotkania w Ameryce, co osobliwie ujęło go za serce. -

Dajże spokój. Jeśli chodzi o modę, Halifax to pustynia. Swą jedyną nadzieję pokładałam w czymś innym. Lady Harriet zna pewną sprytną Francuzkę, która przemycza odzież z Paryża. Przywiozła dzisiaj całe mnóstwo ubrań, a wśród nich znalazłyśmy błękitną suknię, która nam obu przypadła do gustu. Lady Harriet oczywiście nie może jej na siebie włożyć - suknia ma rękawy potąd i jest dość skąpa z przodu i z tyłu. Lady Harriet sama powiedziała, że wyglądałaby w niej jak pomnik. Wybrała dla siebie muślinową kieckę w kolorze merde d'oie*, lecz ta przynajmniej okrywa jej ciało. Właśnie ją poszerzają. Powinnam była kupić tę błękitną, ale ta Francuzka zażądała za nią fortuny, a mi zostało ledwie parę centów, które ze sobą przywiozłam. Wiesz, mój drogi, że wczoraj wieczorem udało mi się sprawnie zacerować parę pończoch? Gdybyśmy znajdowali się w Londynie albo Filadelfii, sprzedałabym kilka pereł. Ale tutaj? Próżne nadzieje.

Halifax stoi tombakiem i filigranem. Jedną z niewielu rzeczy, na której naprawdę dobrze się znam, jest biżuteria, a próba sprzedania tutaj czegokolwiek byłaby aktem skończonej głupoty. Perły Nawab w Halifaksie! Możesz sobie w ogóle coś takiego wyobrazić?

* MERDE D OIE (fr.) - „gęsie łajno”, tu kolor: brązowozielony.

Każda inna kobieta nadałaby tym słowom brzmienie łagodnej prośby, raczej unikając szorstkich słów. Diana jednakże była całkowicie inna. Od początku ich znajomości zawsze mówiła do niego wprost, bez ogródek, unikając jakiegokolwiek owijania w bawełnę, zupełnie jakby byli ludźmi tego samego rodzaju lub nawet sprzymierzeńcami we wspólnej sprawie. Na jej twarzy odbiło się jednak autentyczne zdziwienie, gdy powiedział:

- Ależ mamy pieniądze. Wycofałem moje fundusze z londyńskiego konta i koniecznie musisz kupić tę suknię. Bezwłocznie po nią poślijmy.

Madame Chose przyniosła suknię w chwilę później. Oboje zdecydowali się na zakup i Francuzka odeszła wraz ze swą wygórowaną sumką. Diana przyłożyła suknię do ciała i zapatrzyła się w swoje odbicie w lustrze zawieszonym nad kominkiem. Wciąż nie odzyskała jeszcze pełni urody, lecz szczerzy zachwyt z powodu dokonanego zakupu, niemal nieskażony długimi latami życia w ogromnym bogactwie, dodał jej blasku. Po chwili dziewczyna zmrużyła lekko oczy i zmarszczyła brwi.

- Góra prezentuje się dość mizernie - powiedziała, kiwając głową w kierunku lustra. - Trzeba ją z czymś zestawić. Sądzę, że najlepsze byłyby perły.

Ale cóż, założę moje brylanty.

Stephen spuścił wzrok. Naszyjnik brylantów z oszłamiającym, jasnoniebieskim kamieniem w środku został jej podarowany przez Johnsona na początku ich znajomości. Diana zdołała jakoś wymazać z pamięci okoliczności, w jakich go zdobyła, ale Stephen wciąż je dobrze pamiętał. Ból, który odczuwał

teraz w sercu, nie miał jednak nic wspólnego z przenikliwym ukłuciem zazdrości, był to raczej żal, który obudziły w nim nieprzemyślane, głupie słowa Diany. Zawsze dotychczas wychodził z założenia, że niezależnie od tego, gdzie się znalazła i co robi, Diana zawsze ZACHOWUJE się taktownie i nigdy nie wygłosi obraźliwego STWIERDZENIA, chyba że taki będzie jej zamiar. Być MOŻE POPEŁNIŁ BŁĄD, a być może długi pobyt w Ameryce, TOWARZYSTWO bogatych, rozwiązłych przyjaciół Johnsona ORAZ JEJ

własna udręka sprawiły, iż stała się bardziej szorstKA NIEWYKLUCZONE, że ślady kolonialnego akcentu oraz ZAMIŁOWANIE DO burbona oraz tytoniu nie były jedynymi RZECZAMI, które wyniosła z emigracji - być może nauczyŁA się tam SZUKAĆ azylu w grubiańskim zachowaniu.

„Z drugiej jednak strony - pomyślał - Johnson z pewnością odebrał jej naszyjnik, przez co Diana, która odzyskała go w dramatycznych okolicznościach, a następnie zdołała z nim uciec, mogła tym samym rościć sobie do niego osobiste prawa, podobnie jak pirat z czystym sumieniem przywłaszcza sobie dobra drugiego, nie dbając o ich pochodzenie”. Uniósł więc wzrok i rzekł:

- Nie będą aby wyglądać nazbyt zbytkownie na tym, bądźmy szczerzy, prowincjonalnym przyjęciu?

- Skądże znowu - odparła. - Jest tu kilka dam, które znają się na modzie.

Wielu oficerów armii zabrało tutaj swoje żony. Rozpoznałam przynajmniej pół

tuzina nazwisk podczas adresowania zaproszeń. Kilku oficerów marynarki również tak postąpiło. Na balu zjawia się pani Wodehouse, Charlotte LevesonGower oraz oczywiście lady Harriet. Nie nazwałabym ją Afrodytą, ale ma naszyjnik ze szmaragdów wielkich jak talerze i uparła się go założyć, a wraz z nim wszystko, co jej biust będzie w stanie udźwignąć. A do najmniejszych nie należy

Po pierwszym rozczarowaniu Stephen nie zwracał już uwagi na kolejne.

Diana z całkowitą pewnością wyznawała się na tych sprawach znacznie lepiej od niego - obracała się przecież w bardzo dobrym lub przynajmniej bardzo modnym świątku Londynu czy Indii. Wsunął rękę do leszeni i wyciągnął kilka papierów - pierwszy z nich nie był tym, którego szukał, ale uśmiechnął się na jego widok i miał go chować, powiedział:

- Dostałem to dziś rano, a co ciekawe, śniłem o Paryżu jeszcze pół

godziny przed otrzymaniem tej przesyłki.

Podał list dziewczynie.

- Proszę cię, byś wygłosił wykład w Institut de France... Boże, Stephen, nie miałam pojęcia, że jesteś tak wybitnym człowiekiem. Chcą, byś mówił o wymarłych gatunkach awifauny na Rodriguez. Co to jest awifauna?

- Ptaki.

- Jaka szkoda, że nie dasz rady tam dotrzeć. Sprawiłoby ci to przecież tyle radości. Pewnie wzięli cię za obywatela kraju neutralnego lub Amerykanina, jak sądzę.

- Być może jednak zdołam tam dotrzeć. Spójrz tylko, datę wykładu ustalono z wyprzedzeniem i jeśli zaokrętuujemy się na jakąś w miarę szybką jednostkę, może uda nam się dotrzeć na czas. To ich drugie zaproszenie, a ostatnim razem bardzo żałowałem, iż nie mogłem na nie odpowiedzieć. Wątpię bowiem, czy kiedykolwiek spotkałem się z zaszczytem, który pochlebiłby mi bardziej. Miałbym w ten sposób okazję spotkać się z najbardziej interesującymi postaciami świata nauki w Europie. Na pewno pojawią się tam Cuvierowie, a mam kilka uwag o antarktycznych skorupiakach, które bez wątpienia zadziwią Frederica.

- Ale jak zdołasz tam dotrzeć? Jak ty chcesz dostać się do Paryża w środku wojny?

- Och, po uzyskaniu odpowiednich zezwoleń i glejłów nie będzie z tym żadnych trudności. Filozofia naturalna ma niewiele wspólnego z tą wojną podobnie zresztą jak z innymi, i wymiany naukowe nie należą do rzadkości. Na przykład Humphry Davy wygłosił w Paryżu wykład na temat chlorku azotu i spotkał się z bardzo ciepłym przyjęciem. Nie o tym jednakże chciałem z tobą porozmawiać.

Stephen wyciągnął drugą kopertę i ułożył na stole tuż przed nią.

- To na szpilki - powiedział z zawstydzeniem.

- Na szpilki, Stephen? - zawołała zaskoczona dziewczyna?

- Zawsze sądziłem, że kobiety potrzebują całkiem sporej sumki na szpilki!

- Stephen! - Diana śmiała się z radością. - Ty się rumienisz. Na mą cześć i honor, czerwienisz się jak burak. Nigdy nawet nie przypuszczałam, że ujrzę twój rumieniec. Nie. To niesłychanie miłe z twojej strony, ale okazałeś mi aż nadto uprzejmości. Zostało mi jeszcze sto dwadzieścia pięć dolarów, aż nadto pieniędzy na szpilki. Zatrzymaj te pieniądze, drogi Stephenie, i obiecuję, że dam ci znać, gdy będę całkiem spłukana.

- Cóż - rzekł Stephen, wyjmując trzeci papier. - Oto specjalne zaświadczenie, które stwierdza, że pomimo twego obywatelstwa wolno ci przebywać na ziemi kanadyjskiej dopóty, dopóki twoja postawa i zachowanie nie zaczną budzić zastrzeżeń.

- Och, moje zachowanie na pewno nie będzie budzić zastrzeżeń! - Diana znów się roześmiała. - Lecz

pomyśl tylko, Stephen, cóż to za nonsens. Przecież ja już jestem na ziemi kanadyjskiej. Zawsze uważałam wszystkie te papiery i dokumenty za kompletną bzdurę, ale nigdy w życiu nie natknęłam się na równie wielki absurd. „Z łaski Jego Królewskiej Mości” - odczytała. - Przecież nasz stary, dobry król nie ma najmniejszego pojęcia, że tu jestem. Och, co za bzdura!

- Król o tym nie wie, ale jego urzędnicy, tak. Powiem ci to wprost i bez ogródek, Diano... to ważny dokument. Bez niego zostałabyś aresztowana i żaden admirał by cię od tego nie uchronił. W świetle prawa jesteś bowiem obywatelką Stanów Zjednoczonych i jako taka zostałabyś w innych okolicznościach umieszczona w areszcie, a być może nawet odesłana.

- Ale kto przejmuje się prawem i innego tego rodzaju gierkami słownymi?

Przecież każdy powie, że jestem Angielką w każdym calu, zawsze nią byłam i zawsze będę. Powiedz mi tylko, jak go zdobyłeś?

- Udałem się do odpowiedniego człowieka... do oficera zajmującego się tego typu sprawami.

- To wspaniale z twojej strony, że o tym pomyślałeś. O Boże, całkiem zapomniałam! - zawołała nagle, a Stephen mógłby przysiąc, że ta myśl przeskoczyła z jego głowy do jej. - Co powiedzieli na te papiery, które zabrałeś z Bostonu? Byli z nich zadowoleni? Pamiętam, jak mówiłeś, że oddasz je miejscowemu oficerowi wywiadu. Mam nadzieję, że okażą się użyteczne.

- Niestety, okazało się, że były to dokumenty natury bardziej politycznej i niezbyt przydadzą się wojskowym. Powiedziano mi, że nie są całkiem bezwartościowe. Wygląda na to, że mogłem wybrać znacznie użyteczniejsze.

Obawiam się, że kiepski ze mnie agent wywiadu.

- Skąd - roześmiała się Diana. - Trudno mi sobie wyobrazić kogoś, kto nadawałby się do tej pracy mniej od ciebie. Jesteś oczywiście niezwykle inteligentnym człowiekiem, drogi Stephenie - dodała z miłym uśmiechem. - Na swój sposób jesteś jednym z najmądrzejszych znanych mi ludzi, ale byłbyś o wiele szczęśliwszy wśród swoich ptaków. Ty jako szpieg? Mój Boże!

Wesołość sprawiła, że na jej policzkach pojawił się rumieniec. Rzadko kiedy Stephen widywał ją tak rozbawioną.

- Oddasz mi to zaświadczenie? - spytał. - Muszę pokazać je księdzu. Bez niego nie może udzielić nam ślubu. Pasuje ci piątek, wcześniej rano? Pewnie nie masz ochoty na wielką uroczystość, jak sądzę, ale możemy poprosić Jacka, by poprowadził cię do ołtarza. W ten sposób na nowo staniesz się brytyjską poddaną.

Rozbawienie natychmiast zniknęło z jej twarzy, a w jej miejsce pojawiła się niezdrowa, wręcz trupia bladość. Diana poderwała się i zaczęła krążyć nerwowo po pokoju, aż zatrzymała się przy podłużnym oknie, wychodzącym na ogród. Nie przestawała przy tym mieć dokumentu.

- Ale przecież mam ten cały certyfikat, to po co ten pośpiech? - spytała. -

Na co komu te wszystkie formalności, co? Nie myśl tylko, że nie chcę za ciebie wyjść... Chodzi tylko o to, że... Stephen, czy mógłbyś mi skrócić takie małe cygaro z papieru? - Maturin wyjął cygaro, przeciął je na pół, a potem wydarł

kartkę z notatnika i skrócił z niej dwie rolki, jedną dla siebie, a drugą dla Diany.

Następnie uniósł rozżarzony węgielek, by przypalić jej cygaro, ale powiedziała:

- Nie, tutaj nie mogę palić. Zaraz lady Harriet może tu wejść. Nie chcę, żeby sobie pomyślała, no sam wiesz... że trzyma pod swoim dachem rozpijaczoną, palącą tytoń ladacznicę. Zapal swoje i chodźmy do ogrodu, tam sobie zapalę.

Wiesz, Stephen - ciągnęła, otwierając przeszklone drzwi - od chwili, gdy powiedziałeś mi o burbonie i o cerze, nie wypiałam nawet kropli innego alkoholu niż wino, a i tego ledwie kilka kieliszków. Boże, teraz jednak czuję, że chętnie bym się napiła. - Spacerowali ramię w ramię w zacisznym gajku, pełnym ozdobnych krzewów, a za nimi unosiła się rozrzedzona chmura dymu. - Cały ten pośpiech - mówiła Diana. - Przygotowania do balu, plotki z lady Harriet i rozterki, co na siebie włożyć, sprawiły, że całkiem straciłam głowę.

Zapomniałam, gdzie jestem. Stephen, nie chciałabym, byś poczuł się zawiedziony, ale chciałabym z tym poczekać - przerwała na moment. - Jesteś jedynym znanym mi człowiekiem, który nigdy nie zadaje pytań, który nie zachowuje się impertynencko nawet wtedy, gdy ma do tego prawo.

Przez moment szła ze zwieszoną głową, wpatrując się w ziemię. Stephen znał ją od wielu lat, widywał ją w najróżniejszych nastrojach i stanach ducha, ale nigdy dotąd nie widział jej tak zmieszanej ani zgnębionej. Stała, opromieniona blaskiem słońca. Stephen przyjrzał się badawczo, ale i obiektywnie tej przygnębionej twarzyczce. Nim jednak zdążył powiedzieć: „Nic się nie stało” albo „Niech będzie, jak sobie życzysz”, na drugim końcu żwirowej ścieżki pojawił się lokaj.

- Wielce szanowna pani Wodehouse oraz panna Smith przybyły do pani z wizytą! - zawołał. Diana obrzuciła Stephena szybkim, przepaszającym spojrzeniem i wbiegła do domu. Pomimo dręczących ją zmartwień i rozterek poruszała się z idealną, nieświadomą gracją, która zawsze ujmowała go za serce.

Niespodziewanie poczuł przyływ tkliwości, która ongiś stanowiła nieodłączny element jego wygąsłej, żarliwej miłości. Być może właśnie odezwało się jej echo. Lokaj, który oznajmił przybycie obu dam, nadal stał w tym samym miejscu, najwyraźniej czekając na Stephena. Jego drewniana noga wbiła się mocno w żwir. Odziany był w obrzydliwą pomarańczowofioletową liberię admirała, lecz był to jedyny element, który upodabniał go do lokaja. Swobodna postawa, długi kucyk i rozliczne zmarszczki oraz bruzdy na uśmiechniętej twarzy zdradziły jego prawdziwą tożsamość, ledwie Stephen podszedł na odległość kabła. - Mam nadzieję, że miewa się pan dobrze, sir? - spytał, przytykając zgięty palec wskazujący do brwi.

- Owszem, dziękuję - rzekł Stephen i przyjrzał mu się bacznie. Ostami raz, gdy oglądał tę twarz, był na HMS „Surprise”, wlekącej się wolno na zachód ku Fort William, poturbowanej od ognia francuskiego liniowca. Owa twarz była wówczas trupio blada i lśniąca od potu. Człowiek, który stał

teraz przed nim, leżał wówczas na koi i z całej siły zaciskał szczęki, by nie wrzeszczeć podczas operacji.

- Ale to nie była amputacja, prawda? - spytał.

- Nie, sir. Jestem Bullock, z pokładu dziobowego, wachta prawej burty.

Pływałem na starej „Surprise”.

- Jasne - rzekł Stephen, ściskając jego dłoń. - Chodziło mi o to, że uratowałem wtedy pańską nogę. Nie trzeba było jej amputować.

- To prawda, sir, pan ją uratował - odparł Bullock. - Ale pływałem potem na „Benbow” i pod Cays paskudnie oberwałem kulą łańcuchową, a nasz lekarz okrętowy niestety nie nazywał się Maturin. No i poszła pod nóż.

- Jestem przekonany, że było to konieczne - rzekł Stephen.

Uwaga ta w rzeczy samej konieczna była, lecz Maturin wygłosił ją całkowicie bez przekonania, najprawdopodobniej dlatego, że lekarz okrętowy na

„Benbow” rzadko bywał trzeźwy, a i wtedy nie wykazywał żadnych zdolności.

Lokaj wpatrywał się w doktora Maturina z oddaniem, aż powiedział:

- Mam nadzieję, że kapitan Aubrey również dobrze się miewa, sir?

Słyszałem, że właśnie zszedł na ląd z „Shannon”, radosny jak skowronek i aż napęczniały z dumy!

- Kapitan miewa się doskonale. Mam się właśnie z nim spotkać w szpitalu.

- Proszę przekazać mu wyrazy największego szacunku, jeśli będzie pan taki dobry. Sługa uniżony, sir, Bullock z pokładu dziobowego starej „Surprise”.

Jako jeńcy wojenni w Bostonie Aubrey i Maturin byli życzliwie traktowani przez zwycięzców. W chwili wzięcia do niewoli nie mieli grosza przy duszy ani ciepłych ubrań na zimę, a mimo to oficerowie USN

„Constitution” zatroszczyli się o ich wszystkie potrzebny. Obaj pragnęli odpłacić teraz Amerykanom tym samym, tak więc zgodnie ze swoimi oczekiwaniami Stephen znalazł Jacka przy łóżku rannego porucznika z

„Chesapeake”.

- Pamiętasz człowieka o nazwisku Bullock z „Surprise”? - spytał, gdy wychodzili ze szpitala.

- Tak, oczywiście - rzekł Jack. - Służył na pokładzie dziobowym. Bardzo dobry marynarz.

- Prosił, bym przekazał jego dawnemu dowódcy wyrazu szacunku.

- To bardzo miło z jego strony - rzekł Jack. - John Bullock. Mało kto celował tak dobrze jak on. Pociski z jego działa zawsze trafiały w cel, choć do najszybszych kanonierów nie należał. Dowodził obsadą prawoburtowej pościgówki. Pamiętaj jednak, Stephen, że „dawny” kapitan to martwy kapitan.

Wszystkie te pogrzeby, ataki rozpacz i świadomość starzenia się sprawiają że czuję się jak dziadek Matuzalema.

- Jesz za dużo, bracie, pijesz za dużo, no i pozwalasz sobie na melancholię. Piętnaście kilometrów żwawej wędrówki po wilgotnych, lecz ciekawych lasach Nowego Świata pomoże ci wrócić do formy i pozbyć się smutnych myśli. Na pewno odzyskasz swój zwierzęcy instynkt. Ponce de León twierdził, że Fontanna Młodości znajduje się gdzieś w tych okolicach. Pamiętaj również, że paczka z listami z Anglii może dotrzeć lada chwila.

- Myślę, że możesz mieć rację, jeśli chodzi o Fontannę Młodości, Stephen, ale mylisz się całkowicie w sprawie listów. Nikt nie wyrusza w podróż morską przed trzynastym, a przy tych niekończących się wiatrach zachodnich jeszcze długo nie otrzymamy żadnych wieści z Anglii. Tak czy owak, nie wybrałbym się dzisiaj z tobą na ów spacer, nawet gdyby oczekiwało nas dziesięć Fontann Młodości, a każda z nich zaopatrzona była w wygodny kranik.

Mam do załatwienia cholernie nieprzyjemną sprawę w więzieniu... Muszę zidentyfikować angielskich dezertersów, którzy zostali wzięci do niewoli na

„Chesapeake”. Prawie wszyscy zbiegli z naszych okrętów wojennych. Najpierw jednakże muszę odwiedzić amerykańskiego podoficera nawigacyjnego, tego jedyne, który nie został ranny w głowę. Idziesz ze mną?

- Nie, panie kapitanie. Twoim naturalnym obszarem zainteresowań są ci oficerowie, którzy uczestniczą w boju. Ja interesuję się tymi, których zadaniem jest coś innego niż walka, a dziś chciałem zajrzeć do ich lekarza pokładowego.

To doprawdy niezwykle wykształcony człowiek.

Ów niezwykle wykształcony człowiek siedział w pustej sali operacyjnej, trzymając w ręku kufel z piwem. Wyglądał na zatroskanego, przygnębionego i znużonego, ale minę miał dziarską. Z wdzięcznością przyjął podarunek Stephena i przez moment rozmawiali o swych pacjentach, co chwila popijając z kufła.

- Wątpię, czy można je potraktować jako skuteczny środek przeciwko skorbutowi, drogi panie, ale wspaniale smakuje w dniu takim jak ten. Bez wątpienia też pomaga w usuwaniu wzdęć - określił je Amerykanin.

Kufel szybko został więc osuszony, a wtedy Stephen oznajmił:

- Wydaje mi się, iż kiedyś opowiadał pan o tym, że przed podjęciem służby w marynarce praktykował pan głównie wśród dam w Charlestonie?

- Tak, drogi panie. Byłem położnym lub też akuszerem, jeśli woli pan to określenie.

- Otóż to. Pańskie doświadczenie w tego typu sprawach jest znacznie większe od mojego, a byłbym niezmiernie wdzięczny, gdyby zechciał mnie pan oświecić. Pominąwszy oczywiście, klasyczne symptomy, jakie są najwcześniejsze oznaki ciąży?

Amerykanin zasznurował usta i zastanowił się.

- Cóż, nie ma całkowicie niezawodnych metod ustalania prawdy - rzekł. -

Sądzę jednak, że są pewne w miarę niezawodne symptomy, jak na przykład zgrubienie skóry, ziemistość skóry w najwcześniejszych stadiach, która bardzo szybko znika, wygląd cery i zmarszczki wokół oczu. Nie warto też gardzić starymi metodami, polegającymi choćby na dokładnym przyjrzeniu się paznokciom i włosom kobiety. Gdy lekarz dobrze zna zwyczajowe zachowanie kobiety, nierzadko jest w stanie sformułować swą opinię na podstawie zaobserwowanych zmian, zwłaszcza w przypadku kobiet młodszych. Dużo mu powiedzą wszelkie gwałtowne, pozornie pozbawione przyczyny zmiany nastrojów, jak z przygnębienia lub niepokoju w entuzjizm, a nawet uniesienie.

- Sir - powiedział Stephen - Jestem panu bardzo wdzięczny za owe wskazówki.

ROZDZIAŁ DRUGI

W trakcie swej służby w Royal Navy Stephen Maturin często rozmyślał

nad tym, jak dalece różnią się od siebie oficerowie marynarki wojennej. Pływał

zarówno z takimi, którzy pochodzili z szacownych rodzin, jak i z tymi, którzy zaczęli karierę jako marynarze na dolnym pokładzie. Miał za towarzyszy rejsów miłośników poezji, jak i ludzi, którzy nigdy w życiu nie stworzyli żadnej książki, spotykał kapitanów, którzy z pamięci przytaczali klasyczne sentencje, jak i takich, którzy bez pomocy pisarza pokładowego ledwie byli w stanie skleić sensowny meldunek. Większość oficerów marynarki pochodziła z klasy średniej, lecz ów gatunek obejmował wielką ilość najrozmaitszych podgatunków i lokalnych odmian, a odnaleźć się w tym mógł jedynie obserwator wychowany wśród zawiłości angielskiego systemu klasowego, orientując się wedle pochodzenia i obecnego statusu danego osobnika.

Oficerowie różnili się także pod względem bogactwa. Największe różnice panowały między kapitanami okrętów. W chwilach obfitości statków handlowych na morzach szczególnie przedsiębiorczy lub obdarzeni szczęściem dowódcy potrafili zbić fortunę z przyzowego po kilku godzinach zaciętego pościgu. Inni, którzy musieli się utrzymywać z pensji, prowadzili doprawdy nędzne, niespokojne życie. Wszyscy oni jednak zostali w ten czy inny sposób naznaczeni przez swą profesję - zarówno bogaci, jak i biedni, dobrze wychowani i prostacy, co do jednego zostali sponiewierani przez żywioły, a wielu z nich dodatkowo przez wrogów króla. Nawet dopiero co awansowani porucznicy spędzili całą swą młodość na morzu, a wielu kapitanów mianowanych, zajmujących na liście awansów podobne miejsce co Jack Aubrey, pływało z niewielkimi przerwami od 1792 roku. Wszystkich łączyła długa, niemalże niekończąca się wojna morska, a wraz z nią

niekończące się okresy oczekiwania na bezkresach morskich i nieliczne chwile gwałtownych starć.

Cechy wyróżniające oficerów nijak się miały do pozostawionych przez nich na lądzie żon, wśród których panowała jeszcze większa różnorodność.

Niektórzy żeglarze, być może nakierowani przez pełne obawy rodziny, ożenili się z kobietami z własnej lub nawet z wyższej klasy, podczas gdy inni, wróciwszy z mozolnej, lecz niebezpiecznej blokady Brestu bądź Tulonu, lub z trwającej trzy lata służby w Indiach Wschodnich bądź Zachodnich, niekiedy rzucali się w ramiona najosobliwszych kobiet. Wiele z owych związków okazywało się po czasie związkami szczęśliwymi, a sami żeglarze stawali się wspaniałymi mężami, którzy często przebywali poza domem, a po powrocie potrafili się nim dobrze zająć, lecz zaproszeni razem na bal, oboje małżonkowie stanowili nader osobliwy widok.

Stephen przyglądał się im, stojąc wśród roślin w donicach. Pomimo różnic w rozmiarach i kroju mundury oficerów marynarki sprawiały, że wszyscy prezentowali się jednakowo. To samo można było powiedzieć o oficerach armii, choć w ich mundurach zauważało się więcej różnic. Przyprowadzone kobiety dobrały jednak swe stroje według własnego uznania i rezultaty tego były bardzo ciekawe. Stephen zauważył już byłą barmankę z „Keppefs Head” w Portsmouth, teraz odzianą w różową suknię z muślinu i noszącą obrączkę ślubną na palcu.

Dostrzegł również kilka innych dam, których twarze wydawały mu się znajome

- być może widział je kiedyś w innych gospodach, na scenie lub w sklepikach z tytoniem.

Między ich sukniami była wyraźna różnica. Stephen bez trudu mógł

ustalić, które z kobiet mogły sobie pozwolić na dobry strój, a które nie. Różnice między noszoną przez nie biżuterią - od naszyjnika z granatem na szyi młodziutkiej dziewczyny, która wyszła za porucznika z pensją stu funtów rocznie po oszałamiające, ogromne szmaragdy lady Harriet lub rubiny pani LevesonGower, za które można by kupić fregatę trzydziestosześciodziałową i wyposażyć ją na sześć miesięcy - były jeszcze bardziej zauważalne.

Przyglądający się gościom Stephen bardziej jednakże skupiał swą uwagę na postawie i zachowaniu dam. Po części chciał w ten sposób sprawdzić, ile wie o umiejętności adaptacji kobiet w społeczeństwie tak bardzo wyczulonym na faktyczną bądź domniemaną pozycję. Pragnął również sprawdzić swą osobistą teorię, wedle której czym więcej człowiek zakosztował swobody, a nawet rozpusty w przeszłości, tym bardziej powściągliwy, wyczulony na konwenanse, a wręcz pruderyjny stawał się później.

Obserwacje, które przerywał tylko po to, by zerknąć ku szczytowi schodów i sprawdzić, czy Diana kiedykolwiek skończy się stroić, nie potwierdziły jednakże owej teorii. Jedynym wyciągniętym przez niego wnioskiem było to, iż kobiety obdarzone naturalnym stylem okazywały go zawsze bez względu na swe pochodzenie, natomiast te, które były go pozbawione, zachowywały się sztucznie lub niezdarne, choć nawet one doskonale się bawiły. Atmosfera ogólnej wesołości oraz radość z powodu zwycięstwa „Shannon” do tego stopnia udzieliły się wszystkim obecnym, że prawie wszystkie kobiety prezentowały się wspaniale, a codzienne zmartwienia oraz konsekwencje, które

pociągały za sobą rangi ich mężów, liczyły się mniej niż dotychczas. Pomimo sztywnych hierarchii stopni wojskowych i podziałów wedle pochodzenia, majątku i urody, które nieodmiennie rządziły egzystencją i nierzadko rodziły konflikty, nastrój powszechnego szczęścia i silne poczucie wspólnoty na moment załagodziły wszelkie różnice.

Odkrycie to nie uzasadniało dalszego krycia się wśród roślin, wśród których zauważył głównie mało ciekawe egzemplarze bromelii i paproci, tak więc Stephen dołączył do tłumu gości, gdzie niemal natychmiast natknął się na Jacka. Jego przyjaciel stał w towarzystwie pewnego mężczyzny w szkarłatnym, skrzącym od złota mundurze First Foot Guards. Nieznajomy oficer dorównywał

Jackowi wzrostem, lecz był od niego znacznie potężniej zbudowany.

- Ach, tu jesteś! - zawołał Jack. - Wszędzie cię szukałem. Czy znasz mojego kuzyna, Aldingtona? Doktor Maturin, pułkownik Aldington.

- Jak się pan miewa, sir! - powiedział żołnierz tonem, który uznał za odpowiedni w rozmowie z człowiekiem w mało efektownym mundurze lekarza marynarki wojennej. Stephen w odpowiedzi pochylił jedynie głowę. -

Zapowiada się naprawdę niezwykły bal - rzekł pułkownik do Jacka. - Wręcz czuć to w powietrzu. Ostatni bal, na którym byłem, a całkiem zapomniałem ci powiedzieć, że spotkałem tam Sophie, odbył się podczas zjazdu w Winchester.

Doprawdy żałosne przyjęcie, powiadam ci. Wątpię, czy było tam więcej niż trzydzieści par, a na pewno nie dostrzegłem żadnej dziewczyny, na której warto byłoby zawiesić oko. Salwowałem się więc ucieczką do pokoiku, w którym grano w karty, i przegrałem cztery funty i dziesięć szylingów.

- Sophie była na tym zjeździe? - spytał Jack.

- Tak, przybyła w towarzystwie swej siostry. Prezentowała się doprawdy wspaniale. Zatańczyliśmy dwa tańce i pochlebiam sobie, że całkiem... O Boże, to ci dopiero zgrabna dziewczyna! - zawołał nagle, wpatrując się w schody, po których schodziła właśnie Diana. Miała na sobie długą, błękitną suknię, a szyję ozdobiła sznurem brylantów, które przyćmiły swym blaskiem wszystkie pozostałe klejnoty w tej wielkiej, lecz zatłoczonej sali. Diana zawsze zachowywała wielki styl i, schodząc powoli po schodach, szczupła i wyprostowana, wyglądała wprost baśniowo.

- Nie będę się wzbraniał przed tańcem z tą piękną - rzekł pułkownik.

- Przedstawię was zatem, jeśli masz ochotę - powiedział Jack. - To kuzynka Sophie.

- Jeśli jest twoją kuzynką, jest również na swój sposób moją - oznajmił

pułkownik. - Hej, niech mnie szlag, jeśli to nie Di Villiers! - zawołał po chwili. -

Cóż ona tu, do jasnej cholery, robi? Poznałem ją swego czasu w Londynie, chyba wieki temu. Nie musisz mnie przedstawiać, Jack.

Bez namysłu ruszył ku niej szybkim krokiem, przepychając się przez tłum niczym wielki wół. Stephen skoczył w ślad za nim, a Jack odprowadził ich wzrokiem. Poczł się osobiłwie zraniony myślą, że Sophie tańczyła na owym balu. W innej sytuacji cieszyłby się na wieść, że jego żona nie zamartwia się w domu, lecz nieoczekiwanie nowina okazała się dlań trudniejsza do zniesienia od pozostałych gorzkich rozczarowań, nawet od braku listów i utraty szans na

„Acastę”. Nigdy w życiu nie wybuchał świętym oburzeniem, lecz naraz zapytał

się z gniewem w myślach, dlaczego jego małżonka tańczy po balach, a nie skreśli do niego nawet słowa, choć wie, że cierpi w niewoli wojennej w Ameryce, że jest chory, ranny, a na domiar złego bez gorsza. Sophie zawsze była kiepską korespondentką, lecz nigdy dotąd nie okazywała się dziewczyną bez serca.

Pułkownik Aldington dotarł wreszcie do Diany. Zmierzył Stephena zdziwionym, lecz mało pochlebnym spojrzeniem, po czym odwrócił się ku dziewczynie, całkowicie zmieniając wyraz twarzy.

- Zapewne mnie pani nie pamięta, pani Villiers. Nazywam się Aldington, jestem przyjacielem Edwarda Pitta. Doznałem swego czasu zaszczytu zaproszenia pani na obiad w Hertford House, tańczyliśmy też razem w Almack.

Czy mogę panią prosić, by towarzyszyła mi dziś wieczór?

Mówiąc to, patrzył na jej twarz, lecz naraz zerknął na brylanty. Gdy ponownie uniósł wzrok, znać w nim było znacznie większy respekt.

- Désolée, pułkowniku - powiedziała Diana. - Jestem już umówiona z doktorem Maturinem, chciałabym również towarzyszyć przez moment admirałowi oraz oficerom z „Shannon”. - Aldington nie był człowiekiem o wysokiej kulturze osobistej, tak więc z początku nie zrozumiał implikacji, a gdy dotarł do niego pełen sens słów Diany, nie miał pojęcia, jak zręcznie wybrnąć z sytuacji. Diana postanowiła mu zatem pomóc i dodała: - Będę jednakowoż dozgonnie wdzięczna, gdyby w imię starej znajomości zgodził się pan przynieść mi porcję lodów.

Nim żołnierz wrócił, zaproszona kapela zaczęła grać. Goście ustawili się w długi szereg, a bal otworzył sam admirał, który za towarzyszkę wybrał sobie najśliczniej szą pannę w Halifaksie - uroczą siedemnastoletnią dziewczynę z jasnymi włosami i wielkimi, błękitnymi oczyma. Podrygiwała z wdziękiem u boku admirała, a w jej spojrzeniu skrzyła się taka radość i taki zachwyt, że patrzący na nią ludzie mimowolnie zaczęli się uśmiechać.

- Za nic w świecie nie zatańczyłabym z tym człowiekiem - powiedziała Diana, gdy czekali ze Stephenem na swą kolej. - Ma już swoje lata, ale mimo tego jest wielkim dzieckiem, a do tego nadętym bufonem i największym plotkarzem, jakiego znam. Spójrz, znalazł już sobie towarzyszkę, pannę Smith.

Mam nadzieję, że ona nie ma nic przeciwko niegodziwemu obmawianiu. -

Stephen zerknął za siebie i ujrzał pułkownika, stojącego obok wysokiej, młodej damy w czerwonej sukni. Panna Smith była raczej szczupłą, lecz wytworną dziewczyną, a na dodatek miała wspaniały biust. Ciemne włosy, ciemne, piękne oczy i zaróżowione z przejścia policzki sprawiały, że jej twarz, choć nie można było jej nazwać śliczną ani nawet ładną, wyglądała na szczególnie ożywioną. -

Jej sukienka jest raczej outre3 - ciągnęła Diana. - Używa też zdecydowanie zbyt dużo szminki, ale wygląda na to, że dobrze się bawi. Stephen, zanosi się na wspaniały bal. Podoba ci się moja suknia?

- W istocie, niezwykle ci w niej do twarzy, a narzucenie czarnego szala na ramiona było genialnym pomysłem.

- Byłam przekonana, że ci się spodoba. Przyszło mi to do głowy w ostatniej chwili i właśnie dlatego tak się spóźniłam. - Niebawem nadeszła ich kolej i wspólnie wykonali wszystkie obowiązkowe figury tańca, Diana ze swą zwyczajową ujmującą za serce gracją, a Stephen w najlepszym razie przyzwoicie. Gdy ponownie stanęli obok siebie, Diana znów się odezwała: -

Stephen, naprawdę świetnie tańczysz! - zawołała, próbując zagłuszyć gwar niezliczonych głosów oraz śpiew towarzyszących kapeli śpiewaków. - Jestem taka szczęśliwa! - Na jej twarzy pojawił się rumieniec, ani chybi wywołany panującym w sali ciepłem, wysiłkiem związanym z tańcem oraz upajającą atmosferą zwycięstwa, a być może również świadomością, iż ma na sobie wspaniałą suknię i równie piękne klejnoty. Stephen jednakże znał ją bardzo dobrze i odnosił wrażenie, że jej radość jest bardzo krucha i w każdej chwili może ją zastąpić całkowicie inne uczucie. Znów ruszyli w tany, gdy Stephen zauważył asystenta majora Becka pogrążonego w rozmowie z adiutantem admirała. Ku swemu zdumieniu dostrzegł, że ów drobny, mało urodziwy mężczyzna już jest pijany. Na jego twarzy widać było nieregularne plamy purpury, co tworzyło nieprzyjemny kontrast z barwą munduru, a co więcej, chwiał się mocno na nogach. Spojrzenie jego wylupiastych, wodnistych oczu spoczęło na moment na Stephenie, a potem przeniosło się na Dianę i asystent aż oblizał wargi. - Wszyscy wydają się niewiarygodnie szczęśliwi - posiedziała Diana. - Wszyscy z wyjątkiem nieboraka Jacka. Spójrz tylko na niego, stoi przy tej kolumnie i wygląda, jakby dla niego nastął dzień Sądu Ostatecznego.

Oczekiwały ich jednak kolejne skomplikowane figury i Stephen nie zdążył spojrzeć na przyjaciela, a gdy taniec dobiegł końca, okazało się, że ten opuścił już zajmowane dotąd miejsce. Oboje odeszli wspólnie i usiedli na ławeczce niedaleko drzwi, gdzie owiał ich przyjemny, ciepły wiatr, niosący zapach morza.

W międzyczasie Jack podszedł do długiego, zastawionego butelkami stołu, na który goście nie zwracali większej uwagi. Wypił kilka kieliszków szampana, po czym oznajmił:

- Smakuje wybornie, ale rzeknę ci jedno, Bullock... zmieszaj no mi szklanicę porządnego, bosmańskiego grogu, dobrze?

- Tak jest, sir - powiedział Bullock. - Szklanica grogu, robi się. Panu trzeba czegoś, co będzie miało w sobie więcej mocy, sir. Popijając te bąbelkowe cienkusze, rozedmie się tylko człowiek jak krowa na pastwisku.

Drink sporządzony przez Bullocka z pewnością miał w sobie wiele mocy i, opuszczając stół, Jack czuł, jak mu w trzewiach buzuje żywy ogień. Pomimo rozgardiaszu porozmawiał z kilkoma oficerami, uśmiechając się przy tym i przybierając pozę stosowną do wielkiego przejęcia, aż zatrzymał się niedaleko kapeli. Było tam nieco ciszej i wyraźnie usłyszał trochę zbyt ostry dźwięk A, podawany przez grubego muzyka reszcie kapeli.

„Ileż to już czasu upłynęło, odkąd ostatni raz czułem drewno skrzypiec pod podbródkiem?” - zapytał się w myślach.

Zastanawiał się przez moment, ile zręczności zachowają palce jego rannego ramienia, gdy niespodziewanie usłyszał za sobą wyraźny głos:

- A kim jest tamten niezwykle przystojny mężczyzna przy oknie?

Jack zerknął w kierunku okna, lecz dostrzegł tam jedynie dwóch pryszczatych, wymizerowanych midszypmenów, odzianych w zbyt duże mundury. Obaj młodzieńcy chichotali z czegoś wspólnie.

- Nie, ten bliżej kapeli - odezwał się ów głos ponownie, a zaskoczony Jack uświadomił sobie, że być może chodzi tu o niego.

Przypuszczenie to potwierdziła sama lady Harriet:

- To kapitan Aubrey, moja droga - odezwała się ciszej i dyskretniej od towarzyszki, lecz mimo tego Jack dobrze ją słyszał. - Jeden z naszych najlepszych dowódców fregat. Czy chciałabyś, bym cię przedstawiła?

- Och tak, jeśli nie stanowi to problemu. Był na pokładzie „Shannon” podczas bitwy, czyż nie?

Od obu kobiet oddzielił go nagle tłum gości, wytrwale brnących ku rozstawionym właśnie sorbetom, a Jack nadal z zajęciem przypatrywał się orkiestrze. W istocie był przystojnym mężczyzną, lecz nikt nigdy wprost mu tego nie powiedział i nie zdawał sobie z tego sprawy. Słowa nieznanegoj kobiety wzbudziły w nim szczerą radość. Ogromnie pochlebiał mu fakt, że ktokolwiek mógł uznać go za urodziwego. Był przystojnym jedynie w oczach tych, którzy nie szukali w nim energii i gibkości wieku młodzieńczego, a doceniali jego ogromną postać, szerokie bary i ogorzałą cerę, a także niebieskie oczy i złociste włosy i nie wzdragali się przy tym przed twarzą poznaczoną bliznami. Jack miał ich dwie - jedną po cięciu kordelasem, biegnącą od ucha przez kość policzkową, i drugą po drzazdze, ciągnącą się wzdłuż szczęki aż po drugie ucho. Panna Smith najwidoczniej nie miała nic przeciwko, gdyż po dokonaniu prezentacji spojrzała na niego z żarliwym podziwem, który sprawiłby przyjemność nawet najbardziej próżnemu człowiekowi. Jack zareagował z ostrożnością - w spojrzeniu, którym jej odpowiedział, krył się zarówno życzliwy szacunek, jak i szczególna czujność, lecz ku swemu zdumieniu ujrzał w niej jedynie energiczną, pełną życia młodą damę w jego typie urody. Jego wzrok od razu padł na jej wspaniały biust.

Bez wahania zaprosił ją do tańca, a potem do następnego.

- Czyż to nie wspaniały bal? - spytał w połowie drugiego tańca.

- Najlepszy, na jakim kiedykolwiek byłam - odpowiedziała z prawdziwym przekonaniem.

Atmosfera nie ciążyła mu już tak bardzo, przestał też pojmować panujący na balu rozgardiasz jako bezrozumną paplaninę bandy głupców. Miał teraz wrażenie, iż otacza go wesoła grupa bardzo miłych ludzi, którzy zebrali się, by wspólnie świętować zwycięstwo. I to jakie zwycięstwo! Nagle po raz kolejny uświadomił sobie pełnię tryumfu, tym razem z jeszcze większą mocą. Kapela również wydała mu się całkiem niezła, a frazowanie menueta w ich wykonaniu bardzo przypadło mu do gustu. Panna Smith zaś tańczyła doprawdy wspaniale.

Jack uwielbiał taniec z natchnioną tancerką, która potrafiła nie tylko tańczyć, ale jeszcze umiała się tym cieszyć. Cóż za wspaniały bal!

Radość tego wieczoru przyćmiła tylko jedna rzecz. W pewnym momencie panna Smith wskazała Dianę i Stephena, po czym zapytała:

- Kim jest ta dama w błękitnej sukni? Ta z tymi wspaniałymi brylantami?

- To Diana Villiers, kuzynka mojej żony.

- A ten drobny mężczyzna, który z nią tańczy? Wydaje się dość osobliwym człowiekiem. Tańczyli razem już kilka razy. A cóż to za mundur?

Pierwszy raz widzę coś takiego.

- To mundur lekarza marynarki wojennej, lecz najwyraźniej zapomniał

włożyć regulaminowe bryczesy. To doktor Maturin. Są zaręczeni i mają się pobrać.

- Lecz przecież - zawołała panna Smith - taka wspaniała dama nie może zmarnować się dla zwykłego lekarza!

- Nie spotkałem jeszcze w życiu kobiety - powiedział Jack zdecydowanym, lecz uprzejmym głosem - która mogłaby się zmarnować dla Stephena Maturina. Żeglujemy razem od lat i jesteśmy bardzo bliskimi przyjaciółmi. Cenię go ogromnie.

Naraz znaleźli się na samym czele szeregu tancerzy i Jack musiał podać jej dłoń. Dziewczyna złapała go mocno, a gdy na powrót znaleźli się na poprzednich pozycjach, powiedziała:

- Jestem przekonana, że ma pan całkowitą rację. Z pewnością jest w nim znacznie więcej, niż widać na pierwszy rzut oka. Lekarze marynarki wojennej muszą przecież górować umiejętnościami nad swymi lądowymi kolegami.

Chodziło mi tylko o to, że pani Villiers jest taka wytworna i elegancka... Trudno mi panu opisać, jak bardzo podziwiam piękno u kobiet.

- Ja również wielce podziwiam kobiece piękno - bez namysłu odparł Jack.

- I ogromnie się cieszę, że dama, która ze mną tańczy, jest jego idealnym przykładem, z pewnością najbardziej idealnym na całej sali.

- Och, co też pan wygaduje, kapitanie Aubrey - rzekła, lecz nawet nie zarumieniła się przy tym ani nie zwiesiła głowy, a gdy ponownie ujął jej dłoń, by okręcić ją w tańcu, nie wyczuł w jej uścisku przygany czy niechęci.

Do chwili podania kolacji wiedział już o niej całkiem sporo. Panna Smith wychowała się w Rutland, gdzie jej ojciec trzymał sforę ogarów. Przepadała zatem za polowaniami na lisy, ale ze smutkiem przyznawała, że wielu myśliwych było zwykłymi hulakami. Swego czasu była już zaręczona i miała wyjść za mąż, lecz okazało się, że jej przyszły mąż ma sporą gromadkę nieślubnych dzieci. Spędziła kilka lat w Londynie, mieszkając u swej ciotki na Hanover Square. Słuchający jej Jack wyliczył z zaskoczeniem, że musiała sobie liczyć około trzydziestu lat. Prowadziła właśnie dom dla swego brata Henry'ego, który mimo stopnia oficerskiego w armii był takim krótkowidzem, iż przeniesiono go do służby w intendenturze. Henry'ego nie było teraz w Halifaksie - wyjechał do Kingston, by zająć się tamtejszymi zasobami armii, co było doprawdy niewdzięcznym zajęciem.

- Życie żołnierza liniowego nie jest jednak wiele lepsze - opowiadała. -

Żołnierze maszerują i defilują, niczego przy tym nie osiągając. Nie mają się co równać z marynarką. Nigdy dotąd nie byłam tak podekscytowana jak w chwili, gdy ujrzałam „Shannon” wprowadzającą do portu „Chesapeake”. Jestem taka pełna podziwu dla Royal Navy! - Jack zaś patrzył na rumieńce zapału na jej twarzy, słuchał jej drżącego, przepelnionego zachwytem głosu i bez trudu wierzył jej na słowo. Gdy zasiedli do kolacji, poprosiła go żarliwie, by szczegółowo opisał dla niej bitwę. Jack spełnił jej prośbę z wielką ochotą.

Starcie „Shannon” i „Chesapeake” było stosunkowo prostym pojedynkiem fregat, który trwał zaledwie kwadrans. Panna Smith słuchała jego opowieści z ogromnym zainteresowaniem, a Jack miał wrażenie, iż rozumie wszystkie techniczne szczegóły. - Musiał pan być niewiarygodnie szczęśliwy na widok ściąganej amerykańskiej bandery. Jestem pewna, że przepelniała pana dumą ze zwycięstwa! Mnie samej z radości pękłoby serce! - zawołała, przyciskając dłonie do nagiego dekoltu, aż biust się ugiął.

- Byłem bardzo szczęśliwy, lecz przecież dobrze pani wie, że to nie ja odniosłem to zwycięstwo, a Philip Broke.

- A nie było tak, że obaj panowie dowodziliście okrętem? Obaj macie rangę kapitana.

- Ależ skąd. Byłem na „Shannon” jedynie pasażerem, osobą pozbawioną jakiegokolwiek znaczenia.

- Na pewno przemawia przez pana zbytnia skromność. Jestem pewna, iż pochwycił pan za szpadę i wdarł się na pokład wroga.

- Cóż, to prawda. Walczyłem przez moment na ich pokładzie, ale zwycięstwo należy tylko i wyłącznie do Broke'a. Wypijmy za jego zdrowie.

Unieśli pełne kieliszki, a sąsiedzi z ochotą przyłączyli się do toastu. Byli to oficerowie armii, lecz pełni serdeczności i dobrych intencji. Jeden z nich najwyraźniej wypił już wiele toastów za zdrowie Broke'a, tak wiele, że kilka minut po ostatnim towarzysze zmuszeni byli go odprowadzić. Aubrey oraz panna Smith zostali więc sami przy stole i dziewczyna znów powróciła do tematu Royal Navy. Wykazywała żywe zainteresowanie wszystkimi zagadnieniami związanymi z marynarką, lecz niestety przez całe życie mieszkała z dala od morza, przez co nie wiedziała zgoła nic na ten temat.

- Zawsze podziwiałam nieszczęsnego admirała Nelsona i nosiłam żałobę długie miesiące po jego śmierci - powiedziała. - Podziela pan mój zachwyt wobec tego wielkiego człowieka, kapitanie? A może poznał go pan kiedyś?

- Odpowiedź na oba pytania brzmi: tak - rzekł z życzliwością. Nie było bowiem łatwiejszego sposobu, by trafić do jego serca, niż okazać uwielbienie dla marynarki i podziw wobec Nelsona. - Dostałem kiedyś zaszczytu jedzenia obiadu w jego towarzystwie, gdy byłem jeszcze zwykłym porucznikiem.

Pierwszy raz powiedział jedynie: „Może mi pan podać sól?”, choć trzeba zaznaczyć, że powiedział to w bardzo uprzejmy sposób. Za drugim razem powiedział natomiast: „Mniejsza o manewry, zawsze walcie prosto na nich!”.

- Ależ ja go podziwiam! - wykrzyknęła z entuzjazmem. - „Mniejsza o manewry, zawsze walcie prosto na nich!”. Myślę dokładnie tak samo! Nie ma innego sposobu walki dla ludzi obdarzonych prawdziwym męstwem. Jakże doskonale rozumiem też lady Hamilton! - W ich rozmowie nastąpiła chwila przerwy, w trakcie której oboje raczyli się zimnym homarem. - A jak pan trafił

na „Shannon” jako pasażer? - spytała w końcu.

- To długa historia - odparł Jack.

- Na pewno mnie nie znudzi.

- To może łyczek wina? - zapytał Jack, sięgając po butelkę.

- Nie, dziękuję. Jeśli mam być szczerą, już mi się odrobinę kręci w głowie. Być może jednak to wina tańca, muzyki, duchoty na sali albo bliskości wielkiego bohatera. Nigdy wcześniej nie siedziałam przy prawdziwym bohaterze. Ale może wyjdziemy na krótki spacer na świeżym powietrzu, gdy skończy pan swego homara.

- Już się najadłem - stwierdził Jack. - Teraz się tylko delektuję. Mnie też wydaje się tu niewiarygodnie duszno.

- A zatem wyjdźmy przez te szklane drzwi. Ależ się cieszę, niemalże obiecałam temu obrzydliwemu pułkownikowi Aldingtonowi następny taniec.

Dobrze, że mam sposobność mu uciec... - W ogrodzie ujęła Jacka pod ramię i powiedziała: - Teraz opowie mi pan wszystko

O tym, jak pan trafił na pokład „Shannon” jako pasażer. Proszę rozpocząć od samego początku.

- A zatem musiałbym cofnąć się aż do czasów mojej służby na

„Leopardzie”, wie pani, tym starym „Leopardzie” z dwoma pokładami i pięćdziesięcioma działami. Okręt został w pewnym stopniu przebudowany, a ja otrzymałem dowództwo i rozkazy dotarcia do Botany Bay, a następnie do Indii Wschodnich. Zapowiadało się na łatwą podróż, lecz niestety nie opuszczał nas pech. W pasie równikowym na okręcie wybuchła zaraza, a na południe od równika doścignął nas holenderski liniowiec, uzbrojony w siedemdziesiąt cztery armaty. Spotkanie odbyło się setki mil morskich na południowy wschód od Przylądka. W końcu w gęstej mgle zderzyliśmy się z górą lodową, która zniszczyła nam ster. Z przeciekającym, niemal tonącym okrętem zmuszeni byliśmy halsować w kierunku ostatnich wysp na południowym wschodzie, lecz mieliśmy niewielkie szanse na dotarcie do nich, nawet pomimo tego, że załoga dzień i noc wypompowywała wodę. W końcu szczęście się do nas uśmiechnęło.

Dotarliśmy do pewnej wyspy i, streszczając całą historię, załataliśmy dziurę w

„Leopardzie”, zamocowaliśmy na nim nowy ster

I udaliśmy się do Nowej Holandii, a potem przez Endeavour Strait na spotkanie z admirałem Drury przy Jawie.

- Jawa? Czyż to nie w Indiach Wschodnich? Ależ to romantyczne!

Przyprawy, ludzie w palankinach, pewnie też mnóstwo słoni, jak sędzę. Ależ pan przepłynął kawał świata! Ależ pan cuda widział! Czy kobiety na Jawie są takie piękne, jak je przedstawiają?

- Bez wątpienia jest wśród nich wiele ślicznotek, lecz nie mogą się równać urodą z kobietami z Halifaksu. Admirał Drury niezmiernie ucieszył się z powodu owego holenderskiego liniowca...

- Dlaczego? Co się z nim stało?

- Och, zatopiliśmy go. Na tych akwenach przy wietrze od rufy jednym celnym strzałem można zdziałać cuda. Mówię rzecz jasna o ryczących czterdziestkach, rozumie pani. Mieliśmy silną wichurę od rufy - nasza kula złamała fokmaszt Holendra, który natychmiast stanął burtą do wiatru i zatonął.

Admirał Drury jednakże nie był szczególnie zadowolony ze stanu technicznego

„Leoparda”. Musiałem bowiem wyrzucić wszystkie działa za burtę, a zderzenie z górą lodową spowodowało także uszkodzenia wręgów, dlatego okręt nie nadawał się już do przewożenia ani artylerii, ani ludzi, ani nawet zwierząt. Mógł

jedynie spełniać funkcję transportowca. Niezbyt mnie to podówczas obeszło, gdyż otrzymałem już przydział na inny okręt, fregatę o nazwie „Acasta”.

Admirał zapakował nas więc na „La Fleche”, która szła do Anglii. Mieliśmy doprawdy wspaniałą rejs...

Niespodziewanie panna Smith wrzasnęła przeraźliwie i wtuliła się w jego ramiona. Przez ścieżkę pełzła wielka ropucha, połyskując w świetle padającym z okien.

- Och! - zawołała. - Prawie bym jej dotknęła!

Jack łagodnie zepchnął ropuchę czubkiem buta na trawę, choć z panną Smith wczepioną w ramię miał ograniczone ruchy.

- Nie znoszę gadów! - powiedziała, gdy ropucha zniknęła im z oczu. -

Pająków też. Niedobrze mi się od nich robi. - Niespodziewanie wybuchła tak osobliwym śmiechem, iż gdyby była zwykłą kobietą, Jack bez wahania uznałby ją za niezrównoważoną. - Znajdźmy jakąś ławkę wśród krzewów -

zapropozowała, gdy minął atak wesołości.

Tak się jednak złożyło, że atmosfera zwycięstwa, wypite wino i dobre jedzenie, a być może również ciepło panujące we wnętrzu sali balowej podsunęły ten sam pomysł wielu innym gościom i wśród rosnących gęsto wawrzynów zabrakło już wolnych ławek. Dotarli nawet do stojącej na uboczu altany, lecz wycofali się w porę, by uniknąć narażenia się na bardzo poważną niedyskrecję. Ostatecznie musieli się zadowolić ławeczką przy zegarze słonecznym. Nocne powietrze było ciepłe i pachniało krzewami, latem oraz kwiatami. Jack zerknął na gwiazdy, by zorientować się, która była godzina.

- Sądzę, że niebawem czeka nas ulewa - powiedział, dostrzegłszy, że przesłaniają je kłęby rzadkiej mgły, sunące od strony morza.

- Mówił pan, że trafił się wam wspaniały rejs? - spytała dziewczyna, nie zwróciwszy w ogóle uwagi na jego stwierdzenie.

- Tak, to prawda. Pokonywaliśmy przynajmniej dwieście mil na dobę i tak było dzień za dniem. To była doprawdy spokojna, łatwa podróż, aż okrążyliśmy Przylądek i przekroczyliśmy tropik. Wtedy przytrafił się nam ten cholerny... To znaczy, wtedy przytrafiło się coś wielce niefortunnego. Na okręcie wybuchł

pożar. Płomienie w mig ogarnęły cały kadłub aż do linii wodnej, a potem rozsadziła go eksplozja.

- Wielkie nieba, kapitanie Aubrey!

- Szalupy rozdzieliły się w ciemnościach. Niestety, nie zostały należycie zaopatrzone, tak więc przeszliśmy przez okrutne męczarnie, aż zostaliśmy uratowani przez „Jawę” w pobliżu wybrzeża Brazylii. Ale i to nie był koniec naszych tarapatów, gdyż kilka dni później „Java” wdała się w bój z amerykańską „Constitution”, i jak pani zapewne pamięta, Amerykanie zapędzili nas w kozi róg.

- Och, pamiętam to doskonale. Ludzie wszędzie szlochali i płakali po usłyszeniu wieści. Mówili jednak, że nie było to sprawiedliwe zwycięstwo. Że okręt amerykański wcale nie był fregatą, albo że miał więcej dział, czy coś w tym guście.

- Nie, bez cienia wątpliwości była to fregata, ciężka fregata, a bitwa została stoczona sprawiedliwie, zapewniam panią. Po prostu „Constitution” dla każdego okrętu byłaby ciężkim orzechem do

zgryzienia. Ponadto Amerykanie zrobili lepszy użytek ze swojej artylerii, no i zostaliśmy pokonani.

- Na szczęście droga, dzielna „Shannon” wyrównała rachunki -

powiedziała panna Smith, kładąc mu dłoń na kolanie.

- Otóż to! - Jack zaśmiał się z radością. - Trudno mi sobie teraz przypomnieć, jak bardzo byliśmy wówczas przygnębieni. Trzeba przyznać, że po bitwie Amerykanie okazali nam wiele dobrej woli. Większość załogi „Javy” została natychmiast odesłana do domu na pokładach statków do przewozu jeńców, a tych, którzy odnieśli rany, zabrali do Bostonu. Maturin szlachetnie zaofiarował się wówczas, iż uda się ze mną i z innymi swymi pacjentami...

- Został pan ranny? - wykrzyknęła dziewczyna.

- Nic wielkiego, kula muszkietowa trafiła mnie w ramię - odrzekł Jack. -

Rana jednak goiła się bardzo źle i gdyby nie Stephen, zapewne straciłbym ramię. Tak więc obaj trafiliśmy do Bostonu jako jeńcy wojenni. Nasza wymiana opóźniła się jednak z rozmaitych powodów i widząc, że sytuacja staje się coraz gorsza, wzięliśmy z Maturinem łódkę, zabraliśmy Dianę Villiers i...

- Na litość boską, a cóż ona tam porabiała?

- Przebywała u swych amerykańskich przyjaciół, lecz zaskoczył ją wybuch wojny. Skierowaliśmy się na naszej łodzi ku wejściu do portu, gdzie co rano „Shannon” przeprowadzała rozpoznanie. Udało nam się spotkać z okrętem i Broke uprzejmie zgodził się, że zabierze nas do Halifaxu. W ten właśnie sposób...

Niespodziewanie lunął obiecany przez Jacka i przewidziany przez ropuchę deszcz, tak więc oboje szybko wbiegli do sali balowej. Ich wejście nie przyciągnęło jednak wiele uwagi - byli w końcu jedną parą z wielu, a co więcej, przed nimi do środka wbiegła pewna młoda dama, której wygląd wywołał

znacznie więcej komentarzy. Na jej białej sukni tu i ówdzie wisiały kłębki mchu, widać też było kilka zielonych plam od trawy. Mimo tego nie udało im się wejść niespostrzeżenie. Pułkownik Aldington obrzucił ich ponurym, niechętnym spojrzeniem, a gdy panna Smith oddaliła się na moment, a Jack popijał rum zmieszany z ponczem, by odgonić wilgoć, powiedział:

- Posłuchaj, Jack, wszystko ładniepięknie, ale przywłaszczyłeś sobie moją partnerkę. Już miałem podejść i poprosić ją do tańca, który umówiłem wcześniej, gdy nagle zobaczyłem, jak we dwójkę wymykacie się do ogrodu!

Widziałem was! Musiałem potem stać tu jak skończony idiota przez dwa pełne tańce. To nie w porządku, to naprawdę nie w porządku!

- Tylko odważnym należy się sprawiedliwość! - rzekł Jack. Stwierdzenie to spodobało mu się do tego stopnia, że naraz zaczął wyśpiewywać je swoim niskim, lecz zaskakująco melodyjnym głosem.

- Tylko odważnym, tylko odważnym, należy się sprawiedliwość! Ha, ha, ha! Co ty na to, Tom?

- Nie mam pojęcia, co chciałeś mi dać do zrozumienia tym „odważnym” -

rzekł pułkownik rozżłoszczony do granic. - Ale jeśli tak rozumiesz sprawiedliwość, to cóż... Mogę tylko powiedzieć, że jest to twój punkt widzenia, nie mój. To wszystko. Mógłbym rzec znacznie więcej. Mógłbym powiedzieć, że po tym, co właśnie usłyszałem, uświadomiłem sobie, że nie powinienem się był

spodziewać po tobie niczego lepszego. Mógłbym też dodać coś na temat twej reputacji i ostrzec, byś nie sparzył sobie przypadkiem palców, ale nie zrobię tego. Nie poradzę ci również, byś odstawił kielich i nie pił więcej, bo dość masz już w czubie, ale tego też nie zrobię. Zawsze byłeś egoistycznym...

Pojawienie się panny Smith powstrzymało ripostę, która być może formowała się już w myślach Jacka. Kapela na nowo zaczęła grać, tak więc poprowadził dziewczynę do tańca.

„To dziwne, jak różnie wino działa na ludzi” - pomyślał podczas pierwszych kroków. „Niektórzy stają się ponurzy, inni czepiają się wszystkiego, jeszcze inni chętnie wszczynają burdy bądź uderzają w płaczliwy ton. Na mnie wino nie działa w ogóle, poza tym, że po kilku kieliszkach bardziej lubię ludzi, a świat wydaje mi się zabawniejszym miejscem”.

- Choć wątpię, czy mógłby stać się jeszcze zabawniejszy niż w tej chwili -

mruknął, uśmiechając się do tłumu gości. Wszyscy oni z trudem kryli wesołość, przyglądając się owej dziewczynie w sukni poplamionej trawą, która tańczyła całkowicie nieświadoma dowodów swej frywolności.

- Nie sądzisz, Stephen, że Jack oraz panna Smith coraz bardziej rzucają się w oczy? - spytała Diana kilka chwil później. - Tańczą przez cały czas, z wyjątkiem chwil, gdy znikają razem w jakimś kąciuku.

- Miejmy nadzieję, że dobrze się bawią - rzekł Stephen.

- A nie sądzisz, że jako jego przyjaciel powinieneś mu powiedzieć, w co się właśnie pakuje?

- Nie.

- Nie, oczywiście, że nie. Lecz przysięgam ci, na widok tej kobiety rośnie we mnie oburzenie. Uwodzenie nieboraka Aubreya przypomina kradzież ostatnich pensów z kapelusza żebrzącego ślepeca. Spójrz, aż promienieje na twarzy, a wywija w tańcu jak młody jelonek. Nie powiedziałabym ani słowa, gdyby zainteresował się kimś w stylu tej śmiesznej dziewczuchy w sukni brudnej od trawy, lecz skoro kręci się koło niego ktoś tak niegodziwy jak Amanda Smith...

- Niegodziwy, Dianko?

- Tak. Poznałam ją w Indiach, gdy jeszcze byłam małą dziewczynką.

Często wypływała wraz z flotą rybacką, a mieszkała u swej ciotki, która miała identyczny długi nos i identyczny sposób nakładania szminki za pomocą kielni.

To istna banda gburów i prostaków. Pochodzą z Rutland, sam wiesz, powolne konie i szybkie kobiety. Wtedy w Indiach desperacko próbowała znaleźć sobie jakiegoś męża, a tu jak widać również nie ustaje w wysiłkach. Oficerowie armii zachowują jednak wiele ostrożności w kwestii doboru żony, w przeciwieństwie do oficerów marynarki. Jej reputacja w chwili obecnej jest... No cóż, niewiele lepsza od mojej. Jack naprawdę powinien na siebie uważać.

- Panna Smith w istocie wydaje się niewiarygodnie wprost uprzejma. Nie jest ona jednak przypadkiem odrobinę głupiutka? Nie ponosi ją aby zwykły entuzjazm?

- Nie wierz temu. Być może wydaje się kapryśną, niezrównoważoną histeryczką, ale zawsze zachowuje pełnię przytomności umysłu, gdy zwiertzy dobrą okazję. Jack jest znany ze swego majątku, wszyscy żeglarze nazywają go przecież Jackiem „Szczęściarzem” Aubreyem. Ujmę to tak, Stephen... o ile dach tej sali nie zwali nam się na głowy, jestem pewna, że Jack zakończy tę noc w ramionach tej kobiety, a to będzie oznaczało dla niego początek ogromnych tarapatów. Nie mógłbyś go jakoś ostrzec?

- Nie, droga pani.

- Nie, być może w istocie nie. Nie jesteś w końcu opiekunem swego małego braciszka, a to pewnie będzie zaledwie przelotny flirt.

- Powiedz mi, moja droga - rzekł Stephen - cóż tak cię właściwie wzburzyło?

Diana na moment zatrzymała się, po czym zrobiła trzy kroki na lewo, a potem trzy na prawo, idealnie do rytmu, po czym udzieliła mu dokładnie tej odpowiedzi, której się spodziewał:

- Och, nic takiego. Rozmawiałam tylko z lady Harriet i panią Wodehouse, gdy dołączyła do nas Anne Keppel. Przyjrzała mi się bacznie, udając, że ogląda me brylanty. Dodała przy tym, że nie widziała ich w Londynie, a nigdy nie zapomniałaby naszyjnika z takim brylantem pośrodku. Spytała też, czy nie nabyłam ich przypadkiem w Ameryce, a potem zaczęła mnie wypytywać, co właściwie porabiałam przez cały ten czas. Cóż za bezczelna kobieta. Wcześniej też zauważyłam znaczące spojrzenia, które zepsuły mi nastrój. Jestem pewna, że pułkownik Aldington uciął sobie na mój temat rozmowę z pewną kobietą. -

Stephen zrobił kilka uwag na temat brylantów i zazdrości, lecz Diana bynajmniej nie porzuciła swego punktu widzenia. - Och, w taką noc nawet najbardziej złośliwy zazdrośnik nie będzie okazywał niezyczliwości -

powiedziała. - Choć, dzięki Bogu, Anne Keppel nie ma żadnych brylantów, którymi mogłaby się poszczycić. Nie masz jednak pojęcia, jak bardzo marzę o tym, by wsiąść na statek do domu. Lady Harriet to kochana, dobra kobieta, ale życie w takiej bazie, wśród łajdaków pokroju Aldingtona i krążących wszędzie ohydnych plotek Anne Keppel, szybko stałoby się koszmarem. Ech, mniejsza o to. Chodź, Stephen. - Tańczyli teraz w środku, a gdy oddawał ją kolejnemu tancerzowi i odbierał z

powrotem, zauważył, że jej nastrój uległ już zmianie.

Zniknął ów niebezpieczny błysk w oku i nie unosiła już głowy w geście wyzwania - miast tego w całości oddała się czerpanej z tańca radości i wraz z innymi gośćmi, podobnie jak ona rozkoszującymi się muzyką, na powrót dała się porwać nastrojowi balu i atmosferze zwycięstwa. Stephen nigdy w życiu nie widział, by wyglądała tak pięknie i znów zastanowił się nad swą niewrażliwością. W pewnym momencie Diana spojrzała ponad wirującymi tancerzami i rzuciła z ogromnym rozbawieniem: - Ta dziewczyna z zielonymi plecami jest naprawdę wspaniała! - Dało mu to jeszcze więcej do myślenia, gdyż jak dotąd każdy przypadek wesołości ze strony Diany, które wcale nie miały często miejsca, wprawiał go w całkowity zachwyt. Być może ów brak wrażliwości na jej wdzięki był jedynie tymczasowym sposobem ochrony, sposobem na to, by łatwiej mógł znieść pustkę w swym wnętrzu. Przecież bez trudu mógł sprawić, by jego serce na nowo żywo zabiło, jak kiedyś robiło to nieświadomie. Z drugiej jednak strony, sam bawił się o wiele lepiej, niż mógł się tego spodziewać i choć pustka była wciąż odczuwalna, wyraźna niczym biel pustych kartek książki po słowie „finis”, był jej teraz znacznie mniej świadom.

Kapela grała menueta Clementiego w tonacji Cdur, który kiedyś wraz z Jackiem przerobili na skrzypce i wiolonczelę, a potem niejednokrotnie wspólnie grywali.

Niespodziewanie poczuł, że muzyka go porywa, po raz pierwszy od chwili, gdy zaczął tańczyć z Dianą. Znajomy mu utwór naraz zyskał dla niego całkowicie inny wymiar, poczuł, że poruszając się w dyktowanym przezeń rytmie, staje się z nim jednością, że dotyka samego serca muzyki. Tańcząc, znalazł się w zupełnie nowym świecie, całkowicie w nowej teraźniejszości. - Ta dziewczyna z zielonymi plecami jest naprawdę wspaniała! - powtórzyła Diana, zagłuszając głębokie brzmienie wiolonczeli. - Naprawdę świetnie się bawi. Och, Stephen, ileż ja bym dała, by ta noc trwała wiecznie.

W rzeczywistości ta noc trwała jeszcze ledwie kilka godzin, lecz kapitan Aubrey zgodnie z przepowiedniami Diany zdążył do tego czasu zasnąć głębokim snem w łóżu panny Smith. Gdy zbudziła go gwałtownym szarpnięciem za ramię, na wschodzie zaczęło się już przejaśniać.

- Musisz już iść! - ponagliła go szeptem. - Służący są już na nogach.

Szybko, to twoja koszula. - Jack oprzytomniał w jednej chwili i z konsternacją dostrzegł, że dziewczyna roni łzy. - Nigdy, pod żadnym pozorem nie powinniśmy tego powtarzać! - szepnęła, przytulając się do niego. - Oto twoje bryczesy - dodała, uspokajając się. Jego ramię wciąż nie było w pełni sprawne i Jack miał trudności z włożeniem fontazia, tak więc zajęła się tym Amanda. Ku jego zaskoczeniu, dziewczyna wybuchła przy tym histerycznym śmiechem a potem bez większego powodzenia próbowała rzucić jakiś składny dowcip: -

Lady Hamilton na pewno nie raz robiła to samo dla Nelsona! Mniejsza o manewry, zawsze walcie prosto na nich! Ha, ha, ha! - W tym czasie Jack włożył

kurtkę mundurową i związał włosy. - Wyjdź przez bramę ogrodową, jest zamykana na zasuwkę. Ale dziś zostawię ją otwartą na noc.

Deski pokoju, który dzielił ze Stephenem, skrzypiały do tego stopnia, że zignorowanie jego powrotu było praktycznie niemożliwe, lecz mimo tego Maturin postanowił nie reagować i pozwolić mu się spokojnie ułożyć do snu.

Jego zamiar niestety się nie udał, gdyż Jack, który starał się poruszać jak najciszej, w pewnym momencie stracił prymitywną miedzianą miskę do mycia.

Spadająca miska huknęła głośno niczym dzwon i przez moment toczyła się z brzękiem po podłodze, by w końcu zatrzymać się na niewielkim stoliku przy łóżku Stephena. Takiego hałasu nie można było przespać, tak więc doktor usiadł

na łóżku.

- Przepraszam, że cię obudziłem - powiedział Jack, uśmiechając się do niego z rozpromienioną twarzą. - Byłem na spacerze.

- A tymczasem wyglądasz, jakbyś odnalazł Fontannę Młodości, bracie.

Mam jednakże nadzieję, że nałożyłeś płaszcz lub choćby flanelową kamizelę.

Nie jesteś już młodzieniaszkiem, a twoje ramię nie jest do końca zaleczone. W

tym stanie poranna rosa może ci wielce zaszkodzić. Powinieneś doprawdy zwracać większą uwagę na swoje zdrowie. Pokaż mi ramię. No właśnie, tumor, rubor, dolor⁴. Jasno widać, że znów je nierozważnie nadwreżalesz. Natychmiast załóż temblak. Naprawdę tego nie czujesz? Nie odczuwasz sztywności stawu?

- Trochę boli - rzekł Jack. - Ale poza tym czuję się zaskakująco dobrze.

Pomimo tego gędzenia na temat mojego wieku i flanelowych kamizelek czuję się tak młodo jak w chwili, gdy otrzymałem pierwsze dowództwo, Stephen. Ba, a nawet młodziej! Poranny spacer dodaje mnóstwa energii, z pewnością to jest ta twoja Fontanna Młodości. Sądzę, że dziś wieczór również zafunduję sobie taki spacer.

- Widziałeś wielu ludzi na zewnątrz?

- Nieoczekiwanie wielu, co jest aż dziwne. Ludzie pędzą w najróżniejszych kierunkach, zauważyłem nawet kilku znanych sobie oficerów.

- Twe słowa potwierdzają moje przypuszczenia. Halifax jest miastem, gdzie życie budzi się bardzo wcześnie. Zbudowałem swą teorię najpierw na podstawie hałasu, dobiegającego z ulicy, a utwierdziłem się w niej po pierwszej wizycie. Wpadł tu pewien wymizerowany chłopaczek, typowy przypadek skoliozy, biedne dziecko, i przyniósł list od pana Gittingsa.

- Kim jest pan Gittings?

- To naczelnik poczty.

Jack rozdarł kopertę i podszedł z listem do okna.

- „Zaszła doprawdy niefortunna pomyłka...” - przeczytał na głos. - „Listy kapitana Aubreya zostały specjalnie odłożone na bok, a pracownicy nie byli o tym poinformowani. Listy oczekują na odbiór w każdej chwili”. Boże, pobłogosław mnie, Boże, ukarż mnie. Nigdy bym nie... Stephen, pójdę tam bezzwłocznie.

- Ale zanim wyjdiesz - rzekł Stephen - założę ci na powrót temblak.

Chciałbym ci również zasugerować, byś się umył, zanim przystąpię do dzieła.

W świetle dnia ludzie będą gotowi pomyśleć, że wdałeś się w jakąś bijatykę.

Jack spojrzał na szybę. W ciemnościach alkowy panny Smith nie zwrócił

uwagi na zabawne ślady różu na swych policzkach, które teraz, gdy odzyskał

powagę, wcale śmieszne się nie wydawały. Pospiesznie obmył twarz, wytrzymał

w milczeniu zabiegi Stephena, choć nie przyszło mu to łatwo, po czym wybiegł

z karczmy.

Jego nieobecność trwała bardzo krótko i już po chwili Stephen usłyszał

ciężkie kroki na schodach. Jack wpadł do pokoju z dwiema paczkami zaszytymi w płótno oraz garścią kopert.

- Wybacz mi, Stephen - rzucił. - Niemal wszystkie listy są od Sophie i nie mogłem ich przeczytać w poczekalni.

Maturin zaczął się ubierać, by wyjść do szpitala, a Jack w tym czasie zagłębił się w stos listów i zaczął układać wedle najwcześniejszych dat nadania.

Wyraz winy i przestachu zniknął z jego twarzy, a w jego miejsce pojawiła się radosna niecierpliwość. Gdy Stephen powrócił, bezładny stos listów zamienił się w starannie ułożony stosik, z których wszystkie były już dwukrotnie przeczytane. Jack obciążył je karafką z wodą a obok rozłożył kilka kartek z wyliczeniami. Na jego obliczu malowało się osobliwe połączenie głębokiego szczęścia ze zgryzotą.

- Sophie przesyła ci wyrazy miłości w każdym z tych listów - rzekł. - W

domu wszystko już w porządku, z wyjątkiem tego przekłętego Kimbera. George nosi już spodenki, a dziewczynki uczą się dobrych manier i francuskiego. Boże, Stephen, w głowie mi się nie mieści, że te dwa maleństwa z kiteczkami już się uczą francuskiego!

- Otrzymała któryś z twoich listów wysłanych z Bostonu?

- Tak, dwa. Już wcześniej dowiedziała się z duplikatów meldunków admirała Drury'ego, że „Leopard” dotarł bezpiecznie do Nowej Holandii, a ów dobroduszny porucznik Chads zaraz po zakończeniu sądu wojennego ruszył do Hampshire i opowiedział wszystko o uratowaniu nas przez „Jawę” oraz o bitwie z „Constitution”. Zachował sporo taktu w temacie mojej rany. Stwierdził

bowiem, że nie była na tyle poważna, by wykluczyć mnie na długo z akcji, lecz uznano, iż lepiej będzie zawieźć nas dwóch do Ameryki, a następnie oddać w drodze wymiany, aniżeli zaryzykować wędrówkę przez tropiki na statku zatłoczonym jeńcami wojennymi. Jestem mu niepomiernie wdzięczny. Sophie uwierzyła mu bowiem bez zastrzeżeń i przez to nie martwiła się wcale.

- Naturalnie. Jestem pewien, że uwierzyła słowom porucznika Chadsa.

- Czy panowie mają teraz ochotę na śniadanie? - spytała pokojówka, gramoląc się do środka.

- Jeśli będzie pani na tyle dobra, moja droga - rzekł Stephen. - Mam tylko jedną sprawę, dziecko. Poproś w kuchni, by zrobili nam dwa razy mocniejszą kawę, dobrze? - A w chwilę później, popijając cienką zawieszinę przyniesioną przez pokojówkę, stwierdził: - Na pewno uwierzyła. Bez wątplenia znasz to łacińskie porzekadło, iż ludzie zazwyczaj wierzą w to, w co chcą uwierzyć.

Dopiero co wczoraj nad nim rozmyślałem - ciągnął, patrząc przez okno na Dianę Villiers i lady Harriet, które szły chodnikiem po przeciwległej stronie ulicy za niosącym paczki lokajem. - Myślałem o nim i jego dalszych konsekwencjach. Otóż ludzie często nie widzą tego, czego nie życzą sobie widzieć. Nie chcąc nikogo okłamać ani oszukać, po prostu nie dostrzegają niewygodnych dla siebie rzeczy. Myślałem o tym, gdyż odkryłem dość ewidentny tego przykład w sobie. Przez całe tygodnie patrzyłem na objawy pewnego stanu fizycznego, a mimo tego ich nie dostrzegałem. Jako lekarz powinienem był zauważyć przynajmniej niektóre z owych symptomów, a choć każdy z osobna mógł wydać się dość ulotnym i nie podsunąć żadnych wniosków, wszystkie razem powinny nasunąć mi jakieś spostrzeżenia. Nie, ja jednak nie dostrzegłem niczego i byłem szczerze zdumiony, gdy uświadomiono mi ów stan, o którym mówię. Gnosce te ipsum⁵, chciałoby się rzec, ale jak się do tego zabrać? Jesteśmy omylnymi istotami, Jack, a w sztuce oszukiwania samych siebie osiągnęliśmy istne mistrzostwo.

- Moja stara niania również mi to powtarzała - powiedział Jack. Monologi Stephena bywały nudne i myśli

Jacka zdążyły już uciec ku rozliczeniom, leżącym przy listach Sophie.

- Mówiłeś coś o tym cholernym Kimberze - powiedział Stephen.

- Tak. Wciąż realizuje te swe szalone pomysły i próbuje wyciągnąć z Sophie więcej pieniędzy. Twierdzi, że jeszcze kilka tysięcy uratuje przedsięwzięcie i zamieni niekończące się straty w całkiem sensowny zysk.

Operuje już tysiącami, jakby były to zwykłe jednostki pieniężne. Ni w ząb niczego nie rozumiem z rachunków, które jej przedstawił, choć przecież dobrze sobie radzę z arytmetyką. Namawia ją do sprzedania Delderwood. Nie wygląda na to, by ten cholerny papier, który podpisałem przed

wyjazdem, nadawał mu jakiegokolwiek pełnomocnictwo, gdyż w takim razie nie potrzebowałby jej zgody.

- Jakie były warunki waszej umowy małżeńskiej?

- Nie mam pojęcia. Po prostu zgodziłem się na wszystko, co zasugerowała matka Sophie, a raczej jej człowiek od interesów. Potem tylko podpisałem się tam, gdzie mi kazano.

Stephen znał panią Williams od dawna i pocieszało go to, że jako jedna z najbardziej chciwych znanych mu osób z pewnością zabezpieczyła cały majątek Jacka tak bardzo, jak tylko pozwalało na to prawo.

- Mój drogi, dawno, dawno temu, gdy płynęliśmy po odległych, wschodnich morzach, a ty po raz pierwszy dowiedziałeś się o pomysłach tego człowieka, poprosiłem cię, byś odwrócił swe myśli od tych zmartwień póki „La Fleche” nie dowiezie nas do domu. Skłoniłem cię, byś nie marnował swego czasu i swej energii jałowymi rozmyślaniami i pustym, nic nie wnoszącym obwinianiem się. Chciałem, byś odłożył to zmartwienie na bok do chwili, gdy będziesz miał wszystkie potrzebne informacje i wspólnie będziemy mogli dobrze się nad sprawą zastanowić, a ponadto zasięgniesz profesjonalnej porady prawnej i spotkasz się z owym człowiekiem w towarzystwie fachowca do spraw interesów. Była to wówczas sensowna rada, drogi panie, a dziś brzmi jeszcze lepiej. Od powrotu do ojczyzny dzielą nas ledwie dni bądź tygodnie i jeśli masz zamiar spędzić ten czas, ciskając się naokoło w bezsilnej wściekłości, przybędziesz do Anglii z chaosem w głowie i niczego w ten sposób nie osiągniesz. Poczekaj te parę dni. Meldunki kapitana Broke’a bez wątpienia zostaną wysłane zaraz po tym, jak je napisze. Wieści spotkają się przecież ze wspaniałym przyjęciem w rządzie.

- Otóż to, na Boga! - wykrzyknął Jack, a jego twarz rozpromieniła się na nowo na wspomnienie zwycięstwa. - I szczęśliwy jest ten, kto je zaniesie.

Stephen, postąpię zgodnie z twoją radą. Będę niczym stary stoik, zachowam spokojny umysł i nie będę się zamartwiał Kimberem. A poza tym - dodał po chwili cichszym głosem, a błysk w jego oku nagle zgasł. - Być może będę miał

wystarczająco dużo problemów tu, w Halifaksie.

Zaiste, trafił tym w sedno, gdyż choć temblak, którego noszenie przykazał

mu Stephen, rana, surowa dieta i ogólny stan zdrowia usprawiedliwiły go przed nocnymi wizytami u panny Smith, dziewczyna uporczywie szukała sposobności, by towarzyszyć mu za dnia. Wyglądało na to, że czerpie perwersyjną przyjemność z kompromitowania się w oczach innych i rozgłaszania wieści o ich romansie. Jack udawał chorego i nie wychodził z łóżka, lecz panna Smith bez skrupowania odwiedzała wówczas gospodę i czytała mu książki. Gdy nie mógł już znieść Childe Harolda, czytanego przez nią pełnym entuzjazmu, rozemocjonowanym głosem i proponował wyjście na dwór i zaczerpnięcie świeżego powietrza, Amanda uwieszała się u jego ramienia i ciągnęła go w bardziej towarzyskie części miasta. Bywało też, że bez końca obwoziła go po mieście w powozie swego brata, wykazując przy tym całkowity brak wprawy w powożeniu. Jack dostrzegł, że inni

mężczyźni, a zwłaszcza jego kuzyn Aldington, bynajmniej mu nie zazdrościli i sam zmuszony był przyznać, że towarzystwo kapryśnej, niezrównoważonej, upartej i niebywale energicznej młodej damy z tendencjami do popadania w histerię i wygłaszania niekorzystnych uwag na temat innych ludzi nie było czymś, czego inni mogliby pozazdrościć. Zauważył też, że panna Smith miała na swój temat wybujałe zdanie, którego nie uzasadniały ani jej wdzięki, ani też zalety intelektu. Bywały chwile, gdy żałował, że admirał Nelson w ogóle spotkał lady Hamilton.

Nigdy zaś nie żałował tego bardziej jak w dniu, gdy zabrał ją na

„Shannon”. Panna Smith mówiła o nich jako

o parze z takim zaangażowaniem i radością że zdaniem Jacka nawet najgłupszy słuchacz musiał jej uwierzyć. Żaden z oficerów „Shannon” głupcem jednak nie był

Jack dostrzegł pełne zrozumienia spojrzenia między Wallisem a Etoughem. Pomimo jej protestów i przeraźliwych wrzasków - uparła się bowiem ujrzeć miejsce, gdzie złożono rannego bohatera - zabrał ją wtedy natychmiast na brzeg. Na pokładzie okrętu Jack odzyskał część swego naturalnego autorytetu, lecz na lądzie nadal był żałośnie słaby. Mimo że znał się nieco na kobietach i bynajmniej nie był wobec nich obojętny, spędził tyle czasu na morzu, iż stał się wobec nich całkowicie bezbronny. Po prostu nie mógł się zdobyć na stanowcze, surowe bądź nieuprzejme zachowanie wobec panny Smith. Pomimo swej reputacji, jaką zdobył za młodu na Morzu Śródziemnym, w głębi serca nie był

rozpustnikiem. Nigdy nie wypracował sobie żadnej strategii zachowania wobec kobiet i był szczerze przejęty i zaskoczony, gdy okazało się, że takowa strategia jest czymś koniecznym.

Spotykali się często na obiadach, w których zmuszony był uczestniczyć.

Panna Smith okazywała wówczas wobec niego nadmierną troskliwość, co za każdym razem całkowicie psuło mu nastrój. Miał już jej dość do tego stopnia, że wymigał się nawet od balu u komisarza, choć było to poważne pogwałcenie zasad morskiej etykiety. Z dnia na dzień rosło ponadto prawdopodobieństwo rychłego powrotu majora Smitha i choć Jack był niezwykle odważnym człowiekiem, nie miał najmniejszej ochoty tłumaczyć się żołnierzowi z niczego, a przynajmniej nie przy obecnej kondycji moralnej.

Mijał dzień za dniem. Do Halifaxu zawinął okręt pocztowy „Diligence” prosto z Anglii, przywożąc paczki nowych listów oraz ciepłe pończochy. Okręt rzucił kotwicę przy HMS „Nova Scotia”, gdzie jednak przyszło mu spędzić wiele czasu. Dni bowiem uciekały, a nieszczęsny kapitan Broke wciąż nie spisał

swoich meldunków.

- Koncentracja sprawia mu ból i pryska po paru minutach - stwierdził

Stephen. - Rana w jego głowie oraz wgniecenie kości czaszki okazały się znacznie poważniejsze, niż przypuszczaliśmy, i proces leczenia potrwa jeszcze bardzo długo. Przymuszanie go do napisania

sensownych, przemyślanych meldunków w tym stanie byłoby aktem czystego okrucieństwa.

- Dlaczego więc nie poproszą młodego Wallisa, by zrobił to za niego? -

spytał Jack.

- Prosili, ale Wallis odmawia za każdym razem. Twierdzi, iż nie chce pomniejszać chwały swego dowódcy lub też próbować uzurpować choćby najmniejszej jej części dla siebie.

- To zaiste słuszną, honorową decyzją - powiedział Jack niezadowolonym tonem. - Istnieje jednak coś takiego jak nadmierna skrupulatność czy nadmierna służbistość. Myślę jednak, że o ile Broke nie wyzdrowieje za dzień lub dwa, komisarz wraz ze starszymi oficerami wkrótce coś uknują. Pewnie aż się palą, by posłać meldunki do Anglii. Przecież sam się nie mogę doczekać. Marzę, by wejść na pokład tego statku pocztowego. Aż mnie skręca, gdy widzę, jak kotwiczy w farwaterze i unosi się lekko na fali przyływu, z wiatrem najdogodniejszym z możliwych. Zastanawiam się, dlaczego tak długo zwlekają.

- Dlaczego, na litość boską, uparłeś się na ten statek pocztowy? Przecież na nim przewiozą jedynie pocztę oraz duplikaty meldunków. Wallis lub Falkiner mają przewieźć oryginał na słupie „Nova Scotia”, a wedle praw natury najpierw dotrze rozkaz, a potem jego echo.

- Masz taką nadzieję, tak? Zwróć jedynie uwagę na fakt, iż „Diligence” jest o wiele szybszy od słupu. Co więcej, nie jest to jeden z tych państwowych statków pocztowych z Falmouth, ale został wynajęty i kieruje się do Portsmouth, prosto do domu. Pewnie Capel stanie na głowie, by jego słup dotarł

tam pierwszy, ale gotów jestem się założyć, że „Diligence” będzie w porcie kilka pływów wcześniej.

- Pewna dama chciałaby się z panem zobaczyć - oznajmił jeden ze służących gospody.

- O Boże - wymamrotał Jack i ruszył biegiem do sypialni. Większość przyjezdnych ujrzała już „Chesapeake”, przez co wiele pokoi zostało zwolnionych i obaj przyjaciele wynajęli również salonik, gdzie Stephen ujrzał w drzwiach Dianę.

- Wyglądasz kwitnąco, moja droga - rzekł.

- Miło mi to słyszeć - odpowiedziała, lecz Maturin odgadł, w jakim jest stanie, ledwie spojrzał jej w oczy. W Dianie zaszła pewna cicha, subtelna przemiana, którą widywał już wcześniej, ale nigdy dotąd tak często. Owa przemiana pojawiała się nieregularnie, lecz gdy już nadeszła, nie było sposobu, by ją cofnąć. W tym stanie Diana nie potrafiła wprost kłamać, a co dziwne, działało to również na samego Stephena, zresztą zarówno jako lekarz, jak i agent wywiadu uważał kłamstwa za coś uwłaczającego. Wychodził z założenia, iż wymiana spojrzeń sprzyjała, a może niekiedy nawet wywoływała ową przemianę, dlatego też czasami zakładał okulary z niebieskimi bądź zielonymi szkiełkami. Tymczasem w pierwszych swych słowach Diana oznajmiła, że mają wypływać niemal natychmiast.

- Lady Harriet powiedziała mi w wielkiej tajemnicy, że kapitan Capel i komisarz sami napisali

meldunki kapitana Broke'a i chcą je teraz bezzwłocznie wysłać, oryginał na slupie „Nova Scotia”, a kopie na statku pocztowym. Skoro jednak wszyscy i tak się o tym dowiedzą z chwilą, gdy rozkazy zostaną wysłane, pomyślałam sobie, że nic się nie stanie, jeśli wam powiem. - Następnie opowiedziała im o wypadku, jakiemu uległa panna Smith. Dziewczyna wywróciła powóz, próbując pokonać zakręt ze zbyt dużą prędkością. -

Znalazłam się tam w chwilę później - mówiła. - Patrzę, a powóz leży w pyle drogi, a jakiś mężczyzna siedzi na łbie konia. Nie macie pojęcia, jak bardzo gardzę kobietami, które każdy upadek kwitują atakiem hysterii.

- Pewnie bardzo się potłukła?

- Skądże. Od powozu odpadło koło, podarła też sobie halkę, ale to wszystko. Odprowadziłam ją do domu. Stephen, kim jest ta cała Dydona?

- Z tego co pamiętam, była to pierwsza królowa Kartaginy. Otoczyła swymi wdziękami Eneasza i mocno przeżyła, gdy ten ją opuścił. Gdy pomknął

w siną dal, jak ludzie mawiają.

- Aha. No cóż, a zatem przynajmniej dała sobie spokój z porównaniami do lady Hamilton. Ją również wtajemniczono w sekret i bez ustanku powtarzała:

„Zostanę drugą Dydoną”. Nie mam pojęcia, jak Jack mógł okazać się takim głupcem. Na mój honor, żeby romansować z dziewczyną pokroju Amandy Smith? Od razu mogłam mu powiedzieć, jak to się wszystko skończy.

- Z pewnością sprawiłoby ci to wiele satysfakcji, Diano.

- Jak się masz, kuzynko! - odezwał się Jack, który wszedł do saloniku, nim Diana zdążyła odpowiedzieć. - Usłyszałem twój głos i pomyślałem sobie, że przywitam się przed wyjściem. Wyglądasz doprawdy wspaniale...

Brzoskwinie wydają się blade przy twojej cerze.

- Dziękuję, Jack. Właśnie opowiadałam Stephenowi, że panna Smith wywróciła się wraz ze swym powozem. Co więcej, mamy niebawem wypłynąć z Halifaksu, na statku pocztowym lub na slupie.

- Naprawdę? Dobry Boże! - rzekł Jack. - Mam nadzieję, że nic jej się nie stało? Nie połamała rąk, nóg czy czegoś tam?

- Nie. Skończyło się na strachu i podartej halce. Skoro jednak mamy wkrótce wypływać, pora się pożegnać z kilkoma osobami i spakować dobytek.

- Cóż, jeśli o to chodzi, mój dobytek ogranicza się do tego, co mam na sobie. Dowiem się więc, jakie przewidziano rozkazy dla statku pocztowego, a potem skoczę do portu i zarezerwuję dla nas jakieś przyzwoite koje.

Zawahał się przy tych słowach na moment, gdyż przyszło mu do głowy, by spytać, czy chcieliby dla siebie osobną kajutę. Prosił przecież kapitana Broke'a o udzielenie im ślubu, a choć ich plany pokrzyżowała bitwa oraz rana Broke'a, Jack sądził, iż ceremonia odbędzie się w Halifaksie. Tymczasem od tego momentu żadne z nich nie pisnęło nawet słówkiem na temat ślubu i Jack odniósł wrażenie, że jest to sprawa delikatna, której lepiej teraz nie poruszać.

Nie powiedział więc ani słowa.

Po jego odejściu w saloniku nadal panowała cisza.

- Co to? - spytała w końcu Diana, wskazując resztki po ich obiedzie.

- Technicznie rzecz biorąc, jest to kawa - rzekł Stephen. - Nalać ci filiżankę? Nie mogę jej jednak z czystym sercem polecić, chyba że przepadasz za mielonymi żołądziami i smażonym jęczmieniem, zaparzonymi w wodzie nabranej prosto z portu. - A po kolejnej chwili ciszy powiedział: - Jakiś czas temu rozmawialiśmy o ślubie. Moja droga, nasz statek ma niebawem wyruszyć w rejs. Nie powinniśmy więc bezzwłocznie udać się do prezbiterium? Nie ma jeszcze dwunastej, a ja dobrze znam ojca Costello. Nie będzie nam robił

trudności i natychmiast pobłogosławi nasz związek.

Diana zbladła, wstała i zaczęła chodzić nerwowo po pokoju. Przechodząc obok stolika, na którym leżały cygara Stephena, wzięła jedno z nich i pozwoliła, by je jej przypalił.

- Stephen, kocham cię mocno i gdybym kiedykolwiek musiała prosić kogoś o miłosierdzie, zwróciłabym się do ciebie - powiedziała, otoczona chmurą dymu. - Ale wiem też doskonale, że nie masz najmniejszej ochoty mnie poślubić. Wiem to od chwili, gdy doszłam do siebie po tych przerażających chwilach w Bostonie. Powinnam była odgadnąć to już w chwili, gdy cię znów zobaczyłam, lecz niestety, byłam zbyt wyniszczona i pełna przerażenia wobec tego człowieka. Nie, nie kłam, Stephen. Zachowujesz się doprawdy po rycersku, ale nie ma to sensu. Najmniejszego sensu. A ponadto - powiedziała, patrząc na niego wyzywająco, choć na jej policzki wypłynął mocny rumieniec - ja sama nigdy nie wyszłabym za człowieka, który ma dziecko z inną kobietą. Nie, na Boga, nawet gdyby miało to ocalić moje życie. Nalej mi czegoś mocniejszego, Stephen. Takie wyznania mogą całkiem człowieka wyczerpać.

- Mam tylko rum - rzeki Stephen, rozglądając się w poszukiwaniu czystej szklanki. - Lecz to ostatnia rzecz, którą cię poczęstuję. Miałem zamiar powiedzieć ci to już kilka tygodni temu... Żadnego alkoholu, Dianko. Wystrzegaj się również mocnego sznurowania gorsetu, podobnie jak tytoniu.

- Ty wiedziałaś? - wykrzyknęła.

Stephen pokiwał głową i powiedział:

- Doprawdy, uważam, że przesadzasz i to mocno, moja droga. Z drugiej strony nie ma w tym nic dziwnego. Nie dość, że twój obecny stan słynie z tego, iż wypacza spojrzenie na rzeczywistość, a mówię te słowa jako lekarz, to jeszcze ostatnia burza nastrojów, ucieczka, ratunek i bitwa z

„Chesapeake” z pewnością pogłębiły ową tendencję, przez co twój umysł jest bardziej skłonny do popełniania poważnych błędów. Mylisz się choćby w ocenie moich uczuć.

Być może nie jestem już tym trzęsącym się ze zdenerwowania absztyfikantem jak kiedyś, gdy byłem młodszy, lecz to akurat trzeba złożyć na karby wieku.

Gdy zaczynają siwieć włosy, nie uchodzi już otwarcie okazywać uczuć, lecz na mój honor, zasadniczo uczucia moje wobec ciebie nie uległy zmianie. - Diana bez słowa położyła mu dłoń na rękę i obrzuciła spojrzeniem tak smutnym i odartym z iluzji, że Stephen stracił entuzjazm. Zwrócił się ku oknu, a potem odwrócił od niego, założył swe okulary z błękitnymi szkiełkami, zapalił cygaro i podjął: - Twierdzą z całkowitym przekonaniem, że nie masz racji, ale nawet gdybyś ją miała, wciąż pozostają względy praktyczne, a mianowicie sprawa twego statusu prawnego. Małżeństwo, nawet małżeństwo nominalne, natychmiast zwróci ci obywatelstwo, a co jest znacznie ważniejsze, nada twemu dziecku jakieś nazwisko. Zastanów się tylko, moja droga, nad tym, czym właściwie jest bękart. Samo bycie bękartem to już zniewaga. Takie dziecko przychodzi na świat upośledzone wedle każdego znanego mi systemu prawnego i jest pokarane od pierwszych chwil swego życia. Wiele dróg awansu społecznego jest dla niego zamkniętych, a jeśli w ogóle zostanie uznany w społeczeństwie, jego droga wypełniona będzie cierpieniem. Przez całe swe życie na każdym kroku będzie się spotykać z przykrościami... Każdy napotkany głupiec, każdy legalnie poczęty dureń może nazwać je bękartem, a na tę zniewagę nie będzie miało odpowiedzi. Myślę, że dobrze wiesz, iż sam nim jestem... Z pełnym przekonaniem twierdzą więc, że pochodzenie z nieprawego łoża jest wielkim, wielkim okrucieństwem wyrządzonym dziecku.

- Jestem tego pewna, Stephen - rzekła głęboko wzruszona Diana, ujmując jego dłoń. Przez moment siedzieli w całkowitej ciszy, aż na nowo odezwała się dziewczyna: - Ale to tylko dlatego wróciłam do ciebie, do jedyne go przyjaciela, na którym mogę polegać - szepnęła. - Ty się znasz na wszystkich tych sprawach, jesteś lekarzem, Stephen. Nie mogłam znieść świadomości, iż noszę dziecko tego człowieka. Wyrósłby z niego potwór. Wiem, że w Indiach kobiety używają pewnego korzenia, który nazywa się holi...

- Oto, moja droga, oto właśnie doskonały dowód na to, jak masz wypaczony punkt widzenia. W przeciwnym razie nigdy nie wymyśliłabyś niczego takiego ani tym bardziej niczego takiego byś mi nie powiedziała. Moją podstawową funkcją jest przecież ratować życie, a nie je odbierać. Przysięga, którą złożyłem, i wszystkie moje przekonania...

- Stephen - powiedziała. - Błagam cię, nie zawieź moich nadziei. -

Siedziała przy nim, splatając dłonie i szepcząc błagalnie: - Stephen, Stephen...

- Diano, musimy wziąć ślub.

Dziewczyna pokręciła głową. Oboje wiedzieli, że drugie nie ustąpi za nic w świecie i siedzieli w niezręcznej ciszy do chwili, gdy drzwi nagle stanęły otworem, a w progu pojawił się młodziutki, zaróżowiony i niezwykle rozradowany oficer, który zawołał:

- A, tu pan jest! I pani również! Znalazłem was oboje razem, a zatem mogę przekazać obie

wiadomości jednocześnie. Admirał Colpoys pragnie przekazać najserdeczniejsze pozdrowienia i wyrazy szacunku pani Dianie Villiers - wyrecytował szybko, jakby z pamięci, przybierając przy tym oficjalny ton. - Poczytuje też sobie za zaszczyt powiadomić ją, iż statek pocztowy wypływa niebawem i prosi ją, by możliwie najszybciej stawiała się na jego pokładzie. - Nabrał tchu i podjął: - Głównodowodzący bazy pragnie poinformować doktora Maturina, iż „Diligence” wyrusza z następnym pływem i nakazuje natychmiastowe stawienie się na jego pokładzie. To tamten, sir! -

ciągnął już swoim zwykłym głosem, pokazując coś za oknem. - To ten bryg tuż obok „Chesapeake”. Wywiesił już Błękitnego Piotrusia!

ROZDZIAŁ TRZECI

W nocy „Diligence” wykorzystwała siłę pływów, by przebyć długość portu, i przed nastaniem świtu zostawiła Little Thrumcap daleko za rufą. Nim blade, niewyraźne słońce rozjaśniło niebo na wschodzie, okręt wypłynął już na szerokie morze i mając umiarkowany wiatr z trawersu prawej burty, ruszył pod standartowymi żaglami na północ ku wschodowi, by opłynąć wyspę Sabie od północy. Nad morzem wisiały mgły, lecz za rufą i tak nie było niczego ciekawego do oglądania, gdyż skały Cape Sambro już dawno zniknęły za horyzontem. Sześć rumbów na prawo od dziobu zauważono jednak kształt jakiejś jednostki, ciemny na tle wstającego słońca. Był to szkuner, znajdujący się w odległości niecałych pięciu mil. Nie był to słup ani inny okręt wojenny, lecz bez wątpienia szkuner. Z pewnością nie był to słup „Nova Scotia”, który wyruszył o jeden przyptyw wcześniej i znajdował się już jakieś czterdzieści mil za linią horyzontu.

Na statku postawiono jedynie zrefowany skośny grot, przez co z trudem pokonywał fale, nie posuwając się prawie wcale do przodu. Nikt nie miał jednak wątpliwości, że nie jest to statek rybacki - nie otaczały go łodzie, a poza tym żaden szyper nie wybrałby się na poszukiwanie ławic dorsza na długim, wątłym szkunerze bez ładowni mogącej pomieścić zdobycz, nie mówiąc już o tym, iż tutejsze wody w ogóle mniej obfitowały w ryby.

Pełniący akurat wachtę drugi mat dojrzał go w tym samym momencie, co obserwator na forpiku. Przyjrzał się mu bacznie ponad coraz bardziej błyszczącymi wodami, po czym zszedł do kajuty kapitańskiej, gdzie dowódca okrętu spożywał stek w towarzystwie Jacka Aubreya.

- Sądzę, iż na nawietrznej mamy „Liberty” - rzekł.

- Czyżby, panie Crosland? - spytał kapitan. - A w jakiej odległości?

- To kwestia około pięciu mil, sir.

- Proszę więc wziąć na niego kurs, a także postawić fokbramsel. Za moment udam się na pokład. - Pan Dalgleish, a w rzeczy samej właściciel

„Diligence”, z rozmysłem opróżnił swą filiżankę, a potem ujął lunetę z półki i ruszył w górę po trapiku zejściówki. Jack ruszył prosto za nim. Żagle nieznanomej jednostki właśnie wypełniły się wiatrem, wykonała ona bowiem zwrot i ruszyła tym samym kursem co „Diligence”. Pan Dalgleish oraz Jack Aubrey, przyglądający jej się z ćwiartki rufowej prawej burty, dostrzegli sygnały na topie

masztu oraz wystrzał na nawietrznej. Jack, gdy tylko ogarnął

nieznajomą jednostkę wzrokiem, od razu nabrał pewności, iż jest to amerykański korsarz - któż inny stałby w dryfie na samym środku głównego szlaku żeglownego między Anglią a Kanadą? Nie był więc szczególnie zdziwiony, gdy pan Dalglish podał mu lunetę i rzekł: - Tak, to „Liberty”. Z

tego, co widzę, pan Henry kazał pomalować kadłub. Tom... - odwrócił się ku stojącemu nieopodal synowi, gibkiemu młodemu człowiekowi. - Skocz no na top masztu i daj znać, czy wywieszony przez pana Henry’ego sygnał cokolwiek oznacza, czy jest to może kolejne oszustwo. Panie Crosland, proszę postawić latacz...

Podczas gdy Dalglish wydawał polecenia postawienia kolejnych żagli, Jack bacznie przyjrzał się „Liberty”. Był to długi szkuner o niskiej, pomalowanej na czarno burcie, mierzący dwadzieścia trzy metry długości oraz sześć szerokości. Wypierał około stu pięćdziesięciu ton, a zbudowano go z myślą o osiągnięciu naprawdę sporych prędkości. Z tego, co mógł dostrzec, miał

na pokładzie osiem dział, najprawdopodobniej dwunastofuntowych, oraz coś na kształt pościgówki dziobowej. Pokład szkunera był wprost zatłoczony ludźmi.

Jego załoga postawiła rejowy fokmarsel, po czym okręt ruszył w ich kierunku, żeglując „na motyla”. Żaden szkuner nie był jednak w stanie rozwinąć należytej prędkości, idąc pełnym wiatrem, niezależnie od tego, czy żeglował „na motyla”, czy też nie. Jack, który nie spuszczał zeń oka przez dłuższą chwilę, doszedł do wniosku, iż przybliżył się do nich bardzo nieznacznie, jeśli w ogóle.

- Dzień dobry panu - odezwał się jakiś głos u jego boku.

- Dzień dobry, panie Humphreys - odparł chłodno Jack. To właśnie Humphreysowi powierzono zadanie przekazania duplikatu meldunków, miast zlecić je któremuś z podoficerów nawigacyjnych „Shannon”, którzy brali udział

w walce z „Chesapeake”. Wszyscy marynarze twierdzili, iż wybranie do tej roli Humphreysa było skrajną podłością, a pomysłodawcy chodziło jedynie o zapewnienie mu rychłego awansu. Nie było najmniejszej wątpliwości, że wszyscy oficerowie „Shannon” zostaną awansowani, a Falkiner na pokładzie słup „Nova Scotia” płynął prosto po stopień dowódcy, lecz mimo tego panowało powszechne przekonanie, iż któremuś z młodszych podoficerów w ojczyźnie również powinna przyspaść część chwały.

- Co tam widzisz, Tom? - zawołał Dalglish.

- Cóż, tato, wydaje mi się, że widzę jakiś nowy żagiel dwa, może trzy rumby od trawersu! - odpowiedział Tom. - Ale równie dobrze może to być góra lodowa! Morze jest bardzo zamglone, gdy patrzy się pod słońce!

- A co na zawietrznej, Tom?

- Na zawietrznej nic, tato, z wyjątkiem paru wielorybów. O, znów któryś dmuchnął! Na północy zaś widać czysty horyzont. - Młodzieniec zamilkł na chwilę, po czym znów zawołał: - Słuchaj, tato, to

coś na nawietrznej to jednak jest żagiel. To też jakiś szkuner!

- Dzięki - mruknął szyper statku pocztowego i odwrócił się ku Jackowi, by rzec: - Cieszę się, że powiedziałem, iż mam zamiar opłynąć wyspę Sabie od południa. Wraz z tym drugim szkunierem idącym fordewindem od zawietrznej Henry pochwyciłby nas niczym... - Nadal przyglądając się obcemu statkowi przez lunetę, zaczął przetrząsać pamięć w poszukiwaniu porównania, które podkreśliłoby wyobrażenie dwóch jednostek, z wolna nachodzących z obu stron na trzecią. Nie znalazł jednak żadnego, tak więc powtórzył: - Pochwyciłby nas wówczas niczym...

I ułożył palce tak, by przypominały szczypcę kraba.

- Myśli pan, że dowiedzieli się o pana wypłynięciu?

- Na litość boską! - rzekł Dalgleish. - Wątpię, czy w Halifaksie jest pan w stanie wysikać się na mur tak, by następnego dnia nie dowiedzieli się o tym Jankesi. Oczekując na meldunki, odwiedziłem King's Head, pękała w szwach od ludzi. Nadmieniłem wówczas, że jak tylko załadują mi worki z pocztą, ruszę na morze i opłynę wyspę od południa, ha, ha, ha!

- A zatem nie zdziwił się pan na widok tego szkunera na południowym kursie?

- Nie, kapitanie, w zupełności. W każdym razie na pewno nie zdziwił

mnie widok „Liberty”. Obecny tam pan Henry - Dalgleish ruchem głowy wskazał szkuner, oddalony o wiele mil - zasadzał się już na mnie wielokrotnie, licząc, że zaskoczy mnie z zawietrznej i weźmie abordażem. W ten właśnie sposób dopadł i zdobył „Lady Albemarle” oraz „Probusa”, oba bardzo szybkie, zgrabne statki pocztowe. O innych przyzach nawet nie wspomnę - „Liberty” to bardzo szybki statek, a na dodatek potrafi podpłynąć bardzo blisko linii wiatru, a sam Henry jest doskonałym żeglarzem. Dobrze go znałem przed wybuchem wojny Sam dowodził statkami pocztowymi, nim wziął się za korsarstwo.

Zaskoczył mnie jednakże widok tego drugiego, jego sojusznika. Korsarze rzadko polują w parach, chyba że szukają jakiegoś tłustego statku kupieckiego, a przez najbliższe dwa tygodnie nie uświadczy się tu żadnego ani tłustego, ani nawet chudziutkiego. Zatrzymanie statku pocztowego to dla korsarza spore osiągnięcie i na pewno sól na rany króla Jerzego, ale bez wątpienia nie opłaca się angażować do tego aż dwu jednostek. Na pokładzie każdej z nich znajduje się około stu ludzi, co przy amerykańskim systemie wypłacania żołdu oznacza, że rychło sami zaczną się pożerać. Nie wspomnę nawet o tym, że prowadzący pościg okręt szybciej niszczyje i zawsze ponosi ryzyko utraty któregoś z drzewc, a w ostatnich chwilach przed abordażem z reguły zbiera niezłe lanie.

- Sądzę, że mógłby mu pan sprawić całkiem niezłe lanie, kapitanie Dalgleish - rzekł Jack, przyglądając się rzędom dwunastofuntowych działek po obu burtach brygu.

- Pewnie, że mógłbym - rzekł Dalgleish. - I nie zawaham się, jeśli tamten znajdzie się w zasięgu. Nie ma się pan jednak czego obawiać, kapitanie, mamy nad nim przewagę w żegludze bejdewindem, nawet jeszcze nie kazałem postawić żagli bocznych. Powietrze jest chłodne, a zatem bez wątpienia nad Middle Bank czy Banquerau wiszą mgły. Tam ich zgubimy, a potem ruszymy dalej, poprzednim

kursem, chyba że korsarze sami wcześniej odpuszczą, co zdaje mi się mocno prawdopodobne. Statek pocztowy nie jest przecież cennym przyzem, nie przewozi ładunku, a sam kadłub nie znajdzie wielu nabywców w Stanach. Z pewnością mój statek nie jest zdobyczą, dla której warto by było pędzić cały dzień pod pełnymi żaglami, nie mówiąc już o nocy. Przecież jak co lato napływają góry lodowe.

Po chwili ciszy odezwał się Jack:

- A pomyślał pan kiedykolwiek o tym, by wyprowadzić go w pole, kapitanie Dalglish? - spytał. - Nie mógłby pan poluzować nieco szoty, zmienić kurs na niekorzystny i posłać połowę załogi pod pokład, a w międzyczasie wypuścić z przeciwnej burty żagiel w charakterze dryfkotwy? Gdyby udało się panu zwabić go bliżej w przeciągu godziny, zdołałby się pan z nim uporać, nim jego sojusznik przybyłby mu z pomocą. Mógłby pan w ten sposób zdobyć

„Liberty”⁷, jak to się mówi, ha, ha, ha!

Dalglish zawtórował mu śmiechem, lecz Jack spostrzegł, iż równie dobrze mógłby w tym czasie pogwizdywać psalmy na relingu rufowym. Pomysł

nie przypadł do gustu szyprowi statku pocztowego, którego w pełni zadowalała odgrywana do tej pory rola człowieka silnego, polegającego tylko na sobie i w pełni przekonanego co do słuszności swego postępowania.

- Nie, kapitanie - odparł. - Nigdy w życiu nie zdołałbym oszukać Henry'ego. Znamy się nawzajem jak łyse konie, od razu wyczułby mój podstęp, a nawet gdyby stało się inaczej, kapitanie Aubrey, nawet gdyby mnie nie rozgryzł, sam nie miałbym interesu w zdobywaniu „Liberty”, jak to pan dowcipnie ujął. Nie jestem wojownikiem, a mój bryg to nie okręt wojenny, ale jednostka tymczasowo pełniąca funkcję statku pocztowego. Mój statek został

zakontraktowany, jak to się powiada, i pływa w tym charakterze od ponad dwunastu lat. Z wami, dżentelmenami żądnymi chwały, sprawa przedstawia się całkiem inaczej... Wy jesteście odpowiedzialni przed królem Jerzym, natomiast ja odpowiadam przed panią Dalglish, a proszę mi wierzyć, że oboje patrzą na świat na różne sposoby. Co więcej, pan w każdej chwili może udać się do stoczni i zażądać pół tuzina steng, obojętnie jakiej liczby drzewc, a pewnie nawet zupełnie nowego kompletu żagli. Gdybym ja zaś udał się do Głównego Biura Poczty i poprosił jedynie o połowę żagla trzeciej kategorii, roześmiano by mi się w twarz i przypomniano o moim kontrakcie. Ten zaś zobowiązuje mnie do wyposażenia statku ze środków własnych i przewożenia poczty Jego Królewskiej Mości z możliwie największą bezpieczną szybkością. Poczta bowiem jest święta, podobnie jak meldunki, a ów meldunek o naszym wielkim zwycięstwie jest szczególnie błogosławionym ładunkiem. - Przy tych słowach szypier spojrzał znacząco na Humphreysa, który odpowiedział mu pełnym powagi skinieniem głowy. Nie powiedział przy tym ani słowa, gdyż Jack przewyższał go rangą i wzbudzał w nim lęk wraz z nabożnym szacunkiem, a sam Humphreys, choć zupełnie go to nie cieszyło, był świadom swej pozycji oraz tego, iż może być postrzegany jako intruz z koneksjami, a nawet jako zwykły pętaś i niedojda. - Co więcej - dodał Dalglish - ten statek to wszystko, co mam. Nikt mi nie da nowego, jeśli go stracę.

- A w istocie jest to piękny bryg - rzekł Jack. - Wątpię, bym kiedykolwiek wcześniej widział okręt o

zgrabniejszym kształcie. - Nie mógł potępiać Dalgleisha. Sam w głębi serca aż drżał z ochoty do kolejnej bitwy, którą rozpocząłby fortel, a zakończyła krwawa jatka z ogromnymi szansami na zdobycie „Liberty”, lecz tchnący spokojem, przemyślany osąd kapitana statku pocztowego wydał mu się przekonujący i w rzeczy samej godny podziwu.

Opowiedział o tym Stephenowi, gdy spotkali się rankiem, by we własnym towarzystwie wypić filiżankę kawy. - Nigdy bym nie przypuszczał, iż przypadnie mi do serca człowiek, który bez wahania rzuca się do ucieczki i przyznaje się do tego bez owijania w bawełnę. Umyka niczym zajac, choć ma przecież całkiem niezłą baterię na każdej burcie, która w odpowiednich rękach popędziłaby temu szkunerowi kota.

- Bracie - rzekł Stephen. - Opowiadasz mi tu o zajęcach, kotach i bawełnie, a do tego słyszę coś jeszcze o jakimś szkunerze. Wcale nie staję się przez to mądrzejszy.

- A zatem nie wiesz, że jesteśmy ścigani?

- Nie.

- To gdzieś się podziewał całe rano?

- Siedziałem z Dianą. Wyszedłem raz na pokład, ale załoga ustawiała właśnie żagle i poproszono mnie, bym wrócił na dół. Zauważyłem również, że jesteś zajęty rozmową z panem Dalgleishem, tak więc poszedłem z powrotem do Diany.

- Jak się czuje?

- Skrajnie wyczerpana. Nigdy w życiu nie widziałem nikogo, kto by gorzej znosił podróże morskie, nie mam co do tego wątpliwości.

- Biedna Diana - rzekł Jack, kręcąc głową. Minęło już ponad trzydzieści lat, odkąd sam przeżył ostatni atak choroby morskiej, który na dodatek wcale nie należał do silnych, tak więc mógł okazać jedynie teoretyczne, w znacznej mierze udawane współczucie. Po chwili podjął wypowiedź: - Cóż, chodzi o to, że o świcie dostrzegliśmy amerykański statek korsarski. Był to szkuner, znajdujący się w odległości pięciu mil od „Diligence”. W chwilę później zauważyliśmy następny, daleko na nawietrznej. Jego kadłub jest wciąż niewidoczny. Dalgleish ustawił statek bardziej tępo do wiatru i ruszył z maksymalną prędkością. Umyka niczym zajac, jak powiedziałem. Sądzę, iż robimy prawie jedenaście węzłów. Miałbyś może ochotę wyjść ze mną na pokład i samemu rozeznac się w sytuacji?

- Jeśli nie sprawi ci to kłopotu.

Na pierwszy rzut oka pozycje obu jednostek niewiele się zmieniły.

„Liberty” nadal znajdowała się na prawej ćwiartce rufowej statku pocztowego, a daleko nad wzburzonymi falami widać było drugi szkuner, płynący na wschodniopółdniowy wschód. Zmieniła się jednak atmosfera na pokładzie

„Diligence” - wyczuwalne było większe napięcie, a na obliczu Dalgleisha malowała się powaga. Na

brygu postawiono już wszystkie żagle boczne i statek z wdziękiem pędził naprzód. Fale opływające burty wywoływały na wpół

słyszalny, na wpół wyczuwalny, lecz intensywny rezonans kadłuba. Ale na

„Liberty” rozpięto znacznie więcej żagli i nieprzyjacielski szkuner zauważalnie zmniejszył dystans, a jego odległy towarzysz zbliżał się jeszcze szybciej i widać już było jego kadłub. Właśnie zamierzał przejść przed długą, wyszczerbioną górą lodową, mieniającą się pośród szarości morza niczym dywizjon idących jeden za drugim okrętów liniowych.

Dalgleish rozmawiał z pierwszym matem oraz Humphreyssem, który z maksymalną uwagą mierzył właśnie kąt zbliżania się obu ścigających ich jednostek.

- Nigdy dotąd nie widziałem takiej determinacji u Henry’ego - rzekł

Dalgleish, odwracając się ku Jackowi. - Pędzi za nami, jak gdyby płótno żaglowe i drzewce dawali za darmo, albo jakby mój statek był cholernym hiszpańskim galeonem. Proszę, kapitanie, niech pan weźmie moją lunetę i powie nam, co sądzi o tym drugim.

Jack namierzył odległy szkuner, opierając ramię o najbliższą rufie wantę, i przyjrzał się nieznannej jednostce w chwili, gdy przechodziła przed górą lodową.

- Postawił nawet drabblery - zauważył. - Rozpięli je na bomach na obu burtach. Nigdy dotąd nie widziałem, by ktoś się na to zdecydował przy takim takielunku. Spieszą się jak sto diabłów!

- Też mi się wydawało - rzekł Dalgleish - że je dostrzegam. Dowodzę tym statkiem od niepamiętnych czasów, lecz nigdy czegoś takiego przez wszystkie te lata nie widziałem, nawet po wybuchu wojny. Ktoś by jeszcze pomyślał, że mamy ładownie pełne złota.

Stephen przyglądał się kilku głuptakom, łowiącym ryby na zawietrznej.

Podziwiał błysk ich białego upierzenia na moment przed złożeniem skrzydeł i wbiciem się w morską toń wśród fontanny wody, a jednym uchem przysłuchiwał się również rozmowom żeglarzy. Padały jakieś pytania o zmniejszeniu siły wiatru i zmianie kierunku na północnozachodni, rozprawiano również o wskazaniach barometru, o żaglach lekkich oraz trumslach, które zdaniem Dalgleisha były drogie, lecz kruche, słabe i zawodne, a przy tym wietrze zerwą się z pewnością. Kapitan Aubrey z kolei opowiadał o własnej metodzie, stosowanej w sytuacjach awaryjnych, polegającej na wsparciu masztów zapasowymi baksztagami, przewleczonymi przez wysoko zawieszony blok i mocno zamocowanymi na rufie.

- Powinno się je powierzyć doświadczonemu marynarzowi - tłumaczył. -

Jego zadaniem będzie zwolnienie ich w ostatniej chwili, gdyby w ogóle okazało się to potrzebne.

Zapatrzony Stephen usłyszał również odpowiedź Dalgleisha:

- W przeciwieństwie do wielu innych dowódców statków pocztowych nie mam nic przeciwko

uczeniu się od dżentelmenów z Royal Navy. Nie ma znaczenia, ile człowiek ma lat na karku, codziennie można się nauczyć czegoś nowego. Chętnie wypróbuję pańską metodę, kapitanie Aubrey.

Uwagę Stephena na moment całkowicie przykuło stado wielorybów biskajskich, które pojawiło się na lewo od dziobu. Pożyczył od kogoś lunetę i przyglądał się, jak kurs, którym płynęły, z wolna zbiegał się z kursem brygu.

Wkrótce znalazły się tak blisko, że nie był już w stanie zogniskować lunety, a słyszał wówczas nie tylko głośne dmuchnięcia, gdy walenie wynurzały się na powierzchnię, lecz nawet ich głośne wdechy. Naraz uświadomił sobie, iż sposób żeglowania brygu uległ zmianie - statek został pchnięty nową siłą, przez co rezonans wzmógł się o pół tonu. Stephen spojrzał ku górze i zobaczył

dodatkowe żagle górne, a „Liberty” nagle znalazła się znacznie dalej. Marynarze wyglądali na zadowolonych z siebie.

- No, teraz możemy spożyć obiad w spokoju - oznajmił Dalglish z ogromną satysfakcją. - To był świetny pomysł, sir, naprawdę doskonały. Tak czy owak sądzę, iż założę niebawem jeszcze kilka uchwytów z liny, zamocuję też porządnie wanty...

Wieloryby naraz zniknęły pod powierzchnią, rozpoczynając swą tajemniczą, podwodną podróż. Żeglarze zajęli się swymi haczykami i kauszami, rozprawiając przy tym o ich wadach i zaletach oraz porównując różne sposoby mocowania sztagów. Stephen powrócił więc do Diany. Pokładał wielką wiarę w możliwości drzemiące w alkoholowej nalewce z laudanum, a butelka, którą chował już od dawna, mogła wreszcie na coś się przydać. Diana leżała na łóżku, wyczerpana, lecz wolna już od torsji. Była w stanie między jawą a snem.

Wyszeptała coś na jego powitanie, a Stephen opowiedział jej o wielorybach. Nic nie wskazywało, że Diana w ogóle go słucha, ale mimo to dodał:

- Wygląda również na to, że ścigają nas dwa statki korsarskie, ale znajdują się daleko od nas i nie stanowią zagrożenia. Pan Dalglish jest usatysfakcjonowany, wyraża również przekonanie, iż uda nam się je zgubić. -

Diana nie odpowiedziała i Stephen przez moment kontemlował jej sylwetkę.

Dziewczyna leżała bezwładnie na koi z wilgotnymi, pozlepianymi w strąki włosami, z cerą raz zieloną, raz żółtą. Targana falami nudności oraz innych cierpień nawet nie pomyślała, by zadbać o swój wygląd. Z pewnością nie prezentowała się pięknie i nawet żarliwy kochanek nie uznałby jej teraz za uosobienie urody. Maturin próbował znaleźć nazwę dla uczucia, którym ją darzył, lecz żadne słowo czy wyrażenie nie przychodziło mu do głowy. Bez wątpienia nie miało ono nic wspólnego z tym, co czuł w przeszłości, nie przypominało to również przyjaźni, choćby tej, która łączyła go z Jackiem Aubreyem. Zawierało ono jednak w sobie pewne przywiązanie, tkliwość, a nawet swego rodzaju świadomość współudziału, jakby oboje od jakiegoś czasu uczestniczyli w tych samych poszukiwaniach. Niewykluczone, że były to te same absurdalne, niedorzeczne poszukiwania szczęścia. Myśl ta obudziła wspomnienia zbyt bolesne, by się nad nimi rozwodzić, tak więc znów zaczął

mówić, tym razem przyciszonym głosem, na wypadek gdyby Diana jednak spała: - Wiele wskazuje na to, że te szkunery oczekiwały nas na kursie, który mieliśmy pierwotnie obrać. Czyhały przy południowych brzegach jakiejś wyspy, podczas gdy rozważny pan Dalgleish opłynął ją od północy. Ich obecność w tym miejscu trudno jest wytłumaczyć przypadkiem.

Być może amerykański wywiad trafnie odgadł kurs „Diligence”, lecz niewykluczone, że zdobyta przezeń lista wrogich agentów w Kanadzie pozostawiała wiele do życzenia. Stephen szczerze powątpiewał, czy człowiek pokroju Becka pozwoliłby komukolwiek zbiec, lecz przecież Beck nie działał

samotnie, miał pod sobą ludzi. Zaczął właśnie myśleć o pijanym asystencie na balu, gdy Diana niespodziewanie wyrwała się z odrętwienia i powiedziała:

- Oczywiście, że to nie przypadek - rzekła. - Johnson zrobi wszystko i wyda każde pieniądze, by znów nas pochwyć. Nie zawaha się przed wynajęciem korsarzy, obojętnie, ile by go to miało kosztować. Ten człowiek poruszy niebo i ziemię, by mnie dopaść. Mnie i moje diamenty. - Poruszyła się niespokojnie, rozrzucając koce, którymi była przykryta. - To mój cały majątek -

szeptnęła w chwilę później. - Ja nigdy nie ucieknę przed tym strasznym człowiekiem. - Przez moment milczała, po czym powiedziała: - Ale nie odzyska ich za nic w świecie. Nie dostanie ich, póki żyję. O nie, na Boga!

Stephen zauważył, że przez cały czas kurczowo przyciskała do ciała szkatułkę. Wiedział, że bardzo jej sobie ceniła, ale nigdy nie przypuszczał, iż do tego stopnia.

- Nie sądzę, byś miała powody do niepokoju - rzekł. - Wyprzedziliśmy oba szkunery, a pan Dalgleish, który doskonale zna tutejsze akweny, zapewnia, że wnet skryjemy się we mgle, a korsarze stracą nas z oczu i nie będą w stanie dalej nas ścigać. Przyznam, iż bardzo mi ulżyło. Jeśli jest coś, czego nienawidzę bardziej od rozlewu krwi na lądzie, to zdecydowanie jest to rozlew krwi na morzu. Niebezpieczeństwo utraty życia w takiej bitwie jest o wiele większe, a ponadto zawsze jest mokro, a często również zimno.

Tymczasem Diana zapadła w głęboki sen wywołany laudanum. Spod jej przymkniętych powiek wciąż płynęły łzy, lecz dziewczyna straciła już przytomność.

„Jestem niemalże przekonany, że ma rację” - pomyślał.

Johnson był potężnym, bogatym i wpływowym człowiekiem. Co więcej, był również bardzo mściwy, a jego duma ostatnio mocno ucierpiała. Diana знаła go przecież doskonale, lepiej niż ktokolwiek inny, i na pewno nie myliła się, jeśli chodzi o ocenę jego temperamentu. Czyż nie znaczący był sam fakt, że korsarze przepuścili slup „Nova Scotia” i obaj rzucili się w pościg za samą

„Diligence”? Bez wątpienia nie myliła się też w kwestii naszyjnika. Była to doprawdy wspaniała błyskotka, tak wspaniała, że diament w samym środku miał

imię. Zwano go Nabob, Mogul czy jakoś tak, a Stephen już dawno zauważył, że nawet zamożni ludzie

są niezwykle przywiązani do niektórych swych przedmiotów. To właśnie owo przywiązanie poddyktowało cenę takich klejnotów, jak Pitt, Sancy czy Orloff. Niespodziewanie przypomniał sobie nazwę najcenniejszego kamienia Diany. Zwano go Błękitnym Piotrusiem, a był

to kamień w kształcie gruszki o zaskakującej barwie, przypominającej bardzo jasny szafir, lecz mającej w sobie znacznie więcej życia i ognia. Pewien bezbożny żeglarz ukradł go ze świątyni za czasów Aurangzeba8 i nadał mu imię, które zachowało się do dnia dzisiejszego. Stephenowi bardzo się ono podobało, gdyż nie tylko miało ładne brzmienie, lecz oznaczało również jedną z nielicznych flag morskich, którą bezbłędnie rozpoznawał, flagę, którą statki i okręty wywieszały tuż przed wypłynięciem. Kojarzyła mu się przez to z chwilami odjazdu, z oczekującym go spotkaniem z nowymi religiami, nowymi stworzeniami tego świata i być może nowym okresem w życiu.

Zgodnie z przewidywaniami Dalgleisha spożyli obiad w spokoju. Statek pocztowy wciąż zwiększał swą przewagę, mimo tego, że wiatr słabł, a obie ścigające go jednostki korsarskie stały się jedynie odległą groźbą. Sprawdziło się również jego proroctwo dotyczące mgieł nad Middle Bank. Gdy Stephen wyszedł na pokład i spojrział na północ, ujrzał w oddali gładką, niską, wygiętą chmurę, przypominającą oddaloną, nieznaną krainę. Dostrzegł również przynajmniej cztery inne statki rozrzucone na morzu, niektóre dość blisko

„Diligence”. Wszystkie parły powoli tym samym, północnym kursem. Przez moment miał wrażenie, że Johnson zmobilizował większą część United States Navy, a ich statek zmierzał prosto w zasadzkę, lecz po chwili dostrzegł, iż każda jednostka wygląda inaczej, a żadna z nich nie ma furt działowych. Dysponowały natomiast ozaglowaniem łaćńskim na stermasztach i choć Stephen nie znał się specjalnie na jednostkach pływających, doszedł do wniosku, że na pewno nie ma przed sobą okrętów wojennych. Poza tym nikt wokół nie wydawał się nimi szczególnie zaaferowany, a „Diligence” wymieniła nawet pozdrowienia z najbliższym statkiem. Jack, Dalgleish oraz bosman siedzieli wysoko na masztach niczym stado człekokształtnych małp, sprawiając wrażenie bardzo zajętych jakąś własną sprawą.

- Co kapitan Aubrey porabia tak wysoko? - spytał drugiego mata.

- Wymieniają dolne uchwyty bloków w grumotach - odpowiedział

marynarz. - Gdyby kapitan Aubrey miał tu więcej do powiedzenia, szybko wprowadziłby na całym statku porządku rodem z Royal Navy.

- Musi uważać na swoje ramię. Wychodzenie w samej koszuli na to zimno to istne szaleństwo i mam zamiar go surowo upomnieć. Coś mnie jednak zastanawia, drogi panie. Te... te statki, tam daleko. Czyż to nie osobliwy takielunek?

- To bankery, sir, bankery z Portugalii. Nazywamy je terranova. Ujrzy ich pan wiele przy ławicach, o ile w ogóle da się coś zobaczyć. Wedle naszego armatora mgła zapowiada się dość gęsta.

- Terranova. Słyszałem już kiedyś tę nazwę. A to sama Nowa Fundlandia, tak?

- Nie do końca, sir. Patrzy pan na ławicę, czy może raczej na mgłę, która ją kryje. Mgły jednakowoż

prawie zawsze wiszą nad ławicami, tak więc czasami samą mgłą również nazywamy ławicą. - Drugi mat nie miał dobrego zdania o intelekcie doktora Maturina - w końcu nie można oczekiwać, by człowiek myślący bonnety z drabblerima potrafił odróżnić dobro od zła czy czerń od bieli -

lecz był dobrodusznym, młodym człowiekiem i uprzejmie odpowiadał na pytania Stephena. Ten z kolei chciał się dowiedzieć, skąd bierze się owa mgła, dlaczego nie zostaje rozwiana przy tak silnym wietrze i dlaczego zwykli się w niej gromadzić Portugalczycy. W możliwie najprostszym słowach młodzieniec wyjaśnił, iż Portugalczycy trafiali się wszędzie tam, gdzie mogli napotkać ławice dorsza, a w tym roku były one większe na Middle Bank niż na Saint Pierre, czy nawet na samej Grand Bank. - A wie doktor, co to dorsz? - spytał i nie czekając na odpowiedź, wytłumaczył, że jest to taka ryba gurt⁹, z wąsami, która przepada za praktycznie każdym rodzajem przynęty, lecz w szczególności za skrawkami kałamarnicy i kapelana. - Papiści mają obowiązek jeść dorsza przez cały Wielki Post oraz w każdy piątek - ciągnął. - Jeśli tego zaniedbają trafiają do piekła. To właśnie z tego powodu na Ławicy Nowofundlandzkiej co roku łowią Hiszpanie i Portugalczycy, a nawet Francuzi, o ile właśnie mamy pokój. W końcu większość z nich to papiści. Trafiają się tu również Sine Nosy¹⁰ oraz Nowofundlandczycy, który również łowią dorsza, a jest go tu pod dostatkiem, zwłaszcza w miejscach, gdzie gwałtownie podnosi się dno.

Głębokość czasami sięga tam ledwie piętnastu sążni, sam widziałem góry lodowe, które utknęły na takich płycznach, lecz zazwyczaj jest to około czterdziestu, pięćdziesięciu sążni. Portugalczycy rzucają tam kotwice, a następnie rozdzielają załogę między małe łódki, które wyruszają na połów. Jako młody chłopak łowiłem tam ze swym wujem, Sinym Nosem z Halifaksu, który w ciągu jedenastu godzin złapał czterysta siedemdziesiąt dziewięć dorszy.

Niektóre z nich ważyły ponad pięćdziesiąt funtów. Jeśli zaś chodzi o mgłę, to powoduje ją idący na południe zimny Prąd Labradorzki, który spotyka się z ciepłym powietrzem znad Prądu Zatokowego. Słyszał pan kiedyś o Prądzie Zatokowym, doktorze? W każdym razie zetknięcie zimna z ciepłem powoduje, że nad ławicą niemal bezustannie wisi mgła. Niekiedy mgły unoszą się bardzo szybko i człowiek ma wrażenie, że morze paruje niczym gotujący się garnek. To właśnie dlatego wiatr nie ma szans, by ją rozpuścić, bo mgła wciąż tworzy się na nowo. Z całą pewnością są takie dni w roku, kiedy prąd skręca bardziej na wschód i wtedy mgła zanika. Powietrze jest wówczas czyste przez całe dni, a nawet tygodnie, lecz dobry żeglarz zawsze będzie wiedział, że dotarł na ławicę, nawet bez sondowania dna. Mieszkają tu bowiem pewne szczególne gatunki ptaków, dzięki którym zawsze można ją rozpoznać, obojętnie czy jest mgła, czy jej nie ma.

- Jakie ptaki?

- Nurzyki, alczyki, nurniki, alki, mewy trójpalczaste, fulmary, wydrzyki skua, wszystkie możliwe gatunki mew, maskonury, pingwiny...

- Pingwiny, mój drogi panie? - spytał Stephen.

- Tak, doktorze. To dość prymitywny ptak, mówię panu, nie potrafi latać i może jedynie pływać. Niektórzy nazywają je alkami olbrzymimi, ale my mówimy na nie pingwiny. Ma to swój sens... Skoro ptak nie potrafi latać, musi być pingwinem. Niech pan spyta pierwszego z brzegu wielorybnika, który pływa na morzach południowych.

- Mówi pan o ptaku, który ma około metra wysokości i czarnobiałe upierzenie jak alka zwyczajna?

- Tak, to wypisz wymaluj on, doktorze, ale ma jeszcze białą plamkę między dziobem a okiem.

Stephen nie miał już wątpliwości, iż drugi mat mówi o opisanym przez Linneusza gatunku *Alca impennis*, zwanym potocznie przez autorów alką olbrzymią. Przez całe swe życie marzył, by móc taką alkę zobaczyć. Gatunek ów stał się już taką rzadkością, że ze wszystkich jego znajomych do zobaczenia go przyznał się tylko Corvisart, który miał jednak pewne skłonności do przesady.

- Widział pan kiedyś na własne oczy owego pingwina? - spytał.

- Na litość boską, całe setki! - roześmiał się młodzieniec. - Jest tam jedna taka wyspa, gdzie lęgną się całe mrowia - ciągnął, wskazując Nową Fundlandię.

- Mój wuj, Siny Nos, zwykł się tam udawać, gdy łowił ryby przy Grand Bank.

Raz mu towarzyszyłem i utłukliśmy razem całe mnóstwo. Uśmiełby się pan do rozpuku, widząc, jak ustawiają się kolejno niczym kręgle, by dostać w łeb.

Pocięliśmy ich mięso na przynętę, a jaja zjedliśmy ze smakiem.

- Sinonosy sukinsyn - szepnął Stephen do siebie. - Barbarzyńca, krwiożerca, zwyrodnialec. - A już głośno, próbując się zdobyć na możliwie najbardziej przyjazny ton, spytał: - Czy istnieje jakaś szansa, że zobaczymy je na brzegu?

- Pewnie tak, doktorze, o ile będzie pan bacznie wypatrywać. Interesują pana te pingwiny? Pożyczę panu lunetę.

Dotkliwie zimno sprawiło, że szkła lunety były ustawicznie zamglone, lecz Stephen nie zaniechał obserwacji, a jego nienawiść do mieszkańców Nowej Szkocji szybko zniknęła. Nim statek pocztowy wślizgnął się w kłęby mgły przy południowym krańcu ławic, wyprzedzając przy tym znacznie bliższy ze szkunerów, zauważył nie tylko kilka nurników i alczyków, ale również dwa egzemplarze alki olbrzymiej. Mgła naraz stała się gęstsza i „Diligence” była już całkowicie skryta przed swymi prześladowcami. Dalgleish nakazał zwinięcie lekkich żagli, bombramsli, bramsli, żagli głównych i wszystkich innych z wyjątkiem dolnego fokmarsla i kliwra, które były potrzebne do manewrowania pośród kłębiących się, osobliwych tumanów mgły. Wkrótce nadszedł wieczór, lecz przemarznięty Stephen nadal nie schodził pod pokład, trzymany na nim nadzieją, że wkrótce ujrzy trzecią alkę.

„Diligence” sunęła powoli naprzód, a jej dzwon odzywał się co chwila.

Dalgleish nakazał podwoić liczbę obserwatorów na całym okręcie. Najlepsza kotwica została podniesiona na prawoburtowej kotbelce, gdyż sam przyznał, że nocna przeprawa przez ławice, przy tyłu łowiących tu statkach i niebezpieczeństwie nadciągnięcia letnich gór lodowych, była dlań bardzo trudnym zadaniem. Zatopione we mgle statki odpowiadały na dzwon okrętowy z bliska i z daleka werblami oraz gwizdami, zewsząd dobiegał też ryk konch, zwiastujący obecność niewidocznych łodzi rybackich. Biała początkowo mgła zaczęła szarzeć coraz bardziej. Niespodziewanie pośród jej tumanów, w odległości niecałych dwustu metrów, zajaśniały zamazane światła kotwiczne oraz

latarnie rufowe. Dobiegł od nich osobliwie wysoki, świdrujący gwizd, spowodowany kręceniem korby.

- Ahoj, „Leviathan”! - zawołał Dalgleish.

- Co to za okręt? - krzyknął ktoś z pokładu „Leviathana”.

- „Diligence”, się rozumie! William, jaką macie głębokość?

- Trzydzieści sążni.

Dalgleish zakręcił kołem sterowym i statek zaczął skręcać na zawietrzną, wytracając przy tym szybkość. Wykonawszy płynny, elegancki zwrot, statek stanął dziobem do wiatru i cofnął się nieco, lecz załoga w porę spuściła kotwicę.

- Pan Henry znów szaleje! - zawołał głośno, wykazując ochotę do pogawędki.

- A pies go trącał - powiedział szyper „Leviathana”. Napotkany statek znalazł się teraz na prawej burcie „Diligence”.

- A jak połowy dorsza, William?

- Nieźle, całkiem nieźle, Jamie - odpowiedział tamten z wesołym chichotem. - Niezbyt się łapią na kapelana, ale kawałki kałamarnicy dobrze się sprawdzają. Wyślijcie mi łódź, a dam wam ryb na kolację.

Załoga szalupy pod dowództwem drugiego mata odbiła od kadłuba statku pocztowego i po chwili wyłoniła się z parujących wód. Roześmiani marynarze wieźli dwa dorsze długości ludzkiego ciała, a wchodzący na pokład drugi mat ścisnął jakiegoś bardzo dużego, wilgotnego czarnobiałego ptaka.

- Proszę, doktorze - powiedział. - Mieli zamiar wykorzystać go na przynętę, lecz mają przecież mnóstwo kawałków kałamarnicy, a mnie przyszło do głowy, że być może sprawi to panu miłą niespodziankę.

Proroctwa pana Dalgleisha sprawdzały się do tej pory co do joty, a po kolacji, na której podano najlepszego dorsza na świecie, podgotowanego w kuble morskiej wody, szyper przepowiedział, że „Liberty” oraz jej towarzysz porzucą pościg jeszcze tej nocy.

- Pan Henry nie może sobie pozwolić na wielodniowe pościgi ze wszystkimi tymi ludźmi na pokładzie - stwierdził. - Taka zdobycz jak zwykły statek pocztowy na pewno nie zrekompensuje mu poniesionych nakładów. Nie jest on przecież prawdziwym, pełnomorskim piratem, a jedynie drobnym korsarzem, zwykłym, przybrzeżnym rabusiem. Pewnie rychło pomknie jak burza do Marblehead, gdyż wiatr nie zmieni się, póki księżyc nie zacznie się zmniejszać. - W kwestii wiatru Dalgleish się nie omylił, żagle „Diligence” wypełniał wiatr z południa oraz zachodu, dzięki któremu statek przez cały niewyraźny, mglisty świt oraz następujący po nim blady dzień ostrożnie manewrował wśród wysepek Middle Bank oraz hałasujących statków hiszpańskich, portugalskich, nowofundlandzkich oraz nowoszkockich. Szyper pomylił się jednak co do pana Henry’ego. Ledwie

wyszli z zasięgu mgły, a natychmiast dostrzeżono oba szkunery, łatwo rozpoznawalne dzięki wychyleniu masztów. Na szczęście oba znajdowały się daleko na południe. - Nigdy w życiu nie widziałem takiej zawziętości! - wykrzyknął po raz wtóry. Ponownie skonstatował, że gnają jakby ładownie „Diligence” były pełne złota, po czym kazał postawić wszystkie żagle. Statek pocztowy pomknął na północny wschód, ku Misaine oraz ławicom Artimon.

Dalgleish obmyślał najrozmaitsze fortele i wybiegi, niemniej przeklęty Henry przepatrzył je wszystkie. Pojawił się zaraz po opuszczeniu Misaine i powtórzył swój wyczyn, gdy pokonali ławice Artimon. Dalgleish postanowił

wówczas postawić statek w dryfie i przeczekać w ten sposób całą noc, lecz gdy nastał świt, ujrano „Liberty” w odległości ledwie trzech mil. Zdawało się, że wiatr jest jedyną rzeczą nad którą Henry nie ma władzy.

W dalszym ciągu wiało od rufy, tak więc ożaglowana rejowo „Diligence” miała przewagę nad szkunerami. Przewagę ową utrzymać jednakże mogła tylko dzięki temu, iż załoga bez chwili wytchnienia przykładała się do trzymowania żagli w każdej minucie tego niekończącego się wyścigu. Kliwry, żagle boczne i lekkie bez ustanku pojawiały się i znikaly, a szczupła załoga z wolna opadała z sił. Dalgleish postanowił wówczas wziąć kurs na samą Grand Bank, skrytą w jeszcze gęstszych, utrzymujących się ciągle mgłach. Długi rejs na wschód ku Grand Bank doprowadził jednak do tego, że statek pocztowy stracił swą przewagę nad szkunerami - przy wietrze zza trawersu szkunery mogły żeglować z tą samą prędkością co bryg, pomimo że szoty były napięte jak stalowe liny, a za kołem sterowym stał sam właściciel, obmyślający coraz to nowe sztuczki.

Trzy statki pędziły więc naprzód, wychylone pod naporem wiatru. Ich zawietrzne kotbelki z rzadka jedynie wynurzały się z piany wzburzonej fali dziobowej, pokłady opadały pod kątem ostrym niczym skośne dachy domów, a maszty trzeszczały i skrzeczały. Wiatr ze świstem przemykał nad prawoburtowym relingiem i pogwizdywał wśród lin, co do jednej napiętych do granic możliwości.

Nad Grand Bank nie było jednak mgieł, tak więc schronienie się wśród ławic stało się niemożliwością. Nad wysepkami unosiły się nieprzeliczone chmury ptactwa, między nimi pływały dziesiątki bankerów i jeszcze więcej łodzi, uwijających się w poszukiwaniu dorsza, ale nigdzie nie było mgły. Z

jakichś osobliwych względów prąd w tym roku ominął Grand Bank szerokim łukiem, przez co cały ten ogromny akwen był równie spokojny jak Morze Śródziemne. Co więcej, zbliżała się pełnia, a zatem noc również przestawała być bezpieczna. Dalgleish przeklinał dzień, w którym to podjął decyzję, by nie płynąć do St John's na Nowej Fundlandii. Postanowił znów ruszyć fordewindem, lecz tym razem silny wiatr okazał się kapryśny i porywisty.

Krótko po wydaniu rozkazu rozległ się przeciągły trzask i w górnej części stengi pojawiło się długie pęknięcie. Podczas tak zaciętego pościgu niemożliwością byłoby stanięcie w dryfie na czas potrzebny do założenia nowej, tak więc marynarze bezzwłocznie wzmocnili pęknięte drzewce handszpakami kabestanu, które ciasno owinęli linami. Tak poważnie uszkodzony maszt nie był jednak w stanie dłużej utrzymywać wielkiej liczby żagli, tak więc przewaga statku pocztowego zaczęła się kurczyć. Teraz, nawet płynąc idealnym fordewindem, przy lekkim wietrze, słup „Diligence” żeglował

z tą samą prędkością co ścigające go szkunery, a gdy pojawiała się konieczność reflowania marsli, nieprzyjaciel nadrabiał dystans.

Płynęli jednak dalej, kierując się na północny zachód, lecz częściej zbacząc ku północy. W dzień wisiało nad nimi błękitne niebo, a w nocy pośród migotliwych gwiazd pojawiał się ogromny księżyc, rozświetlając ciemności od jednego horyzontu po drugi. Jack, Humphreys oraz służący tego drugiego, były żołnierz piechoty morskiej, spędzili długie godziny na przygotowaniu dział oraz broni palnej znajdującej się na wyposażeniu brygu, a następnie zapędzili nieliczną garstkę wolnych od zajęć marynarzy do żmudnych ćwiczeń artyleryjskich. Aubrey nie miał jednak złudzeń co do uzbrojenia statku.

Z tymi niewielkimi, niecelnymi karonadami krótkiego zasięgu mogli jedynie narobić mnóstwo hałasu, bo o wyrządzeniu nieprzyjacielowi większej szkody nie było mowy. Marynarze zaś, choć ochoczo przykładali się do ćwiczeń, nie mieli żadnej wprawy w walce, a ponadto było ich niewielu.

W czwartkową noc wiatr osłabł jeszcze bardziej, to była już prawie cisza morska. Opadający słupek rtęci w barometrze, gromadzące się za rufą chmury i coraz wyższe fale zwiastowały, że wiatr lada moment skręci na zachód, jeśli nie na północ do zachodu, a co gorsza zacznie wiać naprawdę mocno. Marynarze wyczuli również zapach lodu i pod koniec pierwszej wachty, gdy księżyc prawie sięgnął zenitu, byli świadkami przewrócenia się ogromnej góry lodowej, której dolne partie od dłuższego czasu atakował cieplejszy prąd. Olbrzymie bryły lodu runęły do morza, wzbijając migoczące w blasku księżyca fontanny wysokości stu metrów bądź nawet wyższe. Kilka sekund później usłyszeli głęboki, przeciągły łomot, zwiastujący wielkie zagrożenie.

Podczas podróży przez Grand Bank załoga „Diligence” założyła odbijacze lodu - specjalne drzewce przymocowywane do dziobu, których zadaniem było łagodzenie siły zderzenia z dryfującymi bryłami lodu. Ale odbijacze zmniejszyły też prędkość statku, tak więc zdjęto je zaraz po uszkodzeniu masztu, tym bardziej, że „Diligence” porzuciła już swą zwyczajową letnią trasę, na której często zdarzały się góry lodowe.

- Nieprawdopodobne - skomentował zjawisko Dalgleish, który natychmiast kazał ponownie założyć odbijacze. Decyzja mogła w konsekwencji doprowadzić do przechwycenia „Diligence” przez amerykańskie szkunery, ale szyper wolał nie ryzykować. Nieregularne, poszarpane bloki lodów niemal nikły pod powierzchnią wody, przez co były trudne do zauważenia, a każdy z nich był

w stanie przebić kadłub statku, nawet gdyby ten robił pięć węzłów, nie mówiąc już o szaleńczej prędkości ponad czternastu węzłów, którą osiągał wcześniej. W

polu widzenia znajdowały się ponadto trzy następne góry lodowe, które połykiwały na północy.

Dalgleish praktycznie nie opuszczał pokładu od chwili rozpoczęcia wyścigu. Był nieogolony i wyglądał na bardzo starego i zmęczonego. Teraz jednak, widząc zwiastuny wiatru korzystnego dla korsarzy, wydawał się całkiem załamany. W piątek rano w jego zaczerwienionych oczach pojawił się jednak nowy błysk, gdy na wschodzie, opromienionym blaskiem wstającego słońca, pojawił się jakiś żagiel. Wysoko na niebie wisiały czerwone chmury deszczowe, co oznaczało, iż wiatr najprawdopodobniej znów nabierze mocy. Szyper pochwycił lunetę i szybko wdrapał się na saling, a

gdy zszedł na dół, powiedział

do Jacka:

- Nie chcę zapeszać, ale ten żagiel na horyzoncie może oznaczać dla nas wybawienie. Proszę wziąć mą lunetę, kapitanie. Chciałbym, by pan też wszedł

na salinę i stwierdził, czy się pan ze mną zgadza.

Jack wdrapał się na top ze zręcznością młodego chłopaka - choć przyćmiewającego - a tam, z uwagi na fakt, iż wstające słońce uniemożliwiło obserwację obcego statku, przyjrzał się najpierw „Liberty”, płynącej nieco za trawersem „Diligence”, oraz jej towarzyszowi, który znajdował się między trawersem a rufą. Oba szkunery nadrobiły przez noc sporo dystansu i choć wciąż znajdowały się daleko poza maksymalnym zasięgiem długich dział, ich załogi z pewnością poczuły już pierwsze podmuchy wiatru północnozachodniego, który zbudził się wraz ze wstającym słońcem. Wiedziały też, że nadeszła długo oczekiwana pora i obie przygotowały dziobowe pościgówki do otwarcia ognia. Z tego, co udało mu się dostrzec, szkuner pana Henry’ego był uzbrojony w długą, mosiężną dziewięciofuntówkę, a sam doskonale wiedział, iż w dobrych rękach takie działo mogło okazać się śmiertelną bronią. Następnie zwrócił lunetę ku nieznajomej jednostce, która wypłynęła już spoza oślepiających promieni słońca. Szybko spostrzegł, iż był to pękaty, głęboko zanurzony statek, idący bejdewindem na prawym halsie. Nie miał wątpliwości, że przygląda się jednostce handlowej sporych rozmiarów i sporej wartości, z pewnością brytyjskiej, zważywszy na przebieg wojny. Kupiec bynajmniej się nie spieszył - sunął powoli na żaglach głównych i zrefowanych marszlach na kursie, który niechybnie zaprowadziłyby go w szpony korsarzy.

Wystarczyłoby, by pan Henry i jego sojusznik pchnęli lekko koła sterowe, a mogliby zaatakować obcy statek z obu burt i zdobyć go abordażem, zanim jego załoga w ogóle wszczęłaby alarm.

Korsarze musieliby jednak zmienić kurs i to szybko. Siła wiatru rosła, a jego kierunek się zmieniał, gdyby więc pozostali na obecnym halsie, statek handlowy wnet znalazłby się na ich zawietrznej. Wtedy, obojętnie jak blisko wiatru mogłyby podejść, łup byłby dla nich stracony.

Załoga statku pocztowego przyglądała im się z wyteżoną uwagą. Rozległy się trzy uderzenia w dzwon, a potem cztery. Na pokładzie „Diligence” nie było lunety, której nie skierowano by na „Liberty”, każdy z obserwatorów wypatrywał pierwszych oznak zmiany kursu w kierunku statku handlowego. W

światle dnia widzieli wyraźnie prawą burtę, gdzie było aż czarno od ludzi.

Amerykańscy marynarze, a wśród nich niechybnie sam pan Henry, stłoczyli się wzdłuż relingu i przypatrywali się nieznajomej jednostce, stanowiącej odpowiedź na najbardziej żarliwe modlitwy każdego korsarza. Ta z kolei wydawała się wręcz uśpiona i płynęła przed siebie na tym samym kursie, zupełnie jak gdyby morze wokół niej było całkowicie puste. Jack wielokrotnie spotykał się z tym, że obserwatorzy na statkach kupieckich nie przykładają się do swej pracy, ale nigdy w życiu nie widział takiego popisu obojętności.

- Strzał ostrzegawczy! - wykrzyknął poruszony. - Za pańskim pozwoleniem, trzeba odpalić strzał ostrzegawczy!

- A niech pan odpali choćby z tuzin, jeśli pan chce, kapitanie Aubrey! -

roześmiał się gorzko Dalglish. - Niech mi pan wierzy, temu statkowi nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Pan Henry nawet go nie tknie.

Jack wypalił dwukrotnie, ciesząc się, że może rozgrzać karonady. Był

niemal pewien, iż Dalglish ma rację - tak doskonały żeglarz i uparty korsarz, jakim okazał się Henry, za nic w świecie nie straciłby wielu cennych mil z trudem nadrobionego dystansu. Nic nie przekonałoby go do porzucenia zamiaru, nawet widok tak cennego przyzu. Pan Henry był zainteresowany tylko i wyłącznie statkiem pocztowym i po raz kolejny działa miały zostać wykorzystane dopiero w ostateczności.

Stephen wybiegł na pokład zaraz po pierwszym raporcie. Sytuacja była jasna nawet dla człowieka, który nie znał się na żegludze, wystarczył rzut oka na szkunery, manewrujące niczym jachty wyścigowe na zmieniającym się wietrze.

Pierwszy mat na wszelki wypadek wyjaśnił mu wszystko w jednym zdaniu pełnym przekleństw, a po drugim wystrzale z działa podbiegł do Jacka i spytał:

- Czym mogę się zająć?

- Niech pan idzie do magazynka i pomoże panu Hope napełniać ładunki prochem - rzekł Jack. - Potem może pan obsadzić wraz ze mną karonadę.

Upłynęło kilka minut. Na pokładzie statku handlowego naraz obudziło się życie - odpowiedział pojedynczym wystrzałem i wywiesił banderę, którą następnie opuścił na znak salutu i podniósł ponownie. Oba statki korsarskie natychmiast odpowiedziały wystrzałem na zawietrzną i również wywiesiły brytyjskie bandery. Jack wystrzelił z pozostałych karonad na prawej burcie, mając nadzieję, iż to uświadomi kupcom, że coś jest nie w porządku. Nad pokładem „Diligence” uniósł się dobrze mu znany zapach prochu, a krępe działa zostały odtoczone i podtoczone, aż znajomo brzęknęły uprząże. Następnie Jack oraz jego pomocnicy załadowali je kartaczami oraz kulami.

Na statku handlowym zrzucano refy, ale nadal z ufnością płynął

poprzednim kursem. Na „Diligence” już dawno wywieszono sygnał ostrzeżenia, lecz niezajomy dowódca najwyraźniej nic sobie z niego nie robił. W rzeczy samej, jego jednostce nie groziło żadne niebezpieczeństwo.

Korsarze zapewne przyglądali się już jej z tęsknotą, lecz ich celem, ich ofiarą był tylko i wyłącznie statek pocztowy. Oba podeszły jeszcze bliżej do wiatru i zbliżały się z wolna ku „Diligence”, odchodząc od kursu, na którym płynął kupiec. Kluczowy moment niemal minął i mało już brakowało, by statek handlowy bezpiecznie przeciął kilwatery korsarzy.

- Nigdy nie mów „nigdy” - rzekł Dalgleish z upiornym uśmiechem i wydał rozkaz postawienia bramli i bombramsli, pomimo tego, iż fokmaszt był

uszkodzony. Następnie sam ujął koło sterowe i wyostrzył tak blisko linii wiatru, jak to było możliwe, po czym nieco odpadł. Kochał swój statek i znał go na wylot, a teraz musiał wydobyć z niego jak najwięcej. „Diligence” żeglowała doprawdy wspaniale, lecz gdy wiatr w końcu się ustabilizował i rozpoczął się nowy etap pościgu, okazało się, że podczas żeglugi na wiatr nie jest w stanie umknąć korsarzom. Co gorsza, było już za późno, by ruszyć z wiatrem, gdyż zwrot sprawił, że oba statki korsarskie od chwili minięcia statku handlowego znalazły się na zawietrznej. Zbliżały się teraz powoli, ale nieubłaganie, robiąc po siedem węzłów na sześć „Diligence”. Jack zrozumiał, że wyścig zakończy się około południa, a jego zwieńczeniem będzie starcie zbrojne. Pocztę wyniesiono już na pokład - były to trzy długie, skórzane worki, z których każdy przymocowano do dwóch sztabek żelaza. W ostatniej chwili miały zostać ciśnięte za burtę.

Godzina za godziną trzy statki ścigały się pośród szalych, wzburzonych fal. Na zachodzie zebrały się ciężkie chmury, zasłaniając cały horyzont. Wiatr przybrał na sile, a morze stało się gwałtowniejsze. Co rusz któryś z marynarzy zerkał z obawą na naprawiony prowizorycznie fokmaszt. Pomimo że pęknięcie zostało mocno obwiązane, widać było, iż szczelina rozszerza się i zamyka, gdy statek wchodził na większą falę. Bosman założył tam kolejne opaski, ale nawet mimo tego Dalgleish nie mógł iść na falę czołową, by oddalić się od szkunerów na nawietrzną. Przy tak uszkodzonym maszcie było to niemożliwe. Jakikolwiek zwrot skończyłby się wpadnięciem prosto w ręce korsarzy.

- Tę chwalebłą część bitwy pozostawię panu, kapitanie - powiedział do Jacka, przyglądając się nawietrznemu likowi grotmarsla. - Gdy tylko otworzą ogień, mam zamiar ostrzej podejść do wiatru i ruszyć prosto między nich. - Na jego zarośniętej, pobrużdżonej i poszarzałej twarzy pojawił się nagle dziki wyraz. - Nieźle im przywalimy, nawet jeśli miałyby być to ostatnia rzecz, której dokonamy. - Jack kiwnął głową. Nie widział żadnego innego rozwiązania poza poddaniem się, a choć przy świetle dziennym praktycznie nie mieli szansy na sukces, zdecydowanie wolał stawić opór, aniżeli pokornie się poddać. Nie było gorszej rzeczy od poddania się. Wraz z Humphreyssem oraz skromną grupą pomocników skrupulatnie, metodycznie podtaczali działa na lewej burcie, odpalali i ładowali na nowo. Jack uwielbiał strzelać z dział o czystych, rozgrzanych lufach, podsypanych świeżym prochem. W końcu wystrzelił z ostatniego, a gdy odrzut posłał działo do tyłu, Jack niespodziewanie usłyszał

dzikie wrzaski dobiegające z rufy. Zaalarmowany odwrócił się błyskawicznie i ujrzał ludzi podskakujących z radości, walących się po plecach, wrzeszczących i wiwatujących. Ktoś zwolnił bulinę grotzągla i „Diligence” odpadła od wiatru, w efekcie czego „Liberty” znalazła się na trawersie statku pocztowego. Fokmaszt korsarzy złamał się przy jarzmie i wraz z wieloma ogromnymi żaglami opadł na prawą ćwiartkę dziobową. Na oczach Jacka grotstenga poszła w jego ślady i szkuner stanął w łopocie z szarpiącym się dziko grotzagle. Naraz rozległ się ryk rozwścieczonego Dalgleisha, przeklinającego całą załogę: - Wy cholerne nieroby! Wyluzować fały bombramsla! Fały bombramsla! Tom, Joe, wybierać te pieprzone brasy nawietrzne! Szoty! Do szotów na dziobie! Gordingi! Brać się do gordingów, wy zaropiałe skurwysyny! Weź ich pan w obroty, panie Harvey!

Kopniakami popędź pan te łajzy! Joe, weźmiesz się za ten cholerny szot czy mam ci łeb rozwalić?

Na pokładzie rozpełtało się dzikie zamieszanie, w którym Jack otrzymał

dwa kopniaki i jedno smgnięcie liną pierwsze od chwili mutacji głosu. Po chwili jednak slup „Diligence” płynął już pod zwykłymi żaglami, napięcie na uszkodzonym maszcie zostało zmniejszone, a na pokładzie przywrócono porządek. Dalgleish oddał koło sterowe i wraz z Jackiem, już na spokojnie, przyjrzeni się „Liberty”. W międzyczasie pierwszy statek korsarski przy pełnej prędkości zderzył się z górą lodową a w chwili obecnej miał coraz większe przegłębienie na dziobie - najprawdopodobniej jego dziobnica została strzaskana pod linią wodną. Załoga usiłowała spuścić na wodę szalupy, a drugi szkuner zostawił statek pocztowy i pędził ku nim tak szybko, jak tylko mógł. W ciągu każdych pięciu minut mijali dystans, którego przebycie kosztowało go godzinę.

Wkrótce statek pocztowy ruszył bejdewindem i oba szkunery zaczęły niknąć za rufą.

- Czy ten ocalały statek będzie nas ściagał? Jak pan sądzi? - spytał

Stephen.

- Nie, proszę pana - ziewnął Dalgleish. - Może pan ułożyć się na koi i spać spokojnie. Ja zrobię to na pewno. Drugi szkuner zabierze ludzi pana Henry’ego,

O ile zdoła ich wszystkich pomieścić... Na litość boską, proszę spojrzeć, ilu z nich przechodzi na jego pokład! O, widział pan tego durnia? Skoczył do wody, łajza jedna, ha, ha, ha! To jest równie dobre jak... sztuka teatralna! Zaraz ruszą do domu, ale nie wróżę im przyjemnej podróży. Oczekują ich całe dnie i noce mozolnego halsowania na zachód. Nie przejęli też żadnych zapasów z

„Liberty”, a przy tylu nowych gębach do wyżywienia na pokładzie zdążą zapewne zjeść własne pasy, nim znów ujrzą Marblehead.

- Jest coś takiego w nieszczęściach, które dotyczą innych, co bynajmniej nie sprawia nam przykrości - rzekł Stephen, ale nikt go nie usłyszał, gdyż wokół

rozległy się głośnie okrzyki: „Tonie! Tonie!”. Odległy już kadłub „Liberty” zsunął się w głąb szarych fal.

- Nie, proszę pana - powtórzył Dalgleish. - Może pan spać spokojnie.

Pańska... eee... Pańska narzeczona również. Zupełnie zapomniałem, jak się nazywa. Mam nadzieję, że nie przeszkadzały jej wszystkie te wrzaski i łomoty.

- Wątpię - rzekł Stephen. - Ale zejdem na dół i zobaczę. - Był w błędzie.

Diana była zaniepokojona i rozdrażniona do granic. Pierwszy wystrzał z działa całkiem odpędził wyniszczającą ją chorobę morską, opacznie też zrozumiała kolejne strzały oraz wrzawę na pokładzie. Gdy Stephen wszedł do jej kajuty, ujrzał ją ubraną i siedzącą na skrzyni. W każdej dłoni trzymała pistolet z odwiedzionym kurkiem, a minę miała zaciekłą niczym dziki kot uwięziony w pułapce. - Natychmiast odłóż te pistolety - powiedział chłodnym głosem. -

Nigdy nie słyszałaś, że mierzenie z pistoletu do osoby, której nie zamierzasz zabić, jest wyrazem nieuprzejmości? Doprawdy, wstydź się, Diano. Gdzieś ty się chowała?

- Proszę o wybaczenie - odpowiedziała, speszona jego surowością. -

Sądziłam, że doszło do bitwy, a Amerykanie wdarli się na pokład.

- Ależ skąd, skądże. Najbardziej zagorzały z korsarskich okrętów,

„Liberty”, całkiem się roztrzaskał. Miał zderzenie z górą lodową i zatonął jakieś pięć minut temu, drugi zaś zmierza do domu, zatłoczony niczym arka Noego.

Niechże ci pogratuluję udanej ucieczki, moja droga. Wyglądasz znacznie lepiej, z tego, co widzę - ciągnął, mierząc jej puls. - Tak, twój stan poprawił się znacznie. Czy chciałabyś zaczerpnąć nieco świeżego powietrza i ujrzeć porażkę naszych wrogów?

Stephen wyprowadził Dianę na pokład, gdzie marynarze nadal dawali upust swej dzikiej radości, zgoła całkiem zapomniawszy o panującej na statku hierarchii. Pojawienie się damy powitali spontanicznymi, przyjaznymi wrzaskami. Zewsząd pochwyciły ją ochocze dłonie i szybko znalazła się przy relingu, gdzie wskazano jej odległy szkuner, płynący na wschód. Przytulony do jej łokcia kuk jął ochryplym głosem przedstawiać szczegółowo wszystkie wydarzenia od ostatniego wschodu słońca, lecz jego opowieść została niemal zagłuszona wyjaśnieniami dwóch matów oraz pokrzykiwaniami karłowatego chłopca okrętowego, który uparł się dać jej do zrozumienia, że przewidywał to wszystko od samego początku. W końcu pojawił się Dalgleish, zdjął kapelusz i powitał ją uprzejmie, próbując zachować ceremoniał:

- Ogromnie się cieszymy, widząc panią na pokładzie - rzekł. - Mamy nadzieję, że uczyni nam pani podobny zaszczyt każdego dnia naszej podróży, o ile pogoda na to pozwoli. Nasza podróż co prawda wcale nie potrwa długo, pod warunkiem, że wiatr się utrzyma. Te łajdaki zapędziły nas tak daleko, iż wcale się nie zdziwię, jeśli już w środę ujrzymy Rockfall. - Naraz uświadomił sobie, że Diana nie ma pojęcia, czym jest Rockfall, tak więc dodał: - Wcale się nie zdziwię, jeśli przyjdzie nam odbyć najszybszy rejs w historii żeglugi, z wyjątkiem wyczynu „Clytie” w 1794. Ależ będą się cieszyć na nasz widok, droga pani! Przywozimy przecież wspaniałe wieści. Sam aż podskoczyłem z radości, gdy usłyszałem, że „Shannon” zdobyła „Chesapeake”.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Gdy w końcu udało się wstawić nową stengę, „Diligence” skierowała się na zachód. Żagle statku pocztowego wypełniał wspaniały wiatr z prawej ćwiartki dziobowej, wręcz ucieleśnienie marzeń każdego żeglarza. Często przynosił ze sobą deszcze, lecz był silny i niemal tak stały jak pasaty. Taki wiatr nadawał się głównie do żeglugi na bramslach, ale pan Dalgleish, nie chcąc marnować ani odrobiny jego pędu, nakazał postawić również bombramsle.

Pomimo że „Diligence” spędziła jakiś czas na dryfie w środku ławicy, istniało duże prawdopodobieństwo, iż pokonają tę trasę w niezwykle krótkim czasie.

Korsarze zapędzili ich z ogromną prędkością daleko na wschód i szyper był

przekonany, że już dawno wyprzedzili powolny „Nova Scotia”, idący szlakiem południowym. Utrzymawał, że dotrą do Anglii pierwsi i podobnie jak każdy marynarz na pokładzie aż drżał z niecierpliwości, by przekazać wieści rodakom.

Wiatr utrzymywał siłę i kierunek, a Dalgleish wykorzystywał każde jego tchnienie. Statek pokonywał dwieście sześćdziesiąt dziewięć mil morskich w ciągu doby i już siedemnastego dnia po wypłynięciu z Halifaksu ich sonda dotknęła dna. Podczas wejścia do kanału La Manche natknęli się wracający statek niewolniczy, idący z Afryki, a gdy mijali go od nawietrznej, Dalgleish miał swą okazję, by przekazać wieści po raz pierwszy.

- „Shannon” wzięła „Chesapeake”! - ryknął wśród strug deszczu, niesionych zachodnim wiatrem. Gdy odплыnęli, na pokładzie statku handlowego wciąż panowała dzika radość, zupełnie jakby jego załogę stanowili sami wariaci.

Następnie Dalgleish przekazał wieści kornwalijskim rybakom łowiącym sardele, marynarzom kutra pilotującego niedaleko Dolman oraz fregaty napotkanej przy Eddystone, a także ludziom na kilku innych jednostkach, głównie kierujących się na Atlantyk.

Logicznie rozumując, jeśli wieści w ogóle przybyły już do Anglii, powinny były dotrzeć głównie do południowo - zachodniego skrawka tej wilgotnej wyspy, a słup „Diligence”, który pędził po wodach kanału w kierunku Portsmouth z korzystnym pływem oraz wyjąłym wiatrem południowozachodnim w żaglach, powinien je bez trudu wyprzedzić. Tak się jednak nie stało. Statek wchodził już do portu z wywieszonym sygnałem oznaczającym dostarczenie meldunków, mając Haslar na lewo od dziobu i Soutshsea Castle na trawersie, gdy zbliżył się do niego barkas admirałski z podwójną obsadą wiosłujących szybko ludzi.

- Czy to prawda? - zawołał oficer flagowy.

- Tak - odpowiedział Humphreys, który już przywiązał meldunki ciasno do brzucha i oparł stopę na szczeblu rufowej drabinki. Barkas podszedł bliżej i wytracił prędkość, a Humphreys zeskoczył do łodzi. Wylądował niezgrabnie, gubiąc przy tym kapelusz na wietrze, lecz powstał ze śmiechem, a łódź w mig zawróciła i ruszyła ku nabrzeżu, gdzie oczekiwała karoca zaprzężona w cztery konie. Powóz, mający zawieść go do siedziby admiralicji z prędkością dziesięciu mil na godzinę, został pospiesznie przystrojony dębowymi gałązkami, gdyż od czasu wybuchu wojny z Amerykanami w całym kraju trudno było o liście laurowe.

Mimo że wieści o zwycięskim boju z „Chesapeake” znano już wszem wobec, cumujący statek pocztowy bynajmniej nie spotkał się z obojętnością mieszkańców Portsmouth. Wręcz przeciwnie - oficjalne potwierdzenie szerzących się plotek spotęgowało ogólną ekscytację i wywołało u ludzi niepohamowane pragnienie poznania każdego szczegółu starcia. Podróżujący na

„Diligence” najpierw zmuszeni byli znieść nawał pytań zafascynowanych oficerów celnych, którzy niemalże zapomnieli o inspekcji, a gdy w końcu przybyli na brzeg, otoczył ich tłum ludzi, którzy błagali o zdradzenie choć kilku informacji. Ulicami przewalały się tłumy ludzi, ustała wszelka praca,

a na Common Hard marynarze na przepustkach oraz robotnicy z doków już układali ogromny stos na ognisko. Sklepiarze oraz ich czeladnicy przeciskali się przez tłum, by dorzucić do niego kolejne skrzynki i baryłki; dokładano tam też różne osobliwości, takie jak trójnożna sofa czy powóz z jednym kołem. W każdej karczmie śpiewano i wiwatowano, zupełnie jak gdyby Portsmouth właśnie dowiedziało się o wielkim zwycięstwie całej floty.

Był to oczywiście wyraz głębokiej rozpaczki oraz bolesnego rozczarowania, frustracji i goryczy całego kraju, które wywołała seria wcześniejszych porażek. Być może reakcję mieszkańców miasta można było odebrać jako wyraz wielkiej miłości dla Royal Navy, lecz mimo tego Jack uznał

ją za przesadną. Przede wszystkim wszechobecny entuzjizm spowolnił nużącą serię formalności, przez które musiał przejść, nim na powrót stał się panem swego losu. Aż drżał z tęsknoty za żoną, marzył już, by znaleźć się w domu i nacieszyć się dziećmi oraz końmi, a tymczasem mnożące się przeszkody sprawiły, że jego głębokie szczęście przesłoniła irytacja. Był raczej wielkodusznym człowiekiem i nie zwykł odmawiać innym powodów do radości, ale gdy przepychał się przez tłum w kierunku biura komendanta portu wojennego, czuł, jak narasta w nim niechęć do weselących się ludzi. Jego zdaniem żeglarze mieli prawo, by wrzeszczeć i wiwatować tak głośno, jak im się to podoba - w końcu dobrze wiedzą, co oznacza taka bitwa. Widok tryumfujących cywili budził w nim jednak złość, podobnie jak wznoszone przez nich okrzyki: „Jankesi, jeszcze damy wam popalić!”. Gdy mijał Blue Posts, znalazł się na drodze grupki podekscytowanych dziewczyn, przez co musiał

zeskoczyć do rynsztoka. Niespodziewanie stanął wtedy twarzą w twarz z pewnym właścicielem lombardu, człowiekiem o nazwisku Abse, który cieszył

się dość wątpliwą reputacją. Znajomość z nim zawarł wiele, wiele lat temu, gdy służył jeszcze jako midszypmen i posiadał jeszcze cokolwiek, co nadawało się do oddania do lombardu. Abse nie zmienił się zbyt - wciąż cechowały go obwisłe policzki oraz ogromny, bulwiasty nos, choć w tej chwili zarówno nos jak i policzki były mocno zaczerwienione. Lombardziarz natychmiast rozpoznał

swego dawnego klienta i wykrzyknął głośno:

- Kapitanie, słyszał pan już wieści? „Shannon” wzięła „Chesapeake”! - W

chwile później rozdzielił ich tłum, lecz Jack usłyszał jeszcze jego wrzaski: -

Damy wam popalić! Jeszcze damy wam popalić!

W końcu zameldował się w biurze i po raz setny szczegółowo opowiedział przebieg bitwy. Gdy wyszedł, ułożony stos płonął już wysoko, a zgiełk, powodowany przez weselących się ludzi, stał się jeszcze głośniejszy.

„W Halifaksie jakoś mi ta wrzawa nie przeszkadzała” - pomyślał.

„Właściwie to nawet sprawiła mi sporo przyjemności. Wydawała mi się czymś naturalnym i stosownym, ale przecież tamtejsi ludzie byli w samym środku wojny. Wiele ucierpieli ze strony Amerykanów, stracili przez nich swe statki, no i zobaczyli »Shannon« i »Chesapeake« na własne

oczy”.

Przyszło mu również do głowy, że gdy po raz pierwszy zszedł w Halifaksie na ląd, bynajmniej nie przegapił swego obiadu, a tymczasem kucharz

„Diligence”, podekscytowany powrotem do kraju i spotkaniem ze swą ukochaną a także pochłonięty rozpowiadaniem tryumfalnych historii, kompletnie stracił

głowę. Obiadu więc nie było i żołądek Jacka burczał coraz głośniej. Postanowił

zmienić plan i najpierw skierować się do Clown, gdzie zamówił chleb z serem oraz kwartę piwa.

- I posłuchaj no - powiedział do kelnera. - Wyślij jakiegoś chyżego chłopaka do Davisa, by podstawiono mi konia, najlepiej jakiegoś silnego. Niech powie, że koń jest dla kapitana Aubreya, a jeśli wróci, nim ja skończę to piwo, dostanie ode mnie pół korony. Nie ma ani chwili do stracenia.

Przy takim ścisisku na ulicach i tak ogromnym pragnieniu kapitana Aubreya - w końcu było to jego pierwsze porządne angielskie stingo od bardzo dawna - żaden zwyczajny chłopiec na posyłki nie zarobiłby obiecanej pół

korony. Chłopak służący w Crown wychował się jednak, spijając zlewki z pozostawionych kufla i jedząc wszystko, co udało mu się znaleźć, przez co wyrósł na niezwykle sprytnego, choć cokolwiek wychudzonego dzieciaka.

Wskoczył na wielką, parskającą klacz od Davisa i popędził bocznymi uliczkami, ryzykując zdrowie i życie, wpadł przez jedną bramę na Parker's Close i wyskoczył z niej przez inną, a wyhamował dopiero przed Crown. Pozostawił

tam konia, którzy wbił tęskne spojrzenie we wrota stajni, a sam wszedł bez pośpiechu do środka i powiadomił Jacka o podstawieniu wierzchowca w chwili, gdy ten już miał unieść kufel do ust po raz ostatni.

- Wybaczcie mi, panowie - powiedział Jack grupie oficerów, która w międzyczasie zdążyła się wokół niego ustawić. - Muszę dostarczyć ważne meldunki do domu i nie wolno mi zwlekać ani chwili.

Klacz od Davisa od wielu lat wozila ciężkich, spieszących się oficerów marynarki, co postarzyło ją przedwcześnie i całkowicie wypaczyło jej charakter.

Nigdy dotąd nie miała też na swym grzbiecie człowieka tak potężnej postury, któremu na domiar złego spieszyłoby się tak bardzo, tak więc już na szczycie Portsdown Hill okazała swe wielkie niezadowolenie. Zaczęła głośno sapać, położyła po sobie uszy, a w jej oczach pojawił się gniewny błysk. Jack wstrzymał wierzchowca na moment, chcąc mu dać chwilę wytchnienia, sam zaś podziwiał telegraf, którego ramiona bez wątpienia przekazywały właśnie do Londynu wieści o zwycięstwie. Klacz wybrała sobie ten moment, by podjąć próbę pozbycia się jeźdźca bryknięciem zaskakująco zwałym jak na wierzchowca tych rozmiarów. Podskoczyła gwałtownie niczym żywa imitacja konia na biegunach. Jack nie był co prawda wytrawnym jeźdźcem, ale determinacji mu nie

brakowało. Ścisnął jej boki kolanami z taką siłą, że z klaczy uszło całe powietrze i spora porcja złości. Silne szarpnięcie wodzami ostatecznie skruszyło jej opór i klacz musiała powrócić do swych obowiązków.

Jack popędził ją ostro w dół po zielonych zboczach wzgórza, a potem pogalopował naprzód trawiastymi duktami, wybierając dobrze sobie znane skróty. To wjeżdżał na wzgórze, to znów gnał ku dolinkom, aż wreszcie, po pokonaniu ostatniego wzniesienia, znalazł się na swoich ziemiach. Wokół ciągnęły się już jego własne uprawy.

„Ależ drzewa wystrzeliły w górę” - pomyślał.

Przemknął przez cudowny, ukochany zagajnik Delderwood i znalazł się na nowej drodze Kimbera, gdzie jego klacz o mało się nie wywróciła, lecz Jack dobrze nad nią panował. Wkrótce minął tereny kopalni - opustoszałe zabudowania zwieńczone wysokim, posępnym kominem. Nie dostrzegł tam żadnych oznak życia, lecz nie przyglądał się zbyt uważnie. Pędził naprzód, prowadząc konia instynktownie, jakby sterował łodzią wśród skomplikowanych pływów, gdyż pomiędzy drzewami dostrzegał już dach domu, a serce zabiło mu szybko jak u młodzieniaszka.

Zajechał do Ashgrove od tyłu, gdyż była to najkrótsza droga, po czym wjechał do wielkiej stajni. Gdy wjeżdżał, budynek był jeszcze niewykończony, lecz wszystkie roboty dobiegły dawno końca i stajnia prezentowała się okazale i solidnie. Zegar nad powozownią, ściany z różowej cegły, rzędy wybielonych boksów oraz stylizowane wyjście, prowadzące do ogrodu, sprawiały nawet wrażenie elegancji. Jack ściągnął wodze i rozejrzał się szybko wokół siebie, lecz wszędzie dookoła widział ten sam miły dla oka porządek. Nowe skrzydła budynku, wzniesione za pieniądze zdobyte dzięki udanej kampanii wojennej na Maskarenach oraz odbiciu kilku statków Kompanii Wschodnioindyjskiej, zmieniły mały domek w całkiem sporą wiejską posiadłość i całkowicie stopiły się już ze starszymi zabudowaniami. Zasadzone przez niego pnącza, które zapamiętał jako rzadkie, mizerne gałązki, rozrosły się we wspianą gęstwinę, otaczającą dolne okna, a nad otaczającym sad murem widział obsypane owocami jabłonie. Otaczała go jednak całkowita cisza oraz bezruch, zupełnie jakby znalazł się pośrodku sceny ze snu. Nie widział końskich łbów nad drzwiczkami, które zresztą wszystkie zamknięto, nie było też stajennego. Na idealnie zamiecionym dziedzińcu oraz za połyskującymi w blasku słońca oknami również nie dostrzegł żywej duszy, a jedynym wyraźnym odgłosem było kukanie kukulki, dobiegające zza jabłoniowego sadu. Na krótką chwilę jego radość zmąciło osobliwe przecucie, świadomość, że oto znalazł się w świecie, do którego nie należy, lecz wtedy zegar nad stajnią wydał ciche szczęknięcie, a potem zaczął furkotać, jakby szykując się do wybicia kolejnego kwadransa. Przecież w obejściu musi ktoś być, a on siedzi na spotniałym koniu, którym natychmiast trzeba się zająć.

- Ahoj! - krzyknął głośno w stronę domu.

- Ahoj! - odpowiedziało echo od Delderwood, ciche, lecz wyraźne.

Znów otoczyła go osobliwa cisza, zupełnie jakby on sam lub ów otaczający go widzialny świat stanowił iluzję. Szczęście i ekscytacja zaczęły z wolna ustępować i Jack już miał zeskoczyć z konia, gdy obok wejścia do ogrodu przemaszerowały dwie dziewczynki, prowadzące między sobą małego,

pulchnego chłopca. Dzieci wymachiwały chorągiewkami i wykrzykiwały:

- Wilkes znaczy wolność, hurra, hurra! Niech żyje prawica, hurra, hurra!

Obie dziewczynki były długonogimi pięknościami z lokowanymi włosami, lecz Jack, patrzący na nie okiem kochającego ojca, od razu dostrzegł

podobieństwo do owych dwóch drobniutkich, kruchych istotek z rzadkimi włoskami i zaczerwienionymi twarzyczkami, które pozostawił w domu. Były to jego bliźniacze córeczki. Wciąż wydawały mu się niezwykle podobne, lecz w tej odrobinę wyższej, która przewodziła całej trójce, prawie na pewno rozpoznał

Charlotte, natomiast ów pulchny chłopczyk to musiał być jego syn, George. Gdy go widział po raz ostatni, był jedynie różowym niemowlęciem. Jego serce ścisnęło jakieś nieznanne mu wcześniej uczucie.

- Hej! - zawołał.

Miłość i tęsknota w jego głosie zostały jednak całkowicie zignorowane przez całą trójkę.

- Wróc jutro! Wszyscy pojechali do Pompey! - zawołała Charlotte, odwracając jedynie głowę. Nie przerwała nawet swego pompatycznego, wręcz fanatycznego marszu, a pozostała dwójka szła za nią.

- Wilkes znaczy wolność! - wykrzykiwali wszyscy.

Jack ześlizgnął się z siodła i rzucił się na poszukiwanie odpowiedniego boksu. Każdy kolejny jednak okazywał się wymięciony i wyszorowany do czysta, dopiero po chwili odnalazł jakiś używany. Wprowadził tam klacz, ściągnął jej siodło, wytarł sierść i przykrył ją kocem. Zegar wybił w końcu kwadrans. Jack opuścił stajnię, przeszedł przez podwórze i wkroczył do domu przez drzwi kuchenne. Miął czystą kuchnię zastawioną lśniącościami, miedzianymi garnkami i znalazł się w korytarzu o białych ścianach. Panująca tu cisza, nieskazitelnie czysta, przepelniona blaskiem cisza odebrały mu ochotę do dalszego nawoływania, choć przecież znał ten dom tak dobrze. Był z nim zżyty do tego stopnia, że dłoń od razu natrafiła na klamkę. Nie był człowiekiem obdarzonym wielką wyobraźnią a mimo to miał wrażenie, jakby oto powrócił ze świata zmarłych i zastał oczekującą go, milczącą, opromienioną słońcem śmierć.

Zajrzał do jadalni, lecz i tam powitała go cisza. W saloniku, gdzie jadali śniadania, zastał jedynie czystość i schludność. Nikt się nie poruszył, nikt nie wydał najcichszego dźwięku. Podświadomie zerknął na swój regulator, prosty zegar, wedle którego sprawdzał pomiary astrologiczne. Zegar stanął. Wreszcie zajrzał do własnego pokoju, gdzie zastał Sophie, siedzącą przy biurku, na którym piętrzyły się stosy dokumentów. Na sekundę przed tym, jak uniosła głowę znad dokumentów, ujrzał twarz pełną smutku i udręki, a na pewno chudsza niż kiedyś.

Emocje te uleciały, gdy tylko go dojrzała. Poderwała się, promieniejąc radością, a w jej oczach znać było zachwyty równie wielki jak ten, który obudził

się w sercu

Jacka. W jednej chwili zasypali się tysiącem pytań, z których prawie żadne nie doczekało się odpowiedzi, jedno przez drugie próbowali też coś opowiadać, lecz opowieści co rusz przerywały pocałunki i okrzyki zachwyty oraz zdumienia.

- Czy to wszystko prawda? - wołała Sophie, prowadząc go do kuchni, gdyż w jakiś tylko sobie znany sposób odkryła, iż jeszcze nie jadł obiadu. - Och, Jack, jakże się cieszę, że znów wróciłeś do domu!

- Co ma być prawdą, ukochana? - spytał Jack, siadając przy wypucowanym do czysta stole i spoglądając z utęsknieniem na szynkę.

- To, że „Shannon” zdobyła „Chesapeake”! Dziś rano gruchnęły wieści, a potem wpadł listonosz, który je powtórzył. Bonden i Killick bardzo chcieli pojechać do Portsmouth, tak więc pozwoliłam im wziąć powóz i zabrać całą resztę do portu. Zastanawiam się, dlaczego ich jeszcze nie ma. Odjechali wiele godzin temu.

- Tak, dzięki Bogu, wszystko to święta prawda. Właśnie to próbowałem ci opowiedzieć. Wraz ze Stephenem i Dianą byliśmy na pokładzie „Shannon” podczas bitwy. To była doprawdy fenomenalnie rozegrana bitwa, od pierwszego wystrzału do ostatniego upłynęło równo piętnaście minut. A potem wróciliśmy wszyscy do Anglii na pokładzie statku pocztowego. Żeglowało się wspaniale, oczywiście po tym, jak się już pozbyliśmy korsarzy. Zostało jeszcze trochę chleba, moja kochana?

- Drogi Stephen! - wykrzyknęła Sophie. - Jak się miewa? Dlaczego nie przyjechał z tobą? Zjedz jeszcze trochę szynki, kochany. Jesteś okropnie wychudzony. Ogromnie mi przykro, że nie zostało już nic ciasta, dzieci zjadły wszystko na kolację. Gdzie jest Stephen?

- Wciąż w Portsmouth, ale jutro ma wyjechać, tak więc być może nas odwiedzi. Są pewne komplikacje w kwestii narodowości Diany i zakazano jej wyjeżdżać z miasta, póki nie otrzyma jakichś wieści z biura Sekretarza Stanu.

Zatrzymała się na razie u państwa Fortescue. Razem ze Stephenem i panem Fortescue zapłaciliśmy kaucję, gwarantującą, że nie ucieknie z Portsmouth.

Złożyliśmy się po pięć tysięcy na osobę. Nie sędzę zresztą, by naprawdę tego chciała. Ona i Stephen mają się wreszcie pobrać.

- Pobrać? - wykrzyknęła Sophie.

- Tak, mnie też to zaskoczyło. Po raz pierwszy usłyszałem o tym w chwili, gdy poprosił Philipa Broke'a, by ten odprawił ceremonię zaślubin.

Kapitan okrętu wojennego może bowiem udzielać ślubu na pokładzie własnej jednostki, jak sama wiesz. Broke zauważył już, że „Chesapeake” opuszcza redę Nantasket, tak więc nie mógł zająć się tym jeszcze tego samego dnia, ale wiem, że spełniłby prośbę Stephena zaraz po bitwie. Niestety, został podczas niej tak ciężko ranny, iż nie był nawet w stanie spisać własnych meldunków. Tak, mają się pobrać i być może wreszcie los się do niego uśmiechnął. Kocha się przecież w Dianie od wielu, wielu lat. Ona sama zaś na pewno dzielnie się sprawiła podczas naszej ucieczki i zaraz po bitwie. Naprawdę twarda z niej sztuka, na mój honor. Nigdy nie brakowało jej męstwa, a poza tym zawsze będę jej wdzięczny za to, że przesłała ci wieści o „Leopardzie”.

- Ja również - rzekła Sophie. - Odwiedzę ją jutro z rana. Kochana Diana, mam nadzieję, że będzie szczęśliwa.

Wymówiła te słowa z prawdziwym uczuciem i gdyby Jack lepiej się nad tym zastanowił, na pewno ucieszyłoby go to, że w duszy Sophie sympatia wzięła górę nad tym, co zwykło się nazywać osądem moralnym bądź zasadami.

Sophie wywodziła się bowiem z cichej, statecznej, prowincjonalnej rodziny, w której nigdy nie doszło do skandalu miłosnego. W czasach Cromwella w jej rodzie panowały surowe zasady purytańskie i nawet dziś krewni Sophie traktowali z odrazą najmniejsze nawet odstępstwa od norm obyczajowych.

Pomimo że wychowywała ją matka, Sophie wyrosła na dziewczyną zbyt pogodną i dobroduszną, by samej stać się świętoszką, lecz z drugiej strony nie miała żadnego współczucia ani wyrozumiałości wobec tych, którzy zboczyli w stronę bardziej nieokiełznanych form miłości. Sama nie była szczególnie zainteresowana nawet udomowionym aspektem miłości, a wyczyny Diany przecież wcale nie należały do mało efektownych. Jej ekscesy wywoływały komentarze nawet w najbardziej liberalnych kręgach londyńskiej socjety, gdzie utrzymała swą pozycję tylko dzięki urodzie i

charakterowi, a także kilku bliskim znajomościom, zgromadzonym wokół osoby księcia Walii. Jack nie miał jednak ochoty na dłuższe rozmyślania i nie przestawał zachwycać się powrotem do domu. Niespodziewanie przypomniał sobie, że w ich rozmowie padło imię Bondena, jego byłego sternika, oraz jego stewarda Killicka.

- Skąd, na litość boską, wzięli się tu Bonden i Killick?

- Przysłał ich do mnie kapitan Kerr wraz z bardzo uprzejmym listem.

Napisał, iż skoro „Acasta” przypadła jemu, a nie tobie, powinieneś zachować swych ludzi na okoliczność następnego dowództwa.

- To w istocie niezwykle miłe ze strony Roberta Kerra. Na mój honor, cóż za szlachetny gest. Moje następne dowództwo... Ha, ha, ha, Sophie, posłuchaj tego. Zanim znów udam się na morze, poustawiam zegary w całym domu. W

pokoju nie ma życia, jeśli nie słyhać w nim tykania zegara. Są takie zegary, które chodzą dwanaście miesięcy bez nakręcania.

- Twoje następne dowództwo - zaczęła Sophie, lecz uświadomiła sobie, iż nie wolno jej nawet marzyć, by

Jack nie dostał kolejnego okrętu. Nie mogła marzyć

o tym, że Jack pozostanie w domu i nigdy już nie będzie walczył z burzami, toczył bitew, ocierał się o katastrofy czy ryzykował niewolę. Dobrze wiedziała, że ich małżeństwo jest oparte na niepisanym podziale ról - Jack miał

pływać i stawiać czoło wszystkim tym niebezpieczeństwom, podczas gdy jej zadaniem było siedzenie w domu

i oczekiwanie na jego powrót. Zakończyła więc innymi słowami: - Mam jednakże nadzieję, mój drogi, że te zegary nie będą musiały tykać przez rok, a w każdym razie nie przez cały rok. Jest mi bardzo przykro z powodu twego regulatora. Dostała się doń koszatka Charlotte, która niebawem będzie mieć młode.

- Jeśli zaś chodzi o okręt, to nie ma wielkiego pośpiechu - rzekł Jack. -

No, chyba że zaproponują mi dowództwo „Belvidery” czy „Egyptienne” w bazie północnoamerykańskiej. Mam jednakże nadzieję, że otrzymam którąś z tych nowych, budowanych właśnie fregat z działami dwudziestoczerofuntowymi. Nie sądzę, bym prosił o zbyt wiele... Nie co dzień w końcu się zdarza, by okręt czwartej klasy zatopił liniowiec siedemdziesięcioczerofuntowy. Oznacza to jednak, że spędzę długie miesiące na lądzie, dopilnowując, by fregata została wykończona zgodnie z moimi upodobaniami. Zajmę się również sprawami domowymi. - Naraz na jego szczęście padł cień, gdyż jedną z najpilniejszych spraw domowych było uporanie się z owym nikczemnym panem Kimberem. Zrozumieli się jednak z Sophie bez słów. Kimber zwiastował niekończące się komplikacje, a zapewne również bardzo poważne straty finansowe, lecz na razie daleko ważniejsza

była kosztatka Charlotte. - Mój okres dowodzenia fregatami zapewne dobiegł końca -

ciągnął. - Najprawdopodobniej otrzymam dowództwo liniowca, a do tego również niezbyt mi się spieszy.

Oboje mieli tyle sobie do wyjawienia, tyle zagmatwanych listów do wyjaśnienia i tyle historii do opowiedzenia - jak choćby tę o krzewie jaśminu czy udanym rozpięciu drzewka morelowego na kracie - że po chwili zamilkli i siedzieli w pełnej uwielbienia ciszy, niczym para zwykłych, prostych ludzi.

Trzymali się przy tym za ręce na blacie stołu kuchennego i przyglądali sobie z bezgraniczną radością.

- Wilkes znaczy wolność! - ciszę przerwały odległe jeszcze, powtarzające się okrzyki.

- To dzieci - powiedziała Sophie.

- Tak - rzekł Jack. - Widziałem, jak maszerują po obejściu niczym na paradzie królewskiej. O co chodzi w tej zabawie?

- Bawią się w wybory do parlamentu w Westminster. Twój ojciec ubiega się o mandat... - Sophie zawahała się przy tych słowach, po czym dodała przeproszającym głosem: - Z ramienia radykałów.

- Dobry Boże! - wykrzyknął Jack. Oportunistyczna kariera polityczna generała Aubreya, który raz próbował ujawnić mechanizmy korupcji, by po chwili samemu korzystać z jej dobrodziejstw, często stawiała go w opozycji wobec rządu, ale nigdy dotąd nie posunął się aż tak daleko. Odkąd wystartował

po raz pierwszy do wyborów w zapadłym okręgu Gripe, który stanowił

własność jego przyjaciela, generał stawał po stronie torysów zawsze wtedy, gdy pierwszym lordem admiralicji był wig, a gdy ten był torysem, Aubrey senior przyjmował jedną z wielu linii politycznych wigów. Jako człowiek o niespożytej wprost energii, która zdawała się rosnać wraz z wiekiem, zwykł ponadto wygłaszać w Izbie Gmin potoczyste, żarliwe mowy, a jak na żołnierza przystało, nazywał w nich rzeczy po imieniu, niczego nie upiększając. Wszystko to sprawiało, że jako oponent generał był dla ministerstwa cierniem w oku, natomiast jako sojusznik nierzadko przynosił ogromny wstyd swej frakcji.

Kilkakrotnie podejmował też próby, by pomóc swemu synowi drogą wpływów politycznych, lecz wysiłki te zawsze były źle odbierane, a często kończyły się wręcz tragicznie. Należało przyznać, że ojciec rzadko kiedy troszczył się o sprawy swego syna, lecz gdyby nie on, Jack zdobyłby rangę kapitana zdecydowanie szybciej.

- Mam je zawołać? - spytała Sophie.

- Tak, zrób to, moja droga - powiedział Jack. - Chciałbym wreszcie poznać George'a.

- Dzieci! - zawołała Sophie, bojąc się, że nie rozpoznają swego ojca. -

Wejdźcie, proszę, i przywitajcie ojca w rodzinnym domu. Nareszcie powrócił z Ameryki.

Pomimo jej starań dzieci przez moment przyglądały się Jackowi beznamiętnie i rozglądały się po pokoju w poszukiwaniu jakiegoś innego, bardziej rozpoznawalnego mężczyzny. Była to niezwykle bolesna chwila, lecz na szczęście dziewczynki szybko przypomniały sobie o dobrych manierach i z powagą podeszły do Jacka, po czym dygnęły grzecznie.

- Dzień dobry, sir! Witamy w domu - powiedziały, a każda zerknęła na mamę, by się przekonać, czy powiedziała stosowne słowa.

- George! - szepnęła Sophie. - Ukłoń się!

Mały chłopczyk oblał się rumieńcem i zwiesił głowę, lecz po chwili zebrał się na odwagę i przekroczył próg. Podeszedł nieco bliżej, wykonał

niezdarny ukłon i wyciągnął dłoń.

- Tuszę, że dobrze się pan miewa, sir - rzekł.

- Witamy w domu! - podpowiedziały siostry.

- Witamy w domu! - powtórzył George, wpatrując się z fascynacją w Jacka, po czym ni z tego, ni z owego dorzucił: - Zaraz tu będą. Usłyszałem wóz na dukcie.

Bonden obiecał, że jeśli wieści okażą się prawdziwe, kupi mi żelazne kółko! Prawdziwe żelazne kółko, sir!

- Sądzę, że na pewno je dostaniesz, George - uśmiechnął się ojciec.

- Kilka dni temu odwiedził nas tu dziadek z sir Francisem Burdettem -

powiedziała uprzejmie Charlotte, czując, iż przeciągająca się cisza po słowa Jacka może okazać się niezręczna. - Opowiedział nam wszystko o wyborach westminsterskich i że „Wilkes” znaczy wolność. Od tej pory bez przerwy na niego głosujemy. Czy pan również liczy na to, że dostanie się do parlamentu?

- Dzieci, dzieci! - rzuciła Sophie. - Pora zmienić buty, a potem umyć ręce i twarz. Fanny i Charlotte, załóżcie czyste fartuszki. Usiądziemy w salonie.

- Tak, mamó! - wykrzyknęły dziewczynki, lecz w tej samej chwili rozległ

się hurkot kół wozu wjeżdżającego do stajni i dzieci razem wybiegły na zewnątrz. Kilka sekund później wpadły do środka, krzycząc: - To prawda!

Odnieśliśmy wielkie zwycięstwo! „Shannon” wzięła „Chesapeake”! Hura, huraaa!

Następnie znów wybiegły na podwórze, gdzie ich piskliwe wrzaski niemal zagłuszyły basowe

nawoływanie mężczyzn. Jack zauważył, że zmienił

im się akcent i dobór słów - z ochotą używały teraz soczystych określeń rodem z dolnego pokładu. Fanny nazwała Bondena „cholerną łajzą”, lecz jej głosik był

radosny i nic nie wskazywało na to, by chciała go zranić. Usłyszał też Charlotte, która głośno oznajmiła, że Worlidge, choć „uchlany jak wieprz”, i tak potrafiłby lepiej zaprząć kuca aniżeli „cała ta banda niezdarnych skurwieli”.

Trudno było odmówić jej racji - z czterech mężczyzn, którzy służyli w Ashgrove, aż trzech wychowywało się na morzu od najwcześniejszych lat dzieciństwa, przez co nie mieli oni zielonego pojęcia o koniach. Czwartym był

właśnie słynący ze słabej głowy Worlidge, który przed pochwyceniem przez brygadę werbunkową dwadzieścia lat temu pracował na roli jako zwykły syn chłopca. Tradycyjnie spił się do nieprzytomności na długo, nim reszta zdecydowała się na powrót do Ashgrove. Bonden i Killick, widząc, że Worlidge nie jest w stanie wykrztusić z siebie choćby słowa, a ponadto gdzieś zapodziało się chomąto, zaprzęgli kuca po marynarsku - tak, by całkowicie wykluczyć możliwość zdryfowania z drogi. Zarzucona na szyję zwierzęcia bulina dusiła go jednak za każdym razem, gdy uczynił choć krok, tak więc trzech żeglarzy zmuszonych było pchać wóz przez całą drogę od „Hand and Racquet”, gdzie świętowali zwycięstwo.

Wysiłek sprawił, że wypocili z siebie większość alkoholu i wytrzeźwieli przynajmniej na tyle, by ich stan nie budził szczególnego zdziwienia na pokładzie okrętu i gdy Bonden, mający najmocniejszą głowę z nich wszystkich, zameldował się w saloniku po rozkazy, jego radość nie była owiana przez Dog's Nose, Flipa czy Raspberry Shrub¹². Pogratulował swemu kapitanowi szczęśliwego powrotu oraz zwycięstwa, po czym chciwie wysłuchał opowieści o bitwie, ze zrozumieniem chłonąc każdy szczegół.

- Gdyby nie rana nieszczęsnego kapitana Broke'a - powiedział - wszystko byłoby dobrze. Służyłem pod jego rozkazami na starym „Druidzie”. Już wtedy wykazywał niezłą smykałkę do artylerii. Dojdzie do siebie, sir?

- Mam nadzieję, Bonden. Właściwie to jestem pewien - rzekł Jack, kręcąc głową na wspomnienie straszliwej rany Broke'a. - Doktor jednak lepiej będzie umiał odpowiedzieć ci na to pytanie. Być może odwiedzi nas jutro, tak więc trzeba będzie wypucować jego pokój. Potem wpadnij do pana Kimbera, przekaż mu moje pozdrowienia i powiadom, iż chciałbym go ujrzeć wcześniej rano, przed wyjściem.

- Tak jest, sir! - powiedział Bonden. - Wysprzątać pokój doktora, a pan Kimber ma się zameldować zaraz po śniadaniu!

- Przed wyjściem, mój drogi? - zawołała Sophie, gdy tylko drzwi zamknęły się za Bondenem. - Przecież nie musisz chyba od razu udawać się do admiralicji, prawda? Admirał na pewno przyznał ci urlop!

- Och tak, był niezwykle ujmujący i postąpił, jak należało. Na marginesie, przesyła ci wyrazy szacunku. Nie, nie martwię się o admiralicję, ale o Louise Broke. Musi usłyszeć wieści o swym mężu najszybciej jak to możliwe i jeśli wyruszę jutro z rana, będę mógł skorzystać z Harwich Flyer w obie strony, tak więc będę w domu już w piątek.

- Wystarczyłyby przecież list polecony! Jack, jesteś taki znużony, a do tego chudy jak szczapa. Musisz zaznać choć trochę odpoczynku! Dwadzieścia cztery godziny w dyliżansie całkiem cię wykończą, nie mówiąc nawet o samej jeździe do miasta. Poza tym przecież sam niewiele jesteś w stanie powiedzieć o ranie nieszczęsnego Broke[^], jak przed chwilą mówiłeś Bondenowi. List polecony, w którym zawrzesz zarówno twe wyrazy szacunku, jak i lekarską opinię Stephena, będzie zdecydowanie lepszym rozwiązaniem, jakby na to nie spojrzeć.

- Sophie, Sophie - uśmiechnął się Jack.

W głębi duszy Sophie musiała przyznać, iż oficerowie marynarki często odbywali długie podróże tylko po to, by pocieszyć rodziny swych towarzyszy.

Jej samej zresztą kilkakrotnie kamień spadł z serca po takiej wizycie - ledwie kilka miesięcy temu odwiedził ją pierwszy oficer „Javy”, który zapewnił ją, że jej mąż wciąż jest przy życiu. Mimo tego nie potrafiła powstrzymać sprzeciwu wobec tak rychłego wyjazdu Jacka.

- Louisa Broke - mruknęła z niezadowoleniem i odrobiną zazdrości.

W jej umyśle pojawiło się kilka nowych powodów, by pozostał w domu, lecz nie odezwała się już ani słowem. Jakiś dziwny błysk w oczach Jacka oraz sposób, w jaki przekrzywił głowę, uświadomiły jej bowiem, że niczego i tak by nie osiągnęła, choć jej argumenty na pewno miały sens. Po chwili znów patrzyli na siebie, ciesząc się wzajemnym szczęściem. Przeszli do ogrodu, by przyjrzeć się kilku szczególnie cennym roślinom, a przede wszystkim tym, które rosły najbliżej starego domu Ashgrove - te zasadzili bowiem wspólnie. Żadne z nich nie miało wówczas większego pojęcia o sadzeniu kwiatów, tak więc ze wszystkich grządek ocalało jedynie kilka mizernych, oddalonych od siebie kępek. Te kwiaty należały jednak tylko i wyłącznie do nich i oboje darzyli je szczególną miłością. W końcu Sophie musiała zająć się dziećmi. Jack wraz z nią wrócił do środka i wreszcie usłyszała jego głośne, dobrze sobie znane kroki, gdy chodził po pokojach. Po chwili dotarł do pokoju, w którym stało jej pianino.

Instrument wydał z siebie serię głośnych, narastających radośnie akordów, które naraz mocno opadły w głęboki, nastrojowy ton, a następnie cicho przeszły w sonatę Hummela, często grywaną przez Jacka. Sophie również nauczyła się jej jakiś czas temu. Następnie Jack ujął swe skrzypce - wspaniałe instrument Amatiego, zdecydowanie zbyt drogi jak na jego stan posiadania, zakupiony za łupy zgarnięte na Oceanie Indyjskim - i jeszcze raz zagrał ten sam utwór, przetransponowany na skrzypce. Nie poszło mu to najlepiej, upłynęło w końcu wiele czasu od chwili, gdy po raz ostatni trzymał instrument w ręku, a jego ranione ramię nie odzyskało jeszcze pełni sprawności. Dla Sophie wszakże nawet sam Paganini nie zagrałby lepiej. Liczyło się tylko to, że dom Ashgrove na nowo ożył. Ich rodzina znów była w komplecie.

Zgodnie z oczekiwaniami upór jej męża okazał się niewzruszony.

Następnego dnia po obiedzie Jack oraz Stephen wsiedli do dyliżansu, który trzeszcząc i podskakując, popędził wiejskim duktem z całą prędkością, jaką tylko mogły nadać mu cztery konie.

- Doprawdy nie powinienem już podróżować w tym stylu - stwierdził

Jack, gdy dyliżans dotarł do głównej drogi, a rozmowa stała się na powrót możliwa. - Trzeba mi powrócić do zwykłych powozów lub zgoła furmanek.

- Czyżby to była aluzja do Kimberera? - spytał Stephen.

- Nie do końca. Sam Kimberer jakoś nie pokwapił się, by złożyć mi wizytę i przekazał jedynie, że właśnie wybiera się do Birmingham. Przysłał za to bandę, jak to określił, nowych wspólników w naszym przedsięwzięciu. Kilku z nich to prawdziwe szumowiny, wierz mi. Zgają drobnych adwokatów z brudnymi kołnierzykami, którzy przez całe spotkanie robili notatki.

- Powiedz mi, bracie, czy sprawy naprawdę stoją źle?

- Cóż, jedyną pewną rzeczą jest to, że Kimberer przekroczył moje wytyczne jakieś tysiąc razy. Zbudował ogromne zakłady, zainwestował w głębokie wiercenia oraz wielką ilość maszyn, cała spółka zaś, jak to nazywają, wykupiła udziały w kilku innych przedsięwzięciach, między innymi w budowie kanału nawigacyjnego.

- Tylko tego kanału brakowało - powiedział Stephen do siebie. - Teraz mamy już wszystko, oprócz perpetuum mobile i kamienia filozoficznego.

- Jest w tym wszystkim jakaś dziwna rzecz - ciągnął Jack. - Z jednej strony twierdzą, że ponieśli ogromne straty i zaciągnęli wielkie długi. Jeden z nich pokazał mi łączną sumę kosztów i zaciągniętych pożyczek, która dwukrotnie przekracza wartość wszystkiego, co posiadam, choć sam przyznał, że są to zaledwie dane szacunkowe. Z drugiej strony, nalegają by nie przestawać. Trzeba kopać jeszcze głębiej, gadają mi, a straty szybko zamienią się w niezłą fortunę. Tak czy owak, potrzeba im świeżej gotówki lub nowych zabezpieczeń finansowych. Na własne oczy widziałem, jak jeden z tych nędznych adwokatów rozgląda się po pokoju, by zorientować się w wartości mebli. Sposób, w jakim ich potraktowałem, wzbudziłby jednak twój podziw, Stephen. Byłem chłodnym i bezwzględnie sędzią trybunału i pozwoliłem im gadać do woli. Byli natarczywi do tego stopnia, iż zaczęli wypytywać mnie o moje udziały w akcjach rządowych, o szczegóły mojej umowy małżeńskiej, o majątek Sophie i posiadłość ziemską mego ojca. Pytali o to wprost, bez ogródek, niech Bóg ich przeklnie za taką bezczelność! W tym miejscu to już naprawdę przesadzili. Zapewne pomyśleli sobie, że oto mają ptaszka w garści, że przytrafił

im się facet nie mający bladego pojęcia o prowadzeniu interesów, którego z łatwością będzie można namówić lub zastraszyć na tyle, by utopił krocie w jakimś niedochodowym szaleństwie. Ja jednakże uciałem ich wywody krótko.

Oznajmiłem, że nie mam najmniejszego zamiaru obdarować ich choćby pensją i życzyłem im miłego dnia. Na Boga, Stephen, starzenie się ma swoje zalety.

Dziesięć, a nawet pięć lat temu zawlókłbym jednego z drugim i utopił w korycie z wodą dla koni i miałbym jeszcze na głowie proces o czynną napaść i pobicie, nie licząc tych wszystkich finansowych niepowodzeń.

- Jak zareagowali na twoje słowa?

- Wszczęli doprawdy niezłą wrzawę. Niektórzy zaczęli mi wygrażać, inni próbowali mnie udobruchać.

Usłyszałem, że nigdy by nie pomyśleli, że dżentelmen może się wycofać ze swych zobowiązań, co zresztą i tak nie ma najmniejszego sensu, bo już zastawili moją posiadłość. Dodali też, że mieli pełne prawo do brania kredytów pod zastaw moich ziem, gdyż pan Kimber przekazał im wszelkie uprawnienia.

Co więcej, podczas mojej nieobecności spółka była zmuszona do brania bardzo wysoko oprocentowanych kredytów. Oczywiście, gotówka okazałaby się znacznie tańsza, ale niestety pani Aubrey nie uznała za stosowne im jej wypłacić. „Bez urazy, ale nie można się przecież spodziewać, by kobiety rozumiały się na interesach”, powiedział jeden z nich. Wciąż powtarzali, że nie wolno ustawać, że trzeba zaspokoić co bardziej natarczywych wierzycieli, zbierać nowy kapitał i dalej inwestować. Zapewniali mnie, że teraz, skoro wróciłem już do Anglii, wszystko powinno zacząć się układać. Bez trudu mogliby znaleźć kolejne fundusze, lecz musiałbym za nie poręczyć.

Potrzebowali tylko mojego podpisu, ot czysta formalność. Gdybym więc odmówił, byłiby zmuszeni, aczkolwiek z niechęcią, podjąć stosowne kroki celem zabezpieczenia swych własnych interesów... - urwał, a po chwili dodał: -

Bóg jeden wie, jak z tego wybrnę. Zaczyna mi to przypominać bardzo bliski brzeg zawietrzny. - Zmienili konie w Petersfield i gdy powóz pędził już ulicami miasta, Jack odezwał się ponownie: - Na Boga, Stephen, jakże ja się cieszę, że Sophie w pewnym momencie się opamiętała. Gdy tylko uświadomiła sobie, iż Kimber zaczyna trwonić zbyt wielkie sumy, natychmiast kazała mu przestać. Od tego momentu odmawiała podpisywania jakichkolwiek dokumentów i wydawania jakichkolwiek pieniędzy. Gdy kłopoty zaczęły się piętrzyć, sprzedała kareta wraz z końmi i poprosiła służących, by poszukali sobie nowych miejsc pracy. Zostawiła jedynie Draya i Worlidge'a, który przynajmniej miał

choć jedną zdrową nogę. Wciąż mamy trochę pieniędzy w akcjach oraz w Hoare's Bank, o ile uda mi się jakoś do nich dostać. Mam wrażenie, że Sophie ma lepszy zmysł do interesów aniżeli ja czy ty. Od początku była przeciwna wchodzeniu w jakiegokolwiek konszachty z tym całym Kimberem i nie chciała nawet słuchać o tych jego przeklętych planach, sam zresztą wiesz. - Stephen mógłby rzec, że on sam również był przeciwny tym przeklętym planom od samego początku. Inwestycje Kimbera od razu wydały mu się typową pułapką zastawianą na co bogatszych oficerów na lądzie, ale nie odezwał się ani słowem, a Jack ciągnął: - Dobra kobieta jest jak... Było coś na ten temat w Biblii, lecz nie mogę sobie przypomnieć, ale zdanie trafia w sedno, wierz mi.

- Z pewnością - rzekł Stephen. - A wiesz może, co się stało z żoną Killocka? Tą, którą kupił na postronku na targu, gdy ostatni raz zawitaliśmy do Anglii?

- Och! - roześmiał się Jack. - Zeszła się na powrót ze swym poprzednim mężem już w kilka dni po wypłynięciu. Wygląda na to, że robią niezłe pieniądze, wędrując z rynku na rynek wzdłuż wybrzeża. Matka Sophie przeszukała jej kufer i odkryła w nim cały majątek nieszczęsnego Killicka, a do tego jeszcze trochę naszej srebrnej zastawy. Gdybym był w domu, nigdy bym nie pozwolił na przeszukiwanie czyichś rzeczy, ale to akurat mnie ucieszyło.

Bardzo sobie cenię tę zastawę.

- Z tego co wiem, pani Williams sprawuje teraz swój urząd w Ulsterze, prawda?

- Tak, dzięki Bogu. Opiekuje się Frances, która musi zajmować się małym dzieckiem. Doszłoby do dantejskich scen, gdyby Sophie musiała wyprzedawać nasz majątek w jej towarzystwie.

- Obawiam się, że straciła tym samym naprawdę sporo zabawy -

powiedział Stephen, który dobrze pamiętał entuzjazm, z jakim pani Williams podchodziła do kwestii oszczędzania, tryumf, z jakim święciła ocalenie małego ogarka i obsesyjną niechęć do wydawania pieniędzy.

- Pani Williams... - zaczął Jack donośnym głosem, lecz urwał, by lepiej przemyśleć to, co miał zamiar powiedzieć, po czym kaszlnął i sięgnął do kieszeni w drzwiach dyliżansu. Wydobył stamtąd małą paczuszkę, zawiniętą w chusteczkę, i rzekł: - Poczęstuj się. Sophie zrobiła je własnoręcznie, a ja obiecałem, że wszystkie zostaną zjedzone. Dziewczyna nie spocznie, póki nie utuczy mnie jak wołu. - Zresztą kanapki skończyły się krótko po tym, jak dyliżans minął Guildford, a na zewnątrz zaczął zapadać zmrok. Jack wytrzepał

serwetkę przez okno, zwinął ją ponownie i powiedział: - Wypadałoby, bym się zdrzemnął. - Z tymi słowami ułożył się w kącie, oparł podbródek na piersi i zapadł w sen równie szybko i zdecydowanie, jak zachodzi tropikalne słońce.

Była to umiejętność powszechna wśród żeglarzy, którą wykształcić mogło jedynie wiele lat trzymania wacht, i Stephen, który wciąż często cierpiał na bezsenność, patrzył na niego z zazdrością. Za oknem widział znikające w dali żywoploty, wiejskie chaty, stogi siana, całe wsie, skryte w coraz głębszych ciemnościach. W końcu dotarli do zajazdu w Portsmouth, gdzie zapalono już światła, a strażnik przywitał ich dęciem w róg. Jack spał dalej i nie obudziła go nawet zmiana wszystkich czterech koni, ocknął się dopiero, gdy przemierzali Putney Heath. Siadł niespodziewanie i spytał: - Co to jest egzekucja z rachunku bankowego?

- Egzekucja z rachunku bankowego? - powtórzył Stephen i zastanowił się przez chwilę. - Bez wątplenia jest to jakiś termin prawniczy, lecz nie mam pojęcia, co oznacza. Nie wiem nic o prawie, poza tym, że dla zwykłego zjadacza chleba każdy kontakt z prawem okazuje się zazwyczaj bardzo kosztowny zarówno dla jego portfela, jak i zdrowia psychicznego, niezależnie od tego, czy występuje w słusznej sprawie, czy też nie. Zaklinam cię więc, mój drogi, jak najszybciej skorzystaj z możliwie najlepszych porad prawnych. To nie pora na półśrodki, nie marnuj czasu na miejscowych prawników z prowincji. Musisz znaleźć i wynająć najlepszy umysł w Londynie, musisz zasłonić się inteligencją oraz wieloletnim doświadczeniem wybitnego doradcy, który od dawna zwykł

toczyć boje z takimi łajdakami na ich własnym, usianym pułapkami terenie.

Trzeba ci kolejnego Grocjusza¹³, następnego Pufendorfa¹⁴!

- Dobrze, lecz gdzie ja znajdę mojego drugiego Pufendorfa?

- Gdzie? Cóż, znam w mieście pewnego dyskretnego i wielce obytego człowieka. Dżentelmen ów jest doskonale obeznany z reputacją najlepszych fachowców i na pewno będzie mógł wskazać nam najlepszy talent prawniczy w mieście. Mam go spytać?

- Byłoby bardzo miło z twojej strony, Stephen, o ile nie będzie to dla ciebie jakiś problem.

Dla Stephena nie był to najmniejszy nawet problem, gdyż wybrał się do Londynu głównie po to, by przekazać swą bostońską zdobycz w ręce tego samego dyskretnego, wielce obytego człowieka, o którym opowiedział Jackowi.

Był to jego przełożony, sir Joseph Blaine. Ową zdobycz zaś stanowiły dokumenty zawinięte w płótno żaglowe. Stephen nie rozstawał się z nimi ani na chwilę, a że raz już zostawił tajne papiery w dorożce, tym razem postanowił

wziąć lektykę, w której zmuszony był trzymać paczkę na kolanach. Kosztowało go to sporo cierpienia.

W powietrzu unosiła się mżawka. Tragarze nieśli go przez wilgotne uliczki, pełne ludzi z parasolami. Tu i ówdzie Stephen widział jeszcze malowidła sławiące zwycięstwo na wystawach sklepowych. Większość była już rozmyta i niewyraźna, ale w blasku połyskujących za nimi światełek nadal można było rozpoznać parę okrętów, podpisanych ogromnymi literami

„Shannon” oraz „Chesapeake”, ozdobionych najrozmaitszymi rymowanymi i ornamentami. W końcu zatrzymali się przed niepozornym, niewielkim domem za Shepherd Market. Szef tragarzy załomotał w drzwi, a w progu stanął sam sir Joseph, trzymając świeczkę.

- Mój drogi Maturin! - zawołał i wprowadził Stephena do sieni, zerkając z zaciekawieniem na trzymaną przez niego paczuszkę. - Cóż za wspaniała niespodzianka. Witaj wreszcie w domu!

Poszli na piętro do biblioteki, dystyngowanego, pięknie umeblowanego pokoju kawalera. Na podłodze leżał turecki dywan, wokół stały wygodne krzesła, na półkach stały wspaniale oprawione książki, głównie o entomologii, a na ścianach wisały znakomite płótna erotyczne. Stephen dostrzegł również figury z brązu, rozstawione na meblach. Mrok w bibliotece rozświetlała kryta zielonym abażurem lampa oraz ogień, migoczący w krytym kratą kominku.

- Proszę o wybaczenie, iż postanowiłem w pierwszej kolejności zajrzeć do pana - rzekł Stephen. - Byłem jednak tak długo poza krajem, że nie mam pojęcia, jak wygląda sytuacja w admiralicji. Domyśliłem się, że nastąpiły jakieś przetasowania, dlatego uznałem za stosowne odwiedzić pana osobiście, by nie spowodować żadnych nieporozumień bądź opóźnień.

- Ależ przecież nic się nie stało, doprawdy nic! Mało co może sprawić mi tyle przyjemności co twoja

wizyta, Maturin. Nakazałem rozpalić w kominku, jak tylko dostałem wiadomość, że wybierasz się z wizytą. Zawsze byłeś dość zmarzniętym człowiekiem. Proszę, przysuń sobie krzesło nieco bliżej ognia.

Nie, zapewniam cię z całego serca, że poczytuję to sobie jako wyraz twojej przyjaźni. Jest tak, jak mówisz, w admiralicji nastąpiły zmiany. Nieszczęsnego Warrena nie ma już wśród nas, ale o tym wiedziałeś jeszcze przed wypłynięciem

„Leoparda”. Och, ależ ty im zadałeś cios, Maturin! Moje powinszowania w końcu do ciebie dotarły, jak sądzę?

- Tak, dopiero na Jawie. Doprawdy nie trzeba było, jest pan nader uprzejmy.

- A zatem przynajmniej tutaj muszę się z tobą nie zgodzić. W całej swej karierze nie spotkałem się z równie udaną intrygą szpiegowską. Iście modelowy fortel, powiadam. Z admiralicji zniknął admirał Sievewright wraz z kilkoma innymi ludźmi, a w ich miejsce pojawiło się z pół tuzina nowych twarzy.

Niektórzy z nich to bardzo inteligentni i obiecujący młodzi ludzie. Mamy też nowego drugiego sekretarza, pana Wraya, który przeszedł do nas z ministerstwa skarbu. Tak po prawdzie, to Wray jedynie pełni jego obowiązki, lecz najprawdopodobniej uzyska nominację na to stanowisko, chyba że nieszczęsny Barrow cudem wyzdrowieje. To bardzo energiczny człowiek - sam chciałbym mieć połowę tej energii co on - i nie umknie mu żaden szczegół. Pracuje ciężiej od nas wszystkich, a mimo to znajduje czas, by prowadzić bardzo aktywne życie towarzyskie. Gdziekolwiek bym się nie udał, wszędzie go widzę. A może miałeś już okazję poznać pana Edmunda Wraya?

Stephen w istocie poznał kiedyś Wraya, lecz było to dość niefortunne spotkanie. Jack Aubrey w mało dyskretny i raczej czytelny sposób oskarżył go wówczas o oszukiwanie podczas gry w karty, lecz Wray nie uznał za stosowne poprosić go wtedy o wyjaśnienia. Być może uznał, że oskarżenie jest na tyle nieoczywiste, iż nie musi reagować, a później, przy tak długiej nieobecności Jacka, sprawa całkiem przycichła. Nie była to jednak odpowiednia chwila, by się nad tym zastanawiać, poza tym Stephen wiedział, że dla sir Josepha jest to kwestia całkowicie obojętna. Spojrzenie jego mądrych, błyszczących oczu skierowane było bowiem na paczkę z płótna żaglowego.

- Te dokumenty zdobyłem w Bostonie - rzekł, odwijając w końcu płótno.

- Na pierwszej stronie znajdzie pan zwięzły opis okoliczności, w jakich te dokumenty przeszły w moje posiadanie. Następnie zamieściłem spis zawartości.

Większość dotyczy spraw lokalnych, którymi zajął się już major Beck z Halifaksu, lecz pochlebiam sobie, że niektóre dokumenty mają szersze, bardziej ogólne znaczenie.

Sir Joseph nałożył okulary i zasiadł przy stoliku bibliotecznym, przysunąwszy sobie bliżej lampę.

- Dobry Boże! - wykrzyknął po chwili. - Przecież to osobiste zapiski Johnsona!

- Otóż to - rzekł Stephen. Podniósł się i stanął plecami do ognia, po czym ujął poły płaszcza, by dobrze ogrzać chude pośladki. Przez chwilę kontemlował pochłoniętego lekturą sir Josepha, który

całkowicie skupił się na papierach, ułożonych w kręgu światła lampki i z niewiarygodną chciwością poszukiwał istotnych dla siebie wskazówek. W bibliotece panowała absolutna cisza, zakłócana jedynie szelestem odwracanych stron i cichymi sapnięciami sir Josepha.

- Ach, to ci łajdak... - szeptał zaczytany szef wywiadu marynarki. - To ci przebiegły łajdak...

Po chwili Stephen zwrócił się ku półkom z książkami.

Znalazł na nich dzieła Malpighiego, Swammerdama, Raya, Reaumura, Brissona, najnowsze wydania francuskie, w tym również ostatni esej starszego Cuviera, z którym jeszcze nie miał okazji się zapoznać. Oparł się o poręcz swego fotela i przeczytał pierwsze rozdziały, po czym przeszedł do gabinetu sir Josepha, by odnaleźć owada, o którym była mowa. Dziesiątki gablot wypełnionych było niewielkimi stworzonkami, zabitymi z miłości do nauki, a następnie nabitymi na szpilkę i opisanymi. W drugiej gablocie natknął się na wielką rzadkość, prawdziwego ginandromorfa, motyla z gatunku szlaczkoń sylwetnik, który z jednej strony przypominał samca, a z drugiej samicę. Pod nazwą naukową odczytał zapisane w charakterystyczny sposób słowa: „Dar od mego wielce szanownego przyjaciela, doktora filozofii”. Takim właśnie charakterem pisma posługiwał się w oficjalnej korespondencji w czasach, gdy podarował Blaine’owi owego motyla. Sir Joseph był zawsze przygotowany na nieprzewidziane zdarzenia, dlatego też tylko on potrafił odgadnąć, kto kryje się za tajemniczym tytułem, dołączanym do tak wielu okazów w jego kolekcji.

Przeważały wśród nich co bardziej egzotyczne żuki, wśród których Stephen rozpoznał gatunki z Jawy, Celebesu, Indii, Cejlonu lub Arabii. Bez wątpienia były to podarunki od agentów działających na odległych placówkach, z których wszyscy byli dla niego równie anonimowi, jak on dla nich. Odszukał owada, o którym była mowa w opracowaniu - groźnie wyglądającego wołka zbożowego -

i powrócił do lektury, przechylając nieco książkę oraz samą gablotę, by mieć więcej światła. Sir Joseph nadal nie przerywał czytania.

Stephen zagłębił się w wywodach Cuviera. Były doprawdy przekonujące i zgrabnie formułowane, ale miał wrażenie, iż wyczuwa jakieś przekłamanie.

Trzymając palec przy otworze gębowym wołka w gablocie, przewrócił dwie strony, lecz podpisy pod ilustracją były dlań niezrozumiałe. Być może wykrycie błędu przysłoby mu łatwiej, gdyby nie miał za sobą całego dnia podróży i gdyby jego myśli co rusz nie zbaczały w kierunku Diany. Nie mógł się skupić i wiedział, że jeśli nie będzie bacznie nadzorować myśli, wkrótce podświadomie zacznie oplakiwać śmierć Diany lub przynajmniej śmierć ubóstwianego od zawsze mitu. To zaś oznaczało mroczną, gorzką, niekończącą się rozpacz. Stan, który go owładnął, nie był jednak czystą, niczym nie skażoną żalobą gdyż miast opanować go całkowicie, co rusz znikał i pojawiał się na nowo. Być może powodem było to, że coraz częściej ów stary mit nakładał się na nową rzeczywistość, a działo się to w najmniej oczekiwanych chwilach. „Być może ma to jakiś związek z samym małżeństwem” - pomyślał. Znali się przecież od bardzo dawna, a choć nie stanowili pary, ich losy były ze sobą nierozzerwalnie związane. „Diana Villiers” - zadumał się, zapatrzony w przygasający ogień.

Zdania Cuviera stały się odległe, zamazane, aż w końcu zniknęły całkowicie.

Sir Joseph westchnął, co sprowadziło Stephena na ziemię. Znów siedział

w owym miłym pokoju, a szef wywiadu składał właśnie papiery. Po włożeniu ich do teczki obszedł stół i powiedział:

- Drogi Maturinie - powiedział, ujmując mu dłoń i ściskając ją mocno. -

Jestem doprawdy w kropce. Gdy pisałem o twoim wyczynie na „Leopardzie”, wykorzystałem wszystkie znane sobie superlatywy, a teraz pozostaje mi tylko je powtórzyć. Dokonałeś czegoś niewiarygodnego, mój drogi panie, niewiarygodnego, i ciarki mi biegają po plecach, tak, na mój honor, aż mi ciarki biegają, gdy myślę o ryzyku, jakie podjąłeś, by zdobyć te dokumenty. - Sir Joseph nie szczędził mu serdecznych pochwał przez dłuższą chwilę, po czym dodał: - Drogi Maturinie, nie odrzucisz chyba zaproszenia na kolację, nieprawdaż? Chciałbym otworzyć pewną butelkę, by uczcić twój powrót, a jest to w rzeczy samej nata mecum consule Buteo 15, ostatnia, która mi została. To znaczy, mam nadzieję, że mi jeszcze została. - Butelka na szczęście była.

Zawierała wyborne porto i obaj dżentelmeni wypili je ze smakiem po zjedzeniu kolacji, składającej się z jajek na maśle, przysmażanego bekonu i sera Stilton.

Gdy posiłek dobiegł końca, sir Joseph postukał palcem w teczkę. - Pan Johnson musi być niezwykle interesującym człowiekiem - stwierdził. - Te zapiski dokumentują jego rozwój od utalentowanego amatora, aż po całkowitego profesjonalistę. Doprawdy zaskakująco szybkie tempo, zupełnie jakby on i jego koledzy w ciągu paru zaledwie lat wchłonęli całe pokolenia doświadczeń poprzedników. Bez wątpienia został wykorzystany przez tego Francuza, ale to mogło się przytrafić każdemu, a jego siatka agentów w Kanadzie zaiste wystawia mu jak najlepsze świadectwo. Jakim jest człowiekiem?

- Jest stosunkowo młody, a witalność oraz zwierzęce instynkty zdają się aż z niego kipieć. Sądzę, że można go uznać za przystojnego. Uwagę zwraca jego swobodny, łagodny, wręcz ujmujący sposób bycia, a choć jestem przekonany, że najważniejszą cechą jego osobowości bezsprzecznie jest umiłowanie władzy, nic w jego zachowaniu nie wskazuje na to, iż mógłby być ambitnym, władczym uzurpatorem. Przyszedł na świat w bardzo zamożnej rodzinie i ma niezwykle silny charakter. Nie chcę tu utrzymywać, że koniecznie istnieje w tym wypadku związek między przyczyną a skutkiem, lecz Johnson jest również człowiekiem niezwykle skorym do sprzeciwiania się i odrzucania wszystkiego, co go ogranicza. Inne cechy, takie jak spryt, niewiarygodna wytrwałość i zdecydowanie oraz gotowość do poświęcania własnego majątku w sytuacji, gdy fundusze wywiadu okazują się spóźnić bądź nie wystarczać, sugerują by uznać go za niebezpiecznego przeciwnika. Przykładowo, jestem przekonany, że to on wynajął dwa statki korsarskie z zadaniem przechwycenia naszego statku pocztowego. Bez wątpienia zaproponował korsarzom wysoką nagrodę za zatrzymanie nas. Oba statki stały na szlaku, którym szedł slup z oryginalnymi meldunkami, tymczasem korsarze nawet go nie tknęli. Nas natomiast ścigali z zawziętością którą wytłumaczyć można tylko wizją ogromnego zysku. Przyznać jednakże należy, że Johnson miał bardzo ważny powód.

- Tak - powiedział sir Joseph, choć trudno było ocenić, czy było to zwykłe, uprzejme potaknięcie, czy być może potwierdzenie, iż doskonale rozumie powody kierujące Johnsonem. Napelił kieliszki, po czym przyjrzał się płomieniowi świecy przez wypełnione winem naczynie. - Dobry Boże, cóż za mistrzowskie posunięcie - rzekł. - Cóż za intryga...

- Dopisało mi jednak szczęście - odpowiedział Stephen. - Temu jednemu przeczył nie będę. Nie zawdzięczam tego sobie, a tylko okolicznościom, jakie mnie zmusiły do działania, lecz mimo tego cieszę się, że kończę moją karierę sukcesem, nawet jeśli był to jedynie szczęśliwy traf.

- Kończysz, Maturin? - wykrzyknął sir Joseph z przestrawieniem w głosie. -

Co to ma oznaczać? - Sir Joseph posiadał wszystkie przymioty ducha potrzebne do tego, by być doskonałym szefem wywiadu, lecz nigdy nie miał wiele poczucia humoru, a mroczny, przyprawiający

O ciągły niepokój zawód, którym się parął, z powodzeniem zniszczył jego resztki. Nie zauważył więc, że Stephen wypowiedział owe słowa lekko i swobodnie, tak więc zaatakował go z przejęciem: - Maturin, Maturin, jakże możesz być tak słaby? Na swym dalekim wygnaniu czytałeś tylko nasze biuletyny oraz oficjalne komunikaty przeznaczone dla państw neutralnych, a przede wszystkim dla Rosji, tak więc doszedłeś zapewne do wniosku, że wojna właściwie dobiegła końca. Pewnie myślisz, że skoro Wellington zajął tak wielką część Hiszpanii, to Napoleon został pokonany, a skoro panujemy nad twą ukochaną Katalonią, to twoje zadanie dobiegło końca. Muszę ci powiedzieć, że nasze rządy nad Hiszpanią, a zwłaszcza jej częścią śródziemnomorską oraz Katalonią, są dość iluzoryczne. Stacjonuje tam ledwie kilka batalionów weteranów, w znacznie mierze dochodzących do zdrowia po bataliach, oraz oddziały portugalskie. Gdyby Francuzi zdecydowali się przeprowadzić wypad z Roussillon za prawą flankę wojsk Wellingtona, przecięliby rozciągnięte do niemożliwości linie zaopatrzenia. Nie, nie, nawet tam sytuacja nadal jest bardzo niebezpieczna, nie wspominając już o północy. Wellington ma otrzymać zaopatrzenie

I posiłki drogą morską, tak więc panowanie na morzu jest kwestią absolutnie priorytetową. Zastanów się też nad sytuacją naszego dywizjonu, strzegącego kanału. Oto ostatni raport lorda Keitha: „Nieprzyjaciel posiada dwanaście okrętów liniowych za Jemmapes w gotowości do wyruszenia na morze, a także piętnaście fregat, nie licząc mniejszych jednostek. Siły, które pozostawiono pod moimi rozkazami, liczą w chwili obecnej czternaście liniowców, osiem fregat, sześć słupów, dwie kanonierki, jeden szkuner, dwa wynajęte kutry. Jedenaście jednostek stoi w porcie bądź jest w drodze do remontu”. Francuzi mają piętnaście fregat, Maturin! Jedna trzecia naszych okrętów nie nadaje się do niczego, a wróg czeka na rozkaz wypłynięcia!

Pozostałe dywizjony znajdują się w podobnej sytuacji. Sam więc widzisz...

Udany atak ze strony Francuzów sprawiłby, że Wellington znalazłby się w sytuacji bez wyjścia, a tym samym całkowicie zmieniłyby się losy wojny. Już w tej chwili otrzymujemy od niego niekończące się skargi na morską ochronę oraz zaopatrzenie. Nie, nie, zapewniam cię, Maturin, że wojna znalazła się w punkcie krytycznym. Rzuciliśmy do boju wszystko, co mieliśmy do dyspozycji. Nie mamy już rezerw i jeśli Napoleon osiągnie zwycięstwo na lądzie, raczej wątpię, czy uda nam się znów przechylić szalę na naszą stronę. Twoja nieobecność trwała doprawdy długo i być może nie jesteś już w stanie w pełni oszacować kryzysu w gospodarce, jaki pojawił się po twoim wyjeździe. Podatki podniesiono maksymalnie wysoko, być może nawet za wysoko, a wciąż nie ma wystarczająco dużo pieniędzy, wciąż nie możemy wyposażyć naszej floty.

Kredyty rządowe są z kolei zaskakująco niskie. Obligacjami można by już tylko pokój wytapetować, gdyż ogromnie straciły na wartości. Handel niemal zamarł, nie ma nowych dostaw złota, wszędzie

panoszy się papierowy pieniądz, a City ogarnęła głęboka depresja! Ludzie w City są zrozpaczeni, Maturin, zrozpaczeni!

- Stephen nigdy nie przejmował się zbyt nastrojami panującymi w City, lecz dobrze wiedział, o czym mówi sir Joseph. Nie posiadał co prawda tylu najświeższych, dokładnych informacji, co jego szef, lecz swego czasu zbyt często uczestniczył w sporządzaniu fałszywych, złudnych raportów, by dać się zwieść temu, co czytał. Był doskonale świadom tego, że sytuacja stała się krytyczna, a sojusz przeciwko Bonapartemu chwiały się w posadach. Wiedział

też, że obie strony konfliktu są już wyczerpane, tak więc pojedyncze zwycięstwo, dobrze wykorzystane przez Francuzów, mogło zakończyć się klęską Anglii i zapoczątkować całe pokolenia rządów tyranii na kontynencie. Sir Joseph wygłaszał więc kazanie przed człowiekiem, który już dawno się nawrócił

i Stephen zaczął żałować swej żartobliwej uwagi. Żałował jej tym bardziej, że z biegiem czasu przemowy sir Josepha stawały się coraz bardziej rozwlekłe.

Właśnie rozwodził się na temat giełdy. - Wątpię, czy jest wiele rzeczy, do których ludzie podchodzą z tak ogromną uwagą i pasją, jak do pieniędzy, a giełda jest nieomylnym wskaźnikiem myśli i przekonań tysięcy inteligentnych, dobrze poinformowanych ludzi, którzy mają wiele do stracenia oraz do zyskania. Jediną reakcją City na to wasze wspaniałe, zesłane przez Boga zwycięstwo oraz wygraną Wellingtona pod Vitorią były ogniska, iluminacje i kilka patriotycznych przemówień. Ci dżentelmeni dobrze wiedzą że sami nie możemy dłużej prowadzić tej wojny, a nasi sojusznicy wycofają się, jak tylko fortuna zacznie nas opuszczać, co już zresztą uczynili niejednokrotnie. Nie, drogi Maturinie. Gdybym był choć w połowie tak pewien klęski Napoleona, już jutro poszedłbym do City i zbił tam fortunę.

- Jak by pan chciał to zrobić, na litość boską?

- Cóż, kupiłbym akcje rządowe, akcje indyjskie i wszystkie inne sensowne udziały, których wartość zależy od handlu z zagranicą. Kupiłbym je wszystkie po obecnej cenie, która jest niewiarygodnie niska, a zaraz po pokonaniu Napoleona lub po ogłoszeniu pokoju sprzedałbym je z ogromnym zyskiem. Z niewiarygodnym zyskiem, drogi Maturinie. Każdy człowiek z umiejętnością przewidywania przyszłości mógłby tego dokonać, każdy, kto tylko jest w stanie zebrać poważniejszą sumkę lub wziąć większy kredyt, mógłby w ten sposób zbić fortunę. Przypomina to nieco grę na wyścigach konnych, kiedy zawczasu zna się zwycięzcę. W ten właśnie sposób ludzie zarabiają fortuny na giełdzie, choć muszę przyznać, iż rzadko kiedy okoliczności bywają tak poważne.

- Zaskakuje mnie pan - rzekł Stephen. - Nie mam pojęcia o tych sprawach.

- Tak też myślałem. - Sir Joseph uśmiechnął się serdecznie. - Pozwól, bym ci jeszcze nalał wina. Niestety, nie zbiję jednak mojej fortuny - ciągnął. -

Jako główny powód podam to, że całkowicie zgadzam się z dżentelmenami z City. Myślę, że mają rację. Napoleon to doprawdy wspaniały wódz i choć utarło mu nosa pod Moskwą, okazało się, że potrafi regenerować swe siły w cudowny sposób. Właśnie pokazał, na co go stać, pod Liitzen, przez

co Berlin znalazł się właśnie w ogromnym niebezpieczeństwie. Obawiam się teraz kolejnego, błyskotliwego i niespodziewanego zwycięstwa, które podzieli naszych sojuszników i zniszczy ich z osobna, po kawałku. Napoleon czynił to już niejednokrotnie, a wciąż ma pod swoimi rozkazami ćwierćmilionową armię w Niemczech. Jego żołnierze pasą się na bogactwach kraju, a tymczasem we Francji powstają kolejne dywizje. Jego flota zaś jest praktycznie nietknięta.

Okręty francuskie stoją na kotwicy w Scheldt, Breście, Tulonie... Wiesz, Maturin, że w samym tylko Tulonie stacjonuje dwadzieścia jeden liniowców oraz dziesięć ciężkich fregat? Tak, a wszystko to są piękne, dobrze wyposażone i obsadzone okręty wojenne, które my próbujemy blokować naszymi znużonymi dywizjonami. Ich załogi zaczynają już wariować od strzeżenia wrogich portów przez okrągły rok przy każdej pogodzie! Nie, nie, Maturin. Potraktuj giełdę jako swój barometr i pamiętaj, że mamy jeszcze mnóstwo roboty, nim Boniusz zostanie ostatecznie pogrążony.

- Wypijmy zatem za jego ostateczną klęskę - rzekł Stephen.

- Za klęskę Boniusia! - oznajmił Blaine, smakując porto. Po chwili podjął

na nowo: - Nie tak dawno ubolewaliśmy wraz z pierwszym lordem admiralicji nad twoją nieobecnością. Twoim naturalnym terenem działania jest rejon Morza Śródziemnego, ale gdybyś był tu wówczas z nami, błagalibyśmy cię, byś podjął

pewną szczególnie delikatną misję na Morzu Bałtyckim. Znajduje się tam bowiem bardzo silnie ufortyfikowana wyspa, uzbrojona w wiele ciężkich dział, której broni katalońska brygada na służbie francuskiej. Jest to pozostałość po wielkich, hiszpańskich garnizonach, które do czasu powstania stacjonowały na całym Pomorzu. Katalończykom wmówiono jednak, że ich obecność na Bałtyku jest niezwykle istotnym, niezbędnym wręcz warunkiem odzyskania niepodległości przez ich ojczyznę. Nie mam najmniejszego pojęcia, jakimi przeinaczeniami i kłamstwami posłużyli się Francuzi, że Katalończycy uwierzyli w tą wierutną oczywistą bzdurę, ale fakt pozostaje faktem, wbrew zdrowemu rozsądkowi i faktom wciąż trzymają ową fortecę i jeśli działania wojenne na północy potoczą się zgodnie z oczekiwaniami, mogą okazać się cierniem w naszym boku. Pokładamy bowiem wielkie nadzieje w królu Saksonii. Napoleon też ma sojuszników niegodnych zaufania - rzucił dygresję sir Joseph, po czym powrócił do tematu Katalończyków: - Jak dotąd, Katalończyków trzymano w ścisłej izolacji, co nie stanowi wielkiego problemu w wypadku wyspy, ha, ha, ha! Wygląda więc na to, że nie mają oni pojęcia o wydarzeniach w otaczającym ich świecie, poza tym, co mówią im Francuzi.

Skoro człowiek o twej mądrości, przebywający z dala od teatru wojennego, formułuje, wybac mi stwierdzenie, tak błędny i powierzchowny osąd sytuacji, przestaję się z wolna dziwić ich ślepej wierze w to, że Napoleon przywróci niepodległość ich krajowi. Nie wątpię również w to, że z determinacją stawią czoło jego wrogom. Jeśli więc nasze okręty wojenne i statki transportowe wyruszą z Kłajpedy oraz Gdańska, by zaopatrywać wojsko i przeprowadzać desanty za liniami wroga, z czym wiążemy wielkie nadzieje, ogień dział owych Katalończyków może przysporzyć nam wielu trosk.

- Czy stanowią jakąś zwartą organizację polityczną? Czy w Katalonii powstał jakiś zjednoczony ruch? Jaką mają politykę w stosunku do Madrytu?

- Cóż, i tu mnie masz - rzekł sir Joseph. - Kilka dni temu mógłbym przedstawić ci dość dokładne sprawozdanie na ten temat, lecz ten niezwykle, nowy punkt zaczepienia - wskazał przy tych słowach dokumenty Johnsona -

sprawił, że zapomniałem wszystkie szczegóły. Moja pamięć nie służy mi już tak dobrze jak kiedyś, a akta zostały w biurze. Ale pamiętam dokładnie, że pierwszy lord admiralicji przedstawił mi sprawę z Katalończykami jako doskonały przykład sytuacji, gdzie pięć minut wyjaśnień, tłumaczeń, perswazji, czy jak to zwał, są w stanie zdziałać więcej aniżeli potężny dywizjon, nie mówiąc o tym, że bitwa z takim fortem niechybnie pociągnie za sobą straty w ludziach i okrętach. Poza tym nie ma przecież gwarancji, że na tak niebezpiecznych wodach takowe starcie zakończy się sukcesem. Z każdej strony przypominałoby to atak na nieco mniejszą Kopenhagę, przy czym atakujący pozbawieni byłiby atutu zaskoczenia i osoby Nelsona. Tymczasem pięć minut zwykłego, szczerego wyjaśnienia otworzyłoby Katalończykom oczy i oszczędziło nam bardzo kosztownej, krwawej bitwy z niepewnym zakończeniem. Emisariuszem zaś musiałby być człowiek, którego znają, któremu ufają i któremu wierzą. Twoje nazwisko przyszło więc nam do głowy natychmiast. Byłbyś doskonałym człowiekiem do wykonania tej misji. Twe poprzednie dokonania przekonały mnie, że nie tylko zdołałbyś ich przekonać, lecz jeszcze namówić, by zwrócili swe ciężkie działa na Francuzów.

- W takich sytuacjach z reguły bardzo wiele zależy od przywódców -

powiedział Stephen. W ogólnym ruchu narodowowyzwoleńczym Katalończyków funkcjonowało wiele filozofii, tendencji i przekonań, istniało też mnóstwo frakcji i organizacji, które nierzadko zwalczały się z zawziętością.

Stephen znał je niemal wszystkie, niektóre od samego dzieciństwa. Wielu spośród ich działaczy było jego przyjaciółmi i współpracownikami, a pozostali, choć jego zdaniem obierali niewłaściwy kurs, wciąż byli ludźmi, którzy zasługiwali na szacunek. Było wśród nich też kilku takich, którym nie ufał za grosz.

- Tak - rzekł Blaine. - Oczywiście. Chciałbym... Mniejsza o to. Otrzymasz wszelkie potrzebne ci informacje jutro z rana, jak tylko zajrzę do akt. Bez wątpienia będziesz musiał dowiedzieć się na ich temat jak najwięcej, mam jednak ogromną nadzieję, że informacje, które mamy dla ciebie, okażą się jedynie historycznymi ciekawostkami, a misja zostanie uwieńczona sukcesem w przeciągu następnego tygodnia. Być może bowiem została już wykonana. Nie mieliśmy ciebie pod ręką, a zależało nam na czasie, tak więc powierzyliśmy zadanie Ponsichowi.

- Pompeu Ponsichowi?

Sir Joseph pokiwał głową.

- Bardzo sumiennie podszedł do sprawy. Przystudiował wszystkie dostępne informacje i zgodził się przyjąć zadanie, mimo że nie jest już młodzieniaszkiem. Był przekonany o swoim sukcesie.

- Skoro sam En Pompeu jest pewien sukcesu, pozostaje mi tylko wyrazić radość - powiedział Stephen. - Trudno o lepszą kandydaturę dla takiej misji.

Pompeu Ponsich był poetą, nauczycielem i filologiem doskonale znanym w całej Katalonii, a ponadto powszechnie szanowanym patriotą.

- Twe słowa sprawiły mi ogromną ulgę - rzekł sir Joseph. - Bywały już chwile, gdy wątpiłem, czy wysyłanie tego starszego mężczyzny jest zaiste sensownym pomysłem. Ponsich co prawda jest wybitnym człowiekiem, ale specjalizuje się w literaturze. Ale pewnie dla odpowiedniego człowieka zadanie to w istocie może okazać się dość proste. Nie wymaga dokonywania cudów, jak ten, który sprawiłeś na pokładzie „Leoparda”, a potem w Bostonie. By ukończyć je z sukcesem, trzeba jedynie w przekonujący sposób przedstawić prawdę i poprzeć ją przygotowanymi przez nas dokumentami, jeśli się to okaże konieczne. A Bóg mi świadkiem, że mieliśmy aż nadto papierów, by udowodnić to, iż Bonapartemu w ogóle nie zależy na sprawie ani Katalończyków, ani żadnego innego narodu.

- Cieszę się, że zadanie trafiło we właściwe ręce - powiedział Stephen. - Z

radością podjąłbym się tej misji, ale ulżyło mi na wieść, że udało się wam znaleźć kogoś lepszego do jej wykonania. Zaproszono mnie bowiem do Instytutu, bym siedemnastego wygłosił tam wykład, i jeśli nie ma żadnych innych zadań, które wymagałyby mojej obecności, bardzo chciałbym się tam udać.

- Wykład w Instytucie? Na mój honor, oto kolejny tryumf. Co będzie tematem?

- Wymarłe gatunki awifauny wyspy Rodriguez, ale być może odbiegnę nieco od tego tematu. Niewykluczone, że dodam parę słów odnośnie do rzadkich gatunków Nowej Holandii.

- Bezwarunkowo musisz się tam udać. Nie planowaliśmy posyłać cię na Morze Śródziemne aż do powrotu Fanshawa. Tak, koniecznie musisz się udać do Paryża.

Pominąwszy wszystko inne, spotkasz się tam przecież z wieloma bardzo interesującymi ludźmi. Nie zapomnij przekazać moich pozdrowień dla Cuvierów oraz Saint - - Hilaire'a. Co więcej, będziesz miał również idealną, wręcz zesłaną przez niebiosy sposobność stanięcia twarzą w twarz z... - Sir Joseph złapał zimne spojrzenie bladych oczu Stephena i uświadomił sobie, że uniesiony wypitym portem, ogólnym entuzjazmem oraz profesjonalnym zapałem niemal popełnił poważną niedyskrecję oraz poważny błąd w osądzie sytuacji. W

pośpiechu przetrząsnął pamięć w poszukiwaniu jakiegoś sposobu, by wyjść z twarzą z sytuacji, po czym dokończył: -...z dawnymi znajomymi.

Jego słowa zabrzmiały jednak mało przekonująco.

- Z dawnymi znajomymi ze świata nauki, jak rozumiem - rzekł Stephen, nie przestając mierzyć go wzrokiem. - Zwłaszcza nie mogę się doczekać ponownego spotkania z Dupuytrenem, który jest bliski memu sercu, mimo że nie widzi przeszkód w traktowaniu Napoleona jako pacjenta. Chciałbym również usłyszeć zdanie Corvisarta na temat osłuchiwania oraz sztucznego odbytu, a także nawiązać nowe znajomości natury czysto naukowej.

Pomimo ich wzajemnego szacunku, a nawet wzajemnej sympatii, w ich rozmowie na moment

pojawiła się chwila niezręcznej ciszy. Przełamał ją Blaine, który odezwał się całkowicie innym tonem:

- Cel twojej wyprawy zapowiada się całkiem niewinnie, lecz nie sądzisz, iż istnieje pewne ryzyko, że zostaniesz rozpoznany? Wyrządziłeś Francuzom ogromne szkody i sądzę, że nie powinienesz za bardzo ufać gwarancjom, jakie daje ci glejt. Niewielu w tym fachu ma tyle skrupułów, co ty.

- Myślałem już o tym, ale wygląda na to, że w chwili obecnej nie grozi mi wielkie niebezpieczeństwo. Jedynymi Francuzami, którzy mogliby bez wahania połączyć mnie z wywiadem, byli Dubreuil oraz PontetCanet, a obaj już nie żyją jak sam pan wie. Ich podwładni, którzy mogą coś wiedzieć na temat mojej tożsamości, nadal przebywają w Ameryce. Tak więc, nawet gdyby natychmiast doszło do odwołania ich do Francji, w co szczerze wątpię, na pewno nie dotrą do domu jeszcze przez parę tygodni. Nasz statek pocztowy pokonał przecież Atlantyk z niezrównaną prędkością.

- To prawda - stwierdził Blaine.

- Co więcej - ciągnął Stephen - potraktuję tę wyprawę jako coś na kształt ubezpieczenia. Jeśli wokół mojego nazwiska krążą już jakieś podejrzenia, być może usunie je publiczne potwierdzenie mojej roli w świecie nauki. Sądzę bowiem, że bez zbytnej pychy mogę stwierdzić, iż nie ma w Europie człowieka, który wiedziałby więcej na temat anatomii *Pezophaps solitaria*. Żaden agent nie rzuciłby się przecież w szpony wroga. Żaden agent z własnej woli nie wszedłby w lwią paszczę.

- I znów masz rację - stwierdził sir Joseph. - Nie mam żadnych wątpliwości, że twój wykład na temat dronta samotnego wywoła wiele szumu i sprawi, że staniesz się jednym z największych autorytetów w tej dziedzinie, jeśli w ogóle jeszcze tego potrzebujesz. Będę się cieszył, jeśli wrócisz cały i zdrowy przed powrotem któregośkolwiek francuskiego agenta z Ameryki. Sądzę również, że powinienesz wyruszyć bez chwili zwłoki. Trzeba działać szybko.

Czy chcesz, bym podjął kilka koniecznych kroków, by zapewnić ci oficjalne zezwolenie oraz przejazd? Dwunastego wypływa statek do transportu więźniów, co byłoby ci na rękę.

- Byłbym zobowiązany - rzekł Stephen. - A skoro okazał mi pan już tyle życzliwości, pozwolę sobie wyrazić jeszcze dwie prośby.

- Cieszę się ogromnie - stwierdził sir Joseph. - Jak dotąd nie pozwoliłeś, byśmy wiele dla ciebie zrobili, a po twoim wyczynie na „Leopardzie”, a potem w Bostonie, jesteśmy twoimi dłużnikami.

Stephen uklonił się, zawahał przez chwilę, po czym rzekł:

- Pierwsza prośba dotyczy pani Villiers. Jak sam pan wyczyta z mojego sprawozdania, mój sukces w Bostonie został osiągnięty w znacznej mierze dzięki niej, choć nie ma ona najmniejszego pojęcia o moich związkach z Departamentem. Z oczywistych powodów powróciła wraz ze mną na pokładzie statku pocztowego, ale z uwagi na fakt, że teoretycznie jest nadal obywatelką wrogiego państwa, została aresztowana zaraz po wylądowaniu w Anglii.

- I? - spytał sir Joseph z lekko przechyloną głową.

- Jak zapewne dobrze pan pamięta - ciągnął celowo Stephen - gdy rozmawialiśmy o niej po raz ostatni, nie był pan specjalnie zadowolony z jej układów z panią Wogan.

- Pamiętam - stwierdził sir Joseph. - Ją samą również pamiętam. Tak, doskonale ją pamiętam. Dostałem zaszczytu poznania jej osobiście na przyjęciu u pani Jersey, a potem ponownie spotkaliśmy się w Pavilion. O ile jednak pamięć mnie nie myli, tobie również przysporzyła sporo zgrzyoty, zwłaszcza gdy niespodziewanie wyjechała do Stanów.

- To prawda. Niezbyt mi się to spodobało, ale z prawdziwą ulgą przyznaję, że myliłem się całkowicie. Jej przelotny związek z panem Johnsonem oraz podpisane w Stanach dokumenty w żaden sposób nie wpłynęły na jej lojalność wobec ojczyzny. Jestem o tym całkowicie przekonany i gotów jestem o tym bezwarunkowo zaświadczyć. Prosić zaś chcę o to, by została zwolniona.

- Dobrze - rzekł sir Joseph, pisząc coś na skrawku papieru. - Zajmę się tym osobiście. Nie przewiduję żadnych trudności. Pani Villiers może odetchnąć z ulgą. - Zamilkł na moment, lecz widząc, iż Stephen nie ma zamiaru zabrać głosu, zapytał: - Czyż nie chodziło ci

O dwie prośby?

- Tak, lecz ta druga dotyczy kwestii całkowicie osobistej i nie ma nic wspólnego z działalnością Departamentu. Mam pewnego przyjaciela, oficera marynarki, który między jednym rejsem a drugim przebywał na łodzi i zdołał w owym czasie popaść w niezłe tarapaty. Podczas jego przeciągającej się nieobecności owe tarapaty stały się jeszcze poważniejsze i obawiam się, że lada chwila pociągną go na dno. Jedynym ratunkiem zdaje się porada prawna u prawdziwego eksperta. Czy mógłbym zatem prosić pana o zdradzenie mi nazwiska najlepszego prawnika urzędującego w mieście?

- Czy mógłbyś uchylić rąbka tajemnicy i powiedzieć więcej o naturze problemów twego przyjaciela? Musiałbym wiedzieć, jakiego rodzaju specjalistę mam ci polecić. Jeśli chodzi o kwestie przynajmniej, najlepszy jest Harding, chyba że jest już zajęty jakąś sprawą. W sprawach kryminalnych lub różnego rodzaju zagadnieniach matrymonialnych bez wahania powinien skonsultować się z Hicksem.

- Wyjawię więc wszystko, co wiem na ten temat. Mój przyjaciel wpadł w szpony pewnego szarlatana, który okazał się człowiekiem skromniejszym od swych kamratów po fachu, gdyż obiecał zamienić ołów mego przyjaciela nie w złoto, lecz za ledwie w srebro. Na ziemiach mego przyjaciela znajdują się bowiem wyeksploatowane kopanie ołowiu. Mój przyjaciel nabrał do owego człowieka zaufania, szybko przekonał się do jego pomysłu i nierozważnie podpisał kilka dokumentów bez przeczytania.

- Podpisał papiery bez przeczytania? - wykrzyknął sir Joseph.

- Obawiam się, że tak. Został właśnie mianowany dowódcą kolejnego okrętu i wygląda na to, że spieszył się, by nie stracić przyływu.

- Dobry Boże! Durnota tego żeglarza przechodzi wszelkie pojęcie, lecz mimo tego nie powinienem

się dziwić. Widywałem już niezliczone dowody na głupotę oficerów marynarki na lądzie, niezależnie od rangi. Nawet niezwykle utalentowani żeglarze, zdolni odważnie dowodzić flotą w bitwie bądź z finezją prowadzić skomplikowane negocjacje, nie należą do wyjątków. Jakiś tydzień temu pewien znany mi wybitny oficer wypłacił wszystkie swe zaległe połowy pensji naraz. Z tą sumą w kieszeni wszedł do kawiarni, gdzie wdał się w rozmowę z pewnym nieznanym człowiekiem, który po jakimś czasie zdradził

mu, że zna niezawodny sposób na pomnożenie kapitału o siedem i jedną czwartą bez narażania się na najmniejsze nawet ryzyko. Ów oficer bez wahania przekazał mu całą kwotę, a nieznajomy zniknął bez śladu. Dopiero po jakimś czasie żeglarz uświadomił sobie, że nie zna nawet imienia owego człowieka, nie mówiąc już o jego adresie. Powróćmy jednak do twego nieszczęsnego przyjaciela. Czy wie on, jakie dokumenty podpisał i jaką mają wagę?

- Obawia się, że jeden z nich mógł być nadaniem pełnomocnictwa, choć z drugiej strony identyczny dokument przekazał swej żonie. Tak czy owak, po powrocie do kraju okazało się, że ów szarlatan poważył się na ogromne inwestycje oraz szalone wprost wydatki. Nawet wykopał tradycyjny kanał!

- Tak, oczywiście, kanał - powiedział sir Joseph, a Stephen, widząc błysk w jego oku, dodał:

- Nie będę już dłużej udawał... Mówię o Jacku Aubreyu. Zapewne widział

pan ów ogromny rów w Hampshire?

- Tak, widziałem. Wzbudził mnóstwo zainteresowania.

- To nie wszystko. Ta gadzina Kimber, gdyż tak się ów człowiek zwie, skrył się teraz za plecami całej gromady wspólników, czy może współspiskowców, którym przekazał swe wątpliwe uprawnienia. Kilku z nich to prawnicy najgorszego sortu i grożą podjęciem postępowań sądowych. Ogromnie martwię się sprawą Aubreya. Jestem bardzo przywiązany do niego i do jego żony i jak zapewne pan wie, mam wobec niego ogromny dług wdzięczności.

- Z tego, co pamiętam, prawie zawsze żeglowałeś na jego okrętach.

- Od chwili, gdy ruszyłem na morze. Najważniejsze dla mnie było jednak to, że Jack uwolnił mnie, gdy wpadłem w ręce Francuzów w Mahoń.

Przeprowadził doprawdy doskonałą wyprawę ratunkową, narażając własne życie.

- A zatem ja również jestem mu winien wdzięczność - stwierdził sir Joseph. - Nigdy nie spotkałem go osobiście, choć często słyszałem to nazwisko z twoich ust. Znam oczywiście jego reputację, jest to niezwykle dzielny, pomysłowy dowódca z rodzaju tych, którzy nigdy nie uchylają się od boju. Lord Keith żywi o nim bardzo dobrą opinię. Na morzu zaś dopisuje mu ogromne szczęście i w marynarce nazywa się go Jackiem „Szczęściarzem” Aubreyem.

Musiał zgarnąć ogromną fortunę na Reunion i Ile de France. Jak to możliwe, by tak wybitny człowiek, którego przymioty ducha pozwalają mu zakończyć sukcesem długą i trudną kampanię wojenną, może być tak nierozważny w kwestii swej fortuny? Jak to możliwe, by bez wahania inwestował na ślepo w

szemrany interes, podpisywał nieczytane dokumenty i bez zastrzeżeń ufał

pierwszemu lepszemu napotkanemu człowiekowi? Doprawdy tego nie pojmują.

- Sir Joseph pokręcił głową, próbując wczuć się w sytuację człowieka, który bez wahania zawiera bliźnim, nie czekając, aż czas i rozmaite zdarzenia potwierdzą jego wiarygodność, ale nie był w stanie. - Być może dopisuje mu szczęście na morzu - ciągnął. -

0 ładzie nie da się tego powiedzieć. Na pewno nie powiodło mu się w kwestii wyboru ojca. Spotkał pan kiedyś generała Aubreya, Maturin?

- Niestety, tak.

- Teraz poparł sprawę radykałów, przez co stał się jeszcze bardziej nieznośny. On i jego przyjaciele to wstyd dla całego ministerstwa, a po ostatnim przemówieniu, jakie wygłosił w Spitalfields, pojawiły się głosy podważające sensowność przyznawania jego synowi dowództwa okrętu wojennego. W

rezultacie „Acasta”, która miała przypaść młodemu Aubreyowi, została przyznana komuś innemu. Pan Wray zwrócił wówczas uwagę na fakt, że jest bardzo wielu wybitnych oficerów bez przydziału

1 nadanie im okrętów wzmocniłoby sam rząd. To samo się tyczy szlachectwa. Rozważano przyznanie Aubreyowi tytułu szlacheckiego, może nawet tytułu barona w uznaniu za zatopienie „Waakzaamheid”, lecz obawiam się, że nic z tego nie wyjdzie. Jeśli naprawdę cenisz Aubreya, to przykaż mu, by uciszył swego ojca, jeśli to w ogóle jest jeszcze możliwe. Nas jednak interesuje inna sprawa. W tej chwili musimy zdecydować się na prawnika, który uchroni Aubreya przed konsekwencjami jego głupoty. Musi to być człowiek sprytny, który doskonale opanował sztukę radzenia sobie z łajdakami i bynajmniej nie nazbyt miły... - Sir Joseph jął przeglądać w myślach listę największych talentów prawniczych Londynu, nucąc przy tym: Coli' astuzia, coll'arguzia, col giudizio, col criterio... eon un equivoco, con un sinonimo, qualche garbuglio si trovera¹⁶, miłym dla ucha głosem. - Tak - powiedział w końcu. - Tak, wydaje mi się, że znalazłem naszego londyńskiego Bartolo, najostrzejszego z nich wszystkich.

Nazywa się Skinner, Wilbraham Skinner, a mieszka w Lincoln's Inn.

- Sir Josephie - rzekł Stephen, wstając. - Jestem panu głęboko zobowiązany.

- Zjesz jutro ze mną obiad? - spytał sir Joseph, przyświecając mu, gdy schodził po schodach. - Zaproszę Craddocka i Erskine'a, a potem zajrzemy do Covent Garden. Pewna wybitna młoda dama śpiewa tam partię Cherubina. Ma iście anielski głos.

- Muszę odmówić, choć z prawdziwą niechęcią. Muszę jutro wsiąść w dylizans do Holyhead, albowiem oczekują mnie sprawy w Irlandii.

- A zatem prześlę ci dokumenty przed odjazdem. Gdzie się zatrzymałeś?

- W gospodzie „Grapes”, w hrabstwie Savoy.

- Ty niepoprawny łotrze - rzekł z uśmiechem sir Joseph. - Twoja przepustka oraz zezwolenie komisarza do spraw transportu na odbycie podróży do Calais dotrze tam przed jedenastą. Przydałoby ci się kilku służących, co?

- Jeśli nie będzie to stanowiło dla pana problemu - powiedział Stephen.

Przed wyjściem zatrzymał się przy drzwiach i powiedział: - Być może złoży się tak, że zabiorę ze sobą do Paryża panią Villiers. Istnieją pewne okoliczności, które mogą nas do tego zmusić. Czy są jakieś przeciwwskazania?

- Nie, w ogóle - rzekł sir Joseph. - Z naszej strony żadnych, podobnie zresztą jak z drugiej. Dama z amerykańskimi dokumentami zawsze będzie mile widziana w Paryżu. Zostawię puste miejsce w zezwoleniu, by mógł pan wpisać nazwiska służących lub innych ewentualnych towarzyszy.

- Trudno mi wyrazić moją wdzięczność, drogi panie Blaine.

- Nie ma sprawy, zupełnie nie ma sprawy. Życzę pomyślnej podróży, drogi Maturinie. Przekaż, proszę, Cuvierom moje najszczerze wyrazy szacunku.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Na Boga, Stephen, ależ się cieszę, że cię widzę! - wykrzyknęła Diana, biegnąc przez salonik pani Fortescue i obejmując go ramionami. - Miałeś pomyślną podróż? Chodź do ogrodu, opowiesz mi tam o wszystkim. Pani Fortescue zaraz zejdzie na dół wraz z całym swym przebrzydłym potomstwem.

Chodź zaraz, wyglądasz na wykończonego. Usiądziemy tutaj. - Z tymi słowami poprowadziła go do sofy, gdzie usiedli. - A zatem, mój drogi? Jak było?

- Mniej więcej tak, jak to zwykle bywa - rzekł Stephen. - Mnóstwo pośpiechu, mnóstwo opóźnień, a potem wszyscy dochodzą do wniosku, że równie dobrze, a może nawet lepiej, byłoby można załatwić wszystko pocztą.

Zostawiłem szczoteczkę do zębów w Tuam lub Athenry oraz parę cennych dla mnie pantofli w samym Dublinie, a w drodze powrotnej amerykański statek korsarski popędził nas aż do samego Holyhead. Najedliśmy się strachu co niemiara.

Z czasem przyzwyczaił się do obecnej Diany i tylko w chwilach samotności pozwalał sobie na tęsknotę za tą, którą znał wcześniej. W skrytości ducha musiał przyznać, że siedzenie na sofie w jej bliskości sprawiało mu przyjemność. Uczucie, które mu okazała, było porównywane do wylewności towarzyszącej powrotowi do domu i po raz kolejny uderzyła go myśl, że tak właśnie mogłoby wyglądać małżeństwo.

„Fizycznie wygląda bardzo dobrze” - zauważył w myślach. Czysta cera, która bardzo często pojawiała się wraz z ciążą, sprawiła, że dziewczyna wręcz jaśniała urodą i najwyraźniej jego obawy przed chronicznym zatwardzeniem, częstym objawem tego jakże błogosławionego stanu, były przesadzone. Stephen miał jednakże bystry wzrok i od razu zauważył, że radosne zachowanie Diany

jest jedynie maską. Dziewczyna wcale nie miała się dobrze, wręcz przeciwnie.

Trudno byłoby mu zdefiniować owe ślady głębokiego nieszczęścia, lecz na pewno się nie mylił. Co więcej, dostrzegł również objawy niedawnej nerwowości i rozdrażnienia.

Zrozumiał powody takiego stanu ducha, gdy w chwilę później zeszła pani Fortescue z piątką dzieci. Stephenowi wcale nie wydały się bardziej okropne od innych - były to niziutkie, pulchne, nie wyróżniające się maleństwa, które smarkały i kichały, gapiły się z rozdziawionymi ustami lub wpychały sobie paluszki do buzi. Nie dostrzegł jednak wśród nich śladów skrajnego rozwydrzenia. Ich matkę z kolei określić należało jako jedną z tych żeglarskich żon, które często prowokowały go do rozmyślań na temat marynarskiej mentalności. Była to bowiem potężna, mało urodziwa kobieta o surowej cerze i nieco męskim sposobie bycia, a choć przystroiła się mnóstwem szpil, wstążek i broszek, przybrała jednocześnie zdecydowaną postawę, dzięki której wszystkie ozdoby wydawały się nie na miejscu. W rozmowie wykorzystywała bardzo wiele morskich wyrażeń, chyba nawet więcej niż większość żeglarzy. Już po chwili Stephen uświadomił sobie, iż nawzajem z Dianą żywiły do siebie dobrze skrywaną wrogość, a co więcej, pani Fortescue wyraźnie obawiała się swego gościa. Jego samego nie zaproszono do udziału w rozmowie - pani Fortescue była bowiem bardzo wyczulona na sprawę morskiej hierarchii oraz własnej pozycji jako żony starszego kapitana mianowanego i gdy usłyszała, że Stephen pełnił obowiązki zaledwie lekarza pokładowego, nie miała mu wiele do powiedzenia. Co więcej, Stephen rzadko dbał o swój strój, a teraz, po zakończeniu długiej podróży, był zdecydowanie bardziej niechlujny i zapuszczony niż zwykle, by nie powiedzieć brudny i nieogolony.

Jego myśli dryfowały w kierunku Paryża, Pezophaps solitaria oraz cichej bitwy, jaką toczyli ze sobą dwaj synowie pani Fortescue w odległym kącie przy stojaku z kwiatami. Walczyli o jakiś przedmiot, którego nie mógł dostrzec.

Niewykluczone, że była to chusteczka, którą podrzuciły im siostry, chcąc ich skłonić do bójki. W tym czasie pani Fortescue i Diana toczyły w miarę uprzejmą kłótnię na temat, który całkiem mu uciekł. Z pewnością dorzuci kilka szczegółów na temat Ratitae¹⁷ z Nowej Holandii... Uświadomił sobie, że dyskusja została zakończona, Diana najprawdopodobniej postawiła na swoim, a pani Fortescue, nie mając już ochoty otwarcie ciągnąć kłótni, wpadła na pomysł, że dokuczy jej, atakując samego Stephena:

- Niechże pan mi powie - odezwała się, patrząc na niego z politowaniem -

czy to prawda, że w pruskiej armii lekarze mają za zadanie golić swych oficerów?

- Naturalnie, proszę pani - odrzekł Stephen. - Ale u nas jest znacznie gorzej. Dobry Boże, ileż to razy musiałem polerować buty kapitana Aubreya! -

Pani Fortescue aż poczerwieniała ze złości, lecz nim zdążyła wykrztusić choćby słowo, do saloniku wszedł jej mąż. Stephen z zainteresowaniem dostrzegł

czystą, niczym nie skażoną miłość, malującą się na jej twarzy. Zerknęła przy tym również z niepokojem i podejrzliwością na Dianę, lecz ledwie sekundę później na jej obliczu na nowo pojawił

się gniew, choć poprzedni rumieniec jeszcze nie zniknął. Jeden z chłopców zamarł ze strachu, widząc wejście ojca, aż upuścił przedmiot, o który toczył się bój. Jego zaskoczony brat zatoczył się w tym momencie w tył i przewrócił stojak z kwiatami. Niespodziewanie salonik wypełniła wrzawa oskarżeń, obwinień, prób obrony i bezwstydnego skarżenia, a gdy wrzeszczące, zapłakane dzieci wywleczono do sąsiedniego pokoju na lanie, Stephen i Diana wyszli do ogrodu. - Jak ci się tu układało, moja droga? - spytał

Maturin, gdy szli wzdłuż klombu z liliami, obiektu dumy i radości kapitana Fortescue.

- Całkiem nieźle, mój drogi, dziękuję - odpowiedziała. - Słuchałam wszystkich twoich zaleceń i byłam niewiarygodnie wprost grzeczna. Wypijałam tylko jeden kieliszek wina do obiadu, choć zawsze towarzyszyły nam całe tłumy ludzi, co z reguły skłania do picia. Nie paliłam też tytoniu. Stephen, a może sam zapaliłbyś cygaro i pozwolił mi pyknąć raz i drugi, póki jesteśmy z dala od domu?

- Dobrze - rzekł Stephen i zadał jeszcze kilka pytań dotyczących jej stanu fizycznego. Następnie spytał: - Widziałaś się może z Jackiem?

- Och tak! Z wyjątkiem dni, kiedy miał własne sprawy do załatwienia, odwiedzali mnie z Sophie niemal codziennie, aż Jack otrzymał wiadomość z Dorset, że jego ojca złożyła choroba. Od tego momentu Sophie odwiedzała mnie tak często, jak tylko mogła. Sam dobrze wiesz, jaka z niej słodka, kochana kobietka. Siedziałyśmy sobie razem i leniłyśmy się jak kotki, podczas gdy nasi mężczyźni przebywali z dala od domów. Ani słowem nie wytłumaczyłeś swego wyjazdu.

Rzadko kiedy się zdarzało, by Stephen mógł odpowiedzieć na takie pytania z całkowitą szczerością, tak więc tym razem uczynił to z ogromną ulgą i przyjemnością:

- Udałem się na oficjalny objazd granic posiadłości ziemskiej w Joyce's Country, która ongiś należała do mego kuzyna, Kevina. Ziemie zostały skonfiskowane po wybuchu powstania w 1789 roku, lecz Kevin niedawno zginął w szeregach armii austriackiej, walcząc przeciwko Bonapartemu, tak więc mają wrócić do prawowitych właścicieli. Mam zamiar odszukać jego ojca we Francji i przekazać mu dobre wieści. Dla ciebie również mam dobre wieści, Diano - powiedział, szukając czegoś w kieszeni. - Oto rozkaz twojego zwolnienia, co prawda warunkowy, gdyż wolno ci mieszkać jedynie w Londynie bądź w hrabstwach graniczących z tym miastem, ale nie mogę sobie jakoś wyobrazić, byś mogła chcieć mieszkać gdzieś indziej. Jesteś zadowolona, Diano?

- Och, a jakże, Stephen! Jestem zachwycona! Jak to miło z twojej strony, że podjąłeś się takiego trudu. Jestem ci niepomierne wdzięczna, mój drogi.

Starczy, że pomyślę o opuszczeniu tego domu wariatów, pełnego tych paskudnych dzieci... Stephen, na litość boską, zapal wreszcie to cygaro! - Diana zaciągnęła się głęboko i wypuściła dym, po czym zbladła i oparła się na jego ramieniu. - Odzwyczałam się już - powiedziała i zwróciła ku niemu udręczoną twarz. - Stephen, ja nie jestem w stanie dłużej mieszkać w Anglii. Już samo dementowanie plotek o tym, co wydarzyło się w Indiach, jest dla mnie wystarczająco trudnym wyzwaniem. Co będzie, jak napłyną plotki z Halifaksu?

Mam tylu znajomych, Stephen. Mam bardzo wielu znajomych, a w Londynie są ich całe tłumy. Nawet tutaj, w Hampshire, spacerowanie z wysoko uniesioną głową przychodzi mi z trudem. Wyobraź sobie więc, o czym będą mówić w Londynie za kilka tygodni - oto Diana Villiers, kobieta z wielkim brzuchem, ale za to bez męża. Dobrze wiesz, jaki mały jest ten świat. Co krok spotyka się kuzynów, znajomych bądź kiedyś poznanych ludzi. Nie mogłabym udać się do teatru, opery czy nawet zwykłego sklepu, nie ryzykując przy tym, iż natknę się na kogoś znajomego. A wyobrażasz sobie mnie uwięzioną na jakiejś odległej farmie, przerażoną wizją demaskacji i niechętną do spotkań z jakimkolwiek cywilizowanym człowiekiem, nawet z pastorem? Wyobrażasz sobie mnie w ciemnych zaułkach Surrey? Nostalgia przyprawiłaby mnie o szaleństwo.

- Jasne, kobieta tak zaangażowana towarzysko jak ty potrzebuje znajomych - rzekł Stephen. Nie miał co do tego wątpliwości Diana pozbawiona życia towarzyskiego uschłaby niczym drzewo. - Pamiętaj jednak o tym, że istnieje pewna czysto nominalna ceremonia, która wyeliminowałaby wszystkie te przykre wizje. Jako pani Maturin oczekiwałabyś na poród otoczona przyjaciółmi w przyzwoitej części miasta.

- Stephen! - odezwała się Diana mocniejszym głosem. - Prędeż mnie szlag trafi, nim wyjdę za jakiegoś mężczyznę, mając dziecko z innym. Nie chciałeś mi pomóc, gdy cię poprosiłam, byś usunął ciężę. Sama również obiecałam, że tego nie zrobię. Ja uszanowałam twoją prośbę, a więc ty uszanuj moją, drogi Stephenie. Ach, Stephen, zabierz mnie do Paryża!

- Czy wszystkie te przykrości, związane z życiem towarzyskim, nie dotyczą Francji? Potrafiłabyś prowadzić beztroskie życie we wrogim kraju?

- Och, przecież nikt nie uważa Paryża za wrogi kraj! Toczymy wojnę z Napoleonem, a nie z Paryżem. Przypomnij sobie tylko, jak w czasach pokoju kto tylko mógł umykał do Paryża. Również tam pojechałam w towarzystwie biednego kuzyna Lowndesa... Tego, który uważał się za imbryk, pamiętasz?

Sądziliśmy wówczas, że jakiś mesmerysta mógłby mi pomóc. Przekonałam się wtedy na własne oczy, że Paryż jest pełen Anglików. Zdarzyło się to tuż przed naszym pierwszym spotkaniem. Tak czy owak, znam tam sporo ludzi, głównie emigrantów, którzy wrócili do ojczyzny, oraz przyjaciół jeszcze sprzed wojny, których poznałam, gdy mieszkalam tam z ojcem. W Paryżu moja przeszłość nie będzie miała znaczenia. Nikt tam nie wie ani też nie dba o to, co było kiedyś.

Jestem wdową, a moja przeszłość nie jest związana z żadnym z tych miast. Poza tym, wojna wkrótce dobiegnie końca, a król znów powróci na tron. Wiesz, że zostałam mu przedstawiona w Hartwell przez d'Avaraya? Z chwilą gdy znów zasiądzie na tronie, Francja ponownie stanie się tą samą Francją, co kiedyś.

Błagam cię, zabierz mnie ze sobą, Stephen.

- Dobrze - powiedział. - Przyjdę po ciebie z rana. Będę tu około wpół do jedenastej. O, witam kapitanie Fortescue! Jak się pan miewa?

- Jest mi niezmiernie przykro z powodu tego cholernego zamieszania -

powiedział kapitan Fortescue. - Takie rzeczy stanowią jednak nieodłączny składnik życia rodzinnego i pewnie trzeba jakoś się z tym pogodzić, skoro otrzymaliśmy zadanie mnożyć się i powiększać nasze rodziny. Widzę, że podziwia pan moje lilie. Czyż nie są wspaniałe? Ta tutaj z pewnością pana zainteresuje, doktorze, gdyż jest to wielka osobliwość, sprowadzona z Kantonu przez mego siostrzeńca, który służy w Kompanii Zachodnioindyjskiej. O Boże, znów tu są! - wykrzyknął niespodziewanie, mrużąc oczy, i pochylił się nad ową lilią, na której kopulowało kilka czerwonych żuków, również mnożących się i powiększających swe rodziny. - Nikczemne łajdaki! Francuska zaraza! A to z kolei nieodłączny składnik pracy ogrodnika. Proszę mi na chwilę wybaczyć.

Skoczę tylko po mój mały spryskiwacz.

Paryż przywitał ich pełnią swego niezwykłego splendoru. Obsypane liściem drzewa zieleniły się na tle bezchmurnego, pięknego nieba. Sekwana wydawała się niemal błękitna, a ulice mieniły się mozaiką poruszających się barw. Wiele z nich było mundurami, których na ulicach widywało się niezliczoną ilość. Wszystkie co do jednego należały do wrogiej armii, lecz tu, w przeciwieństwie do mokrych, błotnistych pól bitew, na których żołnierze Napoleona i jego sojuszników toczyli swe boje, ich krasa olśniewała do tego stopnia, że traciły swój wrogi, wojowniczy wygląd. Ulice Paryża przypominały raczej ogromny, doskonale prowadzony i oświetlony spektakl teatralny, w którym aktorzy nosili wspaniałe stroje i odgrywali swe role z kunsztem geniuszy. Diana uzupełniała ową mozaikę nową niebieską suknią, zakupioną u madame Delaunay, wspaniałym kapeluszem, nabytym ledwie kilka godzin temu na Place Vendôme oraz cienkim, czarnym szalem kaszmirowym, nieco przypominającym szarfę. Ubiór ten przyciągał spojrzenia dostojnych dżentelmenów w mosiężnych, zdobionych końskimi kitami hełmach i posrebrzanych napierśnikach, którzy mijali ją, podzwaniając szpadami u boku i ostrogami u butów. Wielu z nich miało oznaki formacji, niedźwiedzie skóry lub niewielkie, lamowane złotem kurteczki, noszone na jednym ramieniu, inni zaś pysznili się osobliwymi, szkarłatnymi, amarantowymi lub wiśniowymi kapeluszami, kwadratowymi bądź okrągłymi. Zacni panowie z bokobrodami, krocący w wypucowanych, błyszczących butach, uśmiechali się do niej promiennie bądź podkręcali węża z junacką miną. Diana i Stephen zaś wędrowali bez końca po mieście, pokazując sobie nawzajem swe dawne często odwiedzane miejsca, mieszkania, a nawet place zabaw.

- To tutaj nauczyłam się grać w marelle - powiedziała Diana na Ile des Cygnes. - Wykreślałyśmy sobie linie od tej balustrady aż po ten krzak... Boże, ależ się rozrósł! Z tego ostatniego placu, który nazywaliśmy Niebem, w ogóle nie było go widać. Stephen, jak jest po angielsku „marelle”¹⁸?

- Nie mam pojęcia - rzekł Maturin po chwili zastanowienia. Od chwili wylądowania we Francji rozmawiali bowiem po francusku, by nie przyciągać uwagi, tak więc angielskie słowa z wolna zaczęły im uciekać. Przybyli zaś na pokładzie pewnego niepozornego stateczku, który regularnie kursował między oboma krajami, ostentacyjnie ignorowany zarówno przez władze i flotę angielską jak i ich kolegów po stronie francuskiej. Nie był to ani typowy cartel¹⁹, gdyż Napoleon nie uznawał wymiany jeńców, ani też jednostka neutralna - zadaniem tego statku było przewożenie półoficjalnych negocjatorów i wiadomości o jeńcach wojennych, a także wybitnych znawców literatury bądź

filozofów naturalnych do Francji, natomiast do Anglii transportowano głównie pięknie przystrojone lalki, dzięki którym angielskie damy wiedziały, jakie stroje aktualnie są najmodniejsze.

Przeszli przez most i spojrzeli na wysoki, wąski dom przy rue GitleCoeur.

Za czasów studenckich Stephen mieszkał tam na poddaszu.

- Dupuytren mieszkał tuż pode mną - powiedział. - Często dzieliliśmy się trupami. A teraz, moja droga, jeśli nie jesteś zbyt zmęczona, chciałbym cię zabrać na przedmieście SaintGermain. Mam tam pewnego przyjaciela, Adhemara de La Mothe, który dysponuje ogromnym, pustym mieszkaniem.

Przyszło mi do głowy, że mogłabyś zatrzymać się u niego. On w każdym razie nie może się doczekać naszej wizyty i na pewno zaproponuje ci, byś zajęła jedno z górnych pięter. Jego ciotki zaś polecą ci godne zaufania pokojówki.

- Czy madame de La Mothe jest miłą kobietą?

- Nie ma żadnej madame de La Mothe. W tym tkwi sedno sprawy, Diano.

Adhemar nie jest żonaty. Kiedyś dawno temu podjął co prawda próbę związania się z kobietą, lecz nie układało im się dobrze i owa nieszczęsna dama wkrótce uzyskała akt unieważnienia małżeństwa w Rzymie. Niestety, trud włożony w jego zdobycie poszedł na marne, gdyż jakieś pięć minut po jego wydaniu zaprowadzono ją na gilotynę. Klasyczny przykład dziewicy męczenniczki, tylko palmy jej brakowało. Adhemar jest jednak przyzwoitym, dobrze ułożonym człowiekiem. Jego życie to muzyka oraz malarstwo, przepada też za kobietami, oczywiście traktując je jako przyjaciółki. Uwielbia piękne kobiety, które potrafią się gustownie ubrać. Sądzę, iż go polubisz.

- Z pewnością, skoro ty go polubiłeś - rzekła Diana, lecz w jej głosie pojawiła się nutka wątpliwości.

- Jego znajomi bez wątpienia wniosą sporo ożywienia do twego życia. On zna każdego człowieka w Paryżu, który ma jakiś gust bądź styl, a przy tym wciąż jest w miarę bogaty. Co więcej, nie piastuje przy tym żadnego oficjalnego stanowiska i nie prowadzi politycznej działalności. Ludzie, z którymi się przyjaźni, tworzą coś na kształt grup okultystycznych. To prawie jak stowarzyszenia masońskie. Znają się doskonale między sobą i nierzadko dopiero we własnym gronie udaje im się znaleźć pomocną dłoń. To właśnie ocaliło mu życie w 1794 roku, kiedy to reszta jego rodziny poszła na gilotynę. Między innymi z tych względów jego dom jest taki pusty. Jeśli więc dojdzie do jakichś trudności czy nieprzyjemności, w co, szczerze mówiąc, wątpię, protekcja Adhemara może się okazać nieoceniona. Mówię ci to, Diano, ponieważ wiem, że mogę polegać na twojej dyskrecji. Zachowywanie czujności w jego towarzystwie jest zbędne, czasami jest człowiekiem aż nader pochopnym, ale utrzymuje, że nie można go znaleźć ani wykryć. Bardzo obawia się skandalu i by zmylić otaczający go świat, udaje wielką miłość do pobożnej madame Duroc, żony bankiera. O co chodzi, Diano? Dlaczego się zatrzymałaś?

- Wybacz, Stephen, ale chciałam ci pokazać dom, w którym mieszkałam jako dziecko.

- Lecz to przecież Hotel d'Arpajon! - rzekł Maturin, przyglądając się z uwagą wielkiemu, posępnemu i odległemu od drogi budynkowi, który z trzech stron otaczał dziedziniec. - Zawsze twierdziłem, że świetnie mówisz po francusku, ale nawet nie przyszło mi do głowy, że nauczyłaś się go w Hotel

d'Arpajon! W samym Hotel d'Arpajon, na miłość boską!

- Pewnie ten temat nigdy nie wypłynął podczas naszych rozmów. Może po prostu o to nie zapytałeś? Przecież ty rzadko kiedy zadajesz pytania, Stephen.

- Zawsze byłem zdania, że swobodna rozmowa nie polega na stawianiu pytań i udzielaniu odpowiedzi.

- Opowiem ci zatem o wszystkim bez wypytywania. Mój ojciec został

zmuszony do opuszczenia Anglii ze względu na długi, tak więc zamieszkaliśmy tutaj. Nasz pobyt zaczął się przeciągać, wydawało mi się, że trwa on całą wieczność, choć w rzeczy samej spędziliśmy tu jedynie trzy lata. Przybyłam do Francji, gdy miałam osiem lat, a gdy wyjeżdżaliśmy, miałam ich jedenaście.

Mój ojciec uwielbiał Paryż, ja zresztą również. To było moje okno -

powiedziała, wskazując ręką. - Mieliśmy całe lewe skrzydło do dyspozycji.

Lecz, Stephen, cóż jest takiego dziwnego w tym, że nauczyłam się tu francuskiego?

- Tylko tyle, że mieszkał tu też mój kuzyn, Fitzgerald, pułkownik Fitzgerald, ojciec Kevina, ten sam, z którym mamy się jutro zobaczyć. W sumie jednak nie ma w tym nic dziwnego. Twój ojciec był wojskowym, podobnie jak mój kuzyn, a żołnierze lubią trzymać się razem. To, że jeden z nich zdaje kwaterę drugiemu, jest rzeczą całkiem naturalną.

- Zastanawiam się, czy go kiedykolwiek widziałam? Mojego ojca odwiedzały całe tłumy angielskich oficerów, a każdy z nich zazwyczaj miał na sobie oznaki pułkowe. Swego czasu umiałam rozpoznać wszystkie wyłogi.

- Niewykluczone, że go widziałas. Pułkownik Fitzgerald jest wysokim, szczupłym człowiekiem z jedną ręką i twarzą jeszcze bardziej poznaczoną szramami niż u Jacka Aubreya. To osobliwie długa, pociągła twarz i dzięki niej można by go pewnie pomylić z koniem, gdyby nie utracone ramię. Bez wątplenia jednak nie miał na sobie angielskich oznak pułkowych, ponieważ służył w Brygadzie Irlandzkiej w służbie króla Francji. Był to tak zwany regiment Dillona.

- W istocie, widziałam kilku z nich. Pamiętam ich mundury, ale wszyscy widziani przeze mnie żołnierze mieli oba ramiona. Co się z nim stało?

- Gdy rozwiązano brygadę, Irlandczycy nie chcieli walczyć przeciwko królowi, jak zapewne pamiętasz. Większość z nich udała się wówczas do Koblencji, ale Fitzgerald był już na to zbyt stary i zbyt schorowany. Osiadł więc w Normandii, gdzie wciąż mieszka i hoduje konie. On też przypadnie ci do gustu.

Po rue de Grenelle przejechała ciągnięta przez konie bateria dział.

- Mam nadzieję, że to nie jego zwierzęta - szepnął Stephen do ucha Diany pomimo huku kół. -

Nienawidzi tego krwawego tyrana w tym samym stopniu co ja. Tak, na pewno przypadnie ci do gustu. Bo widzisz, podzieliłem dni twego pobytu w Paryżu bez twojego udziału. Najpierw czeka cię życie w Hotel de La Mothe - a musisz pamiętać, że tam się zawsze dużo dzieje, a Adhemar raz w tygodniu daje koncert. A gdy będziesz już miała dosyć miasta, czekać na ciebie będzie pułkownik pośród swych zielonych pól, nimf i wieśniaków. Jeśli zaś chodzi o sam poród, umówiłem cię już z moim starym przyjacielem nazwiskiem Baudelocque, który bez wątpienia jest najlepszym akuszerem w Europie. Będzie czekał na ciebie, jak tylko się zadomowisz, a zapewniam cię, że w lepsze ręce na pewno nie trafisz. Sam niewiele wiem o porodach i często ogarniają mnie niepotrzebne, nieuzasadnione nerwy.

Dla Diany nie był to przyjemny temat i bijący z jej postaci blask, rozbudzony odzyskaniem wolności, powrotem do Paryża oraz zakupem pięknych strojów, zniknął bezpowrotnie.

- Ciekawy zbieg okoliczności z tym Hotel d'Arpajon, prawda? - spytała.

- Niewiarygodny - rzekł Stephen. - Można zresztą stwierdzić, że całe życie składa się z niewiarygodnych zbiegów okoliczności, jak na przykład ten, że w chwili, gdy oboje będziemy chcieli przejść przez tę właśnie ulicę, nadjedzie kareta zaprzęzona w sześć koni. Zdarzenie wydaje się całkiem nieprawdopodobne, ale mimo to staje się faktem, a owa gładka twarz w oknie powozu to monsieur de TalleyrandPerigord. - Stephen zdjął kapelusz, a człowiek w mijającej ich karecie odwzajemnił ukłon. - Równie mało prawdopodobnym zbiegiem okoliczności jest to, że gdy wejdziemy do domu La Mothe'ów, który znajduje się już niedaleko, o tam na prawo... uważaj na ekskrementy, Dianio!... jakiś kupiec wejdzie akurat do swego biura w Sztokholmie, a Jack Aubrey wsiądzie na swego konia i ruszy w pościg za lisem.

Choć teraz przyszło mi do głowy, że o tej porze roku Jack raczej nie wybierze się polować na niewinne lisy, niemniej zasada pozostaje zasadą. Możesz się sprzeciwić i głosić, że przytłaczająca większość owych zbiegów okoliczności jest praktycznie nieprzewidywalna. Bez wątpienia masz rację, lecz mimo tego istnieją one i pojawiają się bez przerwy, jak choćby ten, że w chwili, gdy uniosę tę kołatkę, jakiś człowiek w Chinach wyda swe ostatnie tchnienie.

Jack w istocie nie miał zamiaru polować na lisy, lecz w rzeczy samej wsiadał właśnie na konia, potężną szarą klacz, należącą do jego ojca. Planował

dojechać na niej do Blandford, skąd powóz miał zabrać go do domu. Generał

Aubrey wyszedł na moment za nim w towarzystwie dwóch mężczyzn z obwisłymi brzuchami i zaczerwienionymi twarzami, inni odprowadzili go pustymi spojrzeniami z sali bilardowej.

- Jeszcze tu jesteś, Jack? - spytał generał. - Musisz teraz pędzić, co koń wyskoczy. Trzymaj się, chłopie, i nie szarp za mocno wodzy, gdy siedzisz na tej klaczy. - Generał nigdy nie miał dobrego zdania na temat umiejętności jeździeckich swego syna. - Dobra, Jones i Brown! - wykrzyknął z zapalem do swoich towarzyszy. - Trzeba nam wracać do pracy! - Nagle przypomniał sobie o manierach, odwrócił się bokiem do Jacka i wykrzyknął nad ramieniem: -

Przekaż wyrazy miłości tej... No, swej żonie i dzieciakom!

Pani Aubrey, macocha Jacka, nie zaszczyliła go swą obecnością w ogóle.

Nim wyszła za generała Aubreya, była zwykłą hożą mleczarką i zaraz po ślubie przysięgła sobie, że skoro awansowała do pozycji prawdziwej damy, nigdy w życiu nie wstanie z łóżka przez południe, jak na damę przystało. Było to jedno z nielicznych postanowień, którego trzymała się wręcz fanatycznie.

Jack odjechał bez oglądania się. W sercu czuł głęboki smutek, lecz bynajmniej nie z powodu zdrowia swego ojca, gdyż starszy pan wyzdrowiał

równie szybko, jak zachorował, a jego wigor nie ucierpiał wcale. Martwił go natomiast osobliwy, chytry, wręcz lisi wyraz twarzy Aubreya seniora oraz jego towarzystwo, na które składali się głównie politycy, udziałowcy z City lub ludzie parający się zarówno polityką, jak i handlem. Nie miał pojęcia, czym się wspólnie zajmowali, ale bez wątpienia chodziło im przede wszystkim o pieniądze, gdyż nie przestawali rozmawiać o zabezpieczeniach rządowych, papierach wartościowych oraz akcjach indyjskich. Jack jednak nie obdarzyłby ich zaufaniem, nawet gdyby sam nie miał wcześniej przykrych doświadczeń z naciągaczami. Woolcombe House nigdy nie słynął z przyzwoitości, zwłaszcza po śmierci pierwszej pani Aubrey, matki Jacka. Wśród najbliższych znajomych generała znalazło się wówczas wielu podejrzanych mężczyzn, którzy żyli gwałtownie, pili ostro i grali o wysokie stawki, tak więc co przezorniejsze matki nie wysyłały tam swych córek na służbę. Jack wszakże nigdy wcześniej nie widział, by na posiadłość wpuszczano typków pokroju Jonesa czy Browna.

Odrzucała go nie tylko polityka radykałów, ale również ludzie, którzy się nią zajmowali - strojni, wrzaskliwi, natrętni faceci, nie mający pojęcia o sprawach kraju. Nigdy by się nie spodziewał, że usłyszy ich poufałe, przemądrzałe rozmowy w rodzinnym domu. Niektórzy z owych polityków głosili, że są zwolennikami humanitaryzmu, lecz nie przeszkadzało im to ostro ćwiczyc swe konie, brutalnie obchodzić się z psami i wulgarnie odnosić do służących. W ich strojach i sposobie mówienia wyczuwał znacznie więcej irytujących go szczegółów, lecz nie potrafił ich nazwać. Wszystko wskazywało jednak na to, że generał wielce skorzystał na połączeniu sił z takim towarzystwem. Od wielu lat nie pożyczał już od niego pieniędzy, a ostatnio przystąpił do przebudowy Woolcombe na wielką skalę, co chyba najbardziej zasmuciło Jacka. Dom, w którym przyszedł na świat, został wzniesiony jakieś dwieście lat temu. Bez wątpienia była to wówczas surowa, imponująca budowla, zbudowane z czerwonej cegły ściany pokryte były licznymi ornamentami, wszędzie widać było wykusze, a nad dachami strzelały wysokie, spiralnie skręcone kominy. Od czasów Jamesa żaden Aubrey nie ośmielił się jednak zerwać ze stylem nawiązującym do Andrei Pallado i wprowadzić jakichkolwiek innowacje do architektury, tak więc miejsce wspaniale stopiło się z otoczeniem. Teraz budowla znów zaczęła się od niego odcinać. Wzniesiono nad nią kilka atrap wieżyczek, a w ścianach pojawiło się kilka nie pasujących okien, zamykanych i otwieranych przez pionowe przesuwanie, jakby na decyzje generała wpłynął

prymitywizm nowych współników. Wewnątrz siedziba rodu prezentowała się jeszcze gorzej. Aubrey senior nakazał bowiem zerwać stare panele, bez wątpienia ciemne i nieprzyjemne, ale znane Jackowi od zawsze, a ich miejsce zajęły tapety oraz lustra z połączanymi ramami. Pokój Jacka zniknął całkowicie, a ocalała jedynie nieużywana, zapomniana biblioteka z dostojnie wyglądającymi szeregami nigdy nie otwieranych książek i majestatycznym, gipsowym sufitem, na którym wykonano

serię rytów. Spędził tam kilka godzin, przyglądając się między innymi pierwszemu folio Szekspira, które w 1623 roku wypożyczył jego przodek o tym samym imieniu, ale nigdy nie przeczytał ani też nie zwrócił.

Nawet biblioteka była już przeklęta. Wyglądało na to, że generał obrał sobie za cel zamienić dom w coś fałszywego: z zewnątrz miał wyglądać antycznie, natomiast w środku prezentować się nowocześnie. Na szczycie wzgórza, skąd zawsze spoglądał na dom po raz ostatni, Woolcombe leżało bowiem w wilgotnej niecce, zwrócone ku północy, przeniósł swe spojrzenie w przeciwnym kierunku, ku Woolhampton.

Nawet tam na próżno było szukać ulgi. Popędził konia w dół zbocza, a gdy wjeżdżał do wsi, zatrzymał się przy szkole prowadzonej przez pewną damę.

Uczęszczał do niej jako mały chłopiec i choć nie zdobył tam wiele wiedzy, nauczył się przynajmniej, czym jest miłość. Prowadząca szkołę dama miała bowiem siostrzenicę do pomocy, dziewczynę ładniutką i żwawą, lecz piegowatą jak kukułcze jajo. Małoletni Jack stracił wówczas dla niej głowę, chodził za nią wszędzie jak szczeniaczek i przynosił jej skradzione owoce. Z czasem to ona przejęła schedę po ciotce i teraz prowadziła szkołę. Jack zastał ją przy drzwiach, otoczoną gromadką uczniów. Była sztucznie uśmiechającą się starą panną z nieudolnie pofarbowanymi włosami, odzianą w skąpą suknię. Jedyne, co się w niej nie zmieniło, to ogromna ilość piegów. Sprawiała wrażenie nieco głupkowatej, lecz zachowała sporo rezolucji i młodego ducha. Spytała o zdrowie generała i dodała, że kapitan Aubrey jest zaiste niegrzecznym chłopcem, skoro nie chce się napić z nią herbaty. Nazwała go też niesfornym łobuzem, lecz oznajmiła, że tym razem mu wybaczy, ponieważ wesółym łobuziakom można wybaczyć wszystko.

Jack znów poczuł ukłucie smutku. Szarpnął prawą ręką za uzdę i obrócił

konia ku rzadko uczęszczanemu duktowi, biegnącemu przy zagrodzie Bulwera, gdzie wyrabiano strzechy, a następnie przez pola ku ścieżkom wiodącym bezpośrednio do Blandford. Oczekiwała go jazda wśród pustych pól i nieskażonych cywilizacją pejzaży, gdzie ujrzyć mógł jedynie znane mu od dziecka lasy, rosnące od zawsze uprawy oraz zające i kuropatwy na skoszonych polach. Nie zwykł długo rozmyślać nad sobą, a poza tym rzadko kiedy miał w życiu czas na takie przemyślenia, lecz przez całą drogę ściagały go smutne myśli o starzeniu się, śmierci i rozkładzie, o niedołęstwie i zmianach na gorsze. Nie opuściły go nawet wtedy, gdy siedział już w powozie i jechał wzdłuż głównej drogi.

„Chyba sam się starzeję” - pomyślał, układając nogi po przekątnej kabiny.

„Nie ma co do tego wątpliwości, bo przy tej dziewczynie w Halifaksie czułem się niezwykle młodo. Oto wyjątek, który potwierdza regułę”.

Nie myślał o niej od dawna i przez dłuższą chwilę nie mógł sobie przypomnieć jej imienia, choć pamiętał ich pięciokrotne wzajemne uniesienie.

Jako człowiek rozsądny musiał potępić swe postępowanie - pójście do łóżka z obcą kobietą było głupim, a najprawdopodobniej również niemoralnym czynem

- ale nie mógł zapomnieć, że zasnął z uśmiechem samozadowolenia, który u każdego innego mężczyzny wydałby mu się odrażający.

Sam uśmiezek oraz najodleglejsze nawet jego wspomnienia bądź

okoliczności, jakie go wywołały, zniknęły na długo przed dotarciem do Ashgrove. Oczekiwało tam na niego mnóstwo listów, lecz kierując się poczuciem obowiązku, najpierw otworzył te, które przyszły z admiralicji.

- Są pełni dobrej woli i piszą do mnie w życzliwym tonie - powiedział do Sophie, gdy zasiedli przy stole. - Lecz nic z tego nie wynika. Pytają czy ze względu na moją ranę, co moim zdaniem również nie ma najmniejszego znaczenia, zgodziłbym się na razie objąć dowództwo „Oriona”.

- A co to takiego?

- Stary liniowiec z siedemdziesięcioma czterema działami, stojący w Plymouth. Nie nadaje się do wyjścia na morze. Mogłbym spać na brzegu i niczym się nie przejmować, a za wszystko otrzymywałbym pełną pensję.

- Trudno sobie wyobrazić coś lepszego - szepnęła

Sophie, lecz jej mąż, głęboko pogrążony w rozmyślaniach, ciągnął:

- Nie potrafiłbym odmówić objęcia dowództwa w czasie wojny i jak dotąd nigdy tego nie zrobiłem. Z pewnością nie zrobiłbym tego również i teraz, gdyby zaproponowano mi czynne dowództwo. Gdyby, na przykład, ofiarowano mi dowództwo ciężkiej fregaty w Ameryce Północnej, skakałbym po pokoju z radości. Na razie jednak uprzejmie odmówię, uniżenie dziękując ich lordowskim mościom za życzliwość wobec mojej osoby i zapewniając, iż z entuzjazmem przyjmę jakikolwiek inny okręt wojenny, choć jak sama wiesz, najprawdopodobniej będzie to liniowiec. Ofiarowanie mi dowództwa nad tym całym „Orionem” to doprawdy niedźwiedzia przysługa... przecież w najbliższym czasie będę bez przerwy kursował między Plymouth i Londynem, by zasięgać porad prawnych Skinnera. Nie. Trzeba w ogóle wykluczyć taką ewentualność, a za jakiś czas rozejrzeć się za jakimś przyzwoitym dowództwem.

Przecież mi go nie odmówią. - Jack zamilkł na chwilę i zastanowił się, po czym dodał: - Nie chcę się użalać nad sobą, Sophie, ale doszedłem do wniosku, że dżentelmeni z admiralicji powinni okazać mi więcej życzliwości. Nie na co dzień przecież zdarza się, że okręt taki jak „Waakzaamheid” zostaje zatopiony przez rozklekotany liniowiec czwartej klasy. Pewnie powiesz, że był to zaledwie jeden szczęśliwy strzał, a resztę roboty wykonało za nas wzburzone morze, ale nawet w tej sytuacji...

- Nigdy niczego takiego nie powiem! - wykrzyknęła Sophie. - Powinni byli mianować cię baronetem albo nawet parem, powinieneś również otrzymać wysokie odznaczenie, podobnie jak drogi sir Michael Seymour. Być może jednak twój czas nadejdzie... admiralicja zawsze działa powoli.

- Cóż, jeśli o to chodzi, to dobrze znasz moje zdanie na temat tytułów.

Zazwyczaj są jedynie ciężarkami na szyi, zwłaszcza tytuły dziedziczne, a człowiek musi być wtedy

dwakroć dostojniejszy od innych, co jest niewykonalne, nie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Można sobie na to pozwolić tylko wtedy, gdy dopisuje szczęście i wszystko się dobrze układa, no, chyba że jest się drugim Nelsonem, Hoodem, St Vincentem lub nawet Keithem.

A tak na marginesie, sądziłem, że być może otrzymam dowództwo oddziału piechoty morskiej. Jedno stanowisko było wolne.

- Kapitan Aubrey dowódcą piechoty morskiej?

- Cóż, otrzymałbym wówczas stopień pułkownika. Byłbym wówczas pułkownikiem Aubreyem. Czyżbym nigdy wcześniej nie opowiadał ci o piechocie morskiej? Promocja na stopień dowódcy piechoty morskiej to wyróżnienie za dzielne czyny. Możliwości awansu są przede mną zamknięte.

Każdy, kto uzyska stopień kapitana mianowanego, znajduje się na liście kandydatów do awansu i nie ma fizycznej możliwości, by wyprzedzić tych, którzy znajdują się przed tobą. Nawet sam król nie mógłby mnie uczynić admirałem przed innymi na liście, ponieważ gdyby to uczynił, połowa jego starszych oficerów zrezygnowałaby ze służby. Skoro więc nie ma możliwości awansu, a tytuł baroneta czy odznaczenie morskie żołądka ci nie napełni, promują cię do stopnia pułkownika Królewskiego Korpusu Piechoty Morskiej i przydzielają pensję pułkownika bez konieczności wypełniania jakichkolwiek obowiązków.

- Lecz czy to aby nie jest korupcja, Jack? Zawsze sprzeciwiałeś się korupcji, gdy byłeś młody, to znaczy, gdy byłeś młodszy...

- Nie zmieniłem zdania. Dla mnie korupcja u innych ludzi to istne przekleństwo, lecz nigdy byś nie uwierzyła, jak nisko byłbym gotów upaść za tysiąc funtów rocznie. Pensja pułkownika jest lepsza niż nic. Policzmy na spokojnie: osiemdziesiąt funtów, pięć szylingów i cztery pensy trzyznaście, gdyż piechota morska również oblicza pensje według miesięcy lunarnych, co daje nam tysiąc czterdzieści trzy funty, trzy szylingi i cztery pensy, czyli od biedy wyżyć się da. Nie, moja droga, to nie korupcja, a zrozumiała i jawna praktyka, swoisty sposób na wynagrodzenie zasług. Nie wydaje mi się jednak, bym się wystarczająco zasłużył, nie jestem też jednym ze starszych oficerów, a moje nazwisko znajduje się zaledwie w połowie listy kapitanów. - Jack zabrał

się za lekturę kolejnych listów i po chwili odezwał się znacznie poważniejszym głosem: - Nie, prawdziwym przekleństwem Royal Navy jest korupcja w dokach i nieczyste zagrania zleceńodawców oraz prywatnych budowniczych okrętów...

O, ten list jest od pana Skinnera, którego polecił mi Stephen. - Przeczytał jego zawartość, kiwając głową z aprobatą po każdym akapicie. - Jestem niezwykle zadowolony ze współpracy z tym człowiekiem - oznajmił. - Doprawdy ma głowę do interesów, a przy tym ma czysty, przenikliwy umysł i niespożytą energię. Przeniósł wojnę na terytorium wroga. Zaatakował tych nikczemnych łajdaków, doprawdy, to mi się podoba. Utrzymuje, że *duces tecum*²⁰

zmusi ich do okazania papierów, które podpisałem, i położy kres wszelkiej niepewności. Poza tym pozwał już jednego z nich. *Duces tecum*, o to właśnie chodziło.

- Co to oznacza? - spytała Sophie.

- Nigdy nie byłem mocny z łaciny - rzekł Jack. - W przeciwieństwie do Philipa Broke'a. Pamiętam jednakże, że dux to „przywódca”, a nawet „admiral”, a liczba mnoga od dux to duces. Możemy w związku z tym przetłumaczyć duces tecum jako „admiralowie są z tobą”. Trudno o lepszy środek w tej sprawie. Pan Skinner to zaiste doskonały fachowiec. - Jack przekazał żonie list od prawnika i przerzucił pozostałe koperty. - O, ten jest od Granta - powiedział nagle, marszcząc brwi.

- Nienawidzę tego człowieka - odezwała się Sophie. Takie uwagi zdarzały jej się bardzo rzadko, wręcz prawie nigdy, lecz Grant, starszawy, zgorzkniały porucznik, służący na „Leopardzie”, opuścił Jacka, gdy nieszczęsny okręt uderzył w górę lodową na południowych morzach i groziło mu rychłe zatonięcie. Grant odplłynął na szalupie, lecz zdołał dotrzeć do Cape Town, skąd dostał się do Anglii na pokładzie okrętu wojennego. Powiadomił wówczas listownie swoich przełożonych oraz samą Sophie, że kapitan Aubrey bez wątplenia zginął na morzu, gdyż jego upór, by pozostać na pokładzie tonącego okrętu, musiał pociągnąć za sobą fatalne konsekwencje.

- Ten człowiek postradał resztki rozumu - oznajmił Jack. - Twierdzi, że rozpuszczam plotki o jego niegodnej postawie. To przecież całkowicie nieprawda, Sophie. Wyraźnie powiedziałem admirałowi Drury'emu, że Grant opuścił pokład „Leoparda” za moją zgodą, a do chwili zderzenia z górą lodową byłem zadowolony z jego służby. Postąpiłem wbrew sobie, mówiąc te słowa, bo ten człowiek nigdy nie przypadł mi do gustu, choć żeglarzem był niezłym.

Sporo mnie to kosztowało, ale złożyłem taki meldunek, gdyż sądziłem, że mu się należy. Teraz jednak nie może znaleźć zatrudnienia, co w sumie mnie nie dziwi. Jego ucieczka z „Leoparda” wywołała sporo komentarzy w całej marynarce. A do tego całą winę próbuje przypisać mnie. Pisze, że mam natychmiast wycofać się ze swych słów i oddać mu sprawiedliwość. Chce, bym przyznał, że wydałem mu rozkaz opuszczenia okrętu, co jest wierutną bzdurą, ponieważ udzieliłem mu jedynie zgody. Jeśli nie spełnię jego żądań, uzna za swój moralny obowiązek odsłonić prawdziwe fakty przed opinią publiczną oraz samą admiralicją. Grozi, iż ujawni okoliczności, takie jak moja niepoczytalność po bitwie z Holendrami czy trzymanie fałszywych ksiąg werbunkowych.

Biedaczysko, obawiam się, iż całkiem pomieszało mu się w głowie. Nie mam zamiaru mu odpisywać, czy można w ogóle ułożyć sensowną odpowiedź na list tego rodzaju? Przecież świadomie nigdy w życiu nie napisałby czegoś takiego!

Może się wcześniej upił? - Z tymi słowami Jack odłożył list na bok i ujął

kolejny: - O, ten jest od Toma Pullingsa, rozpoznaję jego charakter pisma. Tak.

Spotkał się na obiedzie z Mowettem, Babbingtonem oraz młodym Henrym Jamesem. Przesyłają mi gratulacje z okazji szczęśliwego powrotu oraz najlepsze życzenia. Proszą, by ich przypomnieć tobie oraz Stephenowi, i chwalą się, że wzniesli za nas trzy toasty. Życzą nam również więcej... No, z pewnością chcieli w ten sposób okazać uprzejmość, ale trójka to już wystarczająco dużo dzieci...

Pszenicy po sto dwadzieścia sześć szylingów z kwartału - dodał, odwracając stronę. - Nie, pomyliłem się. Życzą nam po prostu więcej zdrowia, szczęścia i pieniędzy jak zboża. To już mi się

bardziej podoba. Kochane chłopaki.

Te chłopaki służyły na pokładach rufowych jednostek Jacka jako midszypmeni i oficerowie, przechodzili wraz z nim z okrętu na okręt za każdym razem, gdy to było możliwe. Jack myślał o nich przez chwilę z uśmiechem, obracając w dłoniach kolejny list. Przez moment zastanawiał się, kto jest jego nadawcą, gdyż nie znał ani charakteru pisma, ani pieczęci i dopiero kilka sekund po otwarciu uświadomił sobie, że jest on adresowany do niego. Nie był to ani błąd, ani głupi dowcip - miał w rękach list od panny Smith. Port w Halifaksie opuszczał pewien statek transportowy i dziewczyna skorzystała z okazji, by przesłać w ten sposób krótki liścik do swego bohatera. Napisała, że poprosiła pewnego ranionego oficera z 43. Pułku Piechoty, by wysłał go natychmiast po dotarciu do ojczyzny, gdyż jej bohater z pewnością nie będzie posiadał się z radości na wieść o tym, że ich upojna noc ma przynieść owoce. Panna Smith wyraziła przekonanie, że będzie to dziewczynka, której postanowiła dać na imię Joanna. Zapewniła, że pomknie prosto w ramiona swego bohatera, jak tylko znajdzie miejsce na statku pocztowym, chyba że chciałby, by wróciła do kraju na pokładzie okrętu wojennego? Krótki liścik do któregoś z jej przyjaciół w bazie północnoamerykańskiej bez trudu by jej to umożliwił. Wyraziła również nadzieję, że pani Aubrey okaże się bardziej wyrozumiała od lady Nelson, a jemu samemu kazała bezzwłocznie zdecydować, czy woli, by przybyła na statku pocztowym, czy na okręcie wojennym.

„Jestem bowiem przekonana, że nie możesz się doczekać chwili, gdy przygarniesz mnie do swej piersi” - pisała. „Zapewne tylko rozkazy powstrzymują cię od tego, byś rzucił wszystko i przybył do mnie na skrzydłach tęsknoty. Doskonale to rozumiem i nie oczekuj zwykłych kobiecych wymówek.

Służba dla króla i ojczyzny jest ważniejsza nawet od Miłości”. List kończyła prośba do jej bohatera o przekazanie mniej więcej pięciuset funtów w ręce Drummonda, gdyż nie może się ruszyć z Halifaksu do chwili spłacenia wszystkich swoich długów, które w międzyczasie bardzo urosły. Było to dla niej ogromnym zaskoczeniem, a przyczyny upatrywała w tym, że zawsze z niechęcią podchodziła do prowadzenia rachunków. Nie chciała prosić o pomoc brata, ale do swego bohatera zwracała się bez cienia wstydu bądź skrupowania, gdyż rozwój wypadków pokazał, jak bardzo do niego należy. Gdyby zamienili się rolami, jakże sama byłaby zachwycona takim dowodem zaufania. „Napisz więc bezzwłocznie” - zakończyła. „Ja zaś co rano będę siadać na nabrzeżu i przepatrywać horyzont niczym Ariadna”.

Stephen Maturin stał w blasku zachodzącego słońca i golił się, przekrzywiając twarz tak, by padały na nią poziome promienie. Jego oblicze było poważne i bledsze niż zwykle. Za jakąś godzinę miał stanąć w sali Instytutu i wygłosić wykład przed wieloma z najbystrzejszych, najbardziej wybitnych umysłów Europy. Jego czarny płaszcz oraz satynowe elementy garderoby, wyszczotkowane i świeżo wyprasowane, leżały tuż obok nieskazitelnie czystej, białej koszuli, fontazja oraz jedwabnych pończoch. Pod krzesłem stały lśniące buty ze srebrnymi kłamrami. Wszystko wskazywało na to, że wieczorem czeka go wielka gala i nie wypadało, by jako zagraniczny gość w Paryżu założył w taki dzień zwykłe pantalone, w których często pojawiał się na spotkaniach Towarzystwa Królewskiego.

- Wejść! - zawołał, słysząc stukanie do drzwi.

- Monsieur Fauvet pyta, czy będzie mu dane spotkać się z doktorem Maturinem - powiedział służący.

- Doktor Maturin wyraża ubolewanie, lecz obawia się, że w chwili obecnej jest to niemożliwe - odparł Stephen, nie przerywając golenia. - Żywi jednak nadzieję, że dozna zaszczytu ujrzenia się z nim na przyjęciu.

Fauvet z pewnością nie był najwybitniejszym literatem w Paryżu, ale na pewno jednym z najpopularniejszych, a już bez wątpienia jednym z najbardziej upartych i niedyskretnych. Już po raz czwarty próbował wykorzystać to, że Dupuytren zachęcił go do złożenia Stephenowi wizyty i poprosić go o przekazanie listu do mieszkającego w Anglii hrabiego de Blacas. Z uwagi na fakt, że hrabia ów był głównym doradcą wygnanego króla Francji, Stephen nie miał żadnych wątpiwości, iż list zawiera zapewnienia o nieustającej lojalności wobec Ludwika XVIII, wyrazy poparcia dla sprawy Burbonów oraz deklaracje nienawiści wobec panującej tyranii. W rzeczy samej, Fauvet zdradził to wszystko podczas ich drugiej rozmowy, a nie był jedynym człowiekiem, który miał podobne zamiary. Przez ostatnie tygodnie Stephen był niejednokrotnie nagabywany przez rozmaitych ludzi, którzy zapewniali go o swych poglądach dotyczących upadku Napoleona i powrotu króla. Większość z nich wykazywała się większą przezornością bądź subtelnością niż Fauvet, niektórzy wysyłali nawet swe żony, które bardziej nadawały się do tego rodzaju misji, lecz Stephen nie chciał mieć z nimi nic do czynienia, bez względu na płeć czy sposób zachowania. Zawsze istniało duże prawdopodobieństwo, że któryś z nich jest agentemprowkatorem, a poza tym nie przybył do Paryża z zadaniem szpiegowskim. Jego misja agenta wywiadu została daleko za nim, na nabrzeżu w Dover. Wysłuchiwał więc Francuzów z uprzejmością i wyrażał ubolewanie z powodu swej całkowitej ignorancji w sprawach polityki. Dodawał, że niestety nie ma żadnych znajomości wśród francuskich emigrantów w Anglii, i zwracał

uwagę swych rozmówców na ciążące na nim zobowiązania - był przecież obcokrajowcem i gościem, przez co jego zachowanie i postawa nie mogły budzić kontrowersji. W istocie, jego postawie nie można było nic zarzucić, choć jego rozmyślania zbaczały czasem ku Ponsichowi, wykonującemu swą misję nad Bałtykiem. Chciwie pochłaniał też „Moniteur”, szukając w nim wieści ze wszystkich stron świata, lecz zachowywał się tak, jak przystało na gościa, który składa wizytę tylko i wyłącznie z powodów naukowych. Przeprowadził trzy sekcje pseudozwapnienia rozciągną dłoniowego w towarzystwie Dupuytrena, odbył długą rozmowę z Corvisartem na temat osłuchiwania i wysłuchał trzech znakomitych koncertów w Hotel de La Mothe. Zrobił wszystko to, co sobie zamierzył, lecz od czasu do czasu toczył raczej ogólne rozważania, co tak naprawdę wszyscy ci ludzie sobą przedstawiali. Miał wrażenie, że najprawdopodobniej niewiele, choć dostrzegł wśród nich kilku niezwykle zdolnych, dobrze poinformowanych osobników. Dochodził też do wniosku, że pomimo cieszących go oznak niepokoju ze strony samych Francuzów sir Joseph Blaine miał niezbitą rację. Imperium otrzymało kilka silnych ciosów, ale mimo tego daleko mu było do upadku, a kolejne miażdżące zwycięstwo Bonapartego lub nawet nieporozumienia wśród sojuszników Anglii doprowadziłyby do ponownego odzyskania przez Francuzów pełni ich potęgi. Uświadomił sobie też, że od obalenia Napoleona dzielą ich tak czy owak ciężkie walki, a zważywszy na wielki talent tyrana do wprowadzania zamętu wśród sojuszników, ostatnia zwłoka mogła się okazać zgubna w skutkach. Nowe armie francuskie powstawały bowiem w ogromnym tempie. Jeśli zaś chodziło o wszystkich tych, którzy nagle odkryli w sobie miłość do Burbonów, Stephen uznawał za całkiem naturalne, że ludzie, którzy przetrwali tak niezwykle zmiany reżymu, chcieli sobie teraz zapewnić furtkę bezpieczeństwa na wypadek najmniejszego nawet ryzyka kolejnego przewrotu.

„Dowiem się czegoś więcej dziś wieczór” - pomyślał, zawiązując fontaź

ze szczególną pieczołowitością. Słyszał jakieś plotki o wielkiej, trzydniowej bitwie na Morawach, a na spotkaniu miało się pojawić bardzo wiele osobistości ze świata nauki. Każdy z nich pełnił również jakąś funkcję społeczną może nawet ważniejszą od tej naukowej, przez co przyciągali do siebie nie tylko ludzi ze świata nauki, a również polityki, sztuki oraz mody. Ich grono idealnie nadawało się, by zbadać puls stolicy.

Stephen włożył płaszcz i sięgnął do kieszeni, by upewnić się, że nadal ma przy sobie notatki, po czym wsunął zielone okulary do etui i ruszył ku drzwiom, próbując zignorować chłód w sercu.

„Muszę mówić zdecydowanie i z pewnością siebie, a przy tym na tyle głośno, by mój głos był słyszalny nawet w ostatnich rzędach” - pomyślał, poprosiwszy portiera o zamówienie dorożki.

- Dorożkę, mój drogi przyjacielu - powtórzył, widząc, że człowiek przygląda mu się z niepewnością.
- I przekaż proszę woźnicy, by zawiózł mnie do Hotel de La Mothe.

- Oczywiście, monsieur - powiedział portier, odzyskując swą zwykłą postawę.

Oczekując na powóz, Stephen przyglądał się wysokiemu zegarowi stojącemu w holu. Posiadał bogato zdobione wahadło, skomplikowany system prętów, który miał zaradzić zmianom temperatury i możliwie najdokładniej wskazywać czas. Zostało go jeszcze wystarczająco dużo, lecz nigdy się jeszcze nie zdarzyło, by Diana była gotowa na umówioną godzinę, tak więc postanowił

zajrzeć do niej odpowiednio wcześniej i poganiać ją co chwila z dołu.

Przybył do hotelu przed czasem, lecz ku swemu zdumieniu zastał Dianę w salonie, całkowicie gotową do wyjścia. Wyglądała wprost uroczo w cienkiej, błękitnej sukni i skrzącym się naszyjniku z brylantów. We włosy również wpięła kilka kamieni, przez co wyglądała na wyższą i szczuplejszą niż kiedykolwiek wcześniej. Nowa francuska moda bardzo podkreślała jej urodę.

- Na mój honor, Dianio! - wykrzyknął. - Wspaniale wyglądasz!

- Ty również, mój drogi! - odpowiedziała, śmiejąc się z całego serca, co ostatnio nie przytrafiało jej się często. Szczera radość sprawiła, że jej twarz wyglądała o wiele bardziej uroczo niż zazwyczaj. - Ty również! Cóż za wspaniałe płaszcz! Jakie wytworne bryczesy! Lecz, Stephen - rzekła, prowadząc go w stronę lustra. - Zerknij no tylko na siebie.

Stephen spojrział w lustro, a jego odbicie odpowiedziało mu ponurym spojrzeniem. Krótko ścięte, rzadkie włosy, porastające niewielką, okrągłą głowę sterczały wszędzie niczym włosie dobrze wysłużonego pędzla.

- Jezusie, Maryjo i Józefie - szepnął do siebie. - Zapomniałem nałożyć perukę. Co ja teraz zrobię?

- Nie martw się - stwierdziła Diana. - Nie masz się czym przejmować.

Peruka będzie tu za parę minut. Mamy jeszcze mnóstwo czasu. - Z tymi słowami pociągnęła za

dzwonek, a gdy pojawił się lokaj, przekazała mu: - Pędź

do hotelu Beauvillier ile sił w nogach. Ten dżentelmen zapomniał swej peruki.

A ty - zwróciła się do Stephena - natychmiast przestań się zamartwiać. Gdy peruka tu dotrze, wciąż będziemy jeszcze mieli pół godziny w zapasie. Usiądź tu lepiej i wygłoś jeszcze parę pochwał pod adresem mojej sukni.

Ucałowała go z czułością niczym siostra. Stephen był nadal wzburzony, lecz gdy siadał na sofie stylizowanej na egipską, naszło go identyczne skojarzenie.

„Moja siostra i moja małżonka” - pomyślał. „Dobry Boże...”.

- Bardzo się obawiałam, że nie skończą jej na czas - ciągnęła Diana, paradowując przed nim i pokazując mu suknię ze wszystkich stron. - Na szczęście dostarczono mi ją niecałą godzinę temu. La Mothe był nią oczarowany, ten człowiek zresztą doskonale zna się na kobiecej modzie. Nakłonił mnie jednak do skrócenia naszyjnika, przez co największy kamień znajdzie się dokładnie tutaj. -

Z tymi słowami wskazała swój prawie nagi biust oraz Błękitnego Piotrusia, opromieniającego zwiewną tkaninę sukni oraz ściany ciemnego salonu. -

Postąpiłam zgodnie z jego radą i wpięłam pozostałe brylanty we włosy, co bardzo mi się zresztą spodobało. Ufam mu bezgranicznie w tych sprawach.

Nigdy dotąd nie spotkałam człowieka, który miałby lepsze oko do mody. A moją suknię był wprost oczarowany.

- Mnie również odebrało dech. Ogólne wrażenie jest doskonałe.

Wyglądasz wręcz eterycznie, niczym unosząca się ku niebu smużka błękitnego dymu.

- Zdecydowałam, że powinnam uczcić twój wielki dzień, robiąc się na bóstwo. Poza tym muszę wykorzystać to, że jeszcze mogę wyglądać eterycznie lub względnie eterycznie. Już wkrótce stracę tę szansę na bardzo, bardzo długo.

Wspomnienie ciąży przyćmiło jej radość i spochmurniała, lecz zerknęła na swój wielki klejnot i jej twarz znów się rozjaśniła. Patrzyła nań z nieświadomym, naiwnym zachwytem, który Stephenowi wydał się szczególnie wzruszający.

- Wygląda mi na to, że jesteś szczególnie przywiązana do tych brylantów, Dianko - rzekł ciepło.

- Tak, szczerze je kocham - odparła. - Zwłaszcza Błękitnego Piotrusia.

Naraz odpięła ów wielki klejnot i włożyła mu go do dłoni. Stephen przyjrzał mu się uważnie - był osobiście ciężki i przy najmniejszym poruszeniu rozsypał naokoło niezliczone błyski.

- Nie dbam o to, skąd je mam - ciągnęła, unosząc podbródek. - Kocham je wielką miłością. Nic na

świecie nie zmusi mnie do ich oddania i chcę zostać z nimi pochowana. Będziesz o tym pamiętał, Stephen? Jeśli tej jesieni coś pójdzie nie tak, mają być złożone w mojej trumnie. Mogę na tobie polegać?

- Oczywiście.

- Lubię też moje perły - odezwała się po chwili. - Pamiętasz te perły, które otrzymałam od gubernatora Indii? Z nimi jednak sprawa wygląda inaczej.

Musiałam sprzedać kilka z nich, by mieć na zapłatę dla krawca i nawet mnie serce mocniej nie zabolowało. La Mothe zabrał mnie do Charon, gdzie otrzymałam za nie całkiem godziwą sumkę. Wychodzi dzisiaj z Clermontami, a potem wszyscy mamy tu wrócić na kolację. Och, a jak podobały im się te luźne rubiny, które ci pokazywałam! Mam na myśli te, co przypominają wielkie krople krwi, te, na których nigdy mi specjalnie nie zależało. Byłam wprost zaskoczona...

Stephen nie słuchał już jej słów, a jego uwaga skupiła się na zegarze.

Usłyszał kroki spieszącego się lokaja na długo, nim pojawiła się peruka. Nałożył ją błyskawicznie, wsunął druciki okularów pod loki, opadające na uszy, i oznajmił:

- Musimy się pospieszyć.

- Przecież wciąż mamy mnóstwo czasu - powiedziała Diana. - Ten zegar spieszy się o pół godziny. Nic nam nie przyjdzie z tego, że pojawimy się tam wcześniej. Usiądź jeszcze, Stephen. Na Boga, ależ okulary z błękitnymi szkiełkami zmieniają ci twarz. Nigdy bym cię w nich nie poznała.

- One są zielone.

- Obojętnie, zielone czy błękitne, zdejmij je natychmiast. Niepokoję się, gdy masz je na sobie. Mam wówczas wrażenie, że jesteś kimś dla mnie obcym.

- Nigdy w życiu - odparł Stephen. - Gdy już je założę i porządnie zamocuję druciki pod peruką, nie jestem w stanie ich ściągnąć bez zaburzenia symetrii peruki.

- Ale dlaczego je w ogóle zakładasz? Wyglądasz w nich okropnie staro, a nawet bardzo zwyczajnie, mój drogi. Przecież widzisz doskonale również bez nich.

- Nie zawsze. Widzę kiepsko na przykład wtedy, gdy muszę czytać notatki w świetle mocnej lampy. Głównym powodem, dla którego je noszę, jest jednak to, że jestem nerwowym człowiekiem, a one dodają mi pewności siebie.

- Ty nerwowy, Stephen? - wykrzyknęła. - Nigdy bym nie pomyślała, że to w ogóle możliwe. Choć teraz uświadomiłam sobie, że siedzisz już nie wiadomo jak długo na skraju krzesła i wpatrujesz się w zegar jak skazaniec czekający na wykonanie wyroku. Doprawdy, przestań się wygłupiać. Jesteś przecież wybitnym człowiekiem i każdy twierdzi, że masz wielki umysł, co ja zresztą wiem od zawsze. Chodź i wypij małą szklaneczkę brandy, to cię na pewno uspokoi. Zresztą wypijmy oboje po

szklaneczce.

- Droga Diano, jesteś dla mnie bardzo miła, lecz prawda wygląda tak, że nie jestem przyzwyczajony do wygłaszania przemówień przed tak wielkim audytorium. Na Boga, jakże wybitnym audytorium! Będą tam Cuvierowie, Argenson, SaintHilaire... No, mam nadzieję, że przyjdą!

- Bez wątpienia. La Mothe powiedział mi, że będzie tam nawet sam kardynał.

- Och, kardynał - rzekł Stephen.

- Sądziłam, że się ucieszysz. Kardynałowie stoją za ledwie szczebel niżej od papieży, a ty przecież jesteś katolikiem, mój drogi.

- Na tym świecie są kardynałowie i kardynałowie, Diano. Nawet niektórzy papieże nie świecili przykładem, czego przecież należało by się po nich spodziewać. Dziękuję jednak, że mi o tym powiedziałaś. W rozpoczęciu dodam więc „Wasza Eminencjo”. Kardynał jest co prawda spokrewniony z podłymi Bonapartymi, ale z tego co wiem, ma raczej złe układy z tym łajdakiem u władzy, a tak czy owak jest wysokim dostojnikiem Kościoła. Chodź, Diano, musimy już iść.

Wielka sala była pełna ludzi. Stephen nie spodziewał się, że jego wykład przyciągnie aż takie tłumy. Wszędzie słyszał pełne ekscytacji rozmowy na temat wielkiego starcia na Morawach lub może w Czechach. Jedni twierdzili, że rosyjskie prawe skrzydło zostało całkowicie zniszczone, inni utrzymywali, że Prusacy wycofali się na południe od Lipska, a korpus Vandamme'a poniósł

ciężkie straty. Byli też i tacy, którzy się sprzeciwiali, twierdząc, że Vandamme znajdował się w odległości ledwie dnia marszu, a Prusacy utrzymali swoje pozycje. Kłócono się również co do osoby samego cesarza - część rozmówców utrzymywała, że nie było go na polu bitwy, inni twierdzili, że owszem, jak zwykle dowodził armią. Wrzawa ucichła, gdy dożywotnio wybrany sekretarz poprowadził go w kierunku mównicy. Stephen zajął swe miejsce, rozłożył

notatki przy karafce z wodą, wziął głęboki oddech i rozejrzał się po zgromadzonych, zamarłych w pełnej oczekiwania ciszy.

- Wasza Eminencjo... - zaczął głosem tak donośnym i agresywnym, że odbite od ścian echo całkiem go przeraziło. Raz wytrącony z równowagi, przez resztę wykładu mamrotał już cicho pod nosem. Wszyscy zainteresowani tematem *Pezophaps solitaria* stłoczyli się z przodu, nadstawiając pilnie ucha, a pozostali słuchacze, których było około pięciuset, stopniowo powracali do swych rozmów. Z początku jedynie szeptali, lecz wkrótce dyskusje stały się całkiem głośnie, co było bolesnym przeżyciem dla przyjaciół Stephena, początek wykładu był bowiem fatalny, ale i tak lepszy od dalszego ciągu. Nie ulegało wątpiwości, iż Maturin nie widzi ani nawet nie słyszy swego audytorium, gdyż od samego niefortunnego początku stał pochylony i nie uniósł nawet głowy znad notatek. Od czasu do czasu wykonywał jakiś chaotyczny, kataleptyczny gest ręką, a serce Diany zamierało ze strachu, że strąci karafkę z wodą. W pewnym momencie odwrócił dwie strony zamiast jednej i jego spostrzeżenia na temat dodo nagle zaczęły odnosić się do wombatów z Nowej Holandii. Gdy przeszedł

do tematu Ratitae, na sali pojawił się pewien oficer i na czubkach palców zbliżył

się do ministra policji, by wyszeptać mu coś do ucha. Minister natychmiast opuścił salę, również starając się nie wzbudzić niczyjej uwagi, ale zauważono, że na jego fałszywej, podstępnej twarzy maluje się szeroki uśmiech. Rozmowy przybrały na sile, a Stephen brnął dalej, zawzięcie odczytując jedną ciasno zapisaną stronę po drugiej. Omówił już anastomozę aorty szyjnej gatunku *Didus ineptus*²¹ i wreszcie mógł przejść do kwestii swych ukochanych drontów:

- Chciałbym, byśmy dla porównania przeanalizowali organ rozrodczy kruka - rzekł, unosząc okulary i po raz pierwszy spoglądając na audytorium.

Jego spojrzenie padło na madame d'Uzes, siedzącą w pierwszym rzędzie, która naraz wychyliła się do przodu.

- Co to takiego ten organ rozrodczy? - zapytała donośnym głosem osoby głuchej. Jej sąsiad udzielił krótkiej odpowiedzi. - Doprawdy? Jak u ogiera? -

zdziwiła się dama. - Nie miałam pojęcia! Cóż, tym lepiej!

Ostatnie stwierdzenie skwitowała wybuchem radosnego śmiechu.

Stephen powtórzył, nie spuszczając z niej wzroku:

- Chciałbym, byśmy dla porównania przeanalizowali organ rozrodczy kruka.

Madame d'Uzes opuściła wzrok i złożyła dłonie na kolanie, a Stephen powrócił do notatek, by omówić długość organu. Mówił teraz mocniejszym, pewniejszym głosem, rytmicznie wymachując zmumifikowanym okazem owego kruczego penisa.

Asystenci ministra, którzy pozostali w sali, stali za pustym krzesłem swego zwierzchnika, pogrążeni w cichej rozmowie.

- Jeśli ten człowiek ma cokolwiek wspólnego z wywiadem - rzekł jeden z nich - to ja jestem papieżem.

- To była jedynie niesprecyzowana plotka - powiedział drugi.

- Wojskowi widzą szpiegów dosłownie wszędzie. Sprawdziłem go, rzecz jasna, ale ani Fauvet, ani madame Dangeau niczego zeń nie wydobyli. Fauvet twierdzi, że to zwyczajny filozof naturalny, który nie ma pojęcia o polityce, w ogóle się nią nie przejmuje i dba tylko o to, by przestrzegać prawa. Madame Dangeau z kolei jest przekonana, że to pederasta i sądzę, że ma rację. Przyjaźni się z La Mothe'em.

- A co go łączy z tą kobietą, siedzącą obok La Mothe'a? Tą przystrojoną we wspaniałe brylanty? Przyszli tu razem, ale przecież nie ma mowy o jakimkolwiek związku między takim dziwakiem a taką pięknością!

- To jej lekarz. Jej pokojówka doniosła, że bada ją regularnie, ale zachowuje przy tym przyzwoitość i wygląda na nieporuszonego jej nagością.

Bez wątpienia to pederasta. Żeby nie ruszała go taka kobieta?

- Nieszczęsny typ. Wreszcie kończy.

- Doprawdy żalosne wystąpienie.

Być może wystąpienie w istocie nie wzbudzało zachwytu, lecz jeśli chodziło o zagranicznych gości, ich poziom oratorski był nierzadko odwrotnie proporcjonalny do naukowej wartości wykładu. Goście nie mający styczności z pracą na uniwersytetach często bełkotali bądź mamrotali, a dożywno wybierany sekretarz oraz uczeni, którzy przybyli celem wysłuchania doktora Maturina, a nie krążących po mieście plotek, byli już świadkami znacznie gorszych wykładów. Maturin nie ciskał swymi notatkami, okazami i eksponatami o ziemię, nie przerwał wykładu w połowie z wyrazem udręki na twarzy jak uczoney Schmidt z Getyngi ani nie zemdlał jak Izibicki, a siedzący w pierwszych rzędach dowiedzieli się bardzo dużo na temat wymarłych gatunków awifauny na Maskarenach. Ich szczere gratulacje, mocna kawa oraz świadomość, że ciężka próba wreszcie dobiegła końca, pomogły mu dojść do siebie. Diana, La Mothe oraz pozostali przyjaciele zapewnili go, że wypadł

wspaniale i słyszeli każde słowo, wymienili kilka razy nazwę dodo, a raz czy dwa usłyszał nawet Pezophaps solitaria.

- Do mistrzostwa brakowało mi doprawdy wiele - powiedział z nieśmiałym uśmiechem. - Żaden ze mnie Demostenes. Dałem jednak z siebie wszystko, na co było mnie stać, i pochlebiam sobie, że wiedza na temat systemu rozrodczego i trawiennego dronta opiera się teraz na solidniejszych podstawach.

Strojne tłumy opuszczały już salę, zostawiając ją uczonym. Wielu z nich podeszło do Stephena, chcąc się przypomnieć z przeszłości bądź zawrzeć z nim znajomość, on zaś przekazywał pozdrowienia od wspólnych kolegów w Anglii.

Obiecywał również, że nie zapomni pozdrowić ich wszystkich po powrocie do ojczyzny, gdyż w tej akurat kwestii nie wahał się podjąć roli posłańca. George Cuvier przekazał mu egzemplarz *Ossements fossiles*²² własnego autorstwa dla zacnego sir Blaine'a, podobnie uczynił Latreille, lecz jego prezent - okaz pszczoły w grudce bursztynu - był bardziej stosowny. Szczególnych względów doczekał się od Larreya, lekarza samego cesarza. GayLussac poprosił go o zabranie jakichś dziwacznych piryków dla sir Humphreya Davy'ego, a jakiś inny chemik podarował mu fiołki, których przeznaczenia nie zdołał zapamiętać.

Kieszenie jego eleganckiego płaszcza były wkrótce pełne prezentów dla członków Towarzystwa Królewskiego.

Na sali byli również obecni uczeni z zagranicy i tak oto Stephen dostąpił

zaszczytu poznania Benckendorffa, Pobsta oraz Ceruttiego. Wielu z nich zajmowało się naukami przyrodniczymi, lecz w ich gronie znajdowało się również kilku matematyków, historyków i filologów. Stephen wypatrzył wśród nich czarną brodę Schlendriana, wybitnego erudyty i największego znawcy języków romańskich wśród badaczy niemieckich. Schlendrian trzymał się nieco na uboczu, trzymając w dłoni szklankę fundowanej przez Instytut lemoniady.

Wyglądał na zamyślonego i osobliwie przygnębionego.

W końcu ich spojrzenia spotkały się. Obaj uczeni ukłonili się sobie, a Stephen opuścił grupę naukowców, toczących specjalistyczną dysputę na temat chloru, i podszedł do niego. Wymienili serdeczne pozdrowienia, lecz po pierwszych gratulacjach i pytaniach na twarzy Schlendriana znów pojawił się smutek. Po chwili milczenia spojrzał z wahaniem na Stephena i spytał:

- Zapewne słyszał już pan wieści, jak sędzę?

- O tej rzekomo stoczonej bitwie?

- Nie. O Ponsichu.

- A cóż mu się przytrafiło?

- Nie chcę o tym opowiadać w dniu pańskiego tryumfu.

- Niechże mnie pan nie dręczy, Schlendrian. Wie pan przecież, że wielce go cenię.

- Ja również go cenilem - rzekł Niemiec, a w jego oczach pojawiły się łzy.

- Nie żyje.

Stephen odprowadził niemieckiego filologa w puste miejsce przy drzwiach.

- Skąd pan to wie? - spytał cicho. - Jak do tego doszło?

- Graaf doniósł mi o tym w liście, napisanym z Lejdy. Wygląda na to, że Ponsich dotarł do Szwecji lub gdzieś na wybrzeża Bałtyku, lecz statek, na którym podróżował, uległ katastrofie. Morze wyrzuciło wiele ciał na brzegi Pomorza. Jedno z nich należało do Ponsicha. Rozpoznał go były uczeń. Och, panie Maturin... Cóż to za strata dla katalońskiej literatury!

- Posłuchaj, moja droga - rzekł Stephen do Diany, wyciągnąwszy ją z sali koncertowej w Hotel de La Mothe. - Będę zbierał się do drogi powrotnej.

Zdrzemnę się, a jutro muszę wyruszyć do Calais. Adhemarowi już się wytłumaczyłem.

- Już wyjeżdżasz, Stephen? - zawołała dziewczyna, a wesołość opuściła ją w jednej chwili. - Już wracasz do Anglii? Myślałam, że zostaniesz tu przynajmniej do końca miesiąca!

- Nie. Zrobiłem to, co do mnie należało i muszę wracać, ale nim wyruszę w drogę, chciałbym przekazać ci kilka spraw. - Spojrzała na niego z troską. Miał

zaciętą poważną twarz, która stanowiła osobliwy kontrast z rozbawieniem, panującym w pokoju, który właśnie opuścili.

- Słuchaj - powtórzył. - Moi przyjaciele będą przekazywać mi wieści o tobie, ja zaś będę cię od czasu do czasu odwiedzał przy okazji różnego rodzaju spotkań. Jeśli chodzi o kwestie medyczne, jesteś pod opieką najlepszego specjalisty. Słuchaj się we wszystkim Baudelocque'a, moja droga, i wypełniaj jego zalecenia co do joty.

Ciąża to bowiem bardzo wrażliwy stan. Komplikacje natury formalnej są niemal wykluczone, gdyż twoje dokumenty są ważne, a z prawnego punktu widzenia jesteś obywatelką sojuszniczego kraju. Niemniej, gdyby takowe się pojawiły, obojętnie czy w Paryżu, czy Normandii, oto adres mego dobrego, godnego zaufania przyjaciela. Naucz się go na pamięć, Dianó, rozumiesz mnie?

Naucz się go na pamięć i spal ten świstek papieru. I słuchaj, gdyby przesłuchiowano cię na mój temat, masz powiedzieć, że jesteśmy starymi przyjaciółmi i nic ponadto. Dodaj, że służę ci radą jako lekarz i nie łączy nas nic, kompletnie nic. - Oczy Diany błysnęły gniewem dotkliwie urażonej kobiety.

Widząc to, Stephen ujął jej dłoń i dodał: - Masz kłamać, moja droga. Masz powiedzieć straszliwe kłamstwo.

Gniew w jej oczach złagodniał.

- Powiem tak, Stephen - odparła, próbując się zmusić do uśmiechu. - Ale nie wiem, czy uda mi się wypaść przekonująco.

Stała przed nim wyprostowana, z wysoko uniesioną głową. Stephen przyjrzał się jej raz jeszcze i nagle serce ścisnęło mu wzruszenie, jakiego nie czuł od bardzo dawna.

- Niech ci Bóg błogosławi, moja droga. Wyjeżdżam.

- I tobie też - odpowiedziała, całując go. - Przekaż serdeczne pozdrowienia Jackowi i Sophie. I jeszcze jedno. Stephen, zaklinam cię, uważaj na siebie.

Przez jakiś czas, który jemu samemu wydał się wiecznością, Jack Aubrey osobiście przywoził pocztę do Ashgrove, obawiał się bowiem wykrycia. Ale oprócz codziennej poczty napływał do niego istny strumień listów z Halifaksu, dostarczanych przez życzliwych oficerów powracających okrętów wojennych, transportowców czy statków handlowych, a wszystkie one mówiły o rychłym powrocie, przez co Jacka nie przestawał dręczyć wielki lęk.

Nigdy nie był uosobieniem skromności i wstrzemięźliwości, lecz jego dotychczasowe romanse były miłymi, wesołymi incydentami i żaden nie zakończył się poważnymi przysięgami bądź zapewnieniami o miłości. Zaznawał

przygód z kobietami, które cechowało to samo podejście, co jego - nigdy nie zdobywały się na wielkie uwodzenie, nie mówiąc już o szalonej burzy uczuć. Co do jednego owe związki należało określić jako nieskomplikowane, przelotne historie, niemal tak mało uchwytnie jak sny i równie nierzeczywiste. Teraz jednak wydarzyło się coś całkowicie innego.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Jack brzydził się podchodami i wybiegami, które musiał stosować, a przez cały czas prześladowała go przerażająca wizja prawdopodobnego, całkiem możliwego przybycia hałaśliwej, rozhisteryzowanej, przepełnionej niezdrowym entuzjazmem panny Smith. Najbardziej jednak ubolewał nad tym, że w stosunkach między nim a Sophie zaszły spore zmiany. Nie umiał już rozmawiać z nią ze swą wrodzoną, bezgraniczną szczerością, a wszystkie jego oszustwa oraz drobne, nikczemne kłamstwa oddalały ich od siebie coraz bardziej. Czuł się więc niezwykle samotny i wręcz opuszczony. Nie potrafił dobrze kłamać, wychodziło mu to niezręcznie, a sama świadomość, że okłamuje żonę, przepełniała go gniewem.

Często wracał myślą do Stephena Maturina. Wiedział wystarczająco wiele o tajemnej działalności swego przyjaciela, by zrozumieć, że on również wiódł

samotne życie w izolacji od bliskich, bez przerwy zmuszony oglądać się za siebie i pozbawiony możliwości okazywania szczerości. Współczuł mu ogromnie, lecz wkrótce doszedł do wniosku, że samotność Stephena wynikała ze szlachetnych pobudek. Jego działalność była rozciągniętym w czasie fortem wojennym i z pewnością nie czuł do siebie z tego powodu odrazy.

Trzy ostatnie listy panny Smith przybyły razem. Jack schronił się więc w jednym z pustych, ceglanych budynków przy swej nieszczęsnej kopalni ołowiu, skrytej głęboko w zbezczeszczonych, porzuconych lasach, i pogrążył się w lekturze jej kolejnych wynurzeń, gdy przez drzwi wpadł czyjś cień. Jack błyskawicznie wepchnął list do kieszeni i odwrócił się na pięcie z surowym wyrazem twarzy, który natychmiast zastąpiła żywa radość.

- To ty, Stephen? - wykrzyknął. - Właśnie o tobie myślałem, ledwie pięć minut temu. Jak się miewasz? Jak tu trafiłeś? Nie spodziewaliśmy się, że odwiedzisz nas przed upływem tych dwóch tygodni.

- Sophie powiedziała mi, że mogę cię tu znaleźć - rzekł Stephen. -

Wpadłem do was w drodze do Londynu i posiedziałem chwilę w jej towarzystwie. Martwi się o two zdrowie. W istocie, twoja cera nabrała paskudnego koloru. Chciałbym obejrzeć twoje ramię.

- Wiedziała, że tu jestem? - spytał Jack. Radość opuściła go w jednej chwili.

- Cóż, bracie, jeszcze by ktoś pomyślał, że zabawiasz się z miejscowymi nimfami w tej budzącej grozę altance - zażartował Stephen. - Mało kiedy widywałem u ciebie tyle poczucia winy i konsternacji naraz.

- Ależ skąd! - wykrzyknął Jack. - Co ty mówisz? Skądże znowu! - I jął

wypytywać Stephena o podróż, o Dianę, o wrażenia z Paryża, a na końcu poprosił: - Pójdziemy razem do domu? Właśnie tam szedłem z odebraną pocztą.

Mam nadzieję, że zatrzymasz się u nas na noc. Będzie nam miło zaprosić cię do naszych pogaduszek i pomuzykujemy sobie trochę.

- Wybacz mi, ale ogromnie się spieszę. Mój powóz czeka przy drzwiach i jeszcze dziś wieczorem chcę być w mieście. Przerwałem podróż, by się z tobą zobaczyć... Właściwie tylko po to zboczyłem do Portsmouth. Chciałem po prostu wiedzieć, jak stoją sprawy.

- Cóż, sytuacja przedstawia się kiepsko. Woda w zęzie sięga mi aż po szyję. Wciąż zmagam się z tymi przekłętymi kwestiami prawnymi, choć pan Skinner w istocie jest wielką pomocą i jestem ci wdzięczny, że mi go poleciałeś.

Co więcej, admiralicja wcale się nie kwapi z zapłatą za zatopienie

„Waakzaamheid” i jest jeszcze parę innych spraw.

- Bardzo mi przykro z tego powodu. Tak naprawdę to jednak chciałem się dowiedzieć, jak stoją sprawy w kwestii następnego okrętu. Gdy cię ostatni raz widziałem, wyrażałeś niewzruszoną wolę ruszenia na morze.

- Nie mam żadnego przydziału. Uprzejmie zaproponowano mi objęcie

„Oriona”, co oznaczałoby pobieranie pełnej pensji i przebywanie przez połowę czasu na lądzie, ale odmówiłem, a w tej sytuacji nie mogę od razu poprosić o kolejny okręt. Jeśli wydarzenia przybiorą zły obrót, poszukam jakiegoś przydziału we flocie innego państwa.

- Dokładnie to chciałem usłyszeć. Być może uda nam się połączyć siły.

Istnieje szansa, że wyruszę z misją na morza północne. To nic pewnego, ale jeśli otrzymam to zadanie, wolałbym udać się tam z tobą aniżeli z kimkolwiek innym. Dobrze się znamy i wiem, że nie będę musiał bawić się przed tobą w nużące mistyfikacje, wiem też, że jesteś niezwykle dyskretnym człowiekiem. To dlatego właśnie postanowiłem złożyć ci tę wizytę. Chciałem zbadać grunt i

dowiedzieć się, co wolno mi zasugerować w Londynie. Czy mogę założyć, że nie będziesz miał nic przeciwko wyruszeniu wraz ze mną, jeśli misja dojdzie do skutku?

- Byłbym uszczęśliwiony, Stephen. Nawet bardzo uszczęśliwiony.

- Muszę cię ostrzec, że zadanie zapowiada się na dość ryzykowne, pominąwszy oczywiście niebezpieczeństwa, które niosą ze sobą żywioły.

Słyszałeś już o tragicznym losie, jaki spotkał „Daphne”?

- Pewnie, wszyscy o tym wiedzą. Nie napisali o tym w żadnej znanej mi gazecie, ale mówi o tym każdy, kto wraca z Bałtyku.

- A co takiego mówią? Nie znam szczegółów.

- Szczegóły bywają różne, ale wszystkie opowieści, które słyszałem, zgadzają się co do tego, że dowódca „Daphne” postanowił podejść za blisko wyspy Groper.

- A nie Grimsholm?

- To jedno i to samo. My nazywamy ją Groper. W marynarce mamy zresztą wiele własnych nazw geograficznych, takich jak Hogland, Belt, Sleeve, Passages czy Groyne. Wygląda na to, że dowódca „Daphne” podszedł za blisko wyspy, najprawdopodobniej podczas spokojnej, bezwietrznej pogody, a wtedy okręt pochwycił częsty na tych akwenach prąd w stronę brzegu. Zorientowano się dopiero, gdy od brzegu dzieliła ich jedynie odległość strzału z działa.

„Daphne” nie należał do ciężkich jednostek i z pewnością wyholowano by go na otwarte morze na szalupach, lecz w międzyczasie odezwały się baterie nabrzeżne. To ich ogień doprowadził do zatopienia okrętu. Twierdza na Groper ma przecież wysoko rozmieszczone działa czterdziestodwufuntowe, a także kilka pieców do dyspozycji. Z dala widywaliśmy bijący od nich poblask.

Niewykluczone więc, że posłali rozgrzaną do czerwoności kulę prosto w prochownię słupu, co rozsadziło go na strzepy. Nie słyszałem bowiem, by z okrętu cokolwiek pozostało, nie ocaleli też żadni rozbitkowie. Mamy jedynie opowieści rybaków.

- Tak, tak to chyba musiało wyglądać. Cóż, ta sama wyspa Grimsholm będzie celem naszej wyprawy.

Jack aż gwizdnął.

- Cholernie niewdzięczny cel - stwierdził. - Same płycizny, paskudne, wąskie kanały, a na miejscu tak potężna artyleria! Wygląda mi to na mały Gibraltar, choć małą bym tej twierdzy nie nazwał. Rozmieścili swe baterie wysoko na skałach i mają w zasięgu niezły szmat morza. Jeśli te działa mają dobrą obsadę, bez trudu stawiałyby czoło całej flocie. Salwy burtowe nic nie wskórają przeciwko baterii umiejętnie rozmieszczonej na wzgórzu i obsadzonej przez wytrawnych artylerzystów, którzy mają piece do dyspozycji. Pewnie słyszałeś o problemach z wieżą Mortella.

- Nie.

- Ależ oczywiście, że tak. Chodzi o wieżę na Korsyce, zwaną Mortella lub Martello, jak mówią inni. To okrągła wieża, której kopie stoją wszędzie wzdłuż naszego wybrzeża. Uzbrojono ją w ledwie dwie osiemnastofuntówki i jedną sześciofuntówkę, a jej załogę stanowiło trzydziestu dwóch ludzi pod dowództwem młodego chorążego. Podczas kampanii w 1793 lub 1794 roku lord Hood skierował przeciwko niej „Juno” i „Fortitude”, armia wysadziła też desant liczący tysiąc czterystu żołnierzy. Okręty bombardowały ową wieżę przez ponad dwie godziny, a po zakończeniu wymiany ognia „Fortitude” był podziurawiony jak rzeszoto. Sześćdziesięciu dwóch marynarzy z jego załogi zginęło bądź

zostało rannych, kanonierzy z wieży zniszczyli również trzy działa i ciężko uszkodzili grotmaszt. Pozostałym masztom też się oberwało. Rozgrzane kule wzniciły pożar i okręt musiał zostać odholowany, szczęśliwie unikając wejścia na mieliznę. Skoro więc jedna wieża Martello jest w stanie powstrzymać i pokieroszować dwa okręty wojenne, jednocześnie odpierając ataki tysiąca czterystu żołnierzy, pomyśl tylko, do czego zdolna jest twierdza Grimsholm, o wiele wyższa, pięćdziesiąt razy silniejsza i nie musząca obawiać się desantu.

Nie należy się spodziewać łatwej przeprawy.

- Nie przypuszczam, by w ogóle rozważano próby zdobycia tego miejsca siłą. Istnieją inne metody, bardziej subtelne i jak sądzę bezkrwawe - rzekł

Stephen. - Tak czy owak, od nich właśnie trzeba rozpocząć. Uświadomiłem sobie jednak, że przecież jesteś głową rodziny i człowiekiem z rosnącymi obowiązkami, a moja misja bardziej pasowałaby dla kawalera bez zobowiązań.

Doskonale rozumiem twoje wahanie.

- Jeśli insynuujesz, że się nie nadaję... - zaczął Jack. - Sądzę jednak, że chciałeś sobie po prostu zażartować, a ja nie zrozumiałem twoich intencji. Jakoś ostatnio kiepsko ze mną. - Przez moment szli w milczeniu pod koronami drzew, aż Jack odezwał się ponownie: - Ty właśnie jesteś w drodze do miasta, a ja muszę się pojutrze stawić w Whitehall w sprawie „Waakzaamheid”. Pozwól więc, bym zabrał się z tobą. Chciałbym chociaż przez jakiś czas побыć w twoim towarzystwie. Weźmiemy do powozu trochę przekąsek, a potem zatrzymamy się w „Grapes”. W ten oto sposób upieczemy trzy pieczenie na jednym ogniu. -

Okazało się też, że Stephen miał szczęśliwą rękę, wybierając powóz. Wioząca ich karetka była bowiem niezwykle cicha, a ponadto miała dobre resory i gdy pędziła drogą pośród ciemności, obaj przyjaciele mogli bez przeszkód pograżyć się w rozmowie. Owo zamknięte, obojętne na upływ czasu pomieszczenie, mknące przez odległy, niewidoczny świat, było wręcz stworzone do niczym nie ograniczonej, szczerzej rozmowy.

- Mam ogromną nadzieję, że twój plan się powiedzie, Stephen - rzekł

Jack. - Mam szczególne powody, by chcieć znaleźć się z dala od kraju. Może inaczej to ujmę...

Bardzo bym chciał, by rozkazano mi go opuścić.

Stephen zastanowił się na moment nad słowami przyjaciela. Dawniej, gdy Jack był o wiele młodszy i uboższy, często chciał opuścić kraj ze strachu przed wierzycielami bądź zesłaniem do więzienia za długi, lecz teraz musiał mieć coś innego na myśli. Wciąż posiadał przecież ogromną część swej poprzedniej fortuny, choć w chwili obecnej miał trudności, by skorzystać z większości środków, a gdyby w najgorszym razie jego długi okazały się jeszcze większe, tylko sąd mógł zdecydować o jego niewypłacalności, co mogło nastąpić jedynie w długim, niekończącym się wręcz postępowaniu karnym. Co więcej, w chwili obecnej interesy Jacka znalazły się w rękach bardzo zdolnego pełnomocnika, który nigdy nie pozwoliłby, by jego klient nagle znalazł się w ryszotku.

- Z tego, co powiedziała mi Sophie, wywnioskowałem jednak, że pierwsze przesłuchania wstępne odbędą się dopiero w drugiej połowie obecnej kadencji - powiedział.

- Nie chodzi mi o to przekłete postępowanie sądowe - rzekł Jack. -

Właściwie to czasami aż się cieszę na perspektywę niekończącej się pracy papierkowej. Jest ona dla mnie czymś na kształt... Nie. Istota problemu polega na tym, że... Cóż, tak po prawdzie to... - Nie przebierając w słowach, opowiedział Stephenowi o ostatnich zdarzeniach, zapoczątkowanych upojną nocą w Halifaksie, po czym dodał: - A zatem sam widzisz. Mam nadzieję, że jeśli otrzymam rozkaz wyjazdu, ona nie przybędzie za mną do Anglii, a jeśli to uczyni, to nie osiedli się w najbliższym sąsiedztwie. W ostatnim liście wspomniała Winchester. Nie musisz mi mówić, że jestem łajdakiem. Wiem to doskonale.

- Nie interesuje mnie moralna strona problemu - powiedział Stephen. -

Zajmuje mnie tylko to, co można w tej sytuacji uczynić. - W głębi duszy był

jednak zaskoczony rozmiarami moralnego tchórzostwa u człowieka, którego odwagi nikt nie mógł zakwestionować. „Z drugiej strony, sam nie jestem żonaty” - zamyślił się. „Z własnego doświadczenia nie wiem nic na temat wojen domowych oraz stawek, o które się toczą”. W istocie, miał jedynie jakieś pojęcie o miażdżącej sile zwycięstwa bądź porażki w takich sytuacjach oraz o niezwykle potężnych emocjach, które nierzadko wyzwały podobne konflikty.

Darzył Sophie głęboką, braterską miłością, lecz dobrze znał zazdrosną, zaborczą stronę jej osobowości i od zawsze jej nienawidził. Kareta toczyła się przed siebie, a myśli Stephena umknęły ku rozważaniom na temat instytucji małżeństwa i niewielkiej liczby znanych mu szczęśliwych związków. Rozmyślał

o prawdopodobnej równowadze między szczęściem a nieszczęściem oraz o zaletach i odpowiadających im wadach w innych formach pożycia. „Monogamia wydaje się niestety jedynym sensownym rozwiązaniem” - pomyślał. „Choć na swój sposób wydaje się równie absurdalna jak monarchia. Niech nas Bóg ustrzeże, byśmy nie wpadli w tę samą pułapkę, co żydzi i muzułmanie”.

- Powiem ci jedno - oznajmił nagle Jack, przerywając zadumę Stephena. -

Powiem to, choć sam wiem, że nie na wiele nam się to zda. Wysłałem jej tyle pieniędzy, ile tylko mogłem, tak więc przynajmniej ma za co żyć. - Przez moment milczał, po czym odezwał się ponownie: - Właśnie z tego powodu opóźnienia w związku z „Waakzaamheid” są mi tak bardzo nie na rękę. Że też muszą się ociągać z wypłaceniem pieniędzy akurat wtedy, gdy większość mojego majątku jest nie do ruszenia. Ciebie to też dotyczy, Stephen. Masz swój udział w wynagrodzeniu, które wypłaca się na podstawie ilości dział i liczebności załogi zatopionego okrętu. Z uwagi na fakt, że jesteś jednym z nielicznych ocalałych oficerów kontraktowych, szykuje się niezła sumka.

- Chciałbym przedstawić kilka uwag - rzekł Stephen, spychając kwestię

„Waakzaamheid” na bok. - Niewykluczone, że okażą się trafne i przyniosą ci jakąś pociechę. Po pierwsze, musisz wiedzieć, że u kobiet ze skłonnością do popadania w histerię, jak owa młoda dama, o której jest mowa, gdyż udawanie, iż nie wiem, o kogo chodzi, byłoby wyrazem nieszczerości...

- Nie wymieniłem przecież żadnych nazwisk! - wykrzyknął Jack. - Niech mnie piekło pochłonie, Stephen, jeśli w ogóle wspomniałem jej imię!

- Dobrze już, dobrze - rzekł Stephen, machając ręką. - Jak już mówiłem, u kobiet ze skłonnością do popadania w histerię ciąży urojone nie należą do rzadkości. Wszystkie ważniejsze symptomy owej dziewięciomiesięcznej choroby są wówczas widoczne: obrzmiały brzuch, wstrzymanie miesiączkowania, a nawet laktacja, wszystkie, nie ma jedynie dziecka. Po drugie, powiem ci to samo, co nie tak dawno temu rzekłem innej bliskiej mi osobie: „Ponad dwanaście cięż prawdziwych na sto kończy się poronieniem”.

Po trzecie, rozważ również i taką możliwość, że owa młoda dama w ogóle nie zaszła w żadną ciążę. Być może oszukuje sama siebie, a może oszukuje ciebie.

Nie ty pierwszy byłbyś wystrychnięty w ten sposób na dudka. Z tego, co rozumiałem, młoda dama w rzeczy samej nie podjęła jeszcze jakichś zdecydowanych wysiłków celem powrotu do ojczyzny, choć w międzyczasie odległość między Anglią i Kanadą pokonało kilka statków pocztowych. Nie da się również ukryć tego, że owe finansowe żądania mogą budzić podejrzenia.

- Och, przestań, Stephen! Wygadujesz doprawdy niegodziwe rzeczy.

Przecież ją znam. Może i jest... No cóż, może i nie jest specjalnie mądra, ale na pewno nie byłaby zdolna do takich oszustw. Poza tym, błagałem ją w listach, by nie przyjeżdżała. Na razie nie. Zapewniam cię, Stephen, znam ją.

- Cóż, jeśli chodzi o wyznawanie się na kobietach... Być może sam akt zespolenia mężczyzny i kobiety przynosi prawdziwe zrozumienie i pełnię porozumienia, lecz co potem? Przyznaję, że poddałem kilka niegodziwych myśli, ale przecież cały ten świat bywa niegodziwy, a ja nigdy nie powiedziałbym tych słów, gdybym nie przypuszczał, iż może tkwić w nich jakieś ziarno prawdy. Niczego nie twierdzę, Jack, ale ta dama bynajmniej nie ma nieskazitelnej reputacji, czego dowiedziałem się z innego źródła. Poważnie radzę ci, byś nie podejmował żadnych zdecydowanych kroków, dopóki nie otrzymasz niezbitych, niepodważalnych dowodów na jej brzemienny stan.

Poczekaj, aż oddzielisz ziarno od plew.

- Jestem przekonany, że nie chciałeś mnie urazić, Stephen - rzekł Jack. -

Ale błagam cię, nie wygaduj już takich rzeczy. Gdy to mówisz, czuję się jeszcze większym łajdakiem niż dotychczas. Nie mogę węszyć nieuczciwości u osoby, która... O, widzę już most londyński - wykrzyknął, wyglądając przez okno.

Kilka minut później byli już w „Grapes”, gdzie zatrzymywali się całe wieki temu, gdy Jack uciekał przed swymi wierzycielami. Karczma ta znajdowała się na ziemiach objętych swobodami hrabstwa Savoy, przez co stanowiła idealny azyl dla uciekających dłużników. Stephen był człowiekiem ubogim, a ściślej mówiąc, zazwyczaj żył jak człowiek ubogi oraz wstrzemięźliwy, ale pozwalał sobie na kilka fanaberii. Jedną z nich było wynajmowanie pokoiku w owej niewielkiej, cichej i wygodnej karczmie przez cały okrągły rok. Służba była przyzwyczajona do jego ekscentrycznego zachowania i obojętnie kiedy się pojawił, zawsze witano go z otwartymi ramionami. Swego czasu wyleczył w końcu panią Broad, właścicielkę przybytku oraz doskonałą kucharkę z pewnej osobliwej dolegliwości²³, a jednego z lokajów z choroby przynoszącej znacznie mniej zaszczytu, tak więc mógł tam robić to, na co miał żywnie ochotę. Kilka razy zdarzyło się, że przyniósł do gospody trupa nieletniego sieroty na potrzeby sekcji i przez jakiś czas trzymał go w szafie, ale nawet to nie wzbudziło komentarzy ludzi tu pracujących. Nikt więc nie skomentował również i tego, gdy pod koniec bardzo późnej wieczerzy, składającej się z pieczonych jabłek oraz humble pie²⁴, doktor zażyczył sobie dorożki.

- Zostań tutaj, Jack - powiedział. - Jak Bóg da, spożyjemy razem śniadanie. Dobrej nocy

Następnie narzucił na siebie płaszcz, zauważając przy tym z satysfakcją, że choć Jack wciąż bronił niewinności panny Smith, najwidoczniej przetrawił

część jego słów równie łatwo jak trzy czwarte humble pie. Wyglądał bowiem rażniej i już nie przypominał chodzącego nieszczęścia sprzed paru godzin, a Stiltona wlewał w siebie z wielkim apetytem.

Znów drzwi otworzył mu sam sir Joseph.

- Jesteś wreszcie! Wejdźże, wejdź do środka! - zawołał. - Słyszałeś już wieści o drogim, nieszczęsnym Ponsichu? - zapytał, prowadząc go po schodach na piętro.

- To właśnie dlatego wróciłem.

- Taką miałem nadzieję. Łudziłem się od chwili, gdy telegraf przekazał mi twą wiadomość. Chodź, usiądź przy ogniu. Usunę tylko te dokumenty... Wybacz mi nieporządek, ale jestem wprost zawałony pracą. Amerykanie sprawiają nam nadal masę kłopotów, nawet pomimo twych doskonałych osiągnięć, a połowa Hiszpanów na tyłach armii Wellingtona czuje się w sercu Francuzami.

Wydarzenia nie układają się pomyślnie, a teraz jeszcze dotarły owe straszliwe wieści z Bałtyku. Jeśli temu ich cesarzowi damy choć chwilę wytchnienia, znów wyskoczy niczym diabeł z pudełka i całą

pracę trzeba będzie wykonać od początku. Oczekiwaliśmy z utęsknieniem twego powrotu od chwili pojawienia się raportu o zatopieniu „Daphne”.

- Zna pan szczegóły?

- Tak. Obawiam się, że Ponsich zapomniał o tym, iż ma zachować ostrożność. Aż za dobrze pamiętam, jak mówił, że weźmie byka za rogi. Tak czy owak, kapitan nakazał ruszyć prosto na wyspę, być może źle oceniając zasięg wielkich dział fortecy, a może pokładając zbyt wiele zaufania w wywieszanej duńskiej banderze. Działa jednak otworzyły celny ogień, jeszcze nim zdołał opuścić na wodę łódź z flagą rozejmu. Strzelano rozżarzonymi do czerwoności kulami, z których jedna trafiła w prochownię. Okręt uległ

całkowitemu zniszczeniu. Trzeba było wysłać bardziej doświadczoną dowódcę.

- Czyżby był to młody człowiek?

- Tak. Dopiero co awansował na dowódcę jednostki nieklasyfikowanej.

Był to doprawdy dzielny oficer, lecz liczył sobie niecałe dwadzieścia dwa lata.

Ale jeszcze nim usłyszeliśmy pierwsze plotki, a potem oficjalne wieści o katastrofie, ogarnął nas ogromny niepokój. Prusy ogłosiły bowiem, że wyspa stała się dla nich obiektem o ogromnym znaczeniu strategicznym, a teraz, gdy sytuacja polityczna zmienia się w takim tempie, zyskała jeszcze większą wagę.

Nie jest wykluczone, że to ona właśnie zadecyduje o odstąpieniu Saksonii od boku Napoleona. Przeciągnięcie króla saskiego na naszą stronę byłoby dla Francuzów bardzo poważnym, być może nawet śmiertelnym ciosem, lecz jednym z podstawowych warunków sukcesu jest zapewnienie bezpieczeństwa jemu oraz Prusakom. W tym celu powinniśmy przeprowadzić desant na Pomorzu, odciąć Francuzów w Gdańsku i zacząć niepokoić ich lewe skrzydło od tyłu. Bez zneutralizowania Grimsholmu będzie to całkowicie niemożliwe. Znasz Morze Bałtyckie, Maturin?

- Nie, zupełnie nie - powiedział Stephen. - Choć od dawna chciałem je poznać.

- A zatem przestuduj, proszę, tę mapę. Tutaj bez końca ciągną się wydmy, jak sam widzisz. - Sir Joseph wskazał wschodnie wybrzeża. - Mnóstwo tam też płycizn, a przy dominujących wiatrach zachodnich brzeg ten staje się niebezpiecznym brzegiem nawietrznym. Niewiele jest tam miejsc dogodnych do wysadzenia desantu z wyjątkiem estuariów, a najlepsze z nich jest zablokowane przez tę przeklętą wyspę. Rada admirałów uznała jednogłośnie, że nawet bez otaczających ją płycizn, kiepskiego gruntu kotwicznego oraz wiatrów zachodnich nie mielibyśmy szans zdobyć Grimsholm z zachodu, od strony otwartego morza. Starszy oficer piechoty morskiej przedstawił co prawda plan ataku ze wschodu, lecz wymagałby on nieustającej osłony ogniowej potężnego dywizjonu liniowców, nie mówiąc już o potrzebnych do tego celu transportowcach i amunicji. Przedstawiony przez niego szacunek prawdopodobnych strat był niezwykle wysoki, lecz plan nie zostałby zatwierdzony, nawet gdyby szacowane straty były do zaakceptowania, a szanse na zwycięstwo znacznie większe. Po prostu nie posiadamy tylu liniowców i transportowców, by go zrealizować. Znaleźliśmy się w tak

nieciekawej sytuacji, że zwyczajnie nie wiemy, gdzie skierować nasze okręty. Ta przeklęta wojna z Ameryką wyczerpuje nasze zasoby, a tymczasem codziennie otrzymujemy skargi od lorda Wellingtona, że nie współpracujemy z nim na północnym wybrzeżu Hiszpanii. Twierdzi, że nigdzie ani śladu Royal Navy, a francuskie okręty napływają do Bordeaux i lada chwila mogą przeciąć jego rozciągnięte linie zaopatrzenia. Straszliwie brakuje nam okrętów, a w tej wojnie wszystko od nich zależy.

- Czyżby nasi nowi sojusznicy nie na wiele się przydawali?

- Nie na morzu, jak na lądzie. Szwedzi i Rosjanie być może są dobrymi żołnierzami, lecz losy tej wojny nie rozstrzygną się na lądzie. Poza tym, Bernadotte'a w tej chwili raczej nie można uznać za sojusznika. Jak sam wiesz, to śliski człowiek, który zaproponowałby układ zapewne i samemu Judaszowi, a w tym momencie jego główną troską jest uzyskanie naszego poparcia, by mógł

zająć Bogu ducha winną Norwegię. Tak czy owak, Szwedzi nie mają porządnej marynarki wojennej, podobnie zresztą jak Rosjanie. Znaczą się, oba państwa posiadają co prawda po kilka jednostek, ale nie mają pomysłu, jak z nich skorzystać. Angielscy oficerowie opuścili oba kraje, gdy te jakiś czas temu zwróciły się przeciwko nam, i od tego czasu zarówno Rosjanie, jak i Szwedzi nie potrafią samodzielnie prowadzić działań na morzu. Poza tym, ich dowódcy marynarki są niewyobrażalnie głupi i ślamazarni. Pewien rosyjski admirał, biorący udział w owej naradzie wojennej, zaproponował, byśmy wzięli Grimsholm głodem. Wmówiono mu bowiem, że forteca ma zapasów jedynie na sześć miesięcy oblężenia. „Należy szczelnie zablokować wyspę i wziąć ją głodem”, perorował w swym paskudnym, kaleczonym francuskim. Doprawdy doskonały pomysł... Prowadzenie sześciomiesięcznej blokady w sytuacji, gdy nam brakuje okrętów, a liczy się każdy dzień! Ba, każdy tydzień może całkowicie zmienić oblicze północnej wojny! Na szczęście nie wszyscy obcokrajowcy są takimi idiotami. Jest tam pewien młody, błyskotliwy Litwin, oficer kawalerii pozostawiony do naszej dyspozycji przez dowództwo szwedzkie. Młodzieniec ten dostarczył nam wielu nowych danych, które, jak sądzę, umożliwią nam jeszcze jedno podejście, przepraszam za słownictwo, z lepszym rozeznaniem w sytuacji.

- Czy byłby pan tak uprzejmy i przedstawił mi owo lepsze rozeznanie?

- To dość ciekawa sprawa. Przez ostatnie tygodnie doszło do gwałtownych przetarasowań w załodze twierdzy, spowodowanych różnicami między poszczególnymi grupami. Myślę, że szczegóły znajdują się w owej żółtej teczce tuż obok ciebie. Mógłbyś mi ją podać? Tak - rzekł, nakładając swe okulary.

- Oto i one. Pamiętam, jak podczas swej ostatniej wizyty zapytałeś mnie o te ich grupy i organizacje, a ja nie potrafiłem ci odpowiedzieć. Tym razem przygotowałem wszystko wcześniej. Katalończycy na wyspie podzieleni są na trzy główne grupy, zwane Lliga, Confederació oraz Germandat. - Stephen pokiwał głową, słysząc dobrze sobie znane nazwy. - Lliga, Confederació oraz Germandat - powtórzył Blaine. - Wybacz mi kiepską wymowę. Każda z nich ma swego przywódcę, a nad nimi stoi francuski oficer artylerii w stopniu pułkownika. Pułkownika jednak odwołano do pomocy przy oblężeniu Rygi, a ogólne zamieszanie sprawiło, że jego następcę przysłano z opóźnieniem. Na wyspie wybuchły w międzyczasie zażarte spory, a przywódca najsilniejszej frakcji wykorzystał nieobecność pułkownika i objął dowództwo nad całą fortecą. Inni oficerowie, którzy mu się sprzeciwiali, zostali odesłani na stały ląd, a następnie wcieleni do Legionu Hiszpańskiego. Samozwańczy dowódca odmawia teraz podporządkowania się rozkazom następcy pułkownika,

majora Lesueura, ze względu na to, że ten ma niższą rangę. Dopatrzył się też jakichś rzekomych niedociągnięć w jego nominacji, przeprowadzonej przez Macdonalda. Napisał list do generała Oudinota, w którym stwierdził, iż podpułkownik, zakładam, że sam siebie awansował, prędzej umrze, aniżeli przyjmie taki afront. Mamy zresztą jego list.

- Sir Josephie, jak się zwie owa dominująca grupa oraz jej dowódca?

- To Germandat - powiedział sir Joseph, podając mu list. - A jeśli chodzi o nazwisko, to wolałbym nie próbować go wymawiać. Lepiej będzie, jeśli odczytasz je z podpisu, choć ten człowiek ma bardzo zamaszysty, mało wyraźny charakter pisma.

„Ramon d’Ullastret i Casademon”. Do pewnego stopnia Stephen spodziewał się, że usłyszy to nazwisko. Już samo słowo Germandat sprawiło, że serce zabiło mu szybciej, niewykluczone też, że na poły świadomie rozpoznał

charakter pisma, co również go przygotowało. Mimo tego jak zakłęty wpatrywał

się w znajomy, fantazyjny podpis, złożony przez swego ojca chrzestnego, i minęła dłuższa chwila, nim stał się on dla niego czymś realnym, a rzeczywistość połączyła się z fantazją.

- Znasz tego dżentelmena? - spytał Blaine.

Byłoby rzeczą wielce dziwną, gdyby nie znał. W Katalonii traktowano kwestie pokrewieństwa bardzo poważnie, a on przecież w dzieciństwie spędził

mnóstwo czasu w domu swego ojca chrzestnego. W owym czasie Ramon był

dlań uosobieniem bohatera. Zapamiętał go jako żarliwego patriotę, który nie chciał mówić po hiszpańsku, póki nie znalazł się, jak to sam ujmował, za granicą, czyli na przykład w Aragonii lub Kastylii. Cechowało go również umiłowanie polowań, góry i lasy stanowiły dlań równie naturalny teren polowań jak dla każdego innego mieszkającego tam drapieżnika. To właśnie jemu mały Stephen zawdzięczał swe pierwsze spotkanie z wilkiem i niedźwiedziem, pierwsze odwiedziny w gnieździe orła cesarskiego, nie mówiąc o ujrzeniu wychuchola pirenejskiego czy żenety. Jego ojciec chrzestny brylował również jako doskonały jeździec i niestrudzony mówca, a ponadto zadał sobie trud prześledzenia rodu Stephena po kądzieli aż do Wilfreda Włochatego. W miarę jak Stephenowi przybywało lat, otoczka bohatera wokół Ramona powoli bledła.

Z czasem uświadomił sobie bowiem, że w jego dumie kryje się sporo próżności, a po głębszym zastanowieniu doszedł do wniosku, że jego żarliwe parcie ku dominacji nad innymi i nieprzeparta chęć przewodzenia stanowi pewne utrudnienie w dążeniu do zdobycia autonomii przez Katalonię. Odkrył też, że jego zawziętość w pewnym stopniu wynikała ze zwykłej głupoty, ale mimo tego zachował dla niego wiele uczucia w sercu. Kochał go za ów nieszkodliwy zachwyt wobec perfekcji i za dążenie do osiągnięcia wybitności, wiedział też, że nawet jego poważniejsze wady przestawały się liczyć wobec jego odwagi, honoru, hojności i niewzruszonej życzliwości wobec swego chrześniaka.

Stephen wciąż miał go przed oczyma, jak kroczył po zimnej sali w Ullastret, powiewając połami płaszcza rycerza zakonu maltańskiego i deklamował wiersz o oblężeniu Barcelony za czasów jego dziadka, kiedy to Katalończycy i Brytyjczycy pod wodzą lorda Peterborougha przepędzili Hiszpanów. Wiersz był

dobry, ale zdecydowanie wywierałby większe wrażenie, gdyby często pojawiające się w nim nazwisko Peterborough nie rymowało się tak dobrze ze słowem mugger²⁵. Poemat nie byłby jednak wówczas tak przekonujący.

- Znam go - powiedział z uśmiechem. - Jak zazwyczaj zaopatruje się garnizon?

- Czasem za pośrednictwem statków z Gdańska, ale znacznie częściej zajmują się tym jednostki duńskie. Niedawno zajęliśmy jedną z nich, dokładnie w dniu wysłania ostatnich meldunków, lecz jej ładunek stanowiły jedynie tytoń oraz wino. Obawiam się, że nie brakuje im amunicji oraz podstawowego pożywienia. Magazyny pewnie pękają im w szwach od sucharów i solonego mięsa, mają również mnóstwo słodkiej wody. Przy odrobinie szczęścia mogliby przetrzymać sześciomiesięczne oblężenie.

- Wino i tytoń nie należą do podstawowego wyżywienia - zauważył

Stephen - lecz ceni je każdy, kto wychował się nad brzegami Morza Śródziemnego. A to tutaj, jak sądzę, to plan samych fortyfikacji?

- Otóż to. A tu masz rozmieszenie baterii. Zawdzięczamy owe mapy temu młodemu Litwinowi, którego przed chwilą wspomniałem. To doprawdy dzielny, obrotny młodzieniec, a do tego jeden z najlepszych lingwistów, jakich miałem okazję poznać. Zna wszystkie języki bałtyckie, choć sam przyznaje, że jego znajomość fińskiego i estońskiego pozostawia nieco do życzenia. Po angielsku mówi wspaniale, podobnie zresztą ma się sprawa z francuskim, o ile mogę sam stwierdzić. Jest niezwykle zajmującym człowiekiem i jestem przekonany, że okaże się dla ciebie wielką pomocą, o ile, rzecz jasna, zgodzisz się podjąć owej misji teraz, po tak mało obiecującym początku. Zadanie to bez wątpienia nie jest tak proste i nieskomplikowane, jak z początku sądziłem.

- Och, ależ oczywiście, że się go podejmę - rzekł Stephen. - Nie ma co do tego dwóch zdań. W rzeczy samej, pozwoliłem sobie nawet wspomnieć o tej możliwości mojemu przyjacielowi, Aubreyowi. Moje spóźnienie zostało spowodowane wizytą, którą w tym celu postanowiłem mu złożyć. Chciałbym wyruszyć razem z nim. Stokroć bardziej wolałbym mieć za plecami jego, aniżeli jakiegokolwiek innego kapitana. To człowiek o wielkim doświadczeniu, co, jak sam pan słusznie zauważył, jest kluczowe w zadaniach tego typu. Niezależnie od tego, jak zachowuje się na lądzie, na morzu Jack Aubrey staje się istnym Ulisessem, a w chwili obecnej ma zarówno czas, jak i ochotę, by popłynąć tam ze mną.

- Wiele ci zawdzięczamy, drogi Maturinie - rzekł sir Joseph, ściskając mu dłoń. - Doprawdy bardzo wiele. Jeśli chodzi o Aubreya, to nada się idealnie, o ile zdołamy jakoś pokonać trudności, które niesie ze sobą jego ranga. Jak sam wiesz, oficerowie marynarki wojennej są przewrażliwieni na punkcie swego statusu, a okręt, który mieliśmy zamiar posłać na Bałtyk, to zaledwie slup.

Mniejsza jednak o szczegóły. Jestem przekonany, że jakoś się z tym uporamy.

- Proszę mi powiedzieć jedną rzecz - odezwał się Stephen po chwili ciszy.

- Czy Ponsich wymusił jakieś warunki, nim zgodził się podjąć misję na Grimsholmie?

- Tak.

- Zastanawiam się, czy pomyśleliśmy o tym samym. Ja bowiem chciałbym uzyskać jasność w jednej kwestii. Jeśli moje negocjacje zakończą się sukcesem, pragnąłbym, by oddziały katalońskie nie zostały potraktowane jako jeńcy wojenni. Chcę, by zachowali swą broń oraz dobytek, a także, by z należnym im szacunkiem zostali przewiezieni do Hiszpanii jako wolni ludzie.

Będę, tak czy owak, musiał im to obiecać, a bynajmniej nie chcę składać fałszywych przysięg. W rzeczy samej, będę kategorycznie nalegać na udzielenie takowych gwarancji.

- Rozumiem cię doskonale, lecz ja sam takich gwarancji udzielić ci nie mogę. Tego rodzaju decyzje podejmuje się na wysokim szczeblu. Ponsich jednak otrzymał gwarancje niemal identyczne z twoimi, tak więc nie sądzę, by ktoś na górze zmienił zdanie.

- Dobrze. Bardzo dobrze. Czy są jeszcze jakieś dokumenty, które powinienem obejrzeć?

- Jest tu mnóstwo planów oraz szacunkowych ocen sytuacji militarnej.

Nic, co mogłoby zainteresować mnie bądź ciebie. Może zostawmy je sobie na jutro, kiedy ów wspomniany przeze mnie młody człowiek będzie mógł objaśnić swe adnotacje. Pośród jego rozlicznych talentów nie ma niestety umiejętności czytelnego stawiania liter. W międzyczasie napijmy się kawy. Bardzo chciałbym usłyszeć o Paryżu i przyjęciu, jakie cię tam spotkało.

Sir Joseph wyszedł z pokoju, a Stephen wykorzystał chwilę, by się rozejrzeć. W wystroju wnętrza zaszły pewne zmiany i dopiero po chwili uświadomił sobie, że zniknęły erotyczne obrazy oraz posążki, a ich miejsce zajęły wazon z kwiatami.

- Minęła trzecia, a noc jest paskudna - zawołał stróż przechodzący pod oknami tuż przed powrotem Blaine'a. - Zapowiada się na burzę!

We dwóch wypili dzbanek kawy, a następnie, rozmawiając o Paryżu, opróżnili większą część butelki starej brandy. Stephen przekazał pozdrowienia od ich przyjaciół oraz przekazane mu prezenty, a sir Joseph wypytał się uprzejmie o postęp w sprawie kapitana Aubreya, ucieszył się, że skorzystano z jego rady. Gdy Stephen zbierał się już do wyjścia, sir Joseph powiedział:

- Zastanawiałem się ostatnio, Maturin, czy mógłbym skonsultować się z tobą również jak z lekarzem?

- Byłbym zaszczycony - rzekł Stephen z ukłonem i usiadł na powrót.

- Od jakiegoś czasu... Od jakiegoś czasu poważnie rozważam kwestię ślubu - powiedział sir Joseph i wbił wzrok w dzbanek z kawą.

- Ślubu... - odezwał się neutralnym tonem Stephen, gdyż jego nowy pacjent wydawał się zamilknąć na dobre, co jemu samemu wydało się wystarczającym opisem doznawanych cierpień.

- Tak - odezwał się w końcu Blaine. - Ślubu. Związki nieformalne to dobre rozwiązanie i czasami świetnie się sprawdzają ale ich cechą charakterystyczną jest, że się tak wyrażę, niepokojąca bezdzietność. Tak czy owak, dama, o której myślę, jest osobą bardzo cnotliwą. Być może jednak jest już za późno. Przez ostatnie miesiące z prawdziwym bólem zauważam bowiem u siebie... Jak to ująć? Zauważam swego rodzaju brak wigoru, brak entuzjazmu, brak roztrzepania typowego dla zadurzenia, zupełnie jakbym również i ja miał

zawołać: *Vixi puellis nuper idoneus*²⁶. Czy medycyna może jakoś pomóc w takich przypadkach, czy w moim wieku jest to coś nieuniknionego? Przejrzałem lustra *decem*²⁷ Horacego, ale znalazłem tam tylko opowieści o eliksirach i kropelkach.

- Bynajmniej, nie jest to coś nieuniknionego - rzekł

Stephen. - Proszę tylko pomyśleć o Thomasie Parr, niezwykle starym człowieku, który ponownie ożenił się w wieku stu dwudziestu dwóch lat. Jego ożenek okazał się szczęśliwy, jak sądzę, a o ile nie myślę faktów, kilka lat później postawiono go przed sądem za gwałt²⁸. Mój kolega Beauprin, z którym przyjaźniłem się podczas mego pobytu we Francji, miał jedynie osiemdziesiątkę na karku, gdy ponownie wziął sobie żonę, a urodziła mu ona szesnaścioro dzieci. Zanim jednak zacznę mówić jako lekarz, czy wolno mi spytać jako przyjaciel, czy w pełni rozważył pan sens ponownego rozniecienia ognia miłości w swym sercu? Czy pamięta pan, że każdy związek miłosny przedstawia sobą znacznie więcej cierpienia aniżeli przyjemności? Pański Horacy błagał przecież *Wenus*, by dała mu spokój: *parce, precor, precor*²⁹. Czyż spokój duszy nie jest największym dobrem? Czyżby przedkładał pan burzę nad ciszę? Żeglowałem swego czasu z pewnym młodym człowiekiem, który doskonale znał chiński.

Pamiętam, jak pewnego dnia przytoczył ustęp z Konfucjusza, w którym mędrzec gratulował sobie osiągnięcia wieku, w którym jego uszy na powrót są mu posłuszne, a on sam może słuchać swego serca i czynić wszystko, co ono mu nakazuje, i w żadnym stopniu nie naruszać przy tym praw moralności. Orygenes zaś, o czym pan bez wątpienia pamięta, odciął sobie niepokojący go organ i bez przeszkód mógł się oddawać jeszcze głębszym i czystszy m medytacjom.

- Doskonale rozumiem twój punkt widzenia i przyznaję, że jest w nim żelazna logika, zapominasz jednak, że nie mówię o luźnym, nieformalnym związku. Mam na myśli małżeństwo. Poprosiłbym cię jednak o radę, nawet gdyby nie to zaprzętało mi głowę. Nie sądzę, bym był człowiekiem o szczególnie gorącym temperamencie bądź też wyjątkowo kochliwym, a po ściągnięciu butów i pończoch bynajmniej nie widzę u siebie nóg satyra. Skoro jednak taka słabość nasza teraz, wychodzę z założenia, że jak dotąd obrzucałem co nadobniejsze przedstawicielki płci przeciwnej innym spojrzeniem, w którym kryło się uznanie, nieco tęsknoty, a może nawet odrobina lubieżności. Te spojrzenia gdzieś wygasły, zupełnie jakby wiosna mego życia minęła bezpowrotnie. Nie mam żadnej koncepcji, jak to wytłumaczyć. Jesteś ode mnie młodszy, Maturinie, i niewykluczone, iż twe własne doświadczenie nie nauczyło cię, że brak udręki może być jeszcze gorszą udręką a czasem człowiek ma ochotę zrzucić włosienicę, choć to pewnie tylko ona daje mu ciepło.

- Bardziej pasowałaby tu koszula Nessosa - rzekł Stephen, lecz sir Joseph go nie usłyszał.

- Muszę ci również przypomnieć o tym, że pochopny czyn Orygenesza został potępiony przez drugą radę Konstantynopola wraz z wieloma spośród jego rozlicznych, szkodliwych doktryn. Pamiętaj też o tym, że choć święty Augustyn modlił się o wytrwanie w czystości, to zakończył modlitwę słowami:

„Ale jeszcze nie teraz, dobry Boże”. Bez wątpienia przeczuwał, że cnota nie ma racji bytu, gdy zabraknie pokusy. Nie zapomnij też o tym, że ów wspomniany przez ciebie spokój niewiele się różni od śmierci. W grobach wszyscy jesteście stoikami.

- Niech będzie tak, jak pan sobie tego życzy - rzekł Stephen. - Niemniej przed rozpoczęciem właściwej konsultacji lekarskiej chciałbym tylko zauważyć, że widok pływaka, który dotarł na skraj malstromu i zdołał opuścić jego wzburzone, wirujące wody tylko po to, by świadomie cisnąć się w nie ponownie, skłoniłby wspomnianego przeze mnie filozofa do okrzyków zdumienia.

- Nawet jeśli przyjmiemy, że ów chiński mędrzec kiedykolwiek słyszał o malstromie, co nie wydaje mi się prawdopodobne, nie możemy zakładać, że kiedykolwiek poznał kogoś takiego jak panna Blenkinsop. W tym wypadku bowiem nigdy nie usłyszelibyśmy tyle na temat jego własnych uszu.

Kapitan Aubrey i doktor Maturin nie zobaczyli się przed śniadaniem. Jack szukał swego przyjaciela przez moment, po czym dwukrotnie wsunął głowę do jego pokoju. Za każdym razem usłyszał rytmiczne sapnięcia śpiącego, tak więc w końcu bez słowa włożył swój najlepszy mundur i ruszył do admiralicji, by spróbować przesunąć umówioną wizytę na kolejny dzień. Okazało się to możliwe, ale przyjął go jeden z cywilnych urzędników, który podobnie jak większość mu podobnych traktował oficerów marynarki wojennej może nie jak wrogów, lecz na pewno jako ludzi, którzy zawsze żądali więcej, niż im się należało z tytułu zatrudnienia, przyznawanych funduszy, rekompensat, przyzowego, wynagrodzenia wyliczanego na podstawie liczby dział i wielkości załogi, a zatem z należytą rezerwą. Nierzadko żądania przychodzących tu oficerów były przekierowywane do urzędników Biura Marynarki Wojennej, Komisji do spraw Transportu czy Komisji do spraw Chorych i Rannych z prośbą o komentarz bądź wyjaśnienia, tak więc zwykły, szary petent mógł czasem oczekiwać całe wieki na satysfakcjonującą odpowiedź lub jakiegokolwiek widzenie. Wielu poruczników i dowódców okrętów nieklasyfikowanych doświadczało tego losu, lecz znajdujący się w połowie listy awansów kapitan mianowany był przyjmowany z większym szacunkiem. Przyjmujący go pan Solmes powstał więc, by przywitać Jacka Aubreya, a nawet przysunął mu krzesło.

Po serii wstępnych uprzejmości urzędnik wyciągnął teczkę, otworzył ją i powiedział:

- Otrzymałem zadanie rozpatrzenia szczegółów pańskiego starcia z

„Waakzaamheid”. Przede wszystkim mam się pana wypytać, skąd się bierze pańska pewność, że miał pan do czynienia z tą właśnie jednostką.

- Cóż, kapitan Fielding dowodzący „Nymph” zameldował o spotkaniu

„Waakzaamheid” niedaleko Cape Branco, tak więc gdy krótko po tym zdarzeniu natknąłem się na liniowiec pod banderą holenderską, siłą rzeczy przyjęliśmy, że to ten sam okręt.

- Skoro jednak nie przejął pan żadnych jeńców ani żadnej dokumentacji, nie ma niezbitych dowodów, że okręt, z którym stoczył pan bój, to w istocie

„Waakzaamheid”, jak pan go nazywa.

Przez kilka długich sekund Jack nie był w stanie wykrztusić z siebie słowa. Czuł narastający gniew.

- Znajdujący się pod moim dowództwem HMS „Leopard” zatopił

holenderski okręt linowy uzbrojony w siedemdziesiąt cztery działa na czterdziestym drugim stopniu szerokości południowej. Warunki panujące na tych akwenach, jak choćby wiejące tam silne wiatry czy wzburzone morze, to fakt na tyle niepodważalny, że wszelkie żądania dostarczenia jeńców bądź

dokumentacji stają się bezzasadne. Drogi panie, Holender stanął burtą do wiatru zaraz po złamaniu fokmasztu i zatonął w jednej chwili. Na takich wodach nie ma mowy o poszukiwaniu rozbitków czy dokumentów, a okręt ma dwa wyjścia: gnać przed siebie lub tonąć.

- Jestem tego całkowicie świadom, kapitanie - zawołał pan Solmes, który na pewno nie przeoczył faktu, że kapitan Aubrey mówi coraz sroższym głosem, a do tego jego postać zdaje się rosnąć i potężnieć. - Liczę jednakże na to, że zrozumie pan, że nie mam w tej sprawie wolnej ręki, krepują mnie wytyczne.

Nie ma ucieczki przed przepisami obowiązującymi w naszym departamencie, a mamy do czynienia z wyjątkowym przypadkiem.

- Nie mam pojęcia, na czym polega jego wyjątkowość - rzekł Jack. -

Zniszczono mnóstwo wrogich jednostek bez skrawka dowodu na to, że kiedykolwiek unosiły się na wodzie. Sam mógłbym wymieniwać przynajmniej tuzin takich precedensów. Zapisy w dziennikach okrętowych oraz jednakowe raporty wszystkich oficerów okrętu zawsze uznawano za wystarczający dowód.

To odwieczny zwyczaj marynarki wojennej!

- Zgadza się z panem w zupełności - powiedział Solmes. - Lecz...

Proszę o wybaczenie, kapitanie Aubrey, lecz... W tym przypadku raporty pańskich oficerów nie są całkiem identyczne. Właśnie ten fakt czyni ową sprawę w gruncie rzeczy wyjątkową. Otrzymaliśmy list od pańskiego byłego pierwszego oficera, w którym między innymi podzielił się z nami swym wrażeniem, że ów okręt był jedynie holenderskim zaopatrzeniowcem, uzbrojonym enflute30.

- Zaopatrzeniowcem? - wykrzyknął Jack. - Ten człowiek postradał rozum.

Zgoda, nie widziałem napisu „Waakzaamheid” na rufie, ale, na Boga, widziałem jego burtę i posmakowałem jego salwy! Żeby kapitan mianowany z pozycją i doświadczeniem nie rozpoznał napotkanego okrętu liniowego? Żeby nie rozpoznał liniowca z siedemdziesięcioma działami, który otworzył do niego ogień? Na Boga, drogi panie, to przecież potworne oszczerstwo! Ten człowiek jest

szaleńcem!

- Bez wątpienia, kapitanie, bez wątpienia. Dopóki jednak jego choroba nie zostanie oficjalnie stwierdzona, przepisy nakazują nam wziąć jego raport pod uwagę. Chciałbym zaproponować, by dostarczył pan złożone pod przysięgą zeznania pozostałych ocalałych poruczników oraz oficerów kontraktowych.

Widzę, że służył pod panem porucznik Babbington, porucznik Byron i lekarz okrętowy, Maturin. Proszę wejść.

Do pokoju zajrzał goniec, który oznajmił, że admirał Dommet życzy sobie zobaczyć się z kapitanem Aubreyem, gdy tylko ten ureguluje swoje sprawy z panem Solmesem.

- Aubrey! - wykrzyknął admirał. - Ogromnie się cieszę, że pana widzę.

Jużeśmy mieli po pana posłać, gdy się dowiedziałem, że już pan tu jesteś. Już pan jest u nas, w Whitehall! To ci dopiero zbieg okoliczności! Ledwie pomyślę o człowieku, a ten już się pojawia! W takiej sytuacji człowiek ma wrażenie, że lada dzień zaczną wierzyć tym, co widzą przyszłość w kryształowych kulach.

Dobra, przejdźmy do sedna. Mam delikatne, choć pilne zadanie, do którego potrzeba doświadczonego człowieka o stalowych nerwach. Zasugerowano mi co prawda, że być może niezbyt ci przypadnie do gustu pomysł objęcia dowództwa słupu, ale ja na to rzekłem: „Oho, wielkie mi rzeczy! Aubrey nie będzie mi się tu obnosił z godnością! Aubrey nie nazywa się przecież Wielkim Mogolem! Ten człowiek rzuciłby się na wroga i w małej łupince, o ile byłoby na niej choć jedno działo!”. No nie, Aubrey?

- Słuszna racja, sir - rzekł Jack. - Jestem panu szczerze zobowiązany za pańskie dobre zdanie na mój temat. - Doskonale zdawał sobie sprawę, że admirał w ten właśnie sposób rozumiał pojęcie manipulacji, ale w tych okolicznościach nie miał absolutnie nic przeciwko. - Czy wolno mi spytać, o jaki słup chodzi, sir?

- O „Ariela” - rzekł admirał. - Kotwicz na Nore. Możesz pan wziąć dyliżans i ruszyć już z porannym przyptywem. Jeśli Bóg się zlituje, będzie nadal wiało z południowego zachodu.

- A nie mogę cofnąć się po bagaż i pożegnać z żoną, sir?

- Nie, Aubrey, na litość boską, nie! To doprawdy pilna sprawa, jak już mówiłem! Wyślę telegraf do Portsmouth, a tam już jej przekażą, że wrócisz za jakiś miesiąc i to w glorii i chwale. Czas i przyptyw na nikogo nie czekają, jak sam dobrze wiesz.

- Oczywiście, sir - rzekł Jack. - Przecież mawia się, że lepszy wróbel w garści niż kanarek na dachu - dodał, nie chcąc, by admirał pokonał go swą erudycją.

- Tak, to prawda, święta prawda. Dobrze, chodźmy już, nie traćmy nawet minuty. Pierwszy Lord chciałby się z tobą zobaczyć.

Przemawiając w tonie znacznie poważniejszym i bardziej wyważonym, Pierwszy Lord admiralicji powtórzył Jackowi wszystko to, co ten już usłyszał od Stephena oraz admirała Dommeta, pogratulował mu również udanej ucieczki z Ameryki, uczestnictwa w jakże wspaniałym zwycięstwie oraz gotowości do odsunięcia formalności oraz spraw prywatnych dla dobra służby. Oznajmił też, że nie powinien poczytywać przyznania mu dowództwa nad „Arielem” jako odpowiedź Rady Marynarki Wojennej na jego dokonania, a na zakończenie stwierdził, że choć na tym etapie nie jest w stanie poczynić żadnych obietnic, istnieje możliwość przyznania mu jednej z ciężkich fregat, szykowanych do uzupełnienia bazy w Ameryce Północnej. Rozkazy Aubreya miały zostać mu przekazane natychmiast po wypisaniu, a jeśli chciałby oszczędzić pieniędzy na powozach, mógł się zabrać razem z królewskim posłańcem, który miał

wyruszyć zaraz po obiedzie.

„Powiniennem zapytać, jak długo posłańcy królewscy napełniają swe żołądki” - pomyślał Jack, idąc szybko wzdłuż Strand. „Kończą posiłki o ósmej, jak przystało na modnych jegomościów czy może nie?”.

Sam z pewnością do modnych jegomościów nie należał, a jego żołądek nie zniósłby takiego stylu życia - długie lata na morzu przyzwyczyliły go, by domagać się swego o ustalonej tradycją wczesnej godzinie, dlatego też odzywał

się z rozpaczą gdy ów czas już minął. W rzeczy samej, pora obiadu minęła już dawno i wchodząc do „Grapes”, Jack zawołał z tym samym przejęciem, które pobrzmiwało w burczeniu jego żołądka:

- Pani Broad, pani Broad! Niechże pani poda obiad i to jak najszybciej.

Ledwie stoję na nogach, droga pani, zaraz zemdleję! Gdzie jest doktor?

- Wszystko mam gotowe na zapleczu, kapitanie, czekamy tylko na doktora. Jest u siebie na piętrze z jakimś młodym panem z zagranicy i ciągiem gadają po ichniemu!

- Ale jaki uroczy ten młody pan! - rzuciła Lucy, stojąca w drzwiach.

- Mówię mu, mówię, wołam go, a on nic - narzekała pani Broad. - Przecie ani pieczone, ani drób nie może tyle czekać! Zawołam go jeszcze raz.

- Ja pójdę na górę, ciociu Broad! - zawołała Lucy, wybiegając zza baru. -

Ja po niego pójdę.

Jack wszedł na zaplecze, złapał kawałek chleba i zjadł go. Po chwili wszedł tam Stephen w towarzystwie owego uroczonego, młodego pana z zagranicy. Był to szczupły oficer w fioletowym mundurze ze srebrną lamówką z zaskakująco złocistymi włosami, błyszczącymi, szeroko rozstawionymi, błękitnymi oczyma oraz cerą której pozazdrościć mu mogła każda dziewczyna.

Wydawał się człowiekiem skromnym, ale męskim oraz przystojnym i Lucy, stojąca w gotowości, by odsunąć jego krzesło, wpatrywała się weń z szeroko otwartymi ustami.

- Poznajcie się panowie - rzekł Stephen. - Oto monsieur Jagiełło na służbie króla Szwecji. Kapitan Aubrey z Royal Navy.

- Jestem zaszczycony - rzekł zarumieniony Jagiełło, kłaniając się.

Posiłek rozpoczął się. Jack usadził młodzieńca po swej prawicy i zabawił

go lekką, lecz uprzejmą rozmową. Jagiełło odpowiadał w płynnej, niemal idealnej angielszczyźnie, czasami jedynie myląc wymowę „w” i „v” oraz „j” i

„y”, co Jackowi, dla którego angielski był językiem ojczystym, dało świadomość przewagi, łechcąc lekko jego dumę. Stephen nie odzywał się prawie wcale, Jagiełło akurat zabrał się do krojenia swej porcji pieczonego drobiu, a na zewnątrz słuchać było Lucy i Deborah, kłócące się o to, która z nich przyniesie następne danie. Jack wykorzystał chwilę i szepnął Stephenowi, że otrzymali rozkaz wypłynięcia.

- Tak też myślałem - odpowiedział Stephen. - Monsieur Jagiełło wyrusza razem z nami.

- Ogromnie się z tego cieszę - rzekł Jack, który zdążył już polubić młodego Litwina. - Mam nadzieję, że jest pan dobrym żeglarzem, sir?

Nim Jagiełło zdążył odpowiedzieć, do środka wpadł goniec z admiralicji, a za nim zarówno Deborah, jak i Lucy. Posłaniec wręczył kapitanowi oficjalną przesyłkę, a następnie spróbował wyjść z pomieszczenia, co okazało się niełatwe, gdyż obie dziewczyny stały jak porażone i gapiły się na Jagiełłę z tępyim wyrazem twarzy. Pani Broad odwołała je w końcu do pracy, lecz mimo tego co rusz zaglądały do środka pod obojętnie jakim pretekstem. Pytały, czy nie potrzebują więcej soli, chciały donieść sosu, podać nieco musztardy...

- A może chciałby pan więcej chleba? - zapytała któraś z nich.

Pod koniec obiadu pojawił się jednak znacznie poważniejszy powód do częstych wizyt przy stole, gdyż Jack zawsze starał się gościnnie podejmować obcokrajowców we własnym kraju, a najlepszym znanym mu sposobem było wlewanie w nich możliwe największych ilości porto. Królewski posłaniec wciąż się nie pojawiał, tak więc dziewczęta krążyły między stołem a piwnicą donosząc kolejne butelki, których w końcu zebrało się zaskakująco wiele.

Jagiełło zniósł próbę mężnie, lecz z czasem jego piękna cera stała się różowa, oczy zaczęły jeszcze bardziej błyszczeć, a on sam nabrał ochoty na śpiewanie. Już wcześniej niemal z entuzjazmem opowiadał o znanych angielskich piosenkach, by teraz, po krótkiej chwili stosownego skrzepowania, zaszczyścić towarzystwo pieśnią The Lady and Death, odśpiewaną czystym tenorem bez cienia fałszu. Następnie zaśpiewał Chevy Chase oraz Ali in the Downs. Jack wsparł go głosem wprawiającym szklanki w drżenie, śpiewał

również Stephen, którego nieczysty, nieprzyjemny dla ucha zgrzyt przyprawił

przytulone do siebie, czatujące za drzwiami pokojówki o napady konwulsyjnego śmiechu.

Do gniazda trzech rozśpiewanych ptaków wkroczył niespodziewanie szczupły, milczący dżentelmen, ubrany w szary płaszcz z obciągniętymi guzikami i wykrochmalonym białym fontaziem. Człowiek ów sprawiał

wrażenie, jakby swój obiad zapijał zimnym octem. Wesolość trójki kompanów zgasła w jednej chwili. Zebrali się szybko i wyszli w ślad za nim do powozu, a wyglądali przy tym, jakby zostali przyłapani na wyjątkowo wstydlivym postępku. Stephen, który wpadł do środka po zapomnianą chusteczkę, zauważył, że Lucy przykłada usta do skraju pustej szklanki, z której pił uroczy, młody pan z zagranicy.

Rumieniec na policzkach uroczego, młodego pana zniknął na świeżym powietrzu, a potem na jakiś czas zastąpiła go bladość i wiele wskazywało na to, że podskoki i szarpnięcia powozu w końcu go zmogą. Doszedł jednak do siebie zaraz po minięciu Blackheath i rozejrzał wokół siebie, gotów do podjęcia rozmowy. Nic go jednak do tego nie zachęciło. Królewski posłaniec wyciągnął

książkę i wcisnął się w swój kąk tak, by światło padało na stronice, a następnie odizolował się od towarzyszy podróży. Doktor Maturin zagłębił się w lekturze oprawionej na brązowo książki naukowej i od czasu do czasu przyglądał się swym butom, a kapitan Aubrey spał jak zabity, chrapiąc przy tym głośno i autorytarnie. Od czasu do czasu posłaniec przesuwiał się gwałtownie, jakby zamierzał obudzić Jacka tak, by wyglądało to na przypadek, ale bezskutecznie.

Poza jego konwulsyjnymi szarpnięciami nikt w powozie się nie ruszał.

Na Tamizie wzbierał przypływ, a powóz pędził w stronę ujścia rzeki. Gdy znaleźli się w Pool, fala przypływu osłabła. Maszty stojących tam ciasno statków wznosiły się wysoko ku niebu, lecz wkrótce rozpoczął się odpływ i zaczęły się one niedostrzegalnie kurczyć. Na obu brzegach rzeki pojawił się już czarny, cuchnący muł. Gdy jednak szalupa wioząca Jacka ruszyła w kierunku ledwie widocznego w półmroku „Ariela”, zygzakując między kotwiczącymi okrętami wojennymi, w Nore odpływ miał trwać jeszcze dobrą godzinę. W

odległości zaledwie mili od słupa Jack uświadomił sobie, że dowódca „Ariela” urządził sobie zabawę. Z okien rufowych okrętu wylewało się światło wraz z muzyką, a na niewielkim pokładzie rufowym tańczyły jakieś dziewczęta.

Niewątpliwie przyciągnęło to uwagę całej załogi, gdyż łódź okrzyknięto dopiero, gdy znalazła się w zasięgu splunięcia z burty, a powitanie kapitana Aubreya, gdy ten stanął w końcu na pokładzie, przerodziło się w pożałowania godne zamieszanie. Jack ani myślał bowiem kazać obsadzić szalupy, by odczekała moment i dała załodze „Ariela” czas na przygotowanie ceremonii powitania. Po pierwsze, ogromnie się spieszył, a już stracił wiele cennych minut, kupując potrzebne mu drobiazgi w Chatham. Po drugie, dla niego jako człowieka, którego wciąż bolała głowa po wypitym w „Grapes” porto, taka opieszałość wydała się czymś niewytłumaczalnym.

- Spodziewałem się pana dopiero rankiem, sir - wykrzyknął nieszczęśliwy kapitan Draper. - Admirał mówił o porannym płycie.

- Bardzo mi przykro, kapitanie Draper - rzekł Jack. - Ja wszakże zamierzam wypłynąć z tym płycem.

Proszę wezwać załogę na rufę.

W powietrzu poniósł się świergot bosmańskich gwizdków, padł rozkaz:

„Czapki z głów!”, a Jack stanął przy grotmaszcie.

- Z rozkazu komisarza pełniącego urząd Lorda Admirala Wielkiej Brytanii, Irlandii et cetera oraz wszystkich posiadłości Jego Królewskiej Mości et cetera - czytał głośnym, kapłańskim wręcz głosem w świetle latarni, trzymanej przez Drapera. - Adresowane do szacownego Johna Aubreya, mianowanego kapitanem „Ariela”, okrętu Jego Królewskiej Mości. Mocą należnych nam uprawnień przydzielamy kapitanowi Aubreyowi stanowisko dowódcy „Ariela”, okrętu Jego Królewskiej Mości, i nakazujemy bezzwłoczne udanie się na pokład wyżej wymienionego okrętu celem objęcia dowództwa nad jego kapitanem, oficerami oraz załogą. Tym samym zobowiązujemy kapitana Aubreya do prawidłowego dowodzenia wyżej wymienionym okrętem oraz do nadzorowania oficerów i załogi, zarówno wszystkich razem, jak i każdego z osobna, by z należyłą dbałością wypełniali obowiązki wypływające z ich stanowisk oraz zachowywali posłuszeństwo wobec kapitana Aubreya jako ich dowódcy. Kapitana Aubreya zaś zobowiązujemy do przestrzegania ustępów Regulaminu Wojennego oraz wypełniania rozkazów, otrzymywanych bądź od nas, bądź od pańskich zwierzchników na służbie Jego Królewskiej Mości. Od tego momentu ani panu, ani nikomu z załogi nie wolno zaniedbać wypełnianych obowiązków pod groźbą stosownych kar... - Jack całkowicie oddał się odczytywaniu dokumentu, a gdy skończył, słup stał się okrętem klasyfikowanym pod dowództwem J. Aubreya. Niewypełnienie jego prawomocnych rozkazów groziło śmiercią. - Jest mi niezmiernie przykro, ale jestem zmuszony wyrzucić pana wraz z pańskimi gośćmi za burtę - powiedział

do nieszczęsnego Drapera, a potem dodał zdecydowanie mocniejszym głosem: -

Cała załoga do odcumowywania!

- Cała załoga do odcumowywania! - ryknął bosman wraz ze swymi pomocnikami i wszyscy zadęli w gwizdki, choć rozkaz Jacka był nie tylko doskonale słyszalny na pokładzie całego okrętu, a również na cumującym dwa kable na nawietrznej „Indomitable”.

- Oto Jack Aubrey rozpoczyna swoje rządy - powiedział pierwszy oficer

„Indomitable” do nawigatora. - Jeśli nie zobaczymy jakichś fajerwerków przed minięciem Mouse, postawię ci flachę porto.

- Jack „Szczęściarz” Aubrey - powiedział nawigator. - Zawsze słynął ze swej artylerii.

Podczas gdy marynarze gnali na stanowiska, a cieśle pokładowi mocowali drągi kabestanu, Jack odezwał się do Drapera:

- Chciałbym, by przedstawił mnie pan swoim oficerom. - Wszyscy stali tuż nieopodal. Pierwszy oficer zwał się Hyde, drugi Fenton, za nimi czekał

nawigator

Grimmond oraz reszta. Draper w pośpiechu wymienił ich nazwiska.

Marzył tylko o tym, by jak najszybciej posprzątać kajutę kapitańską i pozbyć się swoich głupich gości. Jack oznajmił, że bardzo się cieszy ze spotkania, poprosił

Drapera, by przekazał pokorne przeprosiny dziewczętom, a potem oznajmił: -

Proszę kontynuować, panie Hyde.

Z tymi słowami zajął swe miejsce niedaleko koła sterowego i jał się bacznie przyglądać krzątaniu, towarzyszącej pozbywaniu się gości.

Marynarze zaś byli świadomi jego spojrzeń i zakrzętnęli się wokół swoich obowiązków z żarliwością, którą rzadko kiedy okazywali wobec młodego pana Drapera. Wiedzieli, że Aubrey obejmie dowództwo od chwili, gdy porucznik flagowy przydzielił do załogi pilota znającego Bałtyk, a ten przyniósł rozkazy dla kapitana Drapera. Dzięki kapitańskiemu stewardowi wieści poniosły się po słupie już w dwie minuty później, a choć w załodze „Ariela” było wiele szcurek lądowych i niedoświadczonych chłopców, wszyscy oni służyli w marynarce wojennej wystarczająco długo, by znać reputację Jacka

„Szczęściarza” Aubreya. Zнали opowieści o jego wojennych wyczynach, a trzech lub czterech marynarzy, którzy kiedyś z nim żeglowali, wyolbrzymiało je bez umiaru. Twierdzili, że Aubrey pożera ogień na śniadanie, lunch, obiad i kolację, a wszelkie niezdary bez najmniejszego wahania pakuje do beczek i wyrzuca za burtę. A dlaczego było mu to wolno? A no bo zdobył fortunę! Miał sto tysięcy funtów, dwieście tysięcy funtów, miliony zdobyte na przyzowym i podróżował w karecie zaprzężonej w sześć koni. Wśród tych nieszczęsnych próżniaków, których potraktował wyrzuceniem za burtę, znajdowali się głównie ci, którzy nie trafiali w cel ze swego działa lub przeładowywali je dłużej niż czterdzieści sekund. Marynarze więc chodzili w kółko, pchając przed sobą drągi kabestanu w rytm żwawej melodii wygrywanej na piszczałce, a wszyscy ci, którzy nie spełniali owych kryteriów, przyglądali się nowemu kapitanowi z obawą. Ten zaś stał, milcząc obok zdenerwowanego Hyde’a, a w półmroku jego sylwetka zaiste wydawała się przerażająca i ogromna. Marynarze od razu odgadli, że jest to człowiek stworzony do wydawania rozkazów i rozpoznali emanujący od niego autorytet. Co więcej, wiele wskazywało na to, że Aubrey nie jest w swoim najlepszym nastroju.

Prawoburtowa lina kotwiczna zniknęła w kadłubie. Wachta bezanu, piechota morska oraz większość topmenów napierała na drągi kabestanu, pozostali luzowali linę przez kluzę, a podoficerowie nawigacyjni i marynarze z pokładu dziobowego buchtowali ją, cuchnącą od mułu z dna Tamizy. Ciężka talia kotwiczna była już naciągnięta.

- Kotwica w pionie! - zawołał drugi oficer z pokładu dziobowego.

- Wystąpić do przybierania! - wykrzyknął podenerwowany Hyde i obrzucił Jacka kolejnym nerwowym spojrzeniem. - Znaczy się, przystąpić do wybierania!

Wynurzająca się kotwica „Ariela” wzburzyła powierzchnię wody. Talia kotwiczna została

zamocowana do pierścienia, marynarze pochwycili za fał, podciągnęli ją do kotbelki i zamocowali z ogromną wprawą. Obsada kabestanu nie przestawała napierać na drągi i okręt niemal natychmiast zaczął się przemieszczać w kierunku drugiej kotwicy.

- Kotwica w pionie! - rozległ się okrzyk.

- Wybierać! - krzyknął po raz pierwszy nowy dowódca okrętu, głosem przeznaczonym dla jednostki o wiele większej. - Zablokować kabestan. Chłopcy okrętowi na rufę. - Zauważył bowiem, że Draper był już gotowy, i chciał, by ten zszedł z okrętu z należyтым ceremoniałem, choć miało go to kosztować cenne minuty tego wspaniałego odpływu. Draper opuścił okręt przy akompaniamencie świstu gwizdków, a w jego oczach chyba błysnęły łzy. Jego ponurzy, osowiali goście oczekiwali go w łodzi w milczeniu. W chwili, gdy wiosłarze pochwycili za wiosła, a szalupa oddaliła się od burty na bezpieczną odległość, Jack zawołał:

- Topmeni na reje. Przygotować się do stawienia żagli! - Topmeni ruszyli w górę po wantach i wybiegli na reje, po czym zrzucili sejzingi i znieruchomieli, przytrzymując żagle. - Opuszczać! Wybierać szoty! Wybierać szoty! Do fałów!

Wybierać! Obkładać!

Reje uniosły się, szoty zostały wybrane ku rufie, a falujące żagle napęczniały wiatrem. „Ariel” ruszył naprzód, wrywając kotwicę z dna.

Marynarze przy kabestanie wciągnęli ostatnie sążnie liny maksymalnie szybko, by ich koledzy w kluzach zdołali je odpowiednio ułożyć. Druga kotwica została zamocowana do kotbelki, jeszcze nim słup przemknął obok „Indomitable”.

Minał kotwiczący okręt w odległości zaledwie rzutu kamieniem na nawietrznej, po czym skierował się w lukę między nim a innym okrętem. Zmierzał ku otwartemu morzu, wykorzystując ostatnie pchnięcia odpływu.

- Sprawnie im to poszło - stwierdził nawigator „Indomitable”.

- Lecz wyminięcie nas od nawietrznej było aktem impertynencji - rzekł

pierwszy oficer. - Mało brakowało, by zdarł nam świeżą farbę swą kotwicą.

Kilka minut później na rejach „Ariela” opadły bramsle, a Jack powiedział:

- Proszę wziąć kurs na Mouse, panie Grimmond. Przy niskiej wodzie zawsze pływa tam mnóstwo śmieci. - Aż do tej chwili Stephen, Jagiełło oraz królewski posłaniec starali się nikomu nie zawadzać i stali cichutko przy drzewcu flagowym. Widząc to, Jack zawołał pierwszego oficera, przedstawił go i powiedział: - Panie Hyde, musimy możliwie najwygodniej zakwaterować tych trzech dżentelmenów. Doktor Maturin może dzielić kabinę ze mną, lecz będzie pan musiał znaleźć pod pokładem miejsce na rozwieszenie jeszcze dwóch koi.

Hyde sprawiał wrażenie coraz bardziej zdenerwowanego.

- Zrobię, co w mojej mocy - powiedział z uległym uśmiechem, w którym nie było ani cienia radości.
- Ale „Ariel” to okręt o gładkim pokładzie.

Jack z pewnością podświadomie zarejestrował fakt, że słupowi brakowało wszystkiego z wyjątkiem teoretycznego pokładu rufowego i dziobowego, a pokład biegł w linii prostej od rufy do dziobnicy, przez co zyskiwał na urodzie, lecz bez wątpienia stawał się jednostką bardzo zatłoczoną. Uświadomił sobie to w pełni, gdy poprowadził swych podopiecznych pod pokład. Nauczony długim doświadczeniem instynktownie pochylił głowę i zgarbiony wkroczył do kabiny kapitańskiej. Jagiełło nie miał tyle szczęścia i z ogromną siłą walnął głową w belkę.

- To nic! To naprawdę drobiazg! - zaprotestował, lecz jego twarz natychmiast powlekła śmiertelna bladeść, przez co spływająca po niej krew stała się jeszcze bardziej widoczna. Wspólnie posadzili go na kufrze, nawet posłaniec okazał cień ludzkich uczuć, a gdy Stephen przystąpił do obmywania twarzy z krwi, Jack rozkazał, by przyniesiono grogu.

- To się mogło przytrafić każdemu z nas - stwierdził. - Zawsze trzeba uważać na niskie belki na okrętach nieklasyfikowanych, zwłaszcza francuskich.

Nie spędził jednak z nimi wiele czasu. Gdy tylko okazało się, że życie Jagiełły nie znalazło się w niebezpieczeństwie, natychmiast wrócił na pokład.

Dywizjon kotwiczący w Nore znalazł się już daleko za rufą, a Sheerness stało się zamazaną plamą na horyzoncie. „Ariel” bez trudu pomykał po powierzchni niskiej wody. Łagodny wiatr pozwalał mu osiągnąć prędkość pięciu węzłów, a jego kilwater był równie prosty jak dobrze poprowadzona bruzda.

Próbując wyczuć możliwości okrętu, zrobił kilka nawrotów na niewielkim pokładzie rufowym, przyjrzał się żaglom, wyjrzał za burtę. Jego odczucia w znacznym stopniu pokrywały się z oczekiwaniami - „Ariel” był dobrze skonstruowanym i otaklowanym okrętem, a przy tym szybkim, zwrotnym i łatwym do prowadzenia. Swego czasu dwukrotnie rzucił się za nim w pościg, gdy słup pływał jeszcze pod francuską banderą jako korweta, i dobrze poznał

wówczas jego możliwości, widywał go też często po przejściu go przez Royal Navy. Była to jedna z nielicznych przejętych francuskich korwet ożaglowanych jak fregaty, której oszczędzono dodania nadbudówki - pogarszały się wówczas osiągi okrętu - lecz tradycyjnie już admiralicja przydała „Arielowi” zbyt wiele dział. Nawet wycięto dodatkową furtę działową w każdej burcie. Jack przeczuwał, że decyzja ta przypuszczalnie zmniejszyła możliwości manewrowe jednostki, a na pewno przegłębiła ją ku rufie. Miał jednak pod sobą niewielki, dobrze wytrzymały okręt, wręcz miniaturkę fregaty, choć o piękniejszej, niczym nie zakłóconej linii. Pomimo swych niewielkich rozmiarów słup mógł

się również okazać strasznym przeciwnikiem - jego uzbrojenie składało się z szesnastu karonad trzydziestodwufuntowych oraz dwóch długich dział

dziewięciofuntowych. Gdyby więc udało mu się zbliżyć na tyle, by stoczyć walkę z bliskiego dystansu, „Ariel” był gotów z powodzeniem stawić czoło każdemu innemu okrętowi swej klasy.

Od momentu, gdy usłyszał nazwę okrętu w Whitehall, był święcie przekonany, że na „Arielu” będzie w stanie zrealizować każdy swój zamysł, oczywiście w granicach zdrowego rozsądku. Nie znał jedynie możliwości tych, którzy mieli go prowadzić. Bez wątpienia w załodze znajdowało się wielu doskonałych marynarzy. Manewr odcumowywania wykonali bowiem pierwszorzędnie, a porządek na pokładzie panował wzorowy, nie licząc kontrafału zapomnianego na dziobie. Okręt z pewnością miał jednak braki w załodze, Jack szacował, że do pełnego stanu stu dwunastu ludzi brakowało około tuzina, a poza tym zauważył zbyt wielu chłopców. Najważniejszym pytaniem wszakże było nie to, czy potrafią prowadzić swój okręt, ale czy potrafią obsługiwać działa. Jack nie znał żadnego z młodych oficerów, którzy dowodzili „Arielem” przez ostatnie dwa lata, nie miał pojęcia o ich podejściu do ćwiczeń artyleryjskich, a tymczasem już jutro mogli natknąć się na jakiegoś Holendra niedaleko Scheldt, być może również na francuski bądź amerykański statek korsarski oraz, co było wielce prawdopodobne, na duńską kanonierkę w cieśninie Wielki Bełt. Musiał więc się dowiedzieć, czego może się spodziewać po swej nowej załodze i jaką taktykę powinien w związku z tym obrać.

- Proszę poluzować szoty o pół sążnia, panie Grimmond - powiedział do nawigatora, który pełnił wachtę. - Nie chcemy dotrzeć na miejsce zbyt szybko. I może czas by obłożyć tamten kontrafał. - Jack przeszedł jeszcze kilka razy wzdłuż burty. Czuł, że „Ariel” wytraca nieco prędkość, zupełnie jak posłuszna wodzom klacz, delikatnie ściągana przez jeźdźca. Mouse wciąż znajdowała się w sporej odległości. - Proszę zawołać do mnie artylerzystę - powiedział. A gdy ten stawiał się na wezwanie, rzekł do młodego człowieka o lśniących oczach i okrągłej głowie: - Panie starszy artylerzysto, proszę opisać mi stan swych zapasów. - Zapasów „Ariela” nie można było nazwać bogatymi, ale nie były również ubogie. Jack mógł więc sobie pozwolić na dwie lub trzy salwy burtowe z wykorzystaniem kilku baryłek podrzędnego, białego prochu. Owe salwy wyczerpałyby przydział admiralicji na następne osiem miesięcy, lecz zaraz po zawinięciu do Karlskrony, gdzie stacjonował admirał głównodowodzący bałtyckiego teatru wojennego, Jack planował uzupełnić proch i kule za własne pieniądze. Tak postępowała większość kapitanów, których stać było na tak wielki wydatek i którzy byli głęboko przekonani, że szybki, celny ogień artyleryjski jest najlepszym sposobem na pokonanie wroga na morzu. -

Doskonale - powiedział, usłyszawszy trzy uderzenia w dzwon podczas ostatniej psiej wachty. - Panie Hyde, proszę bić na alarm bojowy, jeśli łaska.

- Alarm bojowy! - wrzasnął pierwszy oficer, lecz gdy tylko przebrzmiał

jego głos, nastąpiła chwila przerażającej ciszy. Nikt w załodze „Ariela” nie spodziewał się alarmu o tak późnej porze, a okrętowy dobosz spał smacznie na dziobie ze ściągniętymi bryczesami. Nigdzie też nie można było znaleźć bębna, nie mówiąc już o wygraniu werbla. Marynarze jednak szybko znaleźli się na swoich stanowiskach bojowych, popędzeni przez bosmana i jego pomocników, a kilka minut później oczekiwania Jacka zostały wynagrodzone komicznym widokiem dobosza, który z powiewającymi na wietrze połami koszuli walił

wściekle w swój instrument wobec znieruchomiałej na pozycjach załogi. -

Doprawdy świetna robota! - ryknął Hyde, wygrażając pięścią w kierunku nieszczęsnego człowieka. Następnie zwrócił się w stronę Jacka i powiedział

cichym głosem pełnym szacunku: - Wszyscy marynarze trzeźwi i na stanowiskach, sir!

- Dziękuję, panie Hyde - rzekł Jack i podszedł do wymaginowanej linii, która oddzielała wymaginowany pokład rufowy od równie wymaginowanego śródokręcia. Brzeg Mouse zbliżał się szybko, a choć zapadł już niemal całkowity zmrok, nadal widział długie pasmo unoszących się na wodzie śmieci, które zbierały się tam między pływami. - Cisza na okręcie! - wykrzyknął, choć nie było najmniejszej potrzeby. Na pokładzie panowała grobowa cisza, a jedynymi słyszalnymi odgłosami były świst wiatru w takielunku, poskrzypywanie bloków i plusk wody o burtę. Wszyscy marynarze wiedzieli jednak, że „Cisza na okręcie!” to jedyny właściwy początek wojennej litanii, której następne zdania brzmiały: - Zwolnić uprząż! Wyrównać lufę! Wycior w dłoń! Odtoczyć działo! - Wykonywali te polecenia bez szczególnego zdziwienia, lecz niespodziewanie kapitan przerwał rytualny ciąg, wołając: - Panie Grimmond, proszę ustawić okręt w połowie odległości strzału z muszkietu od tamtej baryłki - rzekł do prowadzącego okręt nawigatora, co wywołało zdumienie marynarzy. - Wycelować działa! - rzucił donośniejszym głosem. -

Waszym celem jest dryfująca skrzynka na prawej ćwiartce dziobowej. Strzelać, gdy znajdziecie się w zasięgu, od stanowisk dziobowych począwszy.

Wszyscy wstrzymali oddech, a potem ciemności rozświetlił rozbłysk z dziobowej dziewięciofuntówki. Natychmiast dołączyła do nich rozdzierająca salwa karonad.

- A co ci mówiłem? - powiedział pierwszy oficer „Indomitable” do nawigatora.

Obaj spojrzeli na północ, skąd dobiegł głuchy, gniewny pomruk dział, a w chwilę później zarumieniły się nisko wiszące chmury na północnym niebie.

- Wykonał zwrot - powiedział nawigator.

Znów rozległ się odległy grzmot, po czym nastąpiła chwila ciszy.

Nawigator zaczął liczyć, a gdy doszedł do siedemdziesięciu, niebo na powrót rozświetlił długi błysk.

- Zdaży jeszcze z czwartą - rzekł porucznik, lecz tym razem się pomylił.

- Zamocować działa - rozkazał Jack. - Dobra robota - rzucił jeszcze w stronę Hyde'a, po czym zszedł pod pokład z uśmiechem na ustach. Po jego złym nastroju i bólu głowy nie było już śladu.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Żaden okręt holenderski nie wypłynął z Texel bądź Scheldt na spotkanie

„Ariela”, nie natknęli się też na statki korsarskie. Oczekiwała ich jednak żegluga niedaleko wybrzeży duńskich, a Duńczycy, od czasu zbombardowania ich stolicy oraz przejęcia floty wojennej, nie darzyli Royal Navy serdecznymi uczuciami. Prawdziwe niebezpieczeństwa były jeszcze przed nimi i niewielki okręt kontynuował rejs przygotowany na najgorsze.

Ku swemu zadowoleniu Jack odkrył, że odziedziczył znacznie lepszą załogę, niż się tego spodziewał.

Artylerzysta wyuczył się swego fachu na starym

„Druidzie” pod rozkazami Broke’a, a dwóch spośród jego pomocników należało do załogi „Surprise”, gdy dowodził nią Jack. Draper, poprzedni dowódca

„Ariela”, niezbyt chętnie inwestował w proch i kule, ale przynajmniej zamocował nowe zamki oraz celowniki w dziewięciofuntówkach, a jego oficerowie, nie wyróżniająca się zbytnio grupka młodych ludzi, z ogromną ochotą przyswajała sobie tajniki walki artyleryjskiej na poziomie, który zdaniem ich nowego kapitana był odpowiedni dla okrętu Jego Królewskiej Mości.

„Ariel” żegłował więc na północ, nierzadko spowity swym własnym dymem, grmiąc w dzień i w nocy. Jack wybierał najróżniejsze, często niespodziewane chwile na ćwiczenia, co było najlepszą metodą przygotowania załogi do działania w chwili zagrożenia i choć nie mógł liczyć na to, że jego nowi podwładni osiągną wprawę i celność załóg, które trenował podczas długich rejsów, choćby z tego względu, że krótkie karonady nie były w stanie wyrzucać swych pocisków z precyzją długiego działa. Był jednakowoż zadowolony z osiągniętych dotychczas rezultatów i nabierał przekonania, że

„Ariel” nie okryje się wstydem w spotkaniu z równorzędnym przeciwnikiem.

Zaczynał już marzyć o takowym starciu, nie tylko ze względu na swe wrodzone upodobanie do bitew morskich i towarzyszącego im ogromnego uniesienia, lecz również dlatego, że załoga słupu, która nie należała do najgorszych, pochodziła z trzech ostatnich poborów i brakowało jej jeszcze zgrania. W swej karierze żeglarza niejednokrotnie zaś zauważył, że marynarzy, którzy wyszli cało z poważniejszego starcia, łączy później wielkie przywiązanie, a nawet przyjaźń.

Pojawia się również ogromna, niezwykle istotna zmiana w relacjach między załogą a oficerami, zmiana, która oddziaływała w obie strony. Jego samego na przykład łączyła szczególna więź z Raikesem i Harrisem, pomocnikami artylerzysty, ponieważ wszyscy trzej swego czasu uczestniczyli w bitwie na Oceanie Indyjskim, zakończonej uszkodzeniem francuskiego liniowca.

Obyczaje panujące w marynarce raczej wykluczały przebywanie we własnym towarzystwie podczas rejsu, lecz owa osobliwa sympatia oraz obopólny szacunek był faktem bezspornym.

- Oto właśnie odpowiednie życie dla mężczyzny - powiedział do Stephena po tym, jak ich ćwiczenia artyleryjskie zmusiły latarnika na Helgolandzie do ponownego uderzenia w dzwon.

- Z pewnością. Nawet połączenie okrętu wojennego wraz z jego wszystkimi masztami, linami i wiszącymi na nich żaglami, stanowiącymi jakże ładny dodatek do całości, nijak się ma do problemów życia na lądzie - odparł

Stephen, podciągając kołnierz. Od dawna uderzało go, że na morzu Jack stawał się całkiem innym człowiekiem, większym i potężniejszym, zdolnym zarówno rozwiązywać zaskakujące, niespodziewane problemy, jak i kontrolować codzienną rutynę. Zauważył też, że po wypłynięciu Jack zazwyczaj stawał się również człowiekiem szczęśliwszym, lecz rzadko kiedy owa przemiana zaznaczała się tak silnie jak teraz. Od Wysp Zachodniofryzyjskich nadciągnęła ostra mżawka, a krótkie, krzyżujące się fale ciskały bryzgami przez nawietrzną burtę pokładu rufowego, lecz

ociekająca wodą twarz Jacka, skryta za kołnierzem nie pasującej na niego, w pośpiechu kupionej kurtki marynarskiej, promieniała niczym słońce wstające podczas niepogody. - Być może jednym z powodów takiego stanu rzeczy jest nasza prosta dieta, podawana o ściśle ustalonych porach i nie wymagająca od nas zaangażowania - ciągnął. - Na lądzie jedzenie jest nierzadko tematem rozważań, przez co nasze soki trawienne są bezustannie zwodzone. Bez wątpienia jednak znacznie ważniejszym czynnikiem na lądzie jest towarzystwo całkowicie odmiennej płci, pobudzenie innych apetytów oraz obecność całkowicie odmiennych wartości społecznych, nawet moralnych.

- Cóż, jeśli o to chodzi... - zaczął Jack, lecz naraz stracił wątek, gdyż jego uwagę przyciągnęło coś na salingu foka. Staął na palcach, usiłując lepiej się przyjrzeć, po czym zawołał do midszypmena na burcie zawietrznej: - Panie Rowbotham! Skocz pan na saling foka i przekaz panu Jagielle moje pozdrowienia. Powiedz mu również, że miałbym ochotę zamienić z nim słówko, jeśli znajdzie dla mnie chwilkę. I niech pan słucha, Rowbotham! Ma zejść przez przełaz marsa, zrozumiano! Żadnego skakania po rejach, żadnego ześlizgiwania się po baksztagach, jasne?

- Żadnego, sir! Tak jest, sir! - wypalił Rowbotham i śmignął w górę po takielunku, dorównując jeśli nie gracją, to na pewno szybkością swemu kuzynowi lemurowi katta.

- Przepraszam - powiedział Jack. - Nie mogę mu jednak pozwolić na łażenie po rejach, a już na pewno nie teraz, gdy ma zranioną dłoń. Ten człowiek ma pecha i z pewnością skręci sobie kark.

Nie przesadzał. Starczyła pozostawiona na moment luka między siatkami z hamakami, by Jagiełło wpadł do morza. Śmiejącego się serdecznie Litwina wyciągnięto na zrzęcznie rzuconej loglinie. Starczyło też pozostawić na chwilę otwarty luk, by zleciał do ładowni. Uratowało go jedynie to, że spadł na stertę pustych worków. Cudem też uniknął śmierci, gdy u jego stóp wbił się rożek takielarski, upuszczony przez Mosesa Niezgułę z rei sterbramsła. Ciężkie, metalowe narzędzie spadło z takiej wysokości, że wbiło się w deski pokładu niczym element kuli łańcuchowej. Wczoraj natomiast, gdy pokazywano mu z bliska mechanizm dziewięciofuntówki, zamek wystrzelił z zaczepu kurka i niemal odciął mu jeden z palców, a pokaleczył pozostałe. Mimo tego marynarze polubili młodego Litwina, gdyż był człowiekiem nieustannie pogodnym, najprawdopodobniej całkowicie pozbawionym lęku, a co więcej, dzięki jego wstawiennictwu Moses Niezguła uniknął chłosty. Jego towarzystwo ceniono również w mesie oficerskiej, gdyż Jagiełło z ochotą słuchał anegdot oficerów i doceniał ich poczucie humoru. Mimo to mniej inteligentni oficerowie, jak choćby Hyde, nadal mówili do niego powoli, głośno i bardzo prostymi słowami, jak się mówi do niedorozwiniętych dzieci oraz obcokrajowców:

- To... jest... psi trup. Naprawdę... nazywa się... pudding grochowy... ale...

my... mówimy... psi trup. Czy... lubisz... psi trup?

Lekarz pokładowy Graham, który w chwilach trzeźwości okazywał się bardzo inteligentnym człowiekiem, oraz drugi oficer Fenton utrzymywali, że odzywanie się w ten sposób do człowieka, który tak doskonale gra w wista, a w szachy pokonuje wszystkich przeciwników, to skrajny nonsens. Na nich obu wpłynęła również oszałamiająca uroda litewskiego oficera oraz trudny do zdefiniowania czar jego sposobu bycia.

- O, panie Jagiełło - rzekł Jack. - Bardzo uprzejmie z pana strony, że postanowił pan zejść do nas. Przede wszystkim chciałbym pana spytać, czy zaszczyliłby pan mnie, przyjmując zaproszenie na obiad. Będzie tam również pan Hyde. Po drugie, interesuje mnie również, czy ma pan jakieś znajomości w kręgach wojskowych w mieście Göteborg. W beczkach z prochem w dolnym rzędzie tu i ówdzie prześwituje już dno i mam wielką ochotę uzupełnić nasz zapas.

- Z ogromną ochotą, sir - rzekł Jagiełło. - Dziękuję bardzo za zaproszenie.

Jeśli zaś chodzi o Göteborg, to znam tam samego komendanta. Jestem przekonany, że z ochotą obdaruje pana prochem, tym bardziej, że jego matka pochodzi ze Szkocji.

Słowa Stephena na temat ubogiej diety w marynarce znalazły odzwierciedlenie w obiedzie, jakim podjął swych gości kapitan Aubrey. O

wyjątkowości ich posiłku świadczyła jedynie przyprawiona sherry, podana na początku, wzmocniona pokruszonymi, twardymi jak kamień sucharami, mizerny kurczak, którego Stephen starannie podzielił na cztery zeschnięte, cuchnące smołą kawałki i wczorajszy, suszony groch, który gotowano w płótnie tak długo, aż zlepił się w jednolitą masę. Danie główne, czyli solona konina z sucharami, nieco wcześniej tego dnia została również zaserwowana w mesie oficerskiej, w kubryku midszypmenów oraz w mesach pokładowych. „Ariel” bowiem wyruszył na morze w tak nieodpowiednim momencie, że nikt nie zdołał

dokonać osobistych zakupów. Resztki smakołyków na pokładzie pochłonięto, na długo zanim okręt dotarł do pięćdziesiątego czwartego stopnia szerokości północnej, a teraz cała załoga musiała się zadowolić tym, co zafundowało im Biuro do spraw Zaprowiantowania, przynajmniej dopóki nie dotrą na szwedzkie wody.

- Czy zechciałby pan pokroić koninę pana Jagiełły? - Jack zwrócił się do Hyde'a, wskazując mu obandażowaną dłoń gościa.

- Oczywiście, sir! - wykrzyknął porucznik i przystąpił do żmudnego zadania. Podana konina bowiem odbyła już drogę do Indii Zachodnich i z powrotem, a w chwili obecnej nadawała się do rzeźbienia całkiem trwałych ornamentów. Nawet mimo wielu godzin moczenia i gotowania w kotłach w kambuzie nadal była twarda jak dębowe drewno. Stephen zauważył, że Hyde był mańkutem, co bardzo przeszkadzało w tej sytuacji, ale w jego lewej ręce, najwyraźniej przyzwyczajonej go do krojenia solonej koniny, drzemało wiele siły. Napierając na bryłę mięsa z całą mocą, wreszcie podzielił ją na kawałki rozsądnej wielkości.

- Mam... nadzieję... że... nie boleć... za dużo?

- Jest pan niezwykle miły - rzekł Jagiełło. - To doprawdy drobiazg, choć muszę przyznać, że dziś rano miałem drobne problemy z goleniem i nałożeniem kurtki marynarskiej. Doktor Maturin jednak - przy tych słowach Litwin skinął w kierunku Stephena - wespół z doktorem Grahamem...

W tym momencie kawałek krojonego mięsa wystrzelił spod noża Hyde'a i z zaskakującą siłą ugodził Jacka w brzuch. Na próżno jednak wszyscy skwitowali to wybuchem śmiechu, na próżno Jack

żartował, że powinien Hyde'a powiesić za skierowanie śmiertelnej broni przeciwko przełożonemu oficerowi -

nieszczęsny Hyde ledwie zdołał się uśmiechnąć. Wkrótce wznowiono posiłek, a pierwszy oficer ujął miskę z puddingiem grochowym i podał ją Jagielle, mówiąc:

- Trochę siego pruta? Znaczą się, psiego trupa?

Stephen już kilka razy zauważył u niego tendencję do przestawiania liter i zaczął się zastanawiać, czy nie ma to jakiegoś związku z jego leworęcznością i czy mylenie strony prawej z lewą - dostrzegł bowiem, że Hyde nawet porto podaje w odwrotnym kierunku - nie pociąga za sobą inwersji dźwięków, zwłaszcza w chwilach zakłopotania. Porzucił wszakże te rozważania i powiedział:

- Jakiś czas temu rozmawialiśmy o płci przeciwnej, ale zastanawiam się, czy jest to odpowiedni temat przy kapitańskim stole, gdzie nie wolno rozmawiać o religii i polityce. Czy to możliwe, by był on interesujący jedynie na pokładzie, ale zabroniony pod nim?

- Sądzę, iż byłem już świadkiem rozmów o kobietach przy stole kapitańskim - rzekł Jack.

- Czuję się na tym okręcie w miarę swobodnie i pragnąłbym wyjaśnić kilka niezrozumiałych dla siebie kwestii. Otóż wszyscy ludzie na tej arce, wszyscy obywatele tej pływającej społeczności, są tej samej płci. Jaki byłby skutek, gdyby naszą załogę stanowiły w połowie kobiety, podobnie jak w społecznościach lądowych?

Pytanie skierowane było głównie do Jagiełły, który się zarumienił i oznajmił, że nie ma pojęcia.

- Niewiele wiem o kobietach - rzekł. - Tylko tyle, że nie można się z nimi zaprzyjaźnić. Kobiety to cisy tego świata.

- Cisy31, panie Jagiełło? - wykrzyknął Jack. - Byłby niezły ambaras, gdyby z takich cisów można było robić tarany - mruknął pod nosem, chichocząc.

- Miałem na myśli Żydów - powiedział Jagiełło. - Nie da się zaprzyjaźnić z Żydem. Poniewiera się ich i opluwa od tak dawna, że po prostu wrosli w naszą świadomość jako wrogowie, zupełnie jak to było w wypadku lakońskich helotów. Kobiety zaś są naszymi domowymi helotami dłużej, o wiele dłużej.

Trudno o przyjaźń z wrogiem, nawet podczas rozejmu. Wrogowie zawsze się sobie przyglądają z nieufnością. A skoro nie jesteśmy przyjaciółmi, to jak mamy siebie poznać?

- Wielu ludzi jest przekonanych o istnieniu miłości - zasugerował

Stephen.

- Miłość? - wykrzyknął młodzieniec. - Miłość przychodzi z czasem, a przyjaźń nie. Przecież to wasz Szekspir głosi...

Żeglarze jednakże nie dowiedzieli się, co chciał im przekazać Szekspir, gdyż w drzwiach do kabiny stanął midszypmen, przysłany przez oficera wachtowego, i oznajmił, że na zawietrznej poprawiła się widoczność, dzięki czemu dostrzeżono żagle dwudziestu ośmiu statków handlowych oraz brygu i fregaty, którymi są najprawdopodobniej „Melampus” i „Dryad”.

- Z pewnością mijamy się z konwojem bałtyckim - stwierdził Jack. -

„Melampusa” nie da się pomylić z żadnym innym okrętem. Tak czy owak, myślę, że możemy im się przyjrzeć. Doktorze, czy zechciałby pan zabawić pana Jagiełłę rozmową do czasu naszego powrotu? Mam wielką nadzieję, że uda nam się zakończyć obiad czymś lepszym od tego przeklętego sera z Essex.

- Panie Jagiełło - powiedział Stephen po wyjściu oficerów. - Chciałbym pana wypytać o starożytne bóstwa Litwy, które, jak sądzę, nadal wiodą mroczny żywot wśród pańskich rodaków. Chciałbym też dowiedzieć się czegoś o czczeniu świętych dębów, o noszeniu kołtunów,

o bobrach, orłach bielikach, norkach i żubrach, ale jest jedna kwestia, z którą muszę pana zaznajomić poza kolejnością, zanim mi to całkiem umknie.

Otóż powierzono mi zadanie przekazania panu pewnych słów, co chciałbym uczynić w możliwie najbardziej taktowny, dyplomatyczny sposób. Nie chcę, by przypominały one rozkaz, gdyż uraziłoby to pana jako gościa, lecz będą one miały podobny skutek. Pańska zręczność w poruszaniu się w wyższych partiach takielunku wzbudza powszechny podziw

I zachwyty, mój drogi panie, lecz z drugiej strony wywołuje w nas wielki niepokój, wprost proporcjonalny do szacunku, jakim pana obdarzamy. Kapitan poczułby ogromną ulgę, gdyby zechciał pan ograniczyć się do tych niższych platform, przez żeglarzy zwanych marsami.

- Czyżby się obawiał, że spadnę?

- Obawiam się, że prawa grawitacji oddziałują znacznie mocniej na żołnierzy aniżeli na marynarzy, a skoro pan służy w husarii, kapitan jest przekonany, że spadnie pan prędzej czy później.

- Spełnię jego wolę, rzecz jasna. Lecz kapitan jest w wielkim błędzie, zapewniam pana. Bohaterom nie są straszne upadki, a przynajmniej upadki śmiertelne.

- Nie wiedziałem, że jest pan bohaterem, panie Jagiełło.

Na „Arielu” postawiono bramsle oraz żagle boczne.

Okręt skręcił gwałtownie, zostawiając ostry wiatr za trawersem, po czym pomknął w kierunku „Melampusa” z prędkością przynajmniej dziesięciu węzłów, nurzając reling zawietrzny w pianie. Nagły zwrot zaskoczył zarówno Maturina, jak i Jagiełłę. Młody Litwin siedział co prawda za stołem, lecz niespodziewany manewr słupa strącił go z krzesła i posłał w dół po pochyłej podłodze. Ostrogi wbiły się mu w drewno pokładu i uwięziły go na moment.

- Ależ oczywiście, że jestem bohaterem - powiedział, wstając i śmiejąc się z całego serca. - Każdy

mężczyzna jest bohaterem swej własnej opowieści. Tak, doktorze Maturin, każdy człowiek powinien uważać siebie za tego mądrzejszego, inteligentniejszego i cnotliwszego od pozostałych. Czy to możliwe, by ktoś uważał się za łajdaka lub gorszego od innych? Co więcej, na pewno sam pan zauważył, że bohaterowie nigdy nie zostają pokonani. Zdarza się, że raz na jakiś czas zostają wyłączeni z boju, lecz zawsze udaje im się zebrać siły, a w końcu biorą za żony młode, cnotliwe szlachcianki.

- W istocie, zauważyłem. Istnieje kilka chlubnych wyjątków, ale jestem przekonany, że w gruncie rzeczy ma pan rację. Być może właśnie to sprawia, że owe opowieści stają się w końcu nieco nużące.

- Och, doktorze Maturin! - wykrzyknął Jagiełło. - Och, gdyby udało mi się kiedyś spotkać jakąś Amazonkę, dumną przedstawicielkę plemienia kobiet, które nigdy nie pozwoliło się pokonać, kobietę, która stałaby się moim przyjacielem... Och, ależ bym ją kochał.

- Przykro mi, mój drogi, lecz mężczyźni pozbyli się ostatnich Amazonek jakieś dwa tysiące lat temu i obawiam się, że pańskie serce pozostanie dziewicze aż po kres żywota.

- Co to za rumor? - spytał nagle Jagiełło. - Jakby niedźwiedzie tańczyły na dachu.

- Spuszczają szalupę na wodę. Wycie marynarzy, jak sędzę, oznacza, że minie jeszcze sporo czasu, nim ujrzymy nasz deser. Co pan powie na partyjkę szachów w trakcie oczekiwania? Nie będzie to co prawda rozstrzygający sprawdzian naszej mądrości, cnoty czy inteligencji, lecz nic innego nie przychodzi mi akurat do głowy.

- Z ogromną ochotą - rzekł Jagiełło. - Niemniej, jeśli przegram, proszę nie myśleć, że w jakimkolwiek stopniu zmieni to moje przekonania.

Partia ta nie zdradziła co prawda wiele na temat inteligencji obu graczy, lecz udowodniła, że Jagiełło miał w sobie o wiele więcej cnoty lub przynajmniej uprzejmości aniżeli Stephen. Lekarz grał bowiem, by wygrać i z miejsca przypuścił potężne natarcie na królową przeciwnika. Atak rozpoczął się jednak o jeden ruch za wcześniej i teraz już tylko jeden pion maskował jego ciężką kawalerię. Nadszedł czas, by Jagiełło zadał sobie w duszy pytanie, dlaczego grał, by przegrać, i jak doszło do tego, że popełnił błąd tak oczywisty dla swojego przeciwnika. Litwin co prawda grał w szachy o niebo lepiej od Stephena, ale nie dorównywał mu umiejętnością ukrywania uczuć i Stephen przez chwilę z uciechą obserwował jego zbaraniałą, zaskoczoną minę. Grę przerwały odgłosy powrotu łodzi.

W chwilę później do kajuty wszedł Jack, a za nim wślizgnął się steward, uginający się pod ciężarem ciasta śliwkowego wielkości średniej dorożki.

Następnie do środka weszło dwóch marynarzy i postawiło zakryty kosz, w którym pobrzękiwało jakieś szkło. Stukot kopyt oraz melancholijne beczenie nad głowami zdradziło im, że na pokładzie pojawiła się również przynajmniej jedna owca. Jagiełło natychmiast usunął szachownicę, by zrobić miejsce na ciasto. W jego spojrzeniu pojawiła się ulga, gdyż rozsypując figury, rozwiązał

swój problem.

- Przykro mi, iż musieliście czekać tak potwornie długo - rzekł Jack. -

Liczę jednak na to, że nie będziecie zawiedzeni tym, co zdobyłem. „Melampus” zawsze opływał w dostatki niczym Mansion House. Niech pan siada, Jagiełło, i ukroi sobie porcję. Musi nam to starczyć, póki nie dotrzemy do Göteborga.

Göteborg okazał się miastem budzącym żal i smutek. Większość zabudowań pochłonął niedawny pożar, a w pozostałych gnieździł się nieliczni, ogarnięci melancholią mieszkańcy, ubrani w szare, wełniane rzeczy. Zajmowało ich głównie upijanie się oraz popełnianie samobójstw - podczas krótkiego postoju „Ariela” rzeka wyrzuciła trupy aż trzech samobójców - lecz do obcych odnosili się życzliwie. Komendant miasta natychmiast dostarczył swój najlepszy czerwony proch, a od siebie dorzucił prezent w postaci wędzonych ozorów reniferów oraz baryłkę solonych myszołowów trzmielojadów. Tę ostatnią wręczył Stephenowi ze słowami:

- Proszę również przyjąć tę niewielką baryłkę myszołowów.

- Myszołowów, mój drogi panie? - wykrzyknął Stephen, który w jednej chwili utracił swój zwyczajowy spokój.

- Och, nie tych zwykłych myszołowów - rzekł komendant. - Nie są to również myszołowy włochate, nie ma się pan czego obawiać. To wszystko myszołowy trzmielojady, zapewniam pana.

- Och, jestem całkowicie przekonany i dziękuję panu z całego serca. Czy mógłbym spytać, jak się tu znalazły? - spytał doktor, przyglądając się beczulce z uwagą.

- Sam je tam wsadziłem - odpowiedział z dumą komendant. - Wsadziłem je tam własnymi rękami, osobiście wybrałszy każdego z nich. To doprawdy dorodne, tłuste ptaki, choć może nie powinienem tego mówić.

- Zastrzelił je pan, sir?

- Och, nie! - odparł zaskoczony komendant. - Nie wolno strzelać do trzmielojadów, to psuje smak mięsa. Nie, skądże. Trzmielojadom skręca się karki.

- A podoba im się to?

- Nie sędzę. Dzieje się to w nocy. Mam niewielki domek na półwyspie Falsterbo, na odległym krańcu cieśniny Sund, gdzie rośnie trochę lasów.

Jesienią przelatują tamtędy całe mrowia ptaków migrujących na południe.

Tysiące z nich przysiada na gałęziach - jest ich tam tyle, że ledwie drzewa widać. Wybieramy podówczas najlepsze, ściągamy je na ziemię i skręcamy im karki. Dzieje się tak od wieków. Najlepsze solone trzmielojady pochodzą właśnie z Falsterbo i nie mam wątpliwości, że już pogodziły się ze swoją dolą.

- Orły też się tam pojawiają?

- Och, tak, oczywiście!

- Je też się soli?

- Ależ skąd! - Komendant był rozbawiony. - To byłaby dopiero dziwaczna potrawa. Orły się marynuje, wie pan, w przeciwnym razie ich mięso staje się bardzo suche.

- Oddałbym wszystko, by ujrzeć owo Falsterbo - rzekł Stephen, gdy wnoszono beczki prochu na pokład.

- Być może będziesz miał taką możliwość - odpowiedział Jack. - Wedle komendanta duńskie wybrzeże Bøltu aż roi się od posterunków i twierdz.

Dowódca „Melampusa” twierdzi zresztą podobnie, tak więc miałbym ogromną ochotę wpłynąć na Bałtyk przez Sund. Porozmawiam może najpierw z pilotem.

Panie Pellworm - powiedział, gdy tylko zjawił się ekspert od wód Bałtyku. Był

to stary człowiek, którego Jack znał od bardzo wielu lat i wysoko cenił. - Mam wielką ochotę wpłynąć na Bałtyk przez Sund, a usłyszałem, że Duńczycy zmienili położenie swych boi. Czy dałby pan radę przeprowadzić „Ariela” przesmykami pod osłoną nocy, powiedzmy tuż przed świtem?

- Już jako młody chłopak... - odparł Pellworm. - Już jako chłopak przemierzałem wody Sundu, aż w końcu poznałem je jak własną kieszeń. Jak własną kieszeń, sir. Nie potrzebuję tych ich znaków, by nocą przeprowadzić przesmykami okręt o zanurzeniu „Ariela”. Mogę też poprowadzić go prosto na Falsterbo, korzystając ze świateł Szwedów.

- A co pan sądzi o wietrze, Pellworm?

- Cóż, sir, o tej porze roku zawsze mawiamy: „Wpływasz Sundem, wypływasz Bøltem”, gdyż wiatry zachodnie zwykle skręcają nieco ku północy w Sundzie i ku południowi w Bøltie. Niech się pan nie martwi o wiatry, sir.

Niech mnie piorun strzeli, jeśli korzystny wiatr nie utrzyma się w Sundzie przez najbliższe trzy, cztery dni!

- Dobrze, a więc zrobmy to, panie Pellworm. Podniesiemy kotwicę, jak tylko odbije ta barka z prochem i wpłyniemy w przesmyki pod osłoną nocy.

Pilot nie musiał się obawiać piorunów, przynajmniej jeśli chodziło o kierunek wiatru, gdyż w początkowej fazie rejsu przez Kattegat słup sunął

naprzód ze sporą szybkością. Pomylił się jednak co do jego siły. Jack ocknął się podczas wachty środkowej i przez moment przysłuchiwał się pluskowi wody wzdłuż burt, po czym wstał, nałożył kurtkę marynarską na koszulę nocną i wyszedł na pokład. Blask księżyca był rozproszony, przez co

morze wydawało się całkiem czarne. „Ariel” płynął pod wszystkimi żaglami z prędkością być może pięciu węzłów, lecz na pewno nie więcej. Daleko na lewej ćwiartce dziobowej widać było światło na szwedzkim wybrzeżu.

„Czyżby to Kullen?” - pomyślał Jack. „Lecz przecież Kullen powinniśmy już dawno zostawić za sobą!”.

Podszedł do naktuza, ujął tabliczkę na notatki nawigacyjne, na której kredą zapisano kierunek wiatru, kurs oraz prędkość okrętu, i szybko oszacował

jego pozycję. Tak, bez najmniejszych wątpliwości było to Kullen.

Pilot podszedł do niego i zakaszłał przeproszająco.

- Czy mógłbym zbudzić śpiącą wachtę i pogonić wszystkich do postawienia jeszcze kilku żagli, sir? - spytał.

- Nie - odparł Jack. - To nic nie da. Poczekajmy do ósmej szklanki.

Mieli wielkie opóźnienie, ale mimo to nie było sensu budzić całej załogi.

Nawet gdyby postawili teraz bombramsle, żagle boczne oraz górne i tak byli zmuszeni zakończyć wędrówkę przez przesmyki w świetle dnia.

- Panie... Panie Jevons, bo to pan, prawda? - odezwał się do opatulonego midszypmena, ledwie rozpoznawalnego w ciemnościach. - Idź pan, proszę, pod pokład po mój płaszcz, wisi przy barometrze. I postaraj się pan nie obudzić doktora!

Owinięty w swój płaszcz Jack podszedł do latarni rufowej, skąd zaczął

przyglądać się niebu i okrętowi oraz rozważać rozwój wydarzeń. Nadal uważał, że powinien kontynuować żeglugę tym samym kursem zamiast zawracać i próbować prześlizgnąć się Bełtem. Nie groziło im przecież wielkie niebezpieczeństwo, a wracając, straciliby wiele czasu. Obawiał się jedynie, że dzięki nocnemu opóźnieniu natkną się na oczekujące ich duńskie kanonierki z Kopenhagi lub Saltholm, gdyż wieści o ich rejsie mogły już dotrzeć do uszu Duńczyków. Spotkanie z kanonierkami zaś mogło się nieprzyjemnie zakończyć, zwłaszcza jeśli wiatr ucichnie całkiem. Ich kapitanowie znali swój fach i zdołali już zatrzymać sporo słupów i brygów brytyjskiej marynarki wojennej. Mimo tego nie zamierzał się cofać. Od rozważań nad swą decyzją przeszedł do rozmyślań nad innymi aspektami życia na morzu oraz niezmienną rutyną, z którą spotykał się na każdym swoim okręcie. Nierzadko owa rutyna okazywała się surowa, wymagająca i nieprzyjemna, towarzyszyło jej również przenikliwe zimno, a mimo to dzięki niej wszelki chaos zamieniał się w porządek. Rutyna była powszechnie uznanym szkieletem funkcjonowania załóg oraz zbiorem przychodzących z góry przykazań, nierzadko arbitralnych, bywało również, że archaicznych i przestarzałych, lecz powszechnie wykonalnych, a także bardziej oczywistych i lepiej wdrożonych niż dekalog. W obrębie samego szkieletu pojawiało się oczywiście nieskończenie wiele problemów, lecz panujący porządek podsuwał rozwiązania dla większości z nich, a niektóre eliminował

szybko karą śmierci.

Rozległo się siedem uderzeń w dzwon pokładowy.

- Wszystko w porządku! - rozległy się okrzyki wacht na okręcie.

Wkrótce usłyszeli osiem uderzeń. Buchnął zaduch, gdy na pokład jęli wychodzić rozbudzeni marynarze wachty prawej burty, nie umyjni, jeszcze rozgrzani od snu i zaróżowieni na twarzach. Podoficer wachtowy cisnął log za burzę.

- Rozwijam! - zawołał.

- Koniec! - krzyknął podoficer nawigacyjny dwadzieścia osiem sekund później.

- Jaki wynik? - zawołał Jack.

- Cztery węzły i trzy sążnie, sir, za pozwoleniem - odpowiedział Fenton.

Spodziewał się takiego odczytu. Prędkość okrętu nadal się zmniejszała, ale wciąż mógł podплыnąć bliżej szwedzkiego brzegu i skryć się pod osłoną tamtejszych baterii. W ostateczności pozostawało zawinięcie do Helsingborga.

Podczas gdy na pokładzie znajdowały się nadal obie wachty, wydał szybko rozkazy postawienia jeszcze kilku żagli, po czym powrócił do swych rozważań.

Na wschodzie niebo zaczęło się przejaśniać, a na okręcie trwał już rytuał

pucowania niemal nieskazitelnie czystego pokładu. Pompy zgrzytały, deski były już mokre, tak więc Jack zszedł pod pokład. Miał zamiar nałożyć cieplejszą odzież, ale chciał też usunąć się z drogi marynarzom z podwachtu grota, którzy uzbrojeni w wiadra, piasek, cegiełki i szczotki nacierali ku rufie.

„Ariel” był bardzo małym okrętem, lecz przynosił swemu dowódcy wiele chluby. Po bokach kajuty kapitańskiej znajdowały się drzwi do dwóch małych pomieszczeń, z których jedno stanowiło osobistą jadalnię dowódcy, a drugie jego sypialnię. Z uwagi na to, że slup był okrętem o gładkim pokładzie, w żadnym z owych pokoiów nie ustawiono armat, wystarczyło natomiast miejsca do rozwieszenia hamaków. Nie umknęło to uwagi Jacka, który oddał

swą jadalnię Stephenowi, a znajdujący się tam stół przesunął do kajuty głównej.

Przysiadł na nim teraz wygodnie na chwilę, póki dobiegające z góry rytmiczne uderzenia szczotek nie zdradziły mu, że pokład, po całkiem zbędnym szorowaniu, jest teraz równie zbędnie suszony.

Powrócił więc na swe stanowisko, skąd przyglądał się kolejnym, ściśle uregulowanym etapom pokładowej rutyny oraz rozkwitającej obietnicy nowego dnia. Przyglądał się też bacznie chmurom, próbując oszacować prawdopodobne zachowanie wiatru, oraz brzegowi, przesuwanemu się teraz wolno, bardzo wolno wzdłuż burt.

Nadal stał w tym samym miejscu, gdy pojawił się Stephen, dzierżąc pożyczoną lunetę. Tak wczesne pobudki należały u niego do wielkiej rzadkości.

- Dzień dobry, Jack - powiedział i wycelował lunetę. - Matko Boska, jest węższy, niż sądziłem.

Przesmyk w istocie był wąski. Na brzegu widocznym z lewej burty spacerowali Szwedzi, wyraźni w jasnym blasku słońca, a z prawej burty dostrzec można było Duńczyków na ich ziemi ojczystej. Oba brzegi przedzielały zaledwie trzy mile wody, a „Ariel” płynął między nimi, nieco bliżej szwedzkiego brzegu. Sunął na południe z prędkością ledwie już wystarczającą do zachowania zdolności manewrowej.

- Już je widziałeś? - spytał Stephen.

- Co takiego miałem widzieć?

- Edredony, rzecz jasna! A cóżby innego? Już zapomniałeś, że Jagiełło obiecywał nam, iż ujrzymy edredony w cieśninie Sund? Sądziłem, że to ich właśnie szukasz z takim zaangażowaniem!

- Rzeczywiście, mówił o jakichś ptakach, ale nie słuchałem chyba zbyt pilnie. Myślę jednak, że mogę pokazać ci coś, co sprawi ci jeszcze większą przyjemność. Widzisz te zielone dachy i tarasy? To Elsynor!

- Elsynor? Tenże sam Elsynor? Boże, pobłogosław nam! Ależ się cieszę!

Wspaniały budynek, doprawdy zapiera dech. Oczekiwałem, że będzie po prostu idealnym.. Ciii, nie ruszaj się! Lecą tu, lecą! - Stadko lecących jedna za drugą kaczek zatoczyło łuk nad ich głowami, po czym zniżyło się do lądowania między okrętem a zamkiem. Były to wielkie, silne i ciężkie ptaki, które okazały się szybkimi lotnikami. - Edredony bez cienia wątpliwości - oznajmił Stephen, przyglądając im się przez lunetę. - W większości młode osobniki, lecz ten po prawej to dorosły, w pełni upierzony kaczor. O, zanurkował! Widać jego czarne podbrzusze. Długo będę pamiętał ten dzień.

Niespodziewanie spośród fal wystrzeliła wysoka fontanna spienionej wody. Edredony zniknęły w okamgnieniu.

- Dobry Boże! - wykrzyknął zaskoczony Stephen. - A co to było?

- Duńczycy otworzyli ogień z moździerzy - rzekł Jack. - To ich właśnie poszukiwałem.

Na bliższym tarasie zamkowym wykwitł kolejny obłoczek dymu i pół

minuty później powierzchnię morza rozerwała kolejna fontanna, w odległości niecałych dwustu metrów od „Ariela”.

- Barbarzyńcy! - wykrzyknął Stephen, wpatrując się z gniewem w Elsynor. - Przecież oni mogli pozabijać te ptaki! Ci Duńczycy zawsze byli nieużyтым ludem. Czy ty wiesz, Jack, czego oni się dopuścili w Clonmacnois?

Spalili to miasto, łajdaki, a ich królowa, naga jak ją pan Bóg stworzył, zasiadła na wysokim ołtarzu i jąła wygłaszać pogańskie przepowiednie. Imię tej przeklętej ładaczniczki brzmiało Ota. Wszystko pasuje, pomyśl tylko o matce Hamleta. Dziwię się, że w ogóle zwrócono na jej zachowanie uwagę.

Następny pocisk przemknął nad masztami „Ariela” i wbił fontannę wody w odległości jednego kabla od prawej burty. Jack ujął za lunetę i skierował ją na baterię. Nad Sundem unosiło się już pięć obłoczków dymu, a po powierzchni morza rozpląnęło się pięć fontann. Dwa pociski Duńczyków uderzyły zbyt blisko, trzy kolejne przeszły nad okrętem. Od strony brzegu dobiegły ich przeciągłe krzyki zawodu.

- Są całkiem niezłe wyćwiczeni - stwierdził. - Zwiększają ładunki.

- Mam wprowadzić okręt do Helsingborga, sir? - spytał pilot, który tymczasem wszedł na rufę.

- Nie - rzekł Jack, przyglądając się szwedzkiemu portowi, który znalazł

się już nieco za lewym trawersem. - Proszę nas dalej prowadzić Sundem, panie Pellworm, lecz może pan podejść tak blisko szwedzkiego brzegu, jak się to panu podoba.

- Trafienie dwustufuntowym granatem w ruchomy cel na tą odległość to kwestia szczęścia - powiedział do Stephena. - Albo trafisz, albo nie. W niczym nie przypomina to bombardowania fortyfikacji czy zakotwiczonej floty. Nie ma znaczenia, czy będziemy kontynuować żeglugę wzdłuż przesmyku, czy zdecydujemy się wejść do portu - w obu sytuacjach szansa trafienia nas jest mniej więcej taka sama. Cóż, jeśli skierujemy się do portu, ułatwimy im nawet zadanie, gdyż „Ariel” będzie wówczas płynął w linii prostej. Dzień dobry, panie Jagiełło. Duńczycy mają ręce pełne roboty, jak widać.

- Mam nadzieję, że im powylatują te mózdzierze w powietrze - rzekł

Jagiełło. - Dzień dobry, sir. Doktorze, sługa uniżony.

Kolejne trzy granaty spadły dokładnie na kursie „Ariela”, lecz w pewnej odległości. W górę wystrzeliły wysokie kolumny wody, które natychmiast rozerwały wybuchy tonących bomb.

- Ster na nawietrzną! - wykrzyknął Jack i słup rozpoczął ślamazarny taniec. Wykonywał skręt za skrętem, a załoga na przemian wybierała i luzowała szoty, przez co prędkość okrętu zmniejszała się bądź rosła. Dzięki tym drobnym zmianom kursu Jack miał przynajmniej pewność, że Duńczycy będą musieli wycelować każdy kolejny strzał z osobna.

- Panie Hyde - zwrócił się do pierwszego oficera, wskazując wielką ilość ryb, unoszących się brzuchami do góry w miejscu, gdzie eksplodowały pociski.

- Proszę wypuścić sieć za burtę. Możemy przecież wykorzystać tę sytuację.

Płynęli powoli, niezmiernie powoli, brzeg wydawał się niemal stać w miejscu. Czasami żagle główne i marsy całkiem opadały, nie poruszone najłżejszym nawet tchnieniem wiatru. Dało się wówczas słyszeć ciche pogwizdywanie marynarzy na pokładzie dziobowym, chcących przywołać w

ten sposób wiatr. Nie mieli jednak zbyt wiele czasu na próżne rozmyślenia, gdyż po siedmiu uderzeniach w dzwon rozległy się gwizdki bosmańskie, nakazujące zwinięcie hamaków. Gdy dzwon uderzył po raz ósmy, podano śniadanie, pokład okrętu spowił przyjemny zapach smażonej ryby.

- Był pan kiedyś w Elsynchronie, panie Jagiełło? - spytał Jack.

- Och, wielokrotnie - rzekł Jagiełło. - Dobrze znam to miejsce. Myślę, że nawet stąd byłbym w stanie wskazać panu grób Hamleta.

- Bardziej interesuje mnie to, czy na górnym tarasie postawiono moździerz dziesięciocalowe lub trzynastocalowe - odpowiedział Jack. - Ale dobrze, z przyjemnością rzucę okiem na grób Hamleta.

- Moździerze są zarówno dziesięciocalowe, jak i trzynastocalowe, sir. A jeśli spojrzysz pan na prawo od najdalszej wieżyczki, ujrzy pan grupkę drzew. To właśnie między nimi znajduje się grób Hamleta. Nawet stąd można dostrzec kamienie.

- W istocie, widzę - rzekł Jack, wymierzając lunetę. - Cóż, kiedyś nas wszystkich to czeka. Ale to doprawdy wspaniała sztuka, wspaniała. Nigdy w życiu się tak nie uśmieiałem.

- W rzeczy samej, sztuka jest wyśmienita - oznajmił Stephen. - Wątpię, czy sam bym zdołał coś takiego napisać, ale wiesz co, Jack? Nawet do głowy mi nie przyszło, by sklasyfikować Hamleta jako komedię. Czy czytałeś ją może ostatnio?

- Nigdy jej nie czytałem - powiedział Jack. - To znaczy, nigdy nie do końca. Nie, zrobiłem coś znacznie lepszego, wystąpiłem w Hamlecie jako aktor.

O, wystrzelono z górnego tarasu. Byłem wówczas midszypmenem.

- Którą rolę grałeś?

Jack nie odpowiedział od razu - skupiony śledził tor lotu pocisku i liczył

sekundy. Granat wpadł do wody po dwudziestu ośmiu sekundach. Duńczycy dobrze wycelowali, lecz pocisk spadł daleko od prawej burty.

- Ster na prawo! - zawołał, po czym ponownie zwrócił się do towarzyszy.

- Grałem jednego z pomocników grabarza. Było nas wówczas siedemnastu, przywieźliśmy nawet z łądu prawdziwą ziemię, by w niej kopać. Pokład był

później nie do domycia, ale opłaciło się! Boże, aleśmy się uśmiali. Grabarza odgrywał nasz cieśla, lecz zamiast ciągnąć ów nudny monolog o tym, czyj grób kopimy, rzucał dowcipy na temat załogi. Grałem również Ofelię, to znaczy jedną z Ofelii. - Kolejna salwa wzburzyła powierzchnię morza. Pociski również zostały celnie wymierzone, lecz tym razem upadły za blisko. Jack, który nie przestawał przyglądać się brzegowi, dostrzegł błysk wystrzału z pojedynczego moździerza. Pocisk znów posłano dobrym torem. Przyglądał się, jak wzbija się coraz wyżej, aż staje się zaledwie małym, czarnym punkcikiem na tle bladoniebieskiego nieba, a potem zakreśla łuk i mknie w dół, by wzbąć

wysoką fontannę daleko za rufą. - Sądząc po wysokości łuku - rzekł - uznałbym, że zastosowali już najsilniejsze ładunki i maksymalnie podnieśli kąt luf. - Następna salwa potwierdziła jego osąd. Znaleźli się już jakieś sto metrów za maksymalnym zasięgiem baterii moździerzy, tak więc zaproponował, by zasiać do śniadania. - Zapach smażonej ryby staje się dla mnie trudny do wytrzymania

- powiedział na osobności do Stephena.

Z okien kajuty kapitańskiej, gdzie podano śniadanie, roztaczał się wspaniały widok na cieśninę oraz milczący już Elsynor.

- A zatem w swej młodości grywał pan rolę Ofelii, kapitanie Aubrey.

- Tylko kawałek jej roli, lecz okazało się to ważniejsze, niż gdybym zagrał całą rolę. Po zakończeniu wołano mnie na scenę aż trzy razy, w przeciwieństwie do całej reszty. Nie chcieli zobaczyć nawet tego faceta, który utopił się w sukni z zielonych gałązek. Trzy razy, na mój honor!

- Jak doszło do tego, że rola tej nieszczęsnej młodej damy została aż tak podzielona?

- Cóż, tylko jeden midszypmen na okręcie flagowym był wystarczająco nadobny, by odegrać rolę dziewczyny, ale przechodził akurat mutację głosu, a co więcej, miał fatalne wycucie rytmu, tak więc we wszystkich partiach, kiedy Ofelia zaczyna śpiewać, to ja nakładałem na siebie suknię i zawodziłem, stojąc plecami do widowni. Żaden z nas jednakże nie dałby się wrobić w topienie czy zagrzebywanie w prawdziwej ziemi, nawet jeśli rozkaz przyszedłby od samego admirała. Fragment ten przypadł więc pewnemu młodzianowi, który nie umiał

się przed tym wybronić. Tak więc oto we trójkę zegraliśmy rolę jednej postaci -

zakończył Jack z uśmiechem. Myślni powrócił już do Indii Zachodnich, gdzie odbyło się owo przedstawienie i po chwili zaśpiewał: - „Mężczyzna młody narobi szkody, gdy mu się tylko pozwoli...”³². Tak, wszystko niestety kończy się dość nieszczęśliwie, z tego co pamiętam - dodał.

- To prawda - rzekł Stephen. - Cały świat nad tym boleje. Kawa się skończyła, tak więc chyba czas na mnie, by wrócić na górę. Nie chciałbym przegapić ani jednego z cudów Bałtyku, które stanowią pewną rekompensatę za wszystkie krzywdy, które oczekują człowieka na lądzie, jak sam byś to stwierdził.

Ujrzał tego dnia jeszcze wiele edredonów, a później, gdy mijali wyspę Saltholm, dostrzegł przedstawiciela niezwykle osobliwego gatunku morskiej kaczki, którego nie potrafił zidentyfikować. Nie miał zresztą nawet na to czasu, gdyż wiatr przybrał znowu na sile i „Ariel” żeglował z prędkością ośmiu węzłów. Zirykowało go to niepomierne, lecz z drugiej strony musiał przyznać, że z poprzednią szybkością nie dotarliby do Falsterbo przed zapadnięciem zmroku i nie udałooby mu się ujrzeć ogromnego orła bielika, upierzonego jak osobnik dorosły, który wyciągnął rybę z wody niecałe dwadzieścia metrów od rufy słupu. Szybkość okrętu gwarantowała ponadto, że nie grożą im na razie ataki flotylli kanonierek, które były groźnymi przeciwnikami, ale rozwijały niewielką prędkość.

- Ogniem mnie to cieszy - rzekł, gdy Jack poinformował go, że okręt znalazł się już dawno poza ich zasięgiem, a teraz kierował się ku otwartemu morzu, by przejść między Bornholmem a lądem stałym. Dowiedział się również, że jeśli wiatr będzie przybierał na sile, co wydawało się wielce prawdopodobne, przybędą do admirała niezwykle szybko. - Naprawdę mnie to cieszy, gdyż po tak burzliwym dniu marzy mi się długa, cicha noc, podczas której mógłbym zebrać wszystkie swe myśli. Któż bowiem może wiedzieć, co przyniesie nam jutro? Może ujrzę łabędzie nieme, a może nawet samego feniksa? Lepiej od razu się położyć.

Następnego dnia nie ujrzał jednak ani łabędzi, ani feniksa. Nad masztami okrętu przemykały nisko pędzone wiatrem chmury, a „Ariel” gnał naprzód wśród krótkich, wzburzonych, stalowoszarych fal, mając mocno zreflowane marsie. Przybierający na sile wiatr skręcił na zachód, a potem na zachód ku północy, przez co fale miały teraz okrętem na podobieństwo gigantycznego korkociągu. Jednocześnie słupem co rusz wstrząsało bardzo gwałtowne kołysanie wzdłużne, tak silne, że od pachyła dziobowego aż po pachyła cumownicze rufy wszędzie wypadały pakuły. Żołądek Stephen’a znosił jak do tej pory bez trudu kaprysy Atlantyku, Pacyfiku i Oceanu Indyjskiego, ale Bałtyk niemal go pokonał. Do klasycznej choroby morskiej trochę mu jeszcze brakowało, ale odkrył u siebie zwiększone wydzielanie zimnej śliny, wstręt do krotocwilnego towarzystwa i głęboką niechęć do wszelakich przejawów wesołości oraz odrazę na samą myśl o jedzeniu.

„To pewnie wszystko wina tej paskudnej ryby, którą jadłem wczoraj” -

pomyślał. „W ogłuszonej wybuchem rybie z pewnością aż się roi od szkodliwych substancji i tylko głupiec mógłby zjeść coś takiego. Zresztą tylko głupiec mógłby pójść na morze i narażać się na taką wilgoć”. Pozostał na pokładzie przez niemal całe przedpołudnie. Wkrótce też przestał się martwić wilgocią, gdyż za każdym razem, gdy dziób „Ariela” zanurzał się w fali, nad pokład wzbijały się tumany pyłu wodnego, a nawet bryzgi wody. Woda przeniknęła w końcu ubranie i przemoczonemu na wylot Stephenowi zaczęło dokuczać przenikliwie zimno. „Może czas udać się do mego kolegi i poprosić o dziesięć kropli eteru siarkowego” - powiedział do siebie. „A gdyby i to zawiodło, poproszę jeszcze nieco słabego kwasu siarkowego. Ten człowiek to zwykły pijanica, ale przynajmniej ma swój kufer z lekarstwami”.

Odwrócił się w poszukiwaniu gońca pokładu rufowego, wesołego młodego chłopaka z zaróżowionymi policzkami, zgodnie z tradycją przyętą na słupie noszącego czapkę ze skrzydełkami. Poprosił go o zaprowadzenie do lekarza, a gdy schodzili pod pokład, usłyszeli wołanie:

- Żagiel na horyzoncie! Ket dwa rumby na prawo od dziobu!

Stephen jednak nie zatrzymał się. Tego dnia zauważono już jeden okręt, a oficerowie, którzy przez całe lato ubiegłego roku żeglowali na „Arielu” po Bałtyku, orzekli bez wahania, że była to jednostka duńska. Jack z ogromną niechęcią rozkazał utrzymać kurs, gdyż misja, z którą dotarł na Bałtyk, była o wiele ważniejsza od pogoni za przyzami. Stephen nie wątpił, że tym razem zadecyduje tak samo, zresztą kompletnie nie obchodziły go żadne przyzy. W tej chwili interesował go tylko eter siarkowy.

Na swoje nieszczęście zastał lekarzapijanicę w fatalnym stanie, jeszcze gorszym od własnego. Leżał obojętny na cały świat, cuchnący, niezdolny sklecić dłuższe zdanie. Jego cera przybrała zielonkawą barwę, dawno też się nie golił, lecz najbardziej pożałowania godne było to, że sam wypił cały

okrętowy zapas eteru siarkowego, a kwas siarkowy rozlał. Kwas właśnie z wolna przeżerał mu kołdrę, lecz lekarzowi zupełnie to nie przeszkadzało.

- Im prędzej przeżre dno okrętu, tym lepiej - wybełkotał.

Stephen wyszedł z obrzydzeniem, po czym zwrócił się do chłopca, który pokazał mu drogę do kabiny Grahama:

- Spójrz tylko, ile przyniósł ten wasz pogański zwyczaj gwizdania! Wasz lekarz pokładowy całkiem zaniemógł, na litość boską! Przekaż kapitanowi, że mam zamiar pogрузić się w medytacji i proszę, by nie zaprzętało mi głowy obiadem.

Nie jadł śniadania, na obiad nie miał ochoty, nie napił się nawet herbaty z kapitanem. Gdy „Ariel” w końcu wpłynął na spokojne wody wokół Karlskrony i salwą burtową oddał salut admirałowi, zmarnięty i przygnębiony Stephen uświadomił sobie, że całkiem opadł z sił. Osłabł do tego stopnia, że gdy gig

„Ariela” przybił do burty okrętu flagowego, a on sam podjął niezdarną wspinaczkę po drabince, w pewnym momencie linka ochronna wyslizgnęła mu się z ręki i spadł do łodzi niczym ciężki worek. Jack jednak był na to przygotowany - jego stary przyjaciel był kiepskim żeglarzem i od początku ich znajomości często spadał z nieruchomych łodzi oraz rei i burt stojących okrętów. Kilkakrotnie też stracił oparcie podczas wchodzenia na pokład i wpadł

do wody między szalupą a burtą tak więc kapitan Aubrey wydał zawczasu rozkaz, by gig przylgnał możliwie najściślej do burty liniowca, a dwóch silnych marynarzy stało u stóp drabinki.

- Na wypadek, gdyby ktoś nam zleciał - stwierdził.

Marynarze, którzy dobrze odczytali intencje kapitana, złapali wiotkie ciało doktora Maturina równie łatwo, jakby był to zwinięty hamak. Nie ważyło zresztą wiele więcej. Gdy tylko Stephen odzyskał równowagę, pomogli mu podjąć kolejną próbę wspięcia się na pokład, wspomagając go radami:

- Niech się pan trzyma obiema rękami, sir! Na pewno się uda! Jeszcze krok i jest pan na górze, cały i zdrowy!

Kapitan floty przyjął ich chłodno. Stwierdził, że admirał nie ma w chwili obecnej czasu, a jeśli „Ariel” ma się przyłączyć do dywizjonu bałtyckiego, lepiej żeby wywiesił odpowiednią banderę.

- Gdyby zadał pan sobie odrobinę trudu, kapitanie Aubrey, z pewnością dostrzegłby pan, że sir James ostatnio został awansowany do rangi wiceadmirała czerwonej eskadry - rzekł.

Jack nie był zdziwiony takim przyjęciem. Spodziewał się go od chwili, gdy dowiedział się, że to właśnie Manby został kapitanem floty. W trakcie swej kariery, a zwłaszcza w jej najwcześniejszych etapach, kiedy to sam nie sływał

ani z pokory, ani z umiłowania dyscypliny, Jack zdobył sobie wielu niewzruszonych, niezawodnych przyjaciół oraz wielu równie niewzruszonych i niezawodnych wrogów. Manby zaliczał się do tej

drugiej grupy.

Nieprzyjemne wrażenie nie trwało jednak długo. Kilka minut później okręt opuściła grupa szwedzkich oficerów i sekretarz admirała, poważny młody człowiek, zaprosił Jacka oraz Stephena do jego kajuty. Był to wspaniały salon, który w tym momencie przypominał bardziej tętniące życiem biuro niżeli część okrętu wojennego. Wszędzie spoczywały akta, biurko zasłane było papierami, a za nim siedział blady admirał, który wyglądał jak sterany, znużony pracą minister, a nie oficer marynarki wojennej.

Bez wątpienia był zmęczony, ale powitał ich serdecznie.

- Od naszego ostatniego spotkania zapewne upłynęły już lata, kapitanie Aubrey - powiedział, pogratulowawszy mu szybkiego rejsu.

- Ostatni raz widzieliśmy się na Gibraltarze, sir, zaraz po pańskim wspaniałym zwycięstwie w Przesmyku³³ - powiedział Jack.

- Tak, tak - rzekł sir James. - Bóg okazał nam wówczas wiele łaski.

Stephen był świadkiem owej krwawej rozprawy i przyszło mu do głowy, że gwałtowna śmierć dwóch tysięcy Francuzów i Hiszpanów to dość osobliwy wyraz łaski Pana, lecz spotkał już wielu wybitnych żeglarzy, który podzielali admirałski pogląd na dobroć Opatrzności. Jack postanowił najpierw przekazać admirałowi meldunki, a dopiero potem go przedstawić, tak więc Stephen miał

chwilę, by dokładnie mu się przyjrzeć. Sir James był poważnym człowiekiem, który patrzył na świat spod półprzymkniętych, jakby zbyt ciężkich powiek. Jego twarz była twarzą człowieka wybitnego, emanowała też szczerością, choć rzadko gościła na niej wesołość. Znał jego reputację jako żarliwego sługi bożego, rozmiłowanego w psalmach i rozprawach na tematy religijne, lecz poznał w życiu wielu rozkochanych w Biblii mężczyzn, którzy okazywali się niezwykle skutecznymi szermierzami, toteż gdy złapał spojrzenie admirała -

spojrzenie inteligentne, przenikliwe, ale i uprzejme - poczuł, jak serce zaczyna mu bić szybciej. Ten człowiek na pewno nie był głupcem.

- Zechce pan poznać doktora Maturina, sir, który również ma dla pana korespondencję z admiralicji - powiedział Jack. - Stephen, oto sir James Saumarez.

- Miło mi pana poznać, doktorze Maturin - rzekł admirał. - Właściwie to spodziewałem się pana ujrzeć i coś mi mówi, że wiem, o czym traktują pańskie listy. Jeśli panowie mi wybaczą, z chęcią przeczytam je od razu. Mają panowie ochotę na jakąś przekąskę lub coś do picia? O tej porze dnia zawsze zagryzam suchara oraz wypijam jeden lub dwa kieliszki wina. Zalecił mi to mój brat, Richard. Sądzę, że dobrze go pan zna?

Ostatnie pytanie admirał skierował do Stephena, kłaniając się przy tym lekko, po czym skorzystał ze swego dzwonka. Natychmiast przyniesiono wino.

Saumarez obsłużył swych gości, a następnie wrócił za biurko, trzymając list, meldunki oraz własny

kieliszek.

„Dick Saumarez” - skojarzył Stephen. „Oczywiście”.

Dopiero teraz uświadomił sobie, że zna brata admirała. Richard Saumarez był chirurgiem i całkiem niezłym fizjologiem, choć człowiekiem bardzo upartym. Całkowicie błędnie obstawał przy podwiązaniu biodrowej żyły zewnętrznej w przypadku tętniaka kości udowej, lecz Stephen aprobował jego zalecenia wobec brata. Wino okazało się doskonałym szampanem owocowym, niezbyt zimnym, i wspaniale uzupełniało się z sucharem. Lekarz naraz poczuł, że zaczyna opuszczać go słabość, jego myśli stają się wyraźniejsze, a przygnębienie ustępuje miejsca zdecydowaniu. Przez moment rozmyślał o wykorzystywaniu alkoholu w medycynie, a potem - z uwagi na fakt, że odczytanie meldunków przez admirała trwało coraz dłużej - zaczął się zastanawiać nad wyrazem twarzy Jacka. Dostrzegł na niej wiele szacunku dla Saumareza, co jednak nie powinno go dziwić, gdyż wiceadmirał był postacią o wiele potężniejszą od kapitana mianowanego, a ponadto Jack darzył go ogromną estymą zarówno jako człowieka, jak i zdolnego, dzielnego oficera. Wyraz jego twarzy w tej chwili przypominał nieco ten, który Aubrey przybierał podczas mszy świętej, lecz Stephen dostrzegł w nim odrobinę świętoszkowatości lub raczej nieskazitelności. Do zaczerwienionej, ogorzałej, a także otwartej, szczerej i z natury radosnej twarzy jego przyjaciela nie pasowało to zgoła wcale.

Wyglądało to tak, jakby sam zdecydował się postąpić zgodnie z radami, które dał Stephenowi, nim ich łódź odbiła od burty „Ariela”.

- Uważaj, by się nie upić! - przykazał mu. - Nie wolno wygadywać sprośności, bluźnić, a nawet przeklinać, gdy tylko staniesz na pokładzie okrętu flagowego, Stephen. Admirał to szczególny człowiek i za każdym razem, gdy użyjesz imienia Boga nadaremnie, będzie cię to kosztować gwineę.

„Boże, ależ ten nieszczęsny człowiek się zestarzał” - zauważył

tymczasem Jack, którego myśli krążyły wokół admirała. Nie było w tym jednak nic dziwnego, gdyż nawet jako komodor niewielkiego dywizjonu bez przerwy zmagał się z nawałem pracy papierkowej, z odpowiedzialnością za bardzo ważne decyzje, których wykonanie leżało w gestii innych, z problemami związanymi ze współpracą z armią oraz władzami cywilnymi oraz z tysiącami pytań, które nie miały nic wspólnego z walką bądź dowodzeniem okrętem.

Głównodowodzący sił morskich na Bałtyku musi być w znacznie gorszej sytuacji.

- Mniej więcej tego się spodziewałem - rzekł admirał, kładąc list na meldunkach. - A zatem to pan jest następcą nieszczęsnego pana Ponsicha?

Modłę się z całego serca, by bardziej się panu powiodło. Czy kapitan Aubrey został wtajemniczony w naturę pańskiego zadania?

- Tak, sir.

- A zatem nie wątpię, że obaj panowie chętnie zamienilibyście słowo z panem Thorntonem, moim

politycznym doradcą. Z tego, co ja wiem, sytuacja na Grimsholmie nie uległa żadnym zmianom, lecz to on ma najświeższe informacje.

Stephen dobrze znał Thorntona, gdyż był on pracownikiem Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Wiedział, że ten człowiek ma smykałkę do działalności wywiadowczej i dobre oko do szczegółów. Przywitali się z osobliwą, dwuznaczną uprzejmością, która dla nich obu stała się już drugą naturą - witając się w ten sposób, nie zdradzali nic, poza tym, że kiedyś już zostali sobie przedstawieni, nawet pomimo obecnych okoliczności.

- Doktor Maturin zdecydował się zająć miejsce seniora Ponsicha - oznajmił

admirał. - Właśnie powiedziałem, że nie wiem nic o zmianach w sytuacji na Grimsholmie, lecz jestem pewien, że pan potrafi przedstawić znacznie bardziej fachowy raport.

- Na samej wyspie nie zaszły żadne konkretne zmiany - powiedział

Thornton. - Ostatnie dwa raporty mówią o pewnym niezadowoleniu, wywołanym przez brak tytoniu oraz wina, ale wszystko wskazuje na to, że porucznik d'Ullastret ma sytuację pod kontrolą. Jest lubiany wśród żołnierzy, wzmocnił też swą pozycję, odsyłając trzech kolejnych oficerów do Gdańska. Na lądzie stałym Francuzi podeszli jednak do sprawy wyspy z wielką powagą.

Bardzo wiarygodny informator donosi, że pomimo wszelkich trudności Oudinot zamierza zastąpić Katalończyków mieszaną brygadą, złożoną z Polaków, Saksończyków oraz Francuzów. Żołnierze są już zbierani i wysyłani w pośpiechu na wybrzeże, a tymczasem wysłał pewnego generała o nazwisku Mercier, by wraz z byłym komendantem twierdzy, pułkownikiem Ligierem, przejął nad nią kontrolę. Mają wręczyć d'Ullastretowi Légion d'honneur i zaoferować mu niezależne dowództwo we Włoszech. Wyruszyli do Gobau, a we wtorek dotarli do Hollenstein. Niewykluczone, że już wsiedli na statek.

W międzyczasie wstrzymano wszystkie dostawy na Grimsholm, zarówno z Pomorza, jak i z Gdańska. To wszystkie nowe informacje, którymi dysponuję.

Oprócz nich mam jeszcze dokładniejszy raport na temat sił d'Ullastreta oraz rozmieszczenia jego dział. Właśnie rozpoczął kopanie stanowisk dla nowej baterii, która ma osłonić wyspę przed atakiem od strony lądu.

Z tymi słowami wręczył Stephenowi listę oddziałów katalońskich.

Wszyscy żołnierze w danym pododdziale pochodzą z jednego rejonu, a ich nazwy były dla Stephena równie dobrze znane jak jego własne nazwisko: San Feliu, Lloret de Mar, Palafrugell, Tossa, San Pere Pescador dla morza, Empurdá dla lądu, Vich, Mollo, Ripoll oraz wiele innych dla gór. W otrzymanym dokumencie znajdowały się też nazwiska oficerów, z których wiele było mu równie dobrze znanych. Patrząc na nie, popadł w zadumę, a Jack wraz z admirałem studiowali mapę wód wokół Grimsholmu wraz z wynikami najnowszych sondowań dna, którą skonfiskowano pewnemu duńskiemu pilotowi. Rozmawiali też z Thorntonem na temat liczebności wojsk, zapasów lub źródeł zaopatrzenia.

Wkrótce cała trójka zamilkła, oczekując jego słów, tak więc rzekł:

- Wydaje mi się, że pojawiła się sytuacja, gdy musimy rzucić wszystko na jedną szalę i to natychmiast. Nie ma czasu na rozważania i sugeruję, by wysadzono mnie na wyspie tak szybko, jak się da, a już na pewno muszę się tam dostać przed przybyciem generała Merciera, o ile to jeszcze możliwe. Kiedy już się tam dostanę, mogę być w miarę pewien sukcesu. Nie sądzę jednak, by w zaistniałych okolicznościach okręt wojenny był najlepszym środkiem transportu.

Wielu z Katalończyków na wyspie to byli żeglarze i bez wątpienia rozpoznają nasz słup, obojętnie jak go zamaskujemy oraz jaką wywiesimy banderę - z tego co wiem, „Ariel” pływał dość często po Bałtyku. Ich działa zdmuchną z powierzchni morza zarówno sam słup, jak i jakąkolwiek należąca do niego łódź.

Nie, wolałbym popłynąć tam na gdańskim bądź duńskim statku, który rzekomo przywozi zaopatrzenie... Nie, lepiej, żeby w istocie miał jakieś zaopatrzenie.

Gdybym przywiózł im ładownie pełne wina i tytoniu, którego brakowało im od dawna, moje zadanie stałoby się o wiele łatwiejsze. Jak sądzę, sir, dysponujecie jakimś odpowiednim przyzem?

- Wątpliwe - rzekł admirał. - Tak wielu obcokrajowców otrzymało zezwolenie na transport towarów bądź zaopatrzenia dla marynarki, że zatrzymywanie przyzów stało się rzadkością. Mam też wrażenie, że wszystkie te, które zatrzymaliśmy w tym miesiącu, zostały odesłane do Anglii. Upewnię się jeszcze.

Znów skorzystał ze swego dzwonka i poprosił o natychmiastowy raport.

W oczekiwaniu na wieści Thornton cichym głosem opowiedział Stephenowi o papierach, które zabrał ze sobą Ponsich, by uwiarygodnić swe słowa. Były wśród nich proklamacje, edykty, egzemplarze „Moniteur”, gazety katalońskie oraz hiszpańskie, a nawet publikacje wychodzące w krajach neutralnych.

Wszystkie one ukazywały, że Bonaparte postępuje dokładnie w sposób przeciwny do tego, co obiecywał. Atmosfera w kajucie kapitańskiej stała się niezmiernie poważna. W ciągu ostatnich kilku minut kolejny plan wyeliminowania Grimsholmu stał się faktem, a rozmowa nie dotyczyła już ogólnych rozważań i prób oszacowania szans, a samej akcji. Wszyscy zebrani pamiętali słowa, których użył Maturin - „musimy rzucić wszystko na jedną szalę” - i wiedzieli, że słowo „wszystko” oznacza jego własne życie. Szacunek, z jakim mu się przyglądano, miał jednak coś z respektu, jakim darzy się ciała ludzi poległych lub skazanych na śmierć, jedynie Jack patrzył na niego z głęboką troską.

- Dysponuję kopiami prawie wszystkich dokumentów Ponsicha - rzekł

Stephen. - Mam również poświadczoną kopię niepublikowanej ekskomuniki, jaką Ojciec Święty obłożył Napoleona. Trzech dżentelmenów na wyspie należy do zakonu Kawalerów Maltańskich i sądzę, że ów dokument może wyrzucić na nich ogromne wrażenie.

Pojawił się goniec z meldunkiem. W ostatnim tygodniu nie zatrzymano żadnego przyzu gdańskiego bądź duńskiego.

- Tego się właśnie obawiałem - rzekł admirał. - Nie zechciałby się pan jeszcze wstrzymać?

- O nie! - odparł Stephen. - Na tym etapie jeden dzień jest równie cenny jak cały rok!

- Jeśli wolno mi się wtrącić, sir - odezwał się Jack. - Wydaje mi się, że znalazłem sposób na wybrnięcie z trudności. Dziś rano zauważyliśmy dwie duńskie jednostki. Ogromnie zależało mi na czasie, tak więc nie ruszyłem w pościg, niemniej udało mi się spostrzec, że jedna z nich, ket, nawet nie próbowała uciekać. Płynęła przed siebie pod żaglami głównymi, kierując się na Rygę, nie mam więc wątpliwości, że jej dowódca dysponował pańskim zezwoleniem. W tej chwili wiatr jest korzystny i szybko się wypogadza, tak więc gdyby zgodził się pan czasowo zawiesić zezwolenie dla owego keta, wydaje mi się, że mógłbym jeszcze go dopaść. Był to ciężki, powolny statek i chyba miał niedobory w załodze.

Admirał zamyślił się, pogwizdując cicho.

- To jest wykonalne - rzekł. - Co prawda decydujemy się na działanie bez skrupułów, ale cel uświęca środki. Istnieje co prawda duże prawdopodobieństwo, że gdzieś pan ów ket przeoczy i w ten sposób straci aż dwa dni, ale alternatywą tego jest oczekiwanie, aż któryś z moich okrętów patrolujących przechwyci jakiś duński statek, obojętnie, z zezwoleniem czy też nie. Mielibyśmy znacznie większe szanse, lecz moje okręty są rozsiane na morzu od Alandów aż po Rugię. Trochę to potrwa, zanim w ogóle dotrą do nich rozkazy, a zatem za większą pewnością zapłacilibyśmy stratą czasu. Co na to doktor Maturin?

- Pokładam ogromną wiarę w to, że kapitan Aubrey jest zdolny do przechwycenia i zatrzymania wszystkiego, co tylko unosi się na wodzie - rzekł

Maturin. - A zaistniała sytuacja należy do tych, w których, jak sądzę, nie wolno nam tracić choćby minuty.

Okrzyk: „Nie ma ani minuty do stracenia” prześladował go od chwili, gdy wyruszył na morze, tak więc odczuł pewną przyjemność, mogąc wreszcie samemu użyć tych słów.

- Nie ma ani minuty do stracenia - powtórzył, rozkoszując się brzmieniem tych słów, po czym dodał: - Jeśli chodzi zaś o względy moralne, to czy wolno nam porównywać hipotetyczne niewygody, jakich w tej sytuacji doświadczy załoga keta, z pewną śmiercią wielu tysięcy ludzi? Obrońców wyspy przecież nie da się skłonić do poddania się... Twierdzę trzeba by zdobyć szturmem! -

Teraz, gdy zapalił się długi lont i ruszyły bezpośrednie przygotowania do akcji, Stephen poczuł, jak w jego umyśle budzi się osobliwa lekkomyślność. Naraz nasza go ochota, by powtórzyć słynny żart Jacka Aubreya o dwóch wołkach i wybieraniu mniejszego zła. W innych okolicznościach zapewne by się nie krępował, ale powstrzymała go trudna do zdefiniowania aura wrodzonej wielkości, otaczająca admirała Saumareza, tak więc zatrzymał dowcip dla siebie. Pomimo ogromnego szacunku, jaki żywił wobec sir Jamesa, Stephen nie zawahał się chwilę później wtrącić do dyskusji na temat

szczegółów technicznych, jaka wywiązała się między żeglarzami. - Chciałbym poruszyć kwestię wina oraz tytoniu - rzekł, strząsając z siebie zadumę. - Czy byłoby możliwe załadowanie na „Ariela” odpowiedniej ilości owych towarów, tak by przechwycony przez nas statek handlowy w istocie okazał się tym, za kogo się podaje?

- Nie będzie żadnych problemów z tytoniem - rzekł admirał. - Zdobycie odpowiednich ilości wina może być trudniejsze, choć sądzę, że w mesach oficerskich w moim dywizjonie uchowało się go jeszcze całkiem sporo.

Możemy też uzupełnić zapas rumem, jeśli uzna pan to za stosowny pomysł.

- Rum od biedy również się nada - rzekł Stephen. - Choć znacznie lepiej byłoby przywieźć wino. Mam jeszcze kilka istotnych uwag, sir. Oczekuje nas misja z gatunku tych, które kończą się albo całkowitym sukcesem, albo całkowitą porażką. Rozmawianie na temat porażki nie ma większego sensu, tak więc za pańską zgodą chciałbym poruszyć kwestię szczęśliwszego zakończenia wyprawy. Jest pan bez wątplenia świadom tego, że podejmując to zadanie, postawiłem warunek, by katalońscy żołnierze na Grimsholmie nie zostali potraktowani jako jeńcy wojenni. Miast tego, należy ich przetransportować do Hiszpanii pod bronią i z osobistymi bagażami na koszt Jego Królewskiej Mości.

Jest to doprawdy niewielka cena za bezkrwawe zdobycie takiej fortecy, jak sądzę. Jestem ponadto głęboko przekonany, że gdy dotrą już na Półwysep Iberyjski, od razu przyłączą się do walk po stronie lorda Wellingtona.

- Bez wątplenia byłaby to niska cena - rzekł admirał. - Na szczęście mam pod ręką kilka transportowców. Pan Ponsich postawił ten sam warunek.

- Dobrze, bardzo dobrze - rzekł Stephen. - Przejdę więc do kolejnego punktu. Kapitanowie owych transportowców powinni zostać ściśle poinstruowani, że katalońskich oficerów należy stosownie powitać z tymi wszystkimi waszymi chorągiewkami, salutami z dział i tak dalej. Ich wejściu na pokład ma towarzyszyć zwyczajowy ceremoniał, choć nie zawadziłoby powitać ich nawet uroczyściej niż zwykle. Katalończycy znajdują się bowiem w niepewnej sytuacji, przez co niezwykle łatwo będzie urazić ich dumę. Najmniejsze nawet niedociągnięcie w przygotowaniu ceremonii powitania może mieć katastrofalny wpływ na rozwój wydarzeń. - Stephen przerwał na moment, po czym podjął: -

Wybiegam jednak daleko w przyszłość. Idealnie by było, sir, gdyby owa operacja przebiegła wedle następującego schematu: emisariusz ląduje na brzegu, podczas gdy „Ariel” oraz transportowce trzymają się z dala, poza zasięgiem wzroku. Następnie emisariusz przekonuje Katalończyków do swej racji, a o ustalonej porze „Ariel” podchodzi do wyspy, by sprawdzić, czy wywiesił

umówiony wcześniej sygnał. Ujrzawszy go, słup zawiadania statki transportowe, które podpływają do Grimsholmu. Na ich pokładach znajduje się oddział artylerzystów, gotowych do obsadzenia baterii na wyspie. Nasi kanonierzy schodzą na ląd, a ich miejsce na statkach zajmują Katalończycy.

Trzeba ich zaokrętować jak najszybciej, póki będzie nimi powodować radość z powodu rychłego

powrotu do ojczyzny oraz skrajne oburzenie na Francuzów.

Im szybciej wypłyną, im szybciej wyeliminujemy możliwość wybuchu kolejnych niesnasek czy animozji, tym lepiej. Być może wymagam w tym momencie zbyt wiele, ale liczę na to, że przynajmniej część czego planu jest wykonalna.

- Nie przewiduję żadnych trudności w kwestii transportowców - rzekł

admirał. - Oczywiście przy założeniu, że trafi się nam korzystny wiatr, gdyż na pewno pan wie, doktorze, że jesteśmy od wiatrów całkowicie zależni. Jeśli kapitan Aubrey wykona swą część zadania i przechwyci ów potrzebny nam duński statek, my również wykonamy naszą. Przygotujemy transportowce, artylerzystów, a nawet wino i tytoń. Całkowicie podzielam pańskie zdanie na temat jak najszybszego zaokrętowania Katalończyków i z tego, co słyszę, admiralicja miała świętą rację, każąc mi bezgranicznie ufać mądrości doktora Maturina.

- Admiralicja zanadto mi schlebia, sir - rzekł Stephen. - Doprawdy, zbytek uprzejmości. Będąc jednakowoż z panem całkiem szczerym, sir, w tej akurat chwili wolałbym malutką miarkę szczęścia od całego morza mądrości.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Gdy „Ariel” wciągnął cumy i ruszył ku sieczonemu deszczem morzu, minęła już północ. Dla okrętów dywizjonu była to doprawdy czarna noc, gdyż w swych ładowniach słup miał większość wina zabranego z mes oficerskich, a ponadto nieproporcjonalnie wielki zapas przynależnego załodze rumu oraz tytoniu. Na jego pokładzie znalazło się również około dwudziestu doskonałych marynarzy, wybranych spośród wielu służących w marynarce Holendrów, Polaków, Finów i Łotyszy. Za sobą okręt pozostawiał atmosferę bliską ogólnemu wyczerpaniu nerwowemu, którą mało co mogło ożywić. W całej swej morskiej karierze Stephen Maturin nigdy nie widział, by jakikolwiek okręt wyszykowano do wyjścia z portu równie szybko jak „Ariela”. Przez cały czas wokół burt słupu tłoczyły się łodzie, a załadunek odbywał się pod osobistym nadzorem sir Jamesa. Sam admirał przekazał trzy beczki wyborowego wina.

- Wolę do końca mej służby na Bałtyku pić zieloną herbatę, niż w jakikolwiek sposób umniejszyć szanse „Ariela” - stwierdził.

Po tak hojnym goście żadna mesa oficerska nie mogła okazać się gorsza, w efekcie czego słup opuścił port zanurzony znacznie głębiej niż w chwili wejścia. Prowizorycznie zamocowane beczki stały na całym pokładzie, ochmistrz oraz mat odpowiedzialny za ładownię odchodzili od zmysłów, a ponad połowa marynarzy była podejrzenie rozbawiona, o ile nie pijana w sztok.

Jutro będziemy mieli długą listę niezdolnych do pracy - powiedział Jack tonem, który położył kres wszelkiej wesołości. Właśnie zakończył długą naradę z panem Pellwormem oraz nawigatorem. Każdy z nich niezależnie od siebie wykreślił kurs na przechwycenie owego powolnego duńskiego statku ze skąpą załogą, który minęli jakiś czas temu. Okazało się, że wszystkie trzy kursy niemal się pokrywają, a każdy z żeglarzy szacował, że dostrzegą ket w pierwszych godzinach blasku słonecznego. - Panie Fenton, musimy postawić naszych najlepszych ludzi za sterem - rzekł. - Przez

cały czas mają trzymać kurs północny ku wschodniemu. Jednym z nich niech będzie Wittgenstein, podoficer nawigacyjny z okrętu flagowego. To doprawdy świetny żeglarz, służył już kiedyś pod moimi rozkazami. Proszę też z wybiciem każdej szklanki mierzyć prędkość okrętu logiem i nieustannie utrzymywać prędkość mniej więcej sześciu węzłów. Jeśli trzeba, proszę odpowiednio stawiać lub skracać żagle. Za wszelką cenę proszę jednak nie przekraczać tej prędkości, gdyż nie wolno nam wyprzedzić Duńczyka w ciemnościach. I jeszcze jedno. Nie spodziewam się, byśmy natknęli się na niego przed świtem, ale mimo tego proszę posłać trzeźwych, bystrookich ludzi na topy i zmieniać ich co szklankę. Obserwator, który jako pierwszy dostrzeże naszego keta, otrzyma dziesięć gwinei i odpuszczenie wszystkich grzechów z wyjątkiem buntu na pokładzie, sodomii oraz zdzierania farby. Jeśli cokolwiek się wydarzy lub wiatr zmieni kierunek, proszę mnie natychmiast obudzić.

Na swych poprzednich okrętach dodałby zapewne, że teraz pójdzie do swej kajuty, by spożyć z doktorem wieczerzę z bardzo specyficznego potrawy -

solonego trzmiejajada przygotowanego przez komendanta Góteborga - a następnie zapewne porozmawiają o tym, co ich czeka jutro, lecz na „Arielu” sprawował jedynie tymczasowe dowództwo. Prawie nie znał swych oficerów, którzy zresztą wydawali mu się niezwykle młodzi, zupełnie jakby należeli do innego gatunku. Nabożny szacunek, jakim go otaczali, był doprawdy kłopotliwy i tworzył między nimi barierę. Jack wiedział, że jej pokonanie, nawet podczas spotkania towarzyskiego, będzie wymagało od niego ogromnego wysiłku, o ile było to w ogóle możliwe. Ale wysoka, niemalże boska pozycja kapitana okrętu wojennego i związane z nią osamotnienie stały się już właściwie jego drugą naturą. Jack poprosił więc Fentona jedynie o powtórzenie usłyszanych rozkazów i umieszczenie ich pisemnej kopii w szufladzie naktuz, po czym natychmiast zszedł pod pokład.

Gdy wszedł do kajuty, solony trzmiejajad był już pokrojony na kawałki, lecz nie za pomocą widelca czy porządnego noża do krojenia, które steward ułożył na stole, lecz osobliwego instrumentu medycznego. Na widok przyjaciela Stephen przykrył swe narzędzie serwetką i powiedział:

- Wybacz, Jack, ale nie mogłem się doczekać chwili, gdy ujrzę mostek tego ptaka. Usłyszałem bardzo wiele na temat tych mostków w Paryżu.

- Cieszę się ogromnie - rzekł Jack. - Cieszę się również, że wróciłeś do pełni sił.

- Dopadła mnie jedynie przelotna niedyspozycja, być może wywołana zjedzeniem zbyt dużej ilości ryb. Tak czy owak, emocje związane z planowaniem operacji pomogły mi całkiem o niej zapomnieć.

Jackowi przyszło jednak do głowy, że spokojniejsze kołysanie okrętu również mogło korzystnie wpłynąć na jego samopoczucie, wicher stracił

bowiem już swą moc i „Ariel” sunął z wiatrem z baksztagu, tak więc jego kotysanie boczne było nieznaczne, a wzdłużne ustabilizowanie. Zachował

jednakże tą uwagę dla siebie.

Rzuć, proszę, okiem na ów mostek oraz wszystkie te szwy - ciągnął

Stephen, unosząc grzebień mostkowy ptaka. - Pewnie uznałbyś, że są to miejsca połączeń dla mięśni szkieletowych, prawda?

- Byłbym gotów przysiąc, zapewniam cię.

- Jeszcze kilka dni temu ja również. W rzeczywistości okazuje się, że są to miejsca połączeń kości, które tworzą mostek ptaka w jego najwcześniejszym okresie życia. Usłyszałem o tym od pewnego wybitnego akademika, człowieka, którego przyjaźń cenię bardzo wysoko. Rozważa on całkowicie nową metodę klasyfikacji...

Myśli Jacka umknęły ku stengom „Ariela”, które zostały zdjęte podczas ostatniej wichury, a rozpędziło je dopiero dobitniejsze stwierdzenie Stephena.

-...dlatego też ci, który upierają się klasyfikować ptaki na podstawie kształtu ich szponów, mogą zostać zmuszeni do uznania lelka kozodoja i rybołowa za gatunki blisko spokrewnione - powiedział z rzadką dla siebie emfazą.

- To dopiero byłby nonsens - stwierdził Jack. - Smakuje nieco jak wieprzowina, prawda?

- W istocie. Nie ma w tym jednak nic dziwnego, zważywszy na to, że ich dieta składa się głównie z os oraz ich jaj. Przepraszam cię. - Z tymi słowami wziął kości z talerza Jacka i zawinął je w chusteczkę. - Admirał wywarł na mnie ogromne wrażenie - stwierdził. - Oto admirał godny admiracji, podziwiam też jego umiejętność podejmowania trudnych decyzji. Obawiałem się niekończących wahań i wątpliwości oraz niechęci do podjęcia odpowiedzialności.

- O, tych cech na próżno by szukać u sir Jamesa - rzekł Jack. - Pamiętasz, jak popędził za flotą Francuzów i Hiszpanów pod Gibraltarem? Wtedy również nie wahał się ani chwili, jak sądzę. A zauważyłeś, jak się okropnie postarzał? Na pewno nie ma jeszcze sześćdziesiątki, a mimo to wygląda jak starzec!

- Och, ocena czyjegoś wieku to doprawdy kwestia względna. Myślę, że dla młodych ludzi z mesy midszypmenów sam wyglądasz jak patriarcha.

Pamiętam, jak jeden z midszypmenów pomógł mi przejść przez ulicę w Góteborgu, zupełnie jakbym był jego dziadkiem.

- Pewnie i wyglądam dla nich staro! - roześmiał się Jack. - Bo oni dla mnie wyglądają młodo, niewiarygodnie wprost młodo. W Bogu jedynie nadzieja, że zdążyli się już wyuczyć swego fachu. Już wychodzisz, Stephen?

- Tak. Chcę się położyć, strawić w koi mego trzmielojada i mocno przespać resztę czasu, jaki mi pozostał. Dobranoc, Jack.

Stephen był całkowicie spokojny, wręcz wydawał się mieć lepszy nastrój niż zazwyczaj, tak więc Jack nie miał wątpliwości, że będzie spał aż do rana.

Zazdrościł mu. Wieloletnie doświadczenie nauczyło go zapadać w sen w dowolnym momencie, lecz

wiedział, że tej nocy nie zazna wiele spokoju.

Dręczyły go niespokojne myśli, co z jednej strony wydawało się całkowicie logiczne, lecz z drugiej całkowicie nierozsądne. Poprosił o dzbanek z kawą i, pijąc, raz jeszcze przeliczył kurs. Uzyskał ten sam wynik co poprzednio, lecz przecież było tyle spraw, które mogło się nie powieść, tyle nieprzewidywalnych czynników...

O jeden z nich nie musiałby się w ogóle martwić, gdyby tylko miał czas, by zebrać własnych oficerów, ludzi pokroju Pullingsa, Babbingtona bądź

Mowetta, z którymi żeglował od lat i których znał doskonale. Nadawał by się również któryś z wychowanych przez niego midszypmenów, służących teraz w randze porucznika.

„Lecz przecież ci młodzi ludzie w kubryku »Ariela« muszą znać swój fach” - pomyślał. „W istocie wydają się młodzi, lecz przecież służą w marynarce od dzieciństwa, a okręt jest utrzymany w doskonałym stanie. Sam sir James to zauważył. »Rzadko zdarza się natrafić na tak dobrze utrzymany słup, jak ten«, stwierdził. Hyde być może nie jest wschodzącą gwiazdą marynarki i mizerny z niego żeglarz, ale na pierwszego oficera nadaje się doskonale: dba o dyscyplinę, jest stanowczy, a przy tym nie znęca się nad załogą. Nawigator to bez wątpienia doskonały specjalista, a Fenton wydaje się wyrastać ponad rzeszę przeciętnych, przyjaźnie nastawionych, kompetentnych poruczników. Tak, jeśli dopisze mu szczęście i otrzyma dobry awans, może zająć wysoko”.

Przekonawszy sam siebie, że przynajmniej część jego niespokojnych myśli jest czystym absurdem, Jack wyszedł na pokład, by rozeznac się w sytuacji.

Deszcz przestał już padać, na niebie się przejaśniało, lecz nie było księżyca, przez co wokół panowały całkowite ciemności. Okręt płynął zgodnie z planem, a rzuciwszy okiem na tabliczkę kursową, Jack przekonał się, że utrzymuje stałą prędkość sześciu węzłów. Szli na marslach z pojedynczymi refami i luźnymi szotami. Fenton z pewnością wiedział, jak prowadzić ten okręt.

Niewiele brakowało do wybicia trzech dzwonek psiej wachty, załoga też na razie nie miała specjalnie wielu obowiązków, lecz mimo to na pokładzie panowało niecodzienne ożywienie. Na próżno by szukać sylwetek śpiących na dziobie lub pod burtami łodzi - wszyscy marynarze, którzy nie musieli akurat przebywać na rejach, trwali przy relingach i starali się przebić wzrokiem ciemności. Jednym z nich był Wittgenstein, mieszkaniec wyspy Helgoland, który żeglował na węglowcach idących do Leith, póki Jack, służący jeszcze jako midszypmen, nie wcielił go do swej załogi. Od tej pory odbyli razem trzy lub cztery rejsy, w trakcie których nawiązała się między nimi nić wzajemnej sympatii. Podczas drugiego wspólnego rejsu, kiedy znajomość nawigacji u Jacka wciąż pozostawiała wiele do życzenia, otrzymał zadanie przyprowadzenia cennego przyżu handlowego do PortofSpain. Wittgenstein należał wówczas do jego załogi przyzowej i tylko dzięki niemu nie tylko przetrwali dwie potężne burze, które zepchnęły ich daleko z kursu, lecz w końcu z trzytygodniowym spóźnieniem dotarli do Trynidadu. Marynarz podszedł właśnie ku rufie, by poprawić ustawienie latarni rufowej, a Jack powiedział:

- Cóż, Wittgenstein, cieszę się, że znów cię widzę. Od naszej ostatniej wspólnej podróży upłynęło już pewnie z siedem lub osiem lat? Jak ci się powodzi?

- Całkiem nieźle, sir, Bogu niech będą dzięki, choć żaden z nas nie jest już taki młody jak kiedyś. Pan również dobrze się trzyma, z tego co widzę, sir. -

Wittgenstein przyjrzał mu się uważnie przy żółtym blasku latarni. - Cóż, całkiem dobrze, wzięwszy wszystko pod uwagę.

Jack pozostał jeszcze na pokładzie przez kilka szklanek, a potem wychodził jeszcze raz na jakiś czas, by nadzorować stabilną pracę okrętu i rzucić okiem na rozgwieżdżone niebo. Znikał właśnie Mars, uwięziony wśród gwiazdozbioru Panny, gdzieś nad Litwą, a Jowisz z godnością migotał za rufą okrętu. Noc wydawała się trwać wiecznie, a rejs przypominał niekończące się dryfowanie pośród ciemności.

W końcu zasnął, siedząc w pomysłowym, wiszącym krześle, które Draper umocował pod sufitem kajuty kapitańskiej. Obudził go midszypmen, który przyszedł zameldować, że dostrzeżono jakiś żagiel. Jack uświadomił sobie, że przespał zmianę wachty, a gdy wyszedł na pokład, ujrzał pierwsze przejaśnienia zbliżającego się świtu.

Światelka naktuza wciąż połyskiwały i w pierwszej chwili Jack nie dostrzegł nic poza linią horyzontu.

- Niech pan spojrzy wzdłuż ruchomego baksztagu - zaproponował

nawigator, który pełnił wachtę poranną.

W końcu dostrzegł drobną plamkę bieli, wycelował w jej kierunku nocną lunetę i przyglądał jej się intensywnie przez długą chwilę.

„Nie, to zbędna fatyga” - pomyślał. „To nie mój ket. Za wcześnie na spotkanie z nim, a poza tym ta jednostka na zawietrznej kierowała się na południe. Lecz z drugiej strony...”.

Jack podświadomie złożył lunetę i z poważnym, wręcz srogim wyrazem twarzy rozpoczął wspinaczkę na grotmars, rozważając dziesiątki możliwych ewentualności bądź możliwości rozwoju wydarzeń. Dowiedział się od admirała, że na tym akwenie nie pływały żadne okręty patrolujące z wyjątkiem brygu o nazwie „Rattler”, a tymczasem dostrzeżona przez niego jednostka miała trzy maszty. Co więcej, żaden angielski statek handlowy nie odważyłby się na samotny rejs po Bałtyku. Niemal wszystkie czekały na konwój, by w ten sposób zabezpieczyć się przed atakami duńskich korsarzy. Nawigator wspinał się na mars tuż za nim.

Błyskawicznie stawało się widno, a ów odległy, niewielki statek - bez wątpienia nie był to bowiem okręt wojenny - wciąż znajdował się w tym samym miejscu. W oku nocnej lunety Jack widział jego odwrócony obraz, przypominający scenę ze snu.

- To nie nasz ket - powiedział, przekazując lunetę nawigatorowi. - Co pan sądzi ma jej temat, Grimmond?

- Zgadzam się, sir, to nie ket - odparł Grimmond po chwili przyglądania się statkowi. - Widać jego zwykłe, standardowe bramreje. Głowy bym za to nie dał, ale przypomina mi nieco „Minnie”, duński

statek handlowy z Aarhus.

Widzieliśmy go wiele razy w zeszłym roku, a dwukrotnie nawet rzuciliśmy się za nim w pościg. Świetnie żeglujecie ostro do wiatru.

- A zatem chodźmy na top, panie Grimmond - rzekł Jack i zawołał do obserwatora, by ześlizgnęli się po sztagach. Na tak niewielkim okręcie saling grota był nieduży i ledwie starczyło tam miejsca dla ważącego około stu kilogramów kapitana i potężnie zbudowanego nawigatora. Kruche drzewce zatrzeszczały złowieszczo. Grimmond był ogromnie zażenowany, ale i przerażony. Obaj powinni zasiąść bardzo blisko siebie, ale on nie potrafił

skłonić się do zażyłości wobec takiej postaci jak kapitan Aubrey, był więc zmuszony zawisnąć niczym ukrzyżowany między wantą a baksztajem.

W pierwszej kolejności Jack omiótł lunetą horyzont w poszukiwaniu swej zdobyczy, keta zmierzającego do Rygi. Z tej wysokości był w stanie przeszukać obszar

o średnicy dwudziestu pięciu mil morskich, lecz nigdzie keta nie zauważył. Nie zdziwiło go to jednak, gdyż wedle obliczeń ścigana przez nich jednostka powinna wciąż znajdować się za południowoschodnim horyzontem i wolno pełznąć w kierunku miejsca, gdzie „Ariel” przetnie jej kurs mniej więcej w chwili zmiany wachty na przedpołudniową.

- Tak, sir - odezwał się nawigator. - Teraz to już jestem prawie pewien, że mamy przed sobą „Minnie”. Nawodna część burty jest pomalowana na czarno, a szalupy ma na rufowych żurawikach.

- Cóż to za statek?

- Cóż, sir, czasami działa jako statek handlowy. Zdobywa zezwolenie i robi interesy z nami albo handluje z Francuzami na własną rękę. Czasami pewnie wypuszcza się też na rejsy korsarskie. Przypuszczalnie zajmuje się jednym i drugim, jak tylko natrafi się okazja. Gdy uciekał przed nami, by w końcu schronić się w Gdańsku, z pewnością żadnego zezwolenia nie miał.

- A więc jest szybki, powiada pan?

- Bardzo szybki na wiatr, sir, lecz żeglując baksztajem, nie uciekłby przed „Arielem”. Za drugim razem już byśmy go mieli, lecz uciekł pod osłonę dział na Bornholmie. A niewiele już nam brakowało.

- W co jest uzbrojony?

- W czternaście duńskich sześćofuntówek, sir.

Było to całkiem silne uzbrojenie jak na statek handlowy, ale nawet mimo tego nie mogło się równać z artylerią „Ariela”. Jack zadumał się, zawieszony między czystym niebem a pokładem. Odnalezienie i przechwycenie keta stanowiło jedynie hipotezę - było to wielce prawdopodobne, lecz przecież nie mógł mieć pewności. Co więcej, ket żeglował rozpaczliwie powoli i droga do Grimsholmu zabrałaby mu mnóstwo czasu, bez względu na to, czy płynąłby o własnych siłach, czy byłby

holowany. Tymczasem „Minnie” żadną hipotezą nie był i Jack widział go na własne oczy. Statek był szybki, zdążył we właściwym kierunku - uciekając przed pościgiem, przybliżyłby się tylko do celu wyprawy! -

a ponadto płynął od zawietrznej.

- Dobrze więc, panie Grimmond - powiedział Jack. - Sprawdźmy, czy uda się go przechwycić tym razem.

Następnie chwycił za baksztag i gładko ześlizgnął się na pokład.

Jack wiedział, że jakichkolwiek forteli mógł spróbować jedynie w pierwszej fazie pościgu, kiedy to istniała szansa, że obserwatorzy „Minnie” przez jakiś czas będą ignorować „Ariela”, co było typowe dla załóg statków handlowych, a w duńskim dowódcy obudzi się ciekawość korszarz-amatora i apetyt na nową zdobycz. Czuł jednak, że zanoszą się na zwykły, bezpośredni pościg, w którym o zwycięstwie zadecyduje szybkość, a być może również wyszkolenie załóg. Dzień się dopiero zaczynał, wiatr mieli korzystny, a wokół

ciągnęło się otwarte morze. Jack gorzko żałował, że nie kazał jeszcze wstawić bramsteng, które zdjęto na czas wczorajszego sztormu - miał zamiar wydać ten rozkaz dopiero w chwili, gdy na pokładzie znajdą się obie wachty.

Nie było więc okazji na wykorzystanie wielu forteli, lecz głupotą byłoby nie skorzystać z każdej nadarzającej się okazji, by powiększyć swoją przewagę.

Obie jednostki dzielił dystans prawie pięciu mil i kadłub „Minnie” był ledwie widoczny z pokładu. Dogonienie Duńczyków mogło zabrać wiele czasu, tym bardziej że ich statek miał już założone bramreje, a „Ariel” był głęboko zanurzony. Jack postanowił więc ruszyć na skos, by niby przypadkowo przeciąć kilwater „Minnie”, a następnie kazał zawiesić rytuał szorowania pokładu, zakazał zwijania hamaków aż do odwołania i polecił zakryć flirty działowe pokrowcami na hamaki oraz przygotować bramstengi oraz bramreje do natychmiastowego zamocowania. Oficerów zaś poprosił, by poszli za jego przykładem i zamienili wspaniałe, błękitne kurtki mundurowe na zwykłe kurty marynarskie. Sam opuścił Anglię z jednym tylko mundurem, swym najlepszym, tak więc oficerowie „Ariela”, wychodząc z założenia, że taki jest jego zwyczaj, nosili się z elegancją, która przyniosłaby chlubę nawet okrętowi liniowemu. Ich błyszczące guziki, epolety i szykowne kapelusze były jednakże widoczne z wielkiej odległości, a trudno o bardziej charakterystyczny znak rozpoznawczy dla okrętów Jego Królewskiej Mości. Na koniec Jack posłał również większość marynarzy pod pokład, zatrzymując na górze jedynie około tuzina.

Na „Minnie” zauważono ich wcześniej, niż Jack się tego spodziewał. Z

grotmarsu dostrzegł, jak duńska załoga rozbiega się po pokładzie i zajmuje stanowiska. Była zaskakująco liczna, co stanowiło ostateczny dowód na korsarską działalność statku - tak wielu ludzi bez trudu mogłoby obsłużyć wszystkie siedem dział na każdej burcie lub zdobyć abordażem każdy statek kupiecki na Bałtyku. Jego kapitan nakazał podejść dziobem do wiatru, by się lepiej przyjrzeć „Arielowi”, a Jack rozkazał:

- Wywiesić duńską banderę, panie Grimmond. - Dowódca „Minnie” wydawał się usatysfakcjonowany i sam odpowiedział wywieszeniem podobnej, po czym znów zmienił kurs, by podejść bliżej. - Kurs na odcięcie drogi, panie Grimmond - zagrział Jack pośród ciszy pełnej oczekiwania. Ledwie jednak wymówił te słowa, dowódca „Minnie” wyczuł podstęp, zawrócił, postawił

bramsle i pomknął na południowy wschód.

Zanim załoga „Ariela” postawiła własne bramsle, bombramsle uciekającego korsarza wezbrały już wiatrem i dystans między obiema jednostkami zwiększał się szybko. Spóźniona reakcja zirytowała Jacka niepomiernie, lecz mógł się złościć tylko na siebie. Rozkaz wstawienia bombramstengi oraz zamocowania jej rei rzucił ponurym, niecierpliwym głosem, który wzbudził niepokój w sercach całej załogi.

W końcu jednak maszty, reje i cała pajęczyna takielunku rozkwitły w należyтым porządku, wszystkie możliwe żagle wydeły się sztywno od wiatru, a fały zostały usunięte i zbuchtowane. „Ariel”, na którym powiewała już bandera brytyjska, a wysoko nad nią jego własny proporzec, popędził wzdłuż kilwateru

„Minnie”, z wolna osiągając maksymalną prędkość, jakiej mógł jej dostarczyć wiatr z prawej ćwiartki rufowej. Było zbyt wcześnie na ocenę, który okręt lepiej sobie radzi z takim wiatrem, ale Jack żywił przekonanie, że dopadnie Duńczyka przed końcem dnia. Niewiele słupów w Royal Navy mogło iść w zawody z

„Arielem”, a Jack dobrze już poznał możliwości małego okrętu.

- Doskonale, panie Hyde - rzekł. - Sadzę, iż możemy już usunąć pokrowce na hamaki i dokończyć czyszczenie pokładu.

Wstrzymany porządek dnia ruszył swym ustalonym torem. Piasek i cegielki znów natarły na wysłużone, jasne drewno desek, hamaki zostały zwinięte i uprzątnięte, z komina kambuza buchnął dym, a gwizdki bosmańskie wezwały załogę na śniadanie. Przez cały ten czas oba żaglowce ścigały się po powierzchni morza przy blasku wstającego słońca.

Na pokład wyszedł Stephen, marzący tylko o wypiciu kawy. Rozejrzał

się, nieco zaskoczony, a nawet podirytowany, że nie wyczuł jeszcze jej zapachu, lecz wtedy przypadł do niego pewien drobny midszypmen. Chłopiec zaprowadził go na dziób okrętu, gdzie stali kapitan oraz nawigator „Ariela”.

Obaj próbowali wycelować swoimi sekstansami w uciekający statek.

- Dzień dobry, doktorze - rzekł Jack. - Mam nadzieję, że spał pan dobrze?

- Spałem doprawdy wspaniale, dziękuję. Odpocząłem zaś jak nigdy.

Wróciła mi bystrość wzroku, odzyskałem apetyt, a moje zmysły są niezwykle wyostrzone. W rzeczy

samej, dostrzegam pewien żagiel w znaczniej odległości... O tam, patrząc prosto wzdłuż dziobu! Lecz pewnie już go zauważyliście?

- Pan Grimmond wyświadczył mi uprzejmość i pokazał mi go już podczas wachty porannej. To będzie twój statek kupiecki, choć u admirała rozmawialiśmy o innej jednostce. Z ulgą mogę ci powiedzieć, że właśnie zaczęliśmy go doganiać. Z początku uciekał bowiem z wielką prędkością.

- A więc to dlatego płyniemy tak szybko i mamy tyle postawionych żagli?

- Ale tak krawiec kraje, jak mu materii staje - powiedział Jack. - Dlatego dla bezpieczeństwa niebawem trzeba będzie zwinąć bombramsle.

- Ta prędkość jest wprost upajająca - stwierdził Stephen. - Czyż i pana serce zaczyna bić szybciej, panie Grimmond? Spójrzcie tylko, jak przecinamy te szare fale, jak biała piana tryska na boki! Cóż za wspaniały okręt, żegluje tak wspaniale, że jego dziób rozciąłby pewnie cienkie źdźbło trawy na dwoje.

Mógłbym się temu przyglądać bez końca, choć w kajucie stygnie nam śniadanie.

Powiedziałem, że stygnie nam kawa, kapitanie Aubrey!

- Za moment przyjdę! - wykrzyknął Jack.

W istocie przybiegł po chwili do kajuty i szybko pochłonął porcję owsianki, jajecznicę z tuzina jaj usmażonych z należytą ilością bekonu oraz kilka grzanek z marmoladą - po postoju w Göteborgu i Karlskronie ich prywatna spiżarnia nie świeciła już pustkami. Jackowi spieszyło się jednak bardzo i ostatnią filiżankę kawy wyniósł już na pokład.

Niejednokrotnie ścigał już w życiu fortunę, lecz nigdy dotąd nie towarzyszyło temu tak wielkie drżenie serca. Podjął się wykonania bardzo trudnego zadania i musiał, po prostu musiał zakończyć je sukcesem. Co więcej, w pełni rozumiał ogromne znaczenie misji, mającej na celu zdobycie wyspy Grimsholm, i wiedział, że nic nie może ani nie powinno przeszkodzić Stephenowi w podjęciu próby. Pokładał wielkie zaufanie w jego talencie i umiejętnościach, lecz mógłby znacznie zmniejszyć grożące mu niebezpieczeństwo, gdyby zdołał wysadzić go na wyspie przed przybyciem francuskich oficerów. Francuzi dotarli do Hollenstein we wtorek, a jeśli weszli na pokład statku tak szybkiego jak „Minnie”, niewykluczone, że wkrótce dotrą na Grimsholm. W rzeczy samej nie było wcale wykluczone, że znajdowali się właśnie na pokładzie duńskiego korsarza - jego kurs pokrywał się z kursem na wyspę.

Miał pod sobą kompetentnych oficerów, a przynajmniej większość z nich, lecz żaden nie miał jego doświadczenia w prowadzeniu okrętów i nie potrafił

maksymalnie wykorzystywać wiatru do zwiększenia prędkości. Wiatr tego poranka okazał się bowiem niezwykle kapryśny i co rusz uderzał z wielką siłą, co groziło złamaniem bramsteng, a nawet samych steng. Dowódca „Minnie” również okazał się sprytnym przeciwnikiem - przyciśnięty do muru, wypróbował rozmaite ustawienia steru oraz kombinacje żagli, by odkryć, jakim kursem

względem wiatru „Ariel” żegluję najlepiej. Jack odpowiadał tym samym przy każdej zmianie podmuchu. Żagle boczne wykwitwały co rusz w innych miejscach - to tuż nad pokładem, to wyżej na rejach - a gdy tylko wiatr pozwolił, pojawiały się również bonnety i inne żagle górne, które dowódca nakazywał związać na moment przed rozdarciem. Na pokładzie panowała atmosfera napięcia i podniecenia, w której na próżno było szukać strachu.

Marynarze z ochotą wypełniali swoje obowiązki - z ogromnym zapalem wciągali węże na marsy i polewali żagle wodą, by jeszcze odrobinę zwiększyć ich siłę nośną, podawali też sobie wiadra z wodą aż na saling, by zmoczyć bramsle. Niejednokrotnie przewidywali też rozkazy kapitana i przypadali do szotów i fałów, zanim jeszcze padł rozkaz. Dystans zmniejszał się powoli, czasem nadrabiali tylko jeden kabel na godzinę, lecz bez wątpienia doganiali Duńczyków. Od połowy wachty przedpołudniowej z pokładu „Ariela” widać już było kadłub ściganego statku.

Tuż przed pomiarami pozycji okrętu, które tradycyjnie przypadało w południe, dowódca „Minnie” ku swej satysfakcji odkrył, że najmniej przewagi traci, żeglując idealnym bejdewindem. Ruszył więc tym kursem ze wspaniałą piramidą żagli nad pokładem, a jego załoga pozbywała się w międzyczasie zapasów wody i wyrzucała działa do morza. Wzdłuż burt uciekającego trójmasztowca wykwitło czternaście fontann wody, które uwolniły go od ciężaru wielu ton.

- Zechcesz zejść na obiad? - spytał Stephen dwie godziny później. -

Steward jest spięty i twierdzi, że prosię zaraz nie będzie nadawało się do jedzenia.

- Nie - rzekł Jack. - Widzisz jego bonnety? Przekleństwo ścigania jakiegokolwiek statku po Bałtyku polega na tym, że twa ofiara prawie zawsze ma lepszy osprzęt, jak choćby doskonale płótno żaglowe z Rygi czy takielunek ze wspaniałych konopi! Dzięki temu w sytuacjach, gdzie ja zaczynam się wahać, one dalej mogą pędzić na całego! Nie, nie mogę spuścić tego Duńczyka z oczu. To cholernie dobry żeglarz. Przekaszę coś na pokładzie.

- Myślisz, że może zdołać nam uciec?

- Mam nadzieję, że nie. Nie, jestem pewien, że nie! Płynąc z tą prędkością, dopadniemy go nieco po zachodzie słońca, założywszy, że nie stracimy żadnego drzewca. Problem jedynie leży w tym, że mamy wiatr w poprzek i im bardziej słabnie, tym my wolniej nadrabiamy. „Minnie” zaś żegluję bardzo dobrze i sądzę, że tego rodzaju okręt najlepiej sobie radzi właśnie przy lżejszym wietrze. Jak sam pewnie widzisz, ma niewielkie zanurzenie i jestem przekonany, że niedawno obito mu dno nową blachą miedzianą. Wszyscy oficerowie zgadzają się, że nigdy dotąd nie widzieli, by żeglował tak szybko.

Admirał ucieszyłby się z takiego prezentu. Bardzo potrzebuje nowych awizo.

- A zatem z tego, co słyszę, jesteś przekonany, że go przechwycimy.

- Och, nie powinienem mówić takich rzeczy, bo to przynosi pecha. Nigdy nie dzielę skóry na niedźwiedziu, skądże znowu. Mam na myśli tylko to, że gdyby został zatrzymany, mógłby zostać wykupiony przez marynarkę wojenną.

Mamy sporą szansę, naprawdę sporą szansę, lecz przed wszystkim musimy dogonić go przed zapadnięciem zmroku. Ufam, że zdołamy to osiągnąć, gdyż noc zapowiada się bezksiężycowa, nie możemy też liczyć na blask gwiazd.

Popołudnie przeciągnęło się w nieskończoność, a wyścig obu okrętów wciąż trwał. Pomimo że załogę „Ariela” wzmocniło wielu nowych ludzi, marynarze byli już znużeni bezustannym pompowaniem oraz pracą przy górnych żaglach. Jack jednak miał nadzieję, że sytuacja przedstawiała się równie kiepsko lub nawet gorzej na pokładzie Duńczyka. W każdym razie zdecydował się pozostawić optymalny trym - bezan bez żagli, oba szoty grota obłożone ku rufie, fokżagiel na gejstawach, wszystkie żagle boczne foka oraz wszystkie żagle na bukszprycie - i pozwolił załodze na odpoczynek. Teraz obawiał się tego, że słupek rżęci w barometrze zacznie rosnać lub wiatr straci na sile, co na pewno ucieszyłoby kapitana znacznie lżejszej „Minnie”. Ani przez moment, nawet w głębi duszy nie stracił wiary w to, że prędzej czy później zdoła go doścignąć, nawet po tym, jak nagły podmuch wiatru wyrwał

grotbombramsel z likliny.

„Ważne jednak jest to, by nastąpiło to wcześniej, a nie później” -

pomyślał, patrząc ze złością na niewzruszone, wydęte wiatrem żagle „Minnie”, podczas gdy jego marynarze wspinali się na reje, by zastąpić utracony bombramsel zużyтым, wyświechtanym płótnem numer osiem z przydziału admiralicji.

Prawdziwy, zimny strach i przecucie całkowitej klęski owładnęło go dopiero później, gdy zachodzące słońce pochłonęło wiatr i „Minnie” zauważalnie nadrobiła dystans. Przez ostatnią godzinę znajdowała się w maksymalnym zasięgu dziobowej pościgówki i Jack przygotował już oba działa, lecz nie chciał uszkodzić statku, który zamierzał wykorzystać. Teraz pojawiło się jeszcze prawdopodobieństwo, że ogień z dział jeszcze spowolni bieg okrętu, lecz z drugiej strony mogło to być jedyne sensowne rozwiązanie. Jeśli „Minnie” nadal będzie zwiększać dystans, a wiatr nie przybierze na sile, Duńczycy dotrą w pobliże Grimsholmu o wiele szybciej od niego. Wyspa leżała bowiem idealnie na kursie obu jednostek, a w chwili obecnej dzieliła je od niej niewielka odległość, być może do pokonania w jedną noc.

Jack wydał rozkaz postawienia trumsla na grocie, co było wielkim ryzykiem, ponieważ bombramsstenga została uszkodzona w chwili zerwania żagla, po czym zaczął zastanawiać się nad otwarciem ognia. Na niewielkim pokładzie rufowym panował wielki ścisk, gdyż wszyscy oficerowie oraz młodzi dżentelmeni nie opuszczali go praktycznie od początku pościgu. Przez cały czas rozmawiali przyciszonymi głosami, lecz teraz zamilkli, oczekując na to, co się wydarzy, gdy marynarze obłożą szoty trumsla. Jedynymi odgłosami, które dotarły do Jacka stojącego na swym uświęconym tradycją miejscu przy prawoburtowym relingu, były głosy doktora Maturina oraz Jagiełły. Obaj panowie, całkowicie nieświadomi znaczenia nowego żagla, rozmawiali ze swobodą ludzi całkowicie obojętnych na rozwój wydarzeń.

- Niech pan mi powie, Jagiełło - rzekł Stephen. - Cóż to za wybrzeże, któremu właśnie się przyglądamy? To część Kurlandii czy Pomorza? A może całkiem coś innego?

- No, teraz to mnie pan rzucił na głęboką wodę - oznajmił wesoło Jagiełło.

- Jeśli o mnie chodzi, możemy być teraz wszędzie. W tym rejonie Bałtyku wybrzeża wyglądają niemal tak samo. Nic tylko płycizny, a za nimi płaski teren i ogromne wydmy, ciągnące się przez dziesiątki kilometrów. Te brzegi są martwe, jałowe i nikomu na nic nieprzydatne, ale mimo tego Polacy, Szwedzi, Rosjanie i Niemcy walczą o nie od setek lat. O, widzę jakieś ruiny zamku przez lunetę, ale nie mam pojęcia, cóż to jest... A jedynym owocem tych wybrzeży jest bursztyn - dodał, podając Stephenowi lunetę.

- Bursztyn? - wykrzyknął Stephen, lecz w tej samej chwili z pokładu rufowego dobiegło ich zbiorowe westchnienie. Trumseł się trzymał! Niewielki skrawek płótna dodał „Arielowi” nieco prędkości i dystans między jednostkami znów przestał się zwiększać. Nie rozwiązało to jednak problemu Jacka, który nagle złapał się na tym, że z niecodzienną dla siebie gwałtowną wściekłością marzy o tym, by dyskurs na temat bursztynu, jego pochodzenia, właściwości elektrycznych, zastosowań w starożytności oraz poświęconych mu prac Talesa z Miletu natychmiast dobiegł końca.

- Panie Hyde, proszę przystąpić do wylewania... - zaczął, wciąż wpatrzony w „Minnie” i nagle ku swemu zaskoczeniu ujrzał, że ta rozpoczyna zwrot w lewo, aż znieruchomiała na nowym kursie, mając wiatr trzy rumby za trawersem. Urwał więc i wyrzucił z siebie serię nowych rozkazów, nakazując załodze postawienie bezana, bezantopsła, bezanbramsła i bezanbombramsła, a potem fokzągła, fokmarsła oraz wszystkich żagli bocznych oraz sztaksli, które były bezużyteczne przy wietrze z rufy. Liczna załoga „Ariela” mogła wreszcie ukazać swą pełną przewagę i piramida żagli nad pokładem słupu wykwitła wprost błyskawicznie. Ostatnie szoty obłożono w chwili, gdy załoga „Minnie” była jeszcze w połowie pracy.

Ale jeszcze zanim stawianie żagli dobiegło końca, a Stephen i Jagiełło zostali kilkakrotnie potrąceni przez grupy pędzących marynarzy, Jack posłał

jednego z midszypmenów na top grotmasztu. Tak niespodziewana zmiana kursu

„Minnie” wyglądała bowiem na samobójstwo - jej kapitan zdążył już się przekonać, że przy wietrze z baksztagu „Ariel” ma nad nim dużą przewagę, a teraz na domiar złego stracił jeszcze około kabla w zaledwie kilka minut. Płynąc tym kursem, statek korsarski traciłby milę przewagi na godzinę nawet po postawieniu wszystkich swoich żagli, a słońce nadal wisiało jeszcze nad horyzontem. Jedynym wyjaśnieniem tak niespodziewanego manewru było to, że Duńczycy dostrzegli jakiegoś sojusznika na brzegu lub wroga na morzu.

- Ahoj na pokładzie! - zawołał midszypmen. - Widzę żagiel, sir! Żagiel dwa rumby na prawo od dziobu!

- Widzi pan proporzec? - zawołał. Było to głupie pytanie, gdyż „Minnie” nigdy nie zboczyłaby z kursu, gdyby obserwatorzy korsarza nie dostrzegli proporca, oznaczającego przynależność do marynarki wojennej. Jack chciał

jednak usłyszeć potwierdzenie dla swego tryumfu.

- Och tak, sir! Wydaje mi się, że dobrze znam ten okręt! To brygantyna idąca prawym halsem... Właśnie wykonuje zwrot... Tak, sir. Znam ten okręt bez wątplenia!

- A co to?

- To „Humbug”, sir! - zawołał midszypmen, lecz w jego głosie zabrzmiało wahanie.

Jack nie dowierzał własnym uszom.

- Co takiego żeś pan powiedział? - wrzasnął.

- To „Humbug”, sir!

Na dziobie rozległy się wybuchy głośnego śmiechu, a trzech młodych dżentelmenów, stojących tuż obok kapitana, zaciskało z całej siły szczęki, próbując powstrzymać wesołość. Wszyscy oficerowie uśmiechali się szeroko.

Był to popularny ostatnio na Bałtyku dowcip, który musiał zaskakiwać wszystkich przybyszów. Tuż zanim Rosjanie połączyli siły ze Szwedami i Brytyjczykami, pewien dowcipny kapitan Royal Navy zatrzymał jeden z rosyjskich okrętów, bardzo charakterystyczną brygantynę rodem z Tyne, doskonale żeglującą ostro na wiatr, po czym zmienił jego niemożliwą do wymówienia nazwę na „Humbug”. Tym samym był to jedyny humbug, jaki kiedykolwiek pojawił się na liście okrętów Royal Navy.

Humbug, dobry Boże. Użyto takiego słowa wobec niego, na jego własnym pokładzie rufowym, w obecności wszystkich? Ten chłopak musi być pijany! Na moment na twarzy Jacka pojawiła się straszliwa groźba, a uśmiechy dookoła zamarły, lecz w chwilę później jego święte oburzenie ustąpiło i powiedział:

- Bardzo dobrze, panie Jevons. Zostanie pan tam, póki pana nie odwołam.

Ponownie spojrzał na „Minnie”, uwięzioną między młotem a kowadłem.

- Panie Hyde, proszę zwinąć trumsel - powiedział. - Nie ma potrzeby narażać dłużej masztów.

Był przekonany, iż płynąc tym halsem, mógłby zwinąć bombramsle, a może nawet fokbramsel, a i tak dopadnie „Minnie” w ciągu najbliższej godziny.

Nie będzie musiał korzystać z pościgówek.

- Tak jest, sir - rzekł Hyde. - To znaczy nie, sir. Nie ma potrzeby. A tak na marginesie, ta brygantyna naprawdę nazywa się „Humbug”. Jevons nie miał

zamiaru pana urazić.

- Naprawdę? Cóż, coś podobnego. A zatem może zejść na pokład. Gdzie jest midszypmen sygnalista? Proszę wywiesić sygnał dla „Humbuga”, skoro ów okręt w istocie tak się nazywa: „Wróg w zasięgu wzroku. Prowadzimy pościg na wschodniopółdniowy wschód”. Następnie proszę wypalić z działa.

Panie Jagiełło, niezmiernie mi przykro, że został pan przewrócony. Mam nadzieję, że nic się panu nie stało?

- Och, ależ skąd - odparł ze śmiechem Jagiełło. - Doprawdy nic się nie stało. To moje ostrogi zahaczyły się o linę. Chyba będę musiał je zdjąć.

- Proszę o wybaczenie, sir - wtrącił się Pellworm. - „Minnie” kieruje się na ławicę Forten. W rzeczy samej, już znalazła się na skraju Krakena, o ile się nie myłę.

- Naprawdę? - wykrzyknął Jack. Forten to seria ławic, ciągnących się w odległości kilku mil od płaskiego, piaszczystego brzegu, a utworzonym w ten sposób kanałem często żeglowały statki. „Minnie” miała zanurzenie o jakieś dwie stopy mniejsze od „Ariela”, tak więc ostatnią nadzieją jej kapitana było wprowadzenie prześladowców między ławice, które tylko lekki statek korsarski mógł pokonać. To był jeden z powodów tak niespodziewanego, nagłego zwrotu.

- Ależ to szczywany lis! Migiem brać się za sondy! Panie Pellworm, zdoła nas pan przeprowadzić?

- Mam nadzieję, że tak - rzekł pilot i zerknął znacząco na olbrzymią piramidę żagli nad nimi.

- Okręt należy do pana. Proszę zwijać żagle wedle własnego uznania.

Słońce dotknęło krawędzią linii horyzontu, a zaróżowione żagle znikaly jeden po drugim. „Ariel” wszedł w kilwater „Minnie” i sunął w ślad za nim.

Dystans między obiema jednostkami przestał się zmniejszać. Na obu burtach słupu pracowali marynarze z sondami, a skupiony, poważny pilot, na którym spoczywało teraz zadanie prowadzenia okrętu, to porównywał swe znaki nawigacyjne - wieżę na brzegu oraz odległą wieżyczkę - ze swym kompasem azymutowym, to spoglądał ku statkowi korsarskiemu, by uchwycić najdrobniejsze nawet poruszenia jego steru.

Płetwa sterowa duńskiej jednostki często zmieniała swe położenie.

Kapitan „Minnie” najwidoczniej znał mielizny jak własną kieszeń i co rusz bez wahania zmieniał kurs. Ster „Ariela” wykonywał ten sam manewr z piętnastominutowym opóźnieniem, sunąc w gęstniejącym półmroku po tafli pozornie niewinnego morza. Był to doprawdy osobliwy pościg - podniecenie, wywołane przez oszałamiającą prędkość, zniknęło bez reszty, ustępując miejsca całkiem innemu rodzajowi napięcia. Dziobowe kotwice wisiały już na kotbelkach, a zawoźna między żurawikami rufowymi, gotowa do natychmiastowego zrzucenia. Czuwający przy nich marynarze czekali tylko na odpowiednią komendę. Na pokładach panowała całkowita cisza, przerywana jedynie rozkazami pilota oraz zaśpiewem marynarza z sondą.

- Sześć sążni, sześć sążni, pięć sążni, pięć i pół...

Niespodziewanie głos marynarza przybrał na sile:

- Trzy i pół sążnia! Trzy i pół!

Ludzie na „Arielu” zasznurowali usta. Pod kilem słupu pozostało bardzo niewiele wody.

- Fokmarsel na pracę wstecz! - wrzasnął pilot, ujmując szczeble koła sterowego.

- Trzy i pół sążnia! Trzy sążnie! Cztery i jedna czwarta. Sześć! Sześć i pół!

Znów znaleźli się w głębszym kanale. Jack odetchnął.

„Dzięki Bogu, znów mamy wodę pod kilem” - pomyślał. „O, znów skręcili trzy rumby na prawo. Pewnie przed nami kolejna paskudna przeszkoda.

Nie wolno niepokoić pilota, ale Bóg mi świadkiem, jak bardzo pragnę...”

- Utknął! - Niespodziewanie na dziobie rozległ się głośny ryk. - Ten stary, nieszczęsny skurwysyn wpakował się na mieliznę, ha, ha, ha!

Podoficer nawigacyjny natychmiast nakazał marynarzowi ciszę, a stojący w pobliżu midszypmen dzielił go tubą głosową, ale ten się nie mylił. „Minnie” łagodnie zatrzymała się wśród fal. Wszystkie jej maszty pochylały się delikatnie ku dziobowi, a potem wygięły się gwałtownie, gdy duński kapitan nakazał

opuścić żagle podebrane na gejtawach, a następnie obłożyć ich szoty w ostatniej próbie przepchnięcia statku przez ławicę. Jego wysiłki spełzły na niczym, cofnąć statku nie zdołał. „Minnie” tkwiła nieruchomo w objęciach ławicy. Jej kadłub nie kołysał się, jakby przycumowano go dziobem i rufą.

- Żywo z tą sondą! - zawołał Jack. - Może pan ustawić nas burtą do niego, panie Pellworm?

- Się robi, sir! - zachichotał pilot.

- Siedem sążni! - zaśpiewał marynarz z sondą. - Siedem i pół!

- Jesteśmy na wodach Krakena - zauważył Pellworm. - Przygotować kotwicę zawoźną.

„Minnie” była coraz bliżej. Słysząc już było głosy duńskich marynarzy i widać ich twarze, na razie białe plamki pośród ciemności. Korsarze spuszczały właśnie z rufy niewielki gig na wodę, a na pokładzie ich statku Jack dostrzegł

kilka sylwetek w pełnych mundurach. Bez wątplenia byli to Francuzi.

- Starczy, panie Pellworm - powiedział, gdy „Ariel” znalazł się w odległości jednego kabla od nieruchomej „Minnie”. Nie życzył sobie, by jej kadłub zasłaniał ów gig ani chwili dłużej, nie chciał też podchodzić zbyt blisko i zakłócić linię ognia. - Wypuścić kotwicę zawoźną! - rozkazał. - Wypuścić prawą kotwicę dziobową! Żagle na gejtawy! - Następnie ujął tubę głosową i wykrzyknął: - Ahoj, „Minnie”! Natychmiast wciągnijcie łódź na pokład albo rozbiję ją w drzazgi! - Zamiast odpowiedzi usłyszał jedynie odgłosy wściekłej sprzeczki korsarzy oraz pojedynczy wystrzał z pistoletu. - Panie Jagiełło! -

zawołał. - Niech pan ich okrzyknie po duńsku! Proszę powtórzyć dokładnie moje słowa. Panie Hyde, proszę założyć szpryng na linę kotwiczną.

Czysty, wysoki głos Jagielły poniósł się w kierunku oddalonego o niecałe dwieście metrów statku. Litwin powtórzył ostrzeżenie w kilku różnych językach, lecz mimo tego łódź z pluskiem opadła na spokojną wodę. Kilku francuskich oficerów wskoczyło do niej w tym samym momencie, w który duński kapitan postanowił opuścić banderę.

- Alarm bojowy! - rozkazał Jack. Marynarze w jednej chwili przypadli do pościgówek, które odtoczono i przygotowano już jakiś czas temu. - Panie Hyde, proszę obrócić okręt o trzy czwarte.

„Ariel” odwrócił się na szpryngu i zamarł, niemal równie nieruchomy jak

„Minnie”. Łódź ukazała się w chwilę później, a wiosłujący nieporadnie Francuzi minęli właśnie dziobnicę korsarza i ruszyli w stronę lądu. Ich gig znajdował się dokładnie na linii ognia prawoburtowej pościgówki, a kolejny obrót kabestanu ustawiłby ją na wprost całej salwy burtowej. Okręt stał w miejscu, pokład praktycznie się nie kołysał, a łódź była w zasięgu ognia na wprost - nawet znacznie gorzej wyszkolona załoga nie miałaby trudności z trafieniem.

- Panie Nuttall, proszę nabić działo pojedynczą kulą i postać ją nad łodzią.

Artylerzysta wycelował armatę i wypalił. Kula uderzyła idealnie za łodzią, w odległości jakichś pięćdziesięciu metrów, lecz odbiła się od powierzchni wody i zatonała dopiero po serii długich skoków. Francuzi nadal wiosłowali.

- Proszę ponowić strzał. - Tym razem dym przesłonił widok i Jack stracił

kulę z oczu, lecz gdy tylko dym się rozwiął, okazało się, że łódź dalej zmierza w stronę brzegu. - Kontynuować obracanie, panie Hyde - rozkazał ochryłym już nieco głosem Jack.

Oczekiwało go niewdzięczne, niehonorowe zadanie, ale łódź lada moment mogła znaleźć się poza zasięgiem jego karonad, a pojedynczym działom nie mógł w pełni zaufać. Musiał zakończyć sprawę raz a dobrze. Słup stał już burtą w stronę uciekinierów, a obsady działowe znieruchomiały przy przydzielonych im karonadach.

- Salwę rozpocznie działo na dziobie! - wydawał kolejne rozkazy. -

Uważnie mierzyć i czekać przed strzałem, aż dym się rozwieje! Działo numer jeden, ognia!

Pierwsza kula uderzyła za daleko w bok, a druga zakołysała łodzią.

Wśród unoszących się kłębow dymu Jack ujrzał, jak na łodzi podnosi się jakiś człowiek. „Czyżby machał chusteczką?” - pomyślał, lecz w ułamek sekundy później wypaliło działo numer trzy, które trafiło idealnie w środek gigu. Deski strzeliły wysoko w górę, a wśród nich zawiroowało w powietrzu coś na kształt urwanej ręki. Wokół buchnęły dzikie wrzaski tryumfu, a rozpromienieni kanonierzy słup poklepywali się z radością po plecach.

- Zamocować działa - rozkazał. - Kutry na wodę. Panie Fenton, sprawdzi pan, czy ktoś ocalał. Panie Hyde, proszę zająć pryz i kazać jego dowódcy pozbyć się wszelkich zbędnych ciężarów. Andersen przetłumaczy pańskie rozkazy. Panie Grimmond, chciałbym, by zawiesił pan na topie grotmasztu światło, które naprowadzi tu „Humbug”, a potem przygotował cumę ośmicalową. Nie ma ani minuty do stracenia.

W istocie, każda minuta była na wagę złota, lecz Jack zmuszony został

stracić ich całe mnóstwo. „Minnie” ani drgnęła. Kanały były wąskie, poruszanie się po nich wymagało wiele zachodu, a okręt o zanurzeniu „Ariela” miał

ograniczone ruchy, przez co nie mógł zająć odpowiedniej pozycji. Ludzie Jacka byli więc skazani na męczarnię wywożenia kotwicy na szalupie i wleczenia za sobą ciężkich lin kotwicznych, co niestety również okazało się próżnym wysiłkiem. Za każdym razem, gdy kotwica wreszcie zanurzyła się w wodzie, a ludzie na pokładzie „Minnie” przypadli do drągów kabestanu, by ściągnąć statek na głęboką wodę, kończyło się tym, że przywlekali kotwicę z powrotem.

Sytuacja przedstawiała się źle już w chwili, gdy powrócił Fenton, przywożąc jednego rozbitka. Był to nieprzytomny młodzieniec w wieku około siedemnastu lat, który odniósł rany głowy i nogi. Kilka godzin później, gdy Stephen wyszedł ze szpitalika, sytuacja pogorszyła się jeszcze bardziej.

Wszędzie widać było rozciągnięte liny, niknące daleko w ciemnościach, a na twarzach marynarzy przy kabestanie na próżno by szukać entuzjazmu. W blasku latarni wyglądali na znużonych i zniechęconych. Stephen podszedł do Jacka w chwili, gdy ten właśnie skończył wywrzaskiwać serię rozkazów ku niewidocznej łodzi. Ten spytał tylko ochryłym już całkiem głosem:

- W jakim stanie jest ten Francuz?

- Sądzę, że uda nam się go ocalić - rzekł Stephen. - Opaska uciskowa powinna wytrzymać, a poza tym młodzi ludzie są niewiarygodnie wytrzymali.

Wygląda jednak na to, że ty masz niezłą przeprawę, bracie.

- Nie ma się z czego cieszyć. Złamaliśmy już wszystkie pachołki rufowe

„Minnie”, straciliśmy też naszą dziobową kotwicę - zerwała się tuż przy pierścieniu - ale zawsze może być gorzej. Wkrótce powinien dotrzeć do nas

„Humbug”, a ma jednak niewielkie zanurzenie.

Głos Jacka brzmiał wesoło, lecz w rzeczywistości nieprzerwana mordęga odciągała go jedynie od rozważań na temat następnych godzin. Nie wiedział

bowiem, że na północy zbiera się z wolna kiepska pogoda, a załoga „Humbuga”, który powoli przemierzał ławicę, przeoczyła wejście do kanału i dwukrotnie już weszła na mieliznę. Czuł natomiast, że gdy fala stanie się mocniejsza, będzie musiał ściąć liny i uciekać, porzucając „Minnie”, a być może również całą misję, która jeszcze kilka godzin temu rozwijała się tak obiecująco.

- Udało ci się coś z niego wydobyć? - spytał.

- Nie - odparł Stephen. - Jest pogrążony w głębokiej śpiączce. Obawiam się jednak, że jego mundur w niczym nie przypomina świetnego uniformu adiutanta sztabowego, a papiery wskazują na zwykłego podoficera. Poza tym tylko młodzi ludzie porwaliby się na tak szaleńczy czyn. Nie wydaje mi się, by trzeźwo myślący, rozsądni, starsi oficerowie rzucili się do tak rozpaczliwej ucieczki.

- Nie wiem - powiedział Jack. - Gdybym jednak sprawował dowództwo nad miejscem takim jak Grimsholm, chyba bym spróbował. Na brzegu postarałbym się potem o konia, przecież do twierdzy wcale nie jest daleko, ale bez wątpienia najpierw wykorzystałbym kadłub „Minnie” i wiosłowałbym przez milę bądź dwie pod jego osłoną. O co chodzi, panie Rowbotham?

- Za pańskim pozwoleniem, sir! Kotwica zapasowa jest przygotowana.

- Bardzo dobrze, bardzo dobrze. A zatem przywiążcie do niej koniec liny kotwicznej, który pozostaje w komorze. Ten koniec, co jest w komorze, panie Rowbotham.

- Och tak, sir. Ten koniec, co jest w komorze.

Pojawił się drugi oficer, który przyszedł po nowe instrukcje i obaj wraz z Jackiem zagłębili się w rozmowie pełnej niezrozumiałych, technicznych wyrażen. Stephen puścił ją mimo uszu i zapatrzył się na światła daleko za ławicą. Były to wszystkie łodzie „Ariela” i „Minnie”, wlekące w różnych kierunkach długie liny, mające ściągnąć duński statek z mielizny. Brakowało wśród nich jedynie gigu, który zabrał Pellworm. Stary pilot wyruszył ku odległemu „Humbugowi”, by przeprowadzić go przez zdradliwy labirynt płycizn.

Naraz zaczął padać drobny, dokuczliwy deszcz, który przyćmił światła.

Fenton odbiegł na rufę, a Stephen powiedział:

- Gdybym mógł zamienić słowo z kapitanem „Minnie”, dowiedziałbym się wszystkich istotnych rzeczy. Muszę zresztą tak czy owak z nim porozmawiać i dowiedzieć się, co wie na temat Grimsholm. Z tego, co zrozumiałem, „Minnie” nie raz już tam zawitała.

- Poślę po niego, jak tylko zwolni się jakaś łódź - rzekł Jack, a następnie krzyknął donośnie: - Panie Hyde, proszę przekazać szyprowi „Minnie”, by przygotował się do zejścia do łodzi. Niech weźmie ze sobą dokumenty statku!

- Sir! - z sieczonych deszczem ciemności dobiegła odpowiedź Hyde'a. -

Kapitan nie żyje! Francuzi zastrzelili go! Mam przysłać jego zastępcę?

Do Jacka podeszło dwóch przemoczonych, ledwie widocznych w mroku ludzi, by złożyć meldunek. Załoga jakiejś niewidocznej szalupy krzyknęła, że cum zaplątała się o zatopiony wrak.

- Nie gryź się, mój drogi - rzekł Stephen. - Nie poddawaj się rozdrażnieniu. Cóż nam przyjdzie z tego, że się teraz dowiemy, że generał

Mercier żyje lub zginął? W tym momencie doprawdy nic nam to nie da.

Możemy równie dobrze dowiedzieć się tego jutro.

Naraz rozległ się donośny trzask, a w ciemnościach buchnęła wrzawa oszołomionych krzyków. Jack zniknął w jednej chwili. Stephen czekał na niego jakiś czas, lecz deszcz przybierał na sile, tak więc zszedł na dół i ułożył się na koi. Z rękami założonymi za głowę wpatrywał się w płomyk świecy w swej latarni. Był zmęczony i jego ciało zaczęło się teraz odprężyć. Podobnie działo się z umysłem, który uwolniony ulatywał swobodnie, zupełnie jakby Stephen znów skorzystał z pomocy swego dawnego ulubieńca, nalewki z laudanum. Nie odczuwał szczególnego niepokoju. Misja mogła zakończyć się sukcesem albo porażką. Z całego serca pragnął sukcesu, lecz w chwili obecnej pojęcie „z całego serca” oznaczało dlań bardzo niewiele - wszystko bowiem wskazywało na to, że jakaś istotna część jego jestestwa bezpowrotnie obumarła. Z drugiej strony czuł, że w tym stanie ducha osiągnięcie sukcesu będzie dla niego łatwiejsze. Przepęłniała go bowiem siła, która zrodziła się nie z fundamentalnej obojętności wobec własnego losu, lecz z czegoś do niej zbliżonego. Nie potrafił

zdefiniować owego żywiołu, lecz miał wrażenie, że przypomina rozpacz, dawno zapomnianą rozpacz, z której uleciał już wszystek strach.

„Humbug” nadpłynął dopiero pod koniec środkowej wachty. Przez długi czas zmuszony był żeglować pod wiatr, hals za halsem nadrabiając straconą odległość. Wraz z nim przybył silniejszy wiatr, zwiastujący nadciągającą niepogodę. Latarnia kołysała się coraz szerszym łukiem w niewielkiej, cichej kajucie Stephena, lecz ten spał nieprzerwanie.

Przez następną godzinę z okładem załoga brygantyny rozmieszczała kotwice i boje, a najsprawniejsi marynarze z wszystkich trzech załóg splatali końce lin kotwicznych. Liny zaś wyciągano coraz dalej przez kluzy, aż w komorach nie było już ani jednego zwoju, a następnie założono skomplikowany system talii i wielokrążków, który miał wyciągnąć „Minnie” z pułapki bądź

rozerwać ją na kawałki.

Stephena zbudził dobrze znany mu głos, krzyczący teraz tak głośno, że przenikał nawet pod pokład. Cały system przechodził bowiem próbę generalną i ludzie stopniowo zwiększali napór, podzielony między cztery kotwice i niemalże milę cum oraz lin kotwicznych, z których wszystkie zbiegały się w kabestanie „Ariela”.

- I raz... i dwa! - krzyczał Jack do ludzi pchających draży. - I raz. I dwa!

Obracać, obracać! Z sercem! - Przy kabestanie przeważali teraz korsarze z załogi „Minnie”, których tymczasowo wcielono do służby w marynarce. Być może nie do końca rozumieli słowa Jacka, ale ich sens był dla nich wystarczająco czytelny. Pchali z całych sił, lecz żwawe początkowo klikanie zapadek kabestanu stawało się coraz wolniejsze, by po chwili ograniczyć się do jednego na minutę i w końcu ucichnąć na dobre. Draży ani drgnęły. Liny między jednostkami napięto do maksimum, a w mętnym świetle nadchodzącego świtu widać było, że biegną prosto niczym struny. - Raz i dwa! Raz i dwa! -

komenderował Jack. - Jedno pchnięcie i chwila wytchnienia! Bosmanie, upomnieć tamtego człowieka. Pchnięcie i chwila wytchnienia, jeszcze raz!

Dobra robota, chłopaki! Raz jeszcze, teraz już z sercem!

Naraz z oddali dobiegł krzyk:

- Drgnął!

Drągi kabestanu poruszyły się, a dyszący z wysiłku marynarze zrobili pół kroku. Minęła chwila i kabestan zaczął się obracać coraz szybciej.

- Dobra robota! - krzyczał Jack. - Pchać! - „Minnie” zsunęła się rufą z mielizny i zakołysała się lekko na głębszej wodzie. Pół tuzina marynarzy przy kabestanie osunęło się bez sił na pokład, a załogi trzech jednostek przystąpiły do odzyskiwania swych niezliczonych lin wszelkich rozmiarów. W międzyczasie Stephen zapadł w krótką drzemkę, z której zbudził go ostatni okrzyk: - Spleść grotabras34!

Była to ostatnia usłyszana przez niego rzecz, po czym pograżył się w głębokim śnie.

Gdy się przebudził, był już środek dnia. Deszcz przestał padać, a przy burcie, Ariela” stała „Minnie”, na którą przeładowywano właśnie zapasy wina i tytoniu. Daleko, daleko za rufą widać było „Humbug”, którego załoga poszukiwała zaginionej kotwicy. Wszyscy ludzie z wyjątkiem rześkiego i radosnego Jagiełły wyglądali na pochmurnych i znużonych, ale żaden z nich nie prezentował się tak ponuro jak ściskający pod pachą księgi mężczyzna w średnim wieku, mający na głowie czapkę z owczej skóry. Stephen dowiedział

się, że był to pierwszy oficer „Minnie”.

- Panie Jagiełło - powiedział Maturin. - Mam teraz zamiar odwiedzić mojego pacjenta, ale nie spodziewam się, by miało mi to zająć wiele czasu. Czy mógłby być pan tak uprzejmy i poprosić tego człowieka, by zszedł na dół, na przykład do pańskiej kabiny, o ile nie będziemy przeszkadzać? Chciałbym bowiem skorzystać z pańskiej pomocy i zadać mu kilka pytań.

Wizyta w istocie trwała krótko, gdyż wyłowiony w nocy młodzieniec nadal był pograżony w śpiączce. Pomimo swego starannie zapuszczanego, wątego jeszcze wąsika przypominał teraz bardziej dziecko aniżeli dorosłego.

Oddychał głęboko, bez większych trudności, wszystko też wskazywało na to, że operacja zakończyła się sukcesem - cienka opaska wciąż wytrzymywała.

Stephen zawsze potrafił jednak przewidzieć nadchodzącą śmierć i odniósł

wrażenie, że wyczuwają i tutaj. Ale na tym etapie nie mógł już nic zrobić, tak więc udał się do Jagiełły oraz pierwszego oficera „Minnie”.

Z miejsca przystąpił do zadawania pytań: „Kim byli francuscy oficerowie, uciekający na łodzi?”, „Jakie sygnały pozwalają na podejście do Grimsholmu?”,

„Jakie formalności towarzyszą schodzeniu na ląd?”.

Nie uzyskali jednak wielu odpowiedzi, gdyż korsarz zasłonił się niewiedzą i kiepską pamięcią. Utrzymywał, że był to jego pierwszy rejs na

„Minnie”, nie wiedział niczego o Grimsholmie i nigdy nie widział żadnych Francuzów, nie wiedział też nic na ich temat.

- Chyba trzeba będzie pozostawić tego naburmuszonego faceta na dłuższą chwilę samemu sobie - powiedział Stephen, przeglądając księgę werbunkową

„Minnie”. - Może wtedy stanie się bardziej chętny do współpracy, bo w chwili obecnej łączy jak z nut. Wedle księgi werbunkowej służy na „Minnie” od roku i czterech miesięcy. Tak czy owak, mam ogromną ochotę na tę kawę, która pachnie gdzieś w pobliżu. Zechce mi pan towarzyszyć?

- Dziękuję, ale ugoszczono mnie już dziś rano w mesie oficerskiej -

odparł Jagiełło.

Stephen wszedł do kajuty kapitańskiej i ku swemu zaskoczeniu zastał

Jacka przy stole. Siedział ogolony, z zaróżowionymi policzkami i posilał się z ogromną żarłocznością.

- Na litość boską! - wykrzyknął Stephen. - A ty nie w łóżku?

- Och, zdrzemnąłem się już w krześle Drapera - odparł Jack. ■-

Doskonały wynalazek, pozwala bardzo szybko odzyskać siły. Poczęstuj się tym stekiem wołowym!

- Dziękuję, Jack, ale na razie starczy mi filiżanka kawy i kawałek grzanki.

Chciałbym zaraz powrócić do naszego jeńca. Myślę właśnie o tym, jak pomieszać szyki tego głupca i skłonić go do mówienia. W pierwszej kolejności chciałbym ci pogratulować ściągnięcia „Minnie” na wodę. Niech mnie kule biję, to ci wyczyn!

- Dopiero przyływ uwieńczył nasze wysiłki - rzekł Jack. - Wiesz, przyływ na Bałtyku to ledwie kilkanaście marnych centymetrów i doprawdy trudno mi uwierzyć, by taka niewielka różnica odniosła swój skutek. Podniósł

jednak „Minnie” w chwili, gdy najbardziej tego potrzebowaliśmy, bo po kolejnych trzydziestu minutach musiałbym ciąć liny i zwiewać. Udało się w ostatniej chwili, zapewniam cię. Powiedz mi, czy dowiedziałeś się czegoś o tych francuskich oficerach? A co z tym młodzieńcem? W jakim jest stanie?

Stephen pokręcił głową.

- Wciąż pogrążony w śpiączce, ale obawiam się, że w nocy okazałem nieco zbyt wiele optymizmu. Jego organizm funkcjonuje prawidłowo, a opaska wytrzymała, ale nie wiem, czy odzyska przytomność. Mimo tego mam nadzieję, że wkrótce dowiem się czegoś o jego towarzyszach.

Wziął swą filiżankę z kawą i wrócił do kajuty Jagiełły, gdzie oczekiwała go kolejna niespodzianka. Coś się wydarzyło podczas jego nieobecności - młody Litwin przypominał teraz przepelnionego zadowoleniem, z lekka szalonego Apollina, który właśnie pogrążył Marsjasza. Na twarzy jeńca zaś widniała tak ogromna bladość, że jego wargi wyglądały wręcz na żółte.

- Powiedział mi całkiem sporo - oznajmił Jagiełło, podsuwając Stephenowi krzesło i moszcząc je poduszką. - Jestem też pewien, że teraz mówi prawdę. W istocie nie ma pojęcia, kim byli owi francuscy oficerowie, ponieważ przez cały czas siedzieli w kabinie. „Minnie” zmierzała na Bornholm, lecz podczas tego samego rejsu mogli bez trudu zawinąć również na Grimsholm.

Jedynie kapitan „Minnie” wiedział, dokąd się kieruje i gdzie chce się zatrzymać.

Nasz jeniec widział Francuzów tylko wtedy, gdy ci spuszczaali łódź, i twierdzi, że wszyscy byli młodzi. Niestety nie dowodzi to niczego. Zdarza się przecież, że francuscy pułkownicy, a nawet generałowie są całkiem młodymi ludźmi. Co do Grimsholmu zaś, nasz jeniec wie o istnieniu osobnego sygnału. Podczas ostatniej wizyty „Minnie” był to odwrócony proporzec hamburski na fokmaszcie, lecz przez ten czas mógł się zmienić sygnał. Tylko kapitan mógłby o tym wiedzieć. Twierdzi również, że nikomu nie wolno zejść tam na ląd.

Wszyscy przybysze muszą zatrzymać się na niewielkiej wyspie tuż u brzegów Grimsholmu, przedstawić swe dokumenty na nadbrzeżu, a potem przeprowadzić wyładunek na łodziach. Rozmawiają jedynie z Francuzami, którzy okażą właściwe dokumenty. Owa wysepka znajduje się u wyjścia z zatoczki. Jest na niej dogodne miejsce do zejścia na brzeg. Mówi, że jest to trzecia wyspa wśród podobnych sobie. Narysuj ją, ty kazirodco!

Ostatnie słowa skierowane były do Duńczyka, który posłusznie wyrysował kształt zatoki oraz wyspy. Stephen ujął rysunek i zastanowił się.

- Chodźmy więc - powiedział. - Porównajmy jego słowa z zeznaniami co bardziej rozważnych i odpowiedzialnych członków załogi „Minnie”. Pozwolę sobie jeszcze zauważyć, panie Jagiełło, że często można uzyskać wiele cennych informacji, ofiarując sztukę złota. Szansa na zarobienie dalszych pieniędzy po zdobyciu większej wiarygodności nierzadko skłania informatora do zaniechania skrywanej wrogości i złożenia kolejnych zeznań. Zdobyte przez pana informacje noszą pozory prawdziwości. Zaiste, wydają się niezwykle wiarygodne, lecz proszę mi wierzyć, że nie ruszę się nawet o centymetr, zanim ich nie potwierdzą.

- Gdy Stephen znów wszedł do kajuty kapitańskiej, Jack wciąż jadł, lecz zwolnił

już tempo. W międzyczasie wyszedł na moment na pokład, gdy ukończono załadunek przyżu, stwierdził, że utrzymuje się zachodniopółnocnozachodni wiatr, i rozkazał, by „Minnie”, obsadzoną

przez własną załogę oraz czuwający nad nią pododdział piechoty morskiej, popłynęła na zawietrznej „Ariela”, w zasięgu jego dział. W ten sposób chciał dać załodze słup chwilę wytchnienia. Ustalił

również pozycję „Ariela” i doszedł do wniosku, że jeśli transportowce nie natrafiły na żadne opóźnienie, powinny pojawić się na północnym zachodzie za jakąś godzinę. Grimsholm powinien ukazać się za dwie godziny na południowym wschodzie. - Ustaliłem następujące zeznania - zaczął Stephen, po czym przedstawił Jackowi słowa pierwszego oficera. Pokazał również rysunek. -

Zostały one potwierdzone przez cieślę i bosmana „Minnie”, których przepytalem z osobna. Nie liczę tu zeznań drugiego oficera, ponieważ ten jakoś zdołał się upić, a teraz szłocha z rozpaczy.

- Wszystko to wygląda całkiem budująco - rzekł Jack. - Martwi mnie jedynie kwestia owego sygnału. „Minnie” nie odwiedzała Grimsholmu od paru miesięcy i istnieje duże prawdopodobieństwo, że sygnał został zmieniony.

- Zgadzasz się z tobą. Wiele o tym myślałem. Rozmyślałem o Artemizji...

- Naprawdę? - wykrzyknął Jack.

- Nie myśl tylko, że mam na myśli żonę Mauzolososa... - zaczął Stephen, unosząc jeden palec.

- Jeśli chodzi ci o fregatę o tej nazwie, stacjonuje akurat w Indiach Zachodnich.

-...albowiem chodzi mi o córkę Lygdamusa, królową Kos. Jak zapewne pamiętasz, na czele pięciu okrętów wojennych dołączyła do floty Kserksesa i wzięła udział w bitwie pod Salaminą. Widząc, że klęska jest nieunikniona, a w pościg za nią rusza kilka okrętów ateńskich, bez wahania zaatakowała najbliższy okręt perski. Ateńczycy uznali, że jest sojusznikiem i zarzucili pościg, pozwalając jej tym samym uciec. Przyszła mi do głowy następująca analogia: oto „Minnie” pod pełnymi żaglami ucieka w stronę Grimsholmu, a za nią gna

„Ariel”, strzelając ze wszystkich dział. Nie wydaje ci się, że Katalończycy daliby się na to złapać? Nie sądzisz, że w takiej sytuacji nikt z nich nie zwróciłby uwagi na wywieszenie błędnego sygnału, tym bardziej, że podczas ostatniej wizyty „Minnie” był to w istocie porządek hamburski?

Jack zastanawiał się przez chwilę.

- Tak. Myślę, że to zadziała - powiedział. - Lecz musiałoby to wyglądać przekonująco. Sam twierdzisz, że wielu z obrońców wyspy to byli żeglarze.

Żeby przekonać żeglarzy, musielibyśmy to odegrać cholernie dobrze. Tak, ale to wykonalny plan, bez najmniejszych wątpliwości. Podoba mi się twój fortel, Stephen.

- Ogromnie się cieszę, że go zaaprobowałeś. A skoro mój pomysł

przypadł ci do gustu, podzielę się z tobą kolejnymi spostrzeżeniami. Byłaby wielka szkoda, gdyby Holendrzy lub Bałtowie, których w swej uprzejmości przydzielił nam sir James, zaprzepaścili naszą szansę swoim zachowaniem lub jednakowymi strojami. Wszyscy oni to schludni, dobrze ułożeni

marynarze, nawykli do dyscypliny Royal Navy i, z tego, co widzę, noszą mniej więcej takie same ubrania. Sugeruję, by wymienili się strojami oraz stanowiskami z marynarzami „Minnie”, gdyż cóż może być bardziej autentycznego od typowego duńskiego ubrania, ściągniętego przed chwilą z Duńczyka? Co więcej, skoro na pokładzie „Minnie” powinno znaleźć się przynajmniej kilka znajomych dla Katalończyków twarzy, sugeruję, byśmy pozostawili tam kuka oraz cieślę. Obaj przyjęli pewną sumkę w zamian za informacje i obaj za pewną sumkę zgodzili się uczestniczyć w mojej wyprawie.

- Będzie więc tak, jak zechcesz - rzekł Jack, opróżniając swą filiżankę. -

Od razu wydam odpowiednie rozkazy.

Wyszedł na pokład, a po chwili zaczęły się na nim gromadzić grupki marynarzy z „Minnie”. Polecenie rozebrania się przyjęli z niewyraźnymi minami oraz z lękiem, którego do końca nie rozwiało nawet wyjaśnienie, że to tylko wymiana. Mimo, że w chwilę później otrzymali ubrania marynarzy

„Ariela”, przez cały czas okazywali skrajną nieufność.

Jack powrócił do swej kajuty, rozłożył księgi okrętowe i przystąpił do studiowania zapisków na temat swych nowych ludzi, gdy do środka wszedł

Hyde.

- Przepraszam, że przeszkadzam, sir - powiedział. - Załoga mówi, że ci Duńczycy są zawszeni, i proszą

o wybaczenie, ale nie włożą ich ubrań.

- Jeszcze moment i zaczną narzekać na wołki zbożowe - rzekł Jack.

- Powiedziałem im to samo, sir, ale Wittgenstein, który występuje w ich imieniu, stwierdził, że wołki są czymś naturalnym, a wszy nie. Powiedział, że wszy były jedną z plag egipskich, a zatem stanowią obrazę wobec Boga. Nasi ludzie boją się o swe ubrania i hamaki, lecz najbardziej lękają się o swoje włosy.

Nie mają najmniejszej ochoty ścinać później swych harcapów, sir, i choć przemawiają grzecznie, odniosłem wrażenie, że biorą sobie tę sprawę mocno do serc.

- A zatem niech ich pan zwoła na rufę, panie Hyde - powiedział Jack.

- Nie widzą różnicy między *Pediculus vestimenti*, żerującej na ciele oraz *Pediculus capitis*, która zamieszkuje włosy - zauważył Stephen. - Dopóki nie włożą kapeluszy po Duńczykach, nie muszą się obawiać o swoje harcapy.

Marynarze zgromadzili się wokół rufy. Ci, którzy zostali skazani na noszenie brudnych ubrań, byli posępni

I głęboko niezadowoleni, natomiast reszta z trudem kryła swoje rozbawienie. Jaek natychmiast wychwycił ich nastroje i powiedział:

- Ludzie, dobrze rozumiem to, że nie przepadacie za wszami. Ja też ich nie lubię, ale otrzymaliśmy niezwykle ważne, pilne zadanie do wykonania. Nie ma czasu na rozstawianie balii i wyparzanie wszystkich łąchów, a żeby dostać się na Grimsholm, musicie wyglądać jak banda flejtuchów, a nie marynarze z okrętu wojennego. Przykro mi, ale nic na to nie poradzę. To należy do waszych obowiązków. Nie bójcie się też o wasze włosy, gdyż nic im nie grozi, o ile nie włożycie kapeluszy. Pewien niezwykle wykształcony dżentelmen powiedział

mi, że te wszy są dla włosów raczej niegroźne, interesują ich ciała, a nie harcapy czy kucyki. Jest wielka różnica między *Pedículo vestimento* i *Pedículo capito*.

To dwa całkowicie odmienne gatunki wszy, tak jak różne od siebie są szata i czapka³⁵. Musicie wypełniać rozkazy, gdyż taka jest dola marynarza, ale to polecenie zahacza o ustęp o narażaniu zdrowia i życia, przez co każdy z was otrzyma dodatkowo szylinga i cztery pensy za dzień. Co więcej, jeńcy otrzymają nowe ubrania i nie będą spać w hamakach, ale wyznaczymy im miejsce w ładowni i pościelimy słomą. To najlepsze warunki, jakie mogę wam zaproponować. - Czuł, że udało mu się uciszyć ich protesty, już sam argument z *Pedículo capi* to przeważył szalę, zanim jeszcze wspomniał o dodatkowym zarobku. - Panie Hyde, proszę wydać rozkaz rozejścia się - powiedział. - A my wracajmy do tematu. - Gdy na powrót znaleźli się w kajucie kapitańskiej, oznajmił: - Mam zamiar przydzielić dowództwo „Minnie” Wittgensteinowi, a do pomocy dać mu Klopstocka oraz Haasego. Nie zamierzam oddawać przyzu żadnemu oficerowi.

- Och, sir - jęknął Hyde z rozpaczą - Miałem nadzieję, że...

- Wiem - powiedział Jack, który doskonale rozumiał jego uczucia. - To jednakże szczególny przypadek. Załoga „Minnie” musi z wyglądu przypominać zwykłych, bałtyckich marynarzy, a szeregowi marynarze mogą nosić to, na co mają ochotę, nie naruszając przy tym zasad prowadzenia wojny. Jeśli trafią do niewoli, zostaną potraktowani jako zwykli jeńcy. Jeśli do niewoli trafi oficer w przebraniu, zostaje rozstrzelany jako szpieg.

- Tak, sir. Mogę jednak włożyć moją zwykłą koszulę na mundur, a patent schowam do kieszeni! Sir, przecież pan wie, jak trudno w tych czasach o awans!

Czasem trzeba wpełznąć do lufy armatniej i wyleźć otworem zapalowym, a i to nie zawsze zostaje zauważone.

Jack zawahał się. Hyde oczywiście miał całkowitą rację, a poza tym na kapitanie zawsze spoczywał moralny obowiązek dawania szans swym oficerom, zazwyczaj wedle starszeństwa rangi. Kwestia munduru, która w rzeczy samej wcale do błahych nie należała, nie była jednak jedynym powodem decyzji pozostawienia Hyde'a na „Arielu”. Istniał jeszcze jeden, którego Jack wolał nie wspominać. Hyde był bowiem porządnym, sumiennym, młodym człowiekiem i doskonale sprawdzał się w utrzymywaniu okrętu w doskonałym stanie, ale na żeglowaniu nie znał się wcale. Jedynym sposobem zwiększenia prędkości okrętu było dla niego postawienie kolejnych żagli i nie dbał w ogóle o trym czy przegłębienia. Manewry zmiany halsu przeprowadzał niepewnie i z wahaniem, a raz jego

nieszczęsne mylenie prawej i lewej strony doprowadziło do tego, że zwrot się po prostu nie powiódł. Gdyby Jack został zmuszony do wysłania jakiegoś oficera, wolałby wybrać na to miejsce Fentona, który był urodzonym żeglarzem, lecz ta decyzja zostałaby poczytana jako lekki nietakt. Jego wahanie nie trwało jednak długo, gdyż dylemat był prosty do rozwiązania - w tym wypadku dobroć serca mogłaby narazić całą misję oraz życie Stephena na niebezpieczeństwo.

- Przykro mi, Hyde - rzekł. - Musi pan wszakże również potraktować to jako swój obowiązek, podobnie jak reszta marynarzy traktuje teraz wszy. Jestem przekonany, że wkrótce przydarzy się panu inna sposobność, by się wyróżnić.

Nie miał wcale takiej pewności, a poza tym czuł, że jego słowa ani Hyde'a nie przekonają, ani nie przyniosą mu pociechy. Poczul więc ulgę, gdy nadbiegł posłaniec z meldunkiem o czterech żaglach na prawym trawersie.

Znajdowały się jeszcze w sporej odległości i widać było tylko ich marsie, ale płynęły na kursie zbieżnym z „Arielem”. Ich tożsamość była jeszcze niepotwierdzona, tak więc Jack zawołał do siebie Wittgensteina oraz dwóch pozostałych marynarzy. Byli to solidni mężczyźni w średnim wieku, a gdyby zsumować lata, które każdy z nich spędził na morzu, niewiele by brakowało do całego wieku. Wyjaśnił, że ich zadaniem było objęcie „Minnie” i ruszenie pod pełnymi żaglami ku Grimsholmowi, uciekając przed pościgiem „Ariela”.

Nakazał im wywiesić duńską banderę oraz proporzec Hamburga, po czym zakotwiczyć przy wysepce - przy tych słowach wskazał im rysunek - i wysadzić na ląd doktora Maturina, który miał tam przeprowadzić pewne rozmowy. Jack surowo przykazał im, by słuchali jego rozkazów i zakazał używania angielskiego w obecności kogokolwiek z obrońców wyspy. Marynarze słuchali go z uwagą i szybko zrozumieli, jak ważne jest udawanie załogi statku handlowego, zarówno w zachowaniu się, jak i sposobie żeglowania, co bardzo Jacka ucieszyło.

Miał właśnie zamiar powtórzyć im całą instrukcję po raz trzeci, gdy odezwał się nieco rozdrażniony Wittgenstein:

- Tak, sir, dobrze rozumiem. Nie jestem przecież głupim szczurem lądowym. Za pańskim pozwoleniem, myślę, że powinniśmy już przejść na

„Minnie” i to całą bandą by sprawdzić, jak się ten statek zachowuje.

Jack patrzył, jak wybrani przez niego ludzie, ubrani już w zauszne kubraki Duńczyków, schodzą do łodzi i płyną na „Minnie”. Ujrzał też, jak szybko porzucili lata wpajanej dyscypliny. Łazili teraz po całym pokładzie, rozmawiali głośno, wychylali się przez reling, żuli tytoń i spluwali, drapali się i wszędzie rozwieszali swe ubrania. Wedle standardów Royal Navy „Minnie” nigdy nie zostałaby uznana za schludny statek, ale teraz prezentowała się doprawdy kiepsko.

Tymczasem „Ariel” wymienił się numerami identyfikacyjnymi z czterema jednostkami na północnym zachodzie. Zgodnie z oczekiwaniami Jacka były to transportowce eskortowane przez „Aeolusa”.

- Bardzo mi to przypomina liczenie kurcząt - powiedział, przyglądając się transportowcom wojsk, a

potem odwrócił się na południe ku miejscu, gdzie niebawem powinna wynurzyć się wyspa Grimsholm. - W Bogu pokładam nadzieję, że nie przyniesie to pecha.

Siedem uderzeń w dzwon wachty przedpołudniowej rozległo się już jakiś czas temu, a piasek w klepsydrze półgodzinnej niemal się przesypał. Pomimo świadomości nadciągającego kryzysu - marynarze dobrze bowiem wiedzieli, czego ma się wkrótce podjąć „Ariel” - wszyscy na pokładzie słup z ożywieniem oczekiwali na obiad. Zwykle chwile te przepelnione były wesołością lecz tym razem pogodny nastrój zatarła świadomość, że na pokładzie znajduje się trup, co zawsze przynosiło pecha. Młody Francuz nie obudził się bowiem ze śpiączki, a żaglomistrz otrzymał zadanie uszycia dla niego hamaka i ułożenia dwóch kul armatnich u jego stóp.

Oficerowie przystąpili do ustalania pozycji okrętu ze szczególną ostrożnością. Ich pomiary wykazały, że Grimsholm znajduje się nieco bliżej, niż wstępnie szacowano. Obrócono klepsydrę, rozległ się dźwięk dzwonu pokładowego, a gwizdki bosmańskie wezwały załogę na długo oczekiwany posiłek. Jack wiedział, że gdy skończą jeść, na czystym niebie pokaże się kontur wyspy, a w chwilę później Stephen przejdzie na pokład „Minnie”. Będzie to sygnał do rozpoczęcia rzekomego pościgu.

- Czy propozycja zjedzenia obiadu w tej chwili byłaby czymś niestosownym? - zapytał Stephen.

- Nie, skądże - rzekł Jack. - Zaraz wydam rozkaz.

Pochylił się nad świetlikiem i przywołał zaskoczzonego stewarda.

- Masz siedem minut na podanie obiadu. Kawior, szwedzki chleb, omlet, steki wołowe i wszystko, cała reszta pasztetu z gęsi. Wyciągnij również butelkę szampana i dwa burgundy, te z żółtym lakiem.

Następnie Jack rozkazał, by bezzwłocznie powiadomiono go o ukazaniu się Grimsholmu, a dokładnie siedem minut później zasiedli ze Stephenem do obiadu.

- Nigdy dotąd nie miałem okazji skosztować kawioru - rzekł Stephen, sięgając po dokładkę. - Skąd go mamy?

- Car podarował go sir Jamesowi, a ten przekazał nam beczułkę. Dziwna potrawa. Śmiem twierdzić, że to taki pokaz sztuki kulinarnej dla admirała.³⁶

Ow mizerny żart był jedynym, który rzucił podczas posiłku, a poza ową odrobiną kawioru nie zjadł też wiele więcej. Jego żołądek był ściśnięty ze zdenerwowania i nawet picie nie sprawiało mu przyjemności.

Stephen zaś zjadł ze smakiem swą porcję omletu, następnie zabrał się za stek oraz zimny pasztet, a posiłek uwieńczył sutym kawałkiem szynki. Zwykle mało jadał i w innych okolicznościach tak obfity posiłek byłby dla niego istną ucztą lecz obiadowi zabrakło świątecznej atmosfery. Nastrój był do niczego.

Obaj przyjaciele odnosili się do siebie z uprzejmością lecz nie było między nimi prawie żadnego kontaktu, zupełnie jak gdyby Stephen już opuścił okręt i znalazł

się w całkowicie innym miejscu.

Dopiero gdy napełnili kieliszki winem, a Stephen powiedział, że miałby teraz ochotę na odrobinę muzyki - podczas poprzednich rejsów zegrali bowiem wspólnie niezliczoną ilość koncertów na wiolonczelę i skrzypce, nierzadko w trudnych warunkach - więź przyjaźni zaczęła powoli odżywać.

- Możemy spróbować odśpiewać coś na głosy - zaproponował Jack ze słabym uśmiechem, lecz w tym samym momencie wszedł midszypmen z meldunkiem nawigatora. Z topu grotmasztu dostrzeżono Grimsholm. - Zostało już nam niewiele czasu - powiedział Jack. - Musimy rozpocząć nasz pościg na długo, zanim nas zauważą. - Sięgnął po karafkę, napełnił oba kieliszki i uniósł

swój ze słowami: - Piję za zdrowie mojego ukochanego przyjaciela, Stephena...

- Niespodziewanie kieliszek wyslizgnął mu się spomiędzy palców i roztrzaskał o stół. - Jezu Chryste - wyszeptał przerażony.

- Nic się nie stało! - rzekł Stephen, wycierając sobie ochlapane bryczesy. -

Posłuchaj mnie teraz uważnie. Zanim udam się na pokład „Minnie”, muszę ci jeszcze przekazać trzy rzeczy. Jeśli wypełnię swe zadanie, wywieszę flagę katalońską. Pewnie dobrze wiesz, jak wygląda.

- Ze wstydem przyznaję, że nie.

- Jest żółta, a przecinają ją cztery krwistoczerwone paski z góry na dół.

Jeśli ją zobaczysz... Kiedy ją zobaczysz, natychmiast pchnij ku wyspie transportowce, które przez cały ten czas oczywiście muszą się chować za horyzontem. Sam również musisz podpłynąć pod Grimsholm, wywieszając na honorowym miejscu katalońską flagę. Mam nadzieję, że gdzieś się jakaś znajdzie.

- Och, nasz żaglomistrz bez trudu uszyje z pół tuzina. Wykorzysta żółtą banderę i potnie na paski zapasowy czerwony proporzec.

- Otóż to. I błagam cię, Jack, powitaj twierdzą salutem stosownym dla budowli tej rangi albo nawet większym. Co więcej, koniecznie przyjmij oficera głównodowodzącego z honorami należnymi

człowiekowi szlachetnie urodzonemu.

- Jeśli tylko przybędzie wraz z tobą, Stephen, zgotuję mu powitanie godne króla.

Stephen przebył odległość dzielącą obie jednostki i został wciągnięty na pokład „Minnie”. „Ariel” wywiesił sygnał dla odległego „Aeolusa”, by ten wyostrzył do wiatru, a następnie ustawił marsie na pracę wstecz, pozwolił

pryzowi odpłynąć na dwie mile i wreszcie rozpoczął wielogodzinny pościg.

Stephen usiadł na starym krześle kuchennym przy stermaszcie, nie chcąc nikomu zawadzać. Na kolanach ułożył sobie paczuszkę z dokumentami i wbił

wzrok w rosnącą z każdą chwilą wyspę Grimsholm, znajdującą się na lewej ćwiartce dziobowej. Staranne przygotowanie długiego przemówienia dla Katalończyków rozmijało się z sensem, gdyż przebieg misji zależał w gruncie rzeczy od pierwszych kilku minut pobytu na wyspie, od obecności francuskich oficerów i powitania, jakie zgotują mu obrońcy. Od tego momentu będzie musiał improwizować w zależności od sytuacji. Zagwizdał Montserrat Salve Regina, wzbogacając główny motyw.

Jack przyglądał mu się z dziobu „Ariela”. Nawet bez swej lunety wyraźnie widział jego czarną sylwetkę ponad szarymi falami. Nawet zbyt wyraźnie - wiatr zza trawersu okazał się dość mocny i przez ostatnie pół

godziny słup dopędzał swój pryz szybciej, niż założyli.

- Zwolnić żagiel podbuzszprytowy! - rozkazał.

Marynarze wypełnili jego rozkaz i żagiel pograżył się w morzu od strony ćwiartki niewidocznej z wyspy, działając od tej pory jako dryfkotwa i zmniejszając nieco prędkość okrętu. „Ariel” zwolnił niezauważalnie, nie przestając jednak przybliżać się do „Minnie” i dziesięć minut później Jack odezwał się do artylerzysty:

- Doskonale, panie Nuttall. Myślę, że możemy już otworzyć ogień. Zna pan swoje zadanie. Niech pan bardzo uważa, Nuttall.

- Nie ma strachu, sir - odparł artylerzysta. - Napełniłem ładunki tym zwilgotniałym, zwietrzałym białym prochem, sir. „Minnie” jest bezpieczna.

W chwilę później odpalił pierwsze działo. Kula uderzyła w wodę prawie dwieście metrów za blisko i pięćdziesiąt w bok. „Minnie” odpowiedziała postawieniem nawietrznego żagla bocznego przy fokmarslu.

- To ma wyglądać autentycznie - powiedział Jack.

- Nie ma strachu, sir - powtórzył artylerzysta. - Proszę tylko poczekać, aż działo się rozgrzeje.

Pościgówka wkrótce się rozgrzała, a po chwili dołączyła do niej druga, gdyż „Ariel” zbaczał lekko to w jedną, to w drugą stronę, by umożliwić prowadzenie ognia z obu armat. Ogień stawał się coraz szybszy, lecz jednocześnie spadała prędkość okrętu. Starannie dobrane kule uderzały w wodę tak blisko burt „Minnie”, że raz czy dwa rozbryzgi wody omyły nawet jej pokład. Było to doskonałe ćwiczenie, ale nie dało bardziej doświadczonym marynarzom na „Arielu” tyle satysfakcji, co samo prowadzenie okrętu. Co rusz podciągali lekko szoty, zbyt mocno forsowali kiepsko wytrybowane żagle i wprowadzali w życie dziesiątki innych sztuczek, które poznał ich kapitan na morzach i oceanach świata, a wszystko tylko po to, by stworzyć wrażenie ogromnej niecierpliwości oraz pośpiechu, a przy tym nie nadrobić zbyt dużo odległości, dzielącej słup od „Minnie”. Najbardziej zachwycił wszystkich rozkaz postawienia grotbombasła, co przy takim wietrze nawet gdyby drzewce były w dobrym stanie, byłoby ryzykownym manewrem.

- Zapomina się pan, sir - rzekł Hyde. - Maszt jest pęknięty.

- Ależ bynajmniej, panie Hyde - odparł Jack. - Doskonale o tym pamiętam. Wchodzić na maszty!

Sam maszt, żagiel oraz reja zerwały się już po minucie, co dla przyglądających się z brzegu musiało być wielce spektakularnym widokiem.

Przez cały czas bowiem zbliżali się do Grimsholmu - widać było już szerokie pasma lądu bronionego przez fortecę i całe kilometry wolnego od ławic wybrzeża, idealnie nadającego się do przeprowadzenia desantu całej armii z dala od rzeczno-portu w Schweinau. Od jakiegoś czasu widoczne już były górne baterie fortecy oraz pasma dymu, unoszące się znad pieców do rozgrzewania kuli. W przejrzystym, wieczornym powietrzu bystrooki obserwator dostrzegłby nawet czerwień na trójkolorowej fladze, łopoczącej na wysokim słupie.

Od niewłaściwie oszacowanego celnego zasięgu dział twierdzy dzielił ich jeszcze spory kawałek morza, ale Wittgenstein najprawdopodobniej uznał, że znaleźli się już całkiem blisko. Nad „Minnie” wykwitł porporzec hamburski.

Jeśli fortel się uda, a obserwatorzy na wzgórzach chwycą haczyk, przyz powinien przekroczyć ową niewidzialną granicę nietknięty. Jeśli Katalończycy nie pozwolą się oszukać, statek najprawdopodobniej zostanie uszkodzony, a być może nawet zatopiony. W oku lunety Jack widział już kanonierów, krzątających się wokół swoich baterii, a słupy dymów znad pieców stały się jeszcze gęstsze.

- Na Boga, ich kule doniosą już na tę odległość - powiedział do siebie, stojąc na dziobie z dłońmi splecionymi na plecach. - To przecież czterdziestodwufuntówki, a z tej wysokości... - Z każdą chwilą byli coraz bliżej, aż w końcu ujrzał długo oczekiwane rozbłyski. Znad dział buchnął dym, a potem Jack usłyszał głuchy grzmot, donośniejszy od huku dział jakiegokolwiek okrętu wojennego. - Odciąć dryfkotwę! - wrzasnął. - Przygotować działa prawej burty! - Gdy wykrzykiwał rozkazy, doskonale wycelowana kula Katalończyków przeszła tuż nad „Arielem” i wpadła w wodę w odległości kabla od jego lewej burty. „Boże, przeszła nad nami!” - pomyślał Jack. - Ster na zawietrzną! -

krzyknął. - Ognia! - „Ariel” zakręcił tak błyskawicznie, że cała salwa burtowa zlała się w pojedynczy huk. Z tej odległości karonady były raczej bezużyteczną bronią, lecz jedna z kul odbiła się

rykoszetem i przedziurawiła bezanmarsel

„Minnie”. Jack nawet tego nie zauważył, całkiem pochłonięty desperacką próbą wyprowadzania okrętu spod nawaly ognia Katalończyków. Kanonierzy na Grimsholmie wciągnęli go w pułapkę, wstrzymali się z otwarciem ognia do chwili, gdy „Ariel” wpłynął daleko w zasięg ich dział, a teraz morze po obu burtach słupu rozrywały kolejne białe fontanny. Gdyby nie mocny wiatr i zaprawiona załoga, okręt bez wątpienia zostałby ciężko uszkodzony, a może nawet zatopiony tonami rozgrzanych do czerwoności, żelaznych kul, wystrzeliwanych z przerażającą celnością. Zanim wydostał się spoza ich zasięgu, pociski z wyspy poszatkowały mu żagle, wznieciły ogień na dziobie, roztrzaskały jeden z kutrów i uszkodziły fokmaszt. Gdy nabrał już całkowitej pewności, że górne baterie nie grają z nim w kotka i myszkę, lecz naprawdę są w stanie go dosięgnąć, ustawił okręt dziobem do wiatru, rozkazał Hyde’owi zająć się wiązaniem i splataniem lin oraz zakładaniem nowych żagli, a sam pospiesznie wspiał się na grotmars. Stamtąd rozciągał się doskonały widok na całą zatoczkę i rozsypane u jej wejścia wysepki, a dalej kwatery oficerskie i koszary żołnierzy na brzegach. „Minnie” znajdowała się mniej więcej pośrodku zatoki, przepływając właśnie między dwoma flankującymi ją bateriami.

Kierowała się ku przystani, a jej załoga powoli ściągała bramsle. Minęła długa, bardzo długa chwila. Jack, obojętny na trwające wokół prace, nie spuszczał

wzroku z płynącego powoli statku korsarskiego. W końcu ten stanął dziobem do wiatru i znieruchomiał w pewnej odległości od brzegu, a jego załoga spuściła kotwicę. Jack miał wrażenie, że spuszcza ją na wodę szalupę, lecz zachodzące słońce rzucało tak długie cienie, iż nie miał całkowitej pewności. - Hej tam, na pokładzie! - zawołał. - Dajcie mi lepszą lunetę!

Hyde przyniósł ją osobiście.

- Widzę ich, sir! - powiedział. - Niech pan spojrzy na prawo... To znaczy na lewo! Na lewo od tego dużego, czerwonego domu na brzegu!

Jack ledwie zdawał sobie sprawę z obecności pierwszego oficera. W oku lunety dojrzał bowiem Stephena, pobladłego, ale nie bledszego niż zazwyczaj, siedzącego w rufowej części łodzi, którą wiosłował Wittgenstein. Szalupa zmierzała w kierunku niskiego mola, na którym szeregi wojska ustawiły się na baczność. Po chwili żołnierze rozeszli się. Jack przyglądał im się ze zdumieniem, ale i skrajną nieufnością. Nie miał pojęcia, jak ma to rozumieć.

Stephen zaś siedział spokojnie na swej łodzi. Tymczasem sytuacja rozwijała się korzystnie: „Minnie” nie została ostrzelana, a gdy przepływali blisko flankujących zatokę baterii, ktoś wykrzyknął pytanie, czy przywożą jakiś tytoń. Odpowiedź duńskiego kucharza wywołała głośny ryk zadowolenia, lecz wszystko to było dopiero preludium do właściwego zadania. Jego prawdziwy sprawdzian czekał nań w odległości niespełna stu metrów, gdzie tkwili na baczność uzbrojeni żołnierze. Pozwolił sobie na okazanie słabości ducha i udzieliło mu się przerażenie Jacka, wywołane doprawdy dziecinnym przesądem, wpłynęła nań również śmierć owego młodego Francuza i choć na swój sposób była to najłatwiejsza z jego misji, ścigało go przecucie rychłej klęski. Przez moment zastanawiał się nad tym oraz nad umiłowaniem własnego życia. Żyjąc, stykał się przecież z tyloma niezwykłymi zjawiskami, jak choćby z zapachem czystego morza czy złocistym światłem słońca chylącego się ku zachodowi, nie mówiąc już o widoku orła, wznoszącego się na wietrze. Z wolna uświadamiał

sobie, że nie jest aż tak silny psychicznie, jak sądził.

Nie przestawał myśleć o owych sprzecznościach i konflikcie między teorią i praktyką, gdy poruszenie na pomoście niespodziewanie przywróciło go do rzeczywistości - żołnierze zaczęli się bowiem rozchodzić, a ich uporządkowane szeregi zamieniły się w zwykły tłum. Stanowili oni gwardię honorową, której zadaniem było powitanie wysokiego rangą oficera. Na widok zwykłego cywila w czarnym płaszczu otrzymali rozkaz rozejścia się.

Wittgenstein obrócił niewielką łódkę tak, że przybiła do pomostu rufą.

Stephen powstał i zawahał się na moment, lecz zebrał się do skoku, chcąc pochwycić za pacholek cumowniczy, przy którym stał sierżant. Jego dłoń trafiła jednak w próżnię. Doktor natychmiast stracił równowagę i wpadł do wody między łodzią a pomostem.

- Piekło i szatani, wyciągnijcie mnie stąd! - wrzasnął po katalońsku, wynurzywszy się na powierzchnię.

- Jest pan Katalończykiem? - spytał zdumiony sierżant.

- Matko Boska, oczywiście, że jestem! Wyciągnijcie mnie stąd!

- Jestem doprawdy zaskoczony - ciągnął sierżant, nie przestając gapić się na niego ze zdumieniem, lecz dwóch stojących tuż przy nim kaprali odłożyło muszkiety, pochyliło się nad Stephenem, złapało go za ręce i wyciągnęło na pomost.

- Dziękuję wam, przyjaciele! - rzekł, próbując zagłuszyć wrzawę całego tłumu Katalończyków, którzy jednocześnie próbowali dowiedzieć się, skąd przybywa, co tu porabia oraz czy statek przywiózł jakieś wino i wieści z Barcelony, Lleidy, Palamos i Ripoll. - Powiedzcie mi teraz, gdzie jest pułkownik d'Ullastret.

- Chce gadać z pułkownikiem! - zakrzyknęło kilku z nich.

- A co, nie widzi go? - spytali inni.

Naraz tłum żołnierzy rozstał się. Stephen spojrział we wskazywanym mu kierunku i dostrzegł drobną lecz trzymającą się prosto, dobrze mu znajomą sylwetkę.

- P adrii - wykrzyknął.

- Esteve\ - zawołał jego ojciec chrzestny, unosząc ku niemu ramiona.

Obaj podbiegli do siebie i uścisnęli się serdecznie, poklepując się po plecach zgodnie z katalońskim zwyczajem.

Słońce zachodziło już nad Szwecją i wyspę kryły coraz dłuższe cienie.

Jack nadal widział brzegi wyspy, lecz ze względu na kłębiący się tłum żołnierzy nie był w stanie

ocenić, jaki był jej charakter. Czy był świadkiem sceny powitania? A może na brzegu doszło do dzikich starć lub Stephen został

aresztowany? Nie wiedział również, co ma sobie myśleć, gdy cała grupa ruszyła w stronę wielkiego, pomalowanego na czerwono budynku. Przyglądał mu się do chwili, gdy czerwony kolor rozmył się całkowicie, a zatoczkę skryły ciemności, tu i ówdzie przenikane pojedynczymi światełkami bądź bijącym z pieców żarem, lecz nadal nie poznał rozwiązania.

„Ariel” krążył wokół wyspy przez całą noc. Jack spał lub przynajmniej leżał na swej koi aż do środkowej wachty, obejmującej najgorsze godziny nocy.

Wspiął się wówczas powoli na pokryty rosą mars i usiadł tam, okutany w swój płaszcz, przyglądając się gwiazdom oraz światłom transportowców i „Aeolusa”.

Przed rozstaniem się przykazał ich dowódcom, by po zapadnięciu zmroku podeszli do słupu na odległość wystarczającą do przekazania sygnałów.

Przesiedział na marsie zmianę wachty, kiedy to na pokładzie pojawił się nawigator, a Fenton zameldował:

- Zdaję panu dowództwo. Postawione marsie i kliwry, kurs zmienny co szklanek: raz północnowschodni ku wschodowi, raz południowozachodni ku zachodowi. Kapitan kazał się wezwać, jeśli tylko coś się zacznie dziać, jak zauważy pan jakieś nowe światła czy ruch przy Grimsholmie. Siedzi tam, na grotmarsie - dodał szeptem.

Jack doczekał tam świtu. Podczas gdy na niebie powoli rozlewało się światło, stał rosę ze swej lunety i w pierwszej kolejności skierował ją na maszt flagowy, na którym nie dostrzegł jeszcze żadnej flagi, a potem na przeciwległy skraj zatoki, gdzie stała „Minnie”, lecz dowiedział się jedynie tyle, że Katalończycy znieśli już cały ładunek 2 pokładu brygu. Tu i ówdzie dostrzegał

już żołnierzy, usłyszał również czysty i wyraźny dźwięk trąbki, wygrywającej nieznaną mu melodię. Stopniowo ściany wielkiego budynku odzyskiwały swój czerwony kolor i naraz Jack dostrzegł wokół niego jakieś poruszenie, wszakże zbyt niewyraźne i odległe, by zdołał cokolwiek z niego wywnioskować.

Rozległy się dwa uderzenia w dzwon okrętowy i załoga pod nim zaczęła szorować pokład. W międzyczasie Jack po raz dwudziesty skierował lunetę na maszt flagowy, lecz tym razem dostrzegł pod nim grupkę mężczyzn. Wyraźnie widział, jak zwinięta, przypominająca ciemny kłębek flaga wciągana jest na górę, gdzie przez moment drgała, aż rozwinęła się w pełni, łopocząc dzielnie ku południu. Była żółta, a przecinały ją cztery czerwone paski. Jack poczuł, jak jego bijące głośno serce zalewa fala radości, lecz stłumił euforię i przyjrzał się raz jeszcze, by zyskać absolutną pewność. Policzył do dziesięciu, zauważając również niewielką grupkę mężczyzn, którzy wyrzucali w powietrze kapelusze i tańczyli w kółku, trzymając się za ręce. Wydawało mu się nawet, iż słyszy ich radosne pokrzykiwanie.

- Panie Grimmond! - zawołał, wychyliwszy się poza krawędź marsa. -

Proszę wprowadzić okręt do zatoki. - Jego mięśnie zeszywniały do tego stopnia, że postanowił zejść przez przełaz marsa. - Boże, ależ mi dupsko utyło -

chichotał. A gdy dotarł na pokład rufowy, wydał rozkaz wywieszenia sygnałów dla transportowców, przyozdobienia topów masztów „Ariela” flagami katalońskimi oraz podania sobie filiżanki kawy i skibki szwedzkiego chleba, by ulżyć cierpieniom pustego żołądka. - Panie Hyde - powiedział. - Chciałbym, by okręt prezentował się dziś wyjątkowo dobrze, jeśli łaska. Proszę przygotować go na powitanie człowieka szlachetnie urodzonego. - Stał na wyszorowanym, wysuszonym skrawku pokładu, zajadając chleb i popijając kawę, a „Ariel” na powrót przekraczał budzącą grozę granicę zasięgu wielkich dział. Dostrzegł, że oficerowie słupu, niezwykle spięci i poważni, co rusz spoglądają na olbrzymie baterie. - Proszę wezwać artylerzystę - rozkazał po chwili. - Panie Nuttall, na mój sygnał pozdrowimy twierdzę salutem z dwudziestu jeden dział. - Odczekał

jeszcze dłuższą chwilę, a gdy „Ariel” wpłynął już daleko w głąb zatoki i znalazł

się dokładnie między dwiema śmiertcionośnymi, flankującymi bateriami, powiedział: - Proszę rozpocząć salut.

Głośne, wyraźne wystrzały następowały kolejno w dokładnie odmierzonych odstępach czasu, a gdy zamilkło działo dwudzieste pierwsze, olbrzymie, wznoszące się jedna na drugiej kazamaty na brzegu wyspy poczęły znikać w wirujących kłębach białego dymu, który przyćmił niebo. Grzmot był

wprost ogłuszający. Co rusz kłęby dymu podrywały się na nowo, przeszywane błyskami ognia z każdego dział na Grimsholmie, aż marynarze na nadciągających transportowcach mieli wrażenie, że wyspę wstrząsa erupcja wulkanu. Potworny huk wstrząsał powietrzem, morzem i samym „Arielem”, a ludzie z załogi słupu stali nieruchomo, oszołomieni, zadziwieni i ogłuszeni.

Dopiero gdy przebrzmiały ostatnie echa wystrzałów z dział, marynarze z wolna zaczęli sobie uświadamiać, że właśnie usłyszeli odpowiedź na ich salut, na ich pokojowe powitanie.

Jack Aubrey i Stephen Maturin opuszczali Karlskronę burzliwą nocą, lecz wraz z ich odpłynięciem atmosfera niepokoju wcale nie zniknęła. Napięcie było tym trudniejsze do zniesienia, że admirał i jego doradca do spraw politycznych nie mogli w żaden sposób wpłynąć na sytuację, jedynie cierpliwie czekać, aż na odległych krańcach Bałtyku rozstrzygną się sprawy szczególnie wielkiej wagi.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Powrócili zaś wczesnym przedpołudniem podczas wspaniałej pogody.

„Ariel”, „Humbug”, przyz oraz transportowce sunęły powoli po jasnozielonej, niemal gładkiej powierzchni morza. Ciepły, południowy wiatr wiał tuż zza trawersu i wszystkie jednostki mogły postawić żagle boczne, przez co nawet zatłoczone, pękate transportowce wojsk nabrały dostojnego wyglądu. Prowadził

„Ariel”, a pozostałe jednostki płynęły w idealnej linii tuż za nim, trzymając się odległości jednego

kabla od poprzednika. Szyk zamykała „Minnie”. Sam admirał zgoła nie przypominał już osoby, którą zastali podczas pierwszej wizyty

- był teraz weselszy i wydawał się o wiele młodszy, na próżno też szukać by u niego surowości bądź zgryźliwości. „Ariel” przekazał wieści już w miejscu, z którego mogłyby zostać odczytane, tak więc na okręcie flagowym rozgorzała gorączkowa, radosna krzątanina, związana z przygotowaniami do przyjęcia gości. Kambuz okrętu został przejęty przez kucharza samego admirała oraz jego pomocników.

- Wiedziałem, wiedziałem - powiedział do pana Thorntona, przyglądając się nadpływającej łodzi z „Ariela”. - Dobrze znam tego człowieka i dobrze wiedziałem, na co go stać. Dokonał wielkiej rzeczy, ale wiedziałem, że tak właśnie będzie.

Na samej łodzi z kolei panowała głęboka cisza. Jack był wyczerpany, nie tylko wyęzionymi próbami ściągnięcia „Minnie” z mielizny, bezsennymi nocami, ogólnym opadnięciem nastroju podczas transferu oraz pisaniem oficjalnego raportu, ale także niewiarygodną wprost gadatliwością pułkownika d’Ullastreta. Katalończyk nie znał angielskiego, ale płynnie, przerażająco wprost płynnie władał francuskim - językiem, którego Jack mógł co najwyżej słuchać. Pomny ostrzeżeń Stephena, który nalegał na traktowanie gościa z największą ostrożnością, słuchał go całymi godzinami, ze wszelkich sił starając się nadażyć za potokami elokwencji, a w rzadkich przerwach wtrącając jakąś uwagę, która jego zdaniem na pewno była po francusku, a co więcej pasowała do kontekstu, jak choćby: „A niech to dunder świśnie”, „Zobacz no mi to” czy

„Jaszczurka kalifornijska”. Na pomoc Stephena nie miał co liczyć, gdyż ten porzucił go i przesiadł się na transportowce, gdzie na nowo odkrywał swą katalońską duszę. Teraz jednak pułkownik pogrążył się w milczeniu.

Przywiązywał ogromną wagę do swego stroju nawet w czasach pokoju i podobnie jak wielu innych żołnierzy wierzył, iż idealny stan munduru w znacznym stopniu świadczy o jego wartości jako oficera. Jego uniform wielce ucierpiał z powodu bałtyckiej wilgoci. Amarantowe wyłogi przybrały barwę osadu na dnie beczki po winie, galony zmatowiały, przy jednym z butów brakowało frędzli, lecz najgorsze było to, że jego płaszcz zupełnie nie odpowiadał piastowanej przez niego randze. Tymczasem w oku lunety pułkownik ujrzał, że na pokładzie okrętu flagowego oczekuje go oszałamiający pokaz elegancji: żołnierze piechoty morskiej wystrojeni w szkarłatne mundury, oficerowie w swych najlepszych kapeluszach i sam admirał we wspaniałym, błękitnym, kipiącym od złota uniformie. Stephen dostrzegł, że widok ten wpędził Katalończyka w stan głębokiego niezadowolenia i niepokoju, a to oznaczało, iż będzie wszędzie dopatrywał się obrazy i prób lekceważenia swej osoby. Zacięty wyraz twarzy zmieknął na moment, gdy okręt liniowy rozpoczął

salut powitalny, tym razem przeznaczony tylko dla niego. Stephen zauważył, że jego ojciec chrzestny liczy wystrzały. Przy trzynastym wyglądał już na zadowolonego, lecz zaraz po nim rozległy się czternasty i piętnasty, odpowiednie dla admirała lub hiszpańskiego granda. Pułkownik skinął głową z powagą, lecz napięcie go nie opuściło. Stephen wiedział, iż nie rozluźni się całkowicie dopóty, dopóki nie zostanie powitany na pokładzie w sposób, który uzna za odpowiedni, a w żołądku, opiętym wyświechtanym pasem ze szpada, nie spocznie dobry obiad, zakropiony przynajmniej jedną pintą zacnego wina.

- Czy powinienem objąć i uściskać admirała? - zapytał szeptem.

- Wątpię.

- Lord Peterbuggah wyściskał mojego dziadka - stwierdził pułkownik z zawziętością.

Łódź została przyciągnięta do burty. Pułkownik zawahał się na moment przed wspięciem po trapie, lecz już po chwili znalazł się w samym środku wielkiej, morskiej uroczystości. Wokół rozległy się świsty gwizdków bosmańskich, żołnierze piechoty morskiej z szurnięciem stanęli na baczność i zaprezentowali broń, a admirał wystąpił naprzód z otwartymi ramionami, by powitać kapitana Aubreya.

- Wiedziałem - powiedział. - Wiedziałem, że tak będzie. Wiedziałem, że na to pana stać!

- Jest pan niezwykle uprzejmy, sir - rzekł Jack. - Moja rola jednak ograniczyła się do manewrowania u brzegów wyspy. Prawdziwe zasługi należałoby przypisać komuś innemu - dodał znacznie cichszym głosem, patrząc na admirała znacząco. - Teraz jednak, sir, permettezmoi de... Jak to ująć?

- Présent37? - podpowiedział admirał.

- Dziękuję, sir. Présent don d'Ullastret - 1'admiral Saumarez.

Admirał ściągnął swój kapelusz, a pułkownik rozłożył szeroko ramiona.

Saumarez zawahał się jedynie przez bardzo krótką chwilę, po czym, ku niewymownej satysfakcji całego pokładu rufowego, objął Katalończyka, ucałował go w oba policzki i zapewnił go z wielką szczerością że ogromnie się cieszy, mogąc gościć go na pokładzie swego okrętu, po czym zaprosił go na obiad. Mówił po francusku zdecydowanie płynniej od Jacka i o wiele ładniej od pułkownika, gdyż sam pochodził z wyspy Guernsey.

Choć jego ojczystym językiem był francuski, żołądek admirała z pewnością był angielski i pułkownik został ugoszczony obiadem, który pasowałby nawet do Mansion House. Kilka potraw było dla niego nieznanym, wielu nie mógł nawet skosztować, gdyż był papistą a wypadał akurat piątek, lecz zasiadał po prawicy samego admirała i miał pierwszeństwo wobec goszczącego u Saumareza szwedzkiego oficera tej samej rangi. Odzyskał dobry nastrój, tak więc lawirował między ochotą na potępienie wszystkich dookoła, a chęcią okazania złych manier, starannie wybierając potrawy z jak największą ilością warzyw i możliwie najmniejszą ilością mięsa. Zadowalał się głównie chlebem oraz winem i wypijał z admirałem kolejkę za kolejką, choć ten był

człowiekiem dwukrotnie od niego tęższym.

Na drugim końcu stołu Thornton opowiadał Stephenowi o niepokoju, który ich dręczył podczas nieobecności „Ariela”. Udrękę pogłębiło pojawienie się o świcie kutra, który przywiózł wieści, że generał Mercier zaokrętował się na

„Minnie”.

- Mówi pan o niepokoju - odezwał się Jack, który usłyszał ostatnie słowa Thorntona po tym, jak ucichły radosne śmiechy po obu stronach. - A chciałby pan być odpowiedzialny przez dzień i noc za delikatną, niezwykle kosztowną własność Jego Wysokości, bezustannie narażoną na niebezpieczeństwa wszelakiego rodzaju? Oto, jak sądzę, dopiero powód do prawdziwego niepokoju, drogi panie. Nieszczęsny los nasz, oficerów marynarki wojennej!

- Słuchajcie go, słuchajcie - zawołali sąsiedzi.

- Wy, młodzi ludzie, zawsze wiele gadacie o swych troskach - rzekł

admirał. - Lecz co by pan powiedział, gdyby pańskiej pieczy powierzony został

cały dywizjon? Nie wyobraża sobie pan... Och, zapomniałem. Przecież pan sprawował dowództwo na Mauritiusie, Aubrey, tak więc dobrze pan wie, jak to jest. Mimo tego nie może pan wiedzieć, ile troski i zgrzyoty kosztuje mnie organizowanie bałtyckich konwojów. Nim lody uniemożliwią żeglugę, mam do wysłania wiele setek statków handlowych, a jednostek eskorty jak na lekarstwo.

Nie, nie, wam to naprawdę dobrze w roli kapitanów okrętów. Macie swoje własne, ciche problemy, a zbieracie przy tym wiele chwały i większość przyzwo.

Zebrani goście żywili tak wielki szacunek dla admirała, że w innych okolicznościach przyjęto by jego słowa w milczeniu. Teraz jednak ogólna atmosfera rozluźnienia i wesołości wraz z wieloma butelkami wybornego wina z zapasów Saumareza sprawiły, że wokół stołu wybuchła żywiołowa wymiana zdań. Żeglarze wytykali, że na Bałtyku nie ma żadnych szans na przyzwo, a gdyby takowe zaistniały, w świetle nowych, barbarzyńskich wprost przepisów kapitanowie traciliby jedną ósmą dotychczasowego wynagrodzenia za przyz.

Owa jedna ósma była dzielona i oddawana rozmaitym osobom, co zdaniem wszystkich zebranych zakrawało na absurd, gdyż wychodziły z tego tak niewielkie działki, że obdarowani roztrwaniali je bez trudu, a kapitanowie, którzy owe przyzwo zdobywali, stawali w obliczu podłej nędzy.

- Mniejsza o to, panowie - rzekł admirał. - Na Bałtyku wciąż można okryć się chwałą. Spójrzcie tylko na Aubreya, gotowego do nałożenia kolejnych laurów! Komuż by tam zależało na jakimś żalonym grosiwie?

Po minach kilku kapitanów znać było, że na tym zależy im jak najbardziej. Jeden nawet mruknął: „Non olet”, lecz gdy admirał zawołał do swego porucznika flagowego, by ten zaśpiewał Heart of Oak, wszyscy zamilkli i z wielką przyjemnością wsłuchali się w czysty tenor młodego człowieka. Gdy ten odśpiewał:

„Come cheer up my lads, ‘tis to glory we steer”, przyłączyli się do niego, wspólnie rycząc refren: „Heart of oak are our ships, Heart of oak are our men, We are always ready, Steady, boys, steady...”.

Ostatnie słowo „steady” huknęli z taką mocą, aż zakołysało się wino w karafkach.

- Śpiewamy o chwale, sir - admirał wyjaśnił pułkownikowi d’Ullastretowi.

- Trudno o lepszy temat do pieśni - rzekł pułkownik. - Zdecydowanie lepiej jest śpiewać o chwale, aniżeli smętnie zawodzić o kobietach. Sam wielce sobie cenię chwałę, pieśni zresztą również. Za pańskim pozwoleniem, zaśpiewam pieśń o lordzie Peterbuggahu i moim dziadku, którzy wspólnie zdobyli Barcelonę. Był to jakże chwalebny wyczyn zjednoczonych armii brytyjskiej i katalońskiej.

Pieśń pułkownika została wspaniale odebrana, a całe popołudnie upłynęło doprawdy przyjemnie, nie tylko na okręcie flagowym, ale również na transportowcach, skąd dobiegała muzyka oboju i bębenka, a na pokładach dziobowych Katalończycy tańczyli sardanę, rozstawieni w koło. W przerwach między tańcami co zręczniejsi marynarze popisywali się wykonaniem hornpipe'a.

- Na Boga, Stephen - powiedział Jack, gdy wrócili już na „Ariela”. - Nie pamiętam, kiedy ostatni raz byłem taki śpiący. Padnę na kolę zaraz po odcumowaniu.

- Zmiłuj się, Jack! Znowu mamy ruszać na morze bez chwili wytchnienia?

- Hę?

- Mamy zaraz ruszać na morze? Przecież jest piątek!

- Tak, oczywiście, że mamy ruszać. Sam przecież mówiłeś, że im prędzej dowieziemy Katalończyków do ojczyzny, tym lepiej. Admirał i jego politykus w zupełności się z tobą zgadzają i takie też są moje rozkazy. Dobrze by było, byś rzucił na nie okiem, zostałeś w nich wymieniony z nazwiska. A co do tego, że dziś mamy piątek, po naszej ostatniej misji przestałem wierzyć w złe znaki.

- W istocie można by nas już uznać za gromadę Żydów wiecznych tułaczy

- rzekł Stephen z niezadowoleniem w głosie. Przeczytał rozkazy Jacka i stwierdził: - Odnoszę wrażenie, że ton, w którym piszą tu o dowództwie i obowiązkach, jest cokolwiek drażniący. Po tak przyjemnym i rzekłbym nawet przyjacielskim popołudniu spodziewałbym się przeczytać: „Aubrey, mój drogi!”, miast tego zimnego, apodyktycznego: „Sir!”. Sama treść również tchnie arogancją i pozbawiona jest wszelkiej życzliwości, zupełnie jakby jej autor chciał wywołać w czytającym oburzenie i sprzeciw. „Sir, niniejszym rozkazuje się, by bezzwłocznie udał się Pan na pokładzie okrętu Jego Królewskiej Mości, powierzonego Pańskiemu dowództwu, wraz okrętami i jednostkami wymienionymi na marginesie, do zatoki Hano, gdzie spotka się Pan z konwojem pod ochroną okrętów Jego Królewskiej Mości...”. Doprawdy, chciałbym, by na liście znalazł się „Humbug”. Cóż to za pompatyczny, nadęty, pseudoliteracki bełkot... „Opuści Pan konwój po dotarciu do Broad Fourteens, a następnie, przy zachowaniu maksymalnej ostrożności, dotrze Pan do prądu Bordeaux, gdzie może Pan zastać okręt Jego Królewskiej Mości „Eurydice”. Dowódca okrętu zapozna Pana z sytuacją w Zatoce Biskajskiej. Gdyby nie doszło do spotkania, podąży Pan w tym samym celu do Santandero lub Passages... We wszystkich kwestiach, dotyczących wysadzenia na ląd hiszpańskich oddziałów, postąpi Pan zgodnie z radami doktora S. Maturina, który ma samodzielnie zdecydować...

Zasięgnąć jego opinii na okoliczność... Markiz Wellington... Postąpić zgodnie z jego osądem...”. Każdy człowiek obdarzony silną wolą chętniej wrzuci doktora S. Maturina do morza, aniżeli poprosi go o radę po przeczytaniu tak sformułowanego listu. Hiszpańskie oddziały, cholera jasna...

Od jakiegoś czasu był świadom, iż Jack zapadł już w sen, lecz marudził

po cichu do chwili, gdy do kajuty zajrzał Hyde i zameldował, że na okręcie flagowym wywieszono sygnał, rozkazujący „Arielowi” wyjście na morze.

Przez całą noc wiał lekki wiatr, popychając „Ariela” oraz towarzyszące mu jednostki na południowy zachód Przez tumany wzbierającej mgły. Przez cały ten czas kapitan słupu pogrążony był w niezwykle głębokim śnie. Około piątej nad ranem kajutę kapitańską wypełnił niski, rytmiczny odgłos chrapania.

- Ech, niech cię szlag trafi, Jack - rzekł Stephen i szturchnął jego koję, lecz bez rezultatu. Jack nie przestawał grzmieć i Stephen wcisnął kulki wosku głębiej do uszu. Nie było jednak pszczoł, które umiałyby robić wosk, chroniący przed chrapaniem kapitana Aubreya, tak więc zdesperowany doktor opuścił swą koję.

Odgłos urwał się krótko po zmianie wachty. Jack usiadł nagle, w pełni świadom. Nie obudziło go bicie w okrętowy dzwon, który rozbrzmiewał przez całą noc od chwili wejścia w mgłę, wspomagany co dwie minuty przez wystrzał

z muszkietu, nie obudziło go również szuranie szczotek i cegiełek, których melodia była dlań czymś zbliżonym do kołysanki, ani nawet światło dnia, na razie mdłe i niewyraźne. Jego sen przerwał jakiś podświadomy proces obliczeniowy, który wychwycił zmiany w sile i kierunku wiatru, zestawiał je ze zmianami w kursie jednostki i wprowadził poprawkę na dryf, po czym poinformował go, że „Ariel” właśnie wszedł na wody zatoki Hano.

Dostrzegłszy, że koja Stephena jest pusta, Jack otworzył drzwiczki latarni nocnej, zerknął na kompas kontrolny nad swą głową oraz na barometr, który wciąż opadał, w ciszy włożył ubranie i wymknął się z kajuty. Starał się zachowywać jak największą ostrożność, by nie obudzić pułkownika d’Ullastreta, który ze względu na wielkie zatłoczenie niewielkiego okręciku spał

w byłej jadalni dowódcy „Ariela”, stanowiąc tym samym nieustającą groźbę.

Na zewnątrz wciąż wisiała mgła i widoczność kończyła się za bukszprytem, lecz Jack natychmiast usłyszał odgłosy towarzyszące konwojowi -

odległy ryk konch i dźwięki dzwonów, a od czasu do czasu również wystrzał z muszkietu. W pewnej odległości rozległ się huk działa sygnałowego, znak, że dowódca eskorty stara się utrzymać swe stadko w kupie. Wymienił

pozdrowienia z pilotem oraz oficerem wachtowym i zauważył, że żagle główne i marsie zwisają luźno z rei. Okręt jednak płynął nieco szybciej, niż wynosiła jego prędkość manewrowa, co oznaczało, że popychają go niewidoczne w tej chwili bramsle. Jack zerknął też na tabliczkę logową po czym odezwał się do pilota:

- Panie Pellworm, ile to jeszcze potrwa pańskim zdaniem?

- Cóż, sir. Sądzę, że mgła rozproszy się po wschodzie słońca, ale nie podoba mi się to, że słupek rtęci w barometrze ciągle spada. Wydaje mi się, że tym razem powieje z północy, a potem skręci na

zachód, a Langelands Belt nie jest wystarczająco szeroki jak na konwój tej wielkości.

Niespodziewany podmuch wiatru przyniósł wściekle wołanie któregoś z kapitanów, czyste i wyraźne, zupełnie jakby ten znajdował się ledwie paręset metrów od nich, a nie na odległym końcu zatoki:

- Jeśli splądziesz mi tę cumę, zaraz przetnę ci linę kotwiczną ty cholerna łamago z dziurawej, holenderskiej krypy!

Wrzask nie zdążył jeszcze przebrzmieć, gdy z górnych partii okrętu dobiegł ich głos Stephena:

- Panie kapitanie, gdyby zechciał pan wspiąć się tu do mnie, ujrzałby pan doprawdy niezwykle widok. Dotrze pan tutaj łatwo i bezpiecznie po tych linach po lewej. Na bakburcie, patrząc w stronę dziobu.

- Po co żeś mu pan pozwolił tam wejść, do ciężkiego łoża? - spytał Jack Fentona, marszcząc groźnie brwi. - Przecież on siedzi chyba na salingu! - A ku górze krzyknął: - Trzymaj się tam mocno! Nie ruszaj się! Za chwilę jestem u ciebie.

- Bardzo mi przykro, sir - rzekł Fenton. - Powiedzieli mi, że wybierają się tylko na mars! Towarzyszy mu pan Jagiełło.

- Myślę, że należało by to określić mianem hapax phenomenon³⁸ -

powiedział Stephen.

- Hapax phenomenon - mruknął Jack, wspinając się szybko. Nie zastał ich jednak na salingu, ponieważ jakimś cudem Maturin i Jagiełło zdołali wpełznąć aż na reję bramsla. Stali teraz obaj wyprostowani, opierając nogi na pertach i przytrzymując się najrozmaitszych lin, i z całkowitym spokojem wychylali się ponad reją. Przynajmniej wyglądali na spokojnych; Stephen sprawiał wrażenie rozradowanego, w przeciwieństwie do Jagiełły, znacznie poważniejszego niż zazwyczaj.

- Tam! - zawołał Stephen, gdy Jack wspiął się już na cienkie wanty bramsla. - Czyż to nie wspaniałe? - Ostrożnie wyciągnął dłoń, wskazując coś na południowym zachodzie. Całą trójką znaleźli się ponad niskimi kłębami mgły, zasnuwającymi powierzchnię morza. Nad sobą mieli tylko czyste niebo, a pod sobą nie widzieli ani śladu wody, ani nawet pokładu; wszędzie ciągnęła się gładka warstwa białych mgieł, ostro odcinająca się od czystego powietrza. Na prawej ćwiartce dziobowej oraz na prawym trawersie łagodne kłęby nieprzejrzystej bieli przebijał nieprzebrany las masztów, wyrastających z owego nieziemskiego gruntu prosto ku niebu, nieskażonemu nawet pojedynczą chmurką, ku niebu, które mogło przynależeć do całkiem odmiennego świata. -

Czyż to nie wspaniałe? - powoził pytanie.

Jack był z natury bardzo dobrodusznym człowiekiem, lecz tego dnia nie zjadł jeszcze śniadania, a widok przyjaciela, który powierzył swe życie niezamocowanej stoperem lince sygnałowej, okazał się dlań trudny do zniesienia.

- Hej tam, na pokładzie! - ryknął. - Natychmiast obłóżyc tę linkę sygnałową! Obłóżyc wszystko, co należy do grotramsla! Tak, jestem zachwycony i usatysfakcjonowany. Stephen, natychmiast zejdz z tej liny, złap się rei i zacznij się przybliżać do talii do jej podnoszenia. Ja będę pomagał ci ustawić stopy.

- Och! - rzekł Stephen, robiąc nagłego susa z równoczesnym wymachem ramion. - Ale przecież ja się zupełnie nie denerwuję. Nie widać pokładu, przez co zupełnie zapomniałem, że znajduję się na wielkiej wysokości. Zupełnie się nie denerwuję, zapewniam cię. Powiedz mi prawdę... Widziałeś kiedyś coś równie wspaniałego?

- Jakieś marne kilkaset razy - rzekł Jack. - Nazywamy to zmrużeniem dnia. Widzimy je często przy takim wietrze lub gdy ten całkiem ucichnie.

Zniknie, jak tylko wzejdzie słońce. Jestem jednakowoż wdzięczny, że mogłem wejść na reje przed śniadaniem, by móc je raz jeszcze zobaczyć. Ustaw tu stopę, nie zawadzając o szelkę perty. Zaplątałeś się w szelkę. Twój but zahaczył o przewiaz. Panie Jagiełło, proszę puścić to ucho bloku! Stephen, podaj mi teraz rękę. Ostrożnie, powoli...

Dokładnie w tym momencie Stephen zsunął się z rei. Na szczęście trzymało go potężne ramię Jacka, który natychmiast wciągnął go na dyby.

Stracił jedynie but, który pomknął ku niewidocznemu pokładowi.

- Dziękuję, Jack - wysapał, gdy ten posadził go już na salingu. - Jestem ci wielce zobowiązany. Musiałem wykonać jakiś fałszywy ruch.

- Być może - rzekł Jack. - Lecz, na litość boską Stephen, coś ty tam właściwie porabiał, co? Panie Jagiełło, proszę zostawić tamten blok. Przecież dobrze wiesz, że prosiłem was obu, byście nie wspinali się wyżej niż na marsa.

- Sedno sprawy leży w tym, że pan Jagiełło znalazł się w doprawdy zawstydzającej sytuacji.

- Jeśli natychmiast nie puści tego bloku, rychło znajdzie się w królestwie niebieskim. Panie Jagiełło, puść pan ten blok, złap się obiema rękami za rabandę i podejdz do tego wielkiego bloku na samym środku.

- Nie mogliśmy omówić tego problemu na pokładzie, gdyż marynarze ze szczotkami co chwila przesuwali nas z miejsca na miejsce, tak więc wspięliśmy się na mars. Tam jednak również śmigaly wiadra z wodą, tak więc udaliśmy się jeszcze wyżej. Otóż zastał on kobietę w swym łozu.

- Tak właśnie, otóż to - stwierdził Jack. - Panie Fenton, proszę zabezpieczyć but doktora.

- Tak, sir - odezwał się Jagiełło, który w międzyczasie zdołał już dotrzeć do zaczepu tylnego i zwrócił ku nim swą zaczerwienioną twarz. - Znalazłem ją w łozu przed chwilą, gdy wróciłem już do swej kajuty.

- A coś pan porabiał przez całą noc?

- Grałem w karty z oficerami katalońskimi w mesie oficerskiej.

- Iz tego, co rozumiem, owa kobieta jest dla pana kimś niepożądanym?

- Tak, sir, jak najbardziej.

Jack naraz uświadomił sobie, iż jest to doprawdy zabawne miejsce na tego rodzaju narady. Tkwił oto na salingu w towarzystwie dwóch szczurów lądowych, zastygłych w niezgrabnych pozycjach między niebem a ziemią, a jego żołądek nadal był pusty.

- Panie Fenton, proszę przysłać mi tu paru najlepszych topmenów z blokiem otwieranym i liną nadającą się na linoblok.

- Spójrzcie, już prawie po wszystkim - powiedział cicho Stephen, gdy wybrani marynarze rozpoczęli wspinaczkę. - A mimo tego zniknięcie mgły na swój prozaiczny sposób okazało się równie szokujące jak jej pojawienie się. -

Mgła, która uniosła się i rozproszyła pod wpływem pierwszych promieni słońca, odsłoniła grupę 783 żaglowców, niemal co do jednego statków handlowych, z wyjątkiem starej fregaty „Juno”, trzech słupów i kutra. - Nigdy wcześniej do tego stopnia nie zdawałem sobie sprawy z ogromu rozmiarów morskiego handlu, merkantylnej przedsiębiorczości i niepodległości narodów - ciągnął.

- Oto Ahus - powiedział Jack, skinąwszy w kierunku miasteczka, widocznego już wyraźnie na brzegu zatoki. - Owa dama zje więc swe śniadanie na suchym lądzie. Panie Fenton, proszę opuścić gig. - Na salingu zjawili się tompeni, a jeden z nich trzymał but Stephena. Jack założył pętlę wokół talii swego przyjaciela, zawiązał linę i nakazał mu trzymać się mocno węzła, po czym zawołał: - Opuszczać ostrożnie! - I w ten oto sposób Stephen po raz kolejny rozpoczął dobrze sobie znaną niegodną wędrówkę na pokład. W chwilę później na dole wylądował również Jagiełło, a potem dołączył do nich Jack. Na pokładzie rufowym powitały ich szerokie uśmiechy i atmosfera żywego oczekiwania. - Teraz, panie Jagiełło - rzekł Jack - musi pan powiadomić ową damę, że w ciągu dwóch minut ma się znaleźć na łodzi. Nie ma ani chwili do stracenia.

- Jeśli łaska, sir - powiedział Jagiełło, zarumieniony aż po uszy -

wolałbym tego nie robić. Byłoby to takie nieuprzejme z mojej strony, a poza tym zabrałoby mnóstwo czasu. Sam pan wie, łzy, żądania, prośby. Być może pan Pellworm byłby tak nieskończenie uprzejmy i wyświadczyłby mi tę przysługę. Zna on ową damę, mówi po szwedzku i jest przecież mężczyzną żonatym.

- Zna pan ową damę, panie Pellworm?

- Tylko z widzenia, sir. Tylko z widzenia. Kilka razy ową młodą osobkę widziałem, to wszystko. Któż jej zresztą nie widział spośród tych, którzy zawinęli do Karlskrony i udali się do tamtejszego teatru? Być może nawet rozmawiałem z nią raz czy dwa, tak po prostu, by zabić czas, gdy weszła na pokład. Zawsze jednak starałem się być wówczas w towarzystwie innych oficerów, sir, gdyż reputacja owej młodej damy nie jest żadną tajemnicą i przyjęło się nazywać ją Uciechą

Dzentelmenów, ja zaś dobrze znam swą pozycję. Poza tym, mówiono mi, że w chwili obecnej znalazła się pod osobistą opieką gubernatora. Poeta nazwałby ją pewnie śpiewającą nierządnicą cenniejszą od skarbów tego świata. Jeśli jednak życzy pan sobie, bym ją posłał

na brzeg, powiem jej o tym natychmiast. Rozmówię się z nią ostro niczym Holender bez krzty sumienia.

- Tak, proszę się tym zająć, panie Pellworm - rzekł Jack. - Okręt wojenny to nie miejsce dla kobiet.

Pellworm pokiwał głową i odszedł ciężkim krokiem, przybierając surowy, nieprzejednany, a nawet brutalny wyraz twarzy.

Być może poeta nazwałby ją rozśpiewaną nierządnicą, lecz głos, którym żegnała „Ariela”, odpływając na łodzi wśród obojętnych, godnych zaufania wioślarzy z pokładu dziobowego, był chrapliwy, nieprzyjemny i zgoła niemuzykalny.

- Co ona mówi? - spytał Stephen.

- Łędwie gorące jak u kozła, lecz serce zimne jak gład - rzekł pilot. - To również poezja.

- To wszystko nieprawda! Ona nic nie mówi o moich łędźwiach, nigdy ich przecież nie widziała! - wykrzyknął Jagiełło ze swej kryjówki przy odległym sternaszcie. - Nigdy jej nie zapraszałem! - dodał. - Prosiłem, by sobie poszła!

- Gdyby wszystkie problemy tego typu można było tak łatwo rozwiązać -

mruknął Jack, patrząc na malejącą sylwetkę Uciechy Dzentelmenów. - Panie Fenton, możemy odpaść w kierunku „Juno” i zebrać gig po drodze.

Stephen zerknął na niego i na Jagiełłę.

- Tchórze - mruknął do siebie. - Łajdaki.

Rozejrzawszy się po pokładzie, dostrzegł, że z wyjątkiem kilku co bardziej ordynarnych mężczyzn oraz chłopców marynarze wyglądali na zawstydzonych i zatroskanych.

- Bardzo osobliwa sprawa - rzekł Jack do Stephena podczas śniadania. -

Dowiedziałem się, że gdy my gościliśmy na liniowcu, Jagiełło zszedł na ląd, a pół godziny po jego powrocie na okręt przybyły trzy kobiety. Dwie spośród nich były córkami szwedzkiego admirała, zdaniem Hyde'a zaskakująco piękne, natomiast trzecia to owa Uciecha, której uroda ponoć poraża z daleka. Za nic nie mogę pojąć, co one wszystkie właściwie w nim widzą. Dobry człowiek z tego naszego Jagiełły, w to nie wątpię, lecz to przecież jeszcze dzieciuch. Nie sądzę, by golił się częściej niż raz na tydzień, o ile w ogóle. Poza tym sam bardziej przypomina dziewczynę aniżeli chłopaka.

- Orfeusz najwyraźniej niewiele się od niego różnił, a kobiety i tak rozszarpały go na kawałki. Jego oderwana głowa bez śladu zarostu spłynęła wodami rzeki Hebros, niestety wraz z jego połamaną

lirą.

- O mój Boże, przecież tu jest pułkownik! - zawołał Jack, złapał filiżankę oraz kawałek grzanki i popędził na pokład.

Spędził tam większą część dnia, gdyż zaraz po mgle pojawiła się rzadka mżawka, co zatrzymało pułkownika w kabinie. Konwój miał wypłynąć dopiero wieczorem, ale dowódca „Juno” zawczasu poprosił Jacka o zajęcie stanowiska na jego czele. Przeprowadzenie „Ariela” oraz znajdujących się pod jego pieczęcią transportowców przez gęsty tłum statków handlowych przy zmiennych wiatrach zabrało wiele czasu, ponieważ wiele z nich zostało rozstawionych całkowicie przypadkowo i bez zastanowienia, zupełnie jakby ich kapitanowie nie odróżniali prawej burty od lewej. Kapitan oraz pułkownik spotkali się jednak na obiedzie.

Obaj zostali zaproszeni przez mesę oficerską, która ugościła ich bogatym zestawem dań i Jack musiał ścierpieć kolejną godzinę rozmowy po francusku, która tym razem, o ile dobrze rozumiał, dotyczyła wszystkich pięknych kobiet, które ściagały d’Ullastreta. Wyglądało na to, że były ich całe regimenty, zarówno panny, jak i mężatki, niektóre wręcz budzące litość.

W końcu do konwoju dołączyły ostatnie jednostki, przybywające z Rygi, a wraz z nimi nadciągnął mocny wiatr z północnego wschodu. Dowódca „Juno” niespokojnie liczył swych podopiecznych - fregata sygnalizowała niemalże bez przerwy, otrzymując sprzeczne bądź bezsensowne odpowiedzi, potwierdzała każdy nowy sygnał wystrzałem z działa. Co rusz wysyłała wszędzie łodzie, a ich obsady rykiem przekazywały rozkazy dowódcy Organizacja nawet tak ogromnego konwoju musiała jednak kiedyś dobiec końca i „Juno” wreszcie dał

sygnał do podniesienia kotwicy. Tysiące żagli rozjaśniło szare niebo nad ogromną zatoką i konwój ruszył naprzód, podzielony na trzy ogromne grupy.

Statki powoli wślizgiwały się w czerń nocy, dostosowując prędkość do najwolniejszej jednostki, cierpiącej na braki w załodze, zbyt wysoko ubezpieczonej pinasy z Cork.

Pomimo świateł, które każdy statek palił na marsach, świt zastał

wszystkie trzy grupy mocno przerzedzone, lecz rzeński wiatr północnowschodni pomógł konwojowanym statkom na powrót ustawić się w prowizoryczny szyk i do zachodu słońca przepchnął je przez trudny nawigacyjnie kanał Fehmarn.

Wtedy to niespodziewanie skręcił na południe, stając się tym samym idealnym wiatrem do pokonania jeszcze trudniejszego Langelands Belt. Pokonali ów długi kanał nocą, praktycznie nie tykając szotów ani brasów. Z brzegów konwój musiał przypominać ogromną konstelację tysięcy gwiazd, która niespodziewanie zbłądziła tuż nad powierzchnię morza. Korzystny dla nich wiatr uniemożliwił

też wypłynięcie wrogim kanonierkom, a jedynym nieprzyjemnym zdarzeniem podczas nocnej przeprawy było pojawienie się pewnego duńskiego okrętu. Jego śmiały kapitan podjął próbę wślizgnięcia się do konwoju w nadziei przejęcia jakiegoś marudera i szybkiej ucieczki wraz z nim do Spodsbjergu, ale został

wykryty. Sygnał „Obcy w konwoju!” natychmiast przywołał płynącego w ariergardzie słupu i Duńczyk zdołał uciec do Spodsbjerg, ale dokonał tego sam, z podartymi żaglami i pięcioma dziurami w kadłubie. Jediną wyrządzoną przez niego szkodą było to, że trzy statki handlowe zderzyły się podczas zamieszania i musiały być wzięte na hol.

Wszystko to wydarzyło się jednak o północy i tak daleko na tyłach niezwykle długiego konwoju, że na płynącym z przodu „Arielu” w ogóle nie zdawano sobie z tego sprawy. Gdy szary, wilgotny świt zaczął rozjaśniać jeszcze bardziej szare fale morza, awangarda konwoju znalazła się już daleko na wodach Wielkiego Bełtu. Na prawym trawersie majaczył niewyraźnie kontur Zelandii, a na lewym zniknęła w deszczu wyspa Funen.

- Cóż, panie Pellworm - rzekł Jack, strząsając wilgoć ze swej marynarskiej kurtki i spoglądając z aprobatą na chmurę nadciągającą z południa.

- Obawiam się, że rozczarował się pan brakiem swego wiatru z północy.

- Nie mam powodów do narzekań, sir - stwierdził pilot. - Trudno sobie wymarzyć lepszy wiatr i wygodniejszy rejs. Oto odpowiedź na gorące modlitwy dziewicy, jak rzekłby poeta. Coś mi się wydaje, że wiatr nie zmieni się aż do Kattegatu, ale niech pan pamięta moje słowa, sir. Niech pan pamięta, że czeka nas jeszcze burza. Mam tylko nadzieję, że uda nam się ominąć przylądek Skaw, zanim się zacznie. Nie można postawić żagli w piątek trzynastego i to jeszcze z kobietą na pokładzie, sir, i mieć nadzieję, że nie podmucha. Nie masz ci we mnie nic z człowieka przesądnego, a czarne koty, kruki oraz wróżenie z kart i fusów zostawiam mojej żonie, lecz na zdrowy rozsądek, skoro od zarania dziejów żeglarze utrzymują, że te rzeczy przynoszą nieszczęście, coś w tym musi być. Nie ma dymu bez ognia. Poza tym, słupek rtęci w barometrze wciąż spada, ale nawet gdyby było inaczej, piątek to zawsze piątek.

- Być może, być może, ale taki omen to jedynie wiele wycia o nic.

- A nie hałasu o nic?

- Dajże pan spokój, panie Pellworm! - roześmiał się Jack. - A cóż złego jest w hałasie? Po co robić hałas? To wycie zwiastuje niebezpieczeństwo, sam pan wie. Trudno o lepsze określenie, jak sądzę. Nie, nie. Omen zwiastuje nadchodzącą katastrofę, a tymczasem jeden przytrafił mi się tuż przed wyprawą na Grimsholm, a czym się wszystko skończyło? Wiele wycia i żadnych złych następstw. Przestałem wierzyć w dobre i złe znaki - stwierdził, chwytając się kołka do obkładania lin. - Natomiast barometr to zupełnie inna para skarpet. To dowód naukowy.

Pellworm spojrzał na Jacka z upartą zawziętością i oznajmił:

- Jak tam sobie pan życzy, kapitanie Aubrey, ale są na tym świecie rzeczy, o których się wam, filozofom, jeszcze nie śniło.

- Filozofom, panie Pellworm?

- Och, to tylko poezja, sir. Nie miałem zamiaru pana urazić.

- Filozofowie, panie Pellworm.. - zaczął Jack, ale przerwał na widok nawigatora „Ariela”, który powoli, niepewnymi krokami zbliżał się do pierwszego oficera, stojącego na zawietrznej pokładu rufowego. Szedł z zaciśniętymi pięściami, a na jego twarzy malowała się konsternacja.

- Co się stało, panie Grimmond? - zawołał.

- Sir - odezwał się nawigator nieswoim głosem. - Jest mi niezwykle przykro, lecz pragnę zameldować, że pański zegarek został zepsuty. Upuściłem go na pokład.

Z tymi słowami rozwarł pięści. Na jego dłoniach spoczywały szczątki chronometru „Ariela”, zawinięte w chusteczkę. Wszystko wskazywało na to, że upadł w najbardziej nieszczęśliwy sposób i uderzył w bardzo wrażliwą śrubkę.

Jego mechanizm znalazł się za burtą.

Jack z trudem powstrzymał się od zapytania nawigatora, po co korzystał z chronometru akurat teraz, skoro nakręcanie wypadło o zupełnie innej porze, albo jak go upuścił. Podarował sobie również uwagę, że z wszelkimi tak delikatnymi rzeczami powinno się obchodzić z największą ostrożnością i powiedział tylko:

- Cóż, cóż. Na szczęście mój osobisty zegarek jest dość dokładny. Choć teraz przypomniało mi się, że zegarek doktora jest o wiele lepszy. - Już chwilę później powiedział do Maturina: - Stephen, przytrafiło się nam cholerne nieszczęście. Nasz chronometr diabli wzięli. Pożyczysz mi swój zegarek?

- Oczywiście, proszę cię bardzo - odparł ten i wyciągnął surowy, piękny Breguet. - A co się stało z pozostałymi chronometrami?

- Nie ma innych chronometrów.

- Przestań, bracie. Dobrze pamiętam, że na innych naszych okrętach widziałem całą kolekcję rozmaitych zegarów oraz zaaferowanych młodych dżentelmenów, próbujących wyliczyć z nich średnią. Ty zaś zawsze stałeś tuż obok z własnym zegarkiem w ręku, zapatrzony w ciała niebieskie i dręczyłeś do woli.

- Tak, ale to dlatego, że odkąd tylko mogłem sobie na to pozwolić, zawsze kupowałem własne chronometry. Jeśli kapitan kupi własny chronometr, admiralicja przydziela mu dwa następne. W przeciwnym razie otrzymuje tylko zwykły zegar i to głównie wtedy, gdy wysyła się go poza Anglię.

- To urządzenie służy więc do obliczania szerokości geograficznej?

- Mówiąc prawdę, Stephen, większość ludzi w tej akurat kwestii polega na sekstansie. Chronometr służy bardziej do czegoś innego. Wiesz, dzięki niemu ustalisz, czy jesteś na wschód, czy na zachód.

- Na wschód czy na zachód od czego, na litość boską?

- No, od Greenwich... rzecz jasna.

- Zaden ze mnie wielki nawigator... - zaczął Stephen.

- Och, jesteś doprawdy zbyt skromny - wtrącił Jack.

-...i często zachodziłem w głowę, jak wam, żeglarzom, udaje się znaleźć drogę wśród przestrzeni oceanu. Z tego, co mówisz, wynika jednak, że dla twoich rodaków centrum wszechświata nie leży w Jeruzalem, ale w Greenwich, ha, ha, ha! Co więcej, wychodzi na to, że człowiek ubogi jest w stanie ustalić swą pozycję jedynie względem północy i południa, czyli w górę i w dół, natomiast jego zamożny brat zna również swą pozycję względem prawa i lewa.

Bez wątpienia kryje się w tym jakaś logika, choć nie potrafię jej pojąć, podobnie jak zastosowania chronometru oraz owego irytującego nacisku na dokładność w mierzeniu tego, co w sumie jest dość spornym konceptem i z tego co nas uczą, całkowicie nieznanym w niebie. Powiedz mi, czy wy naprawdę jesteście w stanie stwierdzić, gdzie się znaleźliście, czy być może jest to kolejny z waszych morskich, przepraszam za wyrażenie, przesądów, jak choćby salutowanie czysto hipotetycznemu krzyżowi na pokładzie rufowym?

- Jeśli na pokładzie okrętu masz dokładny czas Greenwich, bez trudu ustalisz jego długość geograficzną dzięki dokładnej obserwacji słońca w południe, nie mówiąc już o takich rzeczach jak zaćmienie słońca. Mam parę chronometrów Arnolda w domu i bardzo mi ich brakuje. Po dotarciu z Plytmouth na Bermudy spóźniały się zaledwie dwadzieścia sekund. Na tych wodach punktualny chronometr pozwoliłby ci ustalić długość geograficzną z dokładnością do trzech mil. Ech, zwolennicy obserwacji księżyca mogą sobie mówić, co chcą, ale nie ma lepszej pomocy w nawigacji od dobrze wyregulowanego chronometru. Załóżmy, że jedziesz sobie konno z zegarkiem nastawionym na czas Greenwich w kieszeni. Załóżmy też, że przeprowadziłeś obserwację słońca w południe i odkryłeś, że pięć po dwunastej słońce przesunęło się na południe. Od razu wiedziałbyś, że znajdujesz się niemal idealnie na południku Winchester i nie musiałbyś już szukać drogowaskazu. Te same zasady tyczą się morza, gdzie drogowaskazy należą do rzadkości.

- Wielkie nieba, Jack, co ty mi opowiadasz. O ile dobrze cię rozumiem, tak samo ustalilibyśmy pozycję, dajmy na to, Dublina czy Galway?

- Nie chciałbym tu wygłaszać żadnych stwierdzeń na temat Irlandii, gdzie ludzie mają doprawdy osobliwe poczucie upływu czasu, ale zapewniam cię z całą świadomością, że na morzu działa to doskonale. Dlatego właśnie chciałem pożyczyć twój zegarek.

- Niestety, mój drogi przyjacielu, nie dość, że mój zegarek został

nastawiony na czas Karlskrony, to jeszcze spóźnia się około minuty na dzień, a z tego, co mówisz, odpowiada to odległości dwudziestu mil. Obawiam się, że będziemy musieli naśladować starożytnych i trzymać się blisko wybrzeża, pełznąć powoli od przyłodka do przyłodka.

- Bardzo powątpiewam, by starożytni robili coś takiego. Wyobrażasz sobie jakiegokolwiek zdrowego na umyśle człowieka, który świadomie podchodzi do brzegu nawietrznego? Nie, dziękuję, ja pozostanę przy żeglowaniu na otwartym morzu. A tak na marginesie, nasi poprzednicy żeglowali do Nowego Świata i z powrotem, polegając jedynie na sondach, szerokości geograficznej i

obserwatorach. Tak czy owak, punktualny zegarek bardzo się nam przyda, jeśli pogoda się zepsuje. Wywieszę odpowiedni sygnał

dla „Juno” i nastawię zegarek wedle ich wskazania. - Nadstawił ucho.

Pułkownik d’Ullastret golił się właśnie, przygotowując do swego pierwszego wyjścia na pokład i śpiewał Bon cop de fałę chrapliwym, nieprzyjemnym głosem, niewiele różniącym się od głosu Stephena. - W sumie to właśnie wpadłem na inny pomysł - podjął po chwili. - Po prostu popłynę do niego.

Maudsley jest mi winien barani kotlet.

- Pułkownik będzie rozczarowany, jeśli nie zastanie cię przy obiedzie.

Poza tym, morze jest dość wzburzone i zapowiada się kiepska pogoda.

- Nelson powiedział kiedyś, że nie potrzebuje płaszcza, bo grzeje go miłość do ojczyzny. Moim obowiązkiem jest wsiąść do łodzi i popłynąć bez względu na pogodę, gdyż potrzebujemy dokładnego czasu. Wytłumacz jakoś moją nieobecność, a pułkownik z pewnością zrozumie. Poza tym, możesz zaprosić Jagiełłę, z pewnością spodoba mu się jego towarzystwo. Mówi przecież po francusku równie dobrze jak ja. Tak, to doskonały pomysł, musisz zaprosić Jagiełłę na obiad.

Droga na „Juno” okazała się trudnym przedsięwzięciem, lecz jeszcze trudniejszy i zdecydowanie bardziej mokry był powrót. Mimo że kapitan Maudsley ugościł ich wspaniałym obiadem, bywały chwile, kiedy zarówno samemu Aubreyowi, jak i jego sternikowi oraz pozostałym wioślarzom przychodziło do głowy, że nie docenili siły żywiołu i krótkie, wzburzone, krzyżujące się fale, ścinane przez zmienny wiatr, w końcu ich zaleją. W istocie niewiele brakowało, by szalupa została przełamana na pół, i gdy Jack w końcu wszedł na pokład w ociekającym wodą, pożyczonym płaszczu sztormowym, dostrzegł na sobie tryumfalny wzrok pilota.

- Cóż, panie Pellworm - rzekł. - Nadszedł wreszcie ten pana sztorm, ale mam przynajmniej nadzieję, że da nam jeszcze trochę czasu na opłynięcie Skaw.

- Ja też mam taką nadzieję, sir, a właściwie to jestem pewien - powiedział

Pellworm, najwyraźniej całkowicie przekonany, że nie powinni się na to w ogóle porywać. - Wiatr jednak skręca niewiarygodnie szybko i kiedy zacnie już wiać na północ, to możemy sobie darować wszelkie próby.

- Przeklęty, stary Pellworm - powiedział Jack, przebierając się w nieliczne suche rzeczy, jakie miał ze sobą. - Pewnie stokroć wolałby halsować w tę i z powrotem przez cały tydzień, próbując wejść do Sleeve, a potem jeszcze stać w Kungsbacka w oczekiwaniu na pomyślny wiatr, by tylko jego przepowiednia się ziściła. On przyniesie nam pecha. Mingus! - zawołał swego stewarda. - Zanieś no mi te rzeczy do kambuza i dobrze porozwieszaj, by szybko wyschły. Lepiej uważaj na te galony, jeśli cenisz swój tyłek. Mam zamiar się zdrzemnąć aż do zmiany wachty, bo czeka nas ciężka noc. Gdzie jest pułkownik?

- Już udał się na spoczynek, gdyż dokuczało mu kołysanie okrętu. Kazał

jednak przekazać pozdrowienia oraz przeprosiny.

Noc w istocie okazała się bardzo ciężka, lecz Stephen i Jagiełło nie mieli o tym pojęcia, mimo że do ich kajuty dobiegały głucho tąpnięcia, ochryple krzyki marynarzy, gwizdki bosmańskie i stłumiony tupot kroków, gdy podrywano wachtę do zwinięcia lub postawienia żagli, a lampa nad ich krytym zielonym sukniem stolikiem do gry w karty kołysała się dziko na boki. Obaj bez słowa zrezygnowali z szachów i zabrali się za pikietę. Stephenowi w kartach dopisywało zawsze ogromne szczęście, natomiast Jagiełłę prześladował

konsekwentny, ogromny pech. Do trzeciej szklanki wachty środkowej Litwin przegrał wszystkie pieniądze, a ponieważ uzgodnili, że grają jedynie na to, co mają przy sobie, gra musiała się zakończyć. Jagiełło spojrzał ze smutkiem i tęsknotą na swój cały majątek, leżący przed Stephenem - a było tego siedemnaście szylingów i cztery pensy, głównie w drobnych monetach - lecz po chwili do głosu doszła jego wrodzona pogoda ducha. Oznajmił, że kiedy tylko znajdą się na brzegu, spienięży jeden ze swoich weksli i poprosi go o szansę na rewanż.

- Nastąpi to zapewne w przyszłym tygodniu, prawda? - spytał.

- Być może jest pan zbyt wielkim optymistą - rzekł Stephen, dzieląc talię kart. Wyciągnął asa pik, a następnie asa kier. - Z tego, co usłyszałem od pana Pellworma, starego, doświadczonego pilota bałtyckiego, najprawdopodobniej będzie to dopiero przyszły rok.

- Ja zaś słyszałem o podróży, która zakończyła się w cztery dni. Zresztą sam dotarłem do Anglii bardzo szybko. Poza tym, wiatr wieje ku Anglii. Pan Pellworm najwyraźniej próbuje siać ferment, gdyż mnie powiedział dokładnie to samo.

Bez wątplenia pana Pellworma, podobnie jak wielu innych żeglarzy, cechuje pewna złośliwa tendencja do szerzenia strachu w sercach ludzi nie związanych z morzem. Z pewnością wieje też z północnego wschodu, ale proszę pamiętać, że nie wyszliśmy jeszcze ze Sleeve. Musimy okrążyć Skaw, a wiatr przez cały czas zmienia się na północny.

- Och, w istocie - rzekł Jagiełło z całkowitą obojętnością.

- Jako oficer kawalerii - ciągnął Stephen - zapewne nie docenia pan należycie wagi, kluczowej wagi wiatru we wszystkich kwestiach związanych z żeglugą. Ja również nie pojąłem tego w pełni, nawet mimo wielu lat spędzonych na morzu. Załóżmy, że owa moneta trzyszylingowa przedstawia Skaw, ów niebezpieczny przyrządek, który wygląda niewinnie, ale dla statków stanowi śmiertelne niebezpieczeństwo. - Z tymi słowami umieścił monetę po lewej stronie stołu, po czym ujął drugą i położył ją po prawej. - To z kolei niech będzie Göteborg po stronie szwedzkiej. Oddziela je przestrzeń jakichś dziesięciu mil morskich. Tu zaś znajduje się konwój, mający gdzieś za sobą lub za rufą, jak mawiamy, wyspę Lesso. Przedstawiać go będą te pensówki i półpensówki. Musi pan też wiedzieć, że dziób okrętu może zbliżyć się do linii wiatru na jedynie sześć rumbów bądź sześćdziesiąt siedem i pół stopnia i choć może się wydawać, że statek płynie bardzo blisko wiatru, tak naprawdę jego prawdziwy kurs jest całkiem inny. Istnieje bowiem znieawidzone przez

marynarzy zjawisko ruchu bocznego, zwane również dryfem. Stopień dryfu zależy od siły fal i całej masy innych czynników, lecz sądzę, że w tych okolicznościach wynosić on będzie dwa rumby. Oznacza to, że w praktyce poruszamy się pod kątem prostym do linii wiatru.

- A zatem wszystko w porządku - wykrzyknął Jagiełło. - Skoro wiatr wieje z północnego wschodu, okrążymy Skaw.

- Jak najbardziej - powiedział Stephen. - Lecz jeśli wiatr przesunie się o owe cztery rumby między północnym wschodem a północą i zacznie wiać z północy, wtedy drugie ramię kąta z całkowitą pewnością przesunie się odpowiednio na południe. Sam pan zauważy, że zetknie się ono z ziemią, jeśli tylko przesunie się o piętnaście stopni, a to o wiele mniej, niż wspomniane przeze mnie cztery rumby. Co więcej, panie Jagiełło, jeśli uda nam się minąć Skaw, pan Pellworm zapewnia, że wiatr przesunie się nieco ku zachodowi.

Istnieje nawet szansa, że zacznie wiać dokładnie z zachodu, czego się obawiamy, a przy tym przybierze na sile. W miarę jak wiatr przechodzi w wicherę, zwiększa się również dryf, o którym już mówiłem, a skoro trzeba będzie zwinąć lub sprzątnąć, jak to się mówi, marsie, szacujemy, że wyniesie on przynajmniej cztery rumby. Jeśli zaś zdołamy opłynąć przylądek Skaw, na naszej zawietrznej znajdzie się zatoka Jammer, w kierunku której będzie wiał

wiatr. My zaś nie będziemy już żeglować pod kątem prostym do jego linii. Kąt będzie wynosił już sto dwadzieścia stopni, dlatego też zacznie nas z wolna spychać ku wrogiemu brzegowi i jego śmiertelnemu przybojowi. Możemy rzucić kotwicę, lecz podczas wichury mało kto pokłada zaufanie w kotwicach.

Przy silnym naporze wiatru są one wleczone po dnie, a okręt kontynuuje wędrówkę ku brzegowi. Będziemy mieli mnóstwo czasu, by rozpaczać nad nieuchronnie nadchodzącym przeznaczeniem, niechybnie żałując niewykorzystanych przyjemności lub nawet szans na stanie się lepszym człowiekiem. Tak właśnie, panie Jagiełło, wygląda to, co pewien żeglarz, z którym odbywałem wspólną wędrówkę, nazywa obojętnym, nieczułym koszmarem zawietrznego brzegu. Nie ma co się dziwić, że kapitan Aubrey uważa, że dwadzieścia mil, które dzielą nas od brzegu, to o wiele za mało. Nic też dziwnego, że pan Pellworm, który widzi już statki ogromnego konwoju wraz z dwoma okrętami wojennymi bezradnie porzrucane po RAFACH zatoki Jammer, chciałby zmienić hals i uciec do Kungsbacka.

Przez pozostałą część nocy dwukrotnie słyszał, jak Jack wchodzi do swej kajuty i porusza się po niej bezszelestnie, upijając zawartość dzbanka z negusem lub szukając kawałka szwedzkiej bułki. Tuż po nastaniu świtu zapadł jednak w głęboki sen i ujrzał kapitana dopiero przy śniadaniu.

Na twarzy Aubreya, choć różowej i świeżo ogolonej, wypisane były trudy długiej, niespokojnej, bezsennej nocy. Był blady, a zjadał z prawdziwie wilczym apetytem.

- Och, jesteś, Stephen! - wykrzyknął. - Dzień dobry! Nie spodziewałem się, że cię już zastanę na nogach! Przykro mi, ale zjadłem wszystek bekon.

Zanim się zorientowałem, talerz był już pusty.

- Zawsze ta sama, kiepska wymówka - rzekł Stephen. - Mogę przynajmniej liczyć na choć odrobinę kawy?

- Gdybyś wcześniej pokazał nogę³⁹, ocaliłbyś swój bekon⁴⁰ - rzekł Jack.

- Ha, ha, ha! Stephen, słyszałeś? Ocaliłbyś swój bekon! Ależ miałem pomysł!

- Trudno o coś wspanialszego od spontanicznego poczucia humoru -

stwierdził Stephen, a po chwili przerwy spytał: - Powiedz mi lepiej, jak minęła noc. Jak wygląda sytuacja?

- Noc była ciężka, ale nie z takimi już walczyliśmy. Opłynęliśmy Skaw w połowie wachty środkowej, choć było blisko. W najlepszym razie zostało nam pięć mil przestrzeni morskiej w zapasie.

- Czyli opłynęliśmy ten przylądek? - powiedział Stephen, drapiąc się po swym trzydniowym zaroście. Wciąż był otumaniony po przebudzeniu z mocnego snu, a w jego umyśle trwało wspomnienie snu erotycznego, pierwszego, odkąd odnowił znajomość z Dianą. Siedział przy stole, wciąż niechlujny i nie umyty, nadal nie mogąc zebrać myśli, podczas gdy Jack nabierał

wigoru w związku z wydarzeniami dnia.

- Tak... I pędzimy naprzód pod pełnymi żaglami z przyzwoitą prędkością siedmiu węzłów. Wiatr wieje z północy ku wschodowi. Jak już wyjdiesz na pokład, na lewym trawersie ujrzysz Holmes w odległości sześciu lub siedmiu mil. Biedaczysko Maudsley musiał jednak zawrócić. Statki konwoju dryfowały na zawietrzną, tak więc cały konwój skierował się do Kungsbacka.

- Tylko mi, broń Boże, nie mów, że transportowce też zawróciły! Obeszły przylądek wraz z nami, tak?

- Oczywiście, że tak! Co ty sobie myślisz, Stephen? Jakże bym mógł

zostawić je w Sleeve? Może nie wyglądają najpiękniej, lecz są to dobre, posłuszne sterom statki i obeszły Skaw równie łatwo jak „Ariel”. Mają też doskonałych kapitanów. Mam zamiar zaprosić ich na obiad, gdy tylko pogoda się unormuje.

- A zatem zachodni wiatr zwiastowany przez pana Pellworma w ogóle się nie pojawił?

- Jak do tej pory ani widu, ani słyhu.

- A ja wczoraj opowiedziałam panu Jagielle o niebezpieczeństwach brzegu zawietrznego. Byłbyś doprawdy zdumiony, słysząc takie bogactwo szczegółów technicznych z moich ust. - Jack uśmiechnął się, a Stephen ciągnął:

- Myślę, że zaskoczyłaby cię precyzja mojego wywodu. Pochlebiam sobie, że nie znalazłbyś żadnego błędu w moim opisie ciągnącego się godzinami horroru statku uwięzionego przez brzeg zawietrzny.

- Jestem co do tego przekonany - z powagą powiedział Jack. - W tej sprawie nie mógłbyś przesadzić, nawet gdybyś chciał.

- Nie mam pojęcia, dlaczego w ogóle mu o tym opowiedziałem -

stwierdził Stephen, nabierając życia po wypiciu swej porannej kawy. - Chyba ogarnął mnie jakiś kapryśny nastrój, gdyż bez wątpienia kierowała mną złośliwość. Miałem szczerą nadzieję, że zepsuje mu to humor, że ogarnie go niepokój, a ta jego niekończąca się wesołość wreszcie zniknie. Chyba mi się udało, bo przedstawiłem mu całą prawdę i uczyniłem to z głębokim przekonaniem. Żałuję tego teraz.

- Nie przejmuj się tak bardzo. Jeśli go naprawdę przestraszyłeś, na pewno zdążył się uspokoić przez noc. Zanim zszedłem pod pokład, widziałem go, jak biegał po pokładzie, śmiejąc się przy tym do rozpuku.

- Cóż za artystyczny labirynt - powiedział Stephen, unosząc kawałek grzanki i wciąż myśląc o własnych reakcjach. - Lubię Jagiełłę i szanuję go, ale są chwile, kiedy jego młody wiek, energia, radość życia i uroda budzą we mnie niechęć. Bez wątpienia powoduje mną zazdrość, zwyczajna, podła, niktzemna, zzerająca mnie zazdrość. Mnie w młodości nie goniła żadna Uciecha Dżentelmenów, później zresztą również nie.

- Z całą pewnością to przemiły, młody człowiek ale na mój święty honor, doprawdy nie mam pojęcia, co też kobiety w nim widzą.

- To ostatnia grzanka, jak sądzę?

- Obawiam się, że tak - rzekł Jack. - Co więcej, obawiam się, że już więcej nie będzie, dopóki nie dotrzemy do Downs.

- A wiesz, kiedy to nastąpi?

- Nie jesteśmy już uwiązani do tych powolnych kryp w konwoju, jeśli więc utrzyma się ten wiatr, podróż zabierze nam jedynie kilka dni. Nie mogę jednak ręczyć za ten wiatr. Pogoda nie może się wyklarować, a słupek rtęci w barometrze skacze w górę i w dół. Być może czeka nas jeszcze sztorm, którym straszy nas Pellworm. Tak czy owak, jeśli wiatr nie skręci zanadto na południowy zachód, możemy dotrzeć na Broad Fourteens⁴¹ w czwartek, a potem ruszyć z dogodnym prądem pływowym przez kanał La Manche. - Pogoda w istocie nie mogła się wyklarować i nadal była chaotyczna i nieprzewidywalna.

Ze wszystkich kierunków, od północnego zachodu do północnego wschodu, uderzały najróżniejsze wiatry, od lekkich podmuchów aż po wichry wymagające refowania marsli, nierzadko przynosząc ze sobą deszcz i gwałtowniejsze fale.

Jedyną korzyścią takich warunków pogodowych było to, że kataloński pułkownik spędzał większość czasu w kajucie, lecz Jack odnalazł nowe powody do zmartwień. Po pierwsze, dręczyło go to, że nie może zrealizować swego zamiaru i zaprosić kapitanów transportowców. Wszyscy oni byli

podstarzałymi porucznikami, którzy nie mieli tylu wpływów bądź szczęścia w boju, by uzyskać awans, ale swe jednostki prowadzili z podziwianą przez niego wprawą i chwilę, gdy wstrzymywały „Ariela”, doprawdy należały do rzadkości. Po drugie, musiał przygotować się na rozliczne trudności, oczekujące go przy skomplikowanym wejściu na wody Morza Północnego, wśród których mógł

wymienić choćby nieregularne skoki kompasu, brak możliwości prowadzenia obserwacji oraz brak chronometru. Tym oto sposobem rejs, który z początku miał być zwykłą rutynową przeprawą przerodził się w długotrwały, nerwowy test nawigacji opartej na instynkcie, w którym każdy błąd w szacunkach mógł

się dla nich skończyć tragicznie. Przez większość czasu niebo pozostawało zasłonięte chmurami, a szare fale nie pomagały w odnalezieniu pozycji, lecz na szczęście Jack nie musiał polegać tylko na instynkcie. Płynęli bowiem przez płytkie morze, którego dno było mozaiką najrozmaitszych kolorów i Jack przez cały czas kazał rzucać sondę. Na nawietrznej ławce wantowej grota dzień i noc tkwił jakiś przemoczony, nieszczęśliwy marynarz, wykrzykując głębokość dna, a Jack wraz z Pellwormem oraz Grimmondem bez przerwy badali to, co przykleiło się do smoły, którą wysmarowana była sonda. Czasami był to szary piasek, czasami jasny z muszlami, szlam, gruby żwir lub gruby piach z małymi, czarnymi kamykami. Poszczególne odcienie owej mozaiki ciągnęły się jednak przez wiele mil, a każdy z nich inaczej je tłumaczył, tak więc dochodziło do częstych kłótni między pilotem i nawigatorem. Kilkakrotnie Jack czuł pokusę, by zapytać o drogę licznych holenderskich i angielskich rybaków, którzy poławiali wśród tych niebezpiecznych ławic na swoich płaskodennych doggerach⁴², skutach, buzach⁴³, howkerach⁴⁴ a nawet bugaletach⁴⁵. Dzięki owym rybakom rejs „Ariela” stał się jeszcze bardziej stresującym przeżyciem, gdyż mieli oni w zwyczaju usuwać się sprzed dziobu okrętu dopiero w ostatniej chwili. Nie wywieszali też żadnych świateł, przez co czasami też wyłaniali się niespodziewanie z ciemności, zmuszając „Ariela” do nagłych manewrów.

Podobnie jak większość angielskich kapitanów Jack nigdy nie zwracał uwagi na rybaków bez względu na ich narodowość, dlatego dwukrotnie usłyszał donośne głosy Holendrów, wściekłych za poplątanie linek ich wędek i wyzywających go od przeklętych sukinsynów. Jeśli zaś chodzi o zegarek Stephena, było to eleganckie cacko, doskonale nadające się do mierzenia pulsu, lecz całkowicie zawodne w nawigacji - wedle jego wskazań okręt powinien znajdować się dziesięć mil za ławicą Galloper w chwili, gdy na ciemniejącym, zachodnim niebie dostrzeżono dopiero zapalone światła na latarniowcu, który ostrzegał

przed ławicą. - Mam nadzieję, że Bóg nie da nam wjechać na Goodwin⁴⁶ - rzekł

Jack, gdy „Ariel” wyostrzył do wiatru i skierował się na głęboki kanał.

Transportowce uczyniły to samo.

- Och, sir - rzekł Grimmond, który nigdy nie spodziewał się żartów ze strony tak wielkiej, wyniosłej postaci. - Przecież ta ławica leży za daleko na południe stąd.

Los oszczędził im spotkania z ławicą Goodwin, przepłynęli też z dala od Haddock Bank, Leman, Ower i Outer Dowsing, a gdy ostatecznie wpłynęli na Downs, nastał akurat pierwszy pogodny poranek tego tygodnia. Dopisywało im szczęście, gdyż reda była wprost zatłoczona statkami -

ZATRZYMYWAŁY się tam wielkie konwoje z Indii Wschodnich i ZACHODNICH, z Morza Śródziemnego oraz wybrzeża Gwinei - i gdyby utrzymała się tak niekorzystna pogoda, przepłynięcie wśród tych wszystkich flot mogłoby się okazać prawdziwym problemem. Pomimo pomyślnych wiatrów niewiele statków handlowych decydowało się na samodzielny rejs, gdyż przy wejściu do La Manche od strony Atlantyku bardzo aktywni byli Francuzi, a jeśli wierzyć plotkom, przy Land's End czyhały dwie amerykańskie fregaty.

„Ariel” zatrzymał się jedynie na krótką chwilę, by przywołać łódź z Deal i wyprowadzić Pellworma na ląd. Przechodząc przez burzę, pilot powiedział:

- Niech pan pamięta moje słowa, sir. Niech pan nie zapomina, co powiedziałem. Jeszcze powieje z zachodu, obojętnie, co sobie myśli pan Grimmond. Wicher nadejdzie, zapewniam pana, a im dłużej będziecie czekać, tym będzie silniejszy. - Zszedł trzy stopnie i zatrzymał się z twarzą tuż na wysokości relingu. - „Ziemia jęczy po brzegi mórz, wstrząsana konwulsjami, a zatrwożona natura kuli się przed straszliwymi rykami”⁴⁷ - powiedział i przez moment patrzył na kapitana znaczącym wzrokiem człowieka, który wszystko wie najlepiej, po czym zniknął.

Oficerowie na pokładzie rufowym zmarszczyli brwi. Pellworm może i był

starym, cenionym pilotem, ale w swoich ostatnich słowach pozwolił sobie na zbyt wiele. Nikt nie miał prawa odzywać się tym tonem do kapitana.

- Grotmarsel na wiatr - rozkazał Jack silnym głosem, z którego przebijało niezadowolenie. - Cieszę się, że pozbyliśmy się Pellworma - powiedział na boku do

Stephena. - To doprawdy doskonały pilot, ale za dużo gada. Poezja nie zawsze nadaje się na pokład rufowy okrętu wojennego, zwłaszcza poezja na ten temat. Takie słowa mogą zasiać niepokój wśród marynarzy.

Takie słowa mogłyby jednakże okazać się prawdziwe. W pogodnym, słonecznym niebie kryło się coś nieprzyjemnego i choć wszystko wskazywało na to, że wiatr ustalił się jako północnowschodni, Jack nie zamierzał tracić ani jednego podmuchu i uparł się przemknąć przez La Manche pod pełnymi żaglami, aż będzie mógł okrążyć wyspy Ushant w odpowiedniej odległości.

Szkoda było mu czasu nawet na kupowanie świeżych zapasów od handlarzy portowych, którzy w tym czasie zdążyli już okrążyć okręt.

- Nie jesteśmy tu po to, by napychać brzuszyska lobsouse⁴⁸ czy figgydowdy⁴⁹ - stwierdził zdecydowanym tonem - lecz po to, by jak najszybciej przewieźć katalońskie oddziały do Santandero, nie tracąc przy tym ani minuty.

Do tego czasu wystarczy nam suszony groch.

Tak więc niewielki konwój wyruszył z odpływem na południowy wschód, gnany mocnym wiatrem i świadomością upływającego szybko czasu.

Korzystny wiatr w kanale La Manche nie był częstym zjawiskiem.

Niejednokrotnie wcześniej Jack musiał rzucać kotwicę i czekać na przypływ, a potem bezustannie halsować pod wiatr tylko po to, by wygrać kilka mil, a potem znów zostać zepchniętym. Bywało, że mijały całe tygodnie, nim wypłynął na Atlantyk, lecz tym razem dobrze znane widoki przesuwały się wzdłuż burt ze sporą prędkością. Minęli South Foreland, Dungeness i Fairly, a potem zamigotały klify Beachy Head, przesłonięte ścianą deszczu. Za nimi unosiła się ogromna, wręcz materialna, błękitnoczarna chmura. Późnym wieczorem ich oczom ukazała się wyspa Wight na prawo od dziobu. Jack wspiał się wówczas na mars bezanmasztu z lunetą w rękę i nim na zachodzie zniknęły resztki zielonego światła, odniósł wrażenie, że widzi odbicie światła na swej kopule obserwacyjnej przy rezydencji Ashgrove. Przyglądał mu się z osobliwym uczuciem, zupełnie jakby patrzył na inny świat, bardziej dlań teraz odległy, niż gdyby znalazł się na antypodach.

Wiatr przybrał na sile po zachodzie słońca i widząc, że niechybnie zanosi się na burzę, Jack nakazał zdjąć bramstengi, zrefować marsie i poczynić inne przygotowania przedsztormowe. Załoga uszykowała nawet talie zabezpieczające oraz opatrunki dla uszkodzonych drzewc. Płótno sztormowe było już założone od chwili znalezienia się u brzegów Jutlandii. W międzyczasie minęli już Start, jakby zamierzali wystrzelić z kanału La Manche, nie zmieniając ani razu kursu i dotrzeć do wybrzeży hiszpańskich do końca tygodnia, co byłoby wspaniałym uwieńczeniem dla tak niezwyklej misji.

Ranek raz jeszcze okazał się dość pogodny, nawet mimo tego, że noc była deszczowa, a z południowego zachodu, w kierunku przeciwnym do wiatru oraz prądu pływowego, nacierały ciężkie fale, które ciskały zielonymi bryzgami nad dziobem „Ariela”. Minęli Eddystone wraz z Rame Head oraz kryjącym się za nim, przypominającym niemal dom rodzinny wejściem do Plymouth. Potem przemknęli obok Dodman, a szczęście opuściło ich dopiero w połowie drogi między Dodman i Lizard. Jedynym ostrzeżeniem były trzy czarne szkwały, które opadły okręt w niewielkich odstępach czasu - wiatr błyskawicznie zmienił

kierunek na zachodni i uderzył prosto w dziób „Ariela”, przynosząc ze sobą bardzo gwałtowną ulewę.

- O mały włos by się udało - stwierdził Jack. - Jeszcze godzina i ruszyłbym na południe. To ci dopiero byłby szybki rejs! Narzekanie jednak w niczym nie pomoże. Cieszymy się tym, że tym razem mamy dobrych kilkaset mil na zawietrznej.

Zapiął szczelnie zydwestkę pod brodą, nakazał Stephenowi zamocować wszystkie sprzęty w kajucie i powrócił na sphywający potokami deszczu pokład.

- Co się dzieje? - spytał Jagiełło.

- Kolejny zdradziecki przyłodek - odparł Stephen. - Nazywa się Ushant, a my musimy go okrążyć lub obejść od nawietrznej, jak mawiamy, by ostatecznie opuścić kanał La Manche i dopłynąć do brzegów Zatoki Biskajskiej.

- Zdecydowanie za dużo tych przyłódek na morzu - stwierdził Jagiełło. -

Ach, dajcie mi konia!

Jack zdążył już doskonale poznać „Ariela” i wiedział, że jest to wielce udany, zwinny, posłuszny sterom okręciak. Co więcej, przepadał za tego rodzaju żegluga - uwielbiał prowadzić mocną, dobrze zbudowaną jednostką wśród gwałtownej burzy, wykorzystując każdy moment osłabnięcia siły wiatru, każdą falę czy prąd pływowy w walce o utrzymanie swej pozycji na nawietrznej.

Dysponował dobrymi oficerami, odpowiednią załogą oraz należycie wyregulowanym instrumentem, a poza tym cieszył się, że nie ma teraz czasu na jakiegokolwiek rozmyślenia. Widok domu rodzinnego przypominał mu bowiem o oczekujących tarapatkach, a w jego umyśle aż zakotłowało się od niespokojnych myśli. Znowu rozpamiętywał Amandę Smith oraz komplikacje prawne, znowu walczył z wyrzutami sumienia, znowu miał wizję rychłego kryzysu małżeńskiego i wielce prawdopodobnej katastrofy swego majątku. Nakazał mocno zrefować żagle „Ariela”, by nie PRZEŚCIGNĄĆ transportowców, których ładunek bez wątpienia przedstawiał teraz obraz nędzy i rozpacz - oczyma wyobraźni widział setki cierpiących na chorobę morską żołnierzy pod pokładem - lecz na razie warunki pozwoliłyby na pozostawienie większej ilości żagli. Wokół okrętu unosiły się już czarne petrele sztormowe, ale wiatr nie osiągnął jeszcze siły prawdziwej wichury i, pomimo gwałtownych fal na lewej burcie, Jack był

przekonany, że zyskał już pół rumba. Jedyne problem stanowiła teraz nieprzenikniona warstwa chmur na niebie. Nie było najmniejszych szans na przeprowadzenie obserwacji słońca ani dziś, ani jutro, ani w ciągu kilku najbliższych dni.

Przed zapadnięciem ciemności minęli liniowiec oraz dwie fregaty, płynące na przeciwnym halsie w kierunku blokady Brestu. Były to „Achilles”,

„Euterpe” oraz „Boadicea”. Okręty wywiesiły swe numery, sygnały osobiste oraz pozdrowienia. Jack długo odprowadzał je wzrokiem, zwłaszcza

„Boadiceę”. Dowodził niegdyś tą pękata, wygodną, być może nieco powolną, ale godną zaufania fregatą na Oceanie Indyjskim i zachował dla niej sporo sentymentu. Wdrapał się na lawetę karonady, oplótł ramionami sztag i, nie zważając na ulewny deszcz oraz bryzgi wody, siekące go po plecach, patrzył, jak postawiwszy wszystkie możliwe żagle, próbuje nadażyć za szybkim

„Achillesem”. Dowodził nią teraz kapitan Mitchell, który kazał dobudować żelazne szlupbelki na rufie i postawić dodatkową parę karonad na pokładzie rufowym, ale pozostawił pierwotne malowanie, w prawdziwą nelsonską kratę.

Jej sposób żeglowania również się nie zmienił - fregata unosiła się osobliwie lekko, jakby z wahaniem, przed przyjęciem kolejnej wysokiej fali na burtę. nie zmienił kierunku na zachodni i uderzył prosto w dziób „Ariela”, przynosząc ze sobą bardzo gwałtowną ulewę.

- O mały włos by się udało - stwierdził Jack. - Jeszcze godzina i ruszyłbym na południe. To ci dopiero byłby szybki rejs! Narzekanie jednak w niczym nie pomoże. Cieszymy się tym, że tym razem mamy dobrych kilkaset mil na zawietrznej.

Zapiął szczelnie zydwestkę pod brodą nakazał Stephenowi zamocować wszystkie sprzęty w kajucie i powrócił na spływający potokami deszczu pokład.

- Co się dzieje? - spytał Jagiełło.

- Kolejny zdradziecki przyłodek - odparł Stephen. - Nazywa się Ushant, a my musimy go okrążyć lub obejść od nawietrznej, jak mawiamy, by ostatecznie opuścić kanał La Manche i dopłynąć do brzegów Zatoki Biskajskiej.

- Zdecydowanie za dużo tych przyłodków na morzu - stwierdził Jagiełło. -

Ach, dajcie mi konia!

Jack zdążył już doskonale poznać „Ariela” i wiedział, że jest to wielce udany, zwinny, posłuszny sterom okręciak. Co więcej, przepadał za tego rodzaju żegluga - uwielbiał prowadzić mocną dobrze zbudowaną jednostką pośród gwałtownej burzy, wykorzystując każdy moment osłabnięcia siły wiatru, każdą falę czy prąd pływowy w walce o utrzymanie swej pozycji na nawietrznej.

Dysponował dobrymi oficerami, odpowiednią załogą oraz należycie wyregulowanym instrumentem, a poza tym cieszył się, że nie ma teraz czasu na jakiegokolwiek rozmyślenia. Widok domu rodzinnego przypominał mu bowiem o oczekujących tarapatkach, a w jego umyśle aż zakotłowało się od niespokojnych myśli. Znowu rozpamiętywał Amandę Smith oraz komplikacje prawne, znowu walczył z wyrzutami sumienia, znowu miał wizję rychłego kryzysu małżeńskiego i wielce prawdopodobnej katastrofy swego MAJĄTKU. Nakazał mocno zrefować żagle „Ariela”, by nie prześcignąć transportowców, których ładunek bez wątpienia przedstawiał teraz obraz nędzy i rozpacz - oczyma wyobraźni widział setki cierpiących na chorobę morską żołnierzy pod pokładem - lecz na razie warunki pozwoliłyby na pozostawienie większej ilości żagli. Wokół okrętu unosiły się już czarne petrele sztormowe, ale wiatr nie osiągnął jeszcze siły prawdziwej wichury i, pomimo gwałtownych fal na lewej burcie, Jack był

przekonany, że zyskał już pół rumba. Jedyne problem stanowiła teraz nieprzenikniona warstwa chmur na niebie. Nie było najmniejszych szans na przeprowadzenie obserwacji słońca ani dziś, ani jutro, ani w ciągu kilku najbliższych dni.

Przed zapadnięciem ciemności minęli liniowiec oraz dwie fregaty, płynące na przeciwnym halsie w kierunku blokady Brestu. Były to „Achilles”,

„Euterpe” oraz „Boadicea”. Okręty wywiesiły swe numery, sygnały osobiste oraz pozdrowienia. Jack długo odprowadzał je wzrokiem, zwłaszcza

„Boadiceę”. Dowodził niegdyś tą pękatą, wygodną, być może nieco powolną, ale godną zaufania fregatą na Oceanie Indyjskim i zachował dla niej sporo sentymentu. Wdrapał się na lawetę karonady, oplótł ramionami sztag i, nie zważając na ulewny deszcz oraz bryzgi wody, siekące go po plecach, patrzył, jak postawiwszy wszystkie możliwe żagle, próbuje nadażyć za szybkim

„Achillesem”. Dowodził nią teraz kapitan Mitchell, który kazał dobudować żelazne szlupbelki na rufie i postawić dodatkową parę karonad na pokładzie rufowym, ale pozostawił pierwotne malowanie, w prawdziwą nelsonską kratę.

Jej sposób żeglowania również się nie zmienił - fregata unosiła się osobliwie lekko, jakby z wahaniem, przed przyjęciem kolejnej wysokiej fali na burzę.

- Na miejscu Mitchella nie pędziłbym tak - stwierdził. - Festino lento50, jak to mówi Stephen. W taką noc niech Bóg ma w opiece dywizjon blokujący Brest - dodał, przypomniawszy sobie dni, które spędził, manewrując przy Black Rocks, Camaret i wzdłuż skalistego wybrzeża Bretanii.

Wkrótce opadł ich kolejny szkwał, który tym razem nadszedł bardziej z południa, a potem zapadł zmrok i nastąpiła czarna noc. Strugi deszczu i słonej wody połyskiwały w blasku światełek naktuzi i lamp rufowych, które były jedynym źródłem światła w otaczających okręt ciemnościach. „Ariel” zaś parł

bejdewindem przez mrok ku Lizard, widoczny jedynie dzięki białej pianie wokół dziobu.

Rutyna życia na okręcie przebiegła oczywiście bez zakłóceń. Niewyraźne w ciemnościach sylwetki, łapiąc się kurczowo linek sztormowych, zwolniły swych trzymających wachtę kolegów, a także sternika i obserwatorów na oku.

Ktoś uderzył w dzwon okrętowy, ktoś inny cisnął log, a jego kolega zapisał

wynik, pochylając się nad składaną tabliczką na trapiku. Po godzinie, gdy Jack oszacował, że Lizard znajduje się na prawo od dziobu w odległości pięciu mil morskich, rozkazał zapalić sygnał dla transportowców, nakazując im wykonać zwrot w ślad za „Arielem”. Następnie zmienił hals i podszedł ostrzej do wiatru.

Przyjrzał się wykonującym kolejno zwrot transportowcom i upewnił się, że wszystkie są w dobrym stanie. Widział je teraz jako rozciągnięty szereg światełek, zmierzający na południe kursem, którym przy odrobinie szczęścia ominęliby Ushant i weszli na wody Zatoki Biskajskiej. Następnie zszedł pod pokład, pozostawiając okręt pod dowództwem Fentona. Młody porucznik być może nie był geniuszem, lecz udowodnił już, że zasługuje na miano odpowiedzialnego, godnego zaufania oficera. Sytuacja zresztą była opanowana i nie wymagała interwencji oficera o niezwykłych zdolnościach - silny wiatr zachodni nie był niczym niecodziennym przy wejściu do kanału, nawet jeśli towarzyszyła mu silna ulewa.

- Jak minęła noc? - znów zapytał Stephen.

- Och - rzekł Jack, pryskając dookoła wodą. - Jest dość mokro, ale jeśli to właśnie owa burza, o której głądził Pellworm, to niepotrzebnie nas straszyl.

Wiatr pozwoliłby nawet na postawienie marsli, gdybyśmy chcieli, a ziemia jakoś nie jęczy, wstrząsana konwulsjami. Jakiś czas temu wykonaliśmy zwrot i płyniemy teraz bejdewindem na prawym halsie.

- Sądzisz, że przejdziemy bez przeszkód obok Ushant?

- Niewykluczone, o ile wiatr będzie wiał nieprzerwanie z zachodu.

Obawiam się jednak, że skręci o rumb czy dwa, a wtedy będziemy musieli umknąć ku wyspom Scilly, by móc kontynuować rejs na zachód. Wszystko się okaże rankiem - wyjaśnił Jack, ściągając mokre odzienie i rozwieszając je na kołyszącym się fotelu.

- O ile przeżyjemy - rzekł Stephen. - Strasznie ryczy ten wiatr, a wilgoć przenika do wnętrza.

- To tylko efekt naporu fal. Wydaje mi się, że koło Azorów sztorm szaleje na całego, lecz tutaj to błahostka. Siły wichru starczy ledwie na to, by pasażerowie poczuli mdłości, a nasz dryf zwiększył się może o jeden rumb.

Jack ziewnął, dodał, że słupek rtęci się podnosi, powtórzył, że wszystko okaże się jutro, po czym natychmiast zapadł w sen.

Okazało się jednak, że tym razem kapitan prorokował zbyt wcześnie.

Rankiem następnego dnia, miast jakichkolwiek rozstrzygnięć, pojawiło się jeszcze więcej deszczu, jeszcze więcej bryzgów i jeszcze więcej pyłu wodnego, zrywanego z grzbietów fal. Wąski horyzont wyłaniał się to tu, to tam spomiędzy wysokich, nastroszonych fal. Za rufą majaczyły niewyraźne kształty transportowców, wciąż podążających w równej linii za „Arielem”. Na niebie nie było ani śladu słońca, a różnice w zliczeniu pozycji wynosiły aż czterdzieści mil.

Znów zmienili hals i ruszyli na północ pomimo wzburzonych żywiołów.

Ten dzień i następująca po nim noc były dokładnymi kalkami ich wcześniejszych przeżyć. Pogoda nie była wcale wiele gorsza od tej, której należało się spodziewać na akwenach na zachód od La Manche i ludzie nawykli do morza przyjmowali ją z obojętnością lecz dla szczerów lądowych oznaczała ona niekończącą się udrękę, pełną niezrozumiałych odgłosów i niepojętych działań marynarzy. Wielu z nich zaczęło ją również utożsamiać z chorobą morską. Powiedziano im przecież, że Ushant dzieli od wysp Scilly zaledwie trzydzieści mil morskich i wydawało im się, że przemierzyli już każdą z tych mil po kilka razy z krótkimi przerwami na pospiesznie przygotowane, niedbale podane posiłki. W końcu znużenie pokonało przerażenie, które odzywało się już tylko czasami, gdy okręt wychylał się szczególnie gwałtownie na zawietrzną i ludzie przewracali się na pokład. Nawet Jagiełło popadł w swego rodzaju posępne odrętwienie. Oba luki zostały już dawno zapieczętowane, do wnętrza okrętu dostawało się sporo wody napierającej na burty, a docierało bardzo niewiele świeżego powietrza. Gwizdki bosmańskie już dawno nakazały rozwinięcie hamaków, a z uwagi na to, że dla ciężko harującej załogi jedynym sposobem na zmycie potu był deszcz - na niedostępnym teraz pokładzie stały co prawda cebry z wodą, ale i tak można by umyć w nich jedynie twarz i ręce - oni sami oraz ich wilgotne, ciasno rozwieszane hamaki napełniły niewietrzoną przeSTRZEŃ między pokładami mocnym, przenikającym wszystKO, stęchłym odorem mięsożerców. Był to zapach o wiele gorszy od smrodu wydzielanego przez roślinożerne TORBACZE, które Stephen zabrał z Nowej Holandii podCZAS poprzedniego rejsu. On sam jednak już dawno zdąŻYŁ się do tego przyzwyczaić. Smród ludzkich ciał podCZAS sztormu towarzyszył mu bowiem od pierwszych dni SŁUŻBY w Royal Navy.

Rzadko kiedy widywał Jacka Aubreya, lecz za każdym razem jego przyjaciel okazywał się nieodmiennie radosny i na ogół głodny. Raz oznajmił, że korzystna zmiana wiatru przesunęła ich na zachód od wysp Scilly, innym razem powiedział, że błysnięcie jakiejś gwiazdy upewniło go w

przekonaniu, iż kolejna zmiana halsu wyjdzie im na dobre, lecz większość swego czasu pod pokładem spędzał pogrążony we śnie.

Położył się spać po zjedzeniu bardzo późnego, złożonego z odpadków obiadu, a ze snu wyrwał go midszypmen sygnalista, wysoki chudzielec o ciemnych włosach i wielkim poczuciu obowiązku.

- Pan Grimmond chciałby przekazać, że widać dwa żagle na nawietrznej, jeden to „Jason”, a drugi francuski dwupokładowiec - wyrzucił z siebie bez chwili zwłoki głosem trzęsącym się z podniecenia.

- Bardzo dobrze, panie Meares. Zaraz udam się na pokład. W

międzyczasie proszę przygotować nasz numer oraz sygnał osobisty, ale najpierw niech pan mi poda moją zydwestkę.

Na pokładzie wszyscy ludzie patrzyli na nawietrzną, próbując przebić wzrokiem szczególnie ulewny deszcz. Przez chwilę Jack niczego nie widział, lecz wkrótce ulewa przeszła nad okrętem i widoczność zaczęła się poprawiać.

Dostrzegł wówczas oba okręty na ćwiartce lewej burty. Pędziły na południowy wschód z wiatrem z zachodu, skąpane w białych kłębach dymu armatniego.

Sytuacja strategiczna nie budziła wątpliwości. Okręt francuski bez wątpienia uciekał w stronę Brestu, a „Jason” usiłował go dogonić, choć nie było żadnej gwarancji, że zdoła tego dokonać. Oba okręty dzieliła odległość dwóch mil, a zatem zbyt wiele, by ogień dziobowych pościgówek „Jasona” zdołał

uszkodzić takielunek Francuza i zredukować mu prędkość. Co więcej, kapitan brytyjskiej jednostki, płynącej teraz w kilwaterze ściganego, postawił już wszystkie żagle możliwe przy tej pogodzie, a przypuszczalnie nawet i więcej, podczas gdy Francuz nadal miał refty na marsłach. Jediną nadzieją Brytyjczyka było zapędzenie ściganego na inny krążownik lub na dywizjon blokujący port. „Ariel” nie wypełniał misji krążowniczej, zresztą w żadnym wypadku nie można by go nazwać krążownikiem wobec okrętów linowych, lecz gdyby Jack zdecydował się postawić więcej żagli i wykonać nagły skręt na południowy wschód, późnym popołudniem przecięłby linię między Brestem a francuską jednostką i być może zatrzymałby go wystarczająco długo, by „Jason” zdołał się zbliżyć. Z drugiej strony, miał wyraźne rozkazy i transportowce pod swą opieką.

- „Jason” sygnalizuje, sir - powiedział Meares z lunetą przy oku. -

„Nieprzyjaciel w zasięgu wzroku”. Podaje też położenie. - Jack uśmiechnął się.

Widział już w swoim życiu wiele idiotycznych sygnałów, ale mało który mógł

się równać temu. - Znów sygnalizuje, sir. „Przejsć na prawy hals”. „Rozpocząć pościg na południowy wschód”.

- Potwierdzić odczytanie - rozkazał Jack.

- Kolejny sygnał, sir. „Postawić więcej żagli”.

W tej samej chwili na odległej o pięć mil zawietrznej ćwiartce rufowej

„Jasona” pojawił się obłoczek dymu - okręt podkreślił swój rozkaz wystrzałem z działa.

Jack znów się uśmiechnął. Middleton, który teraz doWODZIŁ

„Jasonem”, zawsze należał do ludzi bardzo gadatliwych, lecz przecież był

niższy od niego rangą. Zdawał sobie sprawę, że dowódca „Jasona” nie może o tym wiedzieć - nie przysłoby przecież mu do głowy, że „Arielem”, który jest przecież słupem, dowodzi kapitan mianowany - ale w rzeczy samej Jo Middleton nie miał prawa wydawać mu rozkazów. Nie była to jednak odpowiednia pora na formalności, bo nadszedł czas na podjęcie decyzji, błyskawicznej decyzji. Jeśli miał się włączyć do pościgu, musiał uczynić to teraz. Przy tak wzburzonym morzu „Ariel” nie był w stanie doścignąć francuskiego dwupokładowca i gdyby chciał przeciąć mu drogę przed zapadnięciem zmroku lub choćby podejść na odległość celnej salwy karonad, mających przecież niewielki zasięg, nie mógł stracić ani kabla posiadanej przewagi. Francuz zresztą już znalazł się na skraju zasięgu słupa.

Myśli te przemykały z wielką prędkością przez umysł Jacka, podświadomie szacującego już kurs oraz prędkość obu okrętów, siłę wiatru południowozachodniego, zapach morza oraz możliwości udanej interwencji, a decyzja wykrystalizowała się, jeszcze nim dotarł do niego odległy łoskot działa

„Jasona”. Żałował tylko tego, iż nie będzie już w stanie odesłać Stephena oraz pułkownika d’Ullastreta na transportowce.

- Cała załoga do zwrotu! - rozkazał. Jego słowa spotkały się z zadowoleniem i aprobatą pokładu rufowego. Tu i ówdzie dostrzegł, jak ludzie kiwają głowami i wymieniają uśmiechy. Decydując się na wzięcie udziału w pościgu, nie kierował się co prawda tym, że spełni oczekiwania swych młodych oficerów, lecz mimo tego cieszył się, że sprawił im radość. Sięgnął po kompas azymutowy, dokładnie odczytał położenie obu jednostek, po czym oznajmił: -

Panie Meares, proszę sygnalizować na „Jasona”: „Kurs południe dwadzieścia siedem wschód”. Następnie kodem alfabetycznym: „Aubrey”. Potem wywiesi pan kolejny sygnał, którego proszę nie zdejmować: „Nieprzyjaciel w polu widzenia. Ruszam w pościg na południowy zachód”. - Sygnał tej treści powinien uciąć gadaninę Middletona, lecz, co ważniejsze, mógł również wygrać dla niego około pół mili. Istniało bowiem spore prawdopodobieństwo, iż Francuz odczyta sygnał, a widok „Ariela”, który wychodzi z szyku liniowego i rusza w jego kierunku, tak czy owak prawie na pewno zmusi go do zmiany kursu i żeglowania przez chwilę bardziej na południe. Z tej odległości i przy tej widoczności „Ariel”, choć z pewnością okręt jednopokładowy, mógł się Francuzom wydać fregatą, a nawet ciężką fregatą, a gdyby jego sygnał do sojuszników skrytych za horyzontem okazał się prawdą, mógł ściągnąć połowę dywizjonu prowadzącego blokadę. - Panie Grimmond, proszę ustawić okręt przy zawietrznej burcie „Mirzy”. - „Mirza” był transportowcem, którym dowodził

oficer najwyższy stopniem. Gdy grotmarsel został już ustawiony na pracę wstecz, Jack ujął tubę

głosową i ryknął przez wiatr: - Panie Smithson, punkt zborny na prądzie Bordeaux! Jeśli się tam nie zjawię, stawi się pan u najstarszego stopniem oficera w Santandero! Niech pan nie forsuje statku i uważa na reje! Żadnych bombramsli czy kliwrów!

- O nas niech się pan nie boi, sir! - zawołał Smithson, machając do niego zdrową prawą ręką. - Powodzenia!

Załogi transportowców doskonale wiedziały, co się święci i pożegnały opuszczającego szyk „Ariela” serdecznymi wiwatami.

- Kurs południowowschodni ku wschodowi - rzucił Jack, wpatrując się we francuski okręt przez lunetę. - Zrzucić refy fokmarsła.

Wśród bryzgów i tumanów pyłu dostrzegł jakieś poruSZENIE na pokładzie ściganej jednostki. Zgodnie z jego OCZEKIWANIAMi Francuzi podbrasowali żagle i skierowali się bardziej na południe, uciekając przed nowym, być MOŻE poważnym niebezpieczeństwem na północnym WSCHODZIE. Mieli teraz wiatr przed trawersem.

„Mimo tego i tak mamy mizerne szanse” - pomyślał, przyglądając się białym żaglom pod nisko wiszącymi, SZARYMI chmurami. Ścigany okręt płynął zapewne z prędkością dziewięciu, może nawet dziesięciu węzłów i jeśli nie zdoła przejść mu przed dziobem, a przepłynie za rufą jego interwencja nie na wiele się zda, a może nawet źle się dla „Ariela” skończyć.

- Panie Meares - rzekł. - Bądź pan taki dobry i poproś „Jasona” o podanie pozycji, a potem powtórz ją pan transportowcom.

Nastąpiła długa przerwa, wywołana częściowo trudnościami z dostrzeżeniem flag z odległości pięciu mil przy mgłach, deszczu i kiepskiej widoczności, a częściowo wahaniem na pokładzie „Jasona”.

- „Ostatni pomiar trzy dni temu” - odczytał w końcu Meares. -

„Oszacowana pozycja 49°27’N, 7°10’W. Chronometr: siedemnasta dwadzieścia osiem”.

Różnica między czasem na pokładzie „Jasona” a czasem wskazanym przez zegarek Stephena okazała się całkiem spora. Jack znów się uśmiechnął.

Middleton nie potrafił podejść do kwestii związanych z żeglarstwem w sposób naukowy, a jego koncepcja bitwy morskiej sprowadzała się do ostrzelania przeciwnika i ruszenia nań abordażem, lecz ani on, ani jego nawigator nie mogli się wiele pomylić co do długości geograficznej. Oznaczało to, że Francuz nie ma szans dotrzeć z tym wiatrem do La Rochelle. Pozostawały mu więc Brest lub Lorient, chyba że zdecyduje się dotrzeć do Cherbourga, przedzierając się przy tym przez kanał La Manche, pełen angielskich dywizjonów.

„Niezły okręt” - pomyślał, przyglądając mu się nad falami oceanu. W

istocie, choć Francuz płynął ostrym bejdewindem, odrzucał ogromną falę dziobową, sięgającą do połowy wysokości burty. Skoro „Ariel” miał go wyprzedzić na tyle, by mieć wystarczająco dużo

miejsca i czasu na manewry, Jack musiał postawić więcej żagli, a okręt tak niewielkich rozmiarów rozpaczliwie potrzebował i jednego, i drugiego, jeśli miał wyrządzić jakąkolwiek krzywdę okrętowi uzbrojonemu w siedemdziesiąt cztery działa.

- Proszę wezwać bosmana - rzekł, a kiedy ten przybiegł z dziobu na rufę, ociekając wodą, oznajmił: - Panie Graves, proszę możliwie najszybciej wciągnąć lekkie cumy na topy masztów.

- Cумы na topy masztów? - wykrzyknął zdumiony bosman.

- Tak, panie Graves - rzekł z zadowoleniem Jack i nachylił się, gdy znad nawietrznego relingu uderzyła potężna fala. - Chciałbym, by się tam znalazły przed końcem ostatniej psiej wachty. Wątpię, czy dzisiaj odbędziemy zmianę wachty

Bosman uśmiechnął się, jak nakazywał obowiązek.

- Tak jest, sir - odpowiedział cicho, nadal nie kryjąc zdumienia. - Lekkie cumy na topy masztów, robi się!

- Panie Graves! - zawołał za nim Jack. - Niech się dobrze zamoczą, zanim je pan naciągnie. Nie wolno nam odkształcić masztu.

Wielokrotnie z powodzeniem korzystał już z tej sztuczki. Ogromna, dodatkowa siła, jaką dają masztom rozciągnięte cumy, pozwalała na postawienie bombramsli bez ryzyka uszkodzenia bądź, co gorsza, złamania drzewca. Na jednostce rozkołysanej i mało stabilnej taka operacja byłaby nie do pomyślenia ze względu na spore nadbudówki, ale „Ariel” był niewiarygodnie sztywnym okrętem. Większy napór wiatru, a co za tym idzie, większa prędkość niejednokrotnie pozwoliły już Jackowi ująć cało z mami, zwłaszcza wtedy, gdy uciekał przed przeklętym Holendrem na MORZACH południowych, i bez wątpienia też pomoże w całkiem odwrotnej sytuacji. Zastanawiał się, dlaczego ów sposób nie został bardziej rozpowszechniony.

Cумы nie znalazły się jednak na topach masztów przed końcem psiej wachty. Słup został zaatakowany przez serię następujących po sobie szkwałów, które ściągnęły ulewy tak gwałtowne, że ze szpigatów po zawietrznej buchnęły wartkie strumienie deszczówki, a marynarze całkiem stracili rozeznanie. W

międzyczasie okrętem targnęły również towarzyszące szkwałom wściekle podmuchy wiatru - słup trzykrotnie cofnął się pod ich naporem, a utrzymanie równego kursu stało się niemożliwością. Przez niecałą godzinę zarówno okręt francuski jak i „Jason” zniknęły z pola widzenia.

- Czy poczuję się lepiej, jeśli zwymiotuję? - spytał Jagiełło.

- Raczej bym w to wątpił - powiedział Stephen. - Pułkownikowi wiele to nie pomogło.

Kontynuowali jednak pościg, a ostatni szkwał wkrótce pomknął ku ciemnemu niebu na północnym wschodzie, przesłaniając horyzont na zawietrznej, lecz odsłaniając widoczność na prawej burcie. Okazało się, że dwa pozostałe okręty uczestniczące w pościgu wciąż znajdowały się na oczekiwanych pozycjach. Francuz, który nadal nie przejrzał podstępny, parł

możliwie najbardziej na zachód, umykając przed wymagowanym niebezpieczeństwem. Postawił już fokszaksel, zrzucił pozostałe refy z żagli i zauważalnie oddalił się od „Jasona”. Jego kurs zbiegał się jednak z kursem

„Ariela”, mimo że słup odpadł o jeden rumb, by zwiększyć prędkość. Był teraz bliżej o pół mili i widzieli go znacznie wyraźniej.

„Niezły okręt” - pomyślał, przyglądając mu się nad falami oceanu. W

istocie, choć Francuz płynął ostrym bejdewindem, odrzucał ogromną falę dziobową, sięgającą do połowy wysokości burty. Skoro „Ariel” miał go wyprzedzić na tyle, by mieć wystarczająco dużo miejsca i czasu na manewry, Jack musiał postawić więcej żagli, a okręt tak niewielkich rozmiarów rozpaczliwie potrzebował i jednego, i drugiego, jeśli miał wyrzucić jakąkolwiek krzywdę okrętowi uzbrojonemu w siedemdziesiąt cztery działa.

- Proszę wezwać bosmana - rzekł, a kiedy ten przybiegł z dziobu na rufę, ociekając wodą, oznajmił: - Panie Graves, proszę możliwie najszybciej wciągnąć lekkie cumy na topy masztów.

- Cummy na topy masztów? - wykrzyknął zdumiony bosman.

- Tak, panie Graves - rzekł z zadowoleniem Jack i nachylił się, gdy znad nawietrznego relingu uderzyła potężna fala. - Chciałbym, by się tam znalazły przed końcem ostatniej psiej wachty. Wątpię, czy dzisiaj odbębniemy zmianę wachty

Bosman uśmiechnął się, jak nakazywał obowiązek.

- Tak jest, sir - odpowiedział cicho, nadal nie kryjąc zdumienia. - Lekkie cumy na topy masztów, robi się!

- Panie Graves! - zawołał za nim Jack. - Niech się dobrze zamoczą, zanim je pan naciągnie. Nie wolno nam odkształcić masztu.

Wielokrotnie z powodzeniem korzystał już z tej sztuczki. Ogromna, dodatkowa siła, jaką dają masztom rozciągnięte cumy, pozwalała na postawienie bombramsli bez ryzyka uszkodzenia bądź, co gorsza, złamania drzewc. Na jednostce rozkołysanej i mało stabilnej taka operacja byłaby nie do pomyślenia ze względu na spore nadbudówki, ale „Ariel” był niewiarygodnie sztywnym okrętem. Większy NAPÓR wiatru, a co za tym idzie, większa prędkość niejedNOKROTNIIE pozwoliły już Jackowi ujść cało z matni, zwłaszczaCZA wtedy, gdy uciekał przed przeklętym Holendrem na MORZACH południowych, i bez wątpienia też pomoże w całkiem odwrotnej sytuacji. Zastanawiał się, dlaczego ów spoSÓB nie został bardziej rozpowszechniony.

Cummy nie znalazły się jednak na topach masztów przed końcem psiej wachty. Słup został zaatakowany przez serię następujących po sobie szkwałów, które ściągnęły ulewy tak gwałtowne, że ze szpigatów po zawietrznej buchnęły wartkie strumienie deszczówki, a marynarze całkiem stracili rozeznanie. W

międzyczasie okrętem targnęły również towarzyszące szkwałom wściekle podmuchy wiatru - słup trzykrotnie cofnął się pod ich naporem, a utrzymanie równego kursu stało się niemożliwością. Przez niecałą godzinę zarówno okręt francuski jak i „Jason” zniknęły z pola widzenia.

- Czy poczuje się lepiej, jeśli zwymiotuję? - spytał Jagiełło.

- Raczej bym w to wątpił - powiedział Stephen. - Pułkownikowi wiele to nie pomogło.

Kontynuowali jednak pościg, a ostatni szkwał wkrótce pomknął ku ciemnemu niebu na północnym wschodzie, przesłaniając horyzont na zawietrznej, lecz odsłaniając widoczność na prawej burcie. Okazało się, że dwa pozostałe okręty uczestniczące w pościgu wciąż znajdowały się na oczekiwanych pozycjach. Francuz, który nadal nie przejrzał podstępny, parł

możliwie najbardziej na zachód, umykając przed wymagowanym niebezpieczeństwem. Postawił już foksztaksel, zrzucił pozostałe refy z żagli i

zauważalnie oddalił się od „Jasona”. Jego kurs zbiegał Sli? jednak z kursem

„Ariela”, mimo że słup odpadł o jeden rumb, by zwiększyć prędkość. Był teraz bliżej o pół”uli i widzieli go znacznie wyraźniej.

- To „Méduse” - powiedział Hyde.

- Miejmy zatem nadzieję, że wraz z „Jasonem” pomożemy mu przedmuchać działa - stwierdził Jack i wybuchnął głośnym śmiechem. Był w doskonałym nastroju i czuł się doprawdy wyśmienicie, nie pamiętał już o żadnej ze spraw oczekujących go na lądzie, a nawet gdyby sobie którąś przypomniał, nie miałyby ona teraz dla niego najmniejszego znaczenia. Pomimo doskonałego samopoczucia jego umysł bezustannie pracował nad zmieniającymi się czynnikami - trzema widocznymi wierzchołkami trójkąta - oraz niewidzialnymi okolicznościami, które mogłyby na nie wpłynąć. Okazywał zapał i entuzjazm, ale był jak najbardziej świadom niebezpieczeństw, czyhających nań na obecnym kursie. Planował jedynie doskoczyć do Francuza, zasypać go ogniem i natychmiast rzucić się do ucieczki, ale by ogień jego przyciężkawych, masywnych karonad sięgnął okrętu francuskiego, musiał wpłynąć w zasięg jego długich dział. Salwa burtowa „Ariela” ważyła 265 funtów, podczas gdy salwę burtową przeciwnika szacował na przynajmniej 840 funtów. Podczas umiarkowanej pogody, gdy możliwe byłoby otwarcie furt armatnich niższego rzędu dział, „Méduse” zatopiłby „Ariela” z odległości mili, zanim jeszcze słup zacząłby prowadzić skuteczny ogień, lecz nawet w tych warunkach istniało wielkie prawdopodobieństwo, że któryś z tych radosnych, otaczających go młodych ludzi nie dożyje jutra. Wszystko zależało od prędkości.

- Cumy na masztach, sir - zameldował bosman.

- Bardzo dobrze, panie Graves - rzekł Jack. - Świetnie się pan spisał. -

Dokonał pospiesznego przeglądu, po czym wrócił na pokład rufowy. - Załoga do stawiania żagli! - rozkazał. - Na reje! Spuścić fokbramsel! Wybierać fały fokbramsla! Ostrożnie, z wyczuciem! Jeszcze sążeń! Jeszcze jeden! Obłożyć!

Jeden po drugim, na rejach słupki powoli wyrastały kolejne żagle. Każdy z początku wzbierał częściowo wiatrem i szarpał się ku zawietrznej, lecz wszystkie bez wyjątku stopniowo zaokrąglają się i wyprężają. Znacznie potężniejszy napór wiatru rozkładał się równo na mocne cumy, a „Ariel”, wraz z postawieniem każdego nowego żagla, wychylał się coraz bardziej na zawietrzną.

Przy trzecim jego pokład był nachylony niczym średnio skośny dach, a lewoburtowa kotbelka i spora część nawietrznego relingu zniknęła w białej pianie.

Jack otoczył ramieniem nawietrzny baksztag i sięgnął ku rozpiętej cumie, która aż drżała od naporu. Szarpnął i stwierdził, że jest mocno napięta, lecz wiele brakuje jej do stanu, który groził zerwaniem.

- Panie Hyde - odezwał się z uśmiechem do zaniepokojonego pierwszego oficera. - Rzućmy log. Sądzę, że robimy nawet i jedenaście węzłów.

- Jedenaście węzłów i dwa sążnie, sir! - zawołał zachwycony midszypmen z rozpromienioną, zarumienioną twarzą, pnąc się w górę pokładu od burty zawietrznej.

Jedenaście węzłów to spora szybkość, lecz „Meduse” był nowym okrętem, jak wiele innych francuskich jednostek żeglował doprawdy wspaniale, a na dodatek miał nienajgorszą załogę i Jack wiedział, że gdy odpadnie jeszcze o jeden rumb, znacznie zwiększy swą szybkość. Płynąc w tym tempie, najprawdopodobniej przetnie jego kurs jeszcze przed zachodem słońca, ale czułby się lepiej, mając w zapasie więcej czasu. Mógłby wówczas przejść przed jego dziobem i, wykonawszy zwrot, ostrzelać Francuza dwukrotnie przez rzuceniem się do ucieczki.

- Sądzę, że możemy zaryzykować postawienie grotsztaksła - rozkazał.

Szoty sztaksła zostały wnet obłożone, choć do wykonania tego zadania potrzeba było aż trzydziestu marynarzy, a „Ariel” wychylił się o dodatkowe siedem stopni.

- Dziwi mnie to, jak bardzo pochyliła się podłoga - rzekł Jagielło. -

Ledwie mogę usiedzieć na krześle. Jak pan sądzi, co oni tam wyrabiają?

- Nie mam pojęcia - odparł Stephen. - Ze smutkiem stwierdzam, że gdy ryczą sztormy, pasażer staje się jedynie bezradnym, w niczym niepomocnym bagażem.

- Czyżby kapitan nie zasięgał u pana rady?

- Nie zawsze.

Ulewa dobiegła końca. Kapitan wraz z artylerzystą dokonał inspekcji uzbrojenia słupu, a po powrocie na pokład rufowy oznajmił:

- Deszcz na chwilę ustał. Być może doktor chciałby zobaczyć, jak radzi sobie nasz słup. Panie Rowbotham, zechce pan skoczyć pod pokład, przekazać mu moje pozdrowienia i powiedzieć, że robimy właśnie dwanaście węzłów i gdyby chciał to ujrzeć na własne oczy, nadszedł właśnie odpowiedni moment.

Wkrótce może znów zacząć wiać.

- Kapitan przekazuje pozdrowienia, sir! - rzekł Rowbotham na progu kajuty. - I mówi, że robimy dwanaście węzłów. Dwanaście węzłów, sir!

- Dlaczego? - spytał Stephen.

- By złapać „Meduse”, sir, na naszym prawym trawersie - odpowiedział

Rowbotham. - To francuski liniowiec, siedemdziesiąt cztery działa - dodał, widząc brak zrozumienia na jego twarzy. - Mamy zamiar dać mu przedmuchać działa, razem z „Jasonem”. „Jason” znajduje się ledwie dwie mile za nim, ale pędzi jak burza.

- Na Boga, zanosi się na bitwę? - wykrzyknął Stephen. - Nie miałem bladego pojęcia!

- Bitwa? - wykrzyknął Jagiełło, a jego odrętwienie wyparowało w jednej chwili. - Mogę pójść z panem?

Gdyby nie potężne ramiona podoficera nawigacyjnego, dającego komendy na ster, pierwszy gwałtowny podmuch wiatru o mały włos cisnąłby ich do zawietrznych szpigatów, jeśli nie do samego Atlantyku. Obaj zostali więc przywiązani do stójek sztormrelingu na nawietrznej burcie rufy, by nie stali nikomu na drodze.

- Pomyślałem sobie, że może miałbyś ochotę zapoznać się z naszą pozycją - zawołał Jack i głośno krzycząc, opisał sytuację. - Pomyślałem sobie również, że chciałbyś zobaczyć, co potrafi okręt, gdy wycisnąć z niego maksimum możliwości.

- Oto prawdziwa szybkość! - wykrzyknął Stephen. Bryzgi piany śmigały mu obok twarzy. - Odczuwam niepowstrzymane uniesienie... - Zamierzał dodać:

„godne Ikara tuż przed upadkiem”, lecz w porę ugryzł się w język i zakończył, mówiąc: -...wywołane płynną elegancją ruchów! Tak się czuje człowiek, który właśnie uniknął poważnego

niebezpieczeństwa! Tak się czuje rozpedzony sokół

w powietrzu!

- To doprawdy śmigły okręt - rzekł Jack. - Cieszę się, że mogłeś go ujrzeć, gdy okazuje szczyt swych możliwości. To właściwy moment, gdyż za jakieś pół godziny będziemy mieli ręce pełne roboty, ponadto dziś w nocy rozpocznie się sztorm. To ten sztorm wykrakany przez Pellworma, jak sędzę. -

Przy tych słowach skinął głową ku czarnemu, wzburzonemu niebu na zachodzie.

Ciemności raz za razem przesywały niewidoczne jeszcze błyskawice. -

Próbujemy przeciąć temu Francuzowi drogę, jak widzisz - ciągnął. - Mam zamiar wyostrzyć do wiatru, przejść mu przed dziobem, ostrzelać z całej burty, a potem zmienić hals, ostrzelać raz jeszcze i uciekać gdzie pieprz rośnie, nim

„Méduse” odpowie ogniem. Wiesz, „Ariel” jest dwukrotnie zwrotniejszy, ale nasze karonady strzelają dwakroć szybciej.

Następnie odsunął się, by zmierzyć swym sekstansem ramiona kąta.

- Ten okręt wygląda na trzy razy większy od „Ariela” - wyszeptał Jagiełło do ucha Stephenowi.

- Wedle mnie nawet cztery razy większy - odparł Stephen. - Niemniej dysproporcja nie jest aż tak wielka, jak się panu może wydawać. Jak pan zapewne sam zauważył, dolny rząd dział przeciwnika na tej burcie niknie wśród fal ze względu na pochylenie lub przechył boczny, jak mawiamy. Nasze działa zaś znajdują się wysoko nad falami. Byłem już świadkiem, jak kapitan Aubrey walczył przy większej przewadze przeciwnika i zwyciężał.

- Kiedy zacznie się bitwa?

- Za około pół godziny.

- Zejdę po pistolety oraz szpadę.

W rzeczywistości zaczęła się nieco wcześniej. „Meduse” nagle skręcił i ruszył tępo do wiatru, jakby jej dowódca zamierzał przejść za rufą „Ariela” i zniszczyć go. Jack natychmiast wyostrzył i oba okręty ruszyły na siebie z ogromną prędkością pod nisko wiszącymi, szarymi, pędzonymi wiatrem chmurami. Wciąż był w stanie przejść przed dziobem Francuza, o ile nie zostanie wcześniej wyeliminowany ogniem jego dział. Byli coraz bliżej lewej ćwiartki dziobowej „Meduse”. „Ariel” zbliżał się bardzo szybko, był już niemal w zasięgu karonad.

- Otworzyć ogień na mój sygnał. Celować wysoko, mierzyć w marsy Francuza! - zawołał do spiętych, zamartwych w oczekiwaniu kanonierów.

„Meduse” wreszcie skręcił na lewą burtę, a jego działa w górnym rzędzie otworzyły ogień. Salwa burtowa była dobrze wycelowana, ale pociski poszły nieco zbyt wysoko - marynarze usłyszeli świst

żelaznych kul nad swymi głowami, ostrzejszy od gwizdu wiatru, a potem doszedł do nich ogromny huk.

Wciąż się zbliżali.

- Ognia! - rozkazał Jack.

Karonady na prawej burcie „Ariela” wystrzeliły na SKRAJU zasięgu.

Kule spadły na francuski okręt, rwąc mu SZTAKSEL, którego strzepy załopotały na wietrze. MarynarZE słupu wnieśli tryumfalny okrzyk I w szalonym tempie PRZYSTĄPILI do przeładowywania. „Méduse” jednak pędził

TERAZ na trawersie „Ariela”, przez co dolny rząd jego furt działowych znalazł

się nad falami. Furty rozwarły się, a załoga zaczęła wytaczać ciężkie działa.

- Ognia! - ryknął Jack.

Oba okręty oddały salwy burtowe w tym samym momencie. Fokstenga

„Ariela” runęła za burtę, przecięta celnym pociskiem Francuza, a potem zerwała się fokreja i słup zaczął gwałtownie ostrzyć do wiatru, a pokład wyprostowywał

się szybko.

- Działa na lewej burcie! - ryknął Jack i sam przypadł do pierwszej karonady, ignorując chaos na okręcie i nie zwracając uwagi na bałagan wśród żagli, rej i lin. Co bardziej opanowani marynarze szybko zorientowali się w sytuacji i również zamarli przy swych działach i gdy „Méduse” przemknął

niedaleko nich, celnie wymierzoną salwą burtową strzaskali mu bom bezanu i wyszarpnęli pięć dziur na grocie. Dwie minuty później, gdy „Ariel” znalazł się już w odległości mili od Francuza, ten oddał starannie wycelowaną salwę z dział

rufowych. Kule wzbity fontanny wody przy burcie słupu i strzaskały szalupy na śródokręciu, lecz po chwili okręt znalazł się już poza zasięgiem francuskiej artylerii. „Méduse” nadal sunął poprzednim kursem, lecz jego prędkość zmniejszyła się widocznie.

Ludziom Jacka udało się już usunąć co większe szczątki i ruszyć pełnym wiatrem, gdy za „Méduse” pojawił się żeglujący z całą prędkością „Jason”.

Brytyjski okręt próbował już dosięgnąć Francuza ze swych dziobowych pościgówek, wywiesił też sygnał: „Czy potrzebujecie pomocy?”.

- Nie - rzekł Jack, a gdy przechodził wzdłuż burty, marynarze wznosili tryumfalne okrzyki.

Zanim „Ariel” na powrót zdołał wyostrzyć do wiatru i ruszyć za liniowcami, wciąż widocznymi na

południowym wschodzie i toczącymi już walkę artyleryjską na maksymalny zasięg, załogę oczekiwał nawał intensywnej, wytężonej pracy. Słup dysponował zapasową grotbamstengą którą mimo wzburzonego morza udało się wstawić w fokmaszt dzięki łasce boskiej i ogromnemu wysiłkowi marynarzy. Następnie zamocowano na niej sterreję, by rozpiąć fok. Połatany takielunek słupu nie robił dobrego wrażenia, okręt stracił

też sporo ze swej prędkości, lecz złapał dobry wiatr i pokuszył w kierunku obu walczących liniowców, wciąż mając sporą szansę dołączyć do nich w połowie bitwy. „Jason” stracił już reję bukszprytu, która pękła pod naporem wiatru lub została odstrzelona - tego Jack ani nikt z załogi nie wiedział, ale pamiętali, jakie szkody wyrządził Francuzowi ich własny ogień. Prędkość obu liniowców została znacznie zredukowana.

- Dla nas gra skończona - powiedział Jack, gdy zapadł już półmrok, a on wreszcie znalazł chwilę, by zejść pod pokład i napić się herbaty. - Nigdy bym nie przypuszczał, że zdołamy wykpić się tak tanim kosztem. Nie mamy zabitych ani rannych, żadna z kul nie trafiła w kadłub, a poza szalupami straciliśmy jedynie kilka drzewc. No i nieźle przedmuchiśmy działa. Sądziłem, że ogień tego Francuza po prostu zdmuchnie nas z powierzchni wody, ha, ha, ha! Gdyby miał więcej czasu, z pewnością by tego dokonał. Rzadko kiedy w życiu byłem bardziej zadowolony niż w chwili, gdy ujrzałem, jak wypływa poza zasięg ze strzaskanym bomem.

- Powiedz mi zatem, proszę, jakie są twoje obecne zamiary? - spytał

Stephen.

- Cóż, o ile będzie to możliwe, postaramy się nie zgubić ich przez noc, a skoro sami nie możemy włączyć się do boju, nad czym bynajmniej nie mam zamiaru rozpaczać, musimy ściągnąć na pomoc każdą jednostkę, która ujrzy nasze błękitne światła i race czy usłyszy wystrzały z naszych dział. Mamy spore szanse natknięcia się na któryś z naszych krążowników lub okręty dywizjonu blokującego Brest.

- A co ze sztormem Pellworma?

- A niech szlag trafi Pellworma i jego sztorm. Jeśli w końcu nadejdzie, będziemy musieli go pokonać. Tymczasem naszym zadaniem jest śledzić oba liniowce, ale najpierw mam zamiar coś przekąsić. Miałbyś ochotę na plasterek zimnej baraniny?

Przez pierwszą część nocy śledzenie obu liniowców okazało się łatwym zadaniem, gdyż „Jason” wywiesił bardzo silne światła, a kiedy okręt niknął

wśród deszczów lub nisko wiszących chmur, jego pozycję wskazywały błyski wystrzałów. Obwieszony błękitnymi światłami „Ariel” płynął w tym kierunku, co chwila wypalając z działa i dwukrotnie na szklanę strzelając race. W

pewnym momencie, a było to na początku wachty środkowej, Jack nabrał

pewności, że przybliżają się do walczących okrętów. Zamiast błysków pojedynczych wystrzałów

cały południowozachodni nieboskłon rozjaśnił

wówczas gorzejący blask pełnych salw burtowych, który powtórzył się sześciokrotnie. Ich łoskot, głośniejszy od wycia wichru, dobiegł w dwa uderzenia serca po rozbłysku.

Potem wszystko ucichło. Błyski i jasność pochłonęła ulewa tak gęsta, że ludzie musieli pochylać głowy, by zaczerpnąć tchu. Jednocześnie wiatr przybrał

na sile do tego stopnia, że krople deszczu śmigają niemal równoległe do pokładu, a jego wycie wśród takielunku i nad wzburzonymi falami stało się tak przenikliwe, że zagłuszyłoby każdą salwę burtową w promieniu ponad pół mili.

Z początku sądzili, że jest to jedynie szkwał, lecz ten ciągnął się bez końca przez całą noc, a załoga zmuszona była przyznać, iż „Jason” oraz ścigany przez niego okręt francuski całkiem zniknęły z pola widzenia.

- Mniejsza o to - rzekł Jack. - O świcie ujrzymy je na nawietrznej. - „Przy założeniu, że »Meduse« nie ruszył pełnym wiatrem w kierunku Cherbourga” -

dodał w myślach.

Wedle jego obliczeń, opartych na pozycji „Jasona” kilka godzin wcześniej, francuski liniowiec powinien był znaleźć się w miejscu najbardziej dogodnym do ucieczki w głąb kanału La Manche, a przy takiej pogodzie i to jeszcze w nocy ryzyko przechwycenia go przez jednostki brytyjskie było doprawdy znikome.

- Nie powinien się pan położyć? - nieśmiało zasugerował Hyde. - Trwa pan na pokładzie od samego początku, a nie spał pan przecież również przez większą część minionej nocy. W tak ciemną noc niewiele można zdziałać, a od brzegu nawietrznego dzieli nas jakieś dwieście mil.

- Myślę, że rzeczywiście czas udać się na spoczynek - stwierdził Jack. -

Proszę nie wprowadzać żadnych zmian. - Słup płynął na południowy wschód pod dolnymi sztakslami oraz zrefowanym fokiem i bezanem, przedzierając się wśród wysokich fal z wiatrem z zachodnio - - południowego zachodu. - Proszę mnie obudzić o świcie lub jeśli coś się wydarzy - dodał.

Przez całą noc szalała niepogoda, ale „Ariel” był okrętem zgrabnym, szczelnym i doskonale żeglującym pod wiatr. Mógł więc znieść znacznie gorsze warunki, nawet pomimo zaimprovizowanej stengi fokmasztu.

Rzadko kiedy Jack spał równie głęboko. Oczy zaczęły mu się kleić, ledwie ściągnął, kurtkę, a gdy się ułożył na koi, przez moment słyszał własny oddech, być może chrapanie. Potem wszystko zniknęło i zapadł w osobliwie realistyczny sen, w którym szarpał go jakiś głupiec, wykrzykując mu prosto do ucha: „Przybój na zawietrznej!”.

- Przybój na zawietrznej, sir! - wrzasnął raz jeszcze Hyde.

- Chryste! - rzucił Jack, budząc się natychmiast. Wskoczył z koi i popędził na pokład, a Hyde pognął za nim z jego kurtką. Pośród szarości, zwiastującej schyłek nocy, a początek dnia, wyraźnie widać było białe, spienione fale na lewej burcie. Ogromne fale z hukiem roztrzaskiwały się o masywne łańcuch skał w odległości zaledwie dwóch kabli.

Okręt nadal szedł bejdewindem na prawym halsie, lecz fale oraz prąd pływowy nieubłaganie spychały go burtą na rafę. Przy tym wietrze nigdy nie zdołałby stawić czoła takiemu naporowi, nawet gdyby miał sprawną fokstengę.

Zwrot przez sztag nie wchodził już w rachubę, lecz wciąż było wystarczająco dużo miejsca na zmianę halsu.

- Załoga do zwrotu! - zakrzyknął. - Ster lewo na burtę! - Nie musiał

dodawać ani słowa. Oficerowie i marynarze rzucili się do swych obowiązków.

Żagle rufowe zniknęły, okręt odpadł od wiatru ku zawietrznej, zmierzając coraz szybciej w kierunku rafy, zawrócił niemal na jej skraju o dwadzieścia rumbów i zgrabnie wyprostował się na lewym halsie, płynąc teraz na północ północny zachód. - Wyostrzyć do łopotu - Jack rozkazał człowiekowi za kołem. -

Grot w drgania!

Nie chciał odpływać za daleko, najpierw trzeba było zorientować się co do pozycji „Ariela”. Mogli znajdować się albo przy brzegach Ushant lub niedaleko wybrzeży Francji, lecz musiał mieć co do tego pewność, gdyż wedle jego wcześniejszych wyliczeń słup powinien płynąć jakieś pięćdziesiąt mil na północ i dalej na wschód w stosunku do jego faktycznej pozycji. Wpatrywanie się na zawietrzną niewiele dało - wśród deszczu dostrzegł zaledwie ciemny kontur lądu, ale przynajmniej zauważył, że Hyde zajął się wszelkimi koniecznymi przygotowaniami. Cieśla i jego pomocnicy czuwali już z toporami, gotowi zrywać maszty, kotwice na dziobie były uszykowane do opuszczenia, a na ławach wantowych grotą stali marynarze z sondami, którzy nie pracowali w rytm tradycyjnego zaśpiewu, a zanurzali sondy co chwilę i natychmiast podawali głębokość.

- Sześć! Pięć i trzy czwarte...

- Przybój przed dziobem! - ryknął marynarz na oku.

Jack popędził na dziób i otaksował wzrokiem szybko przybliżającą się, długą linię bieli. Drogę na północ i zachód, ich bramę ku otwartemu morzu, blokowała druga rafa, która wydawała się ciągnąć bez przerwy aż po ledwie widoczny przylądek na prawej burcie. Po chwili rafa stała się wyraźniejsza i Jack dostrzegł, że fale załamują się na długo przed nią. Śmiercionośna płycizna była więc bardzo szeroka.

- Grot na wiatr! - zawołał. - Jeden rumb na prawo! - „Ariel” popędził

prosto na spienione wody Nie przestając kontrolować odległości oraz siły wiatru, Jack słuchał również z napięciem głosu marynarza z sondą.

Zaniepokojeni ludzie na pokładzie dziobowym wpatrywali się teraz w niego z bezgraniczną wiarą w jego osąd sytuacji. Gdy słup znalazł się jakieś pięćdziesiąt metrów przed kipiela, wydał kolejny rozkaz: - Ster prawo na burtę! - „Ariel” wyostrzył do wiatru i zatrzymał się po przebyciu ledwie czterech sążni. -

Wypuścić kotwicę! - krzyknął Jack, gdy tylko okręt zaczął się cofać.

Kotwica wytrzymała. Okręt przesunął się łagodnie wraz z wypuszczaną liną kotwiczną i zamarkł między dwoma rafami, kołysząc się na falach morza oraz silnego prądu pływowego, któremu niewiele zabrakło do przesilenia.

Nastąpiła chwila wytchnienia, lecz wiedział, że jeśli znajdują się tam, gdzie przypuszczał, owa chwila nie mogła potrwać długo. Posłał kilku ludzi, by obudzili Stephena, Jagiełłę i pułkownika, podwoił strażę przy magazynie z alkoholem, gdyż marynarze uwielbiali się upijać w sytuacjach grożących śmiercią, i nakazał rozpalenie ogni w kambuzie. Wielu ludzi z załogi było bardzo przerażonych, czemu bynajmniej się nie dziwił, a pozory porządku, nie mówiąc o ciepłej owsiance, mogły wzmocnić ich na duchu.

Nadchodził już dzień, a nad lądem pojawiło się światło. Niespodziewanie przestało padać, gęsta mgła ustąpiła znad morza i Jack rozpoznał miejsce, w którym się znaleźli. Byli w znacznie gorszej sytuacji, niż dotychczas sądził.

Zabrnęli daleko w miejsce, które w Royal Navy nazywano Gripes Bay. „Ariel” jakimś cudem zdołał w nocy przepłynąć między dwoma rafami, nawet nie ocierając się o żadną z niezliczonych skał na tym akwenie. Była to zdradziecka zatoka, wychodząca na południowy zachód. Okręty z dywizjonu blokującego Brest nigdy tu nie zaglądały, gdyż jej dno nie trzymało kotwic, ostre krawędzie skał cięły nawet liny kotwiczne i wszędzie ciągnęły się rafy. Poznał jednak jej wody, gdy uczestniczył w blokadzie Brestu - podczas ładnej pogody wybierał

się tu na ryby na niewielkich łódkach - a w wieku siedemnastu lat jako pomocnik nawigatora dowodził tu jolką z „Resolution”, gdy szalupy dywizjonu szturmowały fort Camaret, zbudowany na wysokim wzniesieniu przy północnym końcu rafy. Spojrzał nad relingiem rufowym i ujrzał sam fort w odległości niecałej mili. Francuzi rzecz jasna szybko go odbudowali po ataku i Jack mógł tylko czekać, aż artylerzyści się obudzą i otworzą ogień. Za fortem znajdował się Brest, a u brzegu zatoki leżała wioska Tregonnec z niewielkim pomostem w kształcie półksiężyca, osłaniającym przystań rybacką u ujścia strumienia. Wioski bronił kolejny, silny fort. Znaleźli się więc między młotem a kowadłem, a cieszyć mógł się tylko z tego, że chromony przez tak potężne rafy brzeg był spokojny, a na plaży nie widać było przyboju, nawet pomimo tego, że na zewnątrz szalało tak wzburzone morze. Ich jedyna nadzieja kryła się za południowym krańcem zatoki, zwanym Gripes Point - znajdowała się tam piękna, szeroka zatoka Douarnenez. Na jej osłoniętych od południa i zachodu wodach mógł schronić się cały dywizjon i spokojnie czekać, drwiąc z francuskich baterii, usytuowanych zbyt daleko, by mogły wyrządzić jakąkolwiek krzywdę.

Żeby się tam dostać, musiał wpierw opłynąć cypel. Jediną możliwością było pomknąć prosto na południe i trzymając się blisko południowego brzegu zatoki, opłynąć wewnętrzną rafę w kierunku

skały nazywanej Thatcher, a następnie wykonać zwrot i ruszyć w kierunku zewnętrznej rafy, po drodze opływając Gripes Point. Tam mógł doczekać chwili, gdy wichur zacznie tracić na sile, a odpływ umożliwi im ucieczkę na pełne morze. Nie było na razie wiatru od brzegu, tak więc nie mieli szans na opłynięcie zewnętrznej rafy od nawietrznej i przemknięcie przez lukę. Jack pokładał nadzieję w Bogu, że zdoła wykonać zwrot przez rufę przed Thatcher, póki jeszcze będzie miał na to miejsce, gdyż dalej napór fal nie osłabionych przez zewnętrzną rafę był znacznie większy i nie było mowy o zmianie halsu. O miejscu wykonania skrętu będzie mógł zdecydować jednak dopiero wówczas, gdy znajdzie się o wiele bliżej, a na razie musiał się martwić o skały i płycizny na swej drodze.

- Czy któryś z panów zna tą zatokę? - spytał oficerów na pokładzie rufowym, a ci spojrzeli po sobie bezradnie. Nikt nie wyglądał na kompetentnego w tej materii, lecz nim ktokolwiek zdążył odpowiedzieć, wszyscy zostali obryzgni strugami wody. W międzyczasie fort otworzył ogień, a pierwsza kula wzbijała fontannę wody niecałe dwa metry od ławy burtowej prawej burty. -

Przeciąć linę kotwiczną! - rozkazał Jack. - Ster lewo na burtę! Okręt zaczął

zawracać rufą naprzód, aż kliwer ustawiony na pracę wstecz wypełnił się wiatrem, a zaraz po nim mocno zbrasowane marsie. Okręt zamarł w bezruchu na króciutką chwilę, po czym ruszył do przodu, nabierając prędkości. Zmierzał

prosto w kierunku ulewy, zagradzającej mu drogę na pełne morze. Jack postanowił przejść kanałem między rafą wewnętrzną i zewnętrzną a pomimo że wszędzie wokół padały już francuskie pociski, nakazał skrócić żagle. - Rzucaj szybko! - wykrzyknął do marynarza z sondą. - Jak najszybciej! - Za wszelką cenę musieli teraz unikać wejścia w skałę lub którąś z pomniejszych raf. Kula z francuskiego fortu odbiła się rykoszetem, złamała flagsztok i przeszła bezanmarsel. - Panie Hyde, proszę przywiązać banderę do linobloku na zawietrznych wantach - rozkazał. - Ależ ja nie cierpię ostrzału z lądu - mruknął

do siebie.

Na szczęście artylerzyści z fortu nie grzeszyli celnością - Jackowi zdarzało się znaleźć pod znacznie celniejszym ostrzałem ze strony francuskich baterii. Po krótkiej chwili skup skrył się niemal całkowicie w strugach deszczu i wrodzy kanonierzy zmuszeni byli prowadzić ogień na ślepo.

Płynęli naprzód, zachowując ogromną ostrożność. Jack zaczynał powoli przypominać sobie topografię całej zatoki. Na trawersie lewej burty dojrzał

skałę, skąd łapali kurki szare, a przed dziobem grupkę wysepek, gdzie zbierali langusty podczas odpływu. W tej chwili otaczały je spienione grzywy przyboju.

Miał zamiar przemknąć przez lukę w rafie wewnętrznej, z której zazwyczaj korzystali rybacy, gdyż prąd syzygijny przetaczał się tamtędy z ogromną furją.

Zwolnił, by móc oszacować jego napór, a gdy głos marynarza z sondą przeszedł w wrzask: „Trzy sążnie! Trzy sążnie!”, „Ariel” zatrzymał się nagle w dolinie fali i rozległ się długi, przeciągły trzask

miażdżonego drewna. Słup zakołysał się i zadrżał od rufy aż po dziób, lecz naraz uwolnił się i ruszył gładko przed siebie.

- Pięć sążni, pięć sążni, sześć sążni, sześć i pół - krzyczał marynarz z sondą.

Wśród spienionych fal na lewej burcie wynurzył się długi, ciemny kawał drewna z fałszkilu, który zanurzając się i obracając wokół własnej osi, pomknął przez lukę w stronę odległego brzegu. Grimmond popędził pod pokład.

- Sonduj szybko! - powtórzył Jack. - Rzucaj bardziej do przodu!

- Tak jest, sir! - zawołał marynarz z sondą i zakręcił liną z ciężarkiem jeszcze szersze koło, nim wypuścił go z ręki.

Znaleźli się już poza zasięgiem baterii, a wkrótce mieli również opuścić wody osłaniane przez zewnętrzną rafę. Jej najbardziej wysunięty na południe kraniec wyznaczał miejsce, do którego musiał dotrzeć, o ile chciał wykonać zwrot i wpłynąć na bezpieczne wody zatoki Douarnenez. Nie przewidywał

trudności po dotarciu do tego miejsca, lecz mógł tam dopłynąć jedynie bejdewindem na lewym halsie. Gdy „Ariel” sunął już w tym kierunku, Jack zaczął sobie z wolna uświadamiać, że musi rozpocząć zwrot znacznie dalej, tuż przy samej skale Thatcher. Przeprowadzając manewr wcześniej, niczego by nie osiągnął, lecz przy samej skale brakowało na to miejsca. Uznał, że przestrzeni starczyłoby ledwie na zwrot przez sztag przy użyciu kotwicy, co w najlepszym razie było manewrem bardzo ryzykownym, który należało wyliczyć co do metra. Z takim wiatrem, na takim morzu i wśród takich skał nie było mowy o poprawianiu pomyłki. Thatcher zaś znajdowała się coraz bliżej.

- Pod pokładem wszystko w porządku - powiedział nawigator, wyłaniając się z zejściówki. - Uzbierało się z metr wody w forpiku, ale nic ponadto.

Jack pokiwał głową. „Ariel” przeciekał niewiele, może w zwykłych okolicznościach byłoby to poważnym odstępstwem od normy, ale w tej chwili nie miało żadnego znaczenia.

- Panie Hyde - rzekł. - Zamierzam wykonać zwrot na kotwicy, gdy dotrzemy do tej wysokiej czarnobiałej skały. Proszę przygotować kotwicę zapasową i rozstawić ludzi z siekierami.

- Załoga, wykonujemy zwrot na kotwicy na wysokości skały Thatcher! -

huknął ochrypłym głosem, który zagłuszył wycie wichru. - Każdy rozkaz ma zostać wykonany błyskawicznie, a z Bożą pomocą zdołamy okrążyć cypel i wślizgnąć się do zatoki Douarnenez. Każdy błąd sprawi, że pójdziemy prosto na skały. Nie róbcie niczego, dopóki nie usłyszycie rozkazu, lecz kiedy już padnie, macie być szybsi od błyskawic.

Marynarze pokiwali głowami. Wyglądali na bardzo poważnych, ale pewnych siebie, a Jack dostrzegł z satysfakcją że żaden z nich nie dostał się do składu z alkoholem.

Okręt wypłynął już poza osłaniającą go rafę i przyjął na siebie pełen impet fal oraz wichru. Odległość od Thatcher zmniejszyła się błyskawicznie, od skały dzieliło ich tylko pięć, a potem już tylko cztery minuty żeglugi. Wzdłuż ostrego, poszarpanego boku skały strzelały z hukiem wysokie fontanny spienionej wody, które zastygały w powietrzu na długą chwilę, zanim opadły na fale.

- O co mu chodzi z tym „zwrotem na kotwicy”? - spytał Jagiełło, przywarłszy do relingu tuż u boku Stephena.

- Że rzuci kotwicę, wstrzyma tym samym bieg okrętu i zwróci jego dziób do wiatru, a potem odetnie linę i odpłynie w innym kierunku, najpierw kawałek ku morzu, a potem dookoła przylądka.

- Ta skała jest bardzo blisko.

- Marynarz z sondą twierdzi, że głębokość jest odpowiednia. Niech pan tylko posłucha.

- Ostrzej do wiatru! - wykrzyknął Jack ze spojrzeniem utkwionym w skałę Thatcher i unoszących się wokół niej kłębach morskich. - Wybierać kipy sztaksła. - Minęło pięć długich, trudnych do wytrzymania sekund. - Zwolnić kotwicę! - rozkazał wreszcie. Bukszpryt okrętu natychmiast zwrócił się prosto ku ryczącemu wichrowi, choć gwałtowne fale usiłowały odwrócić jego dziób ku zawietrznej. - Wybierać hals grot... Wybierać wszystkie liny! Odciać linę kotwiczną! - Zamigotał topór przecinający linę kotwiczną. Okręt niemal zawrócił i już cofał się z wielką prędkością prosto ku Thatcher. - Rzucaj ku rufie! Jak najdalej możesz! - wykrzyknął Jack do marynarza z sondą, wychylając się ponad relingiem rufowym, by wybrać ostatni dogodny moment, chwilę możliwie największego naporu na wychyloną ku prawej burcie płetwą sterową który zakończyłby obrót okrętu. Marynarz z sondą odwrócił się i cisnął

ją z całej siły, lecz lina sondy zawadziła o linoblok, na którym zawieszono banderę, a sam ciężarek śmignął na pokład i powalił Jacka na deski.

Próbując się podnieść, usłyszał pośród huku fal i ryku wichru głos Hyde'a, odległego teraz o tysiące mil:

- Zwrot na lewo! Znaczy się na prawo!

Potem rozległ się ogłuszający łoskot, gdy „Ariel” uderzył w skałę Thatcher, druzgocząc ster i wgniatając do środka większą część rufy.

Jack zdołał już poderwać się na nogi. Gdzieś mignęła mu śmiertelnie blada twarz przerażonego Hyde'a, lecz naraz uświadomił sobie, że okręt spychany jest burtą w kierunku otwartego morza.

- Bezan i grot na gejtawy! - ryknął. - Obłożyć szoty foka ku rufie!

Zgrzytając i trzeszcząc w starciu ze skałą, poczciwy „Ariel” zdołał

obrócić się na pełny wiatr i Jack poprowadził go przez najwęższą część wewnętrznej rafy, wykorzystując do maksimum wszystkie możliwości sterowe, jakie dawał mu pojedynczy marsel. Nie otrząsnął się jeszcze po uderzeniu i otaczający go świat wciąż zdawał się być daleko, bardzo daleko,

ale przytomniejsza część jego umysłu nadal podświadomie towarzyszyła „Arielowi” i wiedział, że siódme potężne uderzenie, które wstrząsnęło całym okrętem, złamało mu kiel.

Niemniej jednak pływ syzygijski już prawie osiągnął punkt kulminacyjny i okręt nadal sunął przed siebie, przedzierając się wśród fontann, które sięgały niemal marsów.

Wkrótce znaleźli się na spokojniejszych wodach za rafą gdzie okazało się, że okręt nadal utrzymuje się na wodzie i posłuszny jest sterom, lecz Jack wiedział, że długo to nie potrwa.

- Wyrzucić działa za burtę! - rozkazał.

Pozbywszy się ich ciężaru, okręt mógł utrzymać się na powierzchni wystarczająco długo, by wprowadzić go na brzeg. Kilka minut później, gdy fale, wiatr oraz prąd pływowy zaczęły pchać okręt w kierunku ujścia rzeki, nakazał

oficerom zabrać patenty i zatroszczyć się o własne sprawy, a potem poprosił

Stephena i razem zeszli do kajuty kapitańskiej. Woda sięgała tam już do połowy łydek.

- Pułkownik musi zmienić swój mundur na mundur żołnierza piechoty morskiej i podawać się za szeregowca - rzekł. - Zgadzasz się? - Stephen pokiwał

głową. - Wydam zatem odpowiedni rozkaz - stwierdził, po czym zebrał

oprawioną w ołów książkę sygnałową, meldunki, dokumenty osobiste oraz szpadę, nakazał stewardowi spakować tyle, ile zdoła, i wyszedł na pokład. Tam wyrzucił wszystkie papiery za burtę, rozmówił się z dowódcą piechoty morskiej w kwestii pułkownika i powrócił do sterowania nieszczęsnym, ciężkim wrakiem do brzegu.

Z jakiegoś powodu był całkowicie pewien, że okręt nie rozpadnie się na kawałki, ale dotrą na nim na ląd, i tak też się stało. „Ariel” zachowywał się wspaniale do ostatniej chwili. Ostatnie pociągnięcie prawego szota sprawiło, że uderzył burtą o pomost w szczycie pływu, gdy woda, bulgocząc, wyciekała już z luków. Załozce pozostało jedynie przekroczyć przez reling i podejść do oczekującego ich oddziału żołnierzy oraz niewielkiego, cichego tłumu cywili.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Przez ostatnie dwadzieścia lat wojny wzdłuż wybrzeża Bretanii rozbiło się wiele jednostek Royal Navy, sporo też zostało przez Francuzów zdobytych, tak więc władze w Breście były dobrze przygotowane do radzenia sobie w podobnych sytuacjach i bez zbytej ceremonii nakazały osadzić oficerów

„Ariela” w opuszczonym klasztorze żeńskim. Załoga trafiła zaś do wyścielonych grubą warstwą słomy lochów w niższych partiach zamku.

Po ludziach, którzy tak często mierzą się z kapryсами żywiołów, można się było spodziewać, że filozoficznie potraktują odmianę losu, zresztą Stephen widywał już swoich towarzyszy podróży, jak

ze stoickim spokojem reagowali na znacznie większą niedolę. Mimo tego zaskoczyła go swoboda, z jaką odzyskali pogodę ducha i przybrali dobrą minę do złej gry. Ich okręt nie został

przez Francuzów zdobyty, a zatem uniknęli obrabowania i wciąż mieli ze sobą wszystko to, co udało im się z niego zabrać. Fakt ów osłodził im nieco gorycz porażki, tym bardziej, że mogli w ten sposób uzupełnić skąpe francuskie racje winem oraz jedzeniem lepszym, niż mieli na „Arielu”. Z drugiej strony, gdy tylko uświadomili sobie, że nie zostaną obrabowani ani zagłodzeni na śmierć, zaczęli nkrzekać na smak herbaty, a gdy Jack złożył im pierwszą wizytę, usłyszał utyskiwania na pełen dziur francuski chleb, który rzekomo nie jest w stanie zapełnić człowiekowi żołądka.

- Skoro człowiek zjada dziury - twierdzili marynarze - bez wątpienia przełyka również powietrze, w efekcie czego nadmie się wkrótce i rozedmie niczym pęcherz. Przecież to logiczne.

Nie przypadła im również do gustu zupa ani mąka owsiana, gdyż ich zdaniem owies do jej wyrobu skoszono jeszcze zielony.

Jakieś dwadzieścia cztery godziny po nieszczęsnej podróży z Tregonnec, gdy na bezchmurnym, błękitnym niebie nad Brestem zaświeciło słońce, wesołość wraz z morskim poczuciem humoru powróciła również do młodych mężczyzn trzymanyh w klasztorze. Powodem była wizyta miejscowego komisarza, który zamierzał sporządzić oficjalną listę nazwisk rozbitków.

Potrzebował do niej informacji, takich jak panieńskie nazwiska babć oraz daty i miejsca urodzenia, lecz usłyszał kilka doprawdy dziwnych odpowiedzi, udzielonych trzeźwymi, ponurymi głosami. W rzeczy samej okazały się one tak dziwaczne, że komendant portu wojennego wezwał w końcu kapitana Aubreya.

- Nigdy nie uwierzę - powiedział - że z wyjątkiem jednego wszyscy pańscy oficerowie wywodzą się od królowej Anny.

- Przykro mi to panu mówić, sir, lecz królowa Anna nie żyje - rzekł Jack.

- Zwykła ludzka przyzwoitość nakazuje mi jednak powstrzymać się od wszelakich komentarzy.

- Doszedłem również do wniosku, że pańscy oficerowie udzielali odpowiedzi z karygodną lekkomyślnością - ciągnął komendant. - Wśród podanych przez nich rodziców znajdują się cesarz Maroka, niejaka lady TojeśćRozesłana, sir Guy of Warwick czy Juliusz Cezar... Stwierdzi pan zapewne, że komisarz jest jedynie zwykłym cywilem, co jest jak najbardziej prawdą, lecz nawet mimo tego muszę Pana Prosić, by nakłonił swych podwładnych, by ci TRAKTOWALI go z należytyh szacunkiem. Jest w końcu urzędnikiem cesarza! - Jack nie wydawał się w pełni przekonany a w głosie komendanta w rzeczy samej zabrakło przeKONANIA. Przyglądał się on przez moment swojemu jeńcowi, po czym oznajmił: - Teraz jednak chciałbym przejść do kwestii o wiele poważniejszej. Zbiegł jeden z pańskich żołnierzy piechoty morskiej, niejaki Ludwig Himmelfahrt. Jego rzeczy odnaleziono w kłozecie.

- Och, to ten nieszczęsny stary dziwak bez piątej klepki, nadliczbowy członek załogi. Wcieliliśmy go tylko dlatego, że nie było komu dmuchać w piszczalkę, gdy marynarze pracowali przy kabestanie.

Wątpię, czy jego nazwisko w ogóle widniało w księdze okrętowej. Zazwyczaj w ogóle nie brano go pod uwagę. Tak czy owak, sir, muszę zwrócić panu uwagę na fakt, że nawet gdyby był regularnym żołnierzem, ucieczka byłaby jego obowiązkiem.

- Być może - odpowiedział komendant. - Mam jednak nadzieję, że nie będzie pan chciał iść w jego ślady, kapitanie Aubrey. Nie zależy mi jakoś szczególnie na złapaniu nadliczbowego półgłówka, tym bardziej, że nie został

wciągnięty na listę załogi - choć bez wątpienia musi on zostać odnaleziony -

lecz sprawa wyglądałaby zupełnie inaczej, gdyby chodziło o kapitana mianowanego, sir, o oficera pańskiej rangi. Ostrzegam pana, że przy najdrobniejszej próbie ucieczki zostanie pan wtrącony do Bitche. Utknie pan tam na dobre, sir!

Jack już otwierał usta, by wygłosić jedną z najlepszych gier słownych w swym życiu - coś na kształt: „O, wtedy to dopiero zejdem na psy!” - lecz uświadomił sobie, że francuskie słowo „chienne” oznaczające sukę nie funkcjonuje w podobny sposób. Jego uśmiech zniknął więc i powiedział

jedynie:

- Jeśli o to chodzi, sir, obawiam się, że będę pańskim gościem do końca wojny. Mam nadzieję, że nie potrwa to na tyle długo, by moja obecność stała się dla pana uciążliwością.

- Jestem przekonany, że nie spędzi pan tu wiele czasu - rzekł komendant.

- Wszyscy przeciwnicy cesarza uciekają już na północ. Opór Austriaków został

zmiążdżony.

- Pogroził mi wtrąceniem do Bitche - opowiedział Jack po powrocie do klasztoru. Znaczenie jego słów było jasne dla wszystkich, gdyż przez ostatnie kilka dni twierdze w Bitche i Verdun stanowiły główny temat rozmów, nie licząc kilku dyskusji na temat rozwoju działań wojennych na podstawie tego, co donosił „Moniteur” oraz dało się wydobyć od młodych kobiet, które przynosiły posiłki Jagielle. Verdun było miastem, gdzie trzymano jeńców wojennych, a w Bitche stała forteca, gdzie więziono tych, którzy próbowali ucieczki. O obu tych więzieniach krążyło wiele plotek, utrzymujących, że były to bardzo nieprzyjemne miejsca w północnowschodniej Francji, zimne, wilgotne i zabójcze. We flocie mało kto jednak znał je z własnego doświadczenia, gdyż Bonaparte z zasady nie praktykował wymiany jeńców w tradycyjny sposób i wymienieni zostali tylko nieliczni. Niemal wszyscy, którzy trafiali do francuskich twierdz, nigdy ich nie opuszczali. Jednym z nielicznych wyjątków okazał się jednak Hyde, który jako starszy midszypmen najpierw zbiegł z Bitche, a potem wraz z trzema towarzyszami uciekł również z Verdun i ostatecznie dotarł pieszo do wybrzeży Adriatyku.

Słuchali jego opowieści z wyteżoną uwagą, co pozwoliło mu odzyskać nieco nadwerężonego szacunku do siebie samego. Przygnębienie Hyde'a było bowiem tak wielkie, że jako jedyny z oficerów nie udzielił komisarzowi żartobliwych odpowiedzi, ale przedstawił suche fakty. Jack

poprosił go jednak, by raz jeszcze opowiedział o fortecy, zwracając szczególną uwagę na wszelkie możliwe sposoby ucieczki, i ten znów opisał wyniosłe skały piaskowca, uliczki ciągnące się wzdłuż murów, odporne na eksplozje lochy oraz niezwykle głęboką studnię.

- Jeśli zaś chodzi o ucieczkę, wielce użyteczną rzeczą są pieniądze -

mówił. - A także mapa i kompas, suszona wołowina, chleb oraz ciepły płaszcz, kiedy trzeba leżeć w ukryciu przez cały dzień. Przydają się również mocne buty, ale najważniejsze są pieniądze. Pieniędźmi można tu zdziałać prawie wszystko, nawet zwykła gwinea otwiera wiele drzwi, gdyż angielskie złoto jest tu bardzo cenne. - Jack uśmiechnął się, słysząc te słowa. Miał w kieszeni dużo, a nawet zaskakująco dużo pieniędzy, dosyć, by zapewnić załodze „Ariela” umiarkowaną wygodę na czas przemarszu. Wiedział też, że Stephen również ukrył ciężką, niewygodną sakiewkę z gwineami pod ubraniem. Były to fundusze, które na wszelki wypadek zabrał ze sobą na Bałtyk, a które okazały się jak do tej pory całkowicie zbędne. - Przydać się może również dobry nóż lub marszpikiel, a w ostateczności również rożek takielarski - ciągnął Hyde. - A także...

- Pewna młoda dama do monsieur Jagiełły - oznajmił naraz strażnik z szerokim uśmiechem, po czym odsunął się od drzwi i wszyscy ujrzeli zarumienioną dziewczynę, która stała z koszem krytym płótnem, zwieszając nisko śliczną główkę. Oficerowie podeszli do okna i wszczęli rozmowę, która miała udawać swobodną konwersację na luźne tematy, lecz mało kto powstrzymał się od rzucania ukradkowych spojrzeń na młode dziewczętko.

Zgoła nikt też nie mógł udawać, że nie słyszy samego Jagiełły.

- Ależ moja droga, droga mademoiselle! - wykrzykiwał. - Prosiłem jedynie o pudding i jabłka, a tu widzę foi gras, homara w panierce, kuropatwę, trzy rodzaje sera, dwa gatunki wina, placek z truskawkami...

- Sama go zrobiłam - powiedziała młoda dama.

- Jestem przekonany, że smakuje cudownie, ale z pewnością mnie na niego nie stać!

- Musi pan zachować siły. Zapłaci pan kiedy indziej... Może w jakiś inny sposób... Jak pan będzie chciał.

- Lecz jak? - wykrzyknął szczerze zdumiony Jagiełło. - Ma pani na myśli czek?

- Niech pan wejdzie do korytarza - odpowiedziała dziewczyna, jeszcze bardziej czerwona niż przed chwilą.

- O, tu jesteś! - zawołał Jack, wciągając Stephena do sąsiedniego pokoju. -

Wczoraj były doskonałe paszteciki z truflami, a jutro bez wątpienia zamiast puddingu dostanie tort weselny. Doprawdy nie rozumiem, co one w nim widzą.

Dlaczego upatrzyły sobie akurat Jagiełłę, a innych ignorują? Weźmy na przykład takiego Fentona. To przystojny, uczciwy chłopak z takimi bokobrodami, że lepszych w całej marynarce nie znajdziesz,

zarostem tak gęstym, że musi się golić dwa razy dziennie, silny jak wół, a do tego jeszcze doskonały żeglarz, lecz dla niego jakoś pasztecików nie ma. Nie to ci wszakże chciałem powiedzieć. Pułkownik uciekł.

- Wiem - powiedział Stephen, który odwiedził zamek w towarzystwie lekarza okrętowego „Ariela”.

- Tak właśnie sądziłem, ale nie wydajesz się zbyt zatroskany.

- Bo nie jestem - rzekł Stephen i dodał po chwili: - Nigdy go nie widziałeś w pełni sił. Morze nie jest jego żywiołem, poza tym za dużo gada, przez co można go wziąć nawet za nadętego bufona, ale zapewniam cię, mój drogi, że jako guerrillero nie ma sobie równych. Na łądzie ten człowiek jest prawdziwym lisem. Prześlizgnie się przez żywopłot niczym prawdziwy wąż, a podczas gdy ty będziesz przetrząsał zarośla i zaglądał do rowów, on już będzie kilometr dalej, ukryty za stogiem siana. Kiedyś wyznaczono za niego nagrodę stu uncji złota, ale mimo tego przebył drogę z Tarragony do Madrytu i poderżnął tam gardło pewnemu zdrajcy, gdy ten pogrążony był we śnie. Ma sporo pieniędzy i bogate doświadczenie. Przekroczy granicę na długo, zanim my trafimy do Verdun.

- Bardzo przepraszam, sir - odezwał się stojący w drzwiach Hyde. -

Podano do stołu.

Swe posiłki jadali w surowej komnacie, która swego czasu musiała być rozmównicą mniszek. Pomieszczenie nie zmieniło się wiele od tego czasu -

Francuzi wstawili jedynie mocniejsze kraty w oknach i wywiercili wziernik w zewnętrznych drzwiach, a na ścianach pojawiły się inskrypcje po angielsku:

„J.B. kocha PM.”, „Bates to dureń”, „Brak mi Amandy”, „Najpiękniejsza jest Laetitia”, „Podoficer nawigacyjny J.S., wiek: 47”. Na stole pojawił się obiad, pochodzący z najlepszej, polecanej przez komendanta gospody w mieście, jedynie Jagiełło wybrał dla siebie jedzenie z najtańszej jadłodajni. Ich obiad nie mógł jednak równać się z tym, którym uraczono Jacka. Składało się nań Jedyńie” kilka okoni, dwie sztuki drobiu, comber barani i pół tuzina przystawek, a także omlet z bitą śmietaną.

- Baranina była znośna - stwierdził Jack, obracając talerz z omletem. -

Choć powinna zostać podana z galaretką z porzeczeki. Francuzi mogą sobie mówić, co chcą, mogą sobie być wielkim narodem, ale o deserach nie mają pojęcia. Wszystko to tylko czcze przechwałki i puste słowa.

Stephen uniósł wzrok znad talerza i ujrzał, jak wziernik nad ramieniem Jacka staje się ciemny. Pojawiło się w nim oko, które przyglądało im się przez dłuższą CHWILĄ badawczo, bez wyrazu, prawie nie mrugając. Po chwili zastąpiło je inne, niebieskoszare, podczas gdy pierwsze było ciemne. Oboje oczu przyglądało im się na zmianę przez resztę posiłku, gdy Jack raczył się brandy. Stephen nie odwrócił się w kierunku drugich drzwi, lecz był prawie pewien, że przyglądano im się również przez drugiego judasza, tym bardziej, że można było przezeń ujrzeć cały pokój pod innym kątem. Nie był więc szczególnie zaskoczony tym, że Jack, Jagiełło oraz on sam wkrótce zostali wezwani do

biura komendanta. Nie zdziwiła go nawet nagła zmiana nastawienia Francuzów, które jak dotąd było dość życzliwe, a nawet przyjazne.

W pewnej odległości od biurka komendanta zasiadał jakiś cywil w średnim wieku, ubrany w wytartą marynarkę i dość biały fontaż. Miał posiwiałe włosy oraz ciemne oczy i Stephen nie mógł się oprzeć wrażeniu, że skądś pamięta jego twarz. Nie brał udziału w rozmowie, ale nasłuchiwał z uwagą jakby znajdował się daleko stąd. Komendant zaś przybrał bardzo formalny ton, chcąc ukryć swe zażenowanie, lecz nie udało mu się go dobrze zamaskować.

Zadał Jackowi serię pytań, które bez najmniejszej wątpliwości zostały wcześniej przygotowane. Chciał wiedzieć, skąd płynął ich okręt, dokąd zmierzał, jakim płynął kursem, kiedy wyruszył, jaki konwój eskortował i tym podobne.

Jack natychmiast przybrał pozę jeszcze bardziej sztywną i formalną od samego komendanta. Spojrzał nań chłodno i oznajmił:

- Drogi panie, przedstawiłem już panu mój stopień nadany mi przez króla i przekazałem liczebność załogi „Ariela”. Wedle prawa wojennego schwytany w niewolę oficer nie ma obowiązku zdradzać niczego więcej. Proszę więc wybaczyć, ale mimo wielkiego osobistego szacunj^u. jaki do pana żywię, zmuszony jestem odmówić udzielenia odpowiedzi na te pytania.

- Zanotuj odpowiedź - rzucił komendant do swego sekretarza, a następnie zwrócił się do Stephena: - Czy to pan jest owym dżentelmenem, który ostatnio został zaproszony do wygłoszenia mowy w Instytucie?

- Obawiam się, że nie mogę zaspokoić pańskiej ciekawości, sir - rzekł

Stephen. - Moja odpowiedź pozostaje taka sama jak odpowiedź kapitana Aubreya.

Obaj poczuli ukłucie niepokoju, jak zachowa się Jagiełło, ale młodzieniec okazał się nie w ciemię bity i powtórzył ich słowa z równą stanowczością.

- Jestem zmuszony stwierdzić, że odpowiedzi panów bynajmniej nie są satysfakcjonujące - oznajmił kapitan. - Muszą więc panowie zostać natychmiast przewiezieni do Paryża, gdzie poddani zostaniecie kolejnym przesłuchaniom.

Zadzwonił swym dzwonkiem, by przywołać służącego i nakazał mu przynieść dobytek trójki jeńców.

- Natychmiast, sir? - wykrzyknął Jack. - Lecz pozwolicie mi chyba zobaczyć się z moją załogą przed wyjazdem, prawda? Nie zająłem się jeszcze sprawami ich zaprowiantowania... Apeluję do pana jako oficera oraz żeglarza, muszę zamienić z nimi choć słowo i wesprzeć ich w niedoli. Apeluję do pana jako kapitana. Przecież dowódca nie może zostawić swoich ludzi na mieliźnie!

- Nie ma czasu - rzekł Francuz. - Powóz już czeka. Mam swoje rozkazy: jeśli nie udzielicie mi satysfakcjonujących odpowiedzi, macie bez chwili zwłoki zostać zabrani do Paryża.

- A zatem przynajmniej proszę, by okazał pan życzliwość i przekazał to tutaj odpowiedzialnemu

człowiekowi o nazwisku Wittgenstein - rzekł Jack, wyciągając swą sakiewkę i kładąc ją na biurku komendanta. - Proszę nakazać mu, by sprawiedliwie rozdzielił zawartość tej sakiewki na czas przemarszu.

Komendant spojrział na cywila, który wzruszył ramionami.

- Spełnię pańską prośbę, kapitanie - rzekł. - Życzę panu i pańskim towarzyszom miłego dnia. Pan Duhamel odprowadzi panów do powozu.

Przez dni i noce ich podróży Stephen nie przestawał rozmyślać nad swą sytuacją. Miał na to mnóstwo czasu, gdyż obecność Francuza uniemożliwiała jakiegokolwiek swobodne rozmowy, a on sam odzywał się niewiele. Duhamel nie był człowiekiem nieprzyjemnym czy oschłym, nie patrzył na nich z góry ani nie zmuszał do posłuszeństwa, a mimo że okazywał małomówność i powściągliwość, wcale nie emanował wrogością. Siedział wciśnięty w swój ką, przyglądając się bez zainteresowania mijanym krajobrazom lub licznej eskorcie na zacnych koniach, lecz wydawał się być daleko stąd, wręcz w innym świecie, skąd przyglądał im się z obiektywnością naturalnego filozofa, studiującego mikroby pod mikroskopem. Od czasu do czasu Stephenowi udawało się zauważyć, że Francuz mu się przygląda. Odnosił wówczas wrażenie, że wyczuwa u niego skrywane rozbawienie oraz zrozumienie, które czuje profesjonalista w ich zawodzie, widząc kolegę w trudnym położeniu. Spojrzenie ciemnych oczu Francuza umykało jednak natychmiast i powracał on do przyglądania się krajobrazom mijanych prowincji. Duhamel wydawał się bowiem całkowicie odporny na nudę, znużenie długimi przejazdami i inne ludzkie słabości z wyjątkiem przestrzegania pór posiłków.

Na początku podróży zaproponował, że ich współpraca stałaby się o wiele łatwiejsza, gdyby dali słowo honoru, iż nie podejmą prób ucieczki, co było i tak czystą formalnością gdyż powozu strzegł oddział kawalerzystów.

Na obiady i kolacje Duhamel zwykł zatrzymywać się w najlepszych karczmach w mijanych miastach, wprzód wysyłając gońca, by ten zarezerwował prywatny pokój oraz zamówił wszystkie szczególne potrawy, z których słynęło dane miasto wraz z różnymi gatunkami wina. Jadał przy osobnym stole i ani na chwilę nie porzucał swej nieprzeniknionej rezerwy, ale podsyłał swym więźniom co lepsze potrawy, jak na przykład nerkówki cielejące w małmazji, flaczki tak pyszne, że wręcz nie można było się nimi nasycić, czy skowronki bez kości, zapiekane w cieście. Ci zaś przywykli całkowicie polegać na jego ocenie, choć zaskakiwało ich to, że Francuz zamawia ogromne ilości potraw, zjada je wszystkie i z wyrazem satysfakcji na twarzy wyciera talerz chlebem. Był raczej szczupłym człowiekiem i nie wydawał się cierpieć żadnych konsekwencji z powodu ogromnych ilości jedzenia i picia, które pochłaniał dwa razy na dzień. Stephen nie dostrzegał żadnych śladów zaburzeń pracy trzustki bądź śledziony, a jego wątroba również funkcjonowała prawidłowo, Francuz nie wyglądał nawet na przeciążonego po przejedzeniu. Widok zajadającego Duhamela zdumiewał bez reszty, lecz podsyłane im jedzenie było wspaniałe i po dwóch takich ucztach nastrój Jagiełły, który podupał nieco na duchu ze względu na milczenie starszych, poprawił się nieco i młodzieniec zaczął

podśpiewywać cicho pod nosem. Gdy wsiedli do powozu, po trzeciej uczcie, Litwin bawił się niewielkim rogim, podarowanym mu przez młodą damę w Lamballe. Niespodziewanie powstał, natchniony blaskiem słońca, i opuścił

okienko w powozie z zamiarem wygrania salutu.

Duhamel siedział w swym kącie, pozornie zatopiony w zadumie, trawiąc potrawkę z młodego indyka. Nim Jagiełło opuścił okno do połowy - przez powstałą w ten sposób szparę nie precyzyjnie się nawet szczyły, zręczny młodzieniec - w dłoni Francuza błyskawicznie pojawił się rewolwer z odwiedzionym kurkiem, wycelowany prosto w Litwina. Stephen zauważył, że broń pomalowano szarą, matową farbą.

- Siadaj - rozkazał Duhamel.

Jagiełło usiadł raptownie.

- Ale ja tylko chciałem wygrać salut - rzekł przestraszony, po czym dodał

z większą godnością: - Zapomina pan, że dałem słowo honoru.

Z twarzy Francuza zniknął wyraz bezbrzeżnej dzikości, ale w spojrzeniu pojawił się cynizm i brak złudzeń.

- Wygra pan swój salut podczas postoju. Nie w powozie - rzekł. - Ci panowie mogą mieć przecież ochotę na przemyślenia.

Dla trójki jeńców było to jedyne zajęcie, poza snem, który upodobał sobie zwłaszcza Jack. Aubrey miał spore zaległości z rejsu, a ponadto toczył swoistą rywalizację w żarłoczności z milczącym Francuzem, przez co również ciążyły mu powieki. Co więcej, w wyniku owego współzawodnictwa ucierpiała także jego wątroba, a wraz z nią cały system przemiany materii. Większość sosów w Bretanii robiono na ogromnych ilościach śmietany, a w Normandii sytuacja przedstawiała się jeszcze gorzej, przez co ich postoje stawały się coraz częstsze.

Pomimo że w powozie znajdowały się dwa nocniki pod siedzeniami, wrodzona skromność nakazywała Jackowi załatwiać się za żywoplotem lub przynajmniej za rozrośniętym krzakiem, a podirytowani pocztylioni musieli zjeżdżać na pobocze co kilka kilometrów.

W Alençon Duhamel wreszcie popełnił błąd w ocenie. Gdy wchodził do kuchni, jego przenikliwy wzrok padł na garnek z rakami słodkowodnymi. Choć nie trzymano ich tam wystarczająco długo, by oczyściły się z mułu, w którym żerowały, Francuz nakazał natychmiast je ugotować.

Proszę ugotować je bardzo lekko, starczy zanurzyć w gotującej wodzie, rozumiesz? Cóż za wspaniałe, tłuszczCIUTKIE raki! Dłuższe gotowanie odebrałoby im smak, co byłoby straszną zbrodnią.

Rozważania Stephena całkiem odebrały mu apetyt, ale Jagiełło, który nie odczuwał potrzeby dłuższego rozmyślenia, zjadł ich sporo. Jack dotrzymał mu kroku, mrużąc, że nie pozwoli, by jakiś Francuz prześcignął go w jedzeniu.

Problemy zdrowotne trapiły go już od jakiegoś czasu, tak więc porcja zjedzonych raków błyskawicznie sprowadziła nań rozstrój żołądka, co stało się dla wszystkich podróżnych tak uciążliwe, że Duhamel zaproponował w końcu, by doktor Maturin przepisał mu jakieś lekarstwo lub

przedsięwzięcia inne, stosowne kroki. Stephen oczekiwał tej chwili z narastającą niecierpliwością.

- Dobrze - powiedział, pisząc coś na kolanie. - Gdyby więc był pan uprzejmy i nakazał jednemu ze swoich ludzi zawieźć to do apteki, sądzę, że wkrótce będziemy mogli ruszyć w dalszą drogę w warunkach bardziej zbliżonych do wygody.

Duhamel zerknął na tajemnicze, niezrozumiałe dlań bazgrały, zastanowił

się przez chwilę i zgodził. Jeden z kawalerzystów oddalił się galopem i wrócił

po jakimś czasie z instrumentem do lewatywy dla konia oraz kolekcją buteleczek najrozmaitszej wielkości. Wkrótce ruszyli w dalszą drogę, tym razem już bez nagłych, niespodziewanych postojów i alarmujących krzyków: „Tam!

Tam jest krzak!”. Jack przespał większą część podróży pod wpływem ulubionej przez swego lekarza nalewki laudanum, potężnego narkotyku, którego nadużycie ongiś niemal położyłoby kres karierze Stephena. Mimo tego lekarz nadal uważał laudanum za jedną z najcenniejszych substancji farmakologicznych.

Ucieszył się zresztą na widok butelki z narkotykiem, gdyż lubił mieć go przy sobie, pomimo że sam nie czuł już pokusy. Gdy na krótko przed dotarciem do Verneuil rozwolnienie dopadło również Jagiełłę, a potem poddały się żelazne jak dotąd jelita Duhamela, nakazał obojgu wypić porcję. W tej sytuacji mógłby z łatwością wyeliminować Francuza, gdyż dzięki owej recepcie odnowił również swój zapas substancji zsyłających nagłą śmierć - starczyłaby mu jedna fiołka, by zabić pięćdziesięciu Duhamelów i jeszcze by coś w niej zostało - lecz przy tak licznej eskorcie nie na wiele by się to zdało. Poza tym nigdy jeszcze świadomie nie skrzywdził człowieka podczas wypełniania swych powinności lekarskich i wątpił, czy był w ogóle do tego zdolny, obojętnie w jakich okolicznościach.

Powóz z czwórką podróżnych, z których trzech pościło i co chwila zapadało w sen, toczył się już wśród krajobrazów Ile de France, a Stephen powrócił do swych rozważań. Ogromną wadą ich obecnej sytuacji było to, że spędził wiele czasu poza Europą i wiedział bardzo niewiele o ostatnich wydarzeniach we Francji, a zwłaszcza o kwestiach związanych z różnymi gałęziami działalności wywiadu. Zdawał sobie rzecz jasna sprawę, że jeśli chodzi o złożoność, zazdrośną rywalizację oraz walkę o wpływy i sekretne fundusze francuskie służby wywiadowcze zakasowały nawet brytyjskie. Własny wywiad miały tu armia i marynarka, a ponadto osobnymi agencjami wywiadowczymi dysponowały również Wielka Rada, policja oraz ministerstwo spraw zagranicznych, spraw wewnętrznych i sprawiedliwości. Żadna z tych służb nie ufała do końca innym, nie mówiąc już o rozlicznych, rzekomo autonomicznych organizacjach, spadkobiercach secret du roi⁵², którym powierzono zadanie nadzorowania innych służb i siebie nawzajem. Dochodziło w ten sposób do absurdów - psy łańcuchowe pilnowały inne i można było odnieść wrażenie, że przynajmniej połowa narodu francuskiego składa się z donosicieli. Wiedział również, że Talleyrand, Fouche i Bertrand zostali nominalnie pozbawieni urzędów, ale nie miał pojęcia, ile nadal zachowali wpływów ani jacy agenci wciąż dla nich pracowali. Jedyne, czego był pewien, to to, że imię ich brzmi Legion. Nie orientował się, kto w danej chwili naprawdę dzierżył ster władzy, nie potrafił też odgadnąć, czym więźniem tak naprawdę się stał.

Był jednak w miarę pewny jednego - jeśli wpadł w szpony wywiadu armii, poddany zostanie torturom. Jeśli stał się jeńcem następcy Fouche, niewykluczone, że czekał go podobny los, nawet jeśli jedynym jego motywem byłaby zemsta - wydział ten wielce ucierpiał w wyniku jego działalności -

niemniej w niewoli wywiadu wojskowego prawdopodobieństwo to bardzo się zwiększało. Podstawowym argumentem armii zawsze była siła fizyczna, stąd też w wielu służbach tego typu, nie tylko francuskich, tortury były powszechnie stosowane. Stephen raz już został im poddany, choć jego kaci nie pokazali wówczas maksimum swych możliwości, i lękał się powtórki tego doświadczenia. Wytrzymał kaźń w Port Mahoń, ale był wtedy człowiekiem młodszym i mniej znękanym przez życie, a co więcej, kierowała nim najsilniejsza znana mu motywacja - pragnienie ocalenia katalońskich grup ruchu oporu. W tej chwili nie miał już pewności, jak się zachowa podczas kolejnych tortur. Żaden człowiek przecież nie mógł być pewien swej odwagi, a skrajny ból mógł każdego sprowadzić do pozycji wyjącego, zniewolonego zwierzęcia, gotowego pójść na jakiegokolwiek ustępstwa za choćby chwilę ulgi. Miał nadzieję, że wytrzyma cierpienia, a nawet sądził, że zdoła tego dokonać, o ile będzie czerpał siły z gniewu i pogardy, lecz czuł radość, ogromną radość, że ma przy sobie niewielką fiolkę z ciemnozielonego szkła, w której kryła się ucieczka.

Zdecydowanie nie był już tak przywiązany do swego życia jak wtedy, w Port Mahoń, kiedy to oprócz działalności politycznej oddał całe swe serce Dianie. Mimo tego nie chciał stracić go w brudzie i nędzy izby tortur, przepełnionej dzikim podnieceniem katów oraz falami nienawiści - żeby usprawiedliwić swe czyny, kaci zobowiązani byli bowiem nienawidzić swe ofiary, a te rzecz jasna odpłacały im się tym samym. Diana Villiers... Gdy przebywał w niewoli w Port Mahoń, nie łączyło ich zupełnie nic, gdyż wcześniej umknęła z Richardem Canningiem, lecz pamięć o niej stała się dla niego niewiarygodnie silnym wsparciem. Diana stała się dla niego wówczas biegunem, który zwrócił igłę jego życia ku północy i nadał owemu wskazaniu sens, jakiego brakowało w chwili, gdy jej rządy nad jego sercem nagle się urwały.

Myślał o niej sporo, gdy dotarli do Paryża. Nie wątpił, że Diana wciąż tu była i nadal mieszkała w Hotel de La Mothe, miał wyprowadzić się na wieś.

Trzeba było naprawdę ważnych powodów, by Diana porzuciła najmodniejsze sklepy na świecie po tak długiej nieobecności, i choć Stephen był przekonany, całkowicie przekonany, że za nic w życiu nie rozstałaby się ze swoim wielkim diamentem, który sam w sobie stanowił fortunę, sprzedaż pozostałych umożliwiłaby jej długie lata życia w luksusie. Podczas pobytu w Paryżu nie zdradzili nic z łączących ich więzi - Stephen był dla Diany zaledwie towarzyszem podróży, lekarzem oraz opiekunem - i nawet gdyby policja odkryła prawdę, w co szczerze powątpiewał, sam fakt, że znajdowała się pod opieką La Mothe'a, chronił ją przed wszelkimi nieprzyjemnościami. W

ostateczności mogła zostać poddana formalnemu przesłuchaniu, ale dobrze wiedziała, jak sobie z tym poradzić. Zdaniem Stephena reputacja francuskiej policji, z wyjątkiem spraw kryminalnych, była mocno przesadzona. Sam bowiem zdążył się już przekonać, że miejscowi policjanci pracują powoli i mało wydajnie. W sprawach dotyczących ludzi bogatych działali nieskutecznie i bez przekonania, a co więcej, zżerała ich korupcja i szachowały konkurencyjne służby.

Ruch uliczny po obu stronach powozu stawał się coraz bardziej ożywiony. Myśli Stephena zaczęły znów krążyć wokół przyczyn ich obecnej sytuacji i możliwych linii obrony. Aresztowanie jego osoby

było jak najbardziej zrozumiałe, ale podobne traktowanie Jacka oraz młodego Jagiełły wydawało się być pozbawione sensu. Chyba że... W jego umyśle jedna po drugiej zaczęły przesuwać się kolejne hipotezy, z których żadna nie wydawała się w pełni przekonująca.

Po minięciu Wersalu, gdy ruch stał się jeszcze gęstszy, Duhamel zamknął drzwi powozu od środka.

- O Boże! - zawołał Jack, otrząsając się z drzemki. - Będę musiał wyjść za potrzebą!

- Ja też! - rzekł Jagiełło.

Duhamel zawahał się, niecierpliwie obracając klucz w palcach i wyglądając za okno, gdyż jego również dręczyła natarczywa potrzeba. Nie, tutaj było to wykluczone. Promienie popołudniowego słońca opromieniały ulicę zatłoczoną pieszymi i powozami. Nigdzie nie było ani śladu krzaka bądź innej osłony. Podirytowany Francuz krzyknął na eskortujących ich kawalerzystów, by oczyścili drogę przed powozem, a pocztylionom kazał powozić szybciej.

- Już niedługo - powiedział z niecierpliwością co było pierwszym ludzkim odruchem od początku ich wspólnej wyprawy, po czym na powrót opadł w swój kącik, przyciskając dłonie do burczącego, pulsującego brzucha i mocno zaciskając pobladłe wargi.

Dlaczego aresztowano Jacka? Stephen nie potrafił tego pojąć. Dobrze pamiętał powszechny jęk zgrozy i potępienia, który rozległ się po uwięzieniu i niemal pewnym zamordowaniu kapitana Wrigtha w 1805 roku, a przecież stopień nieszczęsnego Wrighta pozwalał mu jedynie na dowodzenie jednostkami nieklasyfikowanymi. Jack zaś był kapitanem mianowanym i to znajdującym się stosunkowo wysoko na liście oficerów do awansu. Nie był, rzecz jasna, człowiekiem wielkim, nie miał rangi admirała, lecz był dowódcą na tyle znaczącym, by nie musieć obawiać się złego traktowania, chyba że Francuzi znajdą ku temu jakiś niezwykle przekonujący pretekst. Jeśli zaś chodziło o niego samego, Stephen nie był człowiekiem nieznanym w świecie nauki. Nie miał co prawda europejskiej sławy, ale mimo to... Gdyby mógł w jakiś sposób rozgłosić swą obecność w Paryżu, z pewnością zapewniłby sobie tym pewną ochronę, choć jeśli chodziło o niego, znacznie łatwiej byłoby ów pretekst znaleźć.

Oczywiście przy założeniu, że Francuzi naprawdę wiedzieli, kim Stephen jest i czym się zajmuje. Z dużym zadowoleniem doszedł do wniosku, że podczas swego pobytu w Paryżu nie zrobił niczego, co wiązałoby się ze złamaniem zasad neutralności, lecz jego satysfakcja zgasła po chwili. Francuzi potrzebowali jedynie pretekstu, a takowy stworzyć mogło jakiegokolwiek drobne krzywoprzysięstwo bądź fałszerstwo. Książę d'Enghien został przecież rozstrzelany na podstawie fałszywych dokumentów, a był osobą o wiele, wiele bardziej znaczącą niż Stephen. Wystarczy pretekst... Dyktatury są absurdalnie przewrażliwione w kwestii opinii publicznej, którą bezustannie oszukują. Każdy dyktator przecież musiał pokazać, że ma rację, musiał przedstawić siebie jako człowieka o nienagannej postawie moralnej. Z tego właśnie powodu ludziom, którzy zostawali okaleczeni podczas przesłuchań, rzadko pozwalano ujść z życiem, obojętnie czy przekazali skrywane informacje, czy też nie. Ile oni w rzeczywistości wiedzieli? I kim tak naprawdę byli owi „oni”? Stephen uparcie analizował każdą wątplą poszlakę: zażenowanie komendanta, postawę, jaką przybrał wobec nich

Duhamel, obecny rozwój wydarzeń na wojnie przedstawiony przez „Moniteur”, nastroje ludzi dostrzeżonych po drodze i fragmenty podsłuchanych rozmów. Powóz jednak już dawno przekroczył rzekę i toczył się po oświetlonych lampami ulicach Paryża, co częściowo zaprzętnęło myśli Stephena. Sporo powiedziałby mu już sam wybór więzienia. Duhamel wydał z siebie zduszony jęk.

Minęli zakręt, który zaprowadziłby ich do Faisanderie i Stephen pokiwał

głową. A zatem nie byli w chwili obecnej więźniami generała Dumesnila.

Jechali naprzód, nie przekraczając rzeki, aż dotarli do Conciergerie⁵³, następnie minęli Châtelet, aż w końcu wzięli ostry zakręt w lewo, skwitowany kolejnymi rozpaczliwymi jękami, i zatrzymali się w ciemnym podwórzu. To mogło być tylko Tempie, choć otaczające powóz budowle wydawały się wykrzywione i osobliwie zdeformowane. A zatem Tempie, z pewnością więzienie, choć bez wątpienia nie kierowane przez armię.

Ich wejście do tej ponurej, starej fortecy nie przypominało żadnego innego, które Stephen widział w swym życiu. Duhamel otworzył drzwi powozu, zanim ten się zatrzymał, i wyskoczył na zewnątrz, a za nim runęli Jack i Jagiełło, który w pośpiechu wpadł na Stephena i zgniótł większą z jego butli.

Francuz pognał w kierunku ogromnej, wypiętrzonej wysoko strażnicy, gdzie pośród rusztowań oraz wiader zasiadali ci, których zadaniem było odbieranie przywiezionych więźniów. Obaj jeńcy następowali mu na pięty. Całą trójką, bladzi i poważni, gnani nieubłaganą potrzebą, przemknęli obok zastępcy kierownika, jego sekretarza oraz strażników więziennych i zniknęli w ciemnym korytarzu.

Zapomniany Stephen zatrzymał się obok stosu starych kamieni, pośród zadziwionych strażników.

- Cóż się stało monsieur Duhamelowi? - spytał zastępca kierownika, trzymający listę w ręku.

- Sądzę, że gna go poważna potrzeba - rzekł Stephen. - Niechże mi pan powie, co się dzieje ze starym, dobrym Tempie?

- Cóż, drogi panie, wreszcie go rozbierają! - stwierdził urzędnik, po czym przyjrzał się Stephenowi badawczo. - Nie sądzą, byśmy zostali już sobie przedstawieni - dodał.

- Łatwo temu zaradzić - oznajmił Stephen, kłaniając się. - Nazywam się Maturin, do pańskich usług.

- Ach, monsieur Maturin! - wykrzyknął zastępca kierownika, zerkając na swą listę. - W rzeczy samej. Proszę o wybaczenie. Wziąłem pana za... Proszę więc okazać uprzejmość i udać się z tymi panami celem dopełnienia niezbędnych formalności.

Stephen odwiedził już wiele więzień, lecz wszystkie one znajdowały się pod ziemią, tak więc poczuł zdziwienie, gdy po serii niezbędnych formalności, zakończonej skrupulatną, profesjonalną rewizją, poprowadzono go wraz z towarzyszami pod górę. Ich wędrówka trwała dłuższą chwilę, aż w końcu znaleźli się w rozbrzmiewającym echem korytarzu, którym dotarli do trzech leżących obok siebie komnat. W mdłym świetle latarni ujrzeli, że w dwóch z nich znajdowały się sienniki, a w trzeciej łóżko. Drzwi zatrzasnęły się i zostali uwięzieni w ciemnościach.

Jagiello, którego młode jelita szybko doszły do siebie po ostatnim kryzysie, był jedynym, który spokojnie przespał długą, ciemną noc pełną przeciągów. Jack, nadal cierpiący straszliwe katusze, ledwie co pospał, Stephen również miał niespokojny sen. Dopiero gdy przez okna zaczęło wpełzać szare światło świtu, mieli okazję po raz pierwszy lepiej przyjrzeć się swoim celom.

Były to trzy niewiarygodnie brudne, łączące się ze sobą pokoiki, każdy z zakratowanym oknem wychodzącym prosto na ogromny, wysoki mur, wznoszący się nad wyschlą fosą. Każdy z nich miał również drzwi z wziernikiem, wychodzące na korytarz. Przy tyłu drzwiach i oknach na tak wielkiej wysokości skomplikowane przeciągi były czymś nieuniknionym, lecz bynajmniej nie była to największa niedogodność. Na lewej ścianie w pierwszym pokoju znajdowały się jeszcze jedne drzwi - zaślepione i przybite na stałe z drugiej strony - oraz oparty na wspornikach występ, wychodzący z samej wieży, najprawdopodobniej jakiś prymitywny wychodek, pochodzący jeszcze z czasów templariuszy. W jego podłodze znajdowała się ogromna dziura i ilekroć powiało z północy bądź wschodu, wiatr wpadał tędy z wyciem do środka.

Wiele wskazywało na to, że do niedawna wszystkie trzy cele zamieszkiwał jeden, dość znaczący więzień, gdyż w pierwszej komnacie znajdowało się wygodne łóżko oraz umywalka z kranikiem, przez który ciekła woda z cysterny, druga służyła jako jadalnia, a trzecia jako gabinet bądź pokój muzyczny - w kącie wciąż leżały podarte książki i zepsuty flet. Wnioskując po tłustych śladach na głęboko porytej ławeczce pod oknem, pozostawionych bez wątpienia zarówno przez niego, jak i całe pokolenia innych więźniów, właśnie tam spędzał większość czasu. Było to zresztą jedyne okno, z którego trójce więźniów udało się cokolwiek zobaczyć, gdyż pozostałe uznać raczej należało za szczeliny wentylacyjne w grubych, tchnących zimnem ścianach fortecy.

Wychyliwszy się tak mocno, że ich twarze dotykały wręcz krat, mogli dostrzec fosę, otaczający ich mur oraz cały rząd ustępów na wspornikach, ciągnących się po lewej stronie. Pod każdym z nich rosła bujna roślinność, czerpiąc jak widać ogromne korzyści z sześciu wieków nawożenia.

Taki to widok roztoczył się przed ich oczyma pierwszego poranka w nowej niewoli. Wychyliwszy się daleko, Stephen stwierdził, że znaleźli się w wieży Courcy, najprawdopodobniej od strony rue des Neuf Fiances.

- A wielka wieża znajduje się za nami - zakończył.

- Jaka wielka wieża? - zainteresował się Jagiello.

- Wielka wieża Tempie. Tej samej Tempie, gdzie więziono króla oraz większość jego rodziny.

- Tej samej Tempie, gdzie zabito nieszczęsnego Wrighta - stwierdził

ponurym głosem Jack i obrzucił wchodzącego strażnika ciężkim, niebezpiecznym spojrzeniem. Ten zaś, pobrząkując kluczami, zapytał, czy mają ochotę na więzienne racje czy też woleliby zamówić jedzenie gdzieś poza twierdzą. W wyniku przeszukiwania skonfiskowano im bowiem niebezpieczne przedmioty, takie jak brzytwy oraz zaskakująco sporą ilość pieniędzy, przechowywaną przez Stephena - Francuzi nie odnaleźli jedynie fiołki z trucizną, gdyż w tym celu musieliby dokładnie przeszukać intymne części jego ciała - lecz na wszystko wystawiono im kwit. Dzięki temu

rozwiązaniu więźniowie mogli pobierać odpowiednie sumy na jedzenie oraz na wszystkie wygody, na które otrzymaliby zgodę. Nie mogli na przykład sprowadzać alkoholu oraz żadnych publikacji, wyjątkiem był tu tylko „Moniteur”.

- Mogą panowie poprosić o swe racje więzienne - powiedział strażnik. -

Mogą też zdecydować się na zakup własnych zapasów poza twierdzą. W tej sytuacji Rousseau jest na usługi waszmościów - zakończył, poklepując swe wielkie brzuszysko. - Oczywiście za skromną, bardzo skromną opłatą.

Ich strażnik był mężczyzną w średnim wieku, na pierwszy rzut oka dręczonym zgryzotą i raczej nie należącym do najbystrzej szych, ale sumę skonfiskowaną więźniom znał co do grosza. Wietrzył w tym dla siebie niezły zarobek i dlatego przybrał możliwie najbardziej uprzejmą postawę, lecz tak czy owak w jego nieodgadnionej twarzy z szerokimi kośćmi policzkowymi na próżno by szukać zła czy okrucieństwa. Dopatrzeć się można było jedynie wielkiego smutku.

- Ja poproszę o moją rację - rzekł Jagiełło, który był bez grosza.

- Nonsens - stwierdził Stephen i zwrócił się do Rousseau: - Oczywiście poprosimy o jedzenie spoza twierdzy, ale istnieje znacznie ważniejsza sprawa.

Otóż chciałbym pana prosić, by powiadomił pan lekarza, że ten dżentelmen tutaj pilnie potrzebuje jego opieki.

Rousseau powoli zwrócił głowę w stronę Jacka, którego twarz w istocie pokryła trupia bladość, i zaczął się zastanawiać.

- Ale my nie mamy lekarza - stwierdził po chwili. - Ostatni rzucił posadę trzy tygodnie temu. Wierzyć mi się nie chce, że kiedyś mieliśmy ich tu siedmiu i własną aptekę do tego. Ech, niech to wszystko szlag trafi.

- Proszę więc przekazać moje serdeczne pozdrowienia zastępcy kierownika i powiedzieć mu, że byłbym szczerze zobowiązany, mogąc z nim porozmawiać przy najbliższej okazji.

Owa okazja przytrafiła się znacznie szybciej, niż się Stephen spodziewał.

Rousseau wrócił po paru minutach w asyście dwóch żołnierzy i poprowadził go na dół przez wiele kondygnacji schodów. Dozorca był nadal w kiepskim nastroju, lecz zatrzymał się przy jednym szczególnie ostrym zakręcie i pokazał

mu płytkie wgłębienie w kamiennej podłodze.

- To tu zawsze opieraliśmy trumny przed wzięciem tego nieszczęsnego zakrętu - oznajmił. - Niech pan uważa na nogi. Wierzyć mi się nie chce, że kiedyś mieliśmy własnego stolarza do robienia trumien. Nie było dnia, żeby nie miał rąk pełnych roboty.

Kierownik przybrał bardzo formalną i sztywną pozę, daleką jednak od oschłości czy wyniosłości, i

Stephen odniósł wrażenie, że w jego głosie wyczuwa coś bardzo zbliżonego do pojednawczego tonu, a w jego postawie ten sam trudny do sprecyzowania niepokój, który zauważył w całej Francji.

Wydawało mu się, że jest to nie do końca świadome przeczucie, iż być może wcale nie znajdują się po zwycięskiej stronie. Kierownik oczywiście wyraził

swój żal z powodu braku etatowego lekarza i zaproponował wezwanie pomocy z zewnątrz.

- Choć przecież pan również jest doktorem - stwierdził. - Gdyby sporządził pan wykaz potrzebnych leków, natychmiast pošlę do apteki.

Sugestia kierownika burzyła jednak cichy zamysł Stephena.

- Jest pan niezwykle uprzejmy - powiedział. - Jednak w tym przypadku musiałbym zasięgnąć rady innego specjalisty. W zaistniałych okolicznościach nie chciałbym brać na siebie całej odpowiedzialności. Kapitan Aubrey to człowiek niezwykle wpływowy w swych rodzinnych stronach. Jego ojciec jest przecież członkiem parlamentu i za nic w świecie nie chciałbym odpowiadać za niefortunną decyzję. Myślałem o poproszeniu doktora Larreya...

- Lekarza samego cesarza, drogi panie? - Kierownik otworzył szeroko oczy. - Mówi pan poważnie?

- Razem studiowaliśmy, sir. Był również obecny na moim wykładzie, który miałem zaszczyt wygłosić w tym roku w Instytucie - powiedział wprost Stephen i zerkając na twarz kierownika, uświadomił sobie, że trafił w sedno. -

Wszakże „Moniteur” poinformował, że ma on zamiar spędzić resztę tygodnia w Metz, a zatem być może na razie wystarczy jakiś miejscowy lekarz.

- Na końcu ulicy mieszka niejaki doktor Fabre - powiedział kierownik. -

Każę go wezwać.

Doktor Fabre był bardzo młodym, nieśmiałym człowiekiem, który niedawno zaczął praktykę i bardzo chciał pomagać ludziom. Pojawił się niemal natychmiast, a sam kierownik z bliżej nieznanego względu, najprawdopodobniej jednak związanych z prestiżem więzienia, postanowił

oszołomić go reputacją doktora Maturina.

- Nie byłem co prawda na pańskim wykładzie w Instytucie - rzekł, gdy obaj wracali na górę. - Czytałem jednak sprawozdanie na ten temat i byłem wprost zaskoczony ilością znanych osobistości ze świata nauki i medycyny, które postanowiły go wysłuchać, jak choćby moi byli profesorowie Larrey czy Dupuytren... Sam zostałem kiedyś przedstawiony monsieur GayLussacowi -

wyszeptał, gdy stanęli już przed drzwiami.

Zbadał pacjenta, zgodził się z diagnozą doktora Maturina oraz zaproponowanymi przez niego lekarstwami, po czym popędził do siebie, by sporządzić je samodzielnie. Po chwili powrócił z

butelkami, pigułkami oraz tabletkami. Nim pożegnał się z nimi na dobre, uciał sobie ze Stephenem dłuższą pogawędkę, głównie na temat medycznego i filozoficznego świata Paryża.

Maturin perorował ze swadą i z niesmacznym wręcz brakiem skromności wymieniał tytuły swych publikacji oraz nazwiska znanych sobie wielkich ludzi.

Przy rozstaniu powiedział zaś:

- Jeśli spotka pan któregoś z moich przyjaciół, drogi kolego, proszę łaskawie przekazać im moje pozdrowienia.

- Tak też zrobię, tak zrobię! - obiecał młodzieniec.

- Co wtorek przykładowo widuję się przecież z doktorem Dupuytrenem w Hotel Dieu. Czasem również widzę z daleka doktora Larreya.

- A nie zna pan przypadkiem pewnego akuszera, doktora Baudeloque?

- Znam go, w rzeczy samej. Brat mojej żony ożenił się z siostrzenicą jego siostry. Mógłbym wręcz nazwać go moim krewnym.

- Tak? Skontaktowałem się z nim podczas mojej ostatniej wizyty w Paryżu i zostawiłem swą pacjentkę, pewną amerykańską damę, pod jego opieką.

Zywiłem podejrzenie, że mogły u niej wystąpić problemy związane z ułożeniem płodu, których powodem była długa podróż morską, a doktor Baudeloque rzeczywiście wydawał się zaniepokojony jej stanem, o ile dobrze pamiętam.

Gdyby go pan przypadkiem spotkał, proszę zapytać, jak się miewa pacjentka. To był doprawdy interesujący przypadek. Gdy zaś wróci pan tu w piątek, by przyjrzeć się naszemu choremu na biegunkę koledze, proszę przynieść mi pół

tuzina najlepszych szklanych ampulek Michela. - A słuchając już, jak kroki doktora Fabre oraz towarzyszącego mu dozorcę cichną na korytarzu, powiedział: - Cieszę się, że już po wszystkim. To było okropne i aż dziwne, że nie wzbudziłem niechęci w tym poczciwym, młodym człowieku, ale przynajmniej zmniejszyłem nieco ryzyko, że zostaniemy sprzątnięci po cichu.

Drugiego tak gadatliwego, podzielonego na klany i wzajemnie pożenionego grona jak paryscy lekarze trzeba by zaiste ze świecą szukać i gdy tylko rozniosą się wieści o naszej obecności w Tempie... Dobrze, a teraz przełknij tę wspaniałą pigułkę, mój drogi, a jutro z pewnością poczujesz się lepiej. Być może będziesz mógł nawet wypić nieco naszej kawy, tej kawy, którą musimy się teraz zająć...

Bez wątplenia chcielibyśmy zamówić jedzenie spoza twierdzy - powiedział do Rousseau, który zdążył już odprowadzić młodego doktora na dół. - Pytanie brzmi jednak, gdzie najlepiej je kupić? Ten tu dzentelmen - wskazał na kapitana Aubreya - musi spożyć świeżo zniesione jajko, świeżą owsiankę oraz świeżą wodę, w której zagotowano nieco ryżu. Jeśli zaś chodzi o mnie, zwykłem pijać kawę na gorąco.

- Nie będzie z tym problemów - rzekł dozorca. - Znam pewną niewielką jadłodajnię niecałe sto metrów stąd. Prowadzi je wdowa Lehideux, która przygotowuje posiłki całą dobę i ma niezły wybór win.

- A zatem trzeba nam zamówić wszystko u owej wdowy. Świeże mleko i zwykły, miękki chleb dla tych dżentelmenów, a dla mnie croissanty oraz kawa, możliwie najmocniejsza, jeśli łaska.

Rousseau nie zwrócił na słowa Stephena najmniejszej uwagi, lecz uparcie rozpatrywał pomysł, który zagnieździł mu się w głowie.

- Niektórzy goście wolą jednak posyłać po jedzenie do miejsc takich jak Voisin czy Ruhl. Tak, niektórzy to lubią wyrzucać pieniądze przez okno. Nie mam zamiaru narzucać swego zdania żadnemu z moich klientów. Nikt nie może powiedzieć, że Rousseau przekonał go do swej racji, bo przecież gusta się różnią. Ostatni dżentelmen w tej celi, doprawdy wysoko postawiony dżentelmen, też posyłał po jedzenie do Ruhl, nie zwracając uwagi na to, co mu mówiłem. I czym to się skończyło? Umarł na zapalenie płuc w tym oto łóżku! -

stwierdził, wskazując łoże i poklepując nawet kołdrę. - Umarł w południe tego samego dnia, gdy was tu przywieziono. Łóżko pewnie wciąż było ciepłe, no nie? A to z kolei przypomniało mi, że obiecałem mu deskę, by miał czym zakryć dziurę do srania, przepraszam za wyrażenie. Poprzednia mu wpadła. Straszna była z niego niezdara, a w miarę jak się pogłębiał jego reumatyzm, było z nim coraz gorzej. Pod koniec ledwie zgiąć się potrafił. Niech spoczywa w spokoju.

- Tym bardziej zamówmy jedzenie u madame Lehideux - rzekł Stephen, lecz niewzruszony Rousseau nadal ciągnął swój wywód:

- Nie twierdzę bynajmniej, że to kuchnia godna samego cesarza. Nie będę wam mydlił oczu, panowie. To po prostu zwykła, porządna cuisine bourgeoise⁵⁴, lecz podają tam jakże wspaniałą civet de lapin⁵⁵ - Dozorca aż ucałował swe palce. - Jakże smakowitą, delikatną poule au pot⁵⁶! A co najważniejsze, jedzenie dostaje się na gorąco. Zawsze powtarzałem, że jedzenie musi być podane na gorąco. To niewielka jadłodajnia, ale mieści się o rzut kamieniem stąd, na rue des Neuf Fiancees, niech mnie kule biją, jeśli kłamię.

Przyniesione jedzenie na pewno będzie jeszcze ciepłe.

- Mimo to niech będzie od madame Lehideux - rzekł Stephen. - Mleko, miękki chleb, kawa i croissanty. Proszę też nadmienić, że kawa ma być mocna.

Kawa, którą po chwili przyniósł dozorca, w istocie okazała się mocna, a ponadto gorąca i niezwykle aromatyczna, a croissanty tłuste, ale nie za bardzo.

Całość złożyła się na niezwykle smaczne śniadanie, tym bardziej, że zostało podane tak późno. Stephen nie pamiętał, by kiedykolwiek uraczono go lepszym jedzeniem w więzieniu. Naraz poczuł się silniejszy i bardziej zdolny poradzić sobie z wszelkimi możliwymi problemami jak choćby oskarżeniem wniesionym przez informatora, nagłą zdradą schwytanego lub przeciągniętego na przeciwną stronę agenta bądź nawet brutalnym przesłuchaniem.

Od dawna był przygotowany na wiele ewentualności, lecz nie na to, że zostanie zignorowany. Zaskoczyło go to całkowicie i sprawiło, że poczuł się ogłupiony i wystrychnięty na dudka, choć jednocześnie jego obawa nie przestawała rosnąć. Mijał dzień za dniem, a oni nadal widywali jedynie Rousseau, który przynosił im jedzenie lub przyglądał im się podejrzliwie przez judasza. Raz na tydzień odwiedzał ich również głuchoniemy fryzjer. Choć wedle kalendarza od chwili ich aresztowania upłynęło doprawdy niewiele czasu, cała trójka miała wrażenie, że siedzą już w Tempie od długich miesięcy. Jedynym urozmaiceniem monotonii więzienia był piątkowy poranek, kiedy to odwiedził

ich doktor Fabre. Z zadowoleniem stwierdził poprawę zdrowia kapitana Aubreya i z zainteresowaniem wysłuchał uwag odnośnie do działania swych wywarów, pigułek i tabletek, ale znać było po nim roztargnienie oraz wielki smutek. Młodzieniec walczył z przytłaczającą go rozpaczą ponieważ otrzymał

wezwanie do stawienia się w 107. regimencie piechoty, stacjonującym gdzieś na ponurych pustkowiach północnej Europy, w mieście, którego nazwy nie był

nawet w stanie wymówić. Stephenowi powiedział, że jeśli nie uzyska zwolnienia z obowiązku służby wojskowej, co wydawało się wielce prawdopodobne, jego rozwijająca się dopiero praktyka lekarska legnie w gruzach. Od jakiegoś czasu biegał po wszystkich wpływowych znajomych, nawet tych najdalszych, w nadziei, że ktoś szepnie za nim dobre słowo.

- Odwiedziłem między innymi doktora Larreya - opowiadał. - I chciałem tu podziękować panu, że przedstawiając mą prośbę, mogłem się powołać na pana nazwisko. W rzeczy samej, pańskie nazwisko okazało się dla mnie niezwykle pomocne podczas moich usilnych prób zdobycia sojusznika.

Wszyscy pana pamiętają jak choćby doktor Dupuytren czy doktor Baudelocque... Wszyscy są też głęboko przejęci pańskim losem i jak jeden twierdzą, że pańskie uwięzienie z pewnością jest jedynie administracyjnym błędem, który wnet zostanie wyjaśniony. Usłyszałem również, że niektórzy chcą się zwrócić w tej sprawie do właściwych organów, proponują też panu swą pomoc, gdyby natrafił pan na problemy materialne. Doktor Baudelocque przekazał zaś wiadomość o pańskiej amerykańskiej pacjentce. Twierdzi, że jego złe przecucia się sprawdziły, ale jest przekonany, że płód ma szansę na przeżycie. Jedną z przyczyn trudności mógł być długi, gwałtowny okres choroby morskiej. Pewności, że owa dama donosi ciążę do końca, nie ma jednak żadnej.

- Trudno - rzekł Stephen. - I tak na tym świecie znalazło się już o wiele za dużo dzieci.

- Ależ drogi panie! - wykrzyknął Fabre, który sam miał już piątkę dzieci, a kolejne miało się urodzić za parę tygodni. - Ale przecież...

- Ale przecież żaden myślący logicznie człowiek świadomie nie pocznie kolejnego ludzkiego istnienia w tym zatłoczonym, nękanym wojnami świecie?

- Być może, drogi panie - zasugerował Fabre - nie wszystkie dzieci są płodzone celowo.

- Nie - rzekł Stephen. - Gdyby każdy mężczyzna zastanowił się nad tym, co właściwie czyni, gdyby każdy z nich rozejrzał się dookoła siebie i zastanowił

się, ile warte jest ludzkie życie w świecie pełnym więzień, burdeli, domów wariatów i regimentów zbrojnych, gotowych powyrzynać się nawzajem, bardzo wątpię, czy widzielibyśmy na co dzień wiele z tych malutkich, nieszczęsnych, kwilących istotek, które tak często są przyczyną zgryzoty dla swych rodziców, a w przyszłości staną się zagrożeniem dla własnego gatunku.

W kącikach oczu młodego człowieka pojawiły się łzy, ale opamiętał się i wsunął dłoń do kieszeni.

- Oto ampułki, o które pan prosił - rzekł.

.- Dziękuję, dziękuję, mój drogi kolego - powiedział Stephen, ujmując ostrożnie drewniane pudełko, w którym spoczywały. Ampułki były bowiem tylko i wyłącznie dla niego samego i miał zamiar umieścić w nich to, co w chwili potrzeby miało dlań stanowić drogę ucieczki. - Jestem panu niezmiernie zobowiązany.

- Nie ma sprawy - powiedział Fabre i zaczął zbierać się do odejścia. -

Wątpię, czy uda mi się jeszcze doznać zaszczytu spotkania z panami.

W istocie, nie ujrzeli go już więcej, a kolejne tygodnie przepełniła monotonia tak wielka, że Stephen zaczął uważać wypełnione trucizną ampułki za kiepski dowcip.

Długie, podobne do siebie dni wypełnione były rytmicznym łoskotem, pogwizdywaniami nadzorców, odległym hukiem walących się murów i okrzykami robotników, którzy zajmowali się burzeniem kolejnych partii starej budowli. Noce zaś byłyby absolutnie ciche, a jedynym słyszalnym odgłosem był

cichy szmer miasta, przypominający szum odległego morza oraz głęboki, rozbrzmiewający co godzinę dźwięk dzwonów na wieży St. Theodule. Nie słyszeli odgłosów kroków nad sobą, nie dochodziły ich też żadne dźwięki z sąsiednich cel. Czasem ogarniało ich wrażenie, że mieszkają samotnie w owej wielkiej wieży. Ich izolacja była tak szczelna, że równie dobrze mogli znajdować się na morzu. W istocie, życie w tak niewielkiej przestrzeni oraz szybkość, z jaką się do niego przyzwyczaili, miała w sobie coś z morskiej podróży. Elementem nie pasującym do tego obrazu była jedynie jakość jedzenia, która daleko przewyższała to, które podawano podczas rejsów na morzu.

Od chwili, gdy Stephen zakosztował pierwszej filiżanki kawy, kuchnia wdowy Lehideux spotykała się z wielkim uznaniem trójki jeńców, a jej dania stały się nieodłącznym elementem ich codziennej rutyny i głównym jej urozmaiceniem. Wdowa dokładała wszelkich starań, by jej jedzenie było jak najlepsze i dołączała pięknie napisane choć rojące się od błędów - liściki z własnymi propozycjami i informacjami, co można nabyć na rynku. W

odpowiedzi Stephen oceniał jej ostatnie potrawy i formułował zalecenia, a nawet całe przepisy na kolejne posiłki.

- Bez wątpienia to jedynie kobieca kuchnia - stwierdził pewnego razu, bawiąc się czekoladką w kształcie myszy. - Nie wiem też, czy można jej zaufać, jeśli chodzi

O przygotowanie dań z dziczyzny, ale to, czym nas do tej pory uraczyła, było doprawdy wyborne. Z pewnością wdowa Lehideux jest mądrą wrażliwą kobieciną z ogromnym doświadczeniem. Przed wybuchem rewolucji musiała być doskonałą służącą a może nawet prostytutką. Wrażliwe, dobroduszne dziwki są bowiem świetnymi kucharkami.

Ich codzienność, choć nudna i jałowa, mogła jednak stać się znacznie bardziej przykrym doświadczeniem. Tymczasem szybko przybrała uporządkowaną formę - Jack co prawda nie zorganizował podziału na wachty, ale pokazał im, w jaki sposób można zaprowadzić w celach czystość rodem z pokładów okrętów wojennych, zamiatając je trzy razy dziennie i stosując najbardziej prymitywne środki. Jego uczniowie okazali się jednak ślamazarni, niechętni i mało uzdolnieni, a czasem nawet reagowali na jego wysiłki ze złością. Ze wszystkich zainicjowanych przez niego działań najbardziej nie lubili wywieszania koców oraz materacy z okna Jagiełły, ustawiania nielicznych mebli jeden na drugim i czyszczenia podłogi na mokro przed śniadaniem, lecz moralna potęga Aubreya

1 przekonanie, że tak właśnie należy czynić, pokonały ich opór. W

rezultacie ich cele stały się miejscami przynajmniej znośnymi i czystymi do tego stopnia, że OSWOJONA przez poprzedniego lokatora myszka stała się niespokojna, a potem zniknęła na trzy dni. Zwierzątko mieszkało dotychczas za tajemniczymi, zamkniętymi drzwiami w celi Jacka i wyszło ze swej dziury podczas ich pierwszego śniadania. Odkrycie, że przyjaciel zniknął, a przy znajomym stole siedzą obcy ludzie, odebrało jej śmiałość i pewność siebie, ale przyjęła kawałek croissanta i kilka kropelek kawy, podanych jej na wyciągniętej daleko łyżeczce. Siedziała z nimi również wtedy, gdy omawiali sposoby na pozbycie się otaczającego ich brudu i wszystko wydawało się w porządku do chwili rozpoczęcia nieszczęsnej orgii szorowania podłóg. Myszka nie wróciła jednak na czas, a Stephen zauważył z troską, że spodziewała się młodych.

Zamówił więc śmietaną, która jako środek medyczny pomagała podczas ciąży.

Ani oswojona myszka, ani też jej stan nie były powodami, dla których rozmyślał o Dianie, gdyż w rzeczy samej rzadko o niej zapominał. Widok zwierzątka sprawił jednak, że wspomnienia z przeszłości - Diana ze szczególnym wdziękiem i odwagą pędząca konno przez angielską prowincję, Diana w Indiach, w Instytucie, na ulicach Paryża - stały się wyraźniejsze. Tak, Diana z pewnością ma w bród śmietany. Czy ma również kochanka? Było to wielce prawdopodobne, z tego co wiedział, dziewczyna rzadko kiedy obywatela się bez partnera, a atmosfera Paryża idealnie nadawała się do miłosnych zalotów. Zauważył jednak ze zdziwieniem, że zupełnie nie ma ochoty o tym myśleć. Wolał wspominać ją jako samotną łowczynię, którą kiedyś poznał.

Utrzymanie czystości i porządku były dla Jacka najważniejszymi zadaniami w ciągu dnia, ale bynajmniej nie najważniejszymi problemami, nad którymi rozmyślał. Jeszcze nim Rousseau przytaszczył ich pierwszy obiad, a wyszorowana podłoga porządnie wyschła, Aubrey już zastanawiał się nad drogą ucieczki. Nie przeszkodziła mu w tym nawet choroba, dzięki której Maturin do spółki z młodym Jagiełłą zmusili go, by zajął jedyne dobre łóżko, a następnie usiłowali go w nim zatrzymać.

Wstępne rozeznanie się nie przyniosło zachęcających rezultatów - ściana fortecy opadała pionowo aż

do fosy, za którą wznosił się niemożliwy do pokonania mur, a jeśli wierzyć pamięci Stephena, który odwiedził twierdzę za młodo, z obu stron fosę przecinały niewidoczne dla nich przegrody. Mimo tego Jack odkrył, że inni przed nim szukali już sposobu ucieczki. Jakiś cierpliwy więzień niezłomnie, choć bez powodzenia, drążył kamień, w którym osadzono kraty w oknie Jagiełły. Inny zdołał przepiłować jedną z dwudziestu czterech krat, a następnie zamaskował szczerbę smarem. W rzeczy samej, gdyby przeszukać celę uważniej, niż czynili to dozorczy, można było odnaleźć niezliczone ślady rozpaczliwej tęsknoty za wolnością pozostawione przez poprzedników. Jack odniósł jednak wrażenie, że większość z nich zabrała się do prób ucieczki w niewłaściwy sposób. Nawet gdyby więzień wszedł w posiadanie odpowiednich narzędzi, nie był w stanie usunąć bądź przepiłować krat tak, by nie ryzykować wykrycia. Przez cały czas mógł przecież zostać dostrzeżony przez judasza, a dozorczy zjawiali się o nieregularnych porach.

Rousseau i jego koledzy nosili przecież miękkie pantofle i usłyszeć ich można było dopiero w chwili, gdy wkładali klucze do zamków. Większe nadzieje wiązał z wychodkiem. Wystająca podłoga klozetu składała się z dwóch kamiennych, rozdzielonych szczeliną płyt, opartych z każdej strony na wsporniku i gdyby którąś z nich udało się usunąć, droga ucieczki byłaby wolna.

Droga w dół, w każdym razie. Na nieszczęście płyty podłogi zbudowano jeszcze w średniowieczu, kiedy to nie liczone się z rozmiarami czy ciężarem, a na dodatek do ściany twierdzy były przytwierdzone za pomocą stopionej siarki.

Jack jednak mógł żywić nadzieję, że z czasem uda się którąś z płyt usunąć, a rozwieszona w wejściu zasłona skryje pracującego więźnia przed wzrokiem strażnika, dając mu wystarczająco dużo swobody. Gdyby zdecydowali się uciekać przez wychodek, oczekiwały ich jednak liczne trudności, a samo miejsce budziło odrazę. Nim zbadał je do końca, obejrzał również dokładnie drzwi w ścianie, z których jak dotąd korzystała jedynie myszka. Zwykły lewar mógł zdziałać cuda z drzwiami, nawet tak masywnymi, okutymi żelazem jak te, lecz przed zabraniem się za cuda musiał się dowiedzieć, dokąd drzwi prowadziły. Stephen utrzymywał, że najprawdopodobniej wychodziły na spiralną klatkę schodową ukrytą w samym murze - templariusze się w takowych lubowali. Z drugiej strony drzwi mogły jednak prowadzić do innych cel, takich jak ich własna, i forsując drzwi, zamieniliby jedynie jedną klatkę na drugą Rousseau nie zdradził im nic na temat tajemniczych drzwi.

- Zostały zamknięte i nigdy się ich nie otwiera - stwierdził. - To bardzo stare drzwi. Dzisiaj się już takich nie robi. - Być może przemawiała przez niego rozwaga, choć w jego wypadku zwykły brak wiedzy wydawał się bardziej prawdopodobny od ostrożności bądź złej woli. Nie ośmielili się jednak zadawać dalszych pytań. Na inne tematy wypowiadał się chętniej, a szczególnie upodobał

sobie upadek Tempie. - To najświetniejsze więzienie we Francji, obojętnie, co gadają ci z Conciergerie. Cóż za wspaniałych klientów tu mieszałyśmy! Swego czasu gościliśmy nawet całą rodzinę królewską, nie mówiąc już o biskupach, arcybiskupach, generałach i oficerach obcych armii, co do jednego starannie dobranych. Nie było żadnych skarg, choć wielu z nich trzymano tu przez całe lata. Tak, wszyscy byli zadowoleni. W wielu apartamentach, bo celami ich nazwać nie można, założono dziury na sranie i bieżącą wodę. I wszystko to ma teraz popaść w ruinę... Gościmy ledwie garstkę klientów. To właśnie dlatego mogę spędzić pięć minut na pogawędce z panami. Za starych, dobrych czasów, kiedy to trzymaliśmy po pięciu, sześciu klientów w jednym apartamencie, ganialiśmy z kolegami do upadłego. Ledwie mieliśmy czas, by odzipnąć, choć trzeba przyznać, że

udawało nam się nierzadko podwoić tygodniówki prowizjami za jedzenie przynoszone z jadłodajni. Teraz to istna nędza.

Wszystko popada w ruinę, wali się na łeb, na szyję, idzie w diabły. Kierownika nie było na miejscu od ponad miesiąca, ludzie gadają że zrezygnował. Jego zastępca zaś ma nierówno pod sufitem i szybko zastąpią go kimś innym. -

Wszystko wskazywało na to, że Rousseau pragnie z całego serca, by prace przy wyburzaniu twierdzy zostały ograniczone do minimum, tak więc nie mogli uznać jego słów za całkiem obiektywne, lecz domyślili się, że najprawdopodobniej zostanie zrównane z ziemią wszystko z wyjątkiem wielkiej wieży i być może przyległych do niej budowli. Spory kawał fortecy już należał

do przeszłości. - I jak my mamy prowadzić więzienie w takich warunkach?

Wszędzie chodzą bandy robotników, którzy za nic mają przepisy! - ciągnął

dozorca. - To nie więzienie, ale istny burdel!

Po rozważeniu sytuacji Jack doszedł do wniosku, że drzwi są mniej obiecującą drogą ucieczki od klozetu, gdzie przez szparę dobiegało świeże powietrze, a czasami udawało się dostrzec latające jaskółki oknówki.

- Po przesunięciu którejś z tych płyt - powiedział - zrobię linę z naszych prześcieradeł i zbadam fosę.

Zajął się więc wychodkiem, lecz jego wysiłki nie przynosiły spodziewanych rezultatów. Efekty zjedzenia źle przygotowanych raków wciąż dawały o sobie znać nawet pomimo lekarstw Stephena i surowej diety. Jack był

pozbawiony sił, a czasem tracił nawet ducha i Stephen prosił go, by na razie trzymał się z dala od tak cuchnącego powietrza.

- Zapewniam cię, mój drogi - powiedział - że jeśli nadal będziesz wdychał

smrodliwe wyziewy sześćsetletniej kupy odchodów, szybko to miejsce opuścisz, ale nie na linie z powiązanych prześcieradeł, lecz w trumnie. Dajże spokój i pozwól mnie oraz Jagielle także spróbować podważyć którąś z tych płyt.

Będziemy się zmieniać o ustalonych porach.

- Bardzo dobrze - powiedział Jack z bladym uśmiechem. Przyzwoitość nakazywała mu, by pozwolić im sobie zmienić, ale dobrze wiedział, czym się zakończą ich wysiłki. Miał kiepskie zdanie na temat manualnych zdolności Stephena i niewiele lepsze na temat umiejętności Jagielle. Żywił przekonanie, że szczury lądowe z zasady rodzą się ludźmi niezdarnymi, a na dodatek Stephen miał tendencję do popadania w zadumę. Zdecydowanie bardziej nadawał się do budowania hipotez aniżeli do niszczenia Tempie i w rzeczy samej podczas pracy upuścił jedyny posiadany przez nich gwóźdź do fosy. Jagiełło zaś był

człowiekiem znanym i rozkojarzonym, by zakończyć jakiekolwiek zadanie. Otrzymał polecenie zeszkrobienia jakiegoś odcinka brudu lub wydłubania zaprawy z konkretnego kamienia, a pod koniec jego zmiany, często skróconej przez podirytowanego jego nieporadnością Jacka, okazywało się, że młody Litwin bynajmniej nie koncentrował się na swym zadaniu, a zmarnował

swój czas na poszukiwaniu nowych szczelin, oczyszczaniu mało istotnych fragmentów starego osadu, a raz nawet na ryciu zdania *Amor vincit omnia*⁵⁷ na suficie. Do pracy przystępował z ochotą, podśpiewując radośnie przez większość czasu, lecz wizja ucieczki była dlań czymś tak odległym, że nie widział sensu w spieszeniu się. Brakowało mu owego świętego ognia zapału, który w ciągu pięciu dni pozwolił Jackowi przebić się przez jedną z siedmiu szerokich rzymskich cegieł po lewej stronie wewnętrznej płyty, choć miał do dyspozycji jedynie jeden z noży pocziwej madame Lehideux, który starł przy tym aż do rękojeści. Jagiełło zaś, gdy tylko zakończyła się jego zmiana, uznawał, że jego obowiązki dobiegły końca, po czym wracał na swą ławkę pod oknem i zaczynał śpiewać swym słodkim tenorem lub grać na flecie, naprawionym przez Jacka. Nigdy nie przyszło mu do głowy, by spędzić godziny przeznaczone na sen na dłubaniu w ogromnych ceglach i zaprawie. W rzeczy samej żaden z nich - ani Maturin, ani Jagiełło - nawet nie słyszał Jacka, który kontynuował nałożone na siebie zadanie i niczym gigantyczny szczur dłubał w ciemnościach dziurę w klatce z nieskończoną cierpliwością i determinacją.

W końcu, jak się tego spodziewał, jego zmiany zaczęły wydłużać się coraz bardziej i choć obaj współwięźniowie zaprotestowali, twierdząc, że pracuje zbyt dużo i wykonuje wiele ponad swój przydział, musieli przyznać, że sami niezbyt się do tego nadają. Czas płynął szybko, aż pewnego dnia, kiedy grupy robotników na dole uwijały się jak w ukropie, skryte za murem pod drugiej stronie fosy, lecz dobrze słyszalne, Jack pracował w kłozecie, Jagiełło siedział przy oknie przesłoniętym przez zawieszane na kratkach, dopiero co wyprane koszule, a Stephen rozmyślał w pokoju środkowym, górna część zewnętrznego muru wywróciła się z przeciągłym, oszłamniającym hukiem. Gdy opadły chmury kurzu, ujrzeli dachy i strychy domów stojących przy *rue des Neuf Fiancés*. Wszystkie widoczne okna zakryto okiennicami, z wyjątkiem jednego, najbliższego, w którym siedziała młoda dziewczyna zapatrzona na długą, ogromną stertę gruzu.

- Ho, ho! - wykrzyknął Jagiełło, uśmiechając się i wymachując swym fletem. Była to pierwsza osoba, którą widział poza więzieniem od długich tygodni.

Dziewczyna spojrzała na niego i odwzajemniła uśmiech, po czym uczyniła drobny gest dłonią i cofnęła się, lecz wciąż było widać, jak przygląda się więźniom. Po chwili pojawiła się znów i przyjrzała czystemu, bezchmurnemu niebu, wyciągnęła też dłoń, by sprawdzić, czy nie pada. Jagiełło również wyciągnął dłoń, na co dziewczyna wybuchnęła śmiechem. Przez moment oboje przyglądali się sobie ze wzajemnym zadowoleniem, wskazując co chwila zwalony mur i przykrywając dłońmi uszy, by pokazać, że wyburzeniu towarzyszył wielki hałas.

Stephen przyglądał się im zza zaciemnionego środkowego okna, skąd trudno było go dostrzec.

- Nie wchodź! - zawołał, gdy ujrzął Jacka, wracającego z wychodka. - Nie zbliżaj się do pokoju Jagiełły. Możesz zerknąć z tego tu okna. Spójrz, to kobieta.

Sądzę, iż mamy do czynienia z klasyczną sytuacją, w której dziewczyna dostrzega uwięzionego

młodzieńca. Trudno o coś bardziej trywialnego, ale jeśli się pokażesz, wszystko będzie stracone.

- Co masz na myśli, mówiąc, że wszystko zostanie stracone?

- Bracie - Stephen położył dłoń na ramieniu Jacka. - Ja nie jestem typem romantyka. Nie obraż się, ale ty również nie.

- Nie, pewnie nie - rzekł Jack i wyrzwał zza krat, drapiąc swój sześciodniowy zarost, jasny i bardzo obfity. Zarost Stephena był czarny i dla odmiany rzadki, a twarz Jagiełły pozostawała niemal gładka, jak gdyby tego ranka odwiedził ich fryzjer. Dziewczyna znów stała przy oknie, tym razem podlewała kwiaty w doniczkach, nieświadoma śledzących ją spojrzeń, i pogwizdywała cicho gołębiowi w wiklinowej klatce. - Ech, cóż za piękność -

powiedział kapitan. - Boże, cóż za śliczna dziewczyna. Panie Jagiełło, proszę zaśpiewać coś melancholijnego, a potem Stone Walls Do Not a Prison Make⁵⁸, słyszy mnie pan! - dorzucił mocnym głosem, jakiego używał na pokładzie rufowym.

Gdy pojawił się ich obiad, Jagiełło nadal śpiewał. Młoda dziewczyna po raz drugi zabrała się do podlewania kwiatów.

- Stało się najgorsze - rzekł Rousseau. - Obawiałem się tego. Zaczęli wyburzać zewnętrzny mur. Co się z nami stanie za jakiś miesiąc?

Najświetniejsze więzienie we Francji po prostu wyburzone. Pewnie osadzą was z Conciergerie, moi nieszczęśni panowie, a tam nie ma bieżącej wody ani dziur na sranie, za przeproszeniem. Mają tylko nocniki. Nie mam też pojęcia, co się stanie ze mną. Stary Rousseau znajdzie się na bruku, a jego długa służba zostanie zapomniana. - Dozorca postawił kosz z jedzeniem na ziemi. - To niemoralne. Dla mnie to po prostu niemoralne. - Oznajmił i spojrzął za okno. -

Niemoralne. I nielogiczne. Tak, nielogiczne, tego słowa szukałem. Lecz przynajmniej możecie teraz zobaczyć madame Lehideux. Tam jest, podlewa kwiaty.

- Miejmy nadzieję, że to kwiaty wodne - rzekł Stephen, zerkając na liścik zawinięty w chusteczkę - lub przynajmniej bagienne, gdyż żadna inna roślina nie przetrwa takiej obfitości wody. „Jeśli panowie potrzebują jakiegoś prania, cerowania bądź prasowania, B. Lehideux z ochotą służy pomocą” - przeczytał

na głos.

- Och, dajemy sobie jakoś radę - powiedział Jagiełło. - Kapitan Aubrey okazał mi wiele uprzejmości i zaszył mi wczoraj kamizelkę. Wręcz nie widać miejsca, gdzie została rozdarta! Pokazał mi też, jak przyszywać guziki i cerować pończochy.

^ - Nonsens - rzekł Stephen. - Przecież my nie pierzemy rzeczy, a jedynie maczamy je w zimnej wodzie. Ja lubię nosić wyprasowane koszule, lubię też, jak pachną lawendą. Stan pańskich bryczesów mundurowych z owym pasem w kolorze wiśni także nie przynosi panu chluby, panie Jagiełło. Zdecydowanie wymagają one odprasowania. Panie Rousseau, proszę zabrać te koszule, te

bryczesy oraz płaszcze do madame Lehideux i przekazać jej nasze pozdrowienia. Proszę powiedzieć jej również, że doznamy szczególnej ulgi, gdy zechce zająć się naszymi koszulami. Suszenie koszul na kratkach w oknach to doprawdy pożałowania godna sprawa, a co więcej, żaden z nas nie jest ani szwaczką, ani praczką. Proszę jej również przekazać, że jesteśmy niepomiernie wdzięczni za jej dobroć, zwłaszcza ten młody dżentelmen.

Koszule przestały już powiewać na zakratowanych oknach, a Jagiełło bez reszty oddał się śpiewaniu, graniu na flecie i wypatrywaniu przez okno. Jack zwolnił go z zamykania, szorowania podłogi, czyszczenia stołu i krzeseł oraz wszelkich innych obowiązków, a polecił mu, by starał się prezentować możliwie najlepiej. On sam wraz ze Stephenem trzymali się jak najdalej Jagiełły, ale z tego, co sami mogli stwierdzić, młody Litwin najwyraźniej odnosił powodzenie.

Poza codziennymi listami, które z dnia na dzień stawały się coraz bardziej obszerne, oboje komunikowali się również na inne sposoby - ruchami rąk naśladowali litery alfabetu, wspólnie śpiewali i przesyłali sobie tajemne znaki.

Porozumiewanie się w ten sposób było jednakże niezwykle mozolne i zabierało im większość dnia, tak więc nikt nie miał pojęcia, jak owa nieszczęsna młoda dama znajdowała jeszcze czas na przygotowywanie im posiłków oraz tak staranne troszczenie się o ich garderobę.

Ciche dni, którymi rządziła ściśle wytyczona rutyna, mijały jeden za drugim. Myszka urodziła stadko małych mysząt. W „Moniteur” Stephen przeczytał artykuł, który kategorycznie zaprzeczał raportowi o ochłodzeniu stosunków między Francją a Saksonią, rozprowadzanemu wszem wobec przez zdesperowaną już koalicję antynapoleońską. Artykuł głosił, że sytuacja wygląda wprost przeciwnie i przyjaźń między Jego Wysokością Cesarzem oraz saksońskim królem nigdy nie była wierniejsza. Co więcej, pośród walecznych oddziałów niemieckich na próżno by szukać oznak niezadowolenia, a sam cesarz, który skrócił linie zaopatrzenia, rósł coraz bardziej w siłę. Z klozetu dobywały się bez przerwy chmury pyłu kruszonych cegieł, a kawałki odłupanych kamieni kryli w swoich łóżkach. Tempie dookoła nich z wolna stawała się coraz mniejsza.

Rousseau zaś stawał się coraz bardziej ponury i milczący. Krążyły bowiem plotki, że budowniczowie nie oszczędzą nawet wież i w rzeczy samej w poniedziałek więźniowie ujrzeli robotników, którzy znaleźli się po wewnętrznej stronie fosy, zostawiwszy za sobą sterty gruzu i nawet drabiny przy zniszczonym do połowy murze. Widok ten był trudny do zniesienia.

- Jagiełło - rzekł Jack. - Jeśli nie postawi pan jeszcze kilku żagli, Francuzi zrównają tę fortecę z ziemią, zanim uda nam się z niej wydostać. Już prawie uwolniłem część kamieni i jeśli teraz przeniosą nas do innego więzienia, wyjdziemy na kompletne ofiary losu. Muszę mieć dłuto, handszpak i trochę liny.

Mając właściwe narzędzia, zdziałam więcej w ciągu godziny, niż drapiąc te kamienie przez tydzień. Muszę dostać właściwe narzędzia i to zaraz.

- Zrobię, co w mojej mocy, sir - odpowiedział Jagiełło. - Ale wątpię, czy sytuacja całkiem do tego dojrzała.

- Mniejsza o manewry! - rzekł Jack. - Wal pan prosto! Nasza sytuacja zaczyna się robić bardzo nagląca i nie ma ani chwili do stracenia.

; - Czy mam położyć wszystko na jednej szali?

- Tak. Proszę.

- O co mam poprosić?

- O dłuto i pięć sążni jednocalowej liny, co będzie stanowiło doskonały początek.

Jagiełło wszedł powoli do swego pokoju, a po chwili usłyszeli, jak gra na flecie, siedząc przy swoim oknie.

- „Cichy, zawodzący flet odkrywa w ginących nutach przysięgi kochanków bez nadziei”⁵⁹ - zanucił Stephen.

- Cóż za przeklęty, pechowy dobór słów! - wykrzyknął Jack. - Pierwsze słyszę, żeby ktoś tu był bez nadziei! Skoro ta ślicznotka nie sprzeciwiła się temu, że znikają jej sztuce, to nie rozumiem, dlaczego miałyby nam pożalować dłuta czy paru sążni liny. Mam nadzieję, że nie będziesz już wygadywał takich rzeczy, Stephen.

- To był tylko cytat - oznajmił Maturin.

Bez względu na to, czy był to jedynie cytat, czy nie, Jagiełło wkrótce zamilkł, a po godzinie ciszy przyszedł blady jak ściana, całkiem przybity.

Pokręcił jedynie głową a obaj przyjaciele ujrzeli, że okno po przeciwnej stronie fosy zniknęło za zamkniętymi okiennicami.

- Mniejsza o to - powiedział Jack podczas kolacji która wydała im się niezwykle skromna i uboga.

Mniejsza o to. Przed końcem tygodnia uda mi się podważyć ten mniejszy kamień. Nie bierz sobie tego do serca, młodzieńcze. Zrobiłeś wszystko, na co cię było stać.

- To nie o to chodzi - odpowiedział Jagiełło, który naraz odsunął swój talerz i wychylił się wraz z krzesłem do tyłu, by ukryć łzę. - Chodzi o to, że tęsknię za nią. Mówi, że nie chce mnie już nigdy więcej widzieć.

Spojrzeli z niepokojem na okno i ujrzeli, że zniknęły nawet jej kwiaty w doniczkach oraz gołąb w klatce. Przez umysł Jacka przemknęło wiele myśli, w tym ukłucie żalu za kurtką, którą odesłał jej do wyprania i zapewne stracił na zawsze, ale widząc rozpacz młodego Litwina, nie odezwał się ani słowem. Nie skomentował również przerażającej wizji pożegnania się z serią tak wspaniałych posiłków. Stephen zaś zastanawiał się intensywnie nad tym, cóż takiego młodzieniec mógł powiedzieć, by zmarnować tak obiecującą szansę, ale z tych samych względów, co Jack, poszedł spać z nierozwiązaną kwestią.

Gdy zapadły ciemności, szczelina między jej okiennicami ani razu nie wypełniła się światłem. Nie zostały otwarte o świcie ani też później, gdy padł na nie blask słońca. Cała trójka zrozumiała, że było to ostateczne pożegnanie, gdyż dziewczyna nie zawsze była całkowicie dyskretna i wiedzieli, że w owym pokoju z oknem miała sypialnię. Tak zdecydowana przeprowadzka oznaczała koniec wszelkich złudzeń, nadziei oraz spontanicznej, niewymuszonej radości w celi.

Ku ich zdumieniu Rousseau przyniósł im śniadanie wraz z błyszczącą kurtką Jacka. Przytaszczony przez niego kosz zawierał ulubiony litewski przysmak Jagiełły, wędzonego węgorza oraz plasterki żółtego sera. W kurtce Jacka znaleźli zaś starannie ukryty, bardzo mocny sznur jedwabny, a obie jego kieszenie kryły po jednym dłucie. Jagiełło poderwał się od stołu z rozpromienioną twarzą a potem zobaczyli, jak okno na poddaszu otwiera się znowu i pojawia się w nim młoda dziewczyna z doniczkami oraz gołębiami.

Ustawiła swe doniczki w słońcu, a potem, patrząc nań w szczególny sposób i uśmiechając się uroczo, wyjęła gołębia z klatki, ucałowała go po obu stronach dziobka i wypuściła w powietrze.

Nie była to jeszcze pora, o której zwykle zjawiał się Rousseau, lecz dobiegło do nich pobrzękiwanie jego kluczy. Towarzyszyło mu dwóch żołnierzy, a echo ich kroków niesło się po długim, wysoko wysklepionym korytarzu. Stephen dał Jackowi umówiony znak, a ten wycofał się z klozetu, otrzepując dłonie z pyłu cegieł.

- Doktorze Maturin, jeśli łaska - rzekł dozorca, stając w otwartych drzwiach. Jednocześnie nadstawił ucha w kierunku dalszych pokojów. - Proszę ze mną. Ależ pięknie ten młodzieniec śpiewa, niech mnie kule biją. Istny kanarek. Uwaga na nogi - ostrzegł go, gdy znaleźli się na zakręcie, przed którym stawiano trumny.

- Proszę chwilę zaczekać - powiedział sekretarz kierownika, gdy zeszli na sam dół. Stephen stał przez chwilę między swymi strażnikami, a w tym samym czasie za zamkniętymi drzwiami pokoju kierownika podniesionymi głosami kłócili się jacyś ludzie. Jak na złość żołnierze zaczęli dyskutować z dozorcą o pogodzie. Zgadzała się ze sobą że jest dobra, a może nawet zbyt dobra, lecz najbardziej frapowało ich to, czy zanoszą się na burzę. Stephenowi udało się jednak wywnioskować, że kierownik gniewa się o jakieś pogwałcenie zasad regulaminu, a tamci próbują uciszyć jego obiekcje perswazją i logicznymi argumentami, a czasem nawet krzykiem. W końcu doszli do jakiegoś kompromisu.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Ma zostać zwrócony przed zamknięciem bram, a wy dwaj musicie się pod tym podpisać - rozległ się cichy, drżący z niepokoju głos kierownika.

- Wejść! - usłyszał Stephen.

Kierownikowi nie towarzyszyło dwóch, lecz trzech ludzi, a wszyscy byli żołnierzami. Uwagę na siebie zwracał przede wszystkim tęgi pułkownik o zaczerwienionej twarzy, wskazującej na porywczy charakter -

najprawdopodobniej to on właśnie wrzeszczał na kierownika. Towarzyszyli mu pewien niepozorny

kapitan i ciemnowłosy, inteligentnie wyglądający porucznik w ponurym mundurze oficera artylerii.

- Dzień dobry - powiedział Stephen, wchodząc do środka. Odpowiedzi doczekał się tylko od kierownika oraz porucznika. Kapitan poruszył zaledwie ustami, a pułkownik zmierzył go jedynie wzrokiem.

Urzędnik więzienny przyniósł papiery, kapitan i pułkownik złożyli swoje podpisy, a porucznik rzekł:

- Tędy proszę.

Wszyscy zeszli do powozu stojącego na dziedzińcu.

Od chwili, gdy Stephen po raz ostatni widział wejście do Tempie, robotnicy poczynili znaczne postępy i teraz, gdy zniknął mur zewnętrzny, mógłby rozpoznać twierdzę tylko po jej lokalizacji. Przegrody w fosie były otwarte, a po strażnicy została jedynie sterta gruzu, który ładowano na długi szereg wozów.

Wymieniwszy kilka niezobowiązujących uwag: „Pieprzony, stary peda!”,

„Z cywilami zawsze tak samo”, „Aż się proszą, by ich kopać po dupach, zupełnie jak tubylcy”, które najwyraźniej skierowane były pod adresem komendanta więzienia, pułkownik i kapitan pograżyli się w rozmowie na własne tematy, brutalnie i typowo po wojskowemu ignorując swych towarzyszy. Wiele wskazywało na to, że byli ze sobą spokrewnieni dzięki niejkiej Hortensji, która była żoną jednego z nich, a siostrą drugiego.

Stephen jednak nie słuchałby ich, nawet gdyby rozmowa była o wiele ciekawsza. Zbyt pochłonięty był własnymi przemyśleniami oraz śledzeniem przebytej drogi, by nawet próbować nadążyć za wątkiem.

Przekroczyli rzekę przy Pont au Change, zupełnie jakby ich celem było owiane złą sławą Conciergerie, lecz skręcili w kierunku Saint Germain des Prés.

Obaj wojskowi nadal rozprawiali swymi donośnymi, metalicznymi głosami na temat Hortensji.

„A zatem jedziemy na rue SaintDominique” - pomyślał Stephen. „Jeszcze gorzej”.

Na wysokości opactwa pułkownik zatrzymał karete i nakazał swemu ordynansowi przynieść niewielką paczuszkę z jednego z niewielkich sklepików, które właśnie minęli. Dokładnie w chwili, gdy mężczyzna ruszył z powrotem, Stephen ujrzał Dianę. Siedziała w otwartym powozie, pograżona w dyskretnej rozmowie z inną kobietą, nadmiernie przystrojoną damą, której nie widział

nigdy wcześniej. Diana pochylała się właśnie naprzód z niezwykłą gibkością i gracją, które rozpoznałby z każdej odległości, a teraz dzieliły ich niecałe dwa metry. Stephen natychmiast osłonił twarz dłonią i przyglądał jej się przez palce.

Miała poważną twarz, lecz wyglądała dobrze, zaskakująco wręcz dobrze.

Siedziała wyprostowana, a jej sylwetka zachowała szczupłość. Nie rozpoznawał

herbu na drzwiach powozu ani krzykliwych barw liberii lokaja, który stał z tyłu.

Powóz przejechał szybko obok nich, lecz ujrzał go znowu w chwilę później, gdy woźnica karety wojskowych włączył się do ruchu. Obserwował pojazd przez blisko dziesięć minut i kilka razy udało mu się dostrzec towarzyszkę Diany, siedzącą plecami do koni. Była to kobieta w ostatnich latach średniego wieku, ubrana zgodnie z najnowszymi kanonami mody lub nawet lepiej. Wyglądała na twarde, zdecydowaną osobę, klasyczny przykład damy czasów napoleońskich, całkowicie, diametralnie wręcz różny od stylu Diany. Ich powóz skręcił

niedaleko Hôtel de La Mothe i zatrzymał się przy wielkim, niedawno pomalowanym domu, który należał do księżniczki de Lamballe.

Dopiero wtedy uświadomił sobie, jak bardzo poruszył go widok Diany.

Kolana mu się trzęsły, szybko oddychał, a serce waliło mu jak szalone. Gdyby ktoś w tej chwili zadał mu pytanie, nie potrafiłby odpowiedzieć swoim zwykłym głosem. Zewnętrzne symptomy wzruszenia opanował szybko, lecz myśli umykały w różnych kierunkach, dopóki nie dostrzegł, że powóz przejechał przez sklepioną bramę. Przez dłuższą chwilę nawet nie spoglądał na mijaną okolicę i nie liczył zakrętów, tak więc nie miał pojęcia, gdzie się w końcu znaleźli, ale istniało spore prawdopodobieństwo, że ten budynek oraz jego dziedziniec stał z tyłu rue SaintDominique.

Na szczęście najpierw umieszczono go na dwie godziny w niewielkim, pustym pokoju. Stephen wiedział, że jest to rutynowe działanie, mające na celu spotęgowanie niepokoju i niepewności u więźniów, ale w miarę jak dochodził

do siebie, jego wzburzenie gasło. Miejsce to z pewnością zarządzane było przez armię, o czym świadczyły dwa spostrzeżenia - żołnierze przechodzący przez dziedziniec oraz swoisty brud i zaniedbanie, charakterystyczne dla wszystkich znanych mu armii. Dłonie poborowych bez wątpienia wybieliły sterty żużlu wyznaczające ścieżki oraz drewniany słup przy poznaczonej dziurami ścianie, ale brudnych podłóg czy pomalowanych na brązowo ścian wewnątrz budynku nigdy nie tknęła żadna szczotka ani miotła.

„W żadnej marynarce wojennej, nawet francuskiej, nie zdierzono by nieumytych szyb, obrzydliwego zapachu czy ogólnego nieporządku” - pomyślał.

W pewnym momencie usłyszał wrzaski, ale trudno było mu stwierdzić, czy były one prawdziwe czy nie. Tego rodzaju praktyki nie były przecież niecodziennym wstępem do przesłuchania.

Taki sam brud i nędza i ten sam kontrast był zauważalny również w pokoju, do którego go następnie zaprowadzono. Niektórzy ze zgromadzonych tam oficerów prezentowali się zaiste wspaniale, lecz zasiadali przy rozklekotanych, niepomalowanych stołach, a ułożone przed nimi akta były brudne i pomięte. Owe stoły tworzyły trzy boki kwadratu, a Stephenowi nakazano usiąść na ławie, która stanowiła czwartą jego ścianę. Ich ustawienie przywodziło na myśl sąd wojenny. Na miejscu przewodniczącego obrad zasiadał

ów pułkownik, który uwielbiał kopać cywilów po tyłkach, a teraz wyglądał na znudzonego i

niezadowolonego. Stephen natychmiast doszedł do wniosku, że w rzeczywistości był tu zbędnym figurantem, a na posiedzeniu zasiadał zapewne jedynie ze względu na swą rangę. Jeśli pracownicy wywiadu armii byli choć w połowie tak subtelni jak ich koledzy z wywiadu politycznego, jego obecność służyła pewnie również i temu, by przesłuchiwany zaczął lekceważyć swych wrogów i tym samym szybciej się zdradził. Człowiekiem, który naprawdę sprawował tu władzę, był niejaki major w zwykłym mundurze, zauważalny tylko dzięki swym głęboko osadzonym oczom.

- Doktorze Maturin - powiedział. - Wiemy, kim pan jest i czym się pan zajmuje, lecz zanim przejdziemy do kwestii pańskich kolegów we Francji, mamy dla pana kilka osobistych pytań.
- Jestem w pełni przygotowany do odpowiedzi na wszystkie pytania w owym wąskim zakresie, na które odpowiedzieć może oficer w niewoli wojennej

- rzekł Stephen.

- Nie był pan jeńcem wojennym podczas swej ostatniej wizyty w Paryżu.

Nie przebywał pan tu również w charakterze oficera. Zostawmy może tę kwestię na chwilę, ale tak czy owak zobowiązuje ona pana do udzielenia pełnych odpowiedzi na pytania dotyczące pańskich ostatnich posunięć. Rozpocznijmy od chwili, gdy był pan lekarzem okrętowym na HMS „Java”, zdobytym przez amerykański okręt wojenny „Constitution”.

- Jest pan w błędzie, sir. Starczy rzut oka na listę oficerów Royal Navy, by dowiedzieć się, że lekarzem okrętowym na HMS „Java” był dżentelmen o nazwisku Fox.

- A zatem jak pan wytłumaczy to, że opis lekarza okrętowego pasuje do pana idealnie? Zgadza się nawet informacje o bliznach na pańskich dłoniach -

rzekł major, wyjmując pewien dokument ze swych akt. - Wzrost metr siedemdziesiąt, drobna budowa ciała, czarne włosy, blade oczy, niezdrowa cera, brak trzech paznokci na prawej dłoni, na obu dłoniach widoczne pozostałości po okaleczeniach, mówi po francusku z południowym akcentem. - Stephen natychmiast zdał sobie sprawę, że ten raport musiał pochodzić od francuskiego agenta w brazylijskim porcie, do którego zawinęła „Constitution”. Człowiek ten widział jego zakodowane dokumenty i najwyraźniej wziął go za lekarza okrętowego „Javy”. Był to zrozumiały błąd, gdyż zajmował wtedy kajutę wraz z Foxem, a bagaż ich obu został ułożony na stertę w jednym miejscu.

Najistotniejsze było to, że papiery w posiadaniu majora nie dotarły z Bostonu, gdzie Stephen był aż za dobrze znany. Istniała spora szansa, że nawet mimo upływu czasu we Francji nadal nie wiadano o jego wyczynach w Stanach Zjednoczonych. Komunikacja między oboma państwami była nieregularna, a Royal Navy dokładała wszelkich starań, by wieści docierały jak najrzadziej, a zabijając Dubreuilą oraz PontetCaneta, mimo wszystko wyeliminował główne źródło informacji Francuzów. Skoro więc dysponowali tak starymi i sprzecznymi danymi, Stephen mógł żywić nadzieję, że uda mu się całkiem wyprowadzić ich w pole. Opuścił wzrok, by przesłuchujący go oficerowie nie dojrzeliby ewentualnego błysku tryumfu w jego oczach, a następnie oznajmił, że nie może ponosić odpowiedzialności za jakiegokolwiek opisy i jest zmuszony powstrzymać się od komentarzy. Major podał ów raport innym oficerom.

Ordynans przyniósł niewielką książeczkę, zawiniętą w brązowy papier, która rozmiarem przypominała oficjalny wykaz oficerów Royal Navy. Major przejrzał

jej treść, a jego twarz nawet nie drgnęła. - Jest pan poliglotą, doktorze Maturin -

podjął. - Sądzę, że mówi pan również po hiszpańsku.

- Po katalońsku - mruknął jego sąsiad.

- W różnych dialektach hiszpańskiego - dokończył major, marszcząc brwi.

- Proszę o wybaczenie, sir - rzekł Stephen. - Nie wydaje mi się jednak, by odpowiedź na to pytanie znajdowała się we wspomnianym przeze mnie zakresie.

- Pańska niechęć do odpowiadania na pytania jest doprawdy zastanawiająca. Właściwie należałoby ją odebrać jako próbę wypierania się.

- Ani nie zaprzeczam, ani nie potwierdzam.

- A zatem możemy przyjąć, że płynnie posługuje się pan katalońskim.

- Na tej samej podstawie może pan założyć, że mówię po baskijsku. Albo w sanskrycie.

- Przejdźmy zatem do kwestii Bałtyku. Co ma pan nam do powiedzenia o zamordowaniu generała Merciera na Grimsholmie?

Stephen nie miał nic do powiedzenia na temat morderstwa generała Merciera na Grimsholmie. Przyznał, że był na Bałtyku jako członek załogi słupu

„Ariel”, ale zapytany, co tam porabiał, rzekł jedynie:

- Doprawdy, sir, nie może pan oczekiwać, że jakikolwiek oficer zdradzi posunięcia wojenne kraju, któremu ma zaszczyt służyć.

- Być może w istocie nie - powiedział mężczyzna, siedzący po lewicy majora. - Możemy jednak oczekiwać, że wytłumaczy nam pan swoją obecność w tym rejonie. Pańskie nazwisko nie znalazło się w księdze okrętowej „Ariela”.

Lekarzem okrętowym tej jednostki był pan Graham.

- Jest pan w błędzie. Moje nazwisko znalazło się na liście dodatkowej, zaraz po nazwiskach żołnierzy piechoty morskiej. Zostałem wpisany jako pasażer z prawem do korzystania z wyżywienia na okręcie, lecz bez prawa do pobierania żołądu bądź racji tytoniu.

- Jako cholerny szpieg! - mruknął pułkownik.

Zapytany, dlaczego zdecydował się na rejs akurat na

Morze Bałtyckie, odpowiedział, iż jego marzeniem było przyjrzeć się północnym ptakom.

- A możemy się dowiedzieć, jakie ptaki pan zobaczył? - zapytał major.

- Okazami najbardziej wartymi uwagi były Pernis apivorus, Haliaetus albicilla, Somateria spectabilis i Somatelia mollissima, któremu to gatunkowi zawdzięczamy nasze puchowe pierzyny.

- Nie będzie nam pan tu mydlił oczu! - wykrzyknął pułkownik. - Ptaki, pierzyny, na Boga! Ten człowiek zasłużył sobie na lekcję pokory! Wołać no mi tu naczelnika policji!

- Takie ptaki istnieją naprawdę - odezwał się rudy porucznik. - Nie sądzę, by nasz więzień próbował okazać nam brak szacunku.

- Pies go trącał - mruknął pułkownik, wierząc się ze złością na krześle.

- Czy spodziewa się pan, że uwierzmy, iż przemierzył pan tysiące mil morskich, by popatrzeć na ptaki? - spytał inny oficer.

- Uwierzcie panowie w to, w co będziecie panowie chcieli uwierzyć -

rzekł Stephen. - To niezmienna ludzka przypadłość. Ja jedynie stwierdzam fakt.

Moje nazwisko nie jest nieznane w gronie naturalnych filozofów.

- Otóż to - rzekł major. - To właśnie sprowadza nas ponownie do kwestii Paryża, gdzie, jak się obawiam, znajdujemy się na pewniejszym gruncie. Proszę wziąć pod uwagę, że w tej sprawie spodziewamy się satysfakcjonujących odpowiedzi, gdyż podczas swej ostatniej wizyty nie był pan chroniony prawem wojennym. Posiadamy sporo wiadomości na temat pańskiego pobytu w stolicy i nie zamierzamy tolerować odpowiedzi wymijających bądź nieprawdziwych.

- Chronił mnie wówczas glejt, przyznany mi przez wasz rząd.

- Żaden glejt nie chroni ludzi zajmujących się szpiegostwem lub uczestniczących w działaniach na szkodę państwa. W hotelu Beauvillier przyjął

pan wizytę Delarue, Fauveta i Hersanta, którzy prosili pana o przekazanie listów do Anglii.

- Oczywiście - rzekł Stephen. - Mógłbym jeszcze wymienić wielu innych ludzi, którzy prosili mnie o to samo. Musicie panowie jednak wiedzieć, że konsekwentnie odmawiałem wszelkim prośbom tego typu i ani na moment nie zapominałem o tym, iż, jako filozofa naturalnego, obowiązuje mnie przestrzeżenie zasad neutralności.

- Obawiam się, że nie do końca jest to prawdą - stwierdził major. - Mogę też przedstawić świadków, którzy pogrążą pana zeznaniem. Najpierw jednak muszę poznać nazwiska pańskich współpracowników we Francji. Śmiało, doktorze Maturin, jest pan rozsądnym człowiekiem. Bez wątplenia wie pan, jak wielką uwagę cesarz przywiązuje do Grimsholmu oraz do źródeł informacji.

Proszę nie zmuszać nas, byśmy sięgnęli po środki ostateczne.

- Prosi mnie pan o zrobienie rzeczy niemożliwej. Pragnąłbym powtórzyć raz jeszcze, że podczas mej wizyty w Paryżu jako filozof naturalny ani na moment nie odszedłem od skrupulatnego przestrzeżania zasad neutralności.

Zwykłe stwierdzenie faktu mogło nie wywrzeć dużego wrażenia, zwłaszcza wygłoszone w atmosferze tak wielkiej podejrzliwości i obłudy, ale słowa Stephena, powtarzane dobitnie tym samym tonem, oraz całkowita szczerłość w jego głosie, choć nie skłoniły oficerów do przyjęcia jego słów za pewnik, przynajmniej sprawiły, że przestali mu niedowierzać. Kilku z nich przedstawiło swe obiekcje, wsparte prawdziwymi bądź zmyślonymi nazwiskami osób, pragnących przekazać mu listy do Anglii. Pytania ciągnęły się bez końca, a w odpowiedziach Stephena, niczym refren nużącej, monotonnej pieśni, pojawiała się fraza „filozof naturalny”.

- Filozofowie naturalni! - wrzasnął w końcu pułkownik. - Filozofowie naturalni, niech ich szlag trafi! Czy ktoś kiedyś słyszał, by zaproponowano połowę Golkondy60 za zwolnienie zwykłego filozofa naturalnego? Sto tysięcy ludwików, kurwa mać! Przecież to musi być szpieg!

Naraz nastąpiła krótka, niezręczna chwila ciszy, aż pułkownik, opacznie rozumiejąc przyczyny konsternacji swych kolegów, szybko zmienił słowo

„ludwiki” na „napoleony”. Major zmierzył go lodowatym spojrzeniem i wykrzyknął:

- Wprowadzić monsieur Fauve ta!

Fauvet wszedł do środka. Prezentował się niewiarygodnie mizernie, pomimo zawadiackiej pozy i aury pewności siebie, którą starał się otoczyć.

Towarzyszył mu pewien gruby jegomość o nazwisku Delaris, ubrany w przyciasne, cywilne rzeczy. Stephen śledził kiedyś jego poczynania i wiedział, że stoi on wysoko w organizacji Laurie, a działa z ramienia ministerstwa spraw wewnętrznych oraz Conciergerie. On sam jednak nigdy doktora Maturina nie widział i przyglądał mu się teraz z żywą ciekawością.

- Monsieur Fauvet, proszę powtórzyć swe zeznanie - rzekł major.

Fauvet postąpił zgodnie z jego poleceniem i stwierdził, że doktor Maturin kilkakrotnie zaproponował mu zawieszenie listów do Anglii, a ponadto wyrażał

się bez szacunku na temat cesarza i przepowiadał jego rychły koniec. Poradził

również Fauvetowi oraz wielu innym, by pogodzili się z królem, póki mają jeszcze na to czas, i podsunął im sporą sumkę jako wynagrodzenie za zdradę.

- Jestem gotów poprzeć me zeznanie przysięgą - zakończył.

Głos Fauveta był mechaniczny i pozbawiony daru przekonywania. W roli świadka sprawdził się bardzo kiepsko.

- Co pan ma do powiedzenia? - spytał major.

- Absolutnie nic - rzekł Stephen. - Może tylko to, że nigdy dotąd nie widziałem tak upokarzającego widowiska. Jestem zaskoczony tym, że nawet cywil może upaść tak nisko.

Delaris szepnął coś do ucha majorowi.

- Nie, nie, o tym nie ma mowy - odpowiedział tamten. - Będzie pan musiał ustalić to z kierownikiem Temple, jeśli będzie pan w stanie. Tymczasem, ten człowiek znajduje się we władzy...

Stephen nie usłyszał nazwiska swego właściciela, lecz uczyniło ono spore wrażenie na Delarisie, który aż gwizdnął cicho. Ich rozmowa ciągnęła się jeszcze przez chwilę, prowadzona głosami cichszymi niż wcześniej, lecz był

przekonany, że Delaris nadal na coś nalega, a major konsekwentnie odmawia.

- Na razie wystarczy - odezwał się głośno wojskowy. - Doktorze Maturin, proszę sobie dobrze przemyśleć moje słowa. Udowodniono już panu kłamstwo w jednej sprawie, a podczas następnych przesłuchań usłyszysz pan zeznania kolejnych świadków. Proszę sobie nie robić złudnych nadziei. Wiemy o wiele więcej, niż się panu wydaje. Gdy trafi tu pan po raz wtóry, proszę być gotowym do przekazania prawdy, gdyż w przeciwnym razie poniesie pan konsekwencje.

Pragnę tu pana zapewnić, że owe konsekwencje będą straszne dla pana i pańskich przyjaciół.

Rudowłosy porucznik, który utrzymywał, że edredony istnieją naprawdę, zaprowadził Stephena do owego obskurnego pokoiku, w którym oczekiwał na swoje przesłuchanie. Nie wyszedł jednak, ale pozostał wraz nim, wyglądając przez brudne okienko na szeroki, otwarty dziedziniec.

- Byłem na pańskim wykładzie, sir - powiedział po chwili. - I chciałbym powiedzieć, że bardzo miło ten wieczór wspominam. Czy mógłbym zaproponować panu cygaro?

- Jest pan bardzo uprzejmy, sir - rzekł Stephen. Wziął podane mu cygaro i łąpczywie zaciągnął się dymem.

- Widok tak wybitnego męża w takiej niedoli rani moje serce - ciągnął

porucznik. - Błagam pana, sir, proszę im się nie opierać! Niech pan to zrobi dla siebie i swych towarzyszy! - Niewielki oddział wojska wmaszerował na dziedziniec. Żołnierze zatrzymali się i wykonali zwrot w prawo, po czym jednoczesnym ruchem, któremu towarzyszył pojedynczy, głośny trzask, oparli muszkiety

o ziemię. Z innej bramy wyprowadzono utykającego, zgarbionego człowieka z rękami związanymi z tyłu, odzianego jedynie w bryczesy i koszulę, i przywiązano go do wybielonego słupa. Jego twarz pokryta była siniakami i ranami, lecz Stephen dostrzegł, że cera przybrała żółtawozielony odcień. Był to podwójny agent pracujący dla Arlissa, kolejny człowiek, którego znał, a który nie znał jego. Miał reputację zwykłego najemnika, lecz twarde, nieugięte spojrzenie, którym obrzucił pluton egzekucyjny, dodało mu wiele godności. Na dany sygnał muszkiety wypaliły. Twarz jeńca zmieniła się w straszliwą, czerwoną miazgę, a ciało zadygotało gwałtownie i zwisło bezwładnie, wciąż przywiązane do słupa. Któryś z żołnierzy, przerażony, blady młody chłopak, odwrócił się w stronę okna Stephena, nagle nie widząc świata wokół siebie, i zwymiotował, upuszczając muszkiet na ziemię. - Jeśli będzie się pan opierał - ciągnął przyzwyczajony do takich widoków porucznik - zostanie pan zastrzelony. Jeśli zezna pan kilka faktów, trafi pan jedynie do Verdun, gdzie zostanie pan uwięziony w miarę przyjemnych warunkach.

- Jestem głęboko przejęty pańskimi słowami - rzekł Stephen. - Proszę mi wierzyć, z całego serca doceniam pańską życzliwość, lecz niestety oparł pan swą propozycję na fałszywych przesłankach. Nie jestem w stanie złożyć żadnych zeznań, nie kryję też żadnych sekretów, które mógłbym zdradzić.

W drodze powrotnej do Tempie towarzyszył mu jedynie ów rudy porucznik, który ponawiał swą prośbę w różnej formie, a Stephen powtarzał tą samą odpowiedź. Spotykał się jednak z tą formą

manipulacji więźniami wielokrotnie, dlatego z czasem jego odpowiedzi zaczęły się stawać coraz krótsze i rozstał się ze swym towarzyszem z poczuciem ulgi.

- Jak było? - spytał z niepokojem Jack.

- Bez wątpienia zostałem poddany jedynie zwykłemu przesłuchaniu -

rzekł Stephen, siadając i uśmiechając się do nich obu. - Francuzi próbują mnie wybadać. Szukają punktu zaczepienia, ale mam nadzieję, że zabierze im to sporo czasu. Amen, amen, amen.

- Amen - powtórzył Jack i przyjrzał się jego twarzy w poszukiwaniu śladów złego traktowania, ale wyczytał z niej tylko niechęć do ciągnięcia tematu.

- Mamy tu pański obiad - rzekł Jagiełło. - I zatrzymaliśmy dla pana całe wino.

- Jest pan klejnotem tego świata, Jagiełło. Zjadłbym teraz konia z kopytami i wypiłbym całe morze do ostatniej kropli. - Z tymi słowami rzucił się na swój posiłek i zajadając łapczywie, zapytał, kiwając głową w kierunku wychodka: - Jak wygląda sytuacja?

- Twoje zniknięcie całkiem odebrało nam ducha i niewiele udało nam się zdziałać - rzekł Jack. - Ale jeśli tylko uda mi się podnieść zewnętrzną płytę, nie sądzę, by ta druga długo nam się jeszcze opierała. Stephen, jak się mówi po francusku na podwójny blok zespolony? Z dwoma takimi oraz odpowiednim mechanizmem podtrzymującym mógłbym podnieść całą Tempie.

- Podwójny blok zespolony? Bóg jeden raczy wiedzieć. Nie mam pojęcia, co to takiego nawet po angielsku.

- A zatem będę musiał spróbować to narysować - stwierdził Jack. - Bez bloków ta płyta nawet nie drgnie.

- A zatem zrób to, mój drogi - rzekł Stephen. - Bo ja marzę teraz tylko o śnie.

Był bardzo zmęczony i w istocie potrzebował snu, lecz najbardziej tęsknił

teraz za chwilą ciszy, by móc ze spokojem przemyśleć wszystkie swe pomysły i dojść do rozsądnych wniosków. Było dlań rzeczą jasną że jego wrogowie lub ktoś stojący za nimi opierali swe oskarżenia jedynie na intuicji i dysponowali zaledwie strzępami solidnych informacji, które nie układały się w logiczną całość. „Ariel” znajdował się na Bałtyku, gdy poddała się twierdza na Grimsholmie, a słuł był odpowiednią jednostką do wykonywania takich misji.

Co więcej, Maturin znajdował się wśród jego załogi, a skoro osoba Maturina budziła pewne podejrzenia, Francuzi połączyli te dwa fakty. Podczas jego wizyty w Paryżu któraś z siatek wywiadowczych, przypuszczalnie podległa Delarisowi, próbowała skompromitować go drogą rutynowych czynności, ale Stephen nie sądził, by słowa Fauveta przekonały kogokolwiek. Wiedział też, że ani major, ani sam Delaris nie będą w stanie wystawić bardziej przekonującego świadka.

Ale musiał jeszcze wziąć pod uwagę nieoczekiwany wybuch pułkownika.

Wojskowi do tej pory stosowali raczej pospolite metody przesłuchiwania, ale Stephen wiedział, że niektórzy z nich byli inteligentnymi ludźmi. Nie sądził

jednak, by to któryś z nich nakłonił pułkownika do wypowiedzenia owych słów.

Wydawały się nazbyt spontaniczne. Stephen nie wątpił, iż stał się świadkiem autentycznej gafy, a wyciągnięte wnioski przeszły jego serce chłodem. Słowo

„Golkonda” oznacza przecież wielkie bogactwo, a kto mógł zaoferować połowę Golkondy za jego wolność? Istniała możliwość, że któryś z jego przyjaciół

zawarł z ministerstwem jakiś układ w jego sprawie, gdy rozniosły się wieści o jego uwięzieniu. Mógł to przykładowo być Larrey bądź Dupuytren. Larrey był

jednak najbardziej cnotliwym człowiekiem, jakiego przyszło mu poznać, i pomimo swej długiej praktyki i niezliczonych okazji do wzięcia łapówki nadal żył w wielkim ubóstwie, które pogłębiała jego bezgraniczna hojność. Dupuytren bogacił się, lecz nawet jeśli przyszedł mu do głowy pomysł tak szalony, co wydawało się nieprawdopodobne, nie zdołałby zebrać tak wielkiej sumy jak sto tysięcy ludwików. Nie znał w Paryżu nikogo, kto mógłby tego dokonać. Nikt z wyjątkiem Arlissa, jego kolegi w wywiadzie, który kontrolował znacznie większe sumy, ale takie zachowanie z jego strony było nie do pomyślenia.

Wyłożenie sumy za kolegę sprzeciwiało się kardynalnym prawom pracy wywiadu. Stephen był przekonany, że nikt z jego kolegów nie zdobyłby się na coś takiego, gdyż byłby to czyn nie tylko sprzeczny z zasadami działania służb wywiadowczych, ale nawet ze zdrowym rozsądkiem. Oferta tego rodzaju stanowiła bowiem wielkie niebezpieczeństwo dla ofiarodawcy i śmierć dla beneficjenta. W historii działania wywiadu uwięzienie niewinnego filozofa naturalnego nigdy nie pociągnęło za sobą nic z wyjątkiem protestu, a pojmanie agenta nigdy nie spotykało się z reakcją wykraczającą poza propozycję wymiany. Połowa Golkondy, choćby cząstka Golkondy - trudno o lepszy dowód na jego winę.

Słyszał, jak Jack i Jagiełło pracują nad podłogą w wychodku z większą energią niż dotychczas. Słyszał cichy, miarowy zgrzyt ich narzędzi - pomimo hałasów, czynionych przez nieodległe grupy robotników, nie ośmielali się korzystać z młotków nawet za dnia, nie mówiąc już o ciemnościach.

Dwukrotnie w judaszach błysnęło światło przechodzącego obok ich celi patrolu.

Jego myśli zaczęły się rozpraszać, unosić i opadać niczym fale morza. Golkonda i Golgota mieszały się jedna z drugą, a w jego umyśle pojawiło się wyobrażenie Diany. Był ledwie świadom tego, że Jagiełło przykrył go jeszcze jednym kocem, a gdy obudzili go gwałtownymi szarpnięciami, przez okna celi wpadało światło dnia.

- Znow po ciebie przyszli - oznajmił Jack.

- Dajcie mu szybko przełknąć choć filiżankę kawy - powiedział Rousseau, stojący na progu wraz z żołnierzami.

Stephen szybko wychylił filiżankę, ukrył swą szklaną ampulkę pod policzkiem, zawiązał fontaź i był gotów. Spał w ubraniu, przez co, wchodząc do pokoju kierownika, prezentował się raczej niechlujnie, lecz tym razem nie czekali na niego elegancyści oficerowie, ale pojedynczy człowiek, niemal tak samo zaniedbany jak on sam. Był to Duhamel, który pozdrowił go uprzejmie.

- Przyszedłem po części we własnej sprawie, lecz po części również jako posłaniec - rzekł.

Stephen był nieco zaskoczony zwykłą, ludzką serdecznością w tonie jego głosu, lecz jego zdumienie nie miało wprost granic, gdy po chwili wahania Francuz zaczął narzekać na swoje jelita. Opowiedział, że od czasu niefortunnej przygody w Alençon nie zdołał ich jeszcze wyleczyć, gdyż działanie lekarstw francuskich doktorów w niczym nie przypominało ulgi, jaką przyniosła czerwona driakiew doktora Maturina, tak więc zmuszony był poprosić o zdradzenie mu jej nazwy. Stephen wypytał Duhamela o wszystkie medyczne objawy, po czym przepisał mu odpowiednie lekarstwo. Francuz podziękował i atmosfera zmieniła się całkowicie.

- Teraz chciałbym powiedzieć parę słów w imieniu mojego zwierzchnika

- powiedział cicho Duhamel i przesunął Stephena w kierunku abramzury okiennej. Przez moment milczał, po czym powiedział: - Zapewne jest pan świadom, że wojna w Europie nie jest już nieprzerwanym pasmem sukcesów cesarza. Jest kilku wysoko usytuowanych ludzi, którzy przeczuwają, że kompromis i wynegocjowany pokój stanowi najlepszy sposób na UNIKNIĘCIE

bezcelowego rozlewu krwi i życzą sobie, by ich propozycje zostały przekazane królowi oraz rządowi angielskiemu. Propozycje te powierzyć można jedynie człowiekowi, któremu ufają ludzie u władzy oraz takiemu, który ma bezpośredni dostęp do ich szefów wywiadów. Mój zwierzchnik utrzymuje, że jest pan idealnym kandydatem do wypełnienia takiego zadania.

- Mówi mi pan niezwykle intrygujące rzeczy - powiedział Stephen, przyglądając się twarzy Duhamela z najżywszym zainteresowaniem. - Mam ogromną nadzieję, że plan pańskiego zwierzchnika się powiedzie i możliwie najwięcej Francuzów zdoła ocalić swe życie. Obawiam się jednak, że nie jestem człowiekiem, którego pan szuka. Mówiłem już pańskim przyjaciołom na rue SaintDominique - przy tych słowach oczy Duhamela rozjarzyły się blaskiem -

jestem jedynie zwykłym lekarzem marynarki wojennej. Nie piastuję nawet rangi oficera mianowanego. To prawda, że jestem znany jako filozof naturalny, lecz nie umożliwia mi to kontaktów z wielkimi ludźmi mego kraju, nie mówiąc już o szefostwie wywiadu. Mam wrażenie, że mamy tu do czynienia z wielce niefortunną pomyłką. - Po wyrazie twarzy Duhamela znać było, że tłumia wewnętrzne rozbawienie, lecz spoważniał, słysząc kolejne słowa Stephena: - A poza tym, mój drogi panie, czy ów człowiek, za którego bierze mnie pański zwierzchnik, okazałby się na tyle nierozsądny, by zdradzić teraz swą tożsamość?

Gdyby rzucił się prosto w ramiona pierwszego lepszego agentaprowokatora, z pewnością okazałby się niegodny zaufania dla obu stron owego tajnego porozumienia. Czy zaufano by mu, gdyby przyjął tak niecodzienne zadanie bez osłony szczególnych gwarancji? To byłoby przecież istne samobójstwo, a taki człowiek wyszedłby na skończonego durnia.

- Całkowicie rozumiem pański punkt widzenia - powiedział Duhamel. -

Założmy jednak przez chwilę, że taki człowiek został znaleziony. Jak pan sądzi, jakich gwarancji byłby gotów zażądać?

- Czy sądzi pan, że omawianie tak mało prawdopodobnych hipotez ma sens? Gdyby zapytał mnie pan o febrę czterodniową lub układ kostny kazuara, z pewnością udzieliłbym panu sensownych odpowiedzi, ale motywacja tak dalece domniemanej osoby... Obawiam się, że przyjął pan mylne stanowisko wojskowych. Pomimo moich odmownych odpowiedzi wydają się oni przekonani, że jestem... Jak się to nazywa? Tajnym agentem.

- Tak, tak, oczywiście - odpowiedział Duhamel, bębniąc palcami na paczce, trzymanej w lewej ręce. Doskonale potrafił panować nad sobą, ale powoli zaczynał zdradzać oznaki wielkiej frustracji. Nim się odezwał ponownie, minęła długa chwila ciszy, która jeszcze bardziej utwierdziła Stephena w przekonaniu co do jego dobrych intencji. - Przedstawię panu całą sytuację bez ogródek - rzekł. - Organizacja mojego zwierzchnika rozpoznała pańską tożsamość, gdy tylko pana opis dotarł z Brestu do Paryża. To dlatego osadzono pana w Tempie.

- A czy mógłbym się dowiedzieć, czyim więźniem jestem?

- A jakież to ma znaczenie? - odpowiedział Duhamel z podświadomą czujnością. - Naszym, na razie. Wróćmy jednak do tematu... Naszym zamiarem było poproszenie pana... czy raczej człowieka, którym miał pan być, skoro nasza rozmowa musi być toczona w ten sposób... Tak, chcieliśmy pana poprosić o podjęcie się tej misji znacznie wcześniej, już w chwili, gdy moglibyśmy zapewnić panu wszystkie możliwe gwarancje. Cesarz wszakże opóźnił swój wyjazd i pojawiły się też inne trudności... Tymczasem na balu u księcia Benewentu pojawiła się madame Gros strojna w przepiękny, błękitny diament, a na spotkaniu Wielkiej Rady następnego dnia jej mąż zaproponował, byśmy zwrócili panu wolność, okazując przy tym nagły przyływ miłości do nauki oraz zrozumienie dla pańskiej międzynarodowej reputacji naukowej.

- Stephen poczuł, że jego policzki zaczyna pokrywać błądź i odwrócił

się, by to ukryć. Przecież Golkonda nie była jedynie ogólnym terminem oznaczającym bogactwo, ale także nazwą kopalni diamentów Wielkiego Mogoła.

- Gros to raczej mądry człowiek i zachowuje się jak idiota tylko wtedy, gdy sprawa dotyczy jego żony. Wygłosił wspaniałe przemówienie, w którym uwypuklił międzynarodowy charakter nauki, wspomniął immunitet Cooka i Bougainville'a oraz tym podobne i niemal dopiął swego, ale w końcu zdecydowano, że kwestia musi zostać przedstawiona samemu cesarzowi.

Dzięki tej sprawie działania Wielkiej Rady stały się znane równie powszechnie jak decyzje pańskiego rządu, dzięki czemu pańską wartość poznało wiele innych organizacji rządowych. W tej chwili wszystkie one współzawodniczą o prawo do zawładnięcia pańską osobą, a szczególnie natarczywa w tym sporze stała się armia. To cesarz zdecyduje, której organizacji powinien pan zostać oddany.

Skoro jednak wojskowi łączą pana osobę z utratą Grimsholmu, a ta sprawa wciąż budzi wściekłość cesarza, najprawdopodobniej trafi pan w ich ręce.

Posłaniec jest już w drodze, a jest nim pewien bardzo wpływowy oficer.

- Czy madame Gros mówiła cokolwiek na temat owego diamentu? -

spytał Stephen.

- Och, próbowała wcisnąć jakąś niespójną historyjkę o spadku - rzekł

Duhamel, zbywając temat. - Muszę pana poinformować, że to pan znajduje się teraz w największym niebezpieczeństwie. Pominąwszy wszystkie inne sprawy, jeśli imperium upadnie lub nawet jeśli zacznie się do upadku chylić, nie wolno nam zapomnieć, że istnieje spora grupa ludzi przeświadczonych, iż nikt nie powinien tej chwili przeżyć. To ludzie, którzy bez wahania odbierają życie i równają wszystko z ziemią. Mój zwierzchnik jest w posiadaniu nakazu cesarza, wedle którego ma pan zostać zwolniony.

- Jak to możliwe? Przecież cesarz przebywa na Śląsku!

- Dajże pan spokój, doktorze - powiedział Duhamel z niecierpliwością. -

Przecież dobrze pan wie, w jaki sposób wasz sir Smith uciekł z tej właśnie Tempie w 1798 roku. Nawet amator jest w stanie sfabrykować przekonujący nakaz. Sam pan więc widzi, że czas ucieka nam szybko. Musi pan podjąć decyzję. Błagam pana, proszę mi powiedzieć, na jakie warunki nalegać będzie ów człowiek, za którego pana bierzemy.

Stephen zapatrzył się na paczkę, trzymaną przez Duhamela. Jakaś część jego umysłu rozpoznała znajome okładki „Naval Chronicle” oraz londyńskiego

„Timesa”, a jego reszta analizowała sytuację i oceniała osobowość oraz słowa Duhamela, zarówno te wypowiedziane, jak i te implikowane. Wciąż istniała możliwość, że jest to jedynie pułapka. Jego instynkt wzbraniał się przeciwko przyjęciu propozycji Francuza, lecz instynkt nie był przecież nieomylny.

- Człowiek, o którego wam chodzi - powiedział powoli - przede wszystkim będzie chciał jakichś dowodów dobrych intencji. Mógłby przykładowo poprosić pana o oddanie mu rewolweru.

- Tak - powiedział Duhamel i położył broń na stole. - Proszę uważać, jest naładowany.

Ważąc rewolwer w dłoni i przyglądając się jego pomysłowemu mechanizmowi, zamyślony Stephen rzucił od niechcienia:

- Za ciężki dla mnie.

- Starczy odwieść kurek, by go odbezpieczyć - odezwał się Duhamel, również sprawiający wrażenie nieobecnego. - Bęben obraca się samoczynnie.

Przyzwyczaj się pan do wagi.

- Ów człowiek nalegałby również na uwolnienie jego przyjaciół, odzyskanie brylantu oraz immunitetu dla jego prawdziwego właściciela oraz prawa do swobodnej podróży, jeśli okaże się to konieczne.

- Ów człowiek prosi o bardzo wiele.

- Podobnie jak pański zwierzchnik - stwierdził Stephen. - Właśnie poprosił Hipotezę, by złożyła głowę pod gilotyną.

- Czy to minimalne warunki?

- Z pewnością tak by było - rzekł Stephen. - Zapomina pan jednak, że mówię o człowieku hipotetycznym i nieistniejącym.

- Nie mogę zapewnić aż tyle - stwierdził Duhamel. - Muszę się skonsultować z moim zwierzchnikiem. W Bogu jedynie pokładam nadzieję, że starczy mi czasu. Do Valençay i z powrotem...

- Do Valençay?

- Tak - odpowiedział Duhamel i obaj mężczyźni wymienili znaczące spojrzenia. Zamek w Valençay zamieszkiwał markiz Talleyrand i być może ten zamierzony akt niedyskrecji był kolejnym dowodem dobrej woli. - Czy zechciałby mi pan oddać pistolet? Kiedy jestem w podróży, czuję się bez niego całkiem nagi, a nie przyda się on panu ani tu, ani na rue SaintDominique. Major Clapier chciałby się z panem znów zobaczyć dziś po południu. Nie mogę się oprzeć i zdradzę panu pewną ekscytującą informację - otóż mamy ich wszystkich w garści. Ma pan być traktowany na szczególnych zasadach i znajdzie się pan w Tempie przed zachodem słońca.

Spojrzał na swój pistolet. Stephen oddał mu go, a wtedy Duhamel przekazał mu paczkę z angielskimi gazetami.

- Sądzę, że umili to panu wolny czas - powiedział.

- To był tylko Duhamel - rzekł Stephen w odpowiedzi na wielce zaniepokojoną minę Jacka. - Chciał, bym mu przepisał kolejne lekarstwo.

Okazał się również na tyle ludzki, że przyniósł nam nawet te publikacje, by umilić nam wolny czas.

- Wolny czas! - roześmiał się z ulgą Jack. - Wygląda na to, że w istocie będziemy teraz mieli go sporo. Bez bloku i talii nie zdziałam już wiele więcej.

Być może kochana, śliczna Poupette naszego Jagiełły wsunie je do koszyka z obiadem.

Ujął „Naval Chronicle”, a Stephen popadł w zadumę. Upłynęła zaledwie chwila, gdy rozmyślenia Stephena przerwał wybuch Jacka:

- Na Boga, Stephen, udało im się! „Ajax” dopadł „Méduse” przy La Hogue i stłukł ją na kwaśne jabłko w ciągu trzydziestu pięciu minut! Podczas walki zginął francuski kapitan i stu czterdziestu siedmiu marynarzy. „Ardent” i

„Swiftsure” znajdowały się w zasięgu wzroku na zawietrznej... Na Boga, opłaciło się! Opłaciło się wprowadzić nieszczęsnego „Ariela” na mieliznę!

Stephen powrócił do swoich rozmyślań. Ponad dziewięć dziesiątych jego umysłu przyjęło słowa Duhamela za prawdziwe. Czy resztki jego wątpliwości były efektem długich lat przezorności i braku zaufania, czy miały solidniejszą podstawę aniżeli zwykłe skrzywienie zawodowe? W miarę upływu czasu coraz trudniej mu było uwierzyć w czyjąkolwiek szczerłość. Cierpiał na chorobę zawodową i to znacznie poważniej, aniżeli przypuszczał. Na przykład pomylił

się co do Diany, gdyż nigdy w głębi serca nie sądził, że była ona w stanie go pokochać. Wiedział, że z pewnością darzyła go przyjaźnią, wiedział, iż miała do niego słabość, a czasem nawet otaczała go wielką czułością, ale nigdy nie spodziewał się po niej miłości, a już na pewno nie do niego. Jej wspaniały, serdeczny, a przy tym głupiutki czyn był jednak najlepszym dowodem na to, że się mylił i to bardzo. Wiedział, że ceniła swój diament ponad życie, a tym czynem położyła wręcz głowę pod topór dla niego. Poczul, jak zalewa go wielka fala wdzięczności i podziwu, aż serce zaczęło mu bić żywiej, lecz wtedy znów usłyszał Jacka, który przeszedł przez pokój z otwartą „Chronicie” w rękę.

Stephen spojrzał nań z niecodziennym, niebiańskim wręcz spokojem na twarzy.

- Spójrz no tylko na to - powiedział kapitan Aubrey cichym, przerażonym głosem, pokazując jedną ze stron.

- Śluby - przeczytał Stephen. - „Kapitan Ross z »La Désirée« poślubił

pannę Cockburn z Kingston na Jamajce”.

- Niżej.

- „W środę, w Halifaksie w Nowej Szkocji kapitan Alexander Lushington z Królewskiego Korpusu Piechoty Morskiej poślubił pannę Amandę Smith, córkę wielmożnego J. Smitha z Knocking Hall w Rutland”. Nie wydaje mi się, bym znał jakiegokolwiek pana Lushingtona.

- Ależ oczywiście, że znasz. To ogromny, zwalisty facet, wręcz bawół nie człowiek. Służy na „Thunderer”, który stacjonuje w bazie północnoamerykańskiej od niecałych trzech tygodni. Niech go Bóg ma w swojej opiece. Niech Bóg strzeże nas wszystkich. Możesz w to wszystko uwierzyć?

Czy ta cała historia z dzieckiem była tylko bujdą wyssaną z palca?

- Pewnie, całkiem możliwe.

Jack zamyślił się, kręcąc głową a na jego twarz wypłynął szeroki uśmiech.

- Na Boga... Chyba nigdy w życiu nie doznałem takiej ulgi... - powiedział.

- Na Boga, chyba jeszcze raz spróbuję zmierzyć się z tą płytą. Teraz to się dopiero przyłożę!

Z tymi słowami zniknął w wychodku, a odgłosy niemal mściwego, niespokojnego skrobania dobiegały stamtąd aż do pory obiadowej.

Zabrali się do przeszukiwania koszyka natychmiast po tym, jak za Rousseau zamknęły się drzwi, lecz nie znaleźli niczego. Trudno, stwierdzili wspólnie. Podwójny blok zespolony dotrze wraz z kolacją.

- A zatem to jest soupe anglaise - stwierdził Jack, gdy sięgnęli po deser. -

Zawsze chciałem tego skosztować.

- Nie jest to jednak klasyczne danie - powiedział Stephen. - Żaden przepis nie mówi bowiem o czymś takim!

Wyciągnął chochlę, a w niej znajdował się niewielki krążek linowy z ocynkowanego żelaza, z rodzaju tych, które są wykorzystywane w rozciąganiu sznurków do wieszania prania. Zdumiony Jack przyjrzał mu się bacznie.

- Co też przyszło tej poczciwej, młodej kobiecie do głowy? Nie mam pojęcia, dlaczego uznała, że coś takiego może zostać wykorzystane w charakterze podwójnego bloku zespolonego. Spójrzcie tylko... Spójrzcie tylko na te sworznie! Jagiełło, musi pan dać jej znać, że potrzebujemy porządnego mechanizmu do podnoszenia ciężarów. Mniejsza już nawet o kołkowanie, ale sworznie muszą być minimum pięciokrotnie grubsze od tych.

- Zapomina pan, sir, ale mówiłem już, że nie będzie jej tu ani dzisiaj, ani jutro! - powiedział Jagiełło i obronnym tonem dorzucił, że z tego, co sam pamięta, owe krążki wielce przypominają te, które kapitan Aubrey narysował.

- Cóż, nie jestem może mistrzem w sporządzaniu rysunków - stwierdził

Jack. - Ale dodałem przecież skalę, sam pan wie. Czy to fryzjer? - zapytał, nadstawiając ucha ku drzwiom. - Przydałoby się, by mi skrócił włosy, ale nie chcę, by zajmował się tym jakiś głuchoniemy. Tobie też od tego idą ciarki po plecach, Stephen?

- Nie - rzekł Maturin. - To nie fryzjer. To Rousseau i jego żołnierze, którzy idą, żeby mnie zabrać. Spodziewałem się ich. Nie martwcie się - dorzucił, sprawdzając, czy ma ampułkę. - Jeśli nie wydarzy się coś nieoczekiwanego, wrócę przed zachodem słońca.

- Przed zachodem słońca i na pewno nie później - rzekł kapitan, podpisując dokument odbioru więźnia. W drodze do sali przesłuchań, podczas której towarzyszyli mu jedynie kapitan oraz porucznik, nie wydarzyło się nic nieoczekiwanego, poza tym, że Stephen dostrzegł doktora Baudelocque, gdy mijali Hôtel de la Mothe. Chwila przybycia na tyły rue SaintDominique również nie kryła w sobie żadnych niespodzianek, a pierwszą zmianę zauważył dopiero, gdy umieszczono go w zakratowanej poczekalni, której okna wychodziły na słupek. W chwilę potem drzwi otworzyły się jak szeroko i do środka wpadł jakiś mężczyzna. Wepchnięto go z taką siłą, że padł na podłogę. Stephen podparł go i nieznajomy usiadł, wycierając krew z twarzy i rąk.

- O Matko Boska, Matko Boska, Pocieszycielko nasza, wybaw mnie -

mamrotał po katalońsku.

Wkrótce wywiązała się między nimi rozmowa i nieznajomy więzień opowiedział Stephenowi w mocno akcentowanym, łamanym francuskim żalowaną historyjkę o prześladowaniach, jakie go spotkały po tym, jak poparł kwestię niepodległości Katalonii. Stephen szybko nabrał przekonania, że został

podstawiony przez Francuzów, gdyż nie był przekonujący i nawet nie wyuczył

się dobrze swej kwestii. Szybko się więc znudził i odszedł od niego, ignorując całkowicie jego niewielkie skaleczenia.

Przesłuchanie, które nastąpiło później, było równie mizernym widowiskiem jak poprzednie. Major Clapier przedstawił dwóch kolejnych świadków: jakiegoś pocącego się nadmiernie, niezbyt znanego zoologa oraz podupadłego urzędnika, którzy niemal słowo w słowo powtórzyli oskarżenia rzucone wczoraj przez Fauveta. Stephen znów usłyszał, że proponował zabranie listów do Anglii, wyrażał się niepochlebnie o cesarzu i proponował duże sumy pieniędzy. Następnie przedstawiono mu urzędnika z hotelu Beauvillier, który zeznał całkiem zgodnie z prawdą, że doktor Maturin poprosił go o wymianę pięćdziesięciu gwinei na napoleony.

- To bardzo poważne wykroczenie - powiedział major, siląc się na możliwie najgroźniejszy ton. - Doktorze Maturin, wysłuchał pan dość zeznań, obarczających pana winą, a jako człowiek obdarzony mądrością widzi pan zapewne jasno, że jedynym sposobem na uniknięcie kary jest współpraca z władzami.

Nie wyglądało jednak na to, by ktokolwiek w jego słowa uwierzył, a Stephen zaczynał mieć już nadzieję, że wkrótce zostanie zwolniony, gdy po chwili ciszy odezwał się pewien wyglądający na bardzo przenikliwego oficer po lewicy majora:

- Czy doktor Maturin może wyjaśnić, dlaczego pewna dama mogłaby zaoferować przynajmniej cały milion za jego uwolnienie, jeśli żadne z nich nie ma nic wspólnego z wywiadem politycznym?

- A czy pan potrafi sobie wyobrazić jakiegokolwiek agenta wywiadu -

odpalił natychmiast Stephen - który byłby zdolny do tak piramidalnego głupstwa, oznaczającego zgubę zarówno dla niego, jak i dla jego kolegów?

Oficerowie spojrzeli po sobie.

- A zatem jakie jest wytłumaczenie? - spytał kapitan.

- Jedynie nieznośny bufon mógłby odpowiedzieć na to pytanie - rzekł

Stephen.

- Czy to możliwe, by ta, jakże wielka, dama darzyła doktora Maturina miłością? - wykrzyknął któryś z oficerów ze szczerym, autentycznym zdumieniem, pierwszym, jakiego Stephen był świadkiem w tym pokoju.

- Przyznaję, że brzmi to nieprawdopodobnie - stwierdził Stephen. - Proszę jednakże zauważyć, że zarówno Europa, jak i Pazyfae pokochały byka, a w historii tej roi się od jeszcze mniej odpowiednich kandydatów na partnerów.

Oficerowie trawili jego słowa, a atmosfera stała się niemal rozluźniona.

Stephen dostrzegł, że kilku z zebranych obrzuciło go ukradkiem spojrzeniami wyrażającymi podziw, lecz wtem do sali wkroczył pewien człowiek, który pochylił się nad ramieniem majora Clapiera i ostrym głosem wyszeptał kilka słów. Major uniósł głowę z wyrazem przestachu na twarzy i wybiegł z pokoju.

Wrócił po pięciu minutach z jeszcze innym człowiekiem, lecz tym razem był

wręcz blady z wściekłości. Stephen jednak nie miał wiele czasu na studiowanie twarzy majora, gdyż owym towarzyszącym mu jegomościem był Johnson.

- To on - natychmiast powiedział Johnson. Jego spojrzenie, podobnie jak spojrzenie majora, aż skrzyło się od osobistej nienawiści i mściwości. Clapier zrobił krok naprzód i powiedział cicho, ledwie nad sobą panując:

- Zabiłeś Dubreuila i PontetCaneta. - Stephen sądził przez moment, iż żołnierz go uderzy, lecz Clapier opanował emocje i wykrzyknął: - Zabrać go do celi! Do ula, prosto do ula z nim!

W celi zwanej ulem stopy grzęzły głęboko w nieczystościach i szlamie.

Miejsce to być może zawdzięczało swoją nazwę bzyzącym rojom much plujek.

Nie licząc żelaznych pierścieni w ścianie, pomieszczenie było całkowicie puste i przez kilka godzin Stephen stał przy zakratowanym otworze okiennym, znajdującym się na wysokości bruku placu, na którym odbywały się egzekucje.

Stał nieruchomo, a obrzydliwe wielkie muchy z zimnymi podbrzuszkami oblażyły go gęsto.

Nadal nie zmieniając pozycji, patrzył, jak słońce z wolna zachodzi. Niebo przybrało kolor masy perłowej, przez co dachy budynków znajdujących się za dziedzińcem stały się ostre i wyraźne. Jasna barwa nieba z każdą chwilą ciemniała, aż przybrała odcień przepięknego fioletu. Kontury zniknęły wówczas całkiem, a pojawiły się światła. W pozbawionym zasłon oknie za słupem ujrzał

wówczas mężczyznę i kobietę, którzy wspólnie zasiedli do kolacji. Jedzenie szło im jednak nieskoro, gdyż przez cały czas trzymali się za ręce, a w pewnym momencie pochylili się ku sobie i pocałowali.

Pojawiły się również gwiazdy - rozsypany na całym nieboskłonie pył

drobnych gwiazdek, a pośród nich jedna wielka, niemrugająca planeta, być może sama Wenus, która przecinała niebo pod trudnym do stwierdzenia kątem.

Przez jakiś czas wędrowała nad szczytem dachu, aż wreszcie zniknęła za nim.

Stephen wymacał językiem ampułkę, ukrytą pod policzkiem - swój nieumierający grzech śmiertelny, akceptowany jedynie przez kazuistykę - i choć od dawna odmawiał modlitwy odpowiednie dla chwili największego niebezpieczeństwa, w jego umyśle grały już inne, układające się w długi, hipnotyczny rytm śpiewu gregoriańskiego, w którym błagał Boga o opiekę nad ukochaną.

W końcu usłyszał odgłos kroków. Przy drzwiach błysnęło jakieś światło, a potem rozległ się zgrzyt przekręcanego w zamku klucza. Celę nagle zalał

potok światła, a roje niezliczonych much zaczęły na powrót bzyzczyć w powietrzu, lecz mimo tego Stephenowi udało się dostrzec, że przyszedł po niego jakiś sierżant z kilkoma żołnierzami. Zabrali go do sali, w której był wcześniej przesłuchiwany, a tam, gdy jego oczy przystosowały się już do światła, ujrzał

generała wraz z adiutantem, zastępcę kierownika Tempie oraz bladego z niepokoju pułkownika figuranta.

- Czy to pański więzień? - spytał generał.

- Tak, panie generale - odpowiedział kierownik.

- Zabierzcie go zatem do Tempie. Pułkownik, zgłosi się pan do biura sekretarza o ósmej jutro rano.

Droga do Tempie odbyła się w ciszy. Naczelnik wydawał się znużony, zdenerwowany i przybity, i wyglądał znacznie starzej niż wcześniej, a adiutant był całkiem pochłonięty zmaganiem z ozdobnym węzłem przy swojej broni, który został przytrzaśnięty drzwiami powozu.

- Wreszcie jesteś, Stephen! - wykrzyknął Jack. - Wreszcie jesteś! Dobry Boże, tak bardzo...

Stephen uniósł dłoń i przez kilka chwil trzymał ucho przy drzwiach.

- Posłuchaj - powiedział, gdy na zewnątrz rozległa się na powrót trwająca od wieków cisza. - Czy dasz radę jeszcze przyspieszyć prace? W Paryżu jest Johnson. Wydał mnie.

- Naprawdę? - spytał Jack i ująwszy świeczkę, wkroczył do wychodka.

Wszystko było przygotowane na przybycie mechanizmu do podnoszenia ciężarów - bloki mocniejsze od tych, które dziewczyna przysłała wraz z obiadem. Wstrzymał się jedynie z połamaniem mebli na potrzebne w pracy drewniane kliny oraz podstawki klinowe, choć tam, gdzie trzeba było, wykonał

już głębokie, niewidoczne podpiłowania, do których wykorzystał odpowiednio ponacinany nóż Poupette. Ogromne płyty poprzeczne w wychodku były już luźne i obrane z zaprawy. Ich uwolnione brzegi zostały zamaskowane starannie ułożonymi fragmentami zaprawy, lecz te można było usunąć

kilkoma ruchami ręki. Płyty tylko czekały, by zastosować siłę mechaniczną i unieść je. Miał

nadzieję, że za pomocą owych bloków bez większego trudu zdoła je kolejno podźwignąć i po cichu zsunąć. Dysponował już dobrym urządzeniem podtrzymującym w postaci dwóch nadproży, a dostarczona z zewnątrz lina, choć cienka, była niezwykle wytrzymała. Nawet z tym, co miał do dyspozycji, zadanie nie wydawało się niemożliwe.

- Być może wystarczy, jak zastosujemy zwykły linoblok z podwójnie przewleczoną liną - powiedział.
- Wszystko zależy od sworzni. - Wyciągnął

krążki z kieszeni i przyjrzał im się raz jeszcze. Sworznie, na których osadzono ich niewielkie kółeczka, miały niecałe pół centymetra średnicy, a musiał oprzeć na nich naprawdę spory ciężar. Co więcej, wszystko wskazywało na to, że wykonano je z miękkiego żelaza. - Boże, cóż za sworznie - powiedział. -

Typowe sworznie szczura lądowego. Przynajmniej krążki są mocne, a policzki nie są aż tak istotne. - Zawołał Jagiełłę, by ten przytrzymał mu świeczkę. W

niewielkim pomieszczeniu nie było miejsca dla całej trójki, tak więc Stephen usiadł na łóżku i zaczął się im przyglądać. Jack był ogromnym mężczyzną lecz poruszał się szybko i z gracją, a jego dłonie pracowały bez wahania. Nie miał

najmniejszej ochoty przecinać liny, po części kierując się zasadami, a po części świadomością, że liny jedwabne są bardzo śliskie i trudno się je splata. Dlatego wplótł ją odpowiednio wcześniej w skomplikowaną pajęczynę przemysłowych węzłów, stoperów i krótkich lin z okami, którą rozpiął w wychodku. Jej zadaniem było skupienie siły dwóch dorosłych mężczyzn celem podniesienia lewej strony dalszej płyty. Ani na moment nie przestawał się poruszać, choć mimo tego postronnemu obserwatorowi jego działania bez wątpienia wydałyby się nazbyt drobiazgowo, trudne do zrozumienia, a co gorsza, bez końca. Czas dłużył się niemiłosiernie, lecz wreszcie Jack sprawdził całe oporządzenie, by mieć pewność, że liny zostały rozpięte odpowiednio mocno, a cały system uniesie ciężar idealnie pionowo. Następnie wycofał się z wychodka, ujął

najlepszy taboret, odłamał jego nogę i pociął ją na mniejsze kawałki. - Teraz, Stephen - powiedział - musisz wpełznąć do środka, uklęknąć przy płycie poprzecznej i wsunąć te kliny pod spód, jak tylko drgnie. - Ten wślizgnął się do środka, uważając na pajęczynę Jacka i uklęknął na swoim stanowisku. Po chwili usłyszał głos Jacka: - Niech pan łapie za fał, Jagiełło, i ciągnie za mną, w równym rytmie. No, to równo! Równo! - Liny rozchodzące się we wszystkich kierunkach napięły się i wyprostowały. W pokoiku słychać było już tylko przypominający muzykę odgłos rozciągania. Niewielkie kółka obracały się, widoczne w blasku świec. Liny stawały się coraz bardziej napięte, dźwięk stawał się coraz wyższy, lecz Jack nie poddawał się. - Równo, równo! - szeptał, a wielka płyta poprzeczna z głuchym stęknieniem podniosła się wreszcie na osiem centymetrów, wysuwając się do połowy ze swego granitowego łoża.

- Unosi się! - powiedział Stephen, wpychając kliny w szczelinę. Naraz cała platanina lin zaczęła wibrować, a po cichym pokoju poniosły się osobliwe, drżące dźwięki. Niespodziewanie płyta opadła na miejsce, miażdżąc kliny. - Coś jest nie tak! - zawołał Stephen.

- Dość! - powiedział Jack, po czym wszedł do wychodka, ujął świecę i stwierdził: - Tak, sworznie nie wytrzymały.

* Pozostali dwaj więźniowie spojrzeli na niego z przerażeniem na twarzach.

- %dę musiał je wymontować - stwierdził. - Żadne z nich bloki, jak sami widzicie. - Nim minęła północ, udało mu się uwolnić przekłute, małe krążki, wyciągnąć z nich połamane sworznie i zastąpić je kawałkami stalowego uchwyty pilnika. - Nie wygląda to ładnie - oznajmił. - Ale może zadziała.

Ograniczę napór do trzech z nich, oszczędzając tym samym ten najśłabszy. -

Pajęczyna została rozpięta po raz kolejny, lecz tym razem wyglądała nieco inaczej i zanim odległy zegar wybił godzinę pierwszą, Jack znów powiedział: -

Łap pan za fał.

Skomplikowana sieć napięta się po raz kolejny, aż liny stały się sztywne niczym struny skrzypiec, lecz tym razem niewielkie kółka skrzypiały za każdym obrotem, a cały system lin drżał niespokojnie. Nic nie wskazywało na to, że wynalazek Jacka będzie w stanie unieść ogromny ciężar, lecz gdy napięcie sięgnęło takich granic, że Stephen nabrał przekonania, iż lada moment pęknie, ujrzał, jak płyta podnosi się delikatnie. Była coraz wyżej, aż mógł podeprzeć ją kawałkami drewna.

- Stoi! - zameldował.

- Obkładać! - powiedział Jack, po czym podszedł i bacznie przyjrzał się płycie. - Bardzo dobrze - oznajmił. - A nawet doskonale. Uda się, jeśli tylko sworznie wytrzymają, ale właśnie naszły mnie wątpliwości. Z początku chciałem powoli wciągnąć płytę do środka, osobno z każdego końca, lecz oznaczałoby to każdorazową zmianę położenia sieci i nawet gdyby sworznie wytrzymały, wątpię, czy zdążylibyśmy z obiema płytami na długo przed świtem. Jeśli jednak opuścimy i podniesiemy lewą krawędź, a ty ją podeprzesz, najpierw dłutem, a potem kamieniami, prawa krawędź wyslizgnie się i cała płyta polecą na dół. Jedynym problemem pozostaje huk towarzyszący upadkowi.

Wygralibyśmy w ten sposób kilka godzin, oszczędzilibyśmy sworznie, ale będzie głośno. Co ty na to?

Stephen zastanowił się przez chwilę.

- Nieraz słyszałem, jak wielkie kawały kamienia odpadały od wieży, gdy robotnicy pracowali w ciągu dnia - powiedział. - Z drugiej strony, to miejsce jest niemal puste. W zeszłym tygodniu rzadko kiedy widzieliśmy nawet nocny patrol. Myślę, że możemy zaryzykować. Pokaż mi, co mam zrobić.

Jack zademonstrował mu wszystkie jego obowiązki, zmienił kąt podniesienia i powrócił do Jagiełły.

- Ostrożnie, z wyczuciem - powiedział.

Płyta zaczęła się unosić w równym rytmie, niemal zgranym z wędrownką wskazówki sekundnika po tarczy zegara. Stephen umieścił swe kliny pod prawą krawędzią płyty i powiedział:

- Opuszczać! - Opuszczana płyta zazgrzytała głucho, przesuwając się w poprzek swego leża. - Ciągnijcie! - Unosząc się, płyta nie przestawała obsuwać się w bok, w kierunku krawędzi szczeliny. W górę i w dół, w górę i w dół. Była coraz bliżej krawędzi, a kliny wchodziły coraz głębiej. - Zaraz... - zaczął, lecz zanim zdążył powiedzieć: „się zsunie!”, w miejscu, w które się wpatrywał, nagle pojawiła się pustka. Naraz, poniżej kręgu światła rzucanego przez promień świecy, pojawiło się ciemne, nocne powietrze, a nad nim kołysała się rozhuśtana pajęczyna lin. Przez jedno uderzenie serca w wychodku panowała cisza, a potem z dołu dobiegł ogromny łoskot, który wydawał się wstrząsać całą okolicą z wieżą włącznie.

Uciekinierzy spojrzeli po sobie. Wszyscy trzej trwali w bezruchu, aż Jagiełło z jakichś względów zdmuchnął świecę. Czas upływał nieubłaganie.

Zegar na wieży St Theodule wybił dwukrotnie kwadrans, lecz z dołu nie dobiegły ich żadne inne dźwięki.

Dopiero po dłuższej chwili rozległ się szept Jacka:

- Zapalcie świecę. - Najpierw wziął się za to Stephen, potem Jagiełło, lecz żadnemu z nich się nie udało.

- Co za banda szcurów lądowych! - szepnął Jack, a w jego głosie po raz pierwszy zabrzmiało rozdrażnienie.

- Dajcie mi to tutaj. - Ujął hubkę z krzesiwem, uderzył mocno i dmuchał

na isierkę, po czym obejrzał linę i większą teraz dziurę w podłodze. - Jeszcze kilkanaście centymetrów i szczupły człowiek prześlizgnie się bez trudu -

oznajmił. - Musimy brać się za kolejną płytę. Na razie jednak chciałbym wyściełać pętlę koszulą Jagiełły, żeby się nie przetarła. - Cały system lin znów zmienił rozłożenie, tym razem, by podźwignąć wewnętrzną płytę. Stephen znów mógł się tylko przyglądać. W tej chwili, gdy droga do wolności stała już w połowie otworem, nie potrafił już kontrolować rytmu swego serca i w miarę jak Jack i Jagiełło przygotowywali liny, czuł, jak rozdrażnienie, niecierpliwość i wynikająca z niemocy frustracja stają się nie do wytrzymania. Był przekonany, że na poły zniszczona fosa nie będzie przedstawiać dla nich większej przeszkody i gdy tylko wydostaną się z Tempie, będą mogli się schronić w jednej z pół tuzina znanych mu bezpiecznych kryjówek. Gdyby tylko zdołali się wydostać! Gdyby byli już na zewnątrz, mógłby się skontaktować z La Mothe i Valenęay. Miał niemal pewność, że propozycja Duhamela była szczerą i prawdziwą, ale mimo tego wołał nie być od niego zależnym przed ostatecznymi ustaleniami. Tak czy owak, zważywszy na fakt, że w Paryżu przebywał

Johnson, nie mogli pozostać w Tempie ani dnia dłużej. Nawet gdyby sam Clapier nie chciał wyrzucić na nich osobistej zemsty, z pewnością doceniał

wartość współpracy z amerykańskim wywiadem i bez wątpienia poświęciłby dla niej trzech jeńców. Stephen przeczuwał, że w ostateczności major posunąłby się nawet do zabrania ich z Tempie siłą - bez trudu wytłumaczyłby się z tej decyzji po fakcie. Wiedział też, że nie da im długo czekać. Tego

typu działania podejmowano z reguły o świcie lub krótko przed jego nastaniem. Pozostawało jednak pytanie: „Jaka będzie reakcja Valenęay na przybycie Johnsona?”. Nie, nie było się czym przejmować, ponieważ gdyby plan ułożony w Valenęay zadziałał, współpraca z Amerykanami straciłaby wszelki sens i nie byłoby trzeba czynić wobec nich żadnych ustępstw. Dręczyła go jedynie sytuacja, w której znalazła się Diana. Raz za razem tłumaczył sobie, że dzięki opiece La Mothe, swym rozległym znajomościom wśród wpływowych ludzi i swym braku zaangażowania w politykę nie grozi jej żadne niebezpieczeństwo, tym bardziej, że Johnson przybył całkiem niedawno, ale za każdym razem uświadamiał sobie, że próbuje to sobie sam wmówić, a jego wywodom brakuje solidnych podstaw.

Owe niekończące się rozważania były dlań trudne do zniesienia, tak więc, chcąc choć częściowo odsunąć je na plan dalszy, Stephen zabrał się za zbieranie swego skromnego dobytku i układanie go w zawiniątko z materiału. Nakarmił

nawet myszkę, która zdumiona wyszła spoza drzwi. - Myślę, że to starczy -

powiedział w końcu Jack. Od jakiegoś czasu nie szeptali już, a rozmawiali normalnymi głosami. - Tym razem jednak będziemy musieli porządnie przyłożyć się do ciągnięcia, gdyż liny są rozpięte pod nieodpowiednim kątem, a do tego jest ich mniej. Jak Bóg da, sworznie wytrzymają. Jagiełło, niech pan owinie dłonie chusteczką. Stephen, do roboty.

Wreszcie Maturin miał coś realnego do zrobienia. Tuż przed nim w podłodze znajdował się prostokątny otwór, przez który widział wolność. Jego blade oczy błyszczały, kiedy ukucnął przy krawędzi, mając przy sobie dłuto i stos klinów. Wnet liny znów napięły się maksymalnie przy akompaniamencie posapywania Jacka i Jagiełły, którzy ciągnęli ze wszystkich sił.

Niespodziewanie naszła Stephena nowa myśl - że jego własna siła mogłaby zmniejszyć niebezpieczny napór na sworznie. Stał więc w rozkroku nad płytą poprzeczną, wsunął pod nią dłonie i ciągnął, ciągnął z furją, aż jej krawędź

zaczęła wrzynać mu się w dłonie, a wzrok zaćmiła pulsująca szaleńczo krew.

Jego wysiłek nie poszedł jednak na marne, gdyż naraz usłyszał, jak płyta unosi się ze zgrzytnięciem.

- Podnosi się! - wychrypiał i cofnął się, by przystąpić do gorączkowego wbijania klinów.

Jack zobaczył go i uśmiechnął się. W tej samej chwili ujrzał również, jak drzwi, owe tajemnicze drzwi, za którymi mieszkała myszka, otwierają się szeroko, a w progu staje czterech mężczyzn z latarnią.

- Dobry wieczór panom - powiedział ich przywódca.

- Jack, nie ruszaj się! - wykrzyknął Stephen, gdyż kapitan Aubrey i Jagiełło podrywali się już do ataku, niebezpieczni niczym dwa tygrysy. - Dobry wieczór panom. Proszę wejść.

Z tymi słowami ruszył w stronę przybyszów, lecz zapomniał o dziurze w podłodze i wpadł w nią aż po talię. Jack oraz Duhamel przypadli do niego, złapali go za ręce i wyciągnęli wspólnymi siłami.

- Wszystko w porządku? - wykrzyknęli.

- Tak, oczywiście, dziękuję! - powiedział Stephen, pocierając goleń, która przez moment emanowała silnym, choć niegroźnym bólem, po czym oznajmił

dość ostrym tonem: - Chciałbym usłyszeć, co tu panów sprowadza.

- Zapewne mnie pan nie pamięta, doktorze Maturin - powiedział pierwszy z nich, występując przed towarzyszy. - Nazywam się d'Anglars i zostaliśmy sobie przedstawieni, gdy pracowałem dla monsieur de Talleyranda Perigorda, gdy ten sprawował urząd ambasadora w Londynie. Sądzę też, że mamy wielu wspólnych przyjaciół.

- Doskonale pana pamiętam, sir - oznajmił Stephen. - Rzecz jasna, wspominam też jego ekscelencję z jak największym szacunkiem. Dostałem zaszczytu spotkania się z nim jakiś czas temu. Żaden z panów wiele się nie zmienił.

Nie było to do końca prawdą, przynajmniej jeśli chodziło o d'Anglarsa.

Był on starzejącym się, lecz nadal przystojnym mężczyzną i nawet w świetle latarni dało się wyczytać szelmstwo na jego inteligentnej, żywej, choć nieco zniszczonej twarzy. Stephen przesadził również, mówiąc o swym szacunku dla biskupa Autun lub księcia Benewentu, jak się teraz tytułował Talleyrand. W

jego oczach człowiek ten był uosobieniem fałszu i geniuszem hipokryzji, lecz Stephen miał go za dobrego towarzysza, a na swój sposób również mądrego człowieka.

- Jest pan nader miły - rzekł d'Anglars, czyniąc przy tym gest, który przypomniawszy Stephenowi o La Mocie, który w rzeczy samej był jednym z ich wspólnych przyjaciół. - Widzę, że ma pan teraz pełne ręce roboty, ale może udałoby nam się zamienić parę słów? Zechcą nam panowie wybaczyć - rzekł, kłaniając się Jagielle oraz kapitanowi Aubreyowi.

- Ależ oczywiście - odparł Jack, na nowo przybierając uprzejmy ton.

Stephen zerknął na towarzyszy d'Anglarsa i dostrzegł, że jednym z nich był rzecz jasna Duhamel, drugim jakiś oficer, którego płaszcz tylko częściowo zakrywał wspaniały mundur, a trzecim mężczyzna ubrany na czarno z twarzą ocienioną rondem kapelusza. Stephen miał wrażenie, że kojarzy go z górnymi stanowiskami ministerstwa spraw zagranicznych.

Weszli do pokoju Jagiełły, niosąc bardzo krótką już świeczkę, po czym rozsiedli się pod oknem.

- Duhamel opowiedział nam o pańskich warunkach - rzekł d'Anglars. -

Zgadamy się na wszystkie z wyjątkiem jednego. Zażądał pan zwrotu Błękitnego Piotrusia, lecz niestety nie uda nam się go natychmiast odzyskać.

Tutaj jednak mam gwarancję odzyskania go w przyszłości.

- Z tymi słowami Francuz wydobył biskupi pierścień z wielkim ametystem. Stephen przyjrzał mu się z pewnym zainteresowaniem, lecz bez satysfakcji. Nie wyglądał na zadowolonego i nie udzielił odpowiedzi. - Z drugiej strony - kontynuował d'Anglars - możemy się zatroszczyć o posiadaczkę klejnotu. Możemy wyprawić ją w rychłą podróż, jak pan to ujął. - Głos miał

przymilny, ale brakowało w nim przekonania, Stephen wyczuwał też pewien pośpiech i niepokój. Wciąż nie odpowiadał, w blasku świecy obracając w palcach ametyst. - Co do rekompensaty - w głosie d'Anglarsa pojawiło się już więcej pewności siebie - mam tu weksle z banku Drummonda...

- Nie, nie - rzekł Stephen. - To by tylko skomplikowało sprawę, a ja zawsze staram się unikać komplikacji. Proszę mi powiedzieć, jakie gwarancje oferujecie.

- Całą trójką udamy się z panem do Calais, gdzie wsiądzie pan na cartel i popłynie do Anglii, jeśli taka będzie pana wola. Nasze życie lub przynajmniej nasza wolność będzie w pańskich rękach, wolno będzie panu również zabrać dowolną broń.

- Bardzo dobrze - rzekł Stephen. - Moi towarzysze oczywiście pojedą razem ze mną?

- Ma pan na myśli kapitana Aubreya i młodego Apollina?

- Tak.

- Rzecz jasna.

- To ruszajmy.

Rozmowa dobiegła końca. D'Anglars wstał i wraz z utykającym Stephenem wrócił do głównego pomieszczenia.

- Przykro mi, że musieli sobie panowie zadać tyle trudu - rzekł z zadowoleniem Francuz, ruchem głowy wskazując zdemolowany wychodek. -

Lecz mało co lepiej przysłuży się teraz naszej sprawie. Załatwiliście nam panowie doskonałe alibi. Tędy, proszę, drzwiami.

- Kapitanie Aubrey, panie Jagiełło - powiedział Stephen. - Pójdziemy z tymi panami, jeśli łaska. Względy uprzejmości sprawiły, że przez moment droczyli się z Francuzami, kto ma pierwszy przejść przez otwarte drzwi, lecz w końcu te zostały zamknięte tak, jak były, a oni skierowali się w dół po spiralnych schodach. Schodzili dłuższą chwilę, aż znaleźli się na dziedzińcu, którego nigdy dotąd nie widzieli. Stamtąd wyszli przez furtkę, której pilnowały dwie ciemne postacie. Obaj mężczyźni rozstąpili się, by ich przepuścić, i uciekinierzy znaleźli się na cudownie zwyczajnej, pustej ulicy, gdzie oczekiwały ich dwa powozy oraz dwa konie do jazdy wierzchem. Mężczyzna w czerni oraz oficer w płaszczu usadowili się w siodłach, Jack, Duhamel i Jagiełło wsiedli do pierwszego powozu, a Stephen i d'Anglars do drugiego. Konie ruszyły równym klusem przez ciche, ciemne uliczki w kierunku rzeki. Noc była ciepła i spokojna. - Skąd odbierzemy damę? - spytał Stephen.

- Jak to skąd? Z Hotel de La Mothe! - rzekł zdumiony d'Anglars.

- Naprawdę? Jest pan tego pewien?

- Tak, oczywiście - powiedział d'Anglars, a ton jego głosu wskazywał, że słowom towarzyszył uśmiech.

- Czy zakłócano jej spokój?

- Nie, raczej nie. Pojawił się co prawda pewien amerykański dżentelmen, który dopiero co przybył do Francji, i wypytywał o rodaka, z którym jego zdaniem mogło ją coś łączyć, ale na pewno nie zakłócano jej spokoju.

Gdy znaleźli się na Pont au Change, Stephen spytał:

- Tuszę, że owa dama ma przypisywać nasze uwolnienie tylko i wyłącznie swej własnej inicjatywie?

- Naturalnie - rzekł d'Anglars. - Naturalnie. Z naszego punktu widzenia cokolwiek innego byłoby niedorzecznością - dodał.

Wkrótce znaleźli się na rue de Grenelle, gdzie rozstawiło się już kilka furgonów, w tym jeden wysoko załadowany kwiatami. Powozy zatrzymały się przy Hotel de La Mothe, a tam na podwórzu oczekiwała ich Diana, odziana w płaszcz z kapturem, nadal szczupła i smukła. Nieopodal stał jeszcze jeden powóz załadowany kuframi, otoczony przez grupę służących. Stephen wyskoczył na zewnątrz i, utykając, ruszył ku Dianie, a dziewczyna wybiegła mu na spotkanie. Ucałowali się serdecznie.

- Najdroższa Dianio, nie masz pojęcia, jak bardzo jestem ci wdzięczny -

rzekł. - Obawiam się jednak, że kosztowałem cię Błękitnego Piotrusia.

- Och, moja radość na twój widok nie ma wprost granic - odparła, chwytając go za rękę. - Niech szlag trafi ten naszyjnik, to ty będziesz teraz moim klejnotem. Stephen, podarłeś sobie pończochę! Twoja noga jest we krwi!

- Tak, skaleczyłem się w łydkę. Powiedz mi lepiej, jak się miewasz, mój skarbie! Dowiedziałem się od doktora Baudelocque'a, że miałaś pewne problemy - Stephen - powiedziała, patrząc na niego w świetle latarni. - Nie zrobiłam tego, przysięgam. Dotrzymałam słowa i bardzo o siebie dbałam.

Byłam zdumiona, doprawdy zdumiona. Doktor Baudelocque powiedział, że nic się nie dało zrobić, przysięgam na mój honor.

- Tak, nie było na to rady, dobrze wiem o wszystkim - rzekł Stephen, kiwając głową. - Podaj mi dłoń, przyjij stopę na stopniu i ruszajmy z Bożym błogosławieństwem.

- Bezzwłocznie ruszyli w drogę i pędzili, aż po prawej stronie traktu niebo zaczęło się przejaśniać. Powozy zmienili w wielkim, cichym domostwie w Beaumont le Château, leżącym daleko w dole alejki okolonej lipami. Honory pana domu, co zupełnie do niego nie pasowało, pełnił tam Duhamel, który zaprowadził ich do pokoi, w których mogli dokonać toalety i przebrać się w cywilne rzeczy, a potem zaprosił ich na śniadanie. Gdy przymierzali nowe kurtki, Stephen powiedział: - Słuchaj,

Jack. Musisz wiedzieć, że Diana podarowała żonie ministra swój wielki diament w zamian za nasze uwolnienie.

Jack zamarł z jedną ręką w rękawie.

- Naprawdę? - wykrzyknął. - Dobry Boże! Cóż za szlachetność! Niech mnie kule biją jeśli to nie szlachetne z jej strony! Ale, Stephen, przecież ona tak bardzo się nim cieszyła! Tak bardzo była z niego dumna! Piękniejszego diamentu nawet w Tower nie znajdziesz! Toż to wykup godny króla... Jak ja się zdołam jej odwdziaczyć? Diana zawsze była szlachetną kobietą lecz to... Sophie będzie jej wdzięczna do końca życia i ja też! Na mój honor, ja też! - Z tymi słowami popędził przez wysoki, ponury, rozbrzmiewający echem pokój w kierunku stołu, na którym rozstawiono śniadanie, zamknął Dianę w potężnym uścisku swych ramion i ucałował ją serdecznie w oba policzki. - Kuzynko Diano, jestem ci tak wdzięczny! - oznajmił. - Jestem dumny, ogromnie dumny, że mogę cię nazwać swą krewną! Na mój honor, jestem dumny jak paw! Niech cię Bóg błogosławi, moja droga.

Gdy już rozsiedli się w nowym powozie, który okazał się ogromną karetą, zaprzęzoną w sześć koni, oznajmił, że Diana musi zamieszkać w domu Ashgrove, a zarówno on, jak i Sophie nie zniosą odmowy. Pędzili teraz drogami Pikardii, pogrążeni w rozmowie o Stephenie. Stephen podróżował bowiem w powozie prowadzącym, razem z d'Anglarsem i Duhamelem. Cała trójka pogrążona była we wnikliwej dyskusji na temat dokumentów, które miał zabrać do Londynu i opatrzyć na miejscu odpowiednim komentarzem. Stephen był

gotów bez wahania zaakceptować każdy plan obalenia Bonapartego, nawet najbardziej szalony, ale ten wcale na nierealny nie wyglądał. Dorzucił co prawda kilka uwag, by dokumenty lepiej przemówiły do uczuć Anglików, lecz sugerowane przez niego poprawki ani razu nie dotyczyły treści, a jedynie formy.

Jego zdaniem propozycja Francuzów była doskonale opracowana. Bez wątpienia w tworzeniu dokumentów brały udział bystre, analityczne, a przy tym również inteligentne umysły i żywił ogromną nadzieję, że w Londynie i w Hartwell trafią w ręce ludzi równie mądrych.

Te same umysły wytyczyły ich trasę oraz opracowały wszelkie szczegóły podróży. Stephen niejednokrotnie poznał już wartość sprawnej organizacji w sytuacji, gdy trzeba było szybko przetransportować pilne zdobycze wywiadu, lecz nigdy dotąd nie widział transportu zorganizowanego tak idealnie.

Opóźnienie wystąpiło tylko raz, jakieś pięć kilometrów za Villeneuve, gdy jeden z koni zgubił podkowę, lecz nie licząc tego drobnego incydentu, przemierzili całą Pikardię oraz Artois bez najmniejszych nieprzewidzianych przerw. Mijali po drodze wiele maszerujących na północ kolumn żołnierzy, z których wielu było zaledwie nastoletnimi chłopcami, mijali długie kolumny świeżych koni dla kawalerzystów, wozy z amunicją i prowiantem oraz artylerii polowej, ale za każdym razem droga była zawczasu oczyszczona.

Stephen doskonale wiedział, że większość francuskich zwycięstw opierała się na doskonałej pracy sztabowej i było dla niego jasne, iż w spisku uczestniczy kilku wybitnych oficerów sztabowych. Czasem przychodziło mu jednak do głowy, że perfekcyjne przygotowanie ucieczki w którymś

momencie musi zawieść, a jakiś wyższy rangą generał dowodzący mijanym posterunkiem w końcu zażąda wyjaśnień i rozkazów z Paryża... Albo inna frakcja, która cenila współpracę z Johnsonem i jego rządem, pośle za nimi pościg lub, co gorsza, prześle wieści za pośrednictwem semaforów, widocznych na każdym mijanym wzgórzu. Mylił się wszakże. Dotarli do Calais podczas wysokiej wody, a cartel HMS „Oedipus” był gotów do wypłynięcia wraz z odpływem. Sprzyjał im nawet wiejący od lądu, umiarkowany wiatr.

- Wreszcie zazna pan wygodnej podróży - powiedział do d'Anglarsa, gdyż ustalili wcześniej, że Francuz uda się wraz z nimi, by osobiście wyjaśnić wszystko swemu kuzynowi Blacasowi oraz tytułarnemu królowi. - Ten statek, czy raczej bryg, to doprawdy świetnie żeglująca jednostka. To dobry, suchy i posłuszny sterom okręt, jak mawiamy. Co więcej, morze jest spokojne.

- Cieszę się ogromnie - rzekł d'Anglars. - Ostatni raz, gdy żeglowałem po kanale La Manche, dopadła mnie nieznośna choroba morska i musiałem leżeć przez cały czas na koi.

Nie licząc łodzi przemytników, na całym kanale nie było bardziej dyskretnych jednostek od carteli. Cumowały one w zacisznej, osłoniętej części portu, a tymi, które należały do Royal Navy, jak „Oedipus”, dowodzili niezwykle dyskretni kapitanowie, nierzadko oficerowie starsi stopniem, których czasowo oddelegowano do wykonywania tego zadania. Czas, jaki pozostał do odpłynięcia, uciekinierzy spędzili w prywatnym domu i Jack, który zasiadł przy oknie i patrzył na załadunek, z ogromnym zdumieniem dostrzegł na pokładzie rufowym „Oedipusa” Williama Babbingtona, który najwyraźniej sprawował

dowództwo. Babbington służył pod jego rozkazami jako midszypmen, a później jako porucznik, i choć Jack wiedział, że przydzielono mu już samodzielne dowództwo przy „Sylphide” - w rzeczy samej osobiście napisał wiele listów i poruszył wiele znajomości, by do tego doprowadzić - wciąż wydawał mu się niezwykle młody jak na to stanowisko.

Bez względu na swój wiek kapitan Babbington rozumiał znaczenie słowa

„dyskrecja” równie dobrze jak każdy inny żeglarz w Royal Navy i gdy jego pasażerowie, zarówno Francuzi, jak i Anglicy przybyli na pokład, powitał ich uprzejmie, niczym nie zdradzając, że ich rozpoznaje. Jack i jego towarzysze zachowali się tak samo. Babbington wyznaczył midszypmena, by zaprowadził

kapitana Aubreya, doktora Maturina oraz damę do kajuty, a Francuzów do mesy midszypmenów, a gdy uporał się z tym zadaniem, rozejrzał się po całym okręcie.

- Cała załoga do odcumowywania! - ryknął, wiarygodnie naśladowując ton, jakim Jack wydawał rozkazy z pokładu rufowego. Marynarze „Oedipusa” postawili kliwer i foksztaksel, a cartel oddalił się od nadbrzeża z wciąż zwiniętymi marlsami. Gdy znalazł się w farwaterze, załoga założyła reje. Okręt wkrótce przepłynął niedaleko północnej boi, przemykając zgrabnie wśród tłumów łodzi rybackich i nim minęło pół godziny, znalazł się na redzie zewnętrznej, a wtedy kapitan Babbington nakazał postawić żagle główne.

Dorzucił przy tym jeszcze kilka cierpkich uwag pod adresem lenistwa midszypmenów zajmujących

się lewoburtowymi sejzingami, które jego zdaniem wróżyło rychły upadek Royal Navy. Ledwie wygłosił swe proroctwo, które sam usłyszał z ust Jacka Aubreya w wieku lat dwunastu, a na pokład padł wysoki cień. Obróciwszy się, Babbington ujrzał samego proroka, który nieoczekiwanie wyglądał na zdenerwowanego, niespokojnego, a nawet przestraszonego. Dla człowieka, który tak często ruszał do boju pod rozkazami kapitana Aubreya jak William Babbington, był to widok szokujący i zgoła niepojęty. - Zejdziemy pod pokład, sir? - zaproponował, uśmiechając się niepewnie.

- Cóż, wolałbym teraz zaczerpnąć świeżego powietrza - powiedział Jack, ruszając w kierunku relingu rufowego. - Na dole jest dość gorąco.

- Tak trzymać, panie Somerville - rzekł Babbington i podszedł do swego byłego dowódcy, który zatrzymał się przy drzewcu flagowym.

- Kłóć się, jakby ich co napadło - szepnął cicho Jack, gdy znaleźli się sami. - Jak wściekle psy. Zupełnie jakby byli małżeństwem od roku.

- Dobry Boże - rzekł przerażony Babbington.

Reje zostały zbrasowane i „Oedipus” sunął w kierunku Dover po cichym, delikatnie zmarszczonym morzu. Pokład cartelu był nieruchomy niemal jak blat stołu, a po obłożeniu wszystkich lin nie słychać było żadnego odgłosu z wyjątkiem świstu wiatru w takielunku, odległego krzyku mew i plusku wody wzdłuż burt. Aubrey i Babbington stali niedaleko świetlika kabiny i nagle pośród ciszy usłyszeli wyraźnie dobiegające z dołu słowa:

- Na litość boską jesteś i zawsze byłeś zawziętym, upartym jak osioł bydlakiem, Maturin!

- A może chciałby pan obejrzeć nasz galion, sir? - zaproponował

Babbington. - Jest całkiem nowy, w greckim stylu, jak sądzę.

Galion w istocie mógłby uchodzić za wykonany w greckim stylu, gdyby Grecy żywili upodobanie do pokrywania swych figur grubymi warstwami farby, rzeźbienia mdłych uśmiechów, oddawania spojrzeń bez wyrazu i malowania szkarłatnych plam na policzkach. Obaj kapitanowie przyglądali się przez moment rzeźbie, aż w końcu Jack powiedział:

- Nigdy nie miałem głowy do klasyki, ale coś mi świta, że była jakaś dziwna sprawa ze stopami Edypa.

- Też tak sądzę, sir. Na szczęście rzeźba kończy się na talii.

- Zaraz, a czy przypadkiem nie chodziło tam o jego ślub, a nie o stopy?

- Być może chodziło o jedno i o drugie, sir. Wydaje mi się, że przypominam sobie coś na ten temat z Polite Education Gregory'ego.

Kapitan Aubrey zamyślił się, zapatrzony w delfiniaka.

- Mam! - krzyknął nagle. - Ma pan całkowicie rację. Tam chodziło zarówno o stopy, jak i o jakiś ślub. Przypomniało mi się, że doktor opowiedział

mi tę historię, gdy staliśmy przy „Jocaście” w Rosia Bay. Nie mam najmniejszego zamiaru krytykować pańskiego galionu, panie Babbington, ani tym bardziej pańskiego brygu, ale ta rodzina nie była do końca normalna, wie pan? Dopuścili się kilku doprawdy dziwacznych postępów, a cała historia nie kończy się szczęśliwie. Niemniej stosunki między kobietami i mężczyznami w rzeczy samej często układają się dziwacznie i obawiam się, że równie często kończą się nieszczęśliwie. Jak się sprawdzają sztagi delfiniaka założone w ten sposób?

- Stephen, mój drogi - odezwała się Diana w kabinie. - Czy ty naprawdę oczekujesz, że jakakolwiek kobieta wyjdzie za ciebie tylko dlatego, że zaprezentowałeś płynące z tego korzyści? Czy twoim zdaniem jakakolwiek kobieta poślubi cię tylko dlatego, że nie ma innego wyjścia?

- Ja powiedziałem jedynie, że Johnson znów jest w Paryżu, że w angielskich portach zostaniesz potraktowana jako obywatelka wrogiego państwa i że nie masz wyboru - rzekł Stephen, skołowany i rozdrażniony. - Przynajmniej od jakiejś godziny próbuję ci to wbić do twojej pustej głowy, Dianio.

- No, i znowu zaczynasz! - krzyknęła Diana. - Przecież musisz wiedzieć, musisz chociażby czuć, że każda kobieta, a zwłaszcza kobieta po takich przejściach jak ja, będzie oczekiwać czegoś bardziej... Jakby to ująć? Czegoś bardziej romantycznego w oświadczeniach. Nawet gdybym miała za ciebie wyjść, co jest kompletnie nie do pomyślenia, nigdy, przenigdy nie zgodziłabym się na to po oświadczeniach tak jałowych, suchych i urzędowych! Czy tobie zabrakło choćby dobrych manier? Zapomniałeś, czym jest zwykła uprzejmość?

Doprawdy, Stephen, zadziwiasz mnie!

- Lecz przecież kocham cię z całego serca - powiedział Stephen przygnębionym tonem, z wzrokiem wbitym w podłogę.

-...a chodzi głównie o to, że oszczędzamy w ten sposób watersztag -

dokończył na dziobie Babbington, po czym przyjrzał się górnym partiom takielunku, odwrócił się i krzyknął: - Panie Somerville, sądzę, że możemy postawić fokbramsztaksle.

W jednej chwili rozległy się gwizdki bosmańskie i krzyki:

- Na reje! Na reje! Rozwijać żagle!

Załoga „Oedipusa” rozwijała płótno żagli ze sprawnością która uradowała serce dowódcy, świadomego badawczego wzroku Jacka Aubreya. Obaj kapitanowie powrócili do rozmowy na temat delfiniaka oraz watersztagu, gdy podbiegł do nich drobny, młody dżentelmen o piskliwym głosie, syn siostry Babbingtona, i powiedział:

- Wujku Williamie, ta baba chce z tobą rozmawiać. - Naraz zorientował

się w sytuacji i natychmiast spłonął rumieńcem, po czym ściągnął kapelusz i oznajmił: - Za pańskim pozwoleniem, sir, owa dama pragnie pozdrowić kapitana Babbingtona i przekazać, że byłaby wdzięczna, gdyby mógł pan w wolnej chwili zamienić z nią słowo. I z kapitanem Aubreyem również, jeśli łaska.

Obaj ruszyli szybkim krokiem na rufę. Wartownik z piechoty morskiej otworzył przed nimi drzwi ze znaczącym spojrzeniem i weszli do środka.

Babbington od razu zauważył, że jego pasażerowie znów są przyjaciółmi - oboje wyglądali poważnie, lecz mimo tego sprawiali wrażenie zadowolonych, a trzymali się za ręce niczym szczęśliwa para na prowincji. Natychmiast nabrał

większej otuchy.

- Och, pani Villiers! - wykrzyknął. - Doprawdy wspaniale panią znów widzieć! Na Boga, doktorze, witam pana z całego serca. Czego się napijecie?

Mam całą skrzynkę szampana. Tom! Tom, bywaj tu! Wyciągnij no szampana.

- Drogi kapitanie Babbington - rzekł Stephen. - Kiedy wedle pańskich szacunków zawiniemy do Dover?

- Och, przy tym wietrze i z tym prądem nie później niż za jakieś dwie, trzy godziny. Cóż - dodał z szerokim uśmiechem - gdyby wdrapał się pan na grotę, dostrzegłby pan już pewnie białe klify Dover.

- A zatem nie ma chwili do stracenia. Chciałbym pana prosić o przysługę.

- Z radością spełnię każdą pańską prośbę.

- Chciałbym, by udzielił nam pan ślubu.

- Bardzo dobrze, sir - rzekł Babbington. - Tom! Tom, chodź tutaj.

Przynieś książeczkę do nabożeństwa.

- William - szepnął doń Jack na stronie. - A znasz w ogóle procedurę?

- Och, tak, sir. Zawsze nas pan uczył, byśmy byli przygotowani na nieoczekiwane sytuacje, pamięta pan? Opis ceremonii ślubnej jest zaraz przed mszą pogrzebową. Dzięki, Tom. Zechciej zawołać tu pisarza, dobrze? O, jest pan, panie Adam. Proszę przygotować dziennik pokładowy oraz odpowiednie certyfikaty ślubne, jeśli łaska. Niech pan zanotuje czas i przygotuje się do udzielania odpowiedzi. A zatem, sir, kto wydaje ową damę za mąż?

Na moment zapadła niepewna cisza.

- Ja, jako najbliższy krewny - oznajmił wreszcie Jack, pochwyciwszy spojrzenie Diany. - Jest to dla mnie niezwykle szczęście i ogromny wprost zaszczyt - dodał.

- A zatem proszę stanąć tutaj, jeśli łaska - powiedział Babbington, sam zajmując miejsce za biurkiem, gdzie sprawdził pióra, papier oraz kałamarz. -

Doktorze, czy ma pan obrączkę ślubną?

- Mam - powiedział Stephen i wyjął pierścionek z ametystem.

Babbington ustawił jego i Dianę we właściwym miejscu, otworzył

książeczkę i wyraźnym, mocnym głosem oficera marynarki wojennej, bez śladu udawania bądź niefrasobliwości, odczytał całe nabożeństwo. Jack słuchał z uwagą, a gdy Babbington doszedł do znajomej, niezwykle poruszającej kwestii:

„Póki śmierć nas nie rozłączy”, jego oczy zamglily się. Przy słowach: „Czy ty, Stephenie... Czy ty, Diano...” wspomnienie jego własnego ślubu nabrało takiej mocy, że gotów był uwierzyć, iż Sophie stoi teraz u jego boku.

- A zatem ogłaszam was mężem i żoną - powiedział Babbington, zamykając książeczkę, a gdy odezwał się po raz kolejny, z jego nadal poważnego głosu przebijała już ogromna radość. - Pani Maturin, panie doktorze, niech wolno mi będzie złożyć wam najserdeczniejsze gratulacje!

Powieści o Jacku Aubreyu - nota redaktorska

RICHARD OLLARD

Patrick O'Brian już dawno zasłynął jako pisarz, którego kunszt zdobywa poklask krytyków, a wszystkie powieści historyczne, drukowane zarówno w twardej, jak i w miękkiej oprawie, są wprost rozchwytywane po obu stronach Atlantyku.

Z rozmysłem użyłem tu słowa „dawno”. Pierwszą powieść cyklu, zatytułowaną Dowódca „Sophie”, przeczytałem bowiem z zachwytem ponad dwadzieścia lat temu. Piętnaście lat po tym zdarzeniu czerpię z lektury dzieł

O'Briana tyle samo przyjemności co wtedy. Rękopis został mi przekazany przez agenta Richarda Scotta Simona. Od niego też wiem, że został on zlecony jednocześnie przez wydawnictwo angielskie i amerykańskie (których nazwy przemilczę), lecz żadne z nich nie chciało się nim dłużej zajmować. Udało mi się wówczas zarazić swym entuzjazmem kolegów zajmujących się sprzedażą i reklamą oraz wysłać kopię do Mary Renault, która wówczas znajdowała się u szczytu sławy dzięki swym powieściom o starożytnych Atenach (The Last of the Wine) oraz o Aleksandrze Wielkim. Mary wystawiła rękopisowi niezwykle pochlebną opinię, a jej zachwyt nad drugim tomem serii, zatytułowanym Kapitan, był jeszcze większy.

„Dowódca »Sophie« obudził niebezpiecznie wysokie oczekiwania” -

napisała. „Kapitan zaś przekracza je tryumfalnie. Nie można powiedzieć o panu O'Brianie, że ma najważniejsze kwalifikacje do zdobycia miana pierwszorzędного pisarza historycznego. Stwierdziłabym, że on ma je wszystkie”.

Sir Francis Chichester zaś, który dopiero co powrócił ze swej samotnej podróży morskiej dookoła świata, stwierdził, że jest to: „najlepsza morska opowieść, jaką kiedykolwiek czytałem”.

Te dwa osady zawierają w sobie esencję tego, co później wzbudzało zachwyt i podziw rzesz czytelników. O'Brian jest doskonałym gawędziarzem, a o morzu i okrętach pisze z iskrą, której na próżno by szukać wśród współczesnych autorów. Swe historie uwiarygodnia wiedzą oraz dogłębnym zrozumieniem epoki, co nigdy się nie kłóci z jego dwoma pierwszymi talentami.

Największe brytyjskie zwycięstwo na morzu - bitwa pod Trafalgarem, którą w chwili tryumfu zakończyła śmierć jednego z największych brytyjskich admirałów - miało miejsce 21 października 1805 roku, a jego rocznica, zwana Trafalgar Night, obchodzona jest co roku na okrętach i obiektach Royal Navy.

Wraz z Patrickiem O'Brianem oczekujemy tego dnia z niecierpliwością, gdyż mamy się wówczas okazji spotkać na kolacji historyków marynarki wojennej, która z reguły odbywa się w Garnek Club w Londynie, choć raz otrzymaliśmy zgodę na urządzenie spotkania w kajucie kapitańskiej okrętu flagowego Nelsona, stojącego obecnie w suchym doku w Portsmouth. Patrick O'Brian gości na kolacji jako szeroko uznany autorytet w kwestii marynarki wojennej czasów Nelsona. Jego wiedza pomaga przywołać atmosferę świata drewnianych okrętów i żeglarzy z harcapami, świata, który już dawno przeminął. A wiedza ta, podobnie jak jego inne cechy, jest czymś indywidualnym i niespotykanym.

Patrick O'Brian przez długie lata sam „orał swe poletko”, wolny od szkół, uniwersytetów i klik naukowych.

Najlepsze książki o życiu na morzu zostały napisane przez ludzi, których zainteresowania wykraczały daleko poza świat słonej wody. Pamiętnik żeglarza, ów jakże wciągający, klasyczny już utwór pióra pewnego bostońskiego intelektualisty, wspaniale przedstawiający wybrzeże Kalifornii przed gorączką złota i po niej, zawdzięcza swą wyrazistość temu, że całe uniwersum drzewc, sztagów, masztów i szotów było autorowi właściwie nieznane. Pisarz najpierw go odkrył, potem się nim zachwyił, a następnie podzielił się swym zachwytem z czytelnikiem.

Nagle okazuje się, że podobnie rzecz się miała z serią powieści, które Patrick O'Brian umieścił w czasach zmagania Royal Navy z Napoleonem i w późniejszych latach, aż do wojny w 1812 roku. Drobne szczegóły rzemiosła żeglarskiego są przez niego dostrzegane i opisywane ze znanstwem godnym eksperta, podobnie traktuje on również każdy inny aspekt świata, w którym Brytania toczy dwie wielkie wojny z rewolucyjną i napoleońską Francją.

Polityka, język, rozrywki, jedzenie, meble, wszystkie szczegóły wystroju są idealnie dopasowane do realiów epoki. Z równą perfekcją odmalował

przekonania ludzkie oraz obyczaje, co stanowi znacznie trudniejsze i subtelniejsze osiągnięcie. Gdyby postaciom z którejś powieści Jane Austen przyszło się spotkać z bohaterami Patricka O'Briana, nie mieliby oni żadnych trudności w porozumiewaniu się. Zapewne przypadliby też sobie do gustu.

Oficerowie marynarki wojennej z powieści Austen, ani chybi wzorowani na dwóch jej służących w Royal Navy braciach oraz ich przyjaciółkach, uznaliby Jacka Aubreya, centralną postać w powieściach O'Briana, za człowieka nieco szorstkiego w obyciu, ale na pewno dostrzeżliby w sobie pokrewne dusze.

Jane Austen wykorzystwała postacie oficerów marynarki wojennej tylko i wyłącznie po to, by opisać ich perypetie towarzyskie i rodzinne. Pisarka ta nigdy

- cóż za niemądry pomysł! - nie opisała bitwy morskiej, nigdy też nie przejmowała się nędzą i prostotą życia żeglarza. W rzeczy samej, w jej książkach nie ma żeglarzy, są jedynie oficerowie. Powieści Patricka O'Briana są skoncentrowane właśnie na życiu na morzu. Żeglowanie i walka na okręcie, bronienie go przed niebezpieczeństwami morza i zjadłością przeciwnika było możliwe tylko dzięki odwadze i doświadczeniu doskonałych marynarzy, którzy wspinali się na reje, obsługiwali działa i wiosłowali w szalupach, a także dzięki specjalistycznej wiedzy takich ekspertów, jak artylerzysta, bosman, cieśla okrętowy czy podoficer nawigacyjny, którzy nie zasiadali w zwykłych mesach.

Te postacie w książkach O'Briana są równie widoczne i znaczące jak ongiś były w realnym życiu. Ich sposoby patrzenia na świat, uprzedzenia i wewnętrzna hierarchia są odmalowane równie wiernie jak w wypadku ich zwierzchników.

Trzeba tu podkreślić, że żadna z postaci O'Briana nie jest przedstawiona w sposób nader romantyczny. Oficerowie na ogół są pokazani jako ambitni profesjonaliści, wykonujący zawód, w którym panuje silna konkurencja. Royal Navy za czasów Nelsona oferowała jednostkom utalentowanym ogromne szanse na zrobienie kariery,

o wiele większe niż jakakolwiek inna profesja, przynajmniej w Wielkiej Brytanii. Mało który z oficerów, którzy „dochrąpali się” najwyższych stopni, był arystokratą lub pochodził z bogatej rodziny. Żeglarze zbijali majątki i otrzymywali tytuły szlacheckie, a posiadłości i zaszczyty były wynagrodzeniem za ich sukcesy. Ci, którzy ponieśli porażkę lub okazali się słabi, automatycznie zostawali spychani na bok. Nawet w szczytowym momencie wojny było o wiele więcej oficerów niż okrętów, którymi mogli dowodzić, a za czasów pokoju dysproporcja ta była doprawdy ogromna. Wielkie pieniądze, które mogli zarobić, nie pochodziły z wynagrodzenia przynależnego oficerom, lecz ze sprzedaży zatrzymanych przyzów i przejętych okrętów przeciwnika. Pryzowe, w którym miał swój udział każdy, od admirała po zwykłego marynarza - choć sumy różniły się diametralnie zależnie od stanowiska - stanowiło ogromną zachętę. Najlepiej wychodzili na podziale przyzowego oficerowie, a zwłaszcza kapitanowie. Tym niemniej ważną cechą tego systemu był stopień wzajemnej zależności na jednostce. Jeśli kapitan miał

zdobyć jakiegokolwiek przzowe, potrzebował kompetentnych oficerów, czujnej i sprawnej załogi oraz odpowiednio przygotowanego okrętu. Załoga okrętu zaś potrzebowała śmiałego - i obdarzonego szczęściem - kapitana, żeby jej wysiłki na coś w ogóle się przydały.

Bez wątpienia nie można tu zaprzeczyć, że Jack Aubrey ze swoimi książkowymi oraz admirał Nelson z rzeczywistymi towarzyszami bojów tak naprawdę byli motywowani także patriotyzmem i osobistą odwagą. Ależ naturalnie, że byli. Co więcej, zarówno oficerowie, jak i ich podwładni odczuwali

wielką dumę z faktu służenia pod brytyjską banderą.

Come, cheer up, my lads, 'tis to glory we steer.

To add something more to this wonderful year.

Heart of oak are our ships. Heart of oak are our men.

We 've beat them before and we 'li beat them again.

Ta pieśń nie ma nic wspólnego z czczymi przechwałkami, lecz jest aksjomatem, który został poddany sprawdzianowi. Jakakolwiek próba zrozumienia bądź odmalowania Royal Navy w jej klasycznym okresie musi rozpocząć się od uznania istnienia tych dwóch potężnych źródeł motywacji -

osobistej ambicji oraz ducha współpracy lub esprit de corps, jak to bardziej elegancko ujmują Francuzi.

Jakkolwiek O'Brian nie przedstawia swego głównego bohatera w sposób romantyczny - a zamiast tego robi zeń rozwiązłego obżartucha, owładniętego obsesją na punkcie robienia pieniędzy - nie zapomniał pokazać jego wrażliwości. Jack z uwielbieniem opowiada o admirale Nelsonie, który swego czasu poprosił go o podanie mu soli, gdy jedli obiad przy tym samym stole. Bez cienia egoizmu okazuje wielką radość na wieść o sukcesach innych kapitanów, nawet jeśli oznacza to, że wyprzedzili go na liście kandydatów do awansu. Jego własne uwielbienie przygód wraz z instynktem wojownika popychają go ku niebezpiecznym starciom, które najczęściej nie kryją w sobie szans na wzbogacenie się. W końcu dopadnięcie wroga za wszelką cenę i obojętnie gdzie było podstawową dewizą Nelsona.

Oczywiście decyzjami Jacka steruje jego profesjonalizm. Tylko idiota czy człowiek niekompetentny rzuciłby wyzwanie przeważającej sile wroga. W

pierwszej powieści cyklu, zatytułowanej Dowódca „Sophie”, Jack Aubrey, który dowodzi swym pierwszym okrętem, niewielkim brygiem, znajduje się w tej sytuacji nie do pozazdroszczenia minimum cztery razy. Raz udaje mu się uniknąć konsekwencji poprzez pospieszne upodobnienie jednostki do prywatnego statku neutralnej bandery, co jest starym jak świat podstępem wojennym, z powodzeniem używanym jeszcze podczas drugiej wojny światowej. Innym razem udaje mu się uciec dzięki innemu fortelowi - po zapadnięciu ciemności zostawia na wodzie światłabiki, przez co kapitan ścigającej go jednostki dochodzi do wniosku, że zbliża się do swej zdobyczy. W

trzeciej z owych sytuacji, widząc, że nie zdoła uniknąć walki, atakuje o wiele silniejszy okręt przeciwnika i zdobywa go dzięki połączeniu lepszemu kunsztu żeglarskiego, lepszemu wykształceniu artyleryjskiemu oraz zaskoczeniu, jakie wywołuje dziki abordaż na dwukrotnie większą jednostkę. Dopiero w czwartym starciu, gdy przy niekorzystnym wietrze zostaje dopadnięty przez okręty potężnego dywizjonu liniowców, Jack decyduje się ściągnąć banderę na znak poddania się. Poddanie się w takich okolicznościach nie przynosi wstydu.

Prawdziwi profesjonaliści nie widzą sensu w bezcelowych rzeziach.

Jack, choć został nakreślony z subtelnością, wcale delikatnym człowiekiem nie jest. Czytelnika ujmuje za serce swoją zwyczajną ludzką szczerą bezpośredniością. Jego oficerowie nie zawsze są jednak ludźmi jego pokroju. Pierwszym oficerem tytułowego brygu, którym dowodzi w powieści Dowódca „Sophie”, jest dumny irlandzki arystokrata, który skrzętnie, z obawą skrywa dawne powiązania polityczne w swej ojczyźnie. Z tego samego względu jest on rzymskim katolikiem, co również trzyma w tajemnicy, gdyż w owych czasach przynależność do Kościoła rzymskokatolickiego uniemożliwiłaby mu sprawowanie jakichkolwiek urzędów państwowych, zarówno cywilnych, jak i wojskowych. Otwarcie pogardza on Jackiem za łapczywość, z jaką ten goni za przyzwoitym, a w duszy wścieka się na niego za jego nieświadome protestanckie uprzedzenia. Po innym oficerze, nawigatorze brygu, odpowiedzialnym za nawigację i prowadzenie okrętu, na pierwszy rzut oka widać, że jest homoseksualistą. Ów fakt, rzecz jasna, znany jest wszystkim na pokładzie z wyjątkiem samego Jacka. W skrócie, wszyscy oficerowie nie są postaciami z tła, lecz zostali starannie zindywidualizowani.

Wszyscy z nich mówią, reagują na wydarzenia, czytają - o ile mają to w zwyczaju - i myślą zgodnie z duchem opisywanej epoki. Na pewno nie mogliby uchodzić za bohaterów choćby z Okrutnego morza czy Buntu Kaina, dwóch z najpopularniejszych powieści o drugiej wojnie światowej.

To samo dotyczy żeglarzy. Wielu z nich to wesołe chwaty, które pojawiają się w beletrystyce i opracowaniach historycznych o Royal Navy z każdej epoki. A wielu z nich to ludzie siłą wcieleni do służby lub obcokrajowcy.

Niedostatek marynarzy był niekończącym się problemem dla kraju, który w czasach pokoju utrzymywał jedynie niewielką marynarkę wojenną. Gdy wybuchła wojna, admiralicja miała zamiar obsadzić okręty wojenne ludźmi, którzy zarabiali na swe utrzymanie jako rybacy lub członkowie załóg okrętów handlowych. Oznaczało to jednak, że ktoś musiałby zająć miejsce wszystkich powołanych do służby i przejąć ich zarobki, a z uwagi na fakt, iż zarówno połowy ryb, jak i handel oceaniczny musiały trwać również podczas wojny, wyszedł po prostu brak ludzi do służby w marynarce. Niezdrowe warunki życia na morzu, zwłaszcza w klimacie takim jak w Indiach Zachodnich, szybko zaczęły zwiększać owe niedobory. Śmierć w bitwie stanowiła marginalny odsetek w statystykach dotyczących śmiertelności wśród marynarzy.

Na szczęście dla marynarki wojennej w każdym porcie świata można było znaleźć ludzi, którzy idealnie nadawali się do służby na okrętach wojennych.

Byli wśród nich pechowcy, którzy uciekli z okrętu i stracili wszystkie pieniądze, byli tacy, których oszukano na zarobkach, lub nawet tacy, którzy w swym rodzinnym kraju nie mogli znaleźć dla siebie zatrudnienia. Na dolnych pokładach brytyjskich okrętów wojennych zawsze mieszkała liczna grupa obcokrajowców. W załodze „Victory” podczas bitwy pod Trafalgarem było ich 71, a wśród nich nawet dwóch czy trzech Francuzów. Jeśli chodzi o ten aspekt, O’Brian znów wiernie przekazuje fakty historyczne i czyni to tak, by nie oszołomić czytelnika. W skład załogi „Sophie” na przykład wchodziło kilku greckich poławiaczy gąbek, którzy okazali się szczególnie użyteczni podczas oskrobywania kadłuba z wodorostów. Znalazł się w niej również jeden bądź

nawet dwóch ludzi mówiących biegle po włosku, którzy przydali się podczas zasięgania informacji ze statków neutralnych bądź przy ukrywaniu przynależności okrętu do brytyjskiej marynarki wojennej, gdy nadarzała się taka okazja.

Skąd O'Brian czerpie swą wiedzę? Jak ją zdobył? Jeśli chodzi o morskie aspekty jego powieści, istnieje wiele powieści historycznych oraz pamiętników, wydanych w przeciągu kilku lat po opisanych w nich wydarzeniach. Nieco później założono Navy Records Society, którego zadaniem było publikowanie nie tylko oficjalnych zapisków, ale również materiałów zawartych w prywatnych dziennikach i listach. O'Brian zaś, który swoją drogą miał zacięcie oraz doświadczenie w badaniach naukowych - jego pierwsza praca, zniszczona podczas wojny, była opracowaniem na temat bestiariuszy, średniowiecznych prac poświęconych zwierzętom - był również żeglarzem-amatorem ze sporym doświadczeniem. Dysponował w ten sposób doskonałymi narzędziami, dzięki którym mógł przystąpić do eksploatacji tego jakże bogatego złoża.

Najważniejsze jednak okazało się to, że jest on profesjonalnym pisarzem z imponującymi dokonaniem w wielu dziedzinach. Publikował poezję oraz opowiadania. Jest również znakomitym tłumaczem. Wszystkie powieści Simone de Beauvoir, które ukazały się po angielsku, biografia de Gaulle'a pióra Jeana Lacouture czy sięgające rekordowych nakładów pamiętniki Papillona, więźnia, który uciekł z Devil's Island, dają pojęcie o pełni jego możliwości w tej dziedzinie. O'Brian jest również autorem dwóch godnych szacunku biografii -

Picassa oraz osiemnastowiecznego przyrodnika, badacza i wieloletniego przewodniczącego Królewskiego Towarzystwa Naukowego, sir Josepha Banksa.

Obie te biografie mówią wiele na temat zainteresowań i upodobań O'Briana. Praca na temat Picassa zdradza zamiłowanie pisarza do muzyki i sztuk pięknych, któremu niejednokrotnie daje wyraz w powieściach o Jacku Aubreyu. Pierwsza scena Dowódcy „Sophie” to koncert na Minorce i nic innego, jak właśnie miłość do muzyki, daje początek pozornie niemożliwej przyjaźni pomiędzy Jackiem a wszechstronnie wykształconym Stephenem, który później służy na jego okrętach jako lekarz pokładowy. Zamiłowanie O'Briana do malarstwa również nie powinno budzić zdziwienia, zważywszy na obrazowość narracji cyklu - pisarz bezustannie bawi się światłem i kolorami.

Dlaczego akurat Picasso? O wyborze po części zdecydował fakt, że O'Brian poznał go osobiście i miał z nim wielu wspólnych przyjaciół, głównie wywodzących się z rodziny Matisse'a, ale głównym powodem było to, że Picasso, jak żaden inny artysta, uosabiał mieszankę kultury francuskiej, hiszpańskiej i katalońskiej, w której pisarz funkcjonował przez wiele szczęśliwych lat swego życia. Nie bez powodu pierwsza powieść cyklu osadzona została przede wszystkim na zachodnich akwenach Morza Śródziemnego - jego brzegi autor znał bowiem doskonale, a z wiatrami, wodami i pogodą niejednokrotnie sam miał do czynienia.

Nie jest również przypadkiem to, że Stephen Maturin jest pół

Irlandczykiem, pół Katalończykiem, ani to, że podobnie jak sam autor, biele włada wieloma językami, a pośród jego wielu umiejętności jest również doskonała znajomość biologii i botaniki. Stephen nigdy nie potrafi zrozumieć ani do końca wybaczyć niechęci Jacka do przerywania pościgu za wrogiem i do rzucenia kotwicy przy jakiejś nieodwiedzanej dotąd wysepce na Pacyfiku, gdzie być może znajdują się jakieś rzadkie lub nawet niezbadane okazy flory bądź

fauny. W tych momentach biograf sir Josepha Banksa, człowieka, który towarzyszył Cookowi w jego wielkich podróżach badawczych, dodaje fikcyjnej postaci zupełnie nowego wymiaru.

Oczytanie Stephena oraz jego praktyczna wiedza naukowa pozwala pisarzowi, bez znaczącego chrzanknięcia, bezpośrednio zwrócić się do czytelnika i przedstawić mu stan technologii oraz najmodniejsze poglądy w opisywanym okresie. Ten sam zabieg, choć odwrócony, dostarcza czytelnikowi wszystkich informacji potrzebnych do zrozumienia zawichości żeglowania i walki na okręcie, znów bez niepotrzebnego zwalniania tempa narracji. Stephen nigdy sam nie żeglował i ledwie jest w stanie rozróżnić tępy i ostry koniec okrętu, na którym się znalazł. Jack lub któryś z jego oficerów musi mu tłumaczyć, co się dzieje i dlaczego. Nawet największy szczur lądowy wśród czytelników powieści O'Briana poczuje się dzięki temu oświecony.

Szczególną zaletą powieści o Jacku Aubreyu jest realizm, który opiera się przede wszystkim na solidnej dbałości o szczegóły. Nie chodzi tu tylko o okręty i morskie bitwy - choć nie jest to kwestia nieistotna w serii powieści marynistycznych - lecz przede wszystkim o świat, w którym poruszają się postacie. Nie ma tam anachronizmów, nie ma niezgodności z prawdą, które sprawiają, że czas zaczyna zwalniać. Dzięki czytanim przez nich książkom, ideałom, w które wierzą, porom posiłków oraz potrawom, które spożywają w ich trakcie, wyobraźnia czytelnika zaczyna przenikać opisywaną epokę.

Podobnie stało się z autorem, który zna z własnego doświadczenia wiele z opisywanych przez siebie kwestii. Żeglował po Atlantyku, kanale La Manche i Morzu Śródziemnym, stąd doskonale wie, jak straszliwe może okazać się morze. Uwielbia jedzenie i od wielu lat jest żonaty ze wspaniałą kucharką - żona O'Briana jest również pierwszym czytelnikiem jego powieści, z których wiele zostało jej zadedykowanych. Jest także koneserem wina i przyrządza nawet własne trunki z winogron, które sadi na stromych zboczach wzgórz, wznoszących się nad wioską. Wszystkie te kwestie wzbogacają świat na pokładzie okrętu wojennego, który siłą rzeczy jest niewielki i ograniczony.

Graham Greene, gdy pracował jeszcze jako redaktor w wydawnictwie, zwykł

wbijać pisarzom do głowy, że w powieści zawsze trzeba zarysować czas i miejsce akcji. Przedstawienie obydwu tych elementów w tak ograniczonej przestrzeni jest nie lada osiągnięciem.

W kwestii opisów walk wielu czytelników porównuje go do C.S.

Forestera, lecz O'Brian przewyższa swego kolegę po fachu, jeśli chodzi o bogactwo treści. Najbliższy mu w tym jest być może kapitan Marryat, wielki mistrz powieści marynistycznej, który sam pływał jako midszypmen pod rozkazami kapitana Cochrane'a na fregacie „L'Impriuse”. Śmiałe, błyskotliwe operacje, w których uczestniczył ten okręt, inspirowały niemal każdego pisarza marynistę, bez wątpienia samego Marryata, ale również O'Briana. Co więcej, mocną stroną obu pisarzy jest humor, którego na próżno szukać u Forestera, zarówno w opisie postaci, jak i w kreśleniu perypetii w komedii życia. Jeśli chodzi o konstrukcję fabuły, O'Brian niepodzielnie dzierży palmę pierwszeństwa. Starej jak świat sztuki snucia opowieści, tak łaskawie potraktowanej w *Aspects of the Novel* pióra E.M. Forstera, nie można ani zastąpić, ani wyeliminować. Szczególne właściwości powieści O'Briana zdobywają sobie uznanie, ponieważ opierają się na tych właśnie założeniach. A czyż sztuka snucia opowieści nie jest sama w sobie oparta na postrzeganiu złożoności i nieprzewidywalności ludzkiej doli? Nigdy przecież nie wiadomo, dokąd prowadzą rozmaite ścieżki losu.

Gdyby człowiek znał swą przyszłość, czar zniknąłby natychmiast. Weźmy na przykład postać Stephena Maturina, której rozwój w późniejszych powieściach cyklu przyćmił rozwój postaci Jacka. Gdy pisarz przedstawia go nam w Dowódcy „Sophie”, zarysowuje kilka jego cech szczególnych. Które z nich staną się tematem narracji i kiedy to nastąpi? Czy w tym momencie narrator zna w ogóle siebie? Pewne jest tylko to, że postać dziwaka Stephena daje mnóstwo punktów zaczepienia i stwarza możliwości przeniesienia akcji poza marynarke wojenną. Jest w połowie Irlandczykiem, przez co może być zaangażowany w polityczne działania, które przez Jacka i jego pobratymców zostałyby uznane za wywrotowe, a nawet za całkowitą zdradę. Domniemanie, że za którymś zwrotem akcji zaangażowanie Stephena w sprawy irlandzkie może stać się głównym wątkiem powieści, jest tym silniejsze, iż w podobnej sytuacji znajduje się pierwszy oficer Jacka. Stephen jest również w połowie Katalończykiem, a okręt Aubreya działa wzdłuż wybrzeża katalońskiego. W

pierwszych rozdziałach powieści schodzi na ląd i zasięga informacji o możliwych ruchach okrętów wroga, co zdradza czytelnikowi drugie dno osobowości Stephena, znacznie głębsze niż jego powiązania z Irlandią. Wkrótce okazuje się, że jest on tajnym agentem wywiadu, zajmującym się sprawami najwyższej wagi. Stanowisko lekarza okrętowego na okręcie wojennym stanowi idealną przykrywkę. Gdy okręt operuje niedaleko wrogiego wybrzeża, agent może bez problemów zostać wysadzony lub zabrany z brzegu podczas bezkسیężycowej nocy, można też go natychmiast wysłać na drugi koniec świata, by zapobiegł tam przewrotowi lub ubiec podejrzanе działania jakiegoś neutralnego państwa. Elastyczność okrętu wojennego sprawia, że staje się on idealnym instrumentem w wojnie wywiadów.

Jak dotąd nie padło ani jedno słowo o kobietach w życiu tych ludzi, wiodących żywot przypominający pustelników. Kobiety w twórczości O'Briana są równie zróżnicowane i pełne życia jak mężczyźni, a znaleźć można zarówno zachwycające, jak i odpychające, zarówno cnotliwe, jak i rozwiązłe. Wśród bohaterek O'Briana jest też jedna awanturniczka oraz dwie damy równie bezwzględne jak mężczyźni w pogoni za kobiecym odpowiednikiem chwały i przyzwołego. Powieści te pisane są jednak z męskiego punktu widzenia, podobnie jak powieści Jane Austen pisane są z kobiecego, co jednak jest jednym z elementów ich autentyczności, podobnie jak *gout du terrior* w wypadku niezmięszanego wina. Pomimo różnorodności typów osobowościowych oraz pochodzenia wszystkie one trafiają przecież do świata, którym niepodzielnie rządzą mężczyźni - do świata Royal Navy epoki Nelsona.

Kolejna niezwykła wyprawa w głąb wspaniałej historii Royal Navy...

Jack Aubrey oraz Stephen Maturin otrzymują rozkaz powrotu do domu na statku pocztowym, by osobiście przekazać rządowi wieści o ostatniej wiktorii.

Ponieważ Maturin jest poszukiwany za spustoszenia, jakie poczynił we francuskiej siatce wywiadowczej w Nowym Świecie, w pościg za statkiem pocztowym ruszają dwa okręty korsarskie. Dramatyzm, napięcie i nieoczekiwane zakończenie pościgu wśród mgieł i mielizn Grand Banks nie mają sobie równych w twórczości Patricka O'Briana. Bohaterom przyjdzie przeżyć również katastrofę okrętu i uwięzienie w owianym złą sławą więzieniu Tempie w Paryżu, a w punkcie kulminacyjnym fascynująca Diana Villiers raz jeszcze przechyli szalę zwycięstwa w męskim świecie żeglarzy i żołnierzy.

„Najlepszy cykl mołskich powieści przygodowych w historii gatunku”.

„Guardian”

Table of Contents

